

**RICHARD  
RUSSO**

**Koniec  
Empire Falls**



*Prószyński i S-ka*

Richard Russo należy, obok Sherwooda Andersona i Sinclaira Lewisa, do najważniejszych pisarzy współczesnej Ameryki. Opublikował pięć powieści: *Po złej stronie drogi* (1986), *The Risk Pool* (1988), *Nobody's Fool* (1993), *Prawdy człowiek* (1997) oraz *Koniec Empire Falls*, wyróżnioną w 2002 r. Nagrodą Pulitzera. *Nobody's Fool* (*Naiwniaczek*) doczekała się ekranizacji w znakomitej obsadzie z Paulem Newmanem, Melanie Griffith, Jessicą Tandy i Bruce'em Willisem (nominacje do Oscara dla Newmana i za scenariusz). Wspólnie z Robertem Bentonem, reżyserem *Naiwniaczka*, napisał scenariusz filmu *Twilight*.



## RICHARD RUSSO

### Koniec Empire Falls

„Koniec Empire Falls” to pełna humoru i ciepła opowieść o życiu w małym amerykańskim miasteczku. Główny bohater, Miles Roby, obserwuje życie jego mieszkańców z okien prowadzonej przez siebie restauracji, która należy do miejscowej potentatki. Codzienna parada stałych bywalców pozwala mu ocenić zalety i wady sytuacji, gdy wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą. Barwna galeria postaci i ich zawile, a przecież prawdziwe losy układają się w obraz świata na styku dawnych i nowych czasów, między rozkwitem przemysłu a jego upadkiem, między życiem w dostatku a strachem o jutro.

PATRONAT MEDIALNY



Cena 32 zł

Informacje o naszych książkach  
można znaleźć w witrynie internetowej  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

ISBN 83-7337-414-0



9 788373 337414

**RICHARD  
RUSSO**

**Koniec**

**Empire Falls**

Przełożyła  
Katarzyna Bogucka-Krenz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

EMPIRE FALLS

Copyright © 2001 by Richard Russo All Rights Reserved

Projekt okładki:

Maciej Sadowski

Redakcja:

Anna Janko

Redakcja techniczna:

Jolanta Trzecińska

Korekta:

Katarzyna Wojnarowska

Łamanie:

Monika Lefler

ISBN 83-7337-414-0

Warszawa 2003

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

OPOLGRAF Spółka Akcyjna

45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

*Dla Roberta Bentona*

## PODZIĘKOWANIA

Jak zwykle lista moich długów wdzięczności jest dość znaczna. Pragnę podziękować właścicielom Fitzpatrick's Café, Camden Deli i Jorgenson's za udostępnienie mi miejsca. Perley Sasuclark ma u mnie wyrazy uznania za opowiedzenie wszystkich tych historii, które tak bardzo mi się przydały, dziękuję również Allenowi Pullen z Open Hearth, który podzielił się ze mną swoją wiedzą związaną z prowadzeniem restauracji. Gary'emu Fisketjon wyraziłbym najszczerze słowa podziękowania i wdzięczności za pracę i poświęcenie, jakie włożył w przygotowanie manuskryptu, jednak ostrzegam, że dla niego oznaczałoby to konieczność dodatkowej pracy redakcyjnej, a i tak już dość się napracował. Dla Nata Sóbela i Judith Weber, którzy byli ze mną od początku, słowa przyjaźni i miłości. Jeszcze głębszą miłość żywię dla mojej żony, Barbary, która czyta każdą moją książkę znacznie więcej razy niż ktokolwiek winien czytać cokolwiek. Dziękuję również moim córkom, Emily i Kate, które zarówno w dzieciństwie, jak i teraz jako młode kobiety pozwoliły swemu ojcu bez przeszkód zajmować się losem ludzi, istniejących jedynie w jego wyobraźni - za co należy im się znacznie więcej wdzięczności, niż potrafię to wyrazić, rym razem jednak szczególne słowa podziękowania kieruję zwłaszcza do Kate za przypomnienie mi swoim żywym przykładem, jak okropna może być szkoła i jakimi szczęściarzami są ci wszyscy, którym udało się przebrnąć przez nią mniej lub bardziej bez szwanku.

## Prolog

W porównaniu z rezydencją Whitingów w mieście, dom, jaki postawił Charles Beaumont Whiting w dziesięć lat po swoim powrocie do stanu Maine, był całkiem skromny. Z kolei jeśli go przyrównać do standardów Empire Falls, gdzie większość domów jednorodzinnych jest warta znacznie poniżej siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów, można powiedzieć, że był to prawdziwy pałac, z pięcioma sypialniami, pięcioma łazienkami i osobnym pawilonem na pracownię. C. B. Whiting spędził wiele lat w Meksyku i dom, który zbudował, nie licząc się z otoczeniem, wyglądał niczym hacjenda w stylu kolonialnym. Kazał nawet wypalić cegłę o specjalnej fakturze i pomalować ją na ciemny kolor, żeby przypominała meksykańską cegłę suszoną na słońcu. Kompletnie zwariowany dom, żeby coś takiego budować w sercu Maine, mówili ludzie, chociaż nikt nie ośmielił się powiedzieć mu tego prosto w oczy.

Jak wszyscy mężczyźni z rodu Whitingów, C. B. był niskiego wzrostu i nie lubił, by fakt ten zwracał uwagę innych, dlatego rozłożystość hiszpańskiej architektury niezmiernie mu odpowiadała. Umeblowanie - na które składały się sprzęty, w jakie zwykle bywają wyposażone typowe domy z katalogu i przyczepy campingowe - dodatkowo podkreślało wrażenie przestronności. Uzyskane dzięki temu złudzenie optyczne dobrze się sprawdzało, z wyjątkiem sytuacji, gdy w domu pojawiał się ktoś wysokiego wzrostu, a wtedy dom wyglądał niczym luksusowy domek dla lalek.

Hacjenda - C. B. Whiting nigdy nie mówił o swoim domu inaczej - została zbudowana na ziemi, która od pokoleń należała do rodziny. Pierwsi Whitingowie, jacy pojawili się w hrabstwie Dexter, pracowali przy wyrębie lasów i z czasem wykupili większość ziemi po obu stronach rzeki Knox, dzięki czemu uzyskali kontrolę nad wszystkim, co tą drogą spławiano do oceanu, odległego o jakieś pięćdziesiąt mil na południowy wschód. Do chwili gdy C.

B. Whiting przyszedł na świat, stan Maine został zelektryfikowany, a odkąd w Fairhaven położonym poniżej Empire Falls postawiono tamę, rzeka straciła na dawnym znaczeniu. Przemysł drzewny przeniósł się dalej na północ i zachód, a rodzina Whitingów przerzuciła się na branżę tekstylną, papierową i odzieżową.

Pomimo iż rzeka przestała być potrzebna jako źródło energii, C. B. Whitingowi pozostało głęboko zakorzenione przekonanie, że z racji przyrodzonego obowiązku winien jest mieć baczenie na wszystko, co się z nią dzieje, tak więc gdy postanowił wybudować sobie dom, wybrał miejsce nieco powyżej wodospadu, nieopodal mostu Iron Bridge, dokładnie naprzeciwko miasta Empire Falls, które w owym czasie stanowiło świetnie prosperującą społeczność mężczyzn i kobiet, zatrudnionych w licznych zakładach przemysłowych i fabrykach rozległego imperium Whitingów. Z chwilą gdy teren wykarczowano i postawiono dom, C. B. mógł bez przeszkód patrzeć na swoją fabrykę odzieżową i przędzalnię za rzeką, dobrze widoczne zwłaszcza poprzez nagie gałęzie drzew zimą, co w centralnym Maine oznaczało większą część roku. Papiernia, która również była jego własnością, znajdowała się wprawdzie parę mil dalej w górę rzeki, ale jej wielkie kominy wypuszczały pióropusze dymu, niekiedy białego, to znów czarnego, i te mógł dojrzeć ze swego patio na tyłach domu.

Przeprowadzając się za rzekę, C. B. Whiting stał się tym samym pierwszym członkiem klanu, który dostrzegł zalety płynące z zachowania dystansu do ludzi, pomnażających jego bogactwo. Rodzinna rezydencja w Empire Falls, potężne domiszcze w stylu króla Jerzego zbudowane na początku ubiegłego stulecia, miała kominki z polnego kamienia w każdej sypialni i dość sztywną salę jadalną, gdzie dębowy stół mógł bez trudu pomieścić nawet i trzydzieści osób, a z sufitu zwieszało się pół tuzina połyskujących kryształami kandelabrow, sprowadzonych pociągami aż z Bostonu. Był to dom zbudowany po to, by wzbudzać lęk, a zarazem lojalność w sercach irlandzkich, polskich i włoskich imigrantów, którzy zapuścili się na północ od Bostonu, oraz wśród francuskich Kanadyjczyków, którzy zawędrowali na południe, jedni i drudzy w poszukiwaniu pracy. Stara rezydencja Whitingów znajdowała się w samym centrum miasta, jedną przecnicę od fabryki odzieżowej szyjącej koszule oraz dwie od przędzalni, i ponoć nie bez kozery została akurat tam postawiona przez męskich członków rodziny, którzy pracowali po czternaście godzin na dobę: dzięki temu bowiem mogli w południe udać się do domu na posiłek, po czym wrócić do swoich fabryk, gdzie często pozostawali do późna w noc.

Jako chłopiec, C. B. lubił ten dom. Jego matka ustawicznie narzekała, że jest stary, niewygodny i pełen przeciągów, że ma daleko do klubu na wsi i



do domu nad jeziorem, że daleko stamtąd do głównej szosy, wiodącej z miasta na południe, do Bostonu, gdzie wolała robić zakupy. Niemniej wraz z rozległymi, zacienionymi terenami wokół i licznymi pokojami o przedziwnych kształtach wewnątrz, był doskonałym miejscem na spędzenie w nim dzieciństwa. Ojciec C. B., Honus Whiting, także kochał ten dom, między innymi dlatego, że od początku jego istnienia mieszkali tu wyłącznie Whitingowie. Ojciec Honusa, Elias Whiting, wówczas starzec dobrze po osiemdziesiątce, żył jeszcze i mieszkał w starej wozowni, razem ze swą kłótniwą żoną. Mężczyźni z rodu Whitingów mieli wiele cech wspólnych, a jedną z nich było niewątpliwie to, iż niezmiennie żenili się z kobietami, które zamieniały ich życie w piekło. Jeśli o to chodzi, ojcu C. B. Whitinga poszczęściło się nieco lepiej niż jego przodkom, a przecież i on miał głęboki żal do żony, że go nie doceniała i że wszystko krytykowała - dom, miasteczko, zafowanie stanu Maine - traktując konieczność opuszczenia Bostonu jako okrutną banicję. Pięknie kute, żeliwne kraty bramy i ogrodzenia, które wytyczały granice posiadłości, a które sprowadzono specjalnie aż z Nowego Jorku, nazywała murami swego więzienia, mimo że za każdym razem, kiedy wypowiadała podobną uwagę, Honus przypominał jej, iż ma on klucz do tych krat i w każdej chwili może je dla niej otworzyć. Skoro rzeczywiście tak jej zależy, by wrócić do Bostonu, niechże sobie wraca, droga wolna. Mówił to, gdyż doskonale wiedział, że ona nigdy tego nie uczyni, było bowiem swego rodzaju przekleństwem wszystkich mężczyzn z rodu, iż żenili się z kobietami lojalnymi na przekór sobie i wszystkiemu.

Jednakże wraz z narodzinami ich pierworodnego Honus Whiting zaczął rozumieć swoją żonę, a nawet w skrytości ducha podzielać jej opinię, przynajmniej w sprawie samego Empire Falls. W drugiej połowie XIX stulecia miasteczko znacznie się rozwinęło; wokół rezydencji Whitingów jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać domy robotników, a jednocześnie z tymi zmianami dała się również zauważyć zmiana postawy tych ludzi wobec samych Whitingów, na coraz bardziej niechętną i wrogą. Whitingowie tradycyjnie próbowali zaskarbiać sobie przychyłność swoich pracowników, podejmując ich każdego lata poczęstunkiem w swoich ogrodach. Honus Whiting jednak coraz częściej dochodził do wniosku, że ludzie, którzy zjawiali się na tych przyjęciach, byli zwyczajnie niewdzięczni: za darmo mogli się najeść do syta, napić i wytańczyć do woli, a mimo to niejeden obrzucał rezydencję takim spojrzeniem, które zdawało się mówić, iż serce by mu nie pękło, gdyby któregoś dnia wszystko to spłonęło do cna.

Zapewne z powodu tej skrywanej, acz stale rosnącej niechęci otoczenia, C. B. Whiting został odesłany z domu, najpierw do szkoły z internatem, a na-

stepnie do college'u. Ukończywszy edukację, następne dziesięciolecie spędził niemal w całości na podróżach, początkowo z matką w Europie (która znacznie bardziej odpowiadała gustom tej zacnej kobiety niż stan Maine), a potem już samodzielnie w Meksyku (który jemu przypadł do serca znacznie bardziej niż Europa, gdzie jak na jego gust zbyt wiele było do zwiedzania i podziwiania). Podczas gdy wielu Europejczyków przewyższało go wzrostem, Meksykanie byli przeważnie niżsi od niego, a C. B. Whitingowi najbardziej podobało się w nich to, że byli z natury marzycielami, którzy nie czuli potrzeby, by te marzenia realizować. Tymczasem jego ojciec, który cierpliwie płacił za wszystkie globtroterskie wyprawy syna, uznał w końcu, że czas najwyższy, by jego dziedzic powrócił do domu i zajął się pomnażaniem majątku rodzinnego, zamiast trwonić go nad miarę gdzieś na południowych rubieżach kraju. W owym czasie Charles Beaumont Whiting miał już około trzydziestki i jego ojciec musiał przyznać, acz niechętnie, iż jedynym prawdziwym talentem syna jest trwonienie pieniędzy, chociaż on sam twierdził, jakoby zajmował się też malarstwem i pisaniem wierszy. Tym bardziej należało położyć temu wszystkiemu kres, i to natychmiast, przynajmniej w opinii starszego pana. Sześćdziesiąte urodziny Honusa Whitinga zbliżały się wielkimi krokami i jakkolwiek zadowolony, iż mógł dogadzać synowi, doszedł jednak do wniosku, że trwało to stanowczo zbyt długo i najwyższy czas, by wprowadzić młodego człowieka w zarządzanie rodzinnym majątkiem, który pewnego dnia miał odziedziczyć. Sam Honus zaczynał w młodości od pracy w fabryce odzieżowej, gdzie szyto męskie koszule, następnie przeniósł się do przędzalni, by ostatecznie, po tym jak stary Eliasz postradał zmysły i usiłował zamordować swoją żonę za pomocą szpadla, przejął zarząd nad papiernią w górze rzeki. Honus pragnął przygotować syna na ten nieunikniony moment, kiedy w końcu i jemu także padnie na mózg i rzuci się na swoją żonę a matkę Charlesa z pierwszym lepszym ciężkim narzędziem, jakie wpadnie mu w rękę. Europa nie poprawiła jej mniemania o mężu, nie mówiąc już o Empire Falls czy stanie Maine, jak na to liczył w skrytości ducha. Z jego doświadczenia wynikało, że ludzie rzadko czują się szczęśliwsi, dowiadując się, czego życie ich pozbawiło, tak więc pobyt w Europie jedynie pogłębił naturalną skłonność jego małżonki do pełnych goryczy i zawiści porównań.

Co do Charlesa Beaumonta Whitinga, którego w młodym wieku wysłano do szkół, nie pytając o zdanie, choć tak naprawdę wołałby wówczas pozostać w domu, to nie kwapił się on do opuszczenia Meksyku bardziej niż jego matka do powrotu z Europy, niemniej otrzymawszy wezwanie, z ciężkim westchnieniem okazał posłuszeństwo i uczynił to, co mu nakazano. I nie chodziło nawet o to, iż nie wiedział, że pewnego dnia jego młodość się skończy,

tym samym kładąc kres podróżom, malowaniu obrazów i pisaniu wierszy. Nigdy przecież nie było co do tego najmniejszej wątpliwości, że pewnego dnia wszystkie fabryki Whiting i Synowie przejdą na niego, ale chociaż zdawał sobie sprawę, iż powrót do Empire Falls i przejęcie rodzinnych interesów będzie wiązało się z pogwałceniem jego wewnętrznego powołania jako artysty, nie widział żadnej możliwości, by temu w jakiś sposób zapobiec. Kiedyś nawet, czując, że ów moment wezwania do domu zbliża się nieuchronnie, spróbował przelać na papier listowy myśli i uczucia dotyczące prawdziwej natury jego osobowości, by wykazać, jak wielką krzywdą byłoby zaprzepaszczenie danego mu talentu. Sądził, że powinien podzielić się tymi myślami z ojcem. Ale to, co wyszło spod jego pióra, było tak podobne do wierszy, jakie pisywał, ulotne i nieprzekonujące nawet dla niego samego, że ostatecznie zrezygnowany, wyrzucił list do śmieci. Przede wszystkim nie był pewien, czy ojciec jako człowiek praktyczny, zgodziłby się z twierdzeniem, że każda istota ludzka w ogóle posiada jakąś naturę; a nawet jeśliby przyznał, że tak jest, to przypuszczalnie byłby zdania, że naszym obowiązkiem jest zaprzeczenie owej naturze lub też narzucenie jej odpowiedniej formy, czyli innymi słowy, pokazanie jej, kto tu rządzi. W ostatnich miesiącach swojej meksykańskiej wolności C. B. leżał na plaży, wiodąc w myślach na ten temat długie dysputy z ojcem, ale za każdym razem tę walkę na argumenty nieodmiennie przegrywał.

Gdy więc wezwanie z domu rzeczywiście nadeszło, był już na tyle wyczerpany, że poddał się bez walki. Powrócił do rodzinnego gniazda, gotów dać z siebie wszystko, jedynie gdzieś w głębi duszy tliła się obawa, że swoje prawdziwe ja i wszystko, co naprawdę chciał w życiu robić, na zawsze pozostawił w Meksyku.

Po powrocie odkrył, że pogwałcenie własnej natury okazało się znacznie łatwiejsze i daleko mniej nieprzyjemne, niż się tego spodziewał. W Empire Falls, rozejrzawszy się uważnie wokół siebie, odniósł nieodparte wrażenie, że właśnie na tym upływa ludziom życie. A skoro tak, skoro już człowiek musi pogwałcić przeznaczenie, jakie zostało mu dane, to dokonanie tego, gdy jest się męskim potomkiem rodu Whitingów wcale nie było takie najgorsze. Ku swemu zaskoczeniu odkrył też, że można być w czymś dobrym, nawet jeśli nie jest to zbyt interesujące, podobnie jak można być nie dość dobrym w czymś, na przykład w malowaniu czy pisaniu wierszy, mimo że człowiekowi bardzo na tym zależy. Samo szycie koszul niezbyt go pociągało, natomiast stwierdził u siebie coś na kształt zdolności do zarządzania fabryką, potrafił z miejsca wyczuć przyczyny, dla których coś poszło nie tak, i równie instynktownie znaleźć sposoby, jak temu zaradzić. Poza tym był głęboko przywiązany do ojca, zdumiewała go niespożyta energia tego drobnego człowieczka, jego nieoczekiwane wybuchy gniewu, jego niechęć do

ustępstw i głębokie przeświadczenie, że ma zawsze rację, nie mówiąc już o niezwyklej zdolności dowodzenia słuszności podjętych przez siebie decyzji. Miał przed sobą doskonały przykład człowieka, który albo działał w absolutnej zgodzie z własną naturą, albo z żelazną wolą nagiął ją, zmusiwszy do całkowitej uległości. Charles Beaumont Whiting nigdy nie zdołał tego ustalić, i prawdopodobnie było to bez znaczenia, tak czy inaczej bowiem starszy pan był godny naśladowania.

Niemniej dla C. B. Whitinga było oczywiste, że zarówno jego ojciec, jak przed nim jego dziadek wzięli najlepsze z tego, co ich fortuna Whiting i Synowie miała im do zaoferowania. Czasy się zmieniały i ani fabryka koszul, ani przędzalnia, ani papiernia w górze rzeki nie dawały już takich zysków jak niegdyś. W ciągu ostatnich dwudziestu lat w hrabstwie Dexter zdarzały się próby powołania związków zawodowych wszystkich fabryk i przedsiębiorstw, ale mimo że te wysiłki nie przyniosły oczekiwanych rezultatów - ostatecznie działo się to w stanie Maine, a nie w Massachusetts - nawet Honus Whiting musiał przyznać, że w praktyce trzymanie związków zawodowych z dala okazało się równie kosztowne, jak ewentualne wpuszczenie ich na teren fabryk. A robotnicy, nie chcąc się pogodzić z odniesioną porażką, powróciwszy w końcu do pracy, byli niechętni i mało wydajni.

Honus Whiting chciał, naturalnie, by jego syn ożenił się i - odczekawszy, aż stary Eliasz dojrzeje, by pożegnać się z tym światem - zamieszkał w rodzinnej rezydencji. Tymczasem w dziesięć lat od jego wyjazdu z Meksyku nadal ani jedno, ani drugie nie nastąpiło. W czasach radosnej, gorącej młodości C. B. może i był ulubieńcem kobiet, ale teraz zaczął sprawiać wrażenie, jakby w mroźnym klimacie Maine utracił zainteresowanie sprawami seksu i niepostrzeżenie zmienił się w starego kawalera, chociaż sam sobie nieraz wyobrażał, jak to jego lepsze ja figluje swawolnie na zmysłowym Jukatanie.

Może już sama perspektywa małżeństwa go przerażała, a może obawiał się, że poślubi jakąś pannę, którą pewnego dnia zapragnie zamordować?

Dziadek Eliasz Whiting, który w owym czasie zbliżał się już do setki, nie zdołał zabić szpadlem swojej żony, z czym nigdy się nie pogodził. Oboje z żoną nadal mieszkali w starej wozowni, Eliasz uczepiony swego nieszczęsnego losu, zgorzkniała żona uczepiona jego. Jak zauważył ich lekarz domowy, staruszek zdawał się umierać od środka, czego najpewniejszym dowodem były gigantyczne wzdęcia i zaparcia. Ale chociaż powietrze w domku z biegiem lat nasiąkło stęchlizną starości, badania kliniczne niezmiennie wykazywały, że jego zgrzybiały lokator ma serce jak dzwon, i z czasem Honus zdał sobie sprawę, że może jeszcze minąć sporo czasu, nim on sam będzie mógł się przenieść do wozowni, by zwolnić miejsce swemu synowi A

nawet gdyby dziadek umarł jutro, trzeba by chyba wietrzyć z rok, żeby pozbyć się tego nieznośnego odoru. Nie mówiąc już o tym, że żona Honusa postawiła sprawę jasno i wyraźnie: ona do wozowni nigdy się nie przeprowadzi. A ostatnio myśl, że przyjdzie jej umrzeć na tym odludziu w Maine, zaczęła wprawiać ją w stan takiej depresji, że Honus zmuszony był kupić dla niej domek szeregowy w Back Bay w Bostonie, gdzie, jak twierdziła, spędziła dzieciństwo, co naturalnie było nieprawdą. W rzeczywistości Honus spotkał ją w południowym Bostonie, a tam, prawdę powiedziawszy, gdyby miał dość oleju w głowie, powinien był ją zostawić. W każdym razie, gdy pewnego dnia Charles przyszedł do ojca, by mu zakomunikować swój zamiar postawienia własnego domu, i to w takim miejscu, by rzeka oddzielała go od Empire Falls, ten zrozumiał go, a nawet pochwalił. Dopiero później, na widok tej hacjendy, ogarnął go niepokój, że może chłopak znowu zaczął pisać wiersze.

Nie było jednak powodu do obaw.

Na początku roku ktoś na ulicy omyłkowo wziął C. B. Whitinga za jego ojca, i tego samego wieczoru, przeglądając się w lustrze, C.B. zrozumiał, skąd się to wzięło. We włosach ujrzał pierwsze srebrne nitki, a w oczach spostrzegł surowy błysk, nawet trochę okrutny, jak u teriera, czego wcześniej u siebie nie zauważył. Niewiele pozostało z tamtego młodzieńca, który chciał żyć i umrzeć w Meksyku, tam marzyć, malować i pisać wiersze. Kiedy więc tej wiosny ojciec zaproponował mu, by oprócz fabryki koszul przejął także przedziałnię, zamiast obawy, że to w sposób nieunikniony i ostateczny przypieczętuje jego los, z którego niczym z pułapki nie będzie już nigdy wyjścia, Charles poczuł się niemal szczęśliwy - oto wreszcie znalazł się całkowicie na swoim miejscu, przeznaczonym mu z racji urodzenia. Ludzie zaczęli go nazywać po prostu C. B., zamiast pełnym imieniem Charles, i musiał przyznać, że brzmienie tego skrótu nawet mu się podobało.

Gdy buldożery zaczęły wyrównywać teren pod budowę domu, dokonano niepokojącego odkrycia. Nad brzegiem rzeki znaleziono podejrzenie wielkie śmietnisko - całe hałdy śmieci - częściowo przerośnięte korzeniami i chaszczami, częściowo rozrzucone po zboczach, niemal aż po szczyt. Już sama ilość tych odpadków była zdumiewająca. Początkowo C. B. Whiting doszedł do wniosku, że ktoś, a może nawet nie jeden ktoś, tylko bardzo wielu ktosiów miało czelność urządzić sobie na jego ziemi dzikie wysypisko śmieci. Ileż to lat musiał trwać ten skandaliczny proceder? Myśl o tym wprawiała go w stan takiej furii, że gotów był kogoś natychmiast ukatrupić, dopóki jeden z robotników wynajętych do porządkowania terenu nie zwrócił mu uwagi na fakt, że dla kogoś, nieważne czy był to ktoś jeden, czy bardzo wielu, urządzenie

śmietnika na ziemi Whitingów było niemożliwe z tej prostej przyczyny, że nie było tam jak dojechać, przynajmniej do zeszłego miesiąca, kiedy to sam C. B. Whiting zarządził, by poprowadzono drogę dojazdową. Choć więc wydawało się dość nieprawdopodobne, by tak wielkie ilości śmieci - zużytych dętek, dekli od kół, kartonów po mleku, zardzewiałych puszek, szczątków połamanych mebli i tym podobnych odpadów - mogły nanieść prądy i wiry rzeczne, niemniej z braku innego wyjaśnienia pewnie tak właśnie musiało być. Nie pozostawało nic innego, jak tylko wywieźć to wszystko, co też zrobiono jeszcze w maju, w tym samym czasie, kiedy wylewano fundamenty pod przyszły dom.

Przez całą wiosnę obfite deszcze, wysoki poziom wód w rzece oraz plaga nienazartych, jadowitych czarnych much opóźniały budowę, a mimo to w końcu czerwca niższe partie rozległej hacjendy można już było dojrzeć z drugiej strony rzeki, skąd C. B. Whiting doglądał postępów budowy, siedząc w swoim biurze na najwyższym piętrze fabryki koszul Whitingów. Począwszy od święta 4 Lipca, pogoda się poprawiła, a gorące i suche powietrze zrobiło porządek z plagą czarnych much. Jednak pewnego dnia obnażeni do pasa i spaleni słońcem cieśle, siedząc okrakiem na belkach stropu hacjendy, zaczęli marszczyć nosy i spoglądać jeden na drugiego podejrzliwie. Skąd się brał ten nieznośny smród?

C. B. Whiting osobiście odkrył przyczynę: na płyciźnie przy brzegu rozkładało się rozdęte cielsko wielkiego łosia, zaplątane w korzenie rosnącej tam kępy drzew, którą oszczędziły buldożery, by dostarczała cienia, a także by służyła jako osłona przed wzrokiem ciekawskich z drugiej strony rzeki, chcących za dużo wiedzieć o tym, co dzieje się na terenie hacjendy. Jeszcze bardziej zdumiewające niż ta cuchnąca padlina było odkrycie nowej góry śmieci, która jakkolwiek mniejsza niż to, co wywieziono uprzednio, została porzucona dokładnie w tym samym miejscu, gdzie wysunięty do wody język ładu tworzył niewielką zatoczkę - idealne siedlisko dla moskitów, a teraz także dla rozkładającego się łosia.

Widok i odór tego nasiąkniętego wodą rozkładu sprawił, że C. B. Whiting zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma on jakiegoś wroga. Klęcząc tak na brzegu rzeki, przebiegał w pamięci listę wszystkich tych, których jego dziadek i ojciec, a potem on sam doprowadzili do ruiny w wyniku nieuniknionej gry interesów. Lista była wcale długa, ale - o ile kogoś nie przeoczył - nikt nie wydał mu się człowiekiem zdolnym do tego rodzaju czynu. W przeważającej mierze byli to ludzie małego formatu o jeszcze mniejszych możliwościach, ludzie, którzy może i zastrzeliliby go, gdyby mieli po temu okazję - gdyby na przykład wkroczył niespodziewanie do ich

miejscowego pubu, a oni mieliby już dobrze w czubie i na dodatek byłiby uzbrojeni. Jednakże tutaj miał do czynienia z dowodem złości innego typu. Ktoś najwyraźniej wierzył, iż cały śmietnik hrabstwa Dexter należał się C. B. Whitingowi, i dlatego podrzucał go na próg jego domu. Ktoś musiał być o tym głęboko przekonany, skoro pracowicie zbierał wszystkie te odpadki (niezbyt przyjemne zajęcia) i przewoził je w tę okolicę.

A może martwy łoś to zwykły zbieg okoliczności? C. B. nie był jednak tak do końca pewien. Zwierzę miało w karku dziurę po kuli, co mogło oznaczać różne rzeczy. Przypuśćmy, że ktoś, kimkolwiek był ten, kto urządził ów śmietnik, ustrzelił również łosia i pozostawił go tutaj celowo. Ale z drugiej strony, łoś mógł zostać zabity przez jakiegoś kłusownika zupełnie gdzie indziej; wszyscy wiedzieli, że w Empire Falls mieszkała cała rodzina kłusowników. Zwali się Minty. Może więc zranione zwierzę, usiłując przedostać się przez rzekę, osłabło z wyczerpania i utonęło, a potem woda zniosła je w zakale wody poniżej hacjendy.

C. B. Whiting spędził resztę popołudnia, kłęcząc na jednym kolanie parę kroków od padliny, próbując zidentyfikować tożsamość swojego wroga. Nie minęło wiele czasu, gdy z prądem rzeki w jego stronę spłynął jednorazowy papierowy kubek, po czym zatrzymał się, utknąwszy pomiędzy tylnymi nogami martwego zwierzęcia. W ciągu następnej godziny znalazły się tam: plastikowa torba z supermarketu, pusta, podskakująca na fali butelka po coca-coli, zardzewiała puszka po oleju, wielki zwój splątanej żyłki wędkarskiej oraz, jeśli wzrok go nie mylił, ludzkie łóżysko. Wszystko to spływało i zatrzymywało się na cuchnącej padlinie. Z miejsca, gdzie kłęczał C. B. Whiting, widać było zaledwie niewielki fragment mostu, a jednak w ciągu kolejnych dwóch kwadransów zdołał zaobserwować z pół tuzina ludzi, jadących samochodami lub idących pieszo, którzy wyrzucali śmieci przez balustradę wprost do rzeki. W myślach zaczął wyliczać, ile mostów spina rzekę Knox powyżej jego ziemi (osiem), jak również wszystkie zbudowane na obu brzegach zakłady, fabryki i rozmaite drobne wytwórnie (co najmniej kilka tuzinów). Z własnego doświadczenia znał doskonale tę pokusę, by wyczekać do zachodu słońca, a potem wyrzucić odpadki do rzeki. Pokolenia Whitingów wylewały ze swoich fabryk barwniki i inne chemikalia, zabarwiając brzegi rzeki, hen, aż po Fairhaven, którego mieszkańcy rzadko kiedy narzekali na ten proceder, zdając sobie sprawę, że ich własne przedsiębiorstwa przez całe dziesięciolecie wykazywały się dokładnie takim samym brakiem szacunku dla swoich sąsiadów w dole rzeki. Poza tym skargi i zażalenia, o czym C. B. również dobrze wiedział, w sposób nieunikniony prowadziły do oskarżeń, oskarżenia do publicznego nagłośnienia, publiczne nagłośnienie do śledztw,

śledztwa do spraw sądowych, sprawy sądowe do kosztów i wydatków, wydatki i koszta zaś do nędzy i życia w przytułku.

Mimo wszystko nie można było dopuścić, by to konkretne miejsce pozostało śmietniskiem. Jak przystało na człowieka rozsądnego, C. B. Whiting doszedł do rozsądnego wniosku. Pod koniec drugiej godziny, spędzonej na klęczkach na brzegu rzeki, zrozumiał, że w istocie posiada wroga, a jest nim nie kto inny, tylko Bóg we własnej osobie, który stworzył tę cholerną rzekę w taki sposób - wąską i rwącą w górnym biegu, szeroką i leniwie zwalnającą w okolicy Empire Falls - że ostatecznie cały śmietnik innych ludzi musiał się stać jego, Charlesa Beaumonta Whitinga, własnością. Co gorsza, wydawało mu się, że zrozumiał, dlaczego Bóg postanowił tak postąpić. Sprawił to zawczasu, aby teraz, gdy przyszła pora, ukarać go za sprzeniewierzenie się lepszej stronie swojej natury, tej, którą porzucił przed laty w Meksyku, by w rezultacie stać się kimś, kogo ludzie mogli omyłkowo brać za jego ojca.

Była to niezbyt przyjemna myśl. Ale z drugiej strony, zastanowił się C. B. Whiting, trudno o przyjemne myśli w bezpośredniej bliskości gnijącego łościa. Mimo to klęczał tam nadal, a tymczasem prąd rzeki niezmordowanie bulgotał swoje zakodowane przesłanie, którego szyfr, o czym C.B. był głęboko przeświadczony, wkrótce na pewno uda mu się złamać. Prawdę mówiąc, nie był to pierwszy dzień, gdy nawiedzały go równie nieprzyjemne myśli. Odkąd postanowił zbudować sobie nowy dom, zaczął miewać koszmary senne, które budziły go po wielekroć, i nieraz łapał się na tym, że stoi w ciemnym oknie swojej sypialni, spoglądając na rozległe tereny rezydencji Whitingów, chociaż nie pamiętał, ani kiedy się obudził, ani jak przeszedł przez pokój. Odnosił tylko niejasne wrażenie, że sen - niezależnie od tego, czego dotyczył - nadal w nim trwał, mimo że jego treść gdzieś uleciała. Zupełnie jakby wiódł z kimś niezmiernie ważną dysputę? Tylko z kim?

Za dnia, gdy jego umysł powinien zajmować się niecierpiącymi zwłoki bieżącymi sprawami obu fabryk, często bezwiednie sięgał po dokumentację hacjendy i zaczynał z wielką uwagą studiować plany, tak jakby się obawiał, że umknął mu jakiś ważny szczegół. Przed miesiącem stał się tak roztrągniony, że musiał poprosić ojca, by ten zechciał mu pomagać w papierni jeden dzień w tygodniu, przynajmniej dopóki dom nie zostanie ukończony. A teraz, klęcząc tu nad brzegiem rzeki, niespokojny i zdenerwowany, przypuszczalnie z powodu tej rozkładającej się padliny, po raz pierwszy pomyślał, że może całe to budowanie domu nie było najlepszym pomysłem. Hacjenda, z wolno stojącą pracownią, była bez wątpienia swoistym zaproszeniem dla jego poprzedniego wcielenia, dla tamtego Charlesa Beaumonta Whitinga - Beau, jak wołali na niego dawni przyjaciele - którego porzucił w



Meksyku. I teraz nareszcie rozumiał, że to z nim właśnie, z tamtym dawnym Beau, wiódł owe niekończące się dysputy w swoich snach. A co gorsza, to dla niego, tamtego młodzieńczego, zdradzonego siebie budował teraz ten dom - meksykańską hacjendę. Przez cały czas wmawiał sobie, że pracownia będzie dla jego syna, zakładając naturalnie, że pewnego dnia zostanie szczęśliwym ojcem syna. Na taki drobny przejaw buntu mógł sobie w końcu pozwolić. Pewnego dnia ofiarowałby tę pracownię synowi, dając tym gestem swego rodzaju obietnicę, iż jego syn nigdy nie będzie zmuszony ani żadną koniecznością, ani lojalnością wobec rodziny do zdrady swego prawdziwego powołania. Ale w owej chwili uświadomił sobie również, że wszystko to, oczywiście, było jednym wielkim kłamstwem. Tak naprawdę chciał tej pracowni dla siebie, a raczej dla tego Charlesa Beaumonta Whitinga, o którym sądził, że umarł lub też wie dzie drugi żywot, poety i cudzołożnika, gdzieś w Meksyku, podczas gdy prawdziwy Charles Beaumont Whiting zmuszony jest żyć w obowiązku i cnotcie, tkwiąc w Empire Falls, w stanie Maine. W ślad za tym zdumiewającym odkryciem przyszło następne. Zrozumiał, co rzeka chciała mu powiedzieć przez całe popołudnie, kiedy tak klęczał na jej brzegu. „Chodź... - szemrała, teraz już całkiem wyraźnie, słowo zaproszenia. - Chodź... chodź... chodź...”.

Tego samego wieczoru C. B. Whiting przywiózł ojca i dziadka Eliasza na miejsce budowy. Do tej pory sam nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego zachowywał wielką dyskrecję w sprawach domu. Teraz już wiedział. Dziadka, który od miesiąca nie opuszczał starej wozowni, posadzili z Honusem na zwalonym pniu, gdzie natychmiast zapadł w spokojną, głęboką drzemkę, przerywaną jedynie donośnym prukaniem, a potem C. B. oprowadził ojca, pokazując mu ramy i łuki nowego domostwa. Tak, przyznał, rzeczywiście, będzie to cholernie meksykańska sprawa. A ta konstrukcja tam dalej, wyjaśnił, to będzie domek dla gości, chociaż zdecydował o tym dopiero teraz, tak, domek gościnny. Tak bardzo wystraszyło go zaproszenie rzeki. Skończywszy obchód hacjendy, C. B. Whiting sprowadził ojca nad rzekę i pokazał mu górę śmieci, jaka zdążyła narosnąć tam od rana, jak również martwego łosia, który się tam powoli rozkładał. Z miejsca, gdzie obaj stali, C. B. mógł zobaczyć jednocześnie martwego łosia i dziadka Eliasza, który spał w najlepsze, raz po raz unosząc się rytmicznie na jednym pośladku pod naporem uchodzących z niego gazów, i chociaż rozsądek mówił C. B. Whitingowi, że nie może ponosić odpowiedzialności ani za łosia, ani za dziadka, uczył w gardle ucisk, a wraz z nim smak odrazy do samego siebie. Mimo wszystko, stwierdził, smak pogardy, nawet jeśli czasem czuje się go w ustach, jest i tak lepszy niż zaprzepaszczenie dorobku całego życia ojca i dziada, i nieoczekiwanie dla samego siebie przyłapał się na tym, że spoglądając

na obu mężczyzn z prawdziwym przywiązaniem, zwłaszcza na ojca, którego zawsze kochał i którego solidna, praktyczna, pewna siebie obecność pozwalała mu wierzyć, że i tym razem pomoże mu pozbyć się dręczącego lęku.

- Masz rację, to palec Boży - zgodził się Honus, wysłuchawszy teorii C. B., dotyczącej istnienia wrogiej mu siły, po czym obaj zajęli się obserwacją odpadków, które podskakując na wodzie, dobijały do gnijącej padliny, by tam pozostać na stałe. Starszy Whiting był człowiekiem wierzącym, który uważał, że Bóg jest dobrym wytłumaczeniem na wszystko, czego nie dało się wyjaśnić inaczej. - Musisz się dobrze zastanowić nie tyle nad tym, co On robi, ile co ty możesz zrobić w tej sprawie.

Honus podsunął synowi myśl wynajęcia geologów i inżynierów, którzy zbadają problem i powiedzą, jakie kroki należałoby poczynić. Rada okazała się doskonała, a inżynierowie, uprzedzeni, z jaką to Osobą mogą mieć do czynienia, zanalizowali wszystko niezwykle drobiazgowo i skrupulatnie. Oprócz wielokrotnych wizji lokalnych terenu przebadali cały region na podstawie map geologicznych, a nawet przelecieli helikopterem wzdłuż koryta rzeki, na całym odcinku od granicy kanadyjskiej aż do jej ujścia w Zatoce Maine. Trzeba przyznać, iż rzeka Knox nie bardzo się panu Bogu udała, szeroko rozlana i leniwa tam, gdzie powinna być wąska i bystra, i panowie inżynierowie zmuszeni byli zgodzić się z człowiekiem, który ich wynajął, że to ów błąd tkwiący w boskim projekcie sprawiał, iż każdy jednorazowy kubek, jaki zostanie wyrzucony do wody pomiędzy granicą kraju na północy a Empire Falls najprawdopodobniej wyląduje na przyszłym trawniku C. B. Whitinga. Była to zła wiadomość.

Dobra wiadomość natomiast była taka, że można temu zaradzić. Przez blisko dwa ostatnie stulecia ludzie z wyobraźnią nieustannie pracowali nad poprawianiem boskiego dzieła stworzenia, nie było więc powodu, by i tym razem nie podjąć się podobnego zadania. Skoro wojskowe korpusy inżynieryjne zdołały sprawić, że ta przeklęta Missisipi popłynęła tam, gdzie oni sobie tego życzyli, to i taki zakichany mizerny potoczek jak Knox można było zmusić, by zmienił swój bieg wedle życzenia. Opracowanie planu nie zajęło im wiele czasu. Kilka mil na północny wschód od Empire Falls rzeka brała niepotrzebnie ostry zakręt, by następnie wijąc się niemrawo przez wiele mil pokrętnymi meandrami powrócić do dawnego kierunku, przy okazji zalewając swymi wodami napotkane po drodze niziny na północ i zachód od miasta. Utworzyły się tam podmokłe tereny i rozlewiska, gdzie wiosną mnożyły się legiony czarnych much, a latem pojawiały się równie wielkie chmary moskitów. Obserwacja tego obszaru z powietrza ujawniała z całą mocą absurdalność sytuacji. A wszystko dlatego - wyjaśnili panowie inżynierowie - że woda chciała spłynąć ze wzgórz najprostsza z możliwych dróg.

Tego typu meandrowanie spowodowane jest zawsze tym, że prawdziwe intencje rzeki zostają z jakiegoś powodu zaburzone. Tak właśnie było w przypadku rzeki Knox, która zamiast płynąć prosto jak Pan Bóg przykazał, natrafiała na przeszkodę w postaci wąskiego pasa ziemi, a raczej litej skały - przez miejscowych ludzi nazywanej Robideaux Blight, to jest Uroczyskiem Robideaux. Uroczysko to mogłoby uchodzić za malownicze, gdyby ktoś zapragnął na szczycie owej stromizny wybudować sobie dom letniskowy z rozległym widokiem na rzekę, nie zaś traktować ten splachetek jako ziemię uprawną, jak to przez pokolenia z uporem godnym lepszej sprawy usiłowali robić jego właściciele. A przecież wiadomo, że każda rzeka zawsze w końcu utoruje sobie drogę, tak więc i rzeka Knox kiedyś - powiedzmy, za parę tysięcy lat - dałaby sobie radę z przeszkodą i popłynęła prosto.

C. B. Whiting nie miał ochoty tak długo czekać, dlatego z zadowoleniem przyjął opinię inżynierów, że gdyby znalazły się pieniądze na wysadzenie Robideaux Blight w jego najwęższej części, wówczas powstałby kanał, dzięki któremu można by zmienić bieg rzeki, która odtąd płynęłaby sobie prosto jak strzelił przez okrągły rok, a jej prąd stałby się na tyle wartki, by nie zatrzymując się w okolicy owego Zakola Whitingów, ponieść większość tego śmietnika (nie wyłączając sporadycznych łosiów) dalej w dół rzeki, aż do zapor w Fairhaven, jak być powinno. I w gruncie rzeczy, jednogłośnie argumentowali eksperci C. B. Whitinga przed komisją stanową, na pośpiesznie zwołanych naradach za zamkniętymi drzwiami, w gruncie rzeczy stałaby się znacznie lepszą rzeką - piękniejszą, czystsza, o bardziej wartkim nurcie - co byłoby z korzyścią dla wszystkich mieszkańców po obu jej brzegach. Ponadto cały stan skorzystałby na tym, że na podmokłe tereny nizinne wylewałyby się mniejsze ilości wody, zyskując tysiące akrów ziemi, której można by użyć do znacznie sensowniejszych celów niż hodowla komarów i much. Do pojawienia się w stanie Maine organizacji ekologicznych z prawdziwego zdarzenia miało upłynąć jeszcze wiele lat, tak więc pomysł nie spotkał się z poważniejszym sprzeciwem, mimo że eksperci byli zmuszeni przyznać - wprawdzie tylko po cichu - że żywszy bieg rzeki może się okazać nazbyt wartki na pewnych odcinkach. A trzeba zauważyć, że Knox, podobnie jak większość rzek w stanie Maine, i tak już wykazywała skłonności do wylewania, zwłaszcza na wiosnę, kiedy to ciepłe deszcze zbyt prędko roztopiały północne śniegi.

Bardziej praktyczną przeszkodę dla planów C. B. Whitinga stanowił fakt, iż z niewiadomych powodów Robideaux Blight zostało przeoczone przez jego przodków, gdy skupywali oni ziemię położone nad rzeką. Parcela należała do rodziny nazwiskiem Robideaux, a ich prawo własności sięgało poprzedniego stulecia. Ale i tu także los uśmiechnął się do C. B. Whitinga,

jako że Robideaux okazali się chciwymi ignorantami, co stanowiło dokładnie taką kombinację, jakiej mu w tej sytuacji było trzeba. Ludzie bardziej świadomi na widok prawników jakiegoś bogacza natychmiast by się domyślili prawdziwej wartości ich działki, ale tym prostakom najwyraźniej nie przyszło to do głowy. Ich jedyną obawą było to, że C. B. Whiting mógłby pofatygować się osobiście, by sprawdzić, co za teren mu sprzedają, a wtedy przekonałby się, że jest to ziemia najzupełniej nieprzydatna pod uprawę (nie potrafili bowiem wyobrazić sobie, by ziemia mogła służyć do innych celów), a wtedy niechybnie wycofałby się z interesu.

Nie mając takiego zamiaru, C. B. nabył ich parcelę za sumę w ich mniemaniu nadzwyczaj wysoką, dzięki czemu jeszcze przez długie lata potem żyli w przekonaniu, że udało im się nabić w butelkę jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w całym stanie, który kupując Robideaux Blight dowiedział tego, o czym oni wiedzieli od zawsze - że ludzie bogaci wcale nie są aż tak cholernie sprytni, za jakich chcą uchodzić. Z kolei C. B. Whiting, który poczuwszy grunt pod nogami, znowu stał się sobą, doszedł do równie wątpliwych wniosków: że nie tylko oszukał tych Robideaux, którzy mieli go w garści, tylko byli za głupi na to, żeby się tego domyślić, ale i samego Pana Boga, którego rzekę zamierzał teraz poprawić.

Wybuch podłożonego w Robideaux Blight dynamitu, jakieś siedem mil w górę rzeki, dał się odczuć aż w Empire Falls. Jeszcze tego samego sierpniowego dnia C. B. Whiting ukląkł na brzegu, przed swoim świeżo ukończonym domem, by z dumą obserwować, jak bystry nagle prąd wody unosi resztki trupa łosia, a wraz z nim stos kartonów po mleku, plastikowe butelki i zardzewiałe puszki po zupie, które podskakując na fali jedne po drugich odpływały na południe, ku nic niepokodejrzewającemu Fairhaven. Nareszcie rzeka przestała szeptać o rozpacz, jak to czyniła przez całe lato. Zasilona nową energią, śmiała się radośnie, uszczęśliwiona tym, czego dokonał. Zadowolony z wyniku, zapalił cygaro, wciągnął głęboko w płuca słodkie letnie powietrze, a następnie spojrzął na szczupłą kobietę u swego boku, której nazwisko brzmiało Francine Robideaux. I nie był to przypadkowy zbieg okoliczności.

Inteligentna i ambitna, Francine była świeżo upieczoną absolwentką Bowdoin College, o jakieś dziesięć lat młodszą od C. B. Whitinga. Do dnia, gdy jej rodzina dobiła targu w sprawie sprzedaży Robideaux Blight jej przyszłemu mężowi, nigdy go nie spotkała osobiście, chociaż naturalnie wiele o nim słyszała. Sam C. B. był również absolwentem tej uczelni, podobnie jak jego ojciec i dziadek, podczas gdy Francine była pierwszą przedstawicielką rodziny Robideaux, która postanowiła kontynuować edukację powyżej

szkoły średniej, co stało się możliwe dzięki stypendium. A kiedy opuszczała mury Bowdoin, trudno w niej było rozpoznać dawną pannę Robideaux, tak bardzo zmieniły się jej wygląd, sposób zachowania i mówienia, czym niezmiernie zaniepokoiła i rozgniewała swoją rodzinę, która nigdy by nie pozwoliła dziewczynie wstąpić do college'u, gdyby wiedziała, z jaką pogardą będzie się do nich odnosić po powrocie do domu. Biedna między bogatymi, Francine Robideaux uważnie obserwowała swoje koleżanki, by następnie przejąć ich maniery przy stole, styl ubioru, idiosynkrazje i nawyki językowe oraz zasady higieny osobistej. W Bowdoin nauczyła się również, na czym polega sztuka flirtu.

C. B. Whiting, który od powrotu do Maine nie zwrócił uwagi na żadną dziewczynę, pomyślał, że Francine Robideaux ładnie się prezentuje w miękkim świetle gabinetu jego prawników, w otoczeniu półek z książkami. Poza tym spodobało mu się, że ukończyła tę samą uczelnię co on, zaimponowała mu również tym, iż najwyraźniej dobrze wiedziała, że C. B. zamierza jej rodzinę wystrychnąć na dudka, a mimo to sprawiała wrażenie, jakby jej to nie przeszkadzało. Z każdym spojrzeniem, jakie on rzucił na nią, z każdym słowem, jakie wypowiadała, coraz bardziej podobała mu się i ona sama, i to, w jaki sposób dawała mu do zrozumienia, nie wyrażając tego wprost, że obserwuje go uważnie, chociaż jednocześnie całym swoim zachowaniem zdawała się mówić, że traktuje go tak, jakby go wcale nie było w pokoju. To znaczy, może jest, a może go nie ma, to zależy. Aby rozstrzygnąć dylemat w kwestii swego istnienia, postanowił, że się z nią ożeni, naturalnie, jeśli ona go zechce.

No cóż, okazało się, że go chciała. Pobrali się we wrześniu, i odtąd C. B. Whiting miał do końca swoich dni zastanawiać się, co też takiego spodobało mu się w wyglądzie Francine Robideaux, kiedy zobaczył ją w przyćmionym świetle gabinetu swoich prawników. W naturalnym świetle bowiem jej twarz była napięta, jakby ściągnięta, a w dodatku, jak to było udziałem większości kobiet pochodzących z francuskiej części Kanady, miała cofniętą brodę, tak jakby ktoś ją w tym miejscu ściągnął jeszcze bardziej do tyłu. Wkrótce też zrozumiał, że poślubienie Francine Robideaux nie odpowiedziało w sposób ostateczny, tak jak się tego spodziewał, na zasadnicze pytanie, a mianowicie, czy znajdował się w pokoju, czy też go tam wcale nie było. Owego późnego sierpniowego popołudnia, kiedy z przyszlą żoną u boku zapalił cygaro, by uczcić odniesione nad rzeką zwycięstwo, C. B. Whiting przyjrzał się z uwagą swojej narzeczonej. Nie wiedzieć czemu, męscy potomkowie Whitingów, z których wszyscy zdawali się rodzić ze smykałką do interesów, niezmiernie grawitowali, niczym émy do płomienia, ku tej jednej jedynej kobiecie na ziemi, która unieszczęśliwianie małżonka miała

traktować jako najszlachetniejszy cel swego życia, trwając przy nim z równie zaciętą wytrwałością, jak zakonnice trwają przy cierpiącym Chrystusie. W pełni świadom rodzinnej historii, C. B. długo wystrzegał się małżeństwa. Wprawdzie ojciec napominał go od czasu do czasu, że oczekuje od niego spadkobiercy, ale C. B., spoglądając na ojca i dziadka, bynajmniej nie był do tego skłonny. Może należało wreszcie położyć kres temu tragicznemu cyklowi nieszczęść? Jaki cel miało płodzenie kolejnych mężczyzn o nazwisku Whiting, skoro z góry byli skazani na znoszenie udręki nieszczęśliwych związków małżeńskich?

I tak, przyglądając się Francine Robideaux, C. B. Whiting próbował wyobrazić sobie taki dzień w dalekiej przyszłości, kiedy mógłby zapragnąć zaślubić ją szpadlem na śmierć. Na szczęście, nie zdołał wywołać podobnej sceny przed oczyma swojej wyobraźni. Jedyna konkluzja, do jakiej udało mu się w owej chwili dojść, to taka, że chyba niezbyt mądrze jest wadzić się z Panem Bogiem. Bo skoro mógł sprowadzić człowiekowi na głowę kłopot z niepożądaną padliną, to jak można było Go powstrzymać od sprowadzenia czegoś jeszcze gorszego. Jak choćby, powiedzmy, niepożądanego mężczyzny. Byłaby to niepokojąca konkluzja, gdyby nie pożądał tej kobiety. Tak się jednak składało, że on jej pożądał. Był tego niemal pewien.

Tymczasem jego przyszła żona zajęta była innymi myślami.

- To miejsce będzie doskonałe na altankę, Charlie - zauważyła, wyciągając swój wysmukły palec wskazujący w stronę stoku schodzącego do rzeki.

A kiedy Charles Beaumont Whiting nie odpowiedział od razu, Francine Robideaux powtórzyła swoją uwagę, a jej przysłusznemu małżonkowi wydało się, że tym razem w tonie jej głosu, gdy mówiła: „Słyszałeś, Charlie, co powiedziałam?”, dostrzegł nutkę lekkiej irytacji.

Tak, słyszał. Prawdę mówiąc, jakkolwiek generalnie nie miał nic przeciwko altankom, niezbyt spodobał mu się pomysł, by podobny element miał dopełniać architektury jego hacjendy. Jednakże nie to estetyczne zastrzeżenie było powodem jego wahania. Nie, przyczyną, dla której nie odpowiedział natychmiast, był fakt, iż nigdy dotąd nikt nie zwrócił się do niego, mówiąc: Charlie. Od dzieciństwa zawsze wołano na niego „Charles”, przy czym jego matka była szczególnie nieugięta, jeśli o to chodzi, uważała bowiem, że nadała mu tak doskonałe imię, iż nie należało go zniekształcać żadnymi pospolitymi zdrobnieniami, w rodzaju Charlie lub, co gorsza, Chuck. Przez krótki czas, w college'u, jego przyjaciele wołali na niego Beaumont, w Meksyku zaś dla wszystkich był po prostu Beau. Ostatnio jego partnerzy w interesach i współpracownicy mówili o nim przeważnie C. B., ale czynili to z najwyższym szacunkiem i nikomu z nich nigdy nie przyszło by do głowy zwrócić się do niego per Charlie.

Było oczywiste, że jeśli chciał ustalić pewne zasady, należało to uczynić właśnie teraz, ale kiedy zastanawiał się, w jaki sposób najlepiej zasugerować, że woli, by nazywano go Charlesem, a nie Charliem, nieoczekiwanie zdał sobie sprawę, że owo „teraz” minęło bezpowrotnie i stało się przeszłością. Dziwne. Gdyby ktokolwiek inny zwrócił się do niego w ten sposób, poprawiłby go, zanim ten zdążyłby zamilknąć, lecz w obecności tej młodej kobiety, przed którą niedawno ukląkł, prosząc, by została jego żoną, z jakiegoś powodu się zawahał. I tak właściwy moment minął, a potem następny i kolejny, aż w końcu Charles Beaumont Whiting uświadomił sobie, że jego zamilknięcie ma związek z pojawieniem się nowego uczucia. Z początku odnotował jedynie, że jest ono nieprzyjemne. Dopiero po pewnym czasie zdołał je zidentyfikować. Tym uczuciem był strach.

- A więc, jak mówiłam... - zaczęła jego przyszła żona po raz trzeci.

- Tak, kochanie. To doskonały pomysł - zgodził się Charles Beaumont Whiting i w tej rozstrzygającej chwili stał się Charliem Whitingiem. W późniejszym wieku zwykł był mawiać, dość ponuro, że we wszelkich kwestiach, co do których nie byli zgodni z żoną, to on zawsze miał ostatnie słowo - lub raczej dwa ostatnie słowa - a brzmiały one: „Tak, kochanie”. Gdyby wiedział, ile razy przyjdzie mu je wypowiedzieć w obecności tej kobiety, gdyby przewidział, że staną się one mantrą ich małżeństwa, może wówczas przyjąłby tamto zaproszenie rzeki, powierzając życie jej nurtom, tak jak stał, tam gdzie stał, by podążyć w ślad za unoszonym z prądem martwym łosiem. Tym samym zaoszczędziłby sobie wielu zgrzyot, nie mówiąc już o kosztach rewolweru, jaki miał nabyć trzydzieści lat później, aby skończyć ze sobą.

- I zgaś, proszę, to okropne cygaro - dodała Francine Robideaux.

## Część pierwsza

### 1

Empire Grill był to długi, niski budynek o oknach biegnących rzędem na całej jego długości, skąd - od czasu, gdy sąsiednia drogeria Rexall została zamknięta, a następnie przeznaczona do rozbiórki - można było, siedząc przy kontuarze barowym, spojrzeć w dół Empire Avenue aż po starą przędzalnię i przylegającą doń fabrykę koszul. Oba zakłady stały zamknięte od blisko dwudziestu lat, a mimo to ich rysujące się w oddali ciemne kształty u podnóża łagodnie opadającej ulicy nadal przyciągały wzrok. Naturalnie, nic nie stało na przeszkodzie, by klienci patrzyli sobie w drugą stronę, w górę Empire Avenue, jednak Miles Roby, szef restauracji - a w przyszłości, jak na to liczył, również jej właściciel - wiedział z własnego doświadczenia, że zdarzało się to niezmiernie rzadko.

Nie, ich wzrok w naturalnym odruchu kierował się przeważnie w dół, do tego miejsca, gdzie ulica kończyła się ślepo, zamknięta fabrycznymi budynkami, które stanowiły niezaprzeczalny fizyczny dowód przeszłości miasta. Opuszczone i zaniedbane, budynki te wciąż miały w sobie jakąś dziwną magnetyczną siłę, i to była główna przyczyna, która powstrzymywała Milesa od ostatecznej decyzji, by sprzedać Empire Grill, z chwilą gdy w końcu stanie się jego własnością, pewnie zresztą za niewielkie pieniądze.

Tuż za obiema fabrykami płynęła rzeka, która w dawnych czasach stanowiła ich siłę napędową, i Miles nieraz się zastanawiał, czy gdyby te stare budynki pewnego dnia zburzono, wówczas miasto, które wokół nich wyrosło, zdobyłoby się wreszcie na to, by pomyśleć o swojej przyszłości? Prawdopodobnie nie. Nic poza ogrodzeniem z łańcucha nie pojawiło się w miejscu, gdzie kiedyś stała drogeria Rexall, co, jak przypuszczał Miles, oznaczało, że odwrócenie czyjejś uwagi od przeszłości to jednak nie to samo, co



wyobrażenie sobie przyszłości, nie mówiąc już o jej budowaniu. Z drugiej strony, kto wie, gdyby w końcu przeszłość została zrównana z ziemią, gdyby nareszcie puszczono w niepamięć to, co było, może wtedy mniej ludzi myliłoby ją z przyszłością, a to już byłoby coś. Miles jednak obawiał się, że jak długo obie fabryki stoją na swoim miejscu, tak długo ludzie będą wierzyli, na przekór rozsądkowi, że pewnego dnia znajdzie się kupiec na jedną z nich albo nawet na obie, dzięki czemu do Empire Falls powrócą dawne, dobre czasy ekonomicznego rozkwitu.

Jednakże dzisiaj, w to wrześniowe popołudnie, Miles Roby wyglądał z niepokojem na Empire Avenue nie tyle z troski o losy mrocznego budynku o wysokich oknach, gdzie kiedyś szyto męskie koszule i gdzie jego matka spędziła większą część swego dorosłego życia, ani też z powodu stojącej z tyłu większej i wyższej przędzalni, ile w nadziei, że zobaczy swoją córkę, Tick, w chwili gdy wyłoni się ona zza rogu i niespiesznym krokiem rozpocznie swój samotny marsz pod górę. Jak większość jej szkolnych kolegów, Tick, cienka niczym szparag uczennica drugiej klasy szkoły średniej, nosiła podręczniki w płóciennym plecaku z napisem „L. L. Bean” i żeby zbalansować ten ciężar równy niemal wadze jej ciała, musiała mocno pochylać się do przodu, zupełnie jakby szła pod silny wiatr. Dziwne, jak większość zachowań, które Miles zapamiętał z czasów, kiedy on sam chodził do gimnazjum, osobliwie się zmieniła. On i jego kumple nosili książki, opierając je na biodrze, to przechyleni w lewo, to znów przerzucając ciężar i pochylając się na prawą stronę. Do domu zabierali tylko te podręczniki, których potrzebowali danego dnia do odrobienia zadanej pracy, czy raczej należałoby powiedzieć, o których pamiętali, że mogą im się przydać, resztę pozostawiając zrzuconą beładnie na stos w szkolnych szafkach. Dzisiejsza młodzież upychała całą zawartość szkolnych szafek w swoich pękających w szwach plecakach i targała ją do domu, przypuszczalnie dlatego, jak domyślał się Miles, żeby nie trzeba było za dużo myśleć o tym, co mogło im się przydać, a bez czego można się było doskonale obyć, w ten sposób oszczędzając sobie wszelkich decyzji, które pociągałyby za sobą jakiegokolwiek konsekwencje. Oprócz tego, że taka postawa sama w sobie pociągała określone konsekwencje. Wizyta u lekarza ostatniej wiosny ujawniła u Tick początki skoliozy, i to lekkie skrzywienie kręgosłupa zaniepokoiło Milesa z kilku powodów. „Ona po prostu nosi za duże ciężary” - wyjaśniła pani doktor, zupełnie nieświadoma, zdaniem Milesa, jak wiele metaforycznych implikacji niosły ze sobą jej słowa.

Tick potrzebowała niemal całego lata, by odzyskać normalną postawę, a wczoraj, po pierwszym dniu w szkole, była już znowu zgarbiona i pochyłona do przodu jak przedtem.

Jednakże zamiast swojej córki, jedynej osoby, jaką w tej chwili Miles życzyłby sobie zobaczyć, jego oczom ukazał się Walt Comeau, człowiek, bez którego widoku mógłby się doskonale obyć do końca życia, a który jak gdyby nigdy nic podjechał swoim vanem pod Empire Grill i zaparkował na wolnym miejscu przez frontem. Samochód Walta był jeżdżącą reklamą swego pana, który na środku maski kazał wymalować napis - „Srebrny Lis”. Dał też dowód swojej próżności, przyczepiając zamiast normalnych numerów rejestracyjnych, tablice z napisem „Lis I”. Samochód miał wysokie zawieszenie, Walt zaś był niski, co oznaczało, że musiał zeskakiwać z progu, by dosięgnąć ziemi, i jakaś młodzieńczość tego zeskoku sprawiła, że Miles, który widywał to zarówno w prawdziwym życiu, jak i w snach niemal każdego dnia i każdej nocy przez cały ostatni rok, nagle zapragnął chwycić siekiere, dopaść tego Srebrnego Lisa w drzwiach i jednym celnym ciosem rozwalić mu łeb, nim ten zdążyłby przekroczyć próg.

Zamiast tego jednak odwrócił się z powrotem do grilla i przerzucił na drugą stronę hamburgera, którego zamówił Horacy Weymouth, zastanawiając się przy tym, czy aby za mocno i za długo go nie przypiekał. Horacy lubił niedopieczone hamburgery.

- No i jak tam? - Horacy złożył egzemplarz „Boston Globe”, gotów do jedzenia, przy czym jego wewnętrzny zegar informował go wyraźnie, że faktycznie Miles każe mu czekać zdecydowanie za długo. - Widziałeś się już z panią Whiting?

- Jeszcze nie - odparł Miles i zabrał się do układania na talerzu Horacego plasterków pomidora, listków sałaty, pokrojonej cebuli i korniszona, wraz z naciętą do połowy bułką, następnie przycisnął szpatułką hamburgera, aż zaskwierczał wyciekający sok, i włożył go w nacięcie bułki. - Zwykle czekam, aż mnie sama wezwie.

- Ja bym nie zwlekał - poradził Horacy. - Ktoś w końcu powinien odziedziczyć Empire Falls. Równie dobrze może to być Miles Roby.

- Miałbym znacznie większe szanse trafić główną wygraną w megaloterii - mruknął Miles, przesuwając talerz po kontuarze w stronę Horacego. Jednocześnie po raz pierwszy od dawna zwrócił uwagę na dużą fioletową narośl, jaka pojawiła się na czole Horacego. Ciekawe, czy tak urosła ostatnio, czy może to krótka nieobecność Milesa sprawiła, że widział ją jakby z większą wyrazistością. Narośl zajmowała niemal połowę prawej brwi

Horacego, skóra wokół niej, pozbawiona włosków i napięta, dziwnie lśniła, a z ciemnego środka na wszystkie strony rozchodziła się siateczka drobnych żyłek. Jak mawiała matka Milesa, jedną z dobrych stron życia w małym mieście jest to, że każdy ma tu swoje miejsce, a kulawi i szpetni są takimi samymi sąsiadami jak wszyscy inni, których spotykamy na co dzień, dzięki czemu po pewnym czasie przestajemy zauważać to, co sprawia, że są inni.

Żadnych tego typu ułomności Miles nie zauważył podczas swego pobytu na Martha's Vineyard, skąd właśnie wrócił po tygodniowych wakacjach, jakie spędził tam razem z córką. Na wyspie niemal wszyscy bez wyjątku byli szczupli, piękni i bogaci. Kiedy wypowiedział tę myśl na głos, jego stary przyjaciel, Peter, zauważył, że w takim razie powinien pomieszkać przez jakiś czas w Los Angeles. „Tam dopiero - dowodził - potrafią się rozprawiać z brzydotą szybko, sprawnie i dokładnie”. „Tak naprawdę nie chodzi mu o Los Angeles - wyjaśniła Dawn, żona Petera, kiedy Miles wyraził swoje powątpiewanie. - On ma na myśli Beverly Hills”. „I Bel Air” - dodał Peter. „I Malibu” - dorzuciła Dawn. Po czym wyliczyli co najmniej tuzin powszechnie znanych miejsc, gdzie z brzydotą radzono sobie równie skutecznie i radykalnie. Peter i Dawn byli dobrze zorientowani w rozmaitych sprawach i przebywanie z nimi sprawiało Milesowi przyjemność. Wszyscy troje studiowali kiedyś razem w małym katolickim college'u niedaleko Portland i nieraz z podziwem patrzył, jak bardzo Peter i Dawn zmienili się od tamtych czasów. Nikt by nie powiedział, że są to ci sami ludzie, co wtedy, i Miles doszedł do wniosku, że dokładnie tak powinno być, chociaż akurat w jego przypadku stało się inaczej. Nawet jeśli byli zawiedzeni tym, że ich stary przyjaciel do niczego w życiu nie doszedł, starannie ukrywali swoje rozczarowanie, posunęli się nawet do stwierdzenia, że odbudowuje ich wiarę w ludzkość, pozostając wciąż tym samym starym Milesem. A ponieważ najwyraźniej miał to być z ich strony komplement, Miles zdobył się na wysiłek, by tak właśnie potraktować ich słowa. Poza tym wyrażali szczerze zadowolenie, że mogą się z nim co roku w sierpniu widywać, i chociaż zawsze podświadomie obawiał się, że starzy przyjaciele nie ponowią zaproszenia na kolejne lato, za każdym razem okazywało się, że niezmiennie chcą go gościć.

Horacy zdjął z talerza cienki plasterzek cebuli, ująwszy go ostentacyjnie w kciuk i palec wskazujący, tak jakby chciał oznajmić wszem wobec, że już sam pomysł, by cebula mogła się znaleźć w pobliżu czegoś, co on, Horacy, miał spożyć, jest dla niego najwyższą zniewagą.

- Nie jadam cebuli, Miles. Wiem, że wyjeżdżałeś, ale ja się nie zmieniłem. Czytuję „Globe”, pisuję do „Empire Gazette”, nigdy nie wysyłam kartek z życzeniami świątecznymi i nie lubię cebuli.

Miles wziął od niego cebulę i wyrzucił ją do śmieci. Rzeczywiście, przez cały dzień był trochę roztargniony. Jakby otumaniony i wciąż jeszcze rozleniwiony po wakacjach, zapominał o najprostszych odruchach, które stanowiły przecież jego drugą naturę. Planował, że da sobie trochę czasu, by stopniowo wrócić do codziennej rutyny, że przynajmniej przez dwie zmiany będzie tylko nadzorował pracę. Jednak Buster, z którym Miles zmieniał się przy obsłudze kuchni, zawsze odgrywał się na nim w ten sposób, że natychmiast po powrocie szefa z wakacji szedł w tango, tym samym zmuszając Milesa, by ten natychmiast przejmował obowiązki, zanim był do tego całkiem gotów.

- Ona jest lepsza od loterii - rzekł Horacy, powracając do tematu pani Whiting, która z roku na rok spędzała w rodzinnych stronach coraz mniej czasu, przez całą zimę mieszkając na Florydzie. Zajmowała się tam głównie „włóceniem się bez celu po okolicy” - tak nazywała to od lat nieżyjąca irlandzka babka Milesa ze strony matki, która sama nie lubiła ruszać się z miejsca. Ostatnio, jak mówiono, pani Whiting powróciła z wycieczki na Alaskę. - Gdybym ja należał do tej rodziny, biegałbym tam co dzień całować ją w ten chudy tyłek.

Przyglądając się, jak Horacy zabiera się do swojego hamburgera, Miles z ulgą zauważył, że z niedopieczonego mięsa wycieka na bułkę krwisty sos.

Naturalnie, Miles Roby nie był członkiem rodziny Whitingów. Horacemu chodziło jedynie o to, że panieńskie nazwisko starej dziedziczki brzmiało Robideaux, i byli tacy, co twierdzili, że rodziny Roby oraz Robideaux z hrabstwa Dexter były w zamierzchłej przeszłości jedną i tą samą rodziną. Ojciec samego Milesa, Max, był święcie przekonany, że to prawda, no, ale w jego przypadku były to po prostu pobożne życzenia. Z braku dowodów, że on i najbogatsza kobieta w środkowym Maine nie są spokrewnieni, Max doszedł do prostego wniosku, że w takim razie muszą być rodziną. Miles dobrze wiedział, że gdyby to jego ojciec był tym bogaczem, a ktoś nazwiskiem Robideaux rościłby sobie prawa do jednego choćby grosika z jego fortuny, wtedy, naturalnie, widziałby całą sprawę w innym świetle.

Niemniej w pewnym sensie była to kwestia sporna. Pani Whiting faktycznie poślubiła górę pieniędzy w osobie C. B. Whitinga, właściciela piarni, fabryki odzieżowej i przedzalni, by następnie odsprzedać je

międzynarodowym korporacjom, które najpierw zakłady te rozgrażyły, a następnie zamknęły na cztery spusty. Do rodziny Whitingów wciąż należała połowa domów w Empire Falls, w tym restauracja, którą Miles od piętnastu lat zarządzał w imieniu pani Whiting. Zgodnie z umową lokal przejść miał na jego własność z chwilą jej śmierci, na co Miles wciąż podświadomie czekał, mimo iż jakoś nie bardzo potrafił to sobie wyobrazić. Co miało się stać z resztą majątku starej dziedziczki, było przedmiotem powszechnych spekulacji. W normalnych układach odziedziczyłaby go jej córka, jednak Cindy Whiting większość swego dorosłego życia, z krótkimi przerwami, spędziła w szpitalu stanowym w Augustcie i wszyscy byli zgodni co do tego, że pani Whiting nigdy by nie powierzyła córce ani grosza, jeśli nie liczyć środków koniecznych na jej leczenie i utrzymanie. Prawdę mówiąc, nikt w hrabstwie Dexter nie wiedział zbyt wiele o prawdziwym stanie majątkowym pani Whiting ani o jej planach w tej materii. Nigdy nie wynajmowała miejscowych prawników ani księgowych; wolała do tego celu zatrudniać firmę z Bostonu, z usług której Whitingowie korzystali przez prawie całe ostatnie stulecie. Nie dementowała pogłosek, jakoby pewnego dnia miała ofiarować znaczny legat na rzecz miasta, ale nigdy też nie wyraziła co do tego żadnych konkretnych zapewnień. Pani Whiting nie słynęła z filantropii. W sytuacjach kryzysowych okazjonalnie wspierała miasto jakąś sumą, jak ostatnio, kiedy to rzeka Knox wylała, za każdym razem jednak żądała, by miasto również wyasygnowało ze swej kasy sumę mniej więcej tej samej wysokości. Podobnymi zastrzeżeniami obwarowała kapitał inicjujący, jaki przeznaczyła na budowę nowego skrzydła szpitala, oraz dotację na modernizację komputerów w szkole średniej. Jednakże powszechnie uważano, że wszystkie te darowizny, jakkolwiek znaczne, stanowiły zaledwie drobny okruszek olbrzymiej fortuny pani Whiting. Wszyscy mieli nadzieję, że z chwilą jej śmierci pieniądze popłyną swobodniejszym strumieniem.

Miles nie był tego wcale taki pewien. Szczodrość pani Whiting wobec miasta, podobnie jak ta, jakiej on od niej doznawał, była dziwnie niejednoznaczna. Parę lat temu, na przykład, ofiarowała miastu podupadającą starą rezydencję Whitingów, która zajmuje wielką parcelę w samym środku miasta, jednak z zastrzeżeniem, że rezydencja musi być zachowana i utrzymywana w dobrym stanie. Dopiero po przyjęciu tej darowizny mer i członkowie rady miasta zdali sobie sprawę z tego, jak bardzo kłopotliwy jest to prezent. Okazało się bowiem, że odtąd nie mają od kogo ściągać podatków z tytułu posiadania nieruchomości, nie mogą też przeznaczyć rezydencji na

żadną działalność socjalną, a koszta utrzymania budynku są znaczne. Miles obawiał się, że gdyby pani Whiting pewnego dnia zdecydowała się oddać mu wreszcie restaurację na własność, okazałoby się, że ten dar byłby zbyt kosztowny, by mógł go przyjąć.

Można by niemal pomyśleć, że odkąd zamknięto wszystkie fabryki, pani Whiting postanowiła doprowadzić miejscowy biznes do ruiny. Większość powierzchni handlowej w mieście należała do niej i chociaż zawsze z wielką ochotą pomagała rozkręcić nowy interes w którymś ze swoich budynków, jednak potem czynsz za wynajem zaczynał niepostrzeżenie rosnąć i dalsze prowadzenie biznesu zaczynało się praktycznie mijać z celem, podobnie jak próby podejmowane przez najemców, by załatwić u pani Whiting korzystniejsze warunki.

- No, nie wiem, nie wiem, Miles - powiedział Horacy. - Gołym okiem widać, że zajmujesz specjalne miejsce w sercu starej dziedziczki. Z moich obserwacji wynika, że ciebie jednego traktuje w wyjątkowy sposób. Już sam fakt, że dotychczas nie zamknęła tej restauracji, dowodzi, jak głębokim darzy cię uczuciem. To jedyne wytłumaczenie. Chyba że sprawia jej wyjątkową przyjemność przyglądanie się, jak ty się tutaj męczysz.

Miles wiedział, że ta ostatnia uwaga była żartem, ale on również, nie po raz pierwszy zresztą, przyłapał się na myśli, że może jest w tym ziarno prawdy. Bo patrząc na sprawy obiektywnie, pani Whiting rzeczywiście była dla niego jakby przychylniejsza, niż to miała w zwyczaju, z drugiej strony jednak, Miles często wyraźnie czuł, że nie wynika to z jej specjalnej sympatii, co przypuszczalnie tłumaczyło, dlaczego niezbyt mu było spieszo do ich corocznego spotkania. Każdej jesieni pani Whiting wyjeżdżała na Florydę wcześniej niż poprzedniego roku, a chociaż ich doroczne podsumowania „bieżącego stanu restauracji” były w dużej mierze czystą formalnością, ona nie chciała z nich zrezygnować. Tymczasem w jej towarzystwie Miles nigdy nie mógł pozbyć się wrażenia, iż przez te wszystkie lata stara dama oczekiwała od niego, by dał jej jakiś znak - jakiego rodzaju znak, naprawdę nie miał pojęcia. Dlatego to z każdego spotkania odchodził z niejasnym poczuciem, że po raz kolejny oblał jakiś tajemniczy egzamin.

Dzwonek nad drzwiami zabrzączał i Walt Comeau wszedł tanecznym krokiem do środka, rozkładając ręce gestem staromodnego pieśniarza, z siwą czupryną zaczesaną na skroniach do tyłu w stylu lat pięćdziesiątych.

- „Nie pozwól, by gwiazdy zajrzały ci w oczy - zanucił. - Nie pozwól, by księżyc zламаł serce ci”.

Liczni stali bywalcy usadowieni przy kontuarze, wiedząc, czego od nich oczekiwano, odwrócili się na swych stołkach i odchyliwszy się rządkiem, unieśli prawe ręce, po czym odpowiedzieli mu zgodnym chórem, aczkolwiek każdy w innej tonacji:

„Pa pa pa paya”.

- Perry Como - powiedział Horacy w chwili, gdy nawet nie patrząc, wy-czuł, że wolne miejsce obok niego zostało zajęte. - W samą porę.

- Jak tam, stary druhu - zwrócił się Walt do Milesa. - Słyszałeś nowiny?

- Och, błagam cię - zachnął się Miles, który przez cały ranek nie słyszał o niczym innym.

Wszyscy mówili tylko o tym, że w ostatni weekend jakiś czarny lincoln, czterodrzwiowy, z szoferem, na numerach rejestracyjnych z Massachusetts, stał zaparkowany na parkingu przed przędzalnią. W zeszłym roku było to bmw, dwa lata temu cadillac-limuzyna. Kolor pojazdu wahał się między bielą a czernią, ale numery rejestracyjne zawsze wskazywały na Massachusetts, co Miles kwitował uśmiechem. O hordach turystów, które każdego lata zalewały stan Maine, nie mówiło się inaczej jak „Massdupki”, ale kiedy Empire Falls opowiadało sobie o samochodach, te nieodmiennie jeździły na tablicach ze stanu Massachusetts.

- O co ci chodzi? - oburzył się Walt. - Przecież nawet cię tu nie było.

- Pozwól mu, niech już ci opowie wszystko po kolei - doradził Horacy. - Przynajmniej będziesz miał to z głowy.

Walt Comeau spoglądał to na Milesa, to na Horacego, jakby nie mógł się zdecydować, który z nich jest większym głupcem, w końcu wypadło na Horacego, pewnie dlatego że on odezwał się ostatni.

- No dobra, proszę bardzo, w takim razie sam wytłumacz, co to wszystko znaczy, skoro jesteś taki mądry. Trzech gości w garniturach po osiemset doliczając każdy jadą taki kawał drogi z Bostonu w niedzielny poranek, parkują przed przędzalnią, maszerują na piechotę w tych swoich czarnych lakierkach aż do wodospadów, a potem stoją tam przez pół godziny, wymachując paluchami w stronę fabryki. To teraz ty mi powiedz, co to za jedni i czego tu szukają.

Horacy odłożył hamburgera na talerz i wytarł usta serwetką.

- Dla mnie wszystko jest jasne. Zjawili się, żeby zainwestować tu swoje grube miliony. Przez chwilę rozważali, czy nie zrobiliby lepiej, kupując akcje na giełdzie, ale zaraz potem poszli po rozum do głowy i powiedzieli sobie:

Do diabła, nie, lepiej wpakujemy nasz szmal w przemysł włókienniczy, tam dopiero robi się kokosy. A dalej, wiesz, co zrobili? Postanowili, że nie będą budować żadnej fabryki w Meksyku ani w Tajlandii, gdzie ludzie pracują za nędzne dziesięć dolców na tydzień. Powiedzieli sobie: Nie, lepiej jedźmy do Empire Falls w Maine rzucić okiem na tę ich starą fabryczną budę, ziejącą pustką, co to jej zeszelej wiosny rzeka omal nie zmyła z powierzchni ziemi. Kupimy nowe wyposażenie, stworzymy setki nowych miejsc pracy i będziemy płacić ni mniej, ni więcej tylko dwadzieścia dolców na godzinę. Ot co.

Miles nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Pomijając sarkazm Horacego, był to mniej więcej taki scenariusz, jakiego wysłuchiwał kolejno od wszystkich przez całe rano. Zdaniem Milesa opowieści o tych dorocznych wizytach rodziły się z tej samej potrzeby, która sprawiała, że ludzie widzieli Elvisa w miejscowym barze. Ciekawe tylko, dlaczego to zawsze zdarza się jesienią? - zastanawiał się Miles. Jesień wydawała się dziwnie odpowiednią porą na szerzenie beznadziejnego optymizmu. Może miało to jakiś związek z początkiem roku szkolnego? Dzieciaki są w szkole, więc rodzice mają chwilę spokoju, a wtedy zaczynają nachodzić ich czarne myśli o zbliżającej się wielkimi krokami nieubłaganej srogiej zimie, no i takie bajki pomagają im przetrwać.

- Hej - zawołał Walt, wyraźnie obrażony. - Ja tylko chciałem powiedzieć, że może pewnego dnia wyniknie z tego coś dobrego. Nigdy nie wiadomo. Tylko to miałem na myśli, jasne?

Horacy, który powrócił do przeżuwania hamburgera, tym razem nie odkładając go na talerz ani nie wycierając ust serwetką, odpowiedział natychmiast.

- Coś dobrego - powtórzył za Waltem. - Tak właśnie myślisz? Że dzięki pieniądзом ludzie stają się milsi?

- Och, do diabła z wami! - zachnął się Walt, zbywając obu mężczyzn jednym machnięciem ręki. - Wobec tego mam lepsze pytanie dla ciebie, mądralo. Jak ty możesz, do cholery, tak tu siedzieć dzień w dzień i opychać się tymi ociekającymi tłuszczem hamburgerami? Czyżbyś nie wiedział, jak bardzo to świństwo jest dla ciebie szkodliwe?

Horacy, któremu pozostał ostatni kęs hamburgera, odłożył go na talerz, po czym spojrzał na Walta.

- Jest tylko jedna rzecz, której nie wiem, a mianowicie, dlaczego ty dzień w dzień musisz mi psuć mój spokojny lunch. Dlaczego nie możesz zostawić ludzi w spokoju?



- Ponieważ cię lubię i ponieważ martwię się o ciebie - odparł Walt. - Nic na to nie poradzę.

- Jaka szkoda - burknął Horacy, odsuwając pusty talerz.

- Widzisz, ja po prostu nie mogę tego zrobić - Walt przesunął talerz Horacego po kontuarze jeszcze dalej, po czym wyjął z kieszeni sfatygowaną talię kart i zdecydowanym gestem położył ją przed Horacym. - Nie mogę ci pozwolić umrzeć, dopóki nie rozpracuję, jak ty to robisz, że za każdym razem ogrywasz mnie w remika.

Nim przełożył karty, Horacy wtarł serwetką plamkę tłuszczu z hamburgera w blat kontuaru.

- No, to będziesz musiał długo pożyć. Cholera, i ja też będę musiał żyć tak długo - powiedział, przyglądając się, jak Walt rozdaje, i czekając cierpliwie aż do końca rozdania, nim zabrał się do układania swoich kart. Zawsze sprawiał wrażenie, jakby doskonale znał układ kart w każdym kolejnym rozdaniu z poprzednich partii i jakby główna trudność gry ograniczała się do opanowania nudy, nieodłącznej od tego ciągłego udawania, iż nie wie, jakim wynikiem to wszystko się zakończy. W przeciwieństwie do niego, kiedy to Horacy rozdawał, Walt chwycił niecierpliwie każdą kartę w powietrzu, nie mogąc powstrzymać ciekawości, jakby kolejne rozdanie niesło całkowicie nowe doświadczenie.

- Zrozum, mój drogi - mówił teraz Walt, przekładając karty w rękę raz tak, raz inaczej, niepewny, który z porządków - według kolorów czy według wysokości - dawał mu większą gwarancję wygranej. - Zrozum, Horacy, jestem twoim najlepszym przyjacielem. Tylko że ty o tym nie wiesz. I powiem ci jeszcze coś, o czym nie wiesz. Ty nie wiesz, kto jest twoim największym wrogiem, ot co.

Horacy, który rzadko kiedy przekładał więcej niż jedną czy dwie karty, by uzyskać przejrzysty układ, spojrział porozumiewawczo na Milesa.

- Ciekawe, któż to może być, Perry? - spytał Walta takim tonem, jakim zadaje pytanie człowiek, który z góry zna odpowiedź. Widać było, że Horacy nie tylko w remika grał już setki razy.

Walt skinął w stronę Milesa.

- A któż by, jak nie nasz stary druh - rzekł, czym najwyraźniej nikogo nie zaskoczył. - Dzień w dzień zajadasz się tymi jego tłustymi hamburgerami i wkrótce będziesz wyglądał dokładnie tak jak on, naturalnie, jeśli wcześniej nie dostaniesz zawału.

- Napijesz się kawy, Walt? - spytał Miles. - Zawsze lepiej znoszę to, jak podkopujesz moje interesy, jeśli najpierw uda mi się wycisnąć z ciebie te drobne osiemdziesiąt pięć centów.

- Potrzeba ci więcej takich klientów jak ja - odparł Walt, rzucając dwudziestodolarowy banknot na kontuar. Do długiej listy rzeczy, które w Srebrnym Lisie denerwowały Milesa najbardziej, zaliczała się jego nieodparta potrzeba rozmienniania przy każdej sposobności dużych nominalów na drobne; nawet kiedy w portfelu miał duży plik jednodolarówek, zawsze płacił za kawę co najmniej dwudziestką, jeśli nie pięćdziesiątką. A nieraz zdarzało się, że próbował zmusić Milesa do rozmienniania setki, jakby go bawiło, kiedy Miles musiał mu odmówić. - Jedna filiżanka kawy kosztuje cię... no, ile? Dziesiątka? Piętnaście centów? A ty winszujesz sobie za nią prawie dolara, zgadza się? To znaczy, że zarabiasz na tym na czysto osiemdziesiąt centów. Niezły zysk, nie ma co.

Miles nalał obu mężczyznom po filiżance kawy, potem wziął z kontuaru dwadzieścia dolarów Walta i włożył do kasy. Nie było sensu wdawać się w kłótnie ze Srebrnym Lisem z powodu jego naciąganej arytmetyki.

- A ile będę z tego miał, jak wypijesz u mnie cztery albo pięć kaw?

Dzwonek nad drzwiami znowu się rozdzwonił. Miles spojrzął w tamtą stronę i zobaczył swego młodszego brata, który wszedł z gazetą zatkniętą pod niesprawne ramię, i ustaliwszy, gdzie siedzi Walt Comeau, zajął miejsce na przeciwległym końcu kontuaru. Gdy Miles podszedł, by nalać mu kawy, David, który już zdążył rozłożyć gazetę i zabrać się do czytania pierwszych akapitów, napotkał jego wzrok i wskazał oczami w kierunku Walta, po czym spokojnie wrócił do lektury. Bracia zawsze rozumieli się doskonale, zwłaszcza bez słów. Tym razem ten milczący komentarz oznaczał, że według Davida Miles nie wrócił z wakacji ani o jotę mądrzejszy, niż na nie pojechał.

- Widzę, że wszystko masz już gotowe na wieczór - odezwał się Miles, mając na myśli prywatne przyjęcie, które tego dnia David miał obsługiwać jako kucharz. - Przywiozłem ci parę słoików tej pasty z homara do zupy krabowej.

David skinął głową i sprawną ręką nalał sobie śmietanki do kawy.

- Czy możesz mi wyjaśnić jedną rzecz? - powiedział. - Dlaczego pozwalasz, by on tutaj przychodził?

- Bo zakazywanie mu tego byłoby wbrew prawu. Nikomu nie mogę odmówić obsługi.

- Morderstwo też jest wbrew prawu - odparł David, wracając do swojej gazety. - Ale przyznasz, że byłoby to eleganckie wyjście z sytuacji.

Miles spróbował to sobie wyobrazić. Ale nawet zakładając, że zdobyłby rewolwer, to jaki człowiek mógłby podejść do drugiego człowieka- nawet

jeśli miałyby to być Walt Comeau - z zamiarem, by wyprawić go na tamten świat? Na pewno nie Miles Roby, zdecydował Miles Roby.

- Hej - zawołał w ślad za nim jego brat, gdy Miles ruszył z powrotem wzdłuż kontuaru. - Dzięki za pastę homarową. Jak tam było na Vineyard?

- Coś mi się wydaje, że Peter i Dawn zamierzają się rozejść - odpowiedział Miles.

David nie okazał zaskoczenia czy choćby zainteresowania. Minę miał taką, jakby już sam pomysł wakacji ze starymi przyjaciółmi z college'u pachniał nudą, ale to pewnie dlatego, że on sam nigdy nie studiował, zakończywszy edukację na szkole średniej, jeśli nie liczyć jednego semestru w Stanowym Instytucie Kulinarnym.

- Oczywiście, mogę się mylić - ciągnął Miles. Wcale mu się nie podobano, że Peter i Dawn mogliby się rozwieść, gdyby jednak okazało się to prawdą, potrzebowałyby trochę czasu, by się do tej myśli przyzwyczaić. W rzeczywistości wciąż nie mógł się przyzwyczaić do myśli o swoim własnym rozwodzie. - Ale takie odniosłem wrażenie.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - zauważył David, nie podnosząc głowy znad gazety.

Miles usiłował sobie przypomnieć. Było jakieś pytanie? Więcej niż jedno?

- Jak... tam... było na Vineyard?

- Ach, tak - mruknął Miles, który jednocześnie uświadomił sobie, że dokładnie z tego właśnie powodu jego żona - wkrótce już była żona -zawsze na niego narzekała najbardziej: że on jej nigdy nie słucha. Przez dwadzieścia lat usiłował przekonać Janine, że tak nie jest, no, może jest, ale nie do końca. Bo nawet nie chodziło o to, że nie słyszał jej pytań czy prośb, ale raczej o to, że zawsze reagował na nie inaczej, niż ona się tego spodziewała. „Wcale cię nie ignoruję” - przekonywał ją. Na co ona niezmiennie odpowiadała: „Na jedno wychodzi”.

- Więc jak było? - Chciał się dowiedzieć brat.

Jak było na Vineyard.

- Jak zawsze - odparł Miles. Ze wszystkich miejsc na świecie, na które, wiedział to dobrze, nawet w najśmielszych marzeniach nigdy nie będzie go stać, wyspa Martha's Vineyard była jego ulubionym.

- Wiesz, stary druhu, czego ci tu trzeba? - zawołał w jego stronę Walt z drugiego końca sali. Za każdym razem, kiedy przegrywał do Horacego kolejne rozdanie remika, natychmiast zaczynał wymyślać ulepszenia, jakie należałoby niezwłocznie wprowadzić w Empire Grillu.

- Czego, Walt? - westchnął Miles, który stał przy środkowej części kon-  
tuaru, napełniając solniczki.

- Musisz skończyć z parzeniem tej lury, a zamiast tego zacząć serwować  
kawę Green Mountain.

Walt zawsze uważał, że jest na bieżąco ze wszystkimi wspaniałymi no-  
winkami, jakie pojawiały się na rynku. W swoim fitness klubie, na chodze-  
nie do którego ciągle namawiał Milesa, obiecując mu, że w krótkim czasie  
będzie miał brzuch płaski jak deska, zaczął ostatnio serwować napoje prote-  
inowe i był absolutnie przekonany, że gdyby Miles wprowadził je do menu  
w swojej restauracji, natychmiast zyskałyby wielką popularność. Naturalnie  
Miles pomijał milczeniem wszelkie tego typu pomysły, umacniając tym  
Walta w przekonaniu, że musiał się urodzić niespełna rozumu i dlatego do  
końca życia jest skazany na prowadzenie podrzędnego interesu. Podobne  
opinie wygłaszał Walt niemal codziennie, pozostawiając bez odpowiedzi  
zasadniczą kwestię, jak to jest możliwe, by taki postępowy człowiek jak on  
spędzał tyle czasu w tak podrzędnej knajpie.

- Założę się, że nie rozpoznalbyś różnicy, gdybyś miał porównać oba  
smaki, nie wiedząc, który jest który - rzekł Horacy, zwykle biorący w tych  
sporach stronę Milesa, głównie dlatego że sam Miles dość niechętnie bronił  
swej filozofii życiowej przeciwko tego rodzaju bezlitosnym atakom.

- Żartujesz? Nie rozpoznalbym kawy Green Mountain? Toż to różnica  
jak dzień i noc - zaperzył się Walt.

Kiedy dzwonek nad drzwiami odezwał się po raz kolejny, Miles podniósł  
wzrok i tym razem nareszcie ujrzał swoją córkę, co oznaczało, że jeśli ktoś  
jej nie podrzucił samochodem, to musiała przejść na piechotę od rzeki przez  
całą Empire Avenue aż tutaj, a on jej nie zauważył. Nie wiedzieć czemu, ta  
możliwość go zdenerwowała. Odkąd był z Janine w separacji, czuł, że mię-  
dzy nim i Tick pojawiła się jakaś separacja innego rodzaju, choć nie potrafił  
sprecyzować, na czym ona polega. Nie winiłby córki, gdyby uważała, że ją  
zdradził, wyrażając zgodę na rozwód z jej matką, ale nie, wyraźnie nie miała  
mu tego za złe. Od samego początku wiedziała, że był to pomysł Janine, i  
pewnie dlatego właśnie do niej była nastawiona dużo krytyczniej. Do tego  
stopnia, że zwykła przyzwoitość wymagała od niego jako ojca, by od czasu  
do czasu przypominać córce, że osoba, która zażąda rozwiązania małżeń-  
stwa, niekoniecznie jest winna jego rozpadu. Podejrzewał jednak, że jeśli  
coś zmieniło się w ich stosunkach, to raczej miało to związek z nim samym

niż z jego córką. Od ostatniej wiosny nie mógł jej uprosić, by choć przez sekundę stała spokojnie, tak by mógł się jej dokładniej przyjrzeć. Dojrzewiała, co naturalne, z dziecka stawała się młodą kobietą, i z wolna zaczynało do niego docierać, że działa się z nią pewne sprawy, których nie rozumiał po prostu dlatego, że nie miał ich rozumieć. A jednak niepokoiło go, że tak bardzo za nią nie nadaża. Często łapał się na tym, że chciałby natychmiast zobaczyć córkę, tak jakby tylko jej fizyczna obecność mogła go uspokoić, że wszystko jest z nią w porządku; a kiedy już ją widział, wydawała mu się osobą inną od tej, o którą się niepokoił i którą chciał zobaczyć. Tydzień, który spędzili razem na wyspie Vineyard, był wspaniały, a pod koniec czuł większą bliskość z Tick niż kiedykolwiek od czasu separacji z Janine. Jednak od powrotu do domu to poczucie rozłąki powróciło ze zdwojoną siłą, tak jakby już sam fakt jej zniknięcia z pola widzenia miał prowadzić do jakichś tragicznych konsekwencji. Nawet teraz, zamiast odczuć ulgę na jej widok, zaczął sobie wyobrażać scenę na ulicy: wizg hamujących opon, nieruchome ciało Tick leżące na jezdni i samochód, który odjeżdża, ciągnąc za sobą jej wielki plecak. Do czego, jak widać, nie doszło, napominał się w duchu, starając się opanować panikę.

Tick, jak zawsze, ominęła szerokim łukiem Walta Comeau, udając, że nie widzi jego wyciągniętej w swoją stronę ręki.

- Cześć, wujku - powiedziała, obchodząc kontuar z drugiej strony i cmokając Davida w policzek.

- Witaj, ślicznotko - przywitał ją David, pomagając jej zdjąć plecak, który upadł na podłogę z takim łoskotem, aż podskoczyły szklanki i pojemniki na sól i pieprz, stojące na kontuarze. - Będiesz dzisiaj moją pomocnicą?

- Co ty tam nosisz w tym swoim wielkim worze, rybko? Kamienie? - zawołał Walt Comeau z daleka.

Udając, że nie zauważa jego obecności, Tick podeszła do Milesa, ukryła twarz w jego fartuchu i objęła go ramionami w pasie, splatając mu palce na plecach.

- W głowie wciąż mi gra melodia Abby - poskarżyła się. - Zrób coś, żeby przestali.

- Co za przykreść. - Miles przytulił swoje dziecko do siebie. Uśmiechnął się na myśl o tym, że ona znowu jest blisko i że wierzy w jego magiczną moc, która rozproszy zły urok, rzucony na nią przez stary zespół rockowy. Nawet jeśli nie jest już dzieckiem, nie całkiem. - A co, słyszałaś ich w radio?

- Nie. To wszystko jego wina - powiedziała, mając na myśli oczywiście Walta. Wygłosiwszy to oskarżenie, odsunęła się od ojca i sięgnęła po fartuch.

A była to wina Walta dlatego, że Janine, matka Tick, puszczała kasetę z nagraniem „Mama Mia” i „Dancing Queen” na zajęciach aerobiku, które prowadziła dla grup początkujących i średnio zaawansowanych właśnie w fitness klubie Walta, a potem nuciła te same piosenki w domu. Dopiero całkiem zaawansowani uczestnicy jej kursów dostępowali zaszczytu słuchania utworów tej miary, co „Copacabana” Barry'ego Manilowa.

- Tata mówił, że podobno było wam świetnie na Vineyard? - spytał David, kiedy przechodziła obok niego w drodze do kuchni z tacą pełną brudnych naczyń.

- To miejsce, gdzie chciałabym mieszkać - zwierzyła się, jak ktoś, kto nie widzi nic złego w przyznaniu się do grzechu, którego nigdy nie popełni. - Jest tam taka księgarnia, przy drodze do plaży. Wystawili ją na sprzedaż, ale tata nie chce jej kupić - drzwi zamknęły się na jej ostatnich słowach.

- Za ile? - zainteresował się David, odkładając gazetę, sięgając po czysty fartuch i stając u boku brata za kontuarem. Wciąż zachował częściową władzę w okaleczonej ręce, choć brakowało jej siły i zręczności. - Bądź tak dobry, zaoszczędź mi pół godziny pracy i zawiąż to za mnie.

Miles już odstawił solniczki, które właśnie napełniał.

- No więc? - powtórzył pytanie David, kiedy fartuch został zawiązany.

- No więc co?

- Za ile miała pójść ta księgarnia? Boże, jak to możliwe, że potrafisz wyrecytować z głowy dwadzieścia pięć zamówień od klientów, a nie pamiętasz prostego pytania, które ci zadałem dwie sekundy temu?

- To była raczej stodoła, w której urządzono księgarnię - wyjaśnił Miles, jako że kiedyś rzeczywiście była tam stodoła. Na dole było dość miejsca, by w jednej części zrobić księgarnię, a w drugiej urządzić małą kawiarenkę, co byłoby o tyle dobre, że ostatnio ludziom zaczęło się wydawać, iż kawa jest nieodłącznym dodatkiem do kupowania książek. Górę można by uporządkować i urządzić tam antykwariat. Na przyległym terenie był nawet mały domek, gdzie można by zamieszkać. Interes należał przez dwadzieścia pięć lat do pewnego małżeństwa, ale ostatnio żona zachorowała, a mąż usiłował sam siebie przekonać, że powinien to sprzedać dla ich własnego dobra. Owszem, mają dzieci, ale wszystkie są w college'ach i nie chcą tego dla siebie.

- Jak to możliwe, że wiesz o tym tak dużo, a nie znasz ceny? - zdziwił się David, kiedy Miles zakończył swoją relację.

- Nie widziałem oferty, tylko Peter pokazał mi to miejsce. Myślę, że on też nie wiedział, jaka jest cena wywoławcza. Sam nie jest zainteresowany prowadzeniem księgarni.

- A czy mają tam fitness club, stary druhu? - koniecznie chciał wiedzieć Walt.

- Nie mam pojęcia, Walt - odparł Miles, starając się nadać swemu głosowi neutralny ton. W jego pojęciu gdyby coś mogło bezpowrotnie zniszczyć urok tej wyspy, to byłaby to obecność Walta Comeau. Inna sprawa, że wyobrażenie sobie takiego ordynusa jak Srebrny Lis gdziekolwiek poza Empire Falls już samo w sobie było totalnym absurdem, jednak Miles nie śmiał traktować tego lekko. Rok temu Walt zażartował, że jeśli Miles nie będzie uważał, to on, Walt, skradnie mu żonę, po czym jak powiedział, tak uczynił.

Walt podrapał się w podbródek z namysłem, zastanawiając się, jaką kartę wyrzucić.

- Mój klub idzie świetnie. Praktycznie sam się kręci. Może to dobry moment, żeby się rozwinąć - zabrzmiało to tak, jakby jedyną trudność widział w zgraniu w czasie. Srebrny Lis lubił sprawiać wrażenie, że pieniądze nie stanowią dla niego żadnego problemu i że każdy bank w hrabstwie Dexter chętnie pożyczy mu każdą kwotę, jakiej będzie potrzebował. Miles wątpił w to, ale w sumie mogła to być prawda. Zawsze myślał, że jego - już wkrótce była - żona to osoba tego pokroju, co to nie da się nabrać na przechwałki Walta, a okazało się, że się pomylił.

- Dalej, zmyj się stąd zaraz, jeśli masz ochotę - powiedział cicho David. - Jeszcze chwila, a będzie się chciał mocować z tobą na rękę.

Miles wzruszył ramionami.

- To nic. Myślę, że on tu przychodzi tylko po to, żeby mi pokazać, że nie powinniśmy żywić do siebie urazy.

Wywołało to zduszony chichot.

- Niby o to, że ukradł ci żonę?

- Są grzechy, które same w sobie stanowią pokutę - odpowiedział Miles równie cicho, oglądając się za siebie w stronę pomieszczenia na zapleczu, skąd dochodził brzęk naczyń, ładowanych przez Tick do wiekowej zmywarki marki Hobart. Jedną z niewielu rzeczy, co do których Miles i Janine zdołali się porozumieć z chwilą, gdy ich małżeństwo się rozpadło, było to, że nie będą mówić źle o sobie nawzajem w obecności córki. Miles wiedział, że ta umowa działa głównie na jego korzyść, gdyż w większości wypadków nie czuł

potrzeby mówienia nieprzyjemnych rzeczy o swojej byłej żonie, gdy tymczasem Janine nigdy nie przepuściła żadnej okazji, żeby i tak powiedzieć, co o nim myśli. Oczywiście, wszystkie inne uzgodnienia, co do których zdołali się dogadać - jak to, że Janine może mieszkać w ich domu, dopóki się go nie sprzeda, że ona weźmie lepszy samochód, jak również większość rzeczy z ich wspólnego majątku - były w znacznej mierze z korzyścią dla niej, Milesa pozostawiając po uszy w długach.

- Tick naprawdę dobrze się bawiła?

Miles skinął głową.

- Powinieneś ją tam widzieć. Była taka jak dawniej, zanim ten cały ryzstok zaczął się jej lać na głowę. Uśmiechnięta przez cały tydzień, od rana do wieczora.

- To dobrze.

- I poznała tam chłopaka.

- To zawsze dobrze robi.

- Tylko jej nie dokuczaj na ten temat.

- W porządku - obiecał David, chociaż wiedział, że akurat tej obietnicy nie będzie mu łatwo dotrzymać.

Miles zdjął fartuch i rzucił go do kosza przy drzwiach.

- Sam powinieneś wziąć sobie tydzień wolnego. Wyjechać gdzieś.

Jego brat wzruszył ramionami.

- Po co się prosić o nieszczęście? Już i tak mam tylko jedną sprawną rękę. Jeszcze bym naprawdę gdzieś pojechał zabalować i zacząłbym rozrabiać, a wtedy chyba musiałbym twoje hamburgery przewracać nogami.

I rzeczywiście, miał rację. Miles wiedział, że jego brat był trzeźwy od tamtego wieczoru przed trzema laty, kiedy wracając z polowania na północy, w Allagash, po pijanemu, zasnął za kierownicą i zjechał swoim pikiem z górskiej drogi prosto w przepaść. Szybując w powietrzu, samochód uderzył w drzewo, następnie pozbył się swego kierowcy, który nie był przypięty pasami, po czym zaczął staczać się w dół skalnego urwiska, nim zatrzymał się dobre sto jardów niżej, zniknąwszy w gęstym lesie. Wyrzucony z kabiny, David zahaczył o górne gałęzie drzewa, gdzie zawisł zaczepiony na swojej myśliwskiej kamizelce jakieś pięćdziesiąt stóp nad ziemią. I tam pozostał, raz po raz tracąc przytomność, ze strzaskanym w kilku miejscach ramieniem i złamanymi czterema żebrami, dopóki następnego dnia rano nie został odnaleziony, na wpół zamrożony, przez grupę myśliwych, z których jeden usadowił się dokładnie pod tym drzewem,



z którego zwiślał David w nieprawdopodobnej pozycji, niezdolny wydusić z siebie żadnego dźwięku. Gdyby nie to, że pęcherz odmówił mu posłuszeństwa, jak lubił to wspominać David, pewnie worek z mocnego drelichu marki L. L. Bean, pełen białych kości, do tej pory by się tam huśtał w mroźnych podmuchach wiatru.

Ta samotna, wypełniona zwidami i majakami noc okazała się skuteczniejsza niż wszystkie terapie, jakie David przeszedł w rozmaitych klinikach odwykowych, do których go wysyłano przez ostatnich dziesięć lat. Jego starzy kumple od kieliszka z Empire Falls, z których większość nadal hulala, objeżdżając hrabstwo Dexter na skuterach śnieżnych, obładowanych piwem, nieraz jeszcze próbowali wyciągnąć Davida ze sobą, licząc na to, że uda im się sprowadzić go z dobrej drogi, jeśli tylko delikatnie mu przypomną, o ile zabawniejszy jest żywot pijaka, ale jak dotąd skutecznie się opierał ich zaproszeniom. Przed rokiem kupił sobie małą chatkę w lesie przy drodze do Small Pond i twierdził, że ilekroć poczuje ochotę, by znów spojrzeć na świat przez brązowe szkło pustej butelki po piwie, wystarczy mu, że wyjdzie na ganek popatrzeć na sosny i posłuchać, jakie okropne dźwięki wydaje wiatr, zawodząc w górnych gałęziach drzew. Miles chciał wierzyć, że to prawda. W chwili wypadku nie był z bratem zbyt blisko i nadal obserwował go z ostrożnym dystansem, nie tyle powątpiewając w jego chęć poprawy, ile w zdolność do wytrwania w postanowieniu. Miles wiedział, że David popała skręty, a całkiem możliwe, że w tym swoim lesie hoduje też na grządce marihuanę, podobnie jak połowa jego sąsiadów z wiejskich okolic stanu Maine, ale od czasu wypadku nie miał kropli alkoholu w ustach i wciąż nosił pomarańczową kamizelkę, która uratowała mu życie.

Miles rozejrzał się po restauracji, próbując ustalić, co jeszcze jest do zrobienia. Tydzień nieobecności wystarczył, by wszystko wydawało mu się obce. Niemal cały poprzedni dzień spędził na przypominaniu sobie, gdzie co leży. Dopiero kiedy zajął czymś głowę i przestał się zastanawiać, jego ręce same sięgały, gdzie trzeba. Dzisiaj było już lepiej, ale jeszcze nie całkiem dobrze.

- W porządku - powiedział. - Pomyśl jeszcze, czy czegoś nie potrzebujesz.

David uśmiechnął się.

- Jest wiele rzeczy, których potrzebuję, ale lepiej nie zaczynajmy tego od nowa.

- Słusznie - zgodził się Miles.

- Powinieneś o tym pomyśleć - powiedział David, klęcząc, ponieważ szukał czegoś pod kontuarem.

- O czym?

David podniósł głowę i tylko spojrział na niego.

- O czym? - powtórzył Miles.

David wzruszył ramionami i powrócił do swoich poszukiwań.

- Po pierwsze, nie stać mnie na to. Przynajmniej dopóki nie będę mógł sprzedać tej restauracji. Po drugie, Janine nigdy by mi nie pozwoliła zabrać Tick, a ja właśnie Tick nigdy jej nie oddam. A po trzecie, kto by się zajął tatą?

Jego brat wstał, z dużą paczką serwetek wetkniętą pod niesprawne ramię, co uświadomiło Milesowi, że zapomniał uzupełnić serwetniki.

- Po pierwsze, nie możesz wiedzieć, czy cię na to stać, ponieważ nie sprawdziłeś, za ile chcieli to sprzedać. Kto wie, może dla odpowiedniego kupca właściciel byłby otwarty na trochę kreatywnego myślenia o finansach. Po drugie, mógłbyś wygrać walkę o Tick, gdybyś tylko zechciał ruszyć tyłek do sądu. Akurat ty nie musisz się martwić o to, że sąd cię uzna za nieodpowiedzialnego rodzica. I po trzecie, Max Roby jest najbardziej samowystarczalnym człowiekiem, jakiego nosiła ta ziemia. On tylko wygląda i zachowuje się bezradnie jak dziecko. Tak więc kiedy mówisz, że nie możesz, tak naprawdę masz na myśli, że to nie byłoby proste, mam rację?

- Możesz myśleć, co chcesz, David - odparł Miles, który nie miał ochoty się kłócić. - Daj mi je tutaj.

Ale kiedy wyciągnął rękę po serwetki, jego brat prędko odwrócił się tyłem do niego.

- No, idź już.

- David, daj mi te cholerne serwetki - rzekł Miles. Układanie serwetek było łatwe dla człowieka z dwiema sprawnymi rękami, lecz trudne dla kogoś, kto władał tylko jedną, i nie uszło uwagi Milesa, że o to właśnie bratu chodziło. O to że było to dla niego za trudne, ale że on sobie i tak z tym poradzi. Jak na człowieka, który w wyniku własnej głupoty zawisł na swojej kamizelce na czubku drzewa pięćdziesiąt stóp nad ziemią i omal nie zmarł na śmierć, David był zawsze dziwnie niecierpliwy, jeśli chodziło o niepowodzenia innych.

- No już, zmiataj stąd.

Miles pokręcił głową na znak poddania się.

- A zjawił się tu choć raz w zeszłym tygodniu?

- Max? Prawdę mówiąc, był aż trzy razy.

- Mam nadzieję, że nie pozwoliłeś mu się zbliżyć do kasy? - W kwestii pieniędzy ojcu nie można było zaufać, chociaż Miles i David od lat spierali

się o granice jego nieuczciwości. Zdaniem Milesa takowe po prostu nie istniały. Ze swej strony David uważał, że przeciwnie, istnieją, nawet jeśli nie zawsze widać je gołym okiem. Na przykład był przekonany, że ojciec byłby zdolny wyciągnąć pieniądze z kieszeni syna, ale nigdy nie zabrałby ani grosza z kasy w restauracji.

- Nie, ale zapłaciłem mu na lewo.

- Wolałbym, żebyś tego nie robił - powiedział Miles.

- Wiem, wiem, ale dlaczego mamy nie płacić mu w takiej formie, w jakiej on tego chce? Co za różnica.

- Przede wszystkim to nielegalne. Poza tym pani Whiting by się to nie spodobało, gdyby się zorientowała, że robię coś na lewo, poza oficjalnymi rachunkami.

- A może by wolała ten sposób, gdyby pojęła, że wtedy w kasie zostawałoby więcej pieniędzy dla niej.

- Możliwe. Ale równie dobrze mogłaby się zacząć zastanawiać. Bo skoro gram nieczysto ze skarbówką, to może i z nią robię jakieś nieczyste zagrywki.

David pokiwał głową takim ruchem, jak potakuje człowiek przekonany, że otrzymał niezadowolające wyjaśnienie, ale mimo to postanowił się z nim zgodzić.

- W porządku, wobec tego mam dla ciebie inne pytanie - rzekł, patrząc Milesowi prosto w oczy. - Na jakiej podstawie sądzisz, że ta kobieta kiedyś w ogóle da ci tę restaurację?

- Bo tak mi obiecała.

David ponownie pokiwał głową.

- No, sam nie wiem, Miles - powiedział.

Została już tylko jedna taca brudnych naczyń po porannych klientach, ale wyjątkowo ciężka, dlatego Miles sam zaniósł ją na zaplecze i postawił na blacie koło zlewu, po czym przystanął, wsłuchując się w pomrukiwania i postękiwania zmywarki, z której stalowego środka wydobywały się smużki pary. Mieli tę zmywarke, zaraz, ile to już lat? Dwadzieścia? Dwadzieścia pięć? Był prawie pewien, że już tu stała, kiedy on był w szkole średniej i Roger Sperry po raz pierwszy przyjął go do pracy. Staruszka pewnie niedługo pociągnie, a gdyby ktoś spytał Milesa, kiedy nastąpi jej koniec, to odpowiedziałby, że zapewne w dzień po tym, jak restauracja przejdzie na jego własność. Wielokrotnie rozmawiał z panią Whiting o konieczności jej wymiany, ale nowy hobart to duży wydatek i właścicielka nie chciała nawet o tym słyszeć, dopóki stara była na chodzie. W chwilach wielkoduszności

Miles napominał sam siebie, że prawdopodobnie stare kobiety po siedemdziesiątce nie lubią, kiedy im się mówi, że jakieś rzeczy są stare i zużyte i że istnieją znacznie dłużej, niż przewidywał to okres gwarancji. Jednak kiedy ogarniał go mniej szlachetny nastrój, wówczas zaczynał podejrzewać, że jego chlebodawczyni w swej chytrej przebiegłości była zdecydowana używać wszystkich urządzeń w restauracji - zmywarki marki Hobart, Kuchenki firmy Garland, elektrycznego grilla, maszynki do ubijania mleka - dopóki nie rozpadną się na kawałki, tym samym maksymalnie obniżając wartość swojej darowizny dla niego.

Ich umowa, zawarta prawie dwadzieścia lat temu - w innym życiu, jak teraz wydawało się Milesowi - w momencie gdy Roger Sperry się rozchorował, mówiła o tym, że Miles będzie prowadził restaurację, dopóki żyje pani Whiting, a następnie odziedziczy po niej cały interes. Umowa została zawarta potajemnie, ponieważ Miles wiedział dobrze, że jego matka byłaby przeciwna temu, by porzucił studia na ostatnim roku. Fakt, że gotów był zaprzepaścić swoją przyszłość, by dzięki temu być przy niej w chorobie, z całą pewnością wzbudziłby nie tylko jej rozpacz, ale wręcz wściekłość. Nawet pani Whiting zdawała sobie sprawę, że muszą postawić wszystkich wobec faktu dokonanego, bo jakby Grace dowiedziała się o ich umowie, na pewno by się postarała wyperswadować Milesowi ten niepotrzebny gest, tłumacząc mu, że niezależnie od tego ona i tak umrze, a pójdzie na kompromis w kwestii przyszłości jest z jego strony wręcz perwersyjnym zaniegowaniem jej całozyciowego poświęcenia dla syna. Miles również to wszystko wiedział, dlatego porozumiał się z panią Whiting w ścisłej konspiracji, by nie dać matce okazji do przeciwdziałania.

Pomijając chorobę matki, przejęcie restauracji nie wydawało mu się wtedy aż takim złym pomysłem. Miles zdawał sobie sprawę, że jako absolwent historii miał małe szanse na zdobycie pracy w zawodzie bez magisterki, a na to już po prostu nie było pieniędzy. W restauracji pracował sezonowo, począwszy od pierwszej klasy gimnazjum, i potem wracał tam zawsze podczas wakacji i ferii, kiedy przyjeżdżał z college'u do domu, dlatego jeśli chodziło o zasady funkcjonowania restauracji, nie stanowiło to dla niego większej trudności. A chociaż życie, jakie się z tym wiązało, oznaczało ciężką pracę i - wedle obowiązujących w świecie standardów - zarobki co najmniej skromne, to w oczach miejscowej społeczności była to całkiem przyzwoita praca. Dlaczego by nie miał poprowadzić interesu przez kilka lat i zaoszczędzić nieco pieniędzy? Zawsze mógł dokończyć studia potem. A pani Whiting na pewno by to zrozumiała.

Naturalnie wszystko to wydarzyło się, zanim zamknięto przedziałnię i liczba ludności Empire Falls zaczęła spadać, w miarę jak kolejne rodziny wyprowadzały się z miasta w poszukiwaniu pracy. A Miles był jeszcze młody i nie wiedział, bo niby skąd miał wiedzieć, że nigdy nie pokocha tej restauracji, tak jak kochał ją na przykład Roger Sperry, ani też że to miłość Rogera do tego miejsca była główną siłą napędową interesu i gwarantem jego trwania. Pomimo swego młodego wieku jednak Miles rozumiał tyle, że ludzie nie przychodzą do takich miejsc jak Empire Grill, żeby dobrze zjeść. Wystarczyło, że popracował na paru zmianach na próbę, by okazało się, że przygotowuje dania na zamówienie znacznie lepiej i sprawniej niż jego mentor. Roger z dumą ogłosił, że Miles jest urodzonym kucharzem, przez co prawdopodobnie rozumiał tylko tyle, że Miles zawsze doskonale pamiętał, co klienci zamawiali i to dokładnie im podawał, gdy tymczasem sam Roger rzadko kiedy sobie z tym radził. Jeśli nawet intuicyjnie wyczuwał w Milesie jakieś braki, był do chłopca zanadto przywiązany, by mu to powiedzieć otwarcie.

Dopiero gdy Miles sam przejął restaurację, zaczął sobie uświadamiać, jak bardzo zmieniły się jego stosunki ze stałymi bywalcami Empire Grilla. Przedtem był po prostu zmyslnym chłopakiem Grace Roby, który pojechał do college'u, żeby zostać kimś, i z tego powodu stał się przedmiotem nieszkodliwych żartów i łagodnych docinków. Klienci zasiadający przy barze uwielbiali zadawać mu różne podchwytliwe pytania - na przykład, na jakiej zasadzie działa koparka albo jak głębokie powinno być szambo - wyobrażając sobie, że tego typu rzeczy uczy się na tych swoich studiach. A ponieważ wykazywał absolutny brak wiedzy na podobne tematy, zastanawiali się głośno, czego do cholery oni tam uczą w tym całym Portland. Często zwracali się nie wprost do Milesa, tylko za pośrednictwem Rogera Sperry, tak jakby uważali, że potrzebny im jest tłumacz i pośrednik. Po śmierci Rogera poziom jedzenia poprawił się odwrotnie niż poziom konwersacji. Mężczyźni zachodzący do restauracji nie mówili już tak wiele do Milesa, a to dlatego, że ich zdaniem spędzał za dużo czasu odwrócony do nich plecami, więcej uwagi poświęcając skwierczącym hamburgerom niż ich opowieściom, smutkom i radościom. I chociaż doceniali jego kompetencje jako kucharza, zaczęli podejrzewać, że ich rozmowy zwyczajnie go nie interesują i że generalnie nie jest zbyt szczęśliwy. Roger Sperry był zawsze tak uradowany, że ich widzi, że z wrażenia na ogół partaczył kucharzenie; ale połowa frajdy z przesiadywania w Empire Grillu polegała na podśmiewaniu się z tych jego wpadek. Pod wprawnym i kompetentnym zarządem Milesa restauracja,

która i tak nigdy nie była przesadnie dochodowa, zaczęła z wolna podupadać, i chociaż bez pomocy zdjęć poklatkowych nie można by tego procesu zarejestrować, niemniej pewnego dnia nagle stało się jasne, że była już interesem niedochodowym i takim miała pozostać przez długie lata.

Mimo to w zachowaniu pani Whiting Miles często wyczuwał swego rodzaju żal, kiedy wspominała o obietnicy pozostawienia mu restauracji. Nie raz wydawało mu się, że obarcza go winą za to, że interes podupadł, zastanawiając się głośno, po co jej w ogóle taki interes, który przynosi tyle dochodu, co kot napłakał. Ale przy innych okazjach - a było ich wiele - gdy Miles sam tracił już wiarę w sens tego wszystkiego i dzielił się tymi odczuciami ze swoją pracodawczynią, pani Whiting natychmiast wycofywała się ze swego stanowiska i zaczynała go namawiać, by się nie poddawał, przypominając mu, że Empire Grill jest ważnym miejscem w mieście, że to jedyna restauracja, która serwuje normalne jedzenie, a nie jakiś fast food, i że mieszkańcy Empire Falls, jeśli mają mieć jakąś nadzieję na przyszłość, potrzebują tej restauracji zwyczajnie po to, by przetrwać, nawet gdyby sam interes miał ledwie zipać.

Jeszcze bardziej zagadkowe i niezrozumiałe wydawało mu się to, że pani Whiting wcale nie była zadowolona, kiedy okazało się, iż w ostatnim czasie dały się odczuć pewne zmiany na lepsze. Dzięki odważnemu pomysłowi Davida w ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy tego roku interes zaczął się lepiej kręcić, a przez kilka tygodni wiosennych przynosił nawet niewielkie dochody. Gdy podczas spotkania z panią Whiting Miles wyraził swój optymistyczny pogląd w tej kwestii, oczekując okazania radości z powodu tej milej, choć skromnej odmiany fortuny, ona jednak zarówno dobrą wiadomość, jak i jej herolda przyjęła dość podejrzliwie, tak jakby nie wierzyła liczbom, które jej przedstawiono, albo obawiała się, że chłopcy Grace Roby zamierzają ją w jakiś sposób wykołować.

Miles wiedział, że pani Whiting zrobiła zapis na jego rzecz w swoim testamentie, ponieważ przed laty sama mu pokazała odnośny paragraf w dokumencie. Nie mógł natomiast wiedzieć, jak to słusznie zauważył David, czy ten zapis nadal się tam znajdował albo czy nie został zmieniony. Było to oczywiście możliwe, ale on nadal utrzymywał, przynajmniej przed swoim bratem, że skoro pani Whiting powiedziała, iż zostawi mu restaurację, to na pewno tak zrobi. Jednakże sam przed sobą musiał przyznać, że byłoby to całkowicie zgodne z charakterem starej damy, gdyby się okazało, że zrobiła wszystko, by w chwili przejścia interesu przez niego restauracja przedstawiała możliwie jak najmniejszą wartość. A tymczasem na nim spoczywała

odpowiedzialność, by staruszka zmywarka działała, nawet jeśli musiałby ją związać sznurkiem. Tick usadowiła się na blacie naprzeciwko zmywarki, apatycznie przeżuując batonik z pełnego ziarna i czekając, aż zmywarka skończy pracę.

- Znalazłam jeden „kawałek z E.F.” po drodze tutaj - odezwała się, bez większego entuzjazmu w głosie. - Nie najlepszy, ale zawsze coś. W kwiatarni. Jak ci się podobają „Bukiety mieszane na zamówienie”?

To była taka ich gra, w którą grali od jakiegoś roku. Polegała ona na tym, że znajdowali niezamierzony humor w mimowolnych błędach stylistycznych i gramatycznych w miejscowym dzienniku „Empire Gazette”, błędy w reklamach lokalnych sklepów czy wpadki logiczne na szyldach i znakach, jak choćby ten wypisany na ceglany murze, okalającym starą nieczynną fabrykę koszul: „Nie wchodzić! Zakaz bez zezwolenia”. Te odkrycia, które na swój użytek nazywali „kawałkami z E.F.”, dawały im chwile prawdziwej frajdy, a i Tick stawiała się niepokojąco dobra w ich wyszukiwaniu. W zeszłym miesiącu, podczas wizyty w Fairhaven, wypatrzyła zabawną wywieszkę na zewnątrz jednej knajpki, o której plotkowano, że była miejscem spotkań gejów, a której wejście od frontu akurat remontowano. Napis na wywieszce głosił: „Wejście od tyłu”. Miles był zaskoczony, że jego szesnastoletnia córka potrafi dostrzec w tym humor, ale jednocześnie był z niej dumny. Z drugiej strony, czasem nachodziły go podejrzenia, czy Janine nie ma przypadkiem racji. Bo Janine od samego początku sprzeciwiała się tej ich grze, uważając, że jest to jeszcze jedna sposobność, by tych dwoje mogło okazywać swoją wyższość nad innymi, a zwłaszcza, oczywiście, nad nią.

- Masz dobre oko - Miles pokiwał głową z uznaniem. - Przy okazji przyjrzyj się temu, co znalazłaś.

Zasadą było, że zawsze sprawdzali nawzajem swoje odkrycia.

- Ja to mogę zrobić - zaferowała się Tick, widząc, że ojciec zabiera się za usuwanie z talerzy resztek jedzenia do kubła na śmieci, a potem ustawia je w plastikowym koszyku, szykując następną partię do zmywarki.

- Nigdy w to nie wątpiłem - zapewnił ją ojciec. - Jak było w szkole?

Wzruszyła ramionami.

- W porządku.

Miles zmieniłby w swojej córce naprawdę niewiele, ale jak na jego sposób myślenia zbyt wiele rzeczy w życiu Tick było „w porządku”. Była inteligentnym dzieckiem, potrafiła rozróżnić, co jest doskonałe, a co takie sobie czy też poniżej krytyki, ale jak większość dzieciaków w jej wieku podobne rozróżnienia napawały ją skrajną nudą. Jak ci się podobał film? Był w

porządku. Smakowały ci frytki? W porządku. Jak tam twoja skręcona kostka? W porządku. Wszystko było mniej lub bardziej w porządku, nawet jeśli nie było, nawet jeśli tak naprawdę było źle i do kitu. I co miał począć taki rodzic jak on, kiedy cały wachlarz uczuć, od rozpacz po ekstazę, można było skwitować jednym krótkim „w porządku”? A jeszcze bardziej niepokoiło go podejrzenie, że owo „w porządku” było wymyślone specjalnie po to, żeby urwać czy nie dopuścić do rozmowy, i było używane w nadziei, że osoba, która zadawała pytanie, po prostu da sobie spokój.

Miles z czasem zrozumiał, że chwyt polegał na tym, żeby nie rezygnować. Po prostu nie należało zadawać zbyt wnikliwych pytań, gdyż i one mogły się spotkać z podobnym monosylabicznym unikiem. Należało zachować milczenie, na tym polegał chwyt. Jeśli był w tym jakiś chwyt.

- Mam nową koleżankę - wydusiła wreszcie jedno pełne zdanie Tick, gdy zmywarka z podskokiem zatrzymała się i umilkła. Dziewczynka podniosła kłapę, żeby wyjąć stojak z czystymi naczyniami.

Miles opłukał ręce i podszedł do Tick, która ustawiała jeszcze ciepłe talerze na miejsce. Zdjął jeden z półki i przyjrzał mu się pod światło, by z ulgą stwierdzić, że jest lśniąco czysty. Staruszka zmywarka jeszcze trochę pożyje.

- Candance Burke. Jest ze mną w jednej grupie na zajęciach z plastyki. Ukradła dzisiaj nóż do papieru, wiesz, taki exacto.

- Po co?

Tick znowu wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Może dlatego, że sama nie ma takiego. Kiedy mówi, każde zdanie zaczyna od: „O mój Boże, o mój Boże”. Na przykład: „O mój Boże, o mój Boże, tusz do rzęs mi się rozmazał”. Albo: „O mój Boże, o mój Boże, jesteś jeszcze chudsza niż w zeszłym roku”.

Akurat to ostatnie stwierdzenie, jak podejrzewał Miles, nie było czysto teoretycznym przykładem. Tick, zawsze chuda jak patyk, często była podejrzewana o anoreksję. W zeszłym roku wezwano ją nawet do gabinetu lekarskiego, gdzie ją dokładnie wypytano o nawyki żywieniowe. Miles i Janine też zostali wezwani w tej sprawie. Wszystko to zdarzyło się, zanim jeszcze Janine sama straciła sporo kilogramów, dlatego zarówno ona, jak i Miles, siedząc w maleńkim szkolnym gabinecie, zdawali się poświęcać swoim wyglądem, że rzeczywiście Tick w żaden sposób nie mogła dojść do swej smukłej jak trzcina sylwetki całkiem uczciwie.

Miles spróbował sobie przypomnieć, czy zna tę Candance Burke. W mieście było kilka rodzin o nazwisku Burke.



- Jak ona wygląda?
- Jest gruba.
- Trochę czy bardzo.

- Jest tak gruba, jak ja jestem chuda.

- Czyli, innymi słowy, nie za bardzo? - zaryzykował Miles. W okresie dojrzewania jego córka nie najlepiej przyjmowała komplementy. Prawda była taka, że Miles uważał ją za absolutnie prześliczną dziewczynę i nieraz próbował jej wytłumaczyć, że jeśli nie ma większego powodzenia u chłopców, to dzieje się tak wyłącznie z powodu jej inteligencji i bystrego umysłu.

- Ciekaw jestem, z których to Burke'ów jest ta twoja przyjaciółka?

Tick wzruszyła ramionami.

- Mieszka ze swoją mamą i nowym przyjacielem mamy przy Water Street. Twierdzi, że my dwie mamy ze sobą mnóstwo wspólnego. Myślę, że jest zakochana w Zacku. Wciąż powtarza: „O mój Boże, o mój Boże, ależ on jest przystojny. Jak ty to możesz znieść? No wiesz, mam na myśli, że kiedyś był twoim chłopakiem, a teraz już nie jest”.

- A powiedziałaś jej, że niewiele straciłaś?

Nawet teraz, w kilka miesięcy po tym, jak zerwali ze sobą, Miles na najmniejszą wzmiankę o Zacku Mintym, dawnym chłopaku Tick, wciąż zaciskał zęby. Miał szczerą nadzieję, że Donny, którego Tick poznała podczas pobytu na Vineyard, uwolni w końcu jego córkę od uczucia, jakie może jeszcze żywiła do chłopaka, przed którym, tak samo jak przed jego ojcem i dziadkiem, trzeba było mieć się ciągle na baczności.

Milczenie córki bynajmniej go nie uspokoiło.

- Chodzi o to - powiedziała w końcu - że odkąd nie jestem już z Zackiem, nie mam żadnych przyjaciół.

Dwie najlepsze przyjaciółki Tick wyprowadziły się w ciągu ostatniego półroczka.

- Nie licząc Candance - zauważył Miles.

- O mój Boże, o mój Boże - zawołała z udawanym przerażeniem. - Zapomniałam o Candance.

- I zapomniałaś o mnie - powiedział Miles.

Tick wzruszyła ramionami, całkiem już poważna.

- Tak, wiem.

- I o twoim wujku Davidzie.

Zmarszczenie czoła, wzruszenie ramion i przepaszające:

- Tak, wiem.

- I o mamie - dodał Miles.

Ledwie widoczny grymas.

Gdy wreszcie przestał dalej nalegać, pozwoliła mu się objąć ramieniem, poddając się bezwolnie jego niezręcznemu uściskowi. Zwykle jeśli zdążyła wyczuć w porę, że zaraz nastąpi ten jego uścisk niedźwiedzia, ustawiała się bokiem do niego, tak że jedno jej ramię wbijało mu się pod żebro. Dopiero Janine uświadomiła mu, że prawdopodobnie ich córka odczuwa ból w dość późno jak na jej wiek rozwijających się piersiach. Przy okazji Janine dała mu jasno do zrozumienia, że jeśli o nią chodzi, to jej nigdy specjalnie nie zależało na tych uściskach.

- Wiem, wiem, nie takich przyjaciół miałaś na myśli - Miles przyznał córce rację. - Ale nie możesz mówić, że nie masz nikogo.

Głośne pociągnięcie nosem, wciśniętym w jego koszulę.

- Tak, wiem.

- Napiszesz do Donny'ego?

- Po co? I tak go nigdy więcej nie zobaczę.

Teraz Miles wzruszył ramionami.

- Kto wie?

- Ja - powiedziała, odsuwając się od niego. - I ty.

Pozwolił jej wrócić do rozładowywania zmywarki.

- Masz coś zadane do domu?

Pokręciła głową.

- Chcesz, żebym przyszedł za parę godzin i zawiózł cię do domu?

- Mama powiedziała, że po mnie wpadnie - odparła. - A jak zapomni, to ten kretyn może to zrobić.

- Hej - zawołał Miles ostrzegawczo, a potem wyczekał, aż odwróci się i spojrzy na niego. - Spokojnie. On się stara. On po prostu nie bardzo wie, jak... co się robi w twojej obecności.

- Najlepiej by zrobił, gdyby umarł.

- Tick!

- A ty? Dlaczego po prostu nie powiesz prawdy i nie przyznasz, jak bardzo go nienawidzisz?

Dlaczego? Ponieważ bał się, że mogłoby się na tym nie skończyć, oto dlaczego. Ponieważ kiedyś, gdy David wspomniał o tym, że morderstwo mogłoby położyć kres codziennym wizytom Srebrnego Lisa w restauracji, Miles niemal to sobie wyobraził.

- Hej tam, stary druhu - zawołał gromkim głosem Walt Comeau, kiedy Miles wyłonił się z kuchni. - Podejź tu na sekundę.

Miles zauważył, że Walt zdjął koszulę z długimi rękawami i został w samym T-shircie. Zawsze nosił białe T-shirty z logo swojego fitness klubu na lewej piersi i zawsze były to podkoszulki o numer za małe, tak żeby każdy mógł podziwiać jego muskularny tors i bicepsy, wcale pokaźne pomimo pięćdziesiątki na karku. Rzeczywiście, David się nie pomylił. Srebrny Lis już ustawiał łokieć na kontuarze, zamierzając wyzwać go na rękę.

- Chwileczkę - odrzyknął Miles, po czym zwrócił się do Davida, który właśnie podawał serwetki Horacemu, by włożył je do serwetników. - Masz pomoc na dzisiejszy wieczór?

- Będzie Charlene - odparł David. - O, zdaje się, że właśnie przyjechała.

- Chcesz, żebym i ja wpadł później?

- Nie.

Miles wzruszył ramionami. David uśmiechnął się do niego.

- Wymkniesz się tylnymi drzwiami, co?

- Zgadłeś.

Na podwórku za restauracją pierwsze miejsce tuż za śmietnikiem zajmowała dziesięcioletnia jetta Milesa, a zaraz obok niej stał jeszcze starszy i bardziej zniszczony hyundai excel, należący do Charlene. Miles postarał się narobić swoim wyjściem dość rumoru, żeby jej nie przestraszyć, ale ponieważ radio Charlene nastawione było na cały regulator, i tak podskoczyła, kiedy stanął przy jej drzwiach.

- Chryste, Miles - jęknęła, wypuszczając powietrze przez zaciśnięte zęby w sposób typowy dla palaczy trawki. Przez opuszczoną szybę wydostał się na zewnątrz słodki dym wraz ze starą piosenką Rolling Stonesów. - Chcesz, żebym zawału przez ciebie dostała, czy co? Już myślałam, że to ten stary policyjny dupek.

Co mówiąc, miała na myśli Jimmy'ego Minty.

- Przykro mi - rzekł Miles, chociaż w rzeczywistości wcale nie było mu aż tak bardzo przykro. Większość kobiet reagowała na niego podobnie. Janine postawiła sprawę całkiem jasno. „Tylko nie wyobrażaj sobie, że udało ci się mnie zaskoczyć, Miles, nic podobnego” - powiedziała, przyjmując jego oświadczenia. Oświadczenia te były z całą pewnością zaskoczeniem dla niego, i tylko dlatego pomyślał wówczas, że dla niej również mogły okazać się niespodzianką. Ale Janine nie była ani zaskoczona, ani zdumiona. Najbardziej Przezroczysty Człowiek Świata - tak go nazywała. „Niech ci przypadkiem nie wpadnie kiedyś do głowy, że mógłbyś prowadzić życie kryminalisty - pouczała go. Ledwie podejmiesz decyzję o napadzie na bank, a

gliny będą wiedziały prędzej od ciebie, o który bank ci chodzi”.

- Jak minął tydzień? - zwrócił się do Charlene.
- Pomalutku - odparła. - Chociaż wieczorami było więcej zamówień.
- Już od jakiegoś czasu tak jest.
- Trochę młodych zjeżdża się powoli do college'u.

Kolacje były stosunkowo nową rzeczą. Aż do zeszłego roku restauracja otwarta była tylko w porze śniadania i lunchu, ale David zaproponował, żeby w weekendy wydłużyć godziny otwarcia aż do wieczora i spróbować przyciągnąć inną klientelę, co było pomysłem niezgodnym z wolą pani Whiting, która obawiała się, że mogą przez to stracić swoich starych wiernych bywalców. Miles jednak zdołał ją przekonać, że to co stare i wypróbowane, to już w przeważającej mierze przeszłość. Ostatecznie zgodziła się, acz niechętnie, ale dopiero wtedy, gdy jej obiecał, że nie będą prosić o dodatkowy budżet na reklamę, że nie wprowadzą żadnych innowacji w dotychczasowych jadłospisach, serwowanych rano i po południu, ani nie będą próbowali jej naciskać o kosztowne zmiany wyposażenia wnętrza, by zadowolić gustu nowej, bardziej wyrafinowanej wieczornej klienteli.

Na propozycję Davida zaczęli zapraszać studentów, którzy w zamian za darmowy obiad pisali o nich do gazety uniwersyteckiej. Uniwersytet był oddalony o siedem mil, znajdował się w Fairhaven, i nawet Miles nie bardzo wierzył, że jacyś studenci pokuszą się o to, by pokonywać taki dystans. Na pewno nie w sytuacji, gdy rodzice i tak już musieli wyłożyć ponad dwadzieścia pięć baniek rocznie na czesne, akademik i wyżywienie. Ale najwidoczniej na takie rzeczy pieniądze zawsze się znajdowały. A kiedy studenci zaczęli jednak odwiedzać Empire Grill, wśród zaparkowanych samochodów zdarzały się - rzadko bo rzadko, ale jednak - takie marki, jak BMW czy Audi. W wakacje trochę się przerzedziło, po tym jak ta luksusowa kawalkada odjechała do Massachusetts i Connecticut, ale piątkowe i sobotnie wieczory nadal miały na tyle dobrą frekwencję, że warto było utrzymać późniejsze godziny otwarcia. Inny pomysł Davida również się sprawdził: w tygodniu restauracja obsługiwała prywatne przyjęcia.

- Jak uważasz, poradzicie sobie sami z Davidem dziś wieczorem?
- Z zamkniętymi oczami. Kolacja na dwadzieścia osób.
- W porządku - rzekł Miles, który nie do końca potrafił ukryć rozczarowanie faktem, że nie jest potrzebny.

Charlene chyba to zrozumiała, bo zmieniła temat.

- Jak tam, wakacje się wam udały?  
- Było wspaniale - odrzekł. - Tylko obawiam się, że trochę za głośno wyrażałem zachwyty, bo teraz Walt siedzi tam i obmyśla, jak by na wyspie otworzyć fitness club.

- Widziałam jego wóz przed restauracją - powiedziała. - Chcesz, żebym tam poszła i mu obciągnęła?

- Proszę bardzo, jeśli tylko masz ochotę. - Miles dobrze wiedział, że kto jak kto, ale ona na pewno by dopięła swego. W wieku czterdziestu pięciu lat Charlene wciąż była więcej niż stuprocentową kobietą, za którą jeszcze niejeden młody chłopczek z college'u poszedłby jak w dym. - Ja i tak się stąd zmywam.

- Nie powinienes na to pozwolić, Miles. Żebyś musiał przez tego faceta tak się wymykać.

- Nawet jestem mu wdzięczny, że tu się pojawia. Gdyby nie on, pewnie bym się na krok nie ruszył z tej budy.

Odkąd byli z Janine w separacji, Miles kwaterował w mieszkanku nad restauracją. Planował, że je wyremontuje, ulepszy, ale minęło sześć miesięcy, a on niewiele tam zrobił. Połowę przestrzeni wciąż zajmowały rozmaite kartony, przeniesione tu z piwnicy w czasie powodzi. Miles podejrzewał również, że coś szwankuje z ogrzewaniem, bo kiedy robiło się zimno, często budził się z silną migreną i zawrotami głowy, na wpół zaczadzony. W kwietniu tego roku nawet wahał się przez moment, czy nie poprosić Janine, żeby mu pozwoliła zainstalować się w dodatkowej sypialni, dopóki te bóle głowy nie miną, ale kiedy pojechał do niej w tej sprawie, odkrył, że Srebrny Lis właśnie się tam wprowadził na dobre. Doszedł do wniosku, że z dwójga złego już lepiej się zaczadzić w pokoiku nad restauracją.

- No, dobra, jeśli się gdzieś wybierasz, to zrób to teraz, a mnie pozwól w spokoju dokończyć mojego skręta - powiedziała Charlene.

- Nie krępuj się, pal. Kto ci zabrania?

- Ty. Wiesz, że się krępuję, paląc trawkę w twoim towarzystwie.

Ponieważ zabrzmiało to z lekka obraźliwie, Miles postanowił zapytać dlaczego.

- Bo należysz do tego typu ludzi, co to nie potrafią tak do końca ukryć swojej dezaprobaty.

Miles westchnął. Obawiał się, że musi to być prawda. Janine zawsze mówiła to samo. Mimo wszystko to dziwne, jak inni ludzie widzą człowieka. Miles zawsze myślał o sobie jako o wzorze tolerancji.

Wracając późnym popołudniem z wizyt domowych u chorych z parafii, ojciec Mark natknął się na Milesa, który stał na podwórzu za kościołem św. Katarzyny, zapatrzony w wierzchołek wieży. Jako mały chłopiec Miles uwielbiał wspinaczkę i był tak nieustraszony, że matkę przyprawiał tym o parkosyzmy strachu. Kiedy zbliżała się pora obiadu, wychodziła na podwórko, by zawołać chłopca do domu, i oczywiście szukała go, błędząc wzrokiem w poziomie - a on uwielbiał wtedy nagle zawołać gdzieś z góry, zmuszając ją, by uniosła głowę i odnalazła go wysoko pośród gałęzi na tle błękitnego nieba, na co niezmiennie reagowała tak samo, szczupłą dłoń kładąc na ustach. W owym czasie był przekonany, że musiała być pozbawiona daru pamięci, skoro za każdym razem oczekiwała, że zobaczy go na dole, gdy tymczasem on, jak zwykle, siedział na drzewie. Teraz, kiedy sam był ojcem, rozumiał, jak bardzo musiała się o niego lękać. Nie spoglądała w górę z tej prostej przyczyny, że było tam zbyt wiele drzew, zbyt wiele gałęzi, zbyt wiele niebezpieczeństw. Dopiero gdy Miles zręcznym ruchem zsuwał się z wysoka i bezpiecznie lądował u jej stóp, była w stanie się uśmiechnąć, ale zaraz zaczynała go napominać, wymuszając kolejną obietnicę, której i tak nigdy nie miał dotrzymać. Jesteś stworzony do wspinaczki, przyznawała po drodze do domu. Aż boję się pomyśleć, jak wysoko będziesz się wspinał, gdy dorosisz!

A teraz przyszedł czas, że to Miles bał się nawet o tym pomyśleć. O wspinaniu się gdziekolwiek. Nie wiedzieć kiedy zaczął się panicznie obawiać wysokości, a na samą myśl, że miałby pomalować wieżę kościoła, ugięła się pod nim kolana.

- Kiedy byłem mały - odezwał się ojciec Mark - myślałem, że tam mieszka Bóg.

- Na wieży? - zdziwił się Miles.

Ojciec Mark skinął głową.

- Tak. A jak śpiewaliśmy hymny, to wydawało mi się, że wołamy do Niego, by zszedł stamtąd i stanął pośród nas. I ta dosłowna bliskość, którą sobie wyobrażałem, była w jakiś sposób kojąca. - Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie na powitanie. Miles już wcześniej przebrał się w rzeczy pochłapane farbą, ale ponieważ jeszcze nie zabrał się do roboty, ubranie było suche. Gdy wychodził z restauracji, było jeszcze pogodnie, ale po południu niebo się zachmurzyło. - Bóg we własnej osobie... - powtórzył ojciec Mark. - Zaledwie parę pięter wyżej... tak blisko.

- A ja właśnie rozmyślałem nad tym, jak niebotycznie wysoka jest ta wieża - przyznał się Miles. - No, ale ja miałem na myśli jej malowanie.
- To oczywiście zmienia postać rzeczy - zgodził się ojciec Mark.
- Ściśle rzecz biorąc, nie tyle rozmyślałem o malowaniu, ile o spadaniu stamtąd.

Interesujące, pomyślał Miles. Podobnie jak on, ojciec Mark, będąc dzieckiem, znajdował pocieszenie w myśli, że Bóg jest blisko, podczas gdy dorośli, być może dlatego, iż tak często czynią zło, znajdują raczej pocieszenie w fakcie, że Bóg jest od nich tak bardzo daleki. Chociaż Miles nie myślał o sobie jako o złym człowieku, on sam również wołał wizję Boga wszechmiłującego niż Boga wszytkowiedzącego. Lubił go sobie wyobrażać jako osobę podobną do swojej matki, wiecznie zaaferowaną ogromem obowiązków, zbyt zmęczoną na to, by mieć siły i głowę przez cały dzień pilnować nadmiernie ruchliwego chłopca. Matka jednak z miłości i obawy o jego bezpieczeństwo, kiedy tylko mogła, sprawdzała, co się z nim dzieje. Czy było to aż takie niedorzeczne? Na pewno Bóg też musi mieć na swej głowie mnóstwo innych spraw, oprócz Człowieka, tak jak rodzice mają rozmaite obowiązki, oprócz wychowywania swego potomstwa. Milesowi podobała się wizja Boga, który w chwili wolnej od zajęć nagle przygląda się swojej dziatwie, kręci głową ze zdumieniem i mruży: „O mój Boże, popatrzcie tylko, co też tam się wyprawia”. Taki trochę roztargniony Bóg, co to pewnie byłby zaskoczony widząc, ile z jego dzieci wpakowało się gdzieś wysoko na drzewa, odkąd zaglądał do nich ostatnim razem... I jeszcze taki, któremu ręka sama powędrowałaby do ust z przestachu, gdyby zobaczył, że - ależ na litość Boską! - jeszcze chwila, a ten czy tamten dzieciak naprawdę zrobi sobie krzywdę. A kto wie, który może nawet sam byłby zdziwiony czując, jak niespodziewanie ogarnia go duma i radość, że chłopak taki jak Miles istotnie jest stworzony do wspinaczki.

Po namyśle Miles musiał przyznać, że taka wizja boskości to naiwna mrzonka. Bo kiedy Bóg naprawdę spogląda z góry na swoje nieznośne dzieci, zazwyczaj robią one o wiele gorsze rzeczy niż łażenie po drzewach.

Gdyby jednak miało się okazać, że ów zatroskany Bóg istnieje i zmartwia się tym, że Miles mógłby sobie zrobić coś złego, to teraz już nie potrzebował się obawiać. Bo chociaż tak dobrze się zapowiadał, Miles nie zaszedł wysoko, nie wspiął się na żadne wyżyny. A obecnie, w wieku czterdziestu dwóch lat, odczuwał lęk wysokości - odczuwał go nawet, jadąc szklaną windą, i to do tego stopnia, że nie chciał się odsunąć od stalowych drzwi, żeby przepuścić innych pasażerów.

- O ile pamiętam, umówiliśmy się, że nie będziesz wchodził na wieżę - powiedział ojciec Mark.

- Chyba tak.

Początkowo Miles sądził, że jak sam pomaluje kościół, to zaoszczędzi parafii sporo pieniędzy, ale obaj budowlańcy, z którymi rozmawiał o pomalowaniu wieży, chcieli za to niemal tyle samo, ile wzięliby za całość. Byli urażeni, że wziął na siebie wykonanie bezpiecznej części roboty, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że ta część, której on nie chce, jest częścią, której nikt nie chce, a więc musi słono kosztować. Oczywiście tej prawdy strasznie Milesowi doskwierała.

- Problem polega na tym - zwrócił się Miles do księdza - że ilekroć spojrzę w górę, ta wieża sterczy tam jak oskarżenie.

- Wobec tego nie patrz tam.

- Nie ma co, świetna rada jak na osobę duchowną - obruszył się Miles, spoglądając w górę i czując na twarzy pierwszą kroplę deszczu.

Ojciec Mark zwrócił wzrok w tym samym kierunku i on również poczuł pierwsze krople deszczu.

- Chodźmy tymczasem do „odbytnicy”, napijemy się kawy - zaproponował. - Opowiesz mi o swoich wakacjach.

Odkąd Miles zwierzył się ze swojej wpadki z czasów chłopięcych, kiedy to pomylił „rektorat” z „rectum” - „plebanię” z „odbytnicą” - ojciec Mark, równie zachwycony i ubawiony tym lapsusem jak w swoim czasie ubawiona była Grace Roby, chętniej stosował tę nazwę na określenie plebanii niż oficjalną nomenklaturę, nawet jeśli czasami wymykała mu się ona w sytuacjach mało stosownych. Takich, jak choćby ta na początku lata, kiedy na zakończenie mszy zaprosił wszystkich parafian, aby dołączyli do niego i ojca Toma na szklaneczkę lemoniady, która zostanie podana „na trawniku za odbytnicą”.

Plebania Św. Katarzyny należało do ulubionych miejsc Milesa. Była jasna i słoneczna o każdej porze roku, ciepła w zimie, przewiewna latem, ale przypuszczalnie główną rolę w tym upodobaniu Milesa odgrywał fakt, że ojciec Tom - który przeszedł już wprawdzie na emeryturę, ale wciąż rezydował na plebanii - nigdy nie pozwalał wchodzić tam dzieciom. Jeśli o to chodzi, to matka Milesa też nie została nigdy zaproszona do środka, tak więc możliwe, iż właśnie owo poczucie niedostępności dodawało temu miejscu atrakcyjności. Wszystkie pokoje na parterze były obszerne, wysoko sklepione, o wąskich oknach, pozbawionych zasłon, co pozwalało przechodniom rzucić okiem na uprzywilejowane życie, jakie toczyło się wewnątrz. W jadalni, usytuowanej od frontu, znajdował się dębowy stół,



wystarczająco długi, by mogło usiąść przy nim dwudziestu gości, chociaż ilekroć Miles przechodził tamtędy z matką w sobotnie wieczory po spowiedzi, widział zawsze tylko samego ojca Toma, jak siedział po królewsku u szczytu stołu, obsługiwany przez swoją gospodynię, niejaką panią Dumbrowski. W tamtym czasie na plebanii mieszkało zwykle dwóch, czasem trzech księży, ale w soboty ojciec Tom lubił jadać wieczorny posiłek wcześniej, nie czekając na młodszego kolegę, któremu zwykle przypadają w udziale ostatnie spowiedzi. Przechodząc tamtędy, matka Milesa nieraz mówiła, że jej się to wydaje nadzwyczaj smutne, ale Miles jakoś nie widział w tym nic niezwykłego, przeciwnie, nie mógł się nadziwić, dlaczego ten widok tak poruszał matkę. Po powrocie do domu przeważnie nie zastawali ojca, który zdążył już zjeść swoje kanapki na kolację i wyjść do pobliskiego pubu.

Dla młodego Milesa ta zakazana plebania, tak pełna ciepła i światła, drewna i książek, wydawała się jakby z innego świata, i zawsze wyobrażał sobie, że człowiek musi być bardzo bogaty, żeby zostać takim księdzem. To romantyczne spojrzenie na profesję księdza towarzyszyło mu przez wiele lat. Jeszcze w szkole średniej poważnie rozważał, czy nie przyjąć sakramentów i nawet teraz nieraz się zastanawiał, czy mimo wszystko nie minął się z powołaniem. Janine też tak uważała. Według niej każdy mężczyzna, który miał w sobie nie więcej popędu seksualnego niż Miles Roby, lepiej by zrobił, od razu decydując się na celibat, przynajmniej postawiłby sprawę jasno, a nie zwodził biedne dziewczęta, takie jak ona.

Ojciec Mark i Miles nigdy nie pijali kawy w jadalni, którą Miles tak podziwiał jako chłopiec, zamiast tego woleli kuchnię z jej przytulnym kąciem śniadaniowym, który trochę przypominał wnęki ze stolikami, jakie znajdowały się pod frontowymi oknami w jego restauracji.

Ojciec Mark wysypał herbatniki na talerzyk, który postawił na laminowanym blacie stołu, a następnie nalał dla każdego z nich po kubku kawy. Mimo iż był dopiero pierwszy tydzień września, w powietrzu czuło się już jesień, a chłodny powiew wiatru poruszał koronkowymi firankami w otwartym oknie. Deszcz ustał, jak tylko weszli do „odbytnicy”, niebo jednak wciąż było zachmurzone. W ogóle dni były coraz krótsze, pozostawiając Milesowi mniej czasu przed zmierzchem na malowanie kościoła. Dlatego starał się wychodzić z restauracji około trzeciej po południu, ale i tak nim zdążył się przebrać i rozstawić drabinę, było już co najmniej wpół do czwartej. A w pochmurne dni dobre światło już o szóstej się kończyło i trzeba było przerywać robotę. Szczerze mówiąc, prawdziwym winowajcą był nie tyle coraz krótszy dzień, ile przedłużające się przerwy na kawę z ojcem Markiem,

który w tej chwili wsunął się na ławkę naprzeciwko Milesa.

- Widać, że wakacje dobrze ci zrobiły - zauważył.

- To prawda. Poza tym w porcie na Vineyard jest ładna kaplica. Prawie codziennie rano byłem na mszy. Tick jeździła ze mną, co było jeszcze miłe.

Jedyną dobrą rzeczą, jaka wynikała z rozvodu rodziców, czego Tick nie omieszkła natychmiast zauważyć, było to, że przynajmniej nie musiała już chodzić do kościoła, zwłaszcza odkąd jej matka zastąpiła katolicyzm aerobikiem. Ale prawdopodobnie Tick dlatego twierdziła, że jest agnostyczką, ponieważ takie poglądy pozwalały jej wysypiać się do woli w niedzielne poranki. Miles miał dość rozumu, by jej do niczego nie zmuszać, nie zrobił tego również na wyspie Vineyard, dlatego tym większą przyjemność mu sprawiało, gdy rano sama zwlekała się z łóżka, wciąż na wpół śpiąca, żeby mu towarzyszyć. Pod koniec mszy była już w pełni obudzona, a po kościele oboje z przyjemnością zjadali po muffince w kawiarni na świeżym powietrzu, nim ruszyli z powrotem do domu Petera i Dawn, by resztę leniwego dnia spędzić na plaży. Po powrocie do Maine Miles zapytał córkę, czy nie myśli, że mogłaby znowu zacząć chodzić do kościoła, skoro już raz wróciła do dawnego nawyku, ale ona była innego zdania. Odparła, że łatwiej było wierzyć w Boga, albo przynajmniej w możliwość istnienia Boga, na Martha's Vineyard niż w Empire Falls. Miles zrozumiał, co miała na myśli, wyczuł jej gorzką ironię. Połowa samochodów na parkingu przed kaplicą na wyspie były to mercedesy albo lexusy. Nic dziwnego, że ich właściciele wierzyli, iż Bóg istnieje w tym swoim niebie.

- No, i naturalnie - dodał na zakończenie Miles - Peter i Dawn przez cały czas okropnie ją rozpieszczali.

- Jeszcze bardziej niż ty?

- Tysiąc razy bardziej - odparł Miles, przeżuując herbatnika. Dziwne, apetyt nigdy mu bardziej nie dopisywał niż w te późne popołudnia na plebanii św. Katarzyny. W restauracji, otoczony produktami spożywczymi przez cały dzień, często zapominał zjeść, podczas gdy tutaj, jeśli świadomie się nie pilnował, spokojnie mógłby wykończyć cały talerzyk ciastek.

- Albo niemal tak bardzo - mówił dalej - jak ja bym ją rozpuszczał, gdybym miał do tego odpowiednie środki. Zresztą, prawdę mówiąc, obojgu nam dogadzali. Wyśmienite jedzenie. I co wieczór do kolacji butelka wina po dwadzieścia dolarów sztuka.

- Musiałeś się dziwnie czuć bez Janine.  
- Ona też była zaproszona - odrzekł Miles, sam zaskoczony defensywną nutą w swoim głosie.

- Nie powiedziałem, że nie, Miles.

- I bez niej było tam mnóstwo innych rzeczy, które zajmowały moje myśli. Ich dom stoi na skrawku prywatnej plaży, gdzie dosłownie co druga kobieta opala się nago. Podejrzewam, że kiedy nas tam nie ma, Peter i Dawn też tak robią. No bo przecież gdyby Dawn miała na ciele jakieś ślady po opalaniu się w kostiumie, na pewno bym zauważył.

- A Peter? - spytał ojciec Mark. - Czy on miał takie ślady?

- Nie przyszło mi na myśl, żeby sprawdzić - odparł Miles z uśmiechem.

Ojciec Mark również odpowiedział uśmiechem.

- Prawdziwy z ciebie manichejczyk, Milesie. Rano jedziesz do kościoła w poszukiwaniu Boga, a po południu na plażę, by obserwować opaleniznę na ciele żony przyjaciela. Nic to, przypomnij mi, czym to się oni zajmują?

- Piszą scenariusze do sitcomów telewizyjnych. W przyszłym tygodniu zamykają dom na zimę i wracają do Los Angeles. Powinieneś zobaczyć ten ich dom, który stoi zamknięty na cztery spusty przez dziesięć miesięcy w roku.

Ojciec Mark skinął głową, nic jednak nie odpowiedział. Znając polityczne zapatrywania księdza, Miles wiedział doskonale, że nie pochwała on osobistego bogactwa, nie mówiąc już o nadmiernej konsumpcji.

- Peter powiedział mi dziwną rzecz - ciągnął Miles, mimo iż obiecywał sobie, że nikomu o tym nie wspomni. - Powiedział, że jego i Dawn zawsze dziwiło, jak to było możliwe, że Janine i ja tak długo byliśmy ze sobą, biorąc pod uwagę, jak bardzo nam się nie układało. Przez lata podziwiali nas za to, w jaki sposób staraliśmy się rozwiązywać nasze problemy.

Ojciec Mark uśmiechał się w zadumie.

- Nie zapominaj jednak - odezwał się w końcu - jak minimalne są oczekiwania ludzi z Los Angeles, jeśli chodzi o radzenie sobie z kłopotami małżeńskimi.

Miles wzruszył ramionami, zastanawiając się nad uwagą ojca Marka.

- Przypuszczam, że mnie po prostu zaskoczyło, jak inni ludzie nas widzą.

- Masz na myśli niedobre małżeństwo?

Miles milczał przez chwilę.

- Nie, raczej nie to miałem na myśli. Prędzej to, że ludzie uważali nas za nieszczęśliwych. A ja wcale nie byłem aż taki znowu nieszczęśliwy...

A przynajmniej wydawało mi się, że nie jestem. Dlatego to takie dziwne, kiedy przyjaciele mówią człowiekowi coś takiego. Chodzi mi o to, że gdybym był aż taki nieszczęśliwy, to przecież musiałbym o tym wiedzieć, правда?

- Możliwe - odparł ojciec Mark. - Ale niekoniecznie.

Miles westchnął.

- Janine wiedziała. Muszę jej to oddać. Ona przynajmniej wiedziała, co czuła.

W hallu dało się słyszeć szuranie pantofli. Ojciec Mark przymknął oczy, jakby poczuł zbliżającą się migrenę. W chwilę później do kuchni zajrzał ojciec Tom, z potarganymi siwymi włosami i przekrzywioną koloratką. Obrzucił Milesa groźnym wzrokiem.

- Przyłączysz się do nas, Tom? - zaproponował ojciec Mark, wyraźnie licząc na to, że tym sposobem zapobiegnie kłopotom. - Zrobię ci kubek gorącego kakao, jeśli obiecasz, że będziesz się grzecznie zachowywał.

Ojciec Tom zwykle bardzo lubił gorącą czekoladę, zwłaszcza kiedy nie musiał jej sobie sam szykować, ale widać było, że tym razem ma znacznie większą ochotę na dobrą awanturę.

- Skąd tu się wziął ten diabelski pomiot? - warknął.

Miles, któremu równie mocno zależało na ułagodzeniu starego księdza, spróbował zerwać się na równe nogi, żeby podać mu rękę na powitanie, co okazało się o tyle trudnym manewrem, że zarówno stół, jak i ławka były przymocowane do podłogi.

- To nie jest żaden diabelski pomiot, Tom - rzekł spokojnie ojciec Mark.

- To tylko Miles, nasz najwierniejszy parafianin. Sam go chrzciliś i udzielałeś ślubu jego rodzicom.

- Dobrze wiem, kim on jest - warknął ojciec Tom. - To zwykły kawał sukinsyna, a jego matka była dziwką. Zawsze jej to mówiłem.

Miles opadł z powrotem na ławkę. Nie był to pierwszy raz, kiedy stary ksiądz, natchniony przez Bogu tylko wiadomą siłą, rzuciwszy jedno spojrzenie na Milesa, raczył go swą jak najgorszą opinią na jego temat, choć trzeba przyznać, że dotąd nigdy nie uwłaczał pamięci jego matki. Prawdopodobnie tak przejawiała się u niego demencja starcza. I drugi już raz tego dnia Milesowi przemknęło przez myśl, jak wielką satysfakcję sprawiłoby mu wysłanie innego człowieka na tamten świat. Tyle że tym razem chodziło o księdza.

- Popatrz tylko na niego. Wystarczy spojrzeć na tę twarz. On dobrze wie, że to prawda - zawołał staruszek, obejmując wzrokiem poplamiony

farbą kombinezon Milesa. - Brudny degenerat, oto kim on jest. I jeszcze wnosi te swoje brudy do mojego domu.

Ojciec Mark westchnął.

- Wszystko ci się pomyliło, Tom. Po pierwsze, to nie jest twój dom.

- Także i mój - obstawał tamten przy swoim.

- Nie, ten dom należy do parafii, jak dobrze o tym wiesz.

Przez chwilę ojciec Tom rozważał niesprawiedliwość podobnego rozwiązania, w końcu jednak wzruszył ramionami.

- A Miles nie jest żadnym degeneratem - ciągnął młodszy duchowny. - Jest pochlapany farbą, ponieważ maluje dla nas kościół, pamiętasz? Za darmo!

Staruszek zerknął najpierw na swego kolegę, a następnie na Milesa. Można się było spodziewać, że jak przystało na człowieka skąpego do przesady, ojciec Tom przyjmie tę wiadomość z wdzięcznością, on jednak nie przestawał spoglądać na Milesa z gniewem, jakby chciał udowodnić, że żaden dobry uczynek nie mógł zatrzeć wrodzonego zła, jakie czało się w jego sercu.

- Może i jestem stary - zgodził się. - Ale i tak wystarczy mi jeden rzut oka, żeby rozpoznać sukinsyna.

Ojciec Mark, którego cierpliwość była na wyczerpaniu, wysunął się zza stołu, wziął staruszka za ramiona i delikatnie lecz stanowczo odwrócił go przodem do siebie.

- Tom - rzekł. - Spójrz na mnie. - A kiedy ten nie przestawał się oglądać na Milesa, ojciec Mark ujął końcami palców jego wysuniętą brodę i obrócił mu głowę w swoją stronę. - Spójrz na mnie, Tom.

Gdy tamten nareszcie to uczynił, wyraz jego twarzy momentalnie się zmienił, zamiast obrzydzenia wyrażając zawstydzenie.

- Tom - powtórzył ojciec Mark. - Pamiętasz, o czym przedtem rozmawialiśmy?

Nawet jeśli pamiętał, to nie dał tego po sobie poznać, przyglądając się ojcu Markowi czerwonymi, zażawionymi oczkami.

- Przykro mi, że nie czujesz się dzisiaj najlepiej, ale tego typu zachowanie jest nie do przyjęcia. Powinieneś przeprosić naszego przyjaciela.

Ojciec Tom przypominał teraz Milesowi skarconego chłopca, którego kochający rodzic upomina za to, że był niegrzeczny. Znowu odwrócił się i spojrzął na Milesa, jakby chciał się przekonać, czy rzeczywiście taki człowiek zasługuje na przeprosiny, po czym przeniósł wzrok z powrotem na ojca Marka, który obserwował go surowo. Patrzyli sobie w oczy tak długo, aż Miles poczuł się nieswojo, ale w końcu ojciec Tom ustąpił.

- Przepraszam - powiedział.

Miles odparł bez wahania:

- Ależ nie ma za co, ojczu. Ja też przepraszam.

I naprawdę czuł, że powinien przeprosić. Niezależnie od satysfakcji, jaką sprawiłoby mu zabicie starego księdza.

- O tak - rzekł ojciec Mark. - Teraz lepiej. Czyż nie jest przyjemniej, kiedy wszyscy jesteście w zgodzie?

Ten wniosek ojciec Tom najwyraźniej uznał za wielce wątpliwy, bo ponownie zaczął się przyglądać Milesowi z natężoną uwagą, nim w końcu potrząsnął głową i głośno szurając nogami, opuścił kuchnię. Miles nie był pewien, ale wydawało mu się, że usłyszał jeszcze jednego „sukinsyna”, który wymknął się z ust ojcu Tomowi już na korytarzu.

Ojciec Mark stał pośrodku kuchni, spoglądając na drzwi, dopóki szuranie całkiem nie ucichło. Twarz młodego księdza nie wyrażała aż takiej tolerancji, jakiej należałoby się spodziewać po osobie duchownej.

- Wszystko w porządku - zapewnił go Miles. - Ojciec Tom i ja znamy się całe życie. On po prostu nie jest teraz sobą.

- Tak sądzisz? - spytał ojciec Mark.

- To nie jego wina, że wymykają mu się takie rzeczy.

- To prawda - przyznał ojciec Mark. - Ciekawe jednak, że aż takie słowa w nim siedzą. Rozumiem, dlaczego mu się wymykają, ale jak myślisz, skąd one się tam wzięły?

- No cóż...

- Tak, tak, wiem - zaśmiał się ojciec Mark. - Odwieczne pytanie, na które odpowiedź znajdujemy już w Księdze Rodzaju. Ale mimo wszystko przykro mi, że tak ci nagadał. Nie mam pojęcia, skąd mu się to bierze. On prawdopodobnie nawet nie pamięta twojej matki.

Miles wiele by dał, by przyjąć taką możliwość za prawdopodobną. Rzekłoby się, umysł starego księdza odmawiał posłuszeństwa. Kłopot w tym, że chyba jednak nie do końca, w oczach księdza Toma bowiem, zwłaszcza gdy dostawał napadu złości, często pojawiał się błysk, który świadczył zarówno o pamięci, jak o inteligencji.

- Prawdę mówiąc, ostatnio często o niej myślę - rzekł Miles. - Sam nie wiem dlaczego.

Naturalnie, wiedział dlaczego. To z powodu wyspy, zresztą podobnie jak każdego lata.

Na dworze znowu zaczęło padać, ale tym razem rozpadało się już na dobre pod niską powalą chmur. Miles odsunął pusty kubek po kawie na środek stołu.

- No tak, nie wygląda na to, żebym dzisiaj mógł pomalować cokolwiek - rzekł, wstając z ławy. Dziwnym trafem talerzyk, dopiero co pełen herbatników, był całkiem pusty. Ostatni kęs tkwił jeszcze Milesowi nieprzyjemnie w przełyku.

Obaj mężczyźni wyszli razem na ganek, gdzie stanęli, wsłuchując się w deszcz.

- Ile dni roboty zostało ci jeszcze na północnej ścianie? - spytał ojciec Mark, przyglądając się kościołowi.

- Ze dwa? - zastanowił się Miles. - Pewnie jutro i pojutrze, jeśli się przejaśni.

- Naprawdę uważam, że powinieneś na tym zakończyć - powiedział z naciskiem ojciec Mark. - Znowu doszły mnie różne słuchy z diecezji. Może się okazać, że w krótkim czasie całkiem wypadniemy z interesu. Podejrzewam, że biedny Tom to jedyna przyczyna, która nas do tej pory jeszcze ratowała.

Już od ponad roku krążyły pogłoski, że parafia św. Katarzyny zostanie połączona z parafią Najświętszego Serca, znajdującą się po drugiej stronie miasta. Empire Falls, gdzie kiedyś mieszkało dość katolików, by ufundować aż dwie parafie, wraz ze stale malejącą populacją zaczęło tracić religijny zapał. Teraz jedynym powodem istnienia dwóch parafii było to, że w Sacré Coeur - pod taką bowiem nazwą Najświętsze Serce było nadal znane większości parafian, w przeważającej mierze francuskich Kanadyjczyków - potrzeba było pastora ze znajomością języka francuskiego. Gdyby nie to, obie parafie można było połączyć w jedną już wiele lat temu. Ojciec Mark miał przeczucie, że parafią, która przetrwa, będzie właśnie Sacré Coeur, on sam natomiast zostanie przeniesiony gdzie indziej. Nie znał francuskiego, gdy tymczasem ojciec Tibideaux był dwujęzyczny.

Jedyny problem, z którym nie bardzo wiedziano, co począć, stanowił ojciec Tom. Jakkolwiek istniały domy dla emerytowanych księży, zwłaszcza dla tych bardzo starych i schorowanych, to jednak jego demencja, oscylująca pomiędzy wulgarnością a zwykłym bluźnierstwem, napelniała diecezję obawą. Umieścić Toma pomiędzy starymi wprawdzie, ale poza tym całkiem normalnymi księżmi, z których większość służyła naprawdę długo i naprawdę dobrze, to poddawać ich wiarę u schyłku życia kolejnej próbie i skazywać ich na przebywanie ze stetryczalym starcem, którego ulubionym słowem był „sukinsyn”. W dodatku ojciec Mark doskonale sobie z nim radził, i nie od rzeczy był fakt, że ojciec Tom przemieszczał na plebanii św. Katarzyny czterdzieści lat i czuł się tu dobrze.

Tak więc w pewnym sensie to był jego dom, właśnie tak jak sam twierdził. No, a poza tym miał w swoim słowniku znacznie gorsze wyrażenia niż „sukinsyn” i gdyby diecezja mimo wszystko zdecydowała się na jego przeniesienie, ojciec Tom mógłby zacząć ich używać. Już i tak jego wystąpienia sprawiły, że kilku parafian ze św. Katarzyny zmieniło wiarę, przechodząc na protestantyzm, a kilku innych wybrało pełen lęku agnostycyzm, i biskup zaczął się obawiać, że mogłoby to mieć równie zły wpływ na innych księży. Nie, wszystko wskazywało na to, że w diecezji panowało zgodne przekonanie, iż mają ojca Toma pod kontrolą, i jak dotąd nie wykazywano inicjatywy, by coś w tej sytuacji zmieniać.

- Czy już ci wiadomo, gdzie mogą cię przenieść? - spytał Miles.

- Nie, na razie nie - odparł ojciec Mark. - Chociaż podejrzewam, że według nich jeszcze nie dość odpokutowałem.

Ojciec Mark miał doktorat z judaizmu i doskonałym miejscem dla niego byłoby, na przykład, Katolickie Centrum Newmana, gdzieś na uniwersytecie albo w college'u. Taką właśnie pozycję zajmował w Massachusetts, nim popełnił ten błąd, że przyłączył się do grupy demonstrantów, która na znak protestu sforsowała ogrodzenie i wdarła się na teren jednostki wojskowej w New Hampshire, gdzie następnie została aresztowana pod zarzutem usiłowania przedziurawienia młotkami pancерnej powłoki atomowej łodzi podwodnej. Ten akt był, zdaniem ojca Marka, czynem symbolicznym, jednak przez komandora bazy, formaliste i służbę, został potraktowany jako akt sabotażu i zdrady. A protest ów nie był jedynym przewinieniem ojca Marka. Oprócz tego, że był duszpasterzem akademickim i wykładowcą w uniwersyteckim Centrum Newmana, ojciec Mark występował również w wieczornym programie radiowym i któreś niedzieli wzbudził gniew swojego biskupa, ponieważ pewnemu młodemu radiosłuchaczowi, który zadzwonił do studia, doradził „pełną miłości monogamię”, i to „niezależnie od jego orientacji seksualnej”, a następnie zalecił, by zaufał Bogu, gdyż Ten jest nieskończenie wyrozumiały i łaskawy. Z młodymi przemądrzałymi księżmi, zwłaszcza tymi o prawdopodobnych inklinacjach gejowskich, którzy trafiali na uczelnie, gdzie zajmowali ciepłe posadki i szafowali nazbyt liberalnymi poglądami, radzono sobie w ten sposób, że kazano im pakować manatki, po czym wysyłano do takiego Empire Falls w stanie Maine, najwyraźniej w nadziei, że tam Bóg skutecznie wymrozi z nich grzeszne chucie.

- Spodziewam się, że nie mają już dla ciebie w zanadru gorszego miejsca niż to - rzekł Miles, jednocześnie próbując sobie wyobrazić, jakie też by ono mogło być.



Ojciec Mark wzruszył ramionami, z uwagą przyglądając się do połowy pomalowanemu kościołowi.

- W gruncie rzeczy nie mogą ci zanadto dokuczyć, jeśli im na to nie pozwolisz. Ja z całą pewnością nie żałuję, że znalazłem się w parafii św. Katarzyny. Okazała się świetną placówką. No, i za nic nie zamieniłbym naszej przyjaźni.

- Tak, wiem - odparł Miles. - Ja również nie. - A po chwili dodał jeszcze: - Ciekaw jestem, co się stanie z tą parafią.

- Trudno powiedzieć. Niektóre z pięknych starych kościołów idą na sprzedaż, a po renowacji przerabia się je na teatry miejskie, centra sztuki i tym podobne sprawy.

- Nie myślę, żeby tutaj się to udało - powiedział Miles. - Empire Falls wykazuje jeszcze mniej zainteresowania sztuką niż religią.

- Mimo wszystko lepiej będzie, jak dokończysz tę północną ścianę, a potem dasz sobie spokój. Jeszcze by się okazało, że to, co malujesz, to przyszły kościół baptystów.

Dom przy Long Street, w którym się wychował, był wystawiony na sprzedaż od ponad roku, ale siedząc w samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy, Miles zastanawiał się, kto mógłby go kupić w obecnym tak opłakanym stanie. Boczny ganek, niebezpiecznie przegniły już za czasów, gdy był chłopcem, został zburzony i nigdy go nie odbudowano; jedynie cztery brzydkie szramy niepomalowanego drewna stanowiły namacalny dowód, że kiedyś tam był. A gdyby ktoś zapragnął teraz wyjść przez drzwi kuchenne, jedyne, jakich kiedykolwiek w życiu używał Miles, znalazłby się sześć stóp nad ziemią, zarośniętą gąszczem chwastów, wyglądających na trujące, wśród których wałały się stosy zardzewiałego żelastwa ze starych samochodów. Cały budynek był szary ze starości i zaniedbania, a ganek od frontu powyginał się po wariacku na wszystkie strony, tak jakby dom stał na grząskim gruncie. Nawet przyczepiony na werandzie napis „Na sprzedaż” wisiał krzywo.

Po śmierci matki dom wynajmowało kolejno kilka rodzin, ale wyraźnie żadna z nich nie była zainteresowana tym, by nie dopuścić do ruiny czy choćby na bieżąco latać zniszczenia. Naturalnie, zwykła przyzwoitość nakazywała Milesowi przyznać, że owo popadanie w ruinę zaczęło się już w czasach, gdy dom był w posiadaniu rodziny Roby. Na schludnej niegdyś ulicy zamieszkiwanej przez klasę średnią dom jego rodziny i zaraz obok dom ich sąsiadów, Mintych, stanowiły dwie pierwsze oznaki przyszłego upadku całej dzielnicy. Ojciec Milesa, chociaż dla zarobku okresowo najmował się do

odnawiania domów innych ludzi, nie był skłonny malować domów, w których przyszło mieszkać jego własnej rodzinie. W miesiącach letnich jechał do roboty na wybrzeże, a w październiku oznajmiał, iż „zamalował się do cna”, chociaż czasem zdarzało się, że coś gdzieś trochę upiększał od niechcienia przez tydzień czy dwa, zmuszony do tego przez właściciela domu, z którym byli umówieni na niższe komorne, w zamian za co Max miał odmalowywać dom i wykonywać niezbędne naprawy, a który najpierw utyskiwał na zły stan budynku, a potem groził, że wyrzuci ich na bruk. Max, wściekły z powodu takiego dosłownego trzymania się umowy, odgrywał się na nim, malując dom na pół tuzina kolorów, niedopasowanych do siebie, używając farb wyskrobanych z dna puszek, jakie mu zostawały z jego licznych sezonowych robót. W piwnicy domu Robych zawsze pełno było takich galonowych puszek z krzywo nasuniętymi pokrywkami, porozstawianych na podłodze, podobnie jak upchniętych na półkach z wilgotnych, przegniłych desek otwartych słoików z terpentyną, która wydzielala straszny smród, przenikający na górne piętra. Miles był chyba w czwartej klasie, gdy jeden z jego przyjaciół zadał mu pytanie, jak to jest mieszkać w takim śmiesznym domu, pytanie, które on powtórzył nie ojcu, odpowiedzialnemu za tę cyrkową sytuację, lecz matce, na co ona najpierw się zarumieniła, potem zrobiła taką minę, jakby miała zaraz wybuchnąć płaczem, a następnie wybiegła do sypialni, zatrzasnęła drzwi i tam dopiero rzeczywiście się rozplakała. Później, z zaczerwienionymi oczyma, wyjaśniła chłopcu, że to, co jest wnętrzem domu (mając zapewne miłość na myśli), ma większe znaczenie niż to, co na zewnątrz (czyli farba, najchętniej w jednym kolorze). Jednak kiedy Miles położył się spać, długo w noc słyszał, jak rodzice kłócą się, a poczawszy od tamtego dnia Max nigdy więcej nie pomalował już domu. Teraz pstrokate warstwy wypłowiwały i nabrały jednolitego odcienia szarości.

Miles siedział w samochodzie może z minutę, spoglądając w górę na ciemne, pozbawione zasłon okno pokoju, gdzie jego matka rozpoczęła swoją drogę ku śmierci, kiedy zza rogu dwie przecznice dalej wytoczył się na Long Street wóz policyjny, po czym zjechał ze swego pasa i gwałtownie zahamował przy Milesie, i to tak blisko, że jego zderzak znalazł się dosłownie parę centymetrów od maski jetty. Za kierownicą siedział młody policjant, którego Miles nie znał, a który teraz wysiadł z wozu i założył na nos okulary przeciwsłoneczne, co było najzupełniej zbyteczne, zważywszy na zachmurzone niebo, po czym zbliżył się do Milesa, opuszczając go właśnie szybę.

- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny - powiedział młody policjant.
- Czy coś się stało, panie władzo?
- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny - powtórzył policjant, tym razem ostrzejszym głosem.

Miles wyłowił dowód rejestracyjny ze schowka i podał go przez okno, razem z prawem jazdy. Policjant podczepił oba dokumenty do swojego notatnika, w którym zaczął coś notować.

- Może mi pan powiedzieć, panie Roby, co pan tu porabia?

- Nie, nie mogę - odparł Miles, który i tak byłby przeciwny wyjaśnianiu czegokolwiek, nawet gdyby miał jakieś rozsądne wyjaśnienie. Historia o tym, jak z powodu wybuchu stetryczalego księdza, który nazwał jego matkę dziwką, odczuł potrzebę, by odwiedzić dom, w którym się wychował, tak jakby się spodziewał, że zastanie matkę w bujanym fotelu na ganku, mimo że od jej śmierci minęło dwadzieścia lat, nie wydała się Milesowi odpowiednim wyjaśnieniem, mogącym zadowolić człowieka, który uważał za stosowne zakładać okulary przeciwsłoneczne w pochmurne deszczowe wieczory.

- A to dlaczego, panie Roby?

Według Milesa pytanie zabrzmiało niepoważnie, dlatego nie odpowiedział.

Młody policjant ponownie naskrobał coś w notatniku.

- Może nie dosłyszał pan pytania - odezwał się na koniec.

- Czy popełniłem jakieś wykroczenie?

Tym razem przysłała kolej na policjanta, by nie odpowiedzieć. Przez dobrą minutę ignorował Milesa, najwyraźniej chcąc mu udowodnić, że on także potrafi się bawić w pytania bez odpowiedzi.

- Czy wie pan o tym, że jeździ pan pojazdem, który nie jest zarejestrowany, panie Roby?

- O ile się nie mylę, trzyma pan w rękę dowód rejestracyjny.

- Nieważny od miesiąca.

- A więc będę musiał się tym zająć.

Policjant nie przyjął tej uwagi do wiadomości, a zamiast tego wskazał miejsce na szybie, gdzie znajdowała się naklejka z datą przeglądu technicznego.

- Termin kolejnego przeglądu również panu minął.

- To znaczy, że i tym także będę się musiał zająć.

Znowu żadnej reakcji.

- A więc mogę wiedzieć, co pan tu porabia, panie Roby? – spytał młody oficer, tak jakby zadawał to pytanie po raz pierwszy.

- Kiedyś mieszkalem w tym domu - rzekł Miles, wskazując palcem.
- Kiedyś, tak? Ale już pan tu nie mieszka.
- Zgadza się.

W tym momencie w lusterku wstecznym Milesowi mignęło coś czerwonego. Odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak czerwone camaro Jimmy'ego Minty zatrzymuje się tuż za nim. Jimmy wychował się w sąsiednim domu i był chyba ostatnią osobą pod słońcem, która powinna zobaczyć, że Miles parkuje akurat w tym miejscu. Jimmy opuścił szybę i młody policjant ruszył prędkim krokiem w stronę camaro. Miles, który obserwował ich rozmowę w lusterku, uśmiechnął się, widząc, że młody człowiek zdjął okulary. Widać w podobnej sytuacji tylko oficer wyższy rangą może pozostać w okularach na nosie. Rozmowa trwała krótko, następnie Jimmy zawrócił samochód i odjechał w tę samą stronę, z której przyjechał. Młody człowiek, wyraźnie zawiedziony, odprowadził go wzrokiem, następnie podszedł z powrotem do Milesa i oddał mu dokumenty.

- Radziłbym, żeby pan się tym zajął jeszcze dzisiaj - rzekł głosem, z którego nagle zniknął zaczepny ton.

- Nie da mi pan mandatu?

- Nie, chyba że uważa pan, iż powinienem, panie Roby.

Miles włożył prawo jazdy z powrotem do portfela, a dowód rejestracyjny do schowka.

Teraz, kiedy byli już w lepszej komitywie, policjantowi wyraźnie zależało na tym, żeby rozjechali się w zgodzie.

- Więc mówi pan, że mieszkał pan w tamtym domu?

Miles skinął głową, wrzucając bieg.

- Hm - rzekł młody policjant. - Wygląda jak dom duchów.

Biuro Wydziału Komunikacji załatwiało interesantów w dawnej rezydencji Whitingów, a ściśle w tak zwanej wozowni, dużym budynku stojącym wśród kępy drzew z tyłu za głównymi zabudowaniami. Było to rozwiązanie przejściowe, jedynie na czas trwania remontu gmachu sądu, którego kopuła dachu częściowo się zapadła podczas śnieżycy, jaka szalała ostatniej zimy. Od tamtej pory sądownictwo - które w Empire Falls i tak nigdy nie było zbyt sprawne - dosłownie przestało funkcjonować. Z wyjątkiem wydziału komunikacji większość kwestii prawnych rozpatrywano w pobliskim Fairhaven, gdzie rejestr spraw wnoszonych do sądu z obu miast po prostu pękał w szwach, tak że wszystko, począwszy od pozwoleń na budowę, przez kwestie praw własnościowych i wymiar podatkowy, aż po mało znaczące skargi,

czekało długie miesiące na swoją kolej. Nawet najprostsza procedura prawna, równie bezsporna jak choćby rozwód Milesa, ciągnęła się w nieskończoność. Tyle że akurat on niespecjalnie się tym przejmował, choćby z tej prostej przyczyny, że niezbyt mu zależało na rozwodzie. Prawdę mówiąc, wiosną przez moment nawet się łudził, że ta opieszałość sądu może wpłynąć na Janine, by jeszcze raz przemyślała całą sprawę, ale teraz już wiedział, że nie tylko była absolutnie zdecydowana poślubić Srebrnego Lisa, ale że w jakimś sensie obarczała Milesa winą za przeciąganie się sprawy w sądzie, przez co jej plany weselne na lato zostały pokrzyżowane. Tak bardzo jej zależało na tym, żeby poślubić Wálta Comeau natychmiast po otrzymaniu rozwodu, że Miles zaczął podejrzewać, iż jakąś częścią swego mózgu - którego działanie nadal pozostawało dla niego niezbadaną zagadką - Janine pojmowała, że to drugie małżeństwo jest czystym szaleństwem i dlatego musi je popełnić jak najprędzej, zanim odzyska zdrowy rozsądek.

Miles znalazł miejsce na małym parkingu, pomiędzy głównym budynkiem, obecnie siedzibą Muzeum Hrabstwa Dexter i Towarzystwa Historycznego, a willą w ogrodzie, gdzie mieściła się, oprócz tymczasowego Wydziału Komunikacji, stała siedziba biura Komisji Planowania i Rozwoju Empire Falls, która w ostatnim dziesięcioleciu stała się właściwie swego rodzaju żartem, jako że w tym okresie nikt nic nie rozwinął, podobnie jak nikt nie zamierzał nic planować. Mimo to pani Whiting, która była przewodniczącą owego komitetu, miała tam swoje biuro, i gdy tylko Miles zauważył jej lincolna na parkingu, przebiegł przez trawnik z pochyloną głową, modląc się w duchu, żeby go nie wypatrzyła z okna. Od powrotu z wakacji starał się za wszelką cenę unikać „Raportu o stanie restauracji”, bo chociaż interes szedł ostatnio lepiej, jemu jeszcze mniej niż zwykle śpieszyło się do tego, by spędzić całe popołudnie na przeglądaniu rachunków i omawianiu planów na przyszłość.

Dotarł bezpiecznie do środka i ustawił się w krótkiej kolejce, czekającej przed okienkiem z napisem „Rej. poj.”. Spostrzegł, że przetransportowano tu cały mahoniowy kontuar z gmachu sądu, dokąd bez wątplenia powinien by powrócić po remoncie. Pozostałe umeblowanie, a także zdobiące ściany portrety i fotografie męskich przedstawicieli rodu Whitingów pochodziły z kolekcji muzealnej. Czekając na swoją kolej, Miles przyglądał się tym mężczyznom. Jak na potomków w prostej linii, nie byli wcale aż tak podobni do siebie, z wyjątkiem, jak to ocenił Miles, jednej cechy wspólnej: nawet jako młodzi mężczyźni, wszyscy wydawali się przedwcześnie postarzali, a może tylko poważni i dystyngowani, z tymi siwymi włosami i czołami pobrużdżonymi od

myślenia. Być może myślenie to sprowadzało się do satysfakcjonujących rozważań o historii Empire Falls, a nawet całego hrabstwa Dexter, która w istocie nie była niczym więcej jak historią ich własnego rodu.

W parę minut później zauważył, że na parking zajechało czerwone camaro Jimmy'ego Minty. Oficer policji nie wyłączył silnika, wysiadł z samochodu i prędkim krokiem ruszył w kierunku willi, minął wejście prowadzące do wydziału komunikacji, po czym skierował się przez trawnik na tyły budynku. Miles patrzył za nim, dopóki mężczyzna stojący w kolejce za nim nie klepnął go w ramię, dając znak, że teraz jego kolej. Przy okienku wypisał czek na nowe tablice rejestracyjne i wsunął go przez otwór. Kobieta po drugiej stronie szyby uśmiechnęła się i powiedziała: „Witaj, Miles”, a wtedy rozpoznał w niej dziewczynę, z którą chodził do gimnazjum. Nazywała się Marcia, zgodnie zresztą z tym, co widniało na plakietce. Ciekawe, co było bardziej prawdopodobne, zastanowił się, to, że on i Marcia mieszkali tak długo w tak małym mieście, a ich drogi nigdy się nie przecięły, czy to, że on i Jimmy Minty już dwukrotnie spotkali się w ciągu ostatnich trzydziestu minut?

- Zatrzymasz ten samochód jeszcze z rok czy dwa, a wtedy to my będziemy musieli ci dopłacać za rejestrację - zauważyła urzędniczka, gdy zobaczyła sumę, jaką wypisał na czeku.

- Nie będę miał nic przeciwko temu, Marcio - odparł Miles, mając nadzieję, że ona pomyśli, iż sam z siebie pamiętał jej imię przez te wszystkie lata.

- Oto twoje nowe tablice, tym razem z sikorką - powiedziała, przesuwając parę tablic przez okienko.

- A co brakowało tablicom z homarem?

- Ludzie spoza stanu nabijali się z nich. Twierdzili, że homary wyglądają jak karaluchy.

Miles przyjrzał się nowym tablicom, które nie wydały mu się o wiele lepsze od starych, chociaż musiał przyznać, że homary rzeczywiście przypominały karaluchy.

- Mam nadzieję, że nie oznacza to, iż odtąd będziemy zmuszeni jadać sikorki.

- Może się tak skończyć, jeśli sprawy nie zaczną iść lepiej - odparła. - Chociaż słyszałam ostatnio, że chyba znajdzie się wreszcie jakiś kupiec na przędzalnię.

Miles przez chwilę rozważał, czy nie zapytać, od kogo to słyszała. Ostatecznie biuro Komisji Planowania i Rozwoju znajdowało się zaledwie parę

kroków dalej, możliwe więc, że informacja faktycznie była wiarygodna. Jednakże bardziej prawdopodobne było, że Marcia usłyszała to po prostu od kogoś, kto stał w kolejce do jej okienka, a kto tego dnia rano pił kawę w Empire Grillu.

Przez drugie okno Miles znowu ujrzał Jimmy'ego Minty. Stał na progu biura Komisji Planowania i Rozwoju i rozmawiał z kimś, kto jednak z powodu ograniczonego pola widzenia pozostawał niewidoczny, aczkolwiek Miles natychmiast się domyślił, że musiała to być pani Whiting. Wskazywało na to zachowanie policjanta, który słuchał dokładnie w takiej samej uniżonej postawie, jaką pół godziny wcześniej przybrał w jego obecności młody oficer, i tym razem to Minty zdjął ciemne okulary z nosa. Miles obserwował go, jak kiwał głową raz, drugi, trzeci, najwyraźniej na potwierdzenie kolejnych instrukcji. Czy była to wyobraźnia Milesa, czy też Minty rzeczywiście rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę biura Wydziału Komunikacji, ale zaraz odwrócił głowę z powrotem, jakby upomniany, że ma tego nie robić.

- Nie uważasz? - dobiegło go pytanie Marcii.

- Przepraszam - oprzytomniał Miles, zwracając się do niej ponownie. - Nie dosłyszałem, co mówiłaś.

- Mówiłam właśnie, że najwyższy czas, by i naszemu miastu choć raz się poszczęściło.

- Zgadzam się w zupełności - przytaknął Miles.

Zakładając, naturalnie, że łut szczęścia załatwiłby problem. W co osobiście raczej wątpił. Problem z wyliczeniem matematycznego prawdopodobieństwa polegał bowiem na tym, że zakładało ono, iż badanymi okolicznościami rządzi przypadek.

Na zewnątrz Jimmy Minty skinął właśnie po raz ostatni głową, po czym przeciął ponownie trawnik, wsiadł do pozostawionego na zapalonym silniku camaro, a następnie wyjechał z powrotem na Empire Avenue. Miles odczekał, aż wóz zniknie za zakrętem i dopiero wtedy wetknął nowe tablice pod pachę i ruszył do drzwi. Nim jednak zdołał się szczęśliwie wymknąć, u Marcii zadzwonił telefon i usłyszał, jak urzędniczka odpowiada: „Tak, zgadza się”, a następnie woła go po imieniu. Pomyślał, że mógłby nie zatrzymywać się, tylko iść dalej, udając, że nie dosłyszał. Ale zaraz uznał, że nie jest to najlepszy pomysł.

Pani Whiting rozmawiała właśnie przez telefon, kiedy zapukał do drzwi i wszedł, ale dała znak, że zauważyła jego obecność i wskazała mu krzesło. Jednakże Miles wołał nie siadać, dopóki nie upewnił się, czy w pokoju nie

ma wiernej towarzyszki starszej pani, złośliwej czarnej kotki imieniem Timmy. Miles miał alergię na koty, a na zwierzaka pani Whiting w szczególności. Rzadko się zdarzało, by po takim spotkaniu nie wychodził opuchnięty, ze swędzącą wysypką.

Pani Whiting uśmiechnęła się i zakryła słuchawkę dłonią.

- Możesz być spokojny - zapewniła go. - Zostawiłam Timmy w domu.

- Na pewno? - nie dowierzał Miles, któremu daleko było do spokoju.

Jego zdaniem, wspomniana kocica posiadała liczne zdolności z pogranicza świata nadnaturalnego, w tym umiejętność materializacji na życzenie.

- Nie bądź śmieszny, drogi chłopcze - rzekła, po czym powróciła do przerwanej rozmowy telefonicznej.

Miles nieraz myślał, że w tych paru słowach można by zawrzeć całą ich dwudziestoletnią znajomość. Od samego początku, odkąd Miles i jej córka Cindy znaleźli się w jednej klasie w liceum, pani Whiting zawsze zwracała się do niego per „drogi chłopcze”, przy czym Miles szczerze wątpił, by był jej szczególnie drogi. A wszystko, co kiedykolwiek mówił, ona kwitowała zawsze tym samym: „Jakie to śmieszne”, mimo że całym zachowaniem dawała do zrozumienia, że nie widzi w tym nic zabawnego.

Miles po raz pierwszy znalazł się w biurze Komisji Planowania i Rozwoju. Był to obszerny pokój, gdzie pod jedną ze ścian na całej długości ustawiony był duży model śródmieścia Empire Falls, tak wyraźnie wyidealizowany, że Miles nie od razu rozpoznał w nim miasto, w którym spędził całe swoje życie. Przy ulicach, obsadzonych jasnozielonymi plastikowymi drzewkami, stały domy pomalowane na jaskrawe kolory, a wszystko było tak schludne i czyste, że Miles w pierwszym odruchu pomyślał, iż jest to wizja jakiegoś artysty, który chciał pokazać, jak w przyszłości mogłoby wyglądać Empire Falls, gdyby zdołano przeprowadzić ambitny i kosztowny plan rewitalizacji. Dopiero gdy przyjrzał się bliżej, odkrył, iż model wcale nie przedstawia przyszłości, tylko przeszłość. Zrozumiał, że patrzy na miasto swego dzieciństwa, zaczął też rozpoznawać różne sklepy wzdłuż Empire Avenue, które w ciągu ostatnich dwudziestu lat uległy likwidacji, pozostawiając w prawdziwym życiu nadmiar miejsc na parkingi. Jego własny Empire Grill, w rzeczywistości zaniedbany, w miniaturze wyglądał tak, jakby pani Whiting ofiarowała Milesowi każdy grosz, o jaki kiedykolwiek ją prosił na naprawę czy ulepszenia.

Na małej srebrnej tabliczce, umieszczonej na podstawie makiety, widniał napis: *Empire Falls około roku 1959*. Naturalnie, prawdziwe miasto



nigdy nie wyglądało tak kwitnąco. Nawet w roku 1959 ceglane mury przędzalni i fabryki koszul - jaskrawoczerwone na makiecie - były już barwy rdzawobrunatnej, miejscami wręcz czarnej, z powodu panujących warunków atmosferycznych i wszędobylskiej sadzy. Podobnie rzeka, przepływająca dołem, była na makiecie błękitna jak pogodne niebo. No, to dopiero jest zabawne, pomyślał Miles. Nie ma wątpliwości, że przez całe mijające stulecie rzeka Knox miała tak błękitną barwę tylko wtedy, gdy przędzalnia wlewała do niej niebieski barwnik do farbowania. A jeszcze zabawniejsza wydała mu się myśl, iż cała ta nostalgiczna przeszłość znalazła się właśnie tu, w pomieszczeniu biura Komisji Planowania i Rozwoju. Najwyraźniej komisja zamierzała zawrócić wskazówki zegara.

Eliasz Whiting, który spoglądał surowo z portretu na ów model, zdawał się nie dostrzegać humoru całej sytuacji. Podobnie jak Whitingowie z poprzedniej sali, stary Eliasz miał na twarzy wypisaną powagę i ten sam charakterystyczny rys słabości wokół ust. Wszyscy oni razem wzięci przypominali Milesowi kogoś, tylko nie potrafił powiedzieć kogo.

Pani Whiting pożegnała się i odłożyła słuchawkę, a uczyniła to tak jakos sztucznie, że Miles nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż może wcale nie prowadziła żadnej rozmowy, tylko udawała po to, by móc go swobodnie obserwować. Zresztą poczucie, że w jej obecności jest się obserwowanym, nie było niczym nowym. Teraz obróciła się na krześle i odchyliwszy się do tyłu, spojrziała na portret Eliasza Whitinga.

- Wszyscy oni byli kompletnie zwariowani, wiesz o tym, prawda? W taki czy inny sposób. Widać to po oczach, wystarczy się dobrze przyjrzeć.

Miles przyjrzał się uważnie portretowi, ale wbrew temu, czego się po nim spodziewano, nie zauważył nic szczególnego. Była tam jakaś zaciętość, może także świętoszkowatość, ale nie szaleństwo.

- Jako chłopiec, słyszałeś zapewne rozmaite historie o tym dystyngowanym przodku?

- Nie sądzę.

- Ponoć w tym pokoju gonił swoją żonę ze szpadlem w garści, próbując rozbić jej głowę.

- Nic podobnego nigdy nie mogło się wydarzyć w takim miejscu jak to.

- Miles wskazał makietę, gdzie jedynie posiadłość Whitingów nie różniła się jakością od swego pierwowzoru w rzeczywistości. Nieoczekiwanie przyszło mu do głowy, że to pewnie pani Whiting musiała osobiście zlecić wykonanie modelu. Poprzez idealizację pozostałej części Empire Falls udało jej się z

powodzeniem zatrzeć prawdę - że dostatek i żywotność całego miasta zostały doszczętnie zrujnowane przez działalność kilku pokoleń jednej rodziny. Dość cyniczna interpretacja, być może, ale ułatwiała wytłumaczenie, dlaczego dom, który C. B. Whiting postawił za rzeką, w ogóle nie został uwzględniony w tej makiecie. Po drugiej stronie Iron Bridge rozciągała się dziewicza okolica, łagodnie pofalowane wzgórza, porośnięte bujnymi lasami.

- Kiedy tak ci się przyglądałam, jak tam stoisz, przyszło mi nagle do głowy... - zaczęła starsza pani, chociaż nim jeszcze zdążyła dokończyć, Milesowi przemknęło przez myśl, że zapewne jej słowa będą miały niewiele wspólnego z jego własnymi odczuciami. - Pomyślałam sobie, że powinieneś zostać burmistrzem.

- W ramach tego modelu? - uśmiechnął się Miles. - Bo mniej więcej na tyle byłoby mnie stać.

Stanowisko burmistrza Empire Falls było zajęciem na pełen etat za półetatową pensję, chociaż chodziły słuchy, że poprzedni burmistrzowie mieli swoje sposoby, by te niskie dochody skutecznie uzupełniać.

- Jesteś zbyt skromny, drogi chłopcze. Nieraz myślałam, że powinieneś ubiegać się o jakieś stanowisko we władzach.

Miles zdecydował, że nie będzie jej przypominał, iż dwukrotnie startował w wyborach do rady szkoły i za każdym razem został wybrany.

- Czy to znaczy, że oferuję mi pani pracę?

- Przeceniasz moje wpływy, drogi chłopcze - uśmiechnęła się. - Pod tym względem jesteś taki sam, jak twoja matka. Ale z drugiej strony, ludzie zawsze myślą wolę z siłą, nie uważasz? Mam nawet własną teorię na ten temat, jeśli to cię interesuje.

- Dlaczego jestem jak moja matka? - spytał Miles, siadając w końcu ostrożnie na krześle. - I dlaczego ludzie zawsze myślą wolę z siłą?

- Najpierw ta druga kwestia - powiedziała. - Ostatecznie nie ma nic dziwnego w tym, że jesteś podobny do swojej matki, nieprawdaż? Twój ojciec niekoniecznie jest postacią, która skłaniałaby do naśladowstwa. Nie, ludzie myślą siłę z wolą, ponieważ tylko nieliczni mają jakie takie pojęcie, czego tak naprawdę chcą. A z braku tej wiedzy wola staje się bezwolna. Czyli innymi słowy, potencja zamienia się w impotencję - spojrzała na niego spod uniesionych brwi. - Natomiast o nielicznych szczęśliwcach, którzy przypadkiem wiedzą dokładnie, czego tak naprawdę chcą, mówi się, że mają „siłę woli”.

- I na tym koniec?

- No cóż, powiedzmy raczej, że to niezbędny początek.

Miles rozsiadł się na krześle wygodniej. Wiedział z doświadczenia, że pani Whiting lepiej niż ktokolwiek inny potrafi wciągnąć go do rozmowy, której w każdym innym wypadku za wszelką cenę starałby się uniknąć. Przymuszczałnie działo się tak z tej przyczyny, że jej wnioski były zawsze przeciwne do jego własnych.

- A więc sądzi pani, że ludzie zostali stworzeni po to, by wiedzieć, czego chcą?

Pani Whiting westchnęła.

- Słowo „stworzeni” sugeruje, drogi chłopcze, że zaraz zaczniesz się uciekać do tych swoich starych sztuczek i ukazywać wszystko w świetle religii. Ale to nie wystarczy, jeśli zamierzasz zostać burmistrzem.

- Nie zamierzam - odparł. - A już na pewno nie w Empire Falls, rocznik 1959.

- I dlatego właśnie jesteś niemądry, drogi chłopcze. Większość Amerykanów pragnie, by wciąż trwał rok 1959, tak samo jak pragną pić cappuccino i oglądać telewizję kablową.

- Chcą tego czy tylko myślą, że tego chcą? - Mówiąc to, miał na myśli przykład Janine. Jego - już wkrótce była - żona nigdy nie miała wątpliwości, czego chciała, jedynie potem była zawiedziona tym, co z tego wynikło. Miles był tego doskonałym przykładem. Srebrny Lis, choć sam jeszcze niczego nie podejrzewał, miał być następnym.

- To rozróżnienie nie jest szczególnie pomocne, nie uważasz? Bo czymże jest chcenie, jeśli nie myśleniem o tym? Ale na użytek naszej dyskusji przyjmijmy twoją terminologię i zacznijmy od początku. Adam i Ewa. Oni wiedzieli, czego chcą, czy tak?

- Wątpię - stwierdził Miles, również na użytek tej dyskusji. - Dopóki nie zostało to zakazane.

- Dokładnie tak, drogi chłopcze. Ale z chwilą, gdy zostało zakazane, nie mieli już żadnych wątpliwości, prawda?

- Nie. Tylko poczucie żalu.

- Uważasz, że odmowa zjedzenia zakazanego owocu dałaby im większe szczęście? Czy to wyeliminowałoby żal czy jedynie zmieniłoby jego sens?

Punkt dla niej.

- Przymyślam, że tego nigdy się nie dowiemy.

- Ja na pewno nigdy się tego nie dowiem, drogi chłopcze, ale podobnie jak nasi przodkowie, nie oparłam się w życiu licznym pokusom. Ty natomiast... - nie dokończyła myśli. Pani Whiting nigdy nie robiła sekretu z tego,

że uważała Milesa za kliniczny przykład jednostki zahamowanej. - Wakacje ci się udały?

- Wspaniale - odpowiedział z zapalem, starając się dać jej do zrozumienia, że inni też mogą przeżywać piękne chwile.

Pani Whiting przyjrzała mu się z uwagą, tak jakby podejrzewała, że jego entuzjizm maskuje jakiś fałsz.

- Jeździsz tam co roku, czy tak?

- Tak.

- Czy zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego to robisz?

- Nie - odparł.

Gdy nie insynuowała, że jest zahamowany, to lubiła mu sugerować, że pomimo swojej inteligencji ma poglądy prowincjusza, głównie dlatego, że tak mało podróżował i tak mało widział. Jak wielu bogatych ludzi nie potrafiła zrozumieć, dlaczego biedak nie myśli o tym, by spędzić zimę na Capri, gdzie przecież klimat jest znacznie łagodniejszy. Nie dostrzegała też, jak bardzo niesprawiedliwe i nietaktowne z jej strony jest to, że mówi podobne rzeczy komuś, kto od dwudziestu lat pracuje dla niej, podczas gdy ona podróżuje do woli.

- Moi przyjaciele mają tam dom - dodał, nie wspominając jednak o tym, co pani Whiting i tak bez wątpienia doskonale rozumiała: że nawet tak skromne wakacje były możliwe tylko dzięki czyjejś szczodrości.

W rzeczywistości to Miles pierwszy pokazał wyspę Martha's Vineyard Peterowi i Dawn wiele lat temu. Wtedy jeszcze, w college'u, wszyscy troje byli biedni. Tamtej jesieni, gdy złożyli razem swoje oszczędności, okazało się, że mają zaledwie tyle, by zapłacić za przeprawę promem. Spali na plaży, u podnóża klifów w Gay Head, co było nielegalne, ale liczyli na to, że po Labor Day\* wyspiarska policja, która liczyła niewiele ponad pół tuzina funkcjonariuszy, nie przegoni ich stamtąd. To właśnie podczas tamtego krótkiego weekendu Miles zaczął się domyślać, że Peter i Dawn się zakochali, najpierw w wyspie, a potem w sobie. Od tamtej pory uważali Milesa za siłę sprawczą ich szczęścia i zawsze okazywali mu za to wdzięczność. I nawet jeśli ostatnio, jak się tego obawiał, ich wzajemne uczucie zwietrzało, było oczywiste, że nadal jak dawniej kochają Vineyard. Nie wyobrażał sobie, by przy podziale majątku w razie rozwodu któreś z nich chciało zrezygnować z tego domu.

\* Labor Day - Święto Pracy, obchodzone w USA w pierwszy poniedziałek września. (Przyp. tłum.).

- No tak, to rzeczywiście tłumaczy sprawę - przyznała pani Whiting niechętnie. - Ale mimo wszystko...

- Ale mimo wszystko co?

Wydawało się, że zgubiła wątek, jednak było to tylko przelotne zawahanie.

- Ale mimo wszystko... „tak oto dążymy naprzód, kierując łodzie pod prąd, który nieustannie znosi nas w przeszłość”\*. - Stara dama uśmiechnęła się do niego chytrze, jednak Miles, który z miejsca rozpoznał końcowe zdania „Wielkiego Gatsby'ego”, nie czuł się w obowiązku, by pokazać po sobie, że wie o tym, ani wyrazić ciekawość, po co te słowa zacytowała.

\* F. Scott Fitzgerald, „Wielki Gatsby”. Tłum. A. Demkowska-Bohdziewicz, Warszawa 1973.

Na biurku rozdzwonił się telefon, co oboje przyjęli z widoczną ulgą. Podniósłszy słuchawkę, pani Whiting pożegnała Milesa jednym zdecydowanym machnięciem ręki, pozbywając się go bez dalszych ceregieli.

Cholera, pomyślał Miles, żeby tak potraktować kogoś, kogo chwilę wcześniej zachęcało się, aby startował w wyborach na burmistrza.

### 3

Skończywszy zajęcia z aerobiku, Janine wzięła szybki prysznic i pojechała do Empire Grilla, robiąc najpierw rundkę dookoła budynku, żeby się upewnić, czy nie ma tam Milesa. Mimo że sama sprawa rozwodowa ciągnęła się w nieskończoność, między nimi wszystko odbywało się w stosunkowo przyjaznej atmosferze. Prawdę mówiąc, przez ostatnich dziewięć miesięcy, to jest odkąd podjęli decyzję o separacji, lubiła Milesa bardziej niż kiedykolwiek w ciągu minionych dwudziestu lat. Chociaż akurat teraz nie miała ochoty go spotkać, zwłaszcza w obecności swojego narzeczonego. I tak dziwnie to wyglądało, że Walt zaczął godzinami przesiadywać w restauracji, której unikał jak ognia, kiedy jeszcze kryli się ze swoim romanssem.

Podjeżdżając pod restaurację i parkując obok wozu Walta, specjalnie się postarała, żeby nie spojrzeć na wymalowane logo, jakby sama przed sobą nie chciała przyznać, że ten napis zaczyna ją irytować. SREBRNY LIS! Co za człowiek wypisuje podobne rzeczy na swoim samochodzie? Dla Janine

pytanie to nie było ani blahe, ani retoryczne. Już wkrótce miała otrzymać rozwód, a wtedy zamierzała poślubić Walta Comeau, dlatego jakaś jej część chciała poznać odpowiedź na powyższe pytanie, i to zanim stanie się współwłaścicielką pojazdu i jedyną właścicielką jego kierowcy.

Z drugiej strony, istnieje pewien rodzaj pytań, na które lepiej nie odpowiadać. Znała Walta dość dobrze, z pewnością lepiej niż Milesea. Co zaś do niej samej, to kiedy pobierali się z Milesem, nie miała o sobie większego pojęcia, a co dopiero mówić o tym, kim chciałaby być. Teraz przynajmniej Janine wiedziała, kim jest Janine, czego Janine pragnie i, co nie mniej ważne, czego Janine dla siebie na pewno nie chce. A nie chciała Milesea ani żadnego mężczyzny, który by jej Milesea przypominał. Nie chciała też być na przykład gruba. Nigdy, przenigdy więcej! Poza tym pragnęła seksu z prawdziwego zdarzenia, i jeszcze chciała dla odmiany postępować jak młoda kobieta, bo było to coś, czego nie potrafiła wtedy, gdy rzeczywiście była młoda. Chciała tańczyć, chciała, żeby mężczyźni się za nią oglądali. Lubiała czuć własne ciało, odkąd zrzuciła wszystkie te kilogramy, i na Boga, lubiała się kochać. Dla Janine, w wieku czterdziestu lat orgazm był całkowitą nowością, i niech to diabli, niemal traciła świadomość za każdym razem, gdy przeżywała kolejny albo kiedy nachodziła ją myśl, jak strasznie blisko była tego, by przejść przez całe życie i nigdy nie zaznać owego wyjątkowego, nie dającego się z niczym porównać, oszałamiającego dreszczu, jaki przeszywał ją w chwili ekstazy. Kiedy doświadczyła tego po raz pierwszy, była tak kompletnie oszołomiona, że dała się unieść jak na fali w jakieś nieznane, odległe rejony, skąd powróciła w ramiona Walta łkając, przekonana, że nigdy więcej nic podobnego jej się nie przydarzy, i uspokoiła się dopiero, gdy ją zapewnił, że nie ma się czym martwić, a potem dopilnował, żeby nie miała się czym martwić. Do diabła! Pamięta, że tak właśnie wtedy pomyślała: DO DIABŁA.

To Walt Comeau nauczył ją własnego ciała, uświadomił, czego potrzebuje, a przecież powoli zaczynała zdawać sobie sprawę, że poglądy nawet takiego Walta na te sprawy były co najmniej uproszczone. Według niego jej ciału trzeba było dużo ćwiczeń i jeszcze więcej Walta. Sama Janine rozważała, czy jej ciału nie zrobiłaby dobrze jakaś mała wycieczka. Nie miała nic przeciwko temu, by pracować u Walta w jego klubie, ale wyczytała gdzieś o pewnym kurorcie na pustyni, w okolicach Tucson w stanie Arizona, który specjalizował się w kobiecych ciałach. „Luksusowy”, takiego określenia użyto w broszurze, a ponieważ Janine nauczyła się myśleć o swoim ciele

jako o luksusie, pomyślała sobie, że zasłużyła na tydzień lub dwa w takim miejscu. Było drogie, no pewnie, ale Walt zawsze tyle gadał o tych swoich pieniądzach, ciągle więc liczyła, że uda jej się go nakłonić, by spędzili tam miodowy miesiąc. A jakby Tick skończyła szkołę średnią, co stałoby na przeszkodzie, by się przenieść w cieplejszy klimat? Przeżywszy całe życie w stanie Maine, miło byłoby znaleźć się w miejscu, gdzie słońce wschodzi i nigdy nie zachodzi. Walt wciąż rozprawiał o otwarciu gabinetu odnowy biologicznej, więc dlaczego by nie zrobić tego w Sedonie czy w Santa Fe? Jeśli to, co słyszała, było prawdą, pustynia na południowym zachodzie jest jak Kalifornia. Ludzie są zdrowi i wysportowani i przez cały boży dzień chodzą w kostiumach kąpielowych, które w zasadzie stanowią jedynie symboliczne odzienie. No, a jeśliby Walt nie wyraził ochoty, żeby przynajmniej sprawdzić, jak tam jest, Janine byłaby gotowa sama tam pojechać na tydzień. Podobali jej się latynoscy masażyści w tej broszurce... Co było trochę niewdzięczne z jej strony, musiała to przyznać. W końcu to Walt ją rozbudził, pomógł jej się odnaleźć, poznać samą siebie. I to on zlokalizował ten cudowny punkt rozkoszy, odnalazł go od razu, a taki Miles nawet nie podejrzewał jego istnienia. No tak, teraz dopiero przychodzą jej na myśl latynoscy masażyści.

Gdyby tylko nie wypisywał takich głupstw na tym durnym samochodzie, pomyślała Janine, wysiadając ze swojego chevroleta blazera. Chociaż może „głupstwo” nie było właściwym określeniem. Bo była w tym nie tyle głupota, ile pyszałkowatość, rozważała, zbliżając się do frontowych drzwi restauracji. Poza tym, czyż to nie ta właśnie kogucia zadziorność tak jej się w nim spodobała przede wszystkim? I to, że się tak bardzo różnił od Milesa, który był łagodny i potulny jak baranek? Jej matka, oczywiście, nadal uwielbiała Milesa i brała jego stronę przy każdej okazji, o Walcie nie wyrażając się inaczej, jak tylko „ten mały zuchwały kogut”.

„Miles ma powody, żeby być takim cichym i skromnym człowieczkiem, mamo, możesz mi wierzyć”, zapewniała matkę. Może to podłe z jej strony, że tak mówiła, ale przynajmniej była to prawda, poza tym w ten sposób nie dotykała sprawy, o której nie było sensu dyskutować z Beą; sprawy pożycia seksualnego. Janine była więcej niż pewna, że jej matka należała do tych nieszczęsnych kobiet, które zrobiły ze swoim życiem to, od czego Janine też była o krok, i to o cholernie mały krok. Przeżyła całutkie dorosłe życie od początku do końca bez jednego orgazmu. Gdyby Bea umarła, można by, zgodnie z prawdą, śmiało powiedzieć, że odeszła, zanim doszła. Ale nie

Janine. Gdyby należała do tego typu ludzi, co to wypisują różne głupstwa na swoich samochodach, to byłoby to coś w rodzaju: DOSZŁA, ZANIM ODESZŁA. A to, jej zdaniem, oznaczało tylko jedno: że ona i Walt Comeau są stworzeni dla siebie, dlatego powinna natychmiast przestać myśleć o mocnych dłoniach latynoskich masażystów.

- Cześć, kochanie - powiedziała, wsuwając się na stołek obok mężczyzny, którego miała poślubić w przyszłym miesiącu, jeśli można było wierzyć jej kretyńskiemu adwokatowi. Chyba że dach sądu w Fairhaven również by się zawalił, co w najmniejszym stopniu nie zaskoczyłoby Janine, w każdym razie nie po tym, jak od samego początku wszystko się sprzyściło przeciwko niej, i to tylko dlatego, że popełniła ten błąd, iż opowiedziała temu księżulowi z alzheimerem o sobie i Walcie, licząc na to, że ten da jej rozgrzeszenie, po czym natychmiast o wszystkim zapomni. Przecież całe miasto wiedziało, że nie potrafi on powtórzyć ani słowa, bo nic nie pamięta, dlatego musieli w końcu przysłać tego młodszego księdza. Tyle tylko, że tym razem staruszkowi przypomniało się, co nie trzeba, i to ze trzy, cztery razy. Opowiedział Milesowi o wszystkim, co usłyszał od niej w konfesjonale, a potem zapomniał, że mu to już mówił, więc powtórzył znowu następnego dnia.

Niemniej teraz, gdy było już prawie po wszystkim, Janine dochodziła do wniosku, że w sumie może i dobrze się stało, że ten stary bałwan ją wyspał. Wtedy była jeszcze taka zagubiona, sama nie wiedziała, czego chce, w przeciwnym razie przecież nie poszłaby z tym do księdza. A jak już wszystko się wydało, zrozumiała, że chce Walta, a wraz z nim dużo dobrego seksu, który by jej wynagrodził za wszystkie czasy, że tak strasznie została oszukana. A jeśli miało to oznaczać, że wszyscy będą ją uważali za dziwkę, nie wyłączając rodzonej córki i rodzonej matki, niech sobie tak uważają, droga wolna. W pewnym sensie nawet dobrze się złożyło, że ona i Walt zostali nakryci, w przeciwnym razie Walt, jak każdy mężczyzna, przypuszczalnie zadowoliliby się tym, co było, i do tej pory spotykaliby się po kryjomu. A Janine przeszkadzało to całe ukrywanie się, i kiedy wpadli, przynajmniej cała sprawa nabrała rozpędu i uruchomiła maszynę prawną, a to już było coś. Teraz pilnowanie, by rozwód nie utknął w miejscu, wymagało od niej całej energii, nie licząc tej oczywiście, którą rezerwowała na seks i ćwiczenia na stairmasterze. Tych ostatnich dziewięć miesięcy udowodniło ponad wszelką wątpliwość jedną rzecz: człowiekowi nie uda się nic załatwić z urzędem miasta, jeśli w tym samym roku zapadł się dach budynku sądu!



Walt był pochłonięty remikiem z Horacym, nie zauważył więc, kiedy przyszła. Była jeszcze jedna rzecz, która zaczynała przeszkadzać Janine, sposób, w jaki Walt marszczył czoło z wysiłku w każdej sytuacji, która wystawiała jego intelekt na próbę. A że podobnych sytuacji było wiele, Janine musiała przyznać, że miała dość okazji, by napatrzeć się do woli na tę jego minę, którą najmniej u niego lubiła. Walt przybrał ją właśnie, podnosząc wzrok znad kart, by przyjrzeć się swemu przeciwnikowi, tak jakby rozwiązanie nurtującego go problemu było wypisane na czole Horacego, tuż obok tej jego okropnej narośli. W takich chwilach brwi mu się zawsze mocno marszczyły, oczy zwężyły w szparki, a sam Walt Comeau wyglądał tak, jakby próbował zrozumieć nie tyle, jak to jest możliwe, że jego przeciwnik wygrywa tak znaczną przewagą, ile jakim sposobem tak go oszukał. Janine zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem to nie ten charakterystyczny podejrzliwy i nieufny wyraz twarzy przyczynił się do powstania jego przydomka. Z całą pewnością właśnie to sprawiło, że Janine miała ochotę odciągnąć go na bok, żeby mu dokładnie wytłumaczyć, jak doszło do tego, że został oszukany. „Jest po prostu od ciebie sprytniejszy, Walt - miała ochotę mu powiedzieć. -Robi cię, jak chce, ponieważ pamięta, jakimi kartami grałeś i jakie karty on miał dotąd w ręku, nim się ich pozbył. Dlatego wie, co jeszcze zostało w talii. Patrzy uważnie i pilnuje tego, co robisz i ku czemu zmierzasz. To naprawdę nie dlatego, że te cholerne karty są znaczone albo że ktoś mu pomaga czy że gdzieś za tobą jest lusterko, dzięki któremu może widzieć twoje karty. On po prostu jest inteligentniejszy niż ty. Może to niesprawiedliwe, ale tak właśnie jest”.

Miles, pomimo swoich wad, był o niebo lepszy jako partner do kart. Kompletnie nie miał twarzy pokerzysty i w żaden sposób nie potrafił ukryć zaskoczenia, gdy fortuna uśmiechnęła się do niego, ani też rozczarowania, kiedy szczęście się od niego odwracało, ale za to przynajmniej umiał przewidzieć tok rozgrywki i częściej był o krok z przodu niż o krok z tyłu, tak jak to się działo w przypadku Srebrnego Lisa. Zdaniem Janine była to jedna z najokrutniejszych ironii życia - że Miles, który zwykle wiedział, gdzie podziela się dama pikowa, przez dwadzieścia lat nie potrafił zlokalizować u niej punktu rozkoszy.

Janine zdążyła trzy razy policzyć do dziesięciu, nim Walt nareszcie zdecydował, którą kartę wyrzucić na stół, czym pięknie się podłożył Horacemu, który skończył grę. Walt, jak zawsze, nie mógł pohamować ciekawości, odwrócił kartę, którą Horacy położył twarzą do dołu i aż jęknął, kiedy zobaczył, co to było.

- Ty cholerny szczęściarzu - zawołał. - To była moja karta do cholernego remika.

- Wiem o tym, mister Comeau - wyjaśnił Horacy, podliczając punkty, z którymi Walt został na ręku. - Skąd przypuszczenie, że nie będę cię próbował za jej pomocą usadzić?

Tym sposobem uwolniony od męczarni, Walt obrócił się na stolku i uśmiechnąwszy się szeroko, objął ramieniem kobietę, która wkrótce miała zostać jego żoną.

Oto dlaczego, uświadomiła sobie Janine, gdy Walt obrzucił ją zachwyconym wzrokiem z góry na dół, oto dlaczego chce poślubić tego człowieka. Może i był o krok za wolny - zgoda, o parę kroków - ale niech ją kule biją, jeśli nie był zawsze szczerze zadowolony, że ją widzi. Dosłownie pożerał ją wzrokiem, jak gdyby za każdym razem widział ją po raz pierwszy, i naprawdę niewiele ją obchodziło, czy było to spowodowane zaburzeniami pamięci krótkotrwałej czy też nie. Teraz podziw Walta sprawił, że zajaśniała od środka, otworzyła się, pozwalając, by ów tajemny punkt w jej ciele rozwinął się niczym miękkie płatki kwiatu, tak że nawet Miles by go znalazł, gdyby jeszcze kiedykolwiek mógł mieć po temu sposobność.

- Hej, moja śliczna! - zawołał Walt. - Dobrze, że nie ma tu naszego starego druha. Chybaby popełnił harakiri, gdyby zobaczył, jak świetnie wyglądasz.

Wypowiedziawszy na głos tę przyjemnie ponurą myśl, Walt zwrócił się do Horacego w poszukiwaniu dodatkowego potwierdzenia:

- Sam powiedz, jakbyś się czuł przez resztę życia, gdybyś wiedział, że miałeś taką piękną kobietę, ale ją straciłeś?

Horacy wciąż podliczał wynik ich partii w notesiku albo przynajmniej udawał, że podlicza, i w końcu Walt, jak niepyszny, odwrócił się z powrotem.

- Pozwól, niech zgadnę - odsunął się lekko od Janine. - Pięćdziesiąt pięć.

No cóż, to prawda, niech będzie. Była jeszcze jedna rzecz, która irytowała Janine, ta ciągła zabawa w publiczne zgadywanie, ile Janine waży. Nie to, żeby nie była dumna, że zrzuciła dobre dwadzieścia parę kilogramów. W dodatku wiedziała, że Walt robi to tylko dlatego, że też jest z niej autentycznie dumny. Mimo wszystko jednak przypominało jej to trochę taką grę z czasów, kiedy była małą dziewczynką, która polegała na zgadywaniu, ile ludzie ważą.

- Pięćdziesiąt pięć i pół - przyznała z uśmiechem, mimo wszystko zadowolona z siebie. - Ale czy możemy nie rozmawiać o tym przy ludziach?

- Pięćdziesiąt pięć i pół? - wykrzyknął Walt. - Chyba będę musiał oddać do naprawy wagę z waszej szatni! - Ponownie okręcił się na stolku i trącił łokciem Horacego w bok. - Co na to powiesz? Pięćdziesiąt pięć i pół! Zgadnij, ile ważyła, kiedyśmy się poznali?

- Na twoim miejscu byłabym bardzo ostrożna! - Janine ostrzegła Horacego, który, jak można było poznać po jego minie, nie potrzebował żadnych ostrzeżeń.

- Nie bądź taka - zaperzył się Walt. - Powinnaś być z tego dumna. - A potem znowu zwracając się do Horacego: - Osiemdziesiąt z okładem!

- Chcesz coś zamówić, Janine? - zawołał David przez ramię, nie odchodząc od kuchni, gdzie przyrumieniał mięso. Oczywiście nawet na nią nie spojrział.

- Nie, dzięki - odpowiedziała. - Tick jest już gotowa?

- Prawie - mruknął, nadal nie podnosząc głowy znad roboty, kutas jeden.

- Powiedz jej, że tu jestem, dobrze?

- Ona już wie.

Że niby co to miało znaczyć? Że dziewczyna węchem odgadła, kiedy jej matka przyszła? Czy też że pojawienie się Janine zmieniło skład chemiczny atmosfery?

- Nie do wiary, co? Taka kobieta! - ciągnął swoje Walt. - Nie, naprawdę za nic nie chciałbym być w skórze tego twojego braciszka, wiedząc, że pozwoliłem odejść takiej przystojnej kobiecie.

- Rzeczywiście, jest w porządku - przyznał David.

- Słyszysz? - Walt potarł nosem o kark Janine. - Wszyscy to mówią.

Janine doskonale słyszała, co jej szwagier powiedział - znacznie wyraźniej niż Srebrny Lis. Odsunęła kark od zimnego nosa Walta. W domu taka pieśczość może i sprawiłaby jej przyjemność, ale nie tutaj, zwłaszcza w obecności ludzi, którzy pozwalali sobie na sarkastyczne uwagi pod jej adresem. Chcąc pokazać Davidowi, kto tu rządzi, wstała, obeszła kontuar dookoła, zbliżyła się do kasy i przycisnęła klawisz, który otwierał kasetę.

- Zmieniam pięćdziesiątkę na drobne, David - krzyknęła. - Nie masz nic przeciwko temu, prawda? W końcu kiedyś tu pracowałam, no i jestem waszą królową piękności.

- Proszę, skoro to nie przeszkadza Milesowi - odpowiedział. - Ja tu tylko pracuję.

Wkurzył ją jeszcze bardziej tym odezwaniem.

- Możesz tu przyjść i przypilnować, jeśli chcesz.

W tym momencie podeszła Charlene, jednym ruchem wyjęła jej pięćdziesiątkę z ręki i sama szybko rozmięła banknot, po czym zamknęła szufladę kasy. Metalowy brzęk zabrzmiał jak wykrzyknik.

- Jak się masz, Janine?

- Doskonale, Charlene - Janine zwinęła plik banknotów i wepchnęła go do torebki, czując, że została ograbiona z pewnej drobnej satysfakcji. Bo trzeba od tego zacząć, że tak naprawdę wcale nie potrzebowała rozmięć tej pięćdziesiątki. Ale przynajmniej miło jest zobaczyć, pomyślała Janine, że w wieku czterdziestu pięciu lat po Charlene nareszcie zaczynało być widać upływ czasu. Od czasu operacji wyglądała na zmęczoną, a kurze łapki, które pojawiły się w kącikach jej oczu, wyraźnie się pogłębiły. Sądząc po jej wyglądzie, przybrała też na wadze, i to co najmniej pięć kilo. Widok ten zwrócił myśl Janine ku Milesowi. Ciekawe, jak długo jeszcze będzie wodził za Charlene tym swoim rozmarzonym ciejącym wzrokiem? Pewnie będzie mu trudno skończyć z tym nawykiem, zważywszy, że utrwał go w sobie przez całe ich małżeńskie życie. Jeśli o to chodzi, w sprawach sercowych Miles był jeszcze bardziej przezroczystry, niż kiedy grał w karty. Skoro raz wziął sobie coś do serca, trzymał się tego kurczowo i traktował śmiertelnie poważnie, chociaż za nic by się do tego nie przyznał, nawet gdyby ktoś chciał to wydrzeć z niego siłą.

Przyglądając się, jak Charlene kończy szykować stoły na wieczorne przyjęcie, Janine nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Jeszcze roczek, jeszcze dwa, moja pani, a ten tyłek będzie jak kanapa, pomyślała. A wtedy nic, tylko przykryć się prześcieradłem i pokazywać filmy z młodości. W ostatni weekend sama dobrze widziała, że chłopcy z college'u, którzy wrócili na semestr jesienny, nie byli już tak skorzy do flirtowania jak dawniej i szczerze mówiąc, bardziej interesowały ich randki z rówieśnicami niż zerkanie za dekolt Charlene. Za rok nawet pomocnicy ze sklepu, którzy wożąc na zaplecze wózki załadowane puszkami zaczepiali ją, niby to zapraszając, by poszła z nimi na minutkę do magazynu, przestaną ją traktować, jakby była chodzącym wcieleniem seksu. A wtedy zostanie już tylko Miles, tylko on będzie się jeszcze w niej podkochiwał, tak naprawdę jednak nie w niej, tylko w tej dziewczynie, jaką była kiedyś, nim się zestarzała, i za jaką on nadal będzie ją brał, wbrew oczywistym faktom.

No tak, pomyślała Janine, pięknie. Teraz dopiero wpędziłam się w depresję. Ponieważ prawda była taka, że szczerze lubiła Charlene, która miała za sobą cztery nieudane małżeństwa i własny przydział kłopotów sercowych,

a przecież nigdy przez te wszystkie lata, kiedy Janine i Miles byli małżeństwem, nawet najmniejszym gestem nie zachęciła go do niczego, w każdym razie nie bardziej niż wszystkich tych chłopców z college'u. To tylko jej ciało działało jak magnes, ale na to już nic nie mogła poradzić. I chociaż przyjemnie było pomyśleć, że Janine odnosiła zwycięstwo w walce ze swym ciałem w takim samym stopniu, w jakim Charlene ją przegrywała, niemniej Janine była zbyt mądra, żeby nie przewidzieć, czym to się wszystko skończy, to jest, że obie w końcu tak samo przegrają. Pewnego dnia walka o miłość i podziw mężczyzn, takich jak Walt i Miles, zostanie przekazana niczym pochodnia kolejnej, znacznie młodszej dziewczynie, która spojrzawszy na Janine i Charlene, nawet się nie domyśli, że kiedyś one były takie jak ona i robiły to samo, co ona. A smutna, pieprzona prawda wygląda tak, że niezależnie od tego, kim się jest, nigdy, przenigdy nie ma się tych rzeczy dość.

Uświadomiwszy to sobie w pełni, Janine zsunęła lewą rękę pod kontuar, gdzie odnalazła rozporek Srebrnego Lisa, który uśmiechnął się szelmowsko i powolutku stanął na wysokości zadania. Trochę ją niepokoiło, że Walt ma już pięćdziesiątkę na karku, to fakt. Ona sama zaczęła późno, dowiedziała się o orgazmie dopiero co, i takie pewnie będzie już jej pieskie szczęście, że Walt skończy z tym wcześniej od niej. W tej chwili nie kwapił się do tego specjalnie, ale w końcu dochodził.

W drugim końcu restauracji jeden ze stołów obsiadła gromada młodych dziewcząt z Akademii Fryzjerskiej Hrabstwa Dexter, które tu wpadały niemal co wieczór na parę minut przed zamknięciem, zajmując zawsze tę samą wnękę w głębi sali, gdzie gadały, szeptały i opychały się ciastkami. Przyglądając się tym dziewczętom, Janine zastanawiała się, która z nich mogłaby zostać następną Charlene, następną Janine. Ze dwie z nich byłyby niemal ładne, gdyby je sobie wyobrazić bez tej wielkiej szopy na głowie i bez zbędnego kilograma tu i ówdzie, który już teraz - a mogły mieć nie więcej niż po dwadzieścia lat - sprawiał, że wyglądały przyciężko. Nie, może dni Janine, tak jak i Charlene, były policzone, ale nie wyglądało na to, by miała wielką konkurencję, w każdym razie nie w bezpośredniej bliskości, co oznaczało, że jeszcze przez pewien czas zachowa pole, małe bo małe, ale tylko dla siebie.

Janine uśmiechała się, gdy drzwi od kuchni otworzyły się i ukazała się w nich jej córka, oznajmiając, że jest gotowa i mogą wracać do domu.

Walt, który najwyraźniej zapomniał o przyjaznej dłoni spoczywającej w jego rozporoku, chciał zeskoczyć ze stołka, przy czym omal nie wykręcił nadgarstka Janine.

- No, nareszcie jest- zawołał, nie zważając na zmieszanie swojej narzeczonej. - Jest nareszcie nasza mała ślicznotka.

## 4

W pracowni plastycznej pięć długich, prostokątnych stołów oznaczonych jest różnymi kolorami, przy każdym siedzi siedmiu, ośmiu uczniów, a Tick została przydzielona do Niebieskiego. Nauczycielka plastyki, pani Roderigue jest dużą kobietą o wystającym masywnym biuście, czego jednak sama zdaje się nie zauważać. Gdy wchodzi do klasy i jeden z chłopców mówi głośno i wyraźnie: „Ale szaaaafa!”, widać, że ona nie dostrzeża związku pomiędzy swoim wyglądem a tym jakże łatwym do uchwycenia komentarzem. Mimo że pani Roderigue jest mniej więcej w wieku ojca Tick, wydaje się starsza od niego, przypuszczalnie dlatego, że czesze się w stylu, który Tick kojarzy się wyłącznie ze starszymi paniami.

Jako nauczycielka, pani Roderigue najbardziej chlubi się swoimi zdolnościami organizacyjnymi. „Jest was czterdzieścioro - oznajmiła klasie zaraz pierwszego dnia, kiedy wszyscy już usiedli - i dlatego jest niezbędnie konieczne, byśmy na początek ustalili zasady organizacyjne, których następnie będziemy się bezwzględnie trzymać”.

Normalnie klasy nie mogą być aż tak liczne, ale dla plastyki uczyniono wyjątek - co, jak podejrzewa Tick, stanowi wymowny dowód, że nikt nie traktuje plastyki jako przedmiotu z prawdziwego zdarzenia, takiego jak historia czy matematyka. Pani Roderigue nie jest nawet na pełnym etacie, ucząc popołudniami w szkole średniej, a rano w starszych klasach podstawówki, przy czym jej metody nauczania są wszędzie takie same, niezależnie od poziomu słuchaczy.

Dla Tick w całym tym oznakowaniu przez panią Roderigue stołów kolorami najbardziej interesujące jest to, że w rzeczywistości wszystkie stoły są tak samo stalowoszare, więc pierwszego dnia jedynym sposobem odróżnienia ich było odczytanie nazw: NIEBIESKI, ZIELONY, CZERWONY, ŻÓŁTY, BRĄZOWY, starannie wypisanych czarnym atramentem na karteczkach, przymocowanych taśmą klejącą do każdego z nich. Drugiego dnia wszystkie karteczki zostały zdjęte i schowane do foliowych koszulek, aby nie uległy zniszczeniu czy zabrudzeniu. Plastyka, powiedziała swoim uczniom nauczycielka, to przede wszystkim teoria i praktyka porządku. Nie istnieje

nie takiego jak Sztuka Niedbała. Artyści, stwierdziła, muszą najpierw wiedzieć, gdzie się znajdują. Dlatego w klasie pani Roderigue każdy dowiadywał się najpierw, czy jest Niebieski, Zielony i tak dalej. Jeśli byłeś Niebieski, oczekiwano od ciebie, że zapamiętasz, gdzie znajduje się Niebieski, chociaż dla czego Niebieski był akurat Niebieskim, a nie, na przykład, jakąś liczbą, jak „Jeden” albo „Dwa”, pozostawało tajemnicą.

Jakkolwiek było, przy stole Niebieskim Tick siedzi obok Candance Burke, która lubi ubierać się w modne dziewczynskie ciuchy - wytarte dżinsy, T-shirty, różowe adidasy. Do tego biały cień na powieki i tony tuszu do rzęs. Dzisiaj włożyła ten swój T-shirt z jednorożcem. Wciąż go nosi: albo ma dwa takie same, albo jeden pierze na okrągło. Była w nim pierwszego dnia szkoły i dzisiaj, a jest czwartek, jest w nim znowu.

- O mój Boże, o mój Boże - woła, patrząc na obrazek Tick. - Ty już jesteś prawie gotowa. A ja jeszcze nawet nie zaczęłam. Pomożesz mi, co nie? Powiedz, jaki jest mój najciekawszy sen?

- Skąd ja mogę wiedzieć, co ci się śni - dziwi się Tick.

Candance wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć, że skoro tak, to są już dwie, bo ona też nie wie, nie martwi się tym jednak dłużej niż sekundę.

- No, powiesz mi wreszcie, jak to się stało, że znalazłaś się w tej klasie dla kretyńców? - i to jest naprawdę to, co chciałaby wiedzieć. Bo chociaż Candance pytała o to codziennie i codziennie otrzymywała odpowiedź, to albo zapomniała, albo nie bardzo dowierza temu, co Tick miała jej do powiedzenia w tej sprawie. Jej docieklivość przypomina Tick taki jeden film, który kiedyś widziała: pewien mężczyzna jest godzinami przesłuchiwany i wypytywany go o różne rzeczy, ale jedno pytanie stale powraca. On odpowiada na nie wciąż tak samo, przesłuchujący muszą jednak coś podejrzewać, bo mimo to wciąż powracają do tego pytania. W końcu zabijają go - pewnie z frustracji. I widz ostatecznie nie dowiaduje się, czy ten człowiek mówił prawdę czy też kłamał.

Candance wcale nie kryje się z nożem, który ukradła zaraz na pierwszych zajęciach, a którym teraz wycina imię swojego chłopaka, Bobby'ego, w poręczy drewnianego krzesła, na którym siedzi okrakiem w taki sposób, jak nieraz siadają starsi mężczyźni w Empire Grillu. Jeśli chodzi o Tick, to niewielka odległość od tego niebezpiecznie wyglądającego narzędzia oraz cel, do jakiego w tej chwili ono służy, wprawiają ją w więcej niż lekkie zdenerwowanie, zwłaszcza kiedy Candance przestaje nim wyrzynać litery, a zaczyna gestykulować, wymachując ostrzem dla zwiększenia dramatycznego

efektu. Tick niemal się spodziewa, że lada moment koleżanka przyłoży jej ten nóż do gardła i syknie: „No więc, dlaczego tak naprawdę jesteś w jednej klasie z kretynami? Kto cię tu przysłał? Mów prawdę, bo ci...”.

W rzeczywistości Candance usiłuje jedynie pogodzić fakt, że Tick jest inteligentną dziewczyną, która przerabia program dla zaawansowanych, z tym, że ona sama i cała reszta należą do „Tępaków”, czyli są uczniami, którzy robią wersję uproszczoną programu, jaki obowiązuje z takich przedmiotów, jak biologia, a do tego biorą pewniaki w rodzaju plastyki, dzięki którym będą mieli większe szanse na zdanie do następnej klasy. Tick podejrzewa, że Candance zakolegowała się z nią między innymi dlatego, że sprawia jej przyjemność oprowadzanie obcych po Świecie Tępaków, stanowiącym strefę akademicką zaludnioną przez takich uczniów, co to nie są w stanie nauczyć się gramatyki ani rozwiązywać zadań z matematyki, a co więcej nie widzą powodów, dla których mieliby to robić. Większość z nich to chłopcy, którym bynajmniej nie przeszkadza, kiedy mówi się o nich „Tępaki”.

Sama Candance woli określenie „kretynka”. Zwierzyła się Tick, że jest to także ulubione wyrażenie jej matki, słowo, którego używa w odniesieniu do Candance przy rozmaitych okazjach, jak na przykład: „Co tam słyhać, kretynko?” albo „Jak tam, nauczyłaś się dzisiaj czegoś w szkole, kretynko?” czy też „Hej, kretynko, chyba nie wyszłaś znowu z domu, zabierając mi kluczyki od samochodu, co?”, lub: „Przysięgam na sakramenckie rany Chrystusa, kretynko, jeśli jeszcze raz cię przyłapię, jak się dobierasz do tego pioruńskiego barku, to popędzę cię tak jak stoisz na górę Kalwarię, razem z tymi cholernymi chrześcijanami, i każę ci się napić Krwi Baranka, żebyś sama mogła się przekonać, jak smakuje takie świństwo, a mogę cię już teraz zapewnić, że ci nie zasmakuje, dlatego radzę po dobremu, trzymaj się z daleka od mojej pioruńskiej wódki, jasne?”. O ile Tick się orientuje, Candance już dawno doszła do wniosku, że jest to czułe słówko, stosowane w odniesieniu do dzieci, takich jak ona, dla których, tak się przypadkiem składa i z czym się wszyscy wyraźnie zgadzają, nie ma żadnej przyszłości.

Mimo wszystko Tick zastanawia się, czy nie powinna głośno zaprotestować przeciwko tej „kretynce”, nim przystąpi do wyjaśniania, dlaczego przebywa pośród tych, których określa się tym mianem. Ale ponieważ nie widać, żeby Candance zależało na tym wyjaśnieniu, Tick rezygnuje.

- Lubię plastykę - mówi teraz niepewnie, mówi zresztą to samo każdego



dnia przez cały ostatni tydzień, jak zawsze w pełni świadoma, że taka prawda jest jedynie słabą namiastką dobrej odpowiedzi.

O mały włos, a Tick w ogóle nie mogłaby wybrać plastyki, ponieważ nie dawało się jej dopasować do planu lekcji, a to dlatego, że zajęcia plastyczne odbywały się dokładnie w tym samym czasie, gdy uczniowie idący programem zaawansowanym mieli przedmioty obowiązkowe, takie jak chemia czy matematyka, albo szli na przerwę śniadaniową. Tick zaproponowała, że mogłaby chodzić na plastykę, gdyby pozwolono jej jeść drugie śniadania w kafeterii podczas szóstej lekcji, ale pomysł został z miejsca odrzucony. I dopiero tata musiał przyjść z nią do szkoły i porozmawiać z dyrektorem, panem Meyerem. Dyrektor zaczął tłumaczyć, że chodzi o to, iż kafeteria kończy pracę po piątej lekcji, a poza tym nawet gdyby Tick przynosiła swoje kanapki z domu i kupowała sobie wodę z automatu, musiałaby jeść całkiem sama w dużej pustej sali, w której byłaby zamykana, i w dodatku musiałaby dać słowo, że dopilnuje, by nikt tam nie wchodził, ponieważ sala byłaby wtedy bez nadzoru.

Kiedy pan Meyer zapytał Tick, czy nie przeszkadzałyby jej takie ograniczenia, pomyślała ze zdziwieniem, jak zresztą często to robiła, że dorośli zamieszkują strasznie dziwny świat. A może wszyscy cierpią na jakiś rodzaj zbiorowej amnezji? Wystarczyło tylko spojrzeć na pana Meyera, żeby się domyślić, że w dzieciństwie był grubasem, z którego wszyscy się nabijali, i że przerwa śniadaniowa musiała być dla niego torturą. Na pewno w stołówce w naturalny sposób grawitował ku stolikowi dla odmieńców albo siedział sam jak palec przy stole, mogącym pomieścić szesnaście osób, przez co stanowił doskonały cel dla wszystkich tych, którzy gromadnie oblegali stoły dla wybranych, określane jako elitarne przez tych, którzy mieli prawo przy nich zasiadać, zgodnie z kodeksem ustalonym pierwszego dnia szkoły, złożonym z reguł jasnych i oczywistych dla wszystkich, bez potrzeby stosowania jakichkolwiek oznaczeń kolorami. Naprawdę wystarczyło tylko spojrzeć na pana Meyera, żeby wiedzieć, że całą szkołę średnią przeszedł, obrywając w głowę wszelkimi produktami spożywczymi, jakie tylko nadawały się do tego celu, a mimo to teraz niepokoił się, że Tick zostanie pozbawiona tego jakże ważnego „socjalizującego” aspektu, nieodzownego dla dobrej edukacji w szkole średniej. Tick doszła do wniosku, że widocznie podczas jednej z takich przerw śniadaniowych jakieś świństwo musiało mu nieźle przydzwonić w tę jego spiczastą czaszkę, gdyż naprawdę wyglądało na to, że ten człowiek nic nie pamiętał.

Pewnie dlatego nie miał pojęcia, jak bardzo zachwycona była Tick perspektywą jedzenia śniadań w samotności. I w żadnym razie nie przeszkadzało jej, że będzie musiała czekać do przerwy po szóstej lekcji, żeby zjeść swoją kanapkę. Z powodu szkoły i tak skręcało jej żołądek, a w ten sposób przynajmniej nie będzie musiała znosić upokorzenia, że nie ma gdzie usiąść. Co na pewno by ją czekało. Latem zerwała z Zackiem Minty, a to oznaczało, że nie będzie już mile widziana przy stole zdominowanym przez jego krąg. A ona nie była taka głupia, żeby próbować dołączyć do którejś z klik przy słynnym stole dziewczyn. O niebo lepiej siedzieć samotnie w pustej kafeterii, myślała sobie Tick, niż być samotną w zatłoczonej sali.

- Wiesz, że Craig chciał mi kupić na urodziny „Antologię Beatlesów”? - mówi Candance. - To znaczy, zanim z nim zerwałam.

Tick udaje, że nie słyszy. Jako pierwsze ćwiczenie mają namalować swój najbardziej wyrazisty sen, więc Tick maluje sen, w którym trzyma w dłoni węża. Obrazek całkiem nieźle jej wychodzi. Z początku wąż wyglądał jak węgorz, ale teraz nie jest już taki płaski i przez to wydaje się bardziej węzowaty, chociaż nie jest taki przerażający jak w jej śnie, gdzie ścisnęła go w garści ze wszystkich sił, a jemu mimo to ciągle udawało się jakoś wydostać i obrócić głowę, żeby na nią spojrzeć. We śnie Tick była bezpieczna tylko wtedy, gdy przytrzymywała gada u nasady głowy, ale on wciąż się wyslizgiwał z uścisku. I kiedy po raz kolejny zdołał się obrócić i wbić w nią wzrok, ona obudziła się ze wzdrygnięciem. Myśląc o tym śnie, Tick dochodzi do wniosku, że nauczyła się jednej pozytywnej rzeczy: gdy ktoś zamierza cię skrzywdzić, najpierw musi ci się dobrze przyjrzeć.

- Słuchasz mnie? - pyta Candance.

- Kto to jest Craig? - pyta Tick, podejrzewając, że powinna to już wiedzieć, bo przypuszczalnie Candance nieraz już jej o nim mówiła. Na szczęście, Candance zupełnie nie przeszkadza wielokrotne powtarzanie opowieści o swoich chłopakach.

- To ten, z którym zerwałam dla Bobby'ego - wyjaśnia, i widać wyraźnie, że ten temat znacznie bardziej ją interesuje niż konieczność zabrania się za szkic, który następnie będzie musiała przenieść na duży arkusz papieru, a na koniec pomalować. Przy czym Candance jakoś niespecjalnie przeszkadza, że jest w tyle za całą klasą. Co ciekawe, nie wydaje się również, by przeszkadzało to pani Roderigue. Przez cały tydzień Tick czekała, że kobieta podejdzie do stołu Niebieskiego, przekona się na własne oczy, że Candance nie zrobiła dokładnie nic, a wtedy udzieli jej nagany, ale jak dotąd

nauczycielka omija ich stół z daleka, tak jakby od początku zadecydowała, że Niebieski oznacza kłopoty, dlatego najlepiej uznać, że po prostu nie istnieje.

Tick już się nauczyła, że większość nauczycieli nie odczuwa specjalnej potrzeby, by wychodzić kłopotom naprzeciw. Na przykład nigdy ich nie ma tam, gdzie kupuje się i sprzedaje narkotyki. Tajemnicę noża exacto, skradzionego na pierwszych zajęciach z plastyki, o której to kradzieży poinformowano przez głośniki w świetlicy, dałoby się bez trudu rozwiązać, gdyby pani Roderigue choć raz podeszła do stołu Niebieskiego, gdzie Candance całkiem otwarcie używa tego noża do wyrzynania imienia swojego Bobby'ego. Tick nie może się oprzeć myśli, że pani Roderigue boi się noży tak samo jak ona. Tick bardzo chciałaby wierzyć, że strach, często irracjonalny, jaki ją często paraliżuje, jest jedną z tych rzeczy, z których kiedyś wyrośnie. Dorosli, ogólnie rzecz biorąc, wydają się go pozbawieni. Nawet jej wujek David, któremu rozbity samochód omal nie urwał ręki w łokciu, kiedy siada za kierownicą, wygląda, jakby się wcale nie bał. Nie, większość dorosłych jest jak jej tata, u którego strach, jeśli kiedykolwiek w ogóle go odczuwa, zastąpiła swego rodzaju melancholia. Natomiast z jej mamą jest zupełnie inna historia. Czasami Tick dostrzega przelotny wyraz paniki na twarzy Janine, kiedy matka nie wie, że jest obserwowana, ale zaraz głośno przetyka ślinę i tłumi to w sobie, cokolwiek to jest, samą siłą woli. I to jest dopiero sztuka, której Tick bardzo by chciała się nauczyć, ponieważ strach jest na ogół jej nieodłącznym towarzyszem.

- No więc, jak myślisz, powinnam zaczekać na mojego chłopaka? - dopytuje się Candance. - Czy może spiknąć się znowu z Craigiem na parę tygodni?

Bobby, ten, na którego Candance może zaczeka, a może nie, siedzi w pa-ce. Został aresztowany w szkole w Fairhaven, co według Candance, nie było w porządku. Dlaczego tak uważa, nie jest dla Tick całkiem jasne. Trudno uwierzyć, ale Candance jest wyraźnie przekonana, że gliny przyszły po niego, ponieważ zabrał swojej matce dolara, a oddał jej tylko siedemdziesiąt pięć centów. Podobno mają go zwolnić za parę tygodni, akurat na czas, żeby zdążył na mecz futbolu. Tick nie wie, ile z tego, co jej opowiada Candance, jest prawdą. Nie jest pewna, na przykład, czy ten chłopak jest naprawdę w areszcie. Albo czy w ogóle istnieje. Albo czy ten drugi chłopak, Craig, rzeczywiście obiecał jej kupić „Antologię Beatlesów”. Tego rodzaju wątpliwości znacznie utrudniają udzielanie dobrych rad.

Jeśli można wierzyć Candance, ma ona bardzo dramatyczne przeżycia miłosne, co Tick w zasadzie nie przeszkadza, z tym tylko, że kiedy w końcu wyczerpie się jej temat własnych romansów, będzie chciała dowiedzieć się czegoś o romansach Tick, a im zdecydowanie brakuje dramatyzmu. Albo raczej - w ogóle nie ma żadnych romansów. Na wyspie Martha's Vineyard spotkała nieśmiałego chłopaka ze stanu Indiana, który przyjechał z matką w odwiedziny do przyjaciół, żeby tam przeczekać aż do zakończenia sprawy rozwodowej rodziców; gdyby to Tick ukradła nóż exacto i miała wyciąć w oparciu krzesła imię chłopca, to brzmiałoby ono „Donny”. Kiedy Donny opowiadał jej o swoim tacie, który przenosił się do Kalifornii, oczy napełniły mu się łzami. Zwierzył się, że jego tata właśnie się przeprowadzał, akurat w tym tygodniu, i dlatego Donny został zabrany na Martha's Vineyard, żeby nie musiał patrzeć, jak tata wyjeżdża. Donny stwierdził również, że wolałby mieszkać z nim, chociaż to z jego winy był rozwód, ponieważ tata zakochał się w innej kobiecie.

Tick powiedziała Donny'emu, że ona przeszła prawie dokładnie przez to samo. Kiedy jej rodzice się rozstawali, nikt nawet nie zapytał, z którym z nich chciałaby zamieszkać. Oczywiście, w jej wypadku nikt nie przeprowadził się do Kalifornii, i chociaż faktycznie mieszkała z matką, w praktyce niemal tyle samo czasu spędzała z ojcem. Donny nie chciał wierzyć, że matka Tick wciąż mieszka o trzy przecznice od ojca; jego ojciec bowiem wybrał San Diego na nowe miejsce zamieszkania, właśnie dlatego że było możliwie najdalej od Indianapolis bez konieczności opuszczania kontynentu amerykańskiego. Na co Tick odpowiedziała, że pewnie jej rodzice po prostu nie mieli dość pieniędzy, by bardziej zwiększyć dystans między sobą.

Ta intymna rozmowa odbyła się na plaży w ostatni wieczór, spędzony razem, i kiedy obserwowali, jak pomarańczowa kula słońca zapada się w ocean, Donny wziął ją za rękę. Nie mieli nawet tyle odwagi, żeby się pocałować, a gdy następnego dnia wcześniej rano żegnali się w obecności taty Tick i mamy Donny'ego, nie mając pewności, na ile mogą sobie pozwolić, tylko uścisnęli sobie ręce, dotykając się palcami lodowatymi z żalu i rozczarowania.

W każdym razie w tej historii nie było nic ciekawego, co można by opowiedzieć komuś takiemu jak Candance, nawet zakładając, że Tick miałaby ochotę na zwierzenia. Sama podejrzewa, że największym dowodem na istnienie jej szcątkowego życia romantyczno-uczuciowego jest fakt, że nie może przestać myśleć o tym, jak dobrze było siedzieć tam na ciepłym piasku

w zapadającym zmierzchu i po prostu trzymać się za ręce z chłopcem, którego lubiła. Pewnie, teraz żałuje, że nie zebrali się na odwagę, żeby się pocałować, ale wtedy w zupełności wystarczyło im to, co robili. Ich wzajemne zrozumienie, nawet jeśli było to zrozumienie wspólnych smutków, z początku było tylko podniecające, ale z czasem przyniosło też spokój i pocieszenie, chociaż Tick raczej wątpi, czy Candance potrafiłaby to pojąć. Zdążyła już kilkakrotnie wspomnieć o „byciu” z Bobbym. Tick jest niemal pewna, że wie, co takie „bycie” z chłopakiem znaczy, i jeśli ma rację, to na Candance nie zrobiłoby większego wrażenia spotkanie, którego punktem kulminacyjnym było trzymanie się za ręce.

- Mam na myśli to, wiesz, że Craig nie jest wcale taki zły, no i kocha mnie, i w ogóle... I on naprawdę chce mi kupić „Antologię Beatlesów”. No więc jak, co według ciebie powinnam zrobić? - chce natychmiast wiedzieć Candance.

Nim jednak Tick może cokolwiek odpowiedzieć, do rozmowy wtrąca się chłopak imieniem Justin, który siedzi na drugim końcu ich stołu.

- Naprawdę, Candance? - mówi w taki sposób, jakby to jemu zadała jakieś pytanie. - Poważnie mówisz, że chciałabyś spróbować z Johnem?

John Voss, który również siedzi przy Niebieskim stole, nigdy na nikogo nie patrzy. Z całej szkoły wydaje się Tick najbardziej zagadkowy i obcy i z tego powodu trochę się go nawet boi. Nie tyle chodzi o to jego dziwne ubranie, które wygląda jak z lumpeksu, ani o włosy powycinane w nierówne placki, jakby sam się strzygł. Chodzi o jego milczenie. Jak dotąd, przez cały tydzień nie odezwał się ani razu. Gdyby nie to, że Justin od czasu do czasu powołuje się na niego, mówiąc w taki sposób, jakby przekazywał myśli tego śniętego chłopaka, można by zapomnieć, że on w ogóle tam jest. W tej chwili John Voss z pracowitą dokładnością maluje coś w kształcie jaja, czym również wprawia Tick w zakłopotanie i lęk. No bo kto śni o jajkach? Obserwując go podczas pracy, Tick myśli o takich porównaniach, jakie spotyka się w testach. Jedno można by ułożyć mniej więcej tak: *John jest dla Justina tym, czym „X” jest dla Candance*. A odpowiedź powinna brzmieć: Tick.

- Słuchaj, Candance - ciągnie Justin. - John mówi, że powinnaś wpaść do niego dziś po szkole. Mówi, że ma coś, co chciałby ci pokazać.

- Zamknij się, ty złamasie! - krzyczy Candance, aż Tick wzdryga się nerwowo. Tick dobrze wie, że panika w głosie Candance wynika z tego, iż Justin próbował zbudować romantyczną więź pomiędzy nią a chłopakiem, który plasuje się na samym dnie szkolnej hierarchii społecznej.

Ponieważ sama Candance znajduje się niewiele wyżej nad tym dnem, za wszelką cenę musi się bronić przed tego typu nieporozumieniami.

- Najmocniej przepraszam, pani Roderigue - mówi, kiedy wszyscy przy stolach Czerwonym, Zielonym, Żółtym i Brązowym odwracają się, żeby na nią spojrzeć. - Ale to wszystko przez Justina, on mnie zawsze musi zdenerwować.

Pani Roderigue rzeczywiście wyprostowała się i spogląda groźnie na Niebieski, tak jakby wszyscy siedzący przy tym stole byli na równi odpowiedzialni za wybuch Candance. Jej niezadowolenie i zniecierpliwienie zdaje się, obejmować zarówno Tick, jak i Johna Vossa, który nawet nie odewiał oczu od swojego jajka.

- Mam nadzieję - odzywa się nauczycielka podniesionym głosem - że to pierwszy i ostatni tego typu wybryk przy stole Niebieskim.

- No, przecież powiedziałam „przepraszam” - odpowiada Candance głośno, przewracając oczami, tak jakby dawała do zrozumienia, że nie pojmuję, czego ta kobieta może jeszcze od niej chcieć, skoro wszystko już dostała.

- Jeśli chcesz wiedzieć, jak powinno wyglądać przykładne zachowanie - kontynuuje pani Roderigue, jakby sądziła, że w tym tkwi problem - nie musisz daleko szukać, wystarczy, że spojrzysz na stolik Zielony.

Stół Zielony, jak zauważyła Tick, jest dzisiaj zdziesiątkowany. Normalnie siedzi tam ośmiu uczniów, ale czterech nie przyszło. Dwóch z tych, którzy są obecni, czyta książki do algebry, przygotowując się do testu na następnej lekcji, a kolejny śpi mocno z głową opartą o blat. Gdyby Tick nie miała dość oleju w głowie, to może podniosłaby rękę i zapytała panią Roderigue, czy może wyjaśnić jej dokładniej, co takiego dzieje się przy stoliku Zielonym, co byłoby godne naśladowania. Nawet Candance, która używa skradzionego noża do wyrzynania ozdobnymi literami imienia jej aresztowanego chłopaka, by w ten sposób upamiętnić swoje uczucie do młodocianego przestępcy, przy okazji dewastując szkolną własność, nawet taka Candance jest bliżej realizacji celu przewidzianego w programie zajęć plastycznych.

- No więc, jak to się stało, że zerwałaś z Zackiem Minty? - pyta Candance, gdy tylko pani Roderigue z powrotem kieruje uwagę na twórcze wysiłki swojego ulubionego stołu Czerwonego.

- Tak jakoś, zerwaliśmy ze sobą nawzajem - mówi Tick, co w pewnym sensie jest prawdą. Kiedy powiedziała Zackowi, że nie chce już z nim chodzić, on odpowiedział jej, że w porządku, dobrze się składa, bo on też nie ma już na to ochoty. Co miało znaczyć, że niby co ona sobie wyobraża, że

kim ona jest? Następnego dnia zadzwonił do niej, żeby jej powiedzieć, że ma już nową dziewczynę, i wymienił imię takiej jednej, która nie znosiła Tick, mimo że nigdy nie zamieniła z nią ani słowa.

- A ja uważam, że powinniście się znowu zejść - mówi Candance, najwyraźniej niezrażona tym, że absolutnie nic nie wie o ich związku. - Mówię ci, on naprawdę cię kocha.

Tick przełyka głośno, próbując skoncentrować się na wężu, z którym nagle znowu nie wiadomo dlaczego coś jest nie tak. Wprawdzie już trochę mniej wygląda jak węgorz, to dobrze, jednak coś jest zdecydowanie złe, jeśli chodzi o proporcje, tak jakby dolna partia jego ciała była narysowana w innej skali, a górna, razem z głową, w innej. Tick bardzo by chciała uzasadnić to skrótem perspektywicznym, ale sama wie, jak wiele zwyczajnie złej sztuki tłumaczy się zamierzonym działaniem artysty.

- Bardzo w to wątpię - mówi Tick, tym razem uciekając się do absolutnej, niczym nieokraszonej prawdy.

Dziwna rzecz, ale dopóki nie wyjechała na Vineyard, nie bardzo wiedziała, co począć z Zackiem. Może lato i wakacje także zrobiły swoje, bo znacznie trudniej jest się obyć bez chłopaka w czasie roku szkolnego, kiedy wszystko odbywa się na oczach innych i od razu widać, że ktoś jest sam. Zerwanie z Zackiem nie było samo w sobie takie złe. Przynajmniej nie musiała się już codziennie zastanawiać, w jakim humorze będzie Zack, miłym czy nieprzyjemnym, a trzeba przyznać, że przypominało to trochę przewidywanie, jak wiatr powieje. Tak więc brak chłopaka był w sumie w porządku, nawet jeśli bardzo wątpiła, że uda jej się prędko znaleźć następnego. Bardziej niż zerwanie z Zackiem martwiło ją co innego, że razem z nim traciła jego przyjaciół, praktycznie całą paczkę znajomych. Kiedy byli razem, jego przyjaciele byli jej przyjaciółmi, ale jak tylko ze sobą zerwali, dotarła do niej inna prawda: że byli to wyłącznie jego przyjaciele, wszyscy co do jednego. Nie żeby jej nie lubili. Podejrzewała nawet, że paru z nich naprawdę ją lubi, i to bardziej niż Zacka, albo przynajmniej byłiby szczęśliwi, gdyby mogli zachować neutralność, o ile tylko pozwalałyby na to zasady gry. Ale nie pozwalały, a Zack nie był kimś, kogo by się chciało mieć za wroga. Natychmiast po zerwaniu zaczęła odbierać telefony od jego przyjaciół, którzy nalegali, by znowu się z nim zesza, dając jej niedwuznacznie do zrozumienia, że w przeciwnym razie nie będzie mile widziana w ich paczce. Kilku chłopaków było niemal wystraszonych, tak jakby nie potrafili pojąć, że coś równie lekkomyślnego mogło jej wpaść do głowy. A jedna z dziewczyn

posunęła się nawet do tego, że stwierdziła, iż Zack może zgodziłby się zerwać z tą nową dziewczyną, gdyby Tick zdecydowała się do niego wrócić, chociaż nie było to całkiem pewne.

Do czasu wyjazdu na Martha's Vineyard poważnie rozważała, czy nie powinna tak zrobić, ale teraz miała już pewność, że nie chce. Odkąd spotkała chłopca, który naprawdę ją lubił, chciała być sama, przynajmniej na razie. Trochę ją martwiła cena tej nowej wiedzy. Czy fakt, że poznała smak uczucia, tak cudowny i nowy, ze strony kogoś, kto nie jest ani jej ojcem, ani matką, ma oznaczać, że odtąd będzie zmuszona całkiem się wyrzec innych znajomości?

- Mówię ci, jemu kompletnie nie zależy na Heather - ciągnie Candance. - Powinnaś zobaczyć, jak on ją traktuje.

- Wiem, jak on ją traktuje - mówi Tick, przyglądając się swojemu wężowi krytycznie. W końcu dochodzi do wniosku, że musi dodać mu język. - Dokładnie tak, jak traktował mnie.

- On się zmienił - mówi Candance, przyglądając się Tick uważnie. Skończyła już rzeźbić w krzesle i teraz zbiera swoje rzeczy w oczekiwaniu na dzwonek. To nagle zainteresowanie jej życiem uczuciowym potwierdza najgorsze obawy Tick: że Candance zaprzyjaźniła się z nią tylko dlatego, że otrzymała od Zacka polecenie, by wybadać szanse ich pogodzenia się. Szczęśliwie dla Tick od początku roku szkolnego rzadko go spotykała, a to z powodu treningów piłki nożnej, na które Zack musi chodzić codziennie po lekcjach. Gdyby nie to, pewnie nachodziłby ją non stop. Jest jeszcze inna sprawa, dzięki której rzadko go widuje: Zack zawałił zeszły rok tak fatalnie, że wypadł z kursu dla zaawansowanych. W przeciwnym razie siedziałby w ławce za nią na chemii i literaturze amerykańskiej i przez cały boży dzień czułaby na plecach ciężar jego zranionego, rozłoszczonego spojrzenia.

Teraz kiedy Tick ma już nareszcie całkowitą pewność co do motywów Candance, jest na nią zła i nim zastanowiła się, czy dobrze robi, mówi:

- Ja też się zmieniłam. A największa zmiana jest taka, że już go nie lubię.

W odpowiedzi Candance wydaje z siebie najgłośniejszy krzyk, jaki Tick kiedykolwiek słyszała. Nawet John Voss, który siedzi przy drugim końcu stołu, podnosi wzrok znad swojego jaja. Jakiś przedmiot z metalicznym brzękiem spada na podłogę tuż obok plecaka Tick, a Candance, zawodząc „O mój Boże, o mój Boże!”, unosi do góry rękę, która broczy krwią z głębokiej rany, biegnącej od opuszka kciuka niemal do środka dłoni. Krew jest



wszędzie - na jej ramieniu, na ozdobnych rowkach, które pracownicy złościła w oparciu swojego krzesła, maleńka różowa kropelka upadła nawet na węża Tick. Patrząc na tę krew, Tick czuje, jak jej własne lewe ramię zaczyna pulsować dokładnie tak samo, jak zawsze w gabinecie u lekarza przed zastrzykiem, i jeszcze kiedy ogląda horror i kogoś mordują.

Candance, która ciągle krzyczy, ściskając kciuk drugą dłonią, zaczyna się gwałtownie kiwać w przód i w tył, zginając się w pasie jak taki mechaniczny ptaszek, który pije wodę z wymyślanego poidelka. Teraz krew jest także na przodzie jej koszulki z jednoróżcem, a wszyscy tchórze z Zielonego stołu zrywają się i zbijają w gromadę pod przeciwległą ścianą klasy.

Lewe ramię Tick boli teraz tak bardzo, że zaczyna jej się kręcić w głowie, cała klasa nabiera dziwnego poblasku, a obraz zamazuje się na krawędziach, jak w scenie z majakami sennymi w telewizji. Pochyliła się do przodu, opiera czoło na chłodnej metalowej powierzchni stołu, wsłuchując się w krzyki Candance, dopóki nie dołącza się do nich jakiś inny głos, jakby napływający z oddali, i nowa para butów nie pojawia się tuż obok adidasów Candance. Tick rozpoznaje buty pani Roderigue i słyszy, jak gdzieś z oddali kobieta woła:

- Odsuń rękę, moje dziecko, żebym mogła zobaczyć, co się stało. - A potem jeszcze: - Kto ci to zrobił?

Teraz krzyczy Candance:

- Przepraszam, o mój Boże, przepraszam.

W oszołomieniu Tick dochodzi do wniosku, że Candance musi mówić do niej, przepraszając ją za to, że zgodziła się zostać wysłanniczką Zacka Minty.

- W porządku - mówi Tick albo przynajmniej wyobraża sobie, że mówi, ponieważ nie może podnieść głowy ze stołu, żeby cokolwiek powiedzieć. W każdym razie to właśnie bardzo by chciała powiedzieć, gdyż jest osobą, która z łatwością wybacza, gdyż w gruncie rzeczy nie potrafi znieść myśli, że ktoś pragnie, by mu wybaczone, a nie może się tego wybaczenia doczekać, i dlatego właśnie słowo „W porządku”, nieważne, wypowiedziane czy niewypowiedziane, dzwoni jej w uszach wraz z szumem własnej krwi. Ból w lewym ramieniu staje się nie do zniesienia, wydaje się, że jeszcze chwila, a wybuchnie i rozerwie jej rękę na strzępy, ale nagle osiąga punkt kulminacyjny, po czym wszystko zaczyna stopniowo słabnąć. Tick poci się teraz i dygotce, ponieważ boi się, że jeśli zapragnie, by wszystko ustało i wróciło

do normy, będzie musiała z powrotem przejść przez ten obszar bólu, a prawdę mówiąc, wolałaby nie. Chyba już raczej wolałaby zemdleć.

Dopiero gdy otwiera oczy, zdaje sobie sprawę, że od pewnego czasu kurczowo zaciskała powieki. Z czołem wciąż opartym na chłodnej krawędzi stołu, ma przed sobą widok podłogi i własnych nóg. Tam, pomiędzy jej prawą stopą a plecakiem leży zakrwawiony nóż exacto. Krzyki Candance ucichły, nigdzie też nie widać śladu jej różowych adidasów. Pani Roderigue, która przedtem chyba gdzieś poszła, ale teraz znowu wróciła, próbuje namówić Tick, żeby podniosła głowę, i tym razem Tick odkrywa ze zdziwieniem, że może to zrobić. Jeszcze bardziej zdziwiona jest, widząc, że klasa opustoszała, a wszyscy uczniowie zbici w gromadę tłoczą się na korytarzu, przyglądając się jej ciekawie. Sądząc po zegarze na ścianie, minęło dziesięć minut. Pani Roderigue przesuwa kciukiem po metalowej krawędzi krzesła Candance, najwyraźniej próbując zlokalizować jakieś miejsce na jego powierzchni na tyle ostre, że mogłoby przeciąć palec uczennicy aż do kości. Dyrektor szkoły, pan Meyer, przepychając się łokciami, toruje sobie drogę do klasy, następnie podchodzi i kładzie dłoń na czole Tick.

- Nie radziłabym podchodzić za blisko - mówi pani Roderigue. - Wygląda, jakby zaraz miała puścić pawia.

Pan Meyer reaguje zgodnie z tą inteligentną uwagą, chociaż Tick nie ma pewności, czym dyrektor jest bardziej zaskoczony, taką ewentualnością czy też dość obcesową uwagą nauczycielki.

- Nie, nie, w porządku. Czuję się już dobrze - mówi Tick, na wypadek, gdyby jednak ta pierwsza możliwość niepokoiła pana dyrektora. - Co się stało?

- Zemdląłeś, aniołku - mówi pan Meyer, sprawiając, że Tick po raz pierwszy czuje, że go lubi. - Na widok tej całej...

Przerywa swoją myśl, prawdopodobnie z obawy, że słowo „krew” mogłoby odnieść podobny skutek jak widok krwi. - Chcesz, żebym zadzwonił do twoich rodziców? - Gryzie się w język w tej samej chwili, w której to mówi, prawdopodobnie przypomniawszy sobie, że przecież jej rodzice żyją w separacji.

Poruszając palcami lewej dłoni, Tick powtarza, że czuje się już zupełnie dobrze i że wszystko jest w porządku. W palcach nadal czuje klucie tysiąca igiełek, ale ból zniknął, co oznacza, że będzie mogła wyjść stamtąd inną drogą, co jest dla niej wielką ulgą, gdyż oznacza, że nie będzie musiała powtórnie przechodzić przez tamten ciemny tunel bólu.

Nakazawszy jej, by nie ruszała się z miejsca, pan Meyer odprowadza panią Roderigue na stronę. Mimo to Tick chwyta strzępy ich rozmowy, słyszy, jak pani Roderigue powtarza to, co powiedziała jej Candance, w jaki sposób zacięła się w palec. Tym razem przychodzi kolej na pana Meyera, by obejrzeć oparcie krzesła, w tym celu obraca krzesło do światła i teraz on przejeżdża kciukiem po metalowej krawędzi, ale jakby mimochodem i od niechcienia, tak jakby sam nie był pewien, czy naprawdę chce rozwikłać tę zagadkę, czy może lepiej nie. Tick schyla się pod stół, udając, że sięga po plecak, podnosi nóż exacto i wsuwa go do jednej z otwartych bocznych kieszeni.

Kiedy się prostuje i zarzuca plecak na ramię, pan Meyer bierze ją delikatnie za łokieć i prowadzi do drzwi. Już na korytarzu Tick kątem oka widzi Zacka Minty i przez moment czuje, jak zalewa ją fala mdłości i kolana się pod nią uginają, ale pan Meyer w porę łapie ją w pasie. Normalnie Tick nie znosi, żeby ją ktoś dotykał, zwłaszcza ktoś dorosły, ale tym razem odczuwa wdzięczność.

- Gabinet pielęgniarski czeka na ciebie, młoda damo - mówi pan Meyer, prowadząc ją we wskazanym kierunku. W tej chwili Tick przypomina sobie, że w tym tygodniu na nią i na Candance przypada dyżur w pracowni plastycznej i że nie posprzątały po zajęciach, co stanowi, jak pani Roderigue dała im jasno do zrozumienia, najważniejszą część całego procesu twórczego. Odwraca jeszcze głowę w stronę klasy, a wtedy widzi panią Roderigue, która stoi przy stole Niebieskim, tak jakby chciała wszystkim pokazać, że skoro młodzi artyści się rozeszli, nikomu nic już nie grozi. Pani Roderigue spogląda na węża Tick z wyrazem najwyższego niesmaku.

## 5

Cukiernia z pączkami w Empire Falls była zawsze jednym z ulubionych miejsc Maxa Roby, głównie z powodu stosunku jej obsługi do palaczy, który sprowadzał się mniej więcej do jednego: „Spróbuj, jeśli masz ochotę, a przekonasz się, czy nam zależy”. Miles nieraz się zastanawiał, co jego ojciec pocnie od przyszłego roku, kiedy to we wszystkich restauracjach w stanie Maine zostanie wprowadzony zakaz palenia. Tymczasem jednak przy drzwiach nadal stał automat z papierosami, a zważywszy na to, że w lokalu znajdowało się zaledwie osiem stolików i kontuar, przy którym mieściło się

nie więcej niż pół tuzina stołków, wydzielenie części dla niepalących było raczej niemożliwe, co cieszyło starszka nawet jeszcze bardziej niż sam fakt, że mógł tam sobie zapalić. Max należał do tego pokroju ludzi, którzy tworzyli wokół siebie specyficzną atmosferę, a szczególną przyjemność, zdaniem Milesa, znajdował w tym, że inni muszą wdychać dym z jego papierosów. W rzeczywistości palenie było tylko jednym z wielu przejawów tego samego zjawiska: Max nie znosił żadnych ograniczeń. Gdy mówił, stawał bardzo blisko swego rozmówcy, a kiedy jadł, jedzenie jakimś cudem zaczynało fruwać w powietrzu. Ostatnio, w wieku siedemdziesięciu lat, zapalał namiętnością do słodyczy. Opychałby się czekoladą i batonami, gdyby tylko zęby mu na to pozwalały, ale że połowa mu wypadła, a pozostałe mu się chwiały, przerzucił się na pączki z cukrem pudrem. Gdy skończył pierwszego, Miles, który jak zwykle pił tylko czarną kawę, miał już cały front koszuli oproszony białym pyłem.

Kiedyś, wiele lat temu, Miles spytał matkę, jak to się stało, że zobaczyła coś pociągającego w mężczyźnie, który miał tak okropne nawyki, na co ona mu odparła, że jego ojciec nie zawsze taki był, a już na pewno nie jako młody człowiek. Miles kochał matkę i bardzo chciałby jej uwierzyć, ale nie było to łatwe. Grace była tego rodzaju kobietą, która przez całe swoje życie, skoro raz oddała komuś swoje serce, gotowa była nie zważać na to, co w nim było złego, jednak Miles podejrzewał, że z czasem po prostu nauczyła się całkowicie ignorować Maxa, byle tylko nadal pozostać jego żoną. Mimo to w owym czasie, gdy Miles zadał jej tamto pytanie, widać już było po niej, jak bardzo umęczona jest partnerem życiowym, którego wybrała. Patrząc teraz na niego, powiedziała synowi: „Nigdy byś się tego nie domyślił, ale twój ojciec miał niesłychanie zaraźliwy śmiech”.

Zaraźliwy, w to Miles mógł bez trudu uwierzyć. Jak większość dzieci, Miles z bratem, kiedy byli mali, przynosili do domu całą gamę chorób wieku dziecięcego - ospę wietrzną, świnkę, odrę, nie mówiąc o zwykłych przeziębieniach czy grypie. Szczególnie David był podatny na wszystko, co w danej chwili krążyło w powietrzu, i chorował zwykle dłużej niż Miles, ale żadnego z chłopców nie można było określić jako chorowitego czy nieodpornego, chyba że ich ojciec przywłókł coś do domu i podzielił się tym z domownikami. Wówczas wszyscy, z wyjątkiem samego Maxa, chorowali przepisowo jak z podręcznika medycyny. W jego płucach każdy wirus bez wyboru rozwijał się w śmiertelnie poważną chorobę, którą następnie wprowadzał do atmosfery serią gwałtownych kichnięć. Max uważał, że zakrywanie

sobie ust w takiej sytuacji jest zachowaniem absurdalnym. Według niego równie dobrze moglibyśmy sobie zasłaniać tyłek ręką podczas pierdzenia. Każdy widzi, co by to dało.

Miles obserwował teraz ojca, jak odpalał nowego papierosa od starego, a potem zgniotł niedopałek w popielniczce, którą w niespełna dwadzieścia minut zdołał zapełnić do połowy. Przyglądał się ustom ojca, próbując sobie wyobrazić komplet białych zębów i ten jego dawny zaraźliwy uśmiech, ale na próżno. Miles od jakiegoś czasu uważał, że jedną z największych nierozwiązanych zagadek wszechświata jest pytanie, co takiego pociąga kobiety w pewnych mężczyznach. Podobno kobiety we wszystkich zakątkach świata marzą o tym, żeby się kochać z Mickiem Jaggerem, a przynajmniej kiedyś marzyły. Inne nie widzą nic odpychającego w Maksie Roby. Miles nie potrafił ukryć podziwu dla kobiet za to, jak wspaniale umieją zaprzeczać istnieniu swoich zmysłów. Jeśli to wyjaśniało sprawę. Jeśli nie znaczyło, że od czasu do czasu odczuwają po prostu nieobliczalny pociąg do groteski.

Na dworze znowu padało, tak jak poprzedniego dnia, i to na tyle mocno, by uniemożliwić malowanie. Wracając pół godziny temu do restauracji, Miles zauważył ojca, który siedział na ławce przed swoim osiedlem Empire Towers i opowiadał coś starszej kobiecie, mającej taką minę, jakby się zastanawiała, czym sobie zasłużyła na to towarzystwo i co powinna uczynić, by w przyszłości uniknąć podobnego błędu. „Jedź dalej, nie zatrzymuj się” - ostrzegał głośno sam siebie Miles, nawet kiedy już podjeżdżał swoją jettą do krawężnika i naciskał klakson. „Żaden dobry uczynek - napominał sam siebie, obserwując, jak Max żwawo zrywa się z ławki i sunie w jego stronę prosto przez świeżo zasiany trawnik - nie pozostaje bez kary”.

Podobnie jak ten - dodał w myślach Miles, przyglądając się ojcu przez stół.

- Tato, masz okruszki ciasta w brodzie - odezwał się głośno.

Max golił się co trzeci, czwarty dzień, nigdy też nie prasował sobie ubrań, które notorycznie zostawiał w suszarkach w osiedlowej pralni, gdzie leżały, dopóki któryś z mieszkańców nie wyjął ich i nie odniósł mu do mieszkania. W rezultacie wszystko, co nosił, było zawsze pomięte i poznaczone zwariowaną siateczką zmarszczek i zagnieceń.

- No i co z tego? - odpowiedział pytaniem staruszek, wciągając kolejny kłęb dymu, a następnie wydmuchując go na bok przez szacunek dla Milesa, który nie palił. Tak jakby powietrze wokół nich i tak nie było niebieskie od

dymu. Tak jakby Miles i David, już jako dzieci, nie wdychali ekwiwalentu paczki papierosów dziennie, z powodu nałogu ojca.

- To, że wyglądasz jak idiota, ot co z tego - odparł Miles. - Jeszcze trochę, a ludziom wystarczy jeden rzut oka, żeby stwierdzić, że stetryczałeś jak ojciec Tom. - Prawdę mówiąc w porównaniu z Maksem ksiądz Tom wyglądał zdecydowanie elegancko.

Max rozważał tę kwestię przez dłuższą chwilę, nim uznał, że nie warto ciągnąć tego tematu.

- Powinieneś pozwolić mi, żebym ci pomógł przy kościele - swoją wzmianką o starym księdzu Miles przypomniał Maxowi sprawę, na której bardzo mu zależało. Miles uważał malowanie kościoła za temat zamknięty, podczas gdy dla Maxa była jak najbardziej otwarta. - Sam dobrze wiesz, że przez czterdzieści lat malowałem domy. W przyszłym miesiącu chcę pojechać do Key West. A jak, twoim zdaniem, mam to zrobić bez pieniędzy?

- Nie sądzę, żeby pomaganie mi przy kościele było dobrym pomysłem, tato - odrzekł Miles. - W zeszłym miesiącu spadłeś z barowego stołka. Nie chcę, żebyś mi spadał z jakiejś drabiny.

- To było co innego - tłumaczył mu ojciec. - Byłem pijany.

- Właśnie - odrzekł Miles. - Podobnie jak będziesz pijany, spadając z drabiny, co do tego nie mam wątpliwości.

Ojciec przytaknął zgodnie i gdyby Miles nie znał go tak dobrze, mógłby przysiąc, że Max dał za wygraną.

Ale wydmuchując kolejny kłęb dymu, staruszek nie odwrócił już głowy.

- Sam wiesz, że gdybym tylko miał parę dolców w kieszeni, nie musiałbym się stale u ciebie przymawiać, no nie?

W tym momencie zjawiała się kelnerka, dołała im kawy, po czym odeszła znowu, a wszystko jednym płynnym ruchem, dając tym Milesowi jasno do zrozumienia, że ani myśli pozostawać w pobliżu Maxa dłużej niż potrzeba.

- Słyszałeś, co powiedziałem? - chciał się upewnić ojciec.

- Słyszałem, tato - odpowiedział Miles, wysypując słodzik do kawy. - Ale stale zapominasz, że ja maluję świętą Katarzynę za darmo.

Ojciec wzruszył ramionami.

- Ale to wcale nie znaczy, że ty nie mógłbyś zapłacić mnie.

- Tak, tato, znaczy - odparł Miles. - To właśnie dokładnie znaczy.

Malowanie kościoła z ojcem u boku było ostatnią rzeczą, jakiej by Miles sobie życzył. Za każdym razem, gdy tylko Max natykał się na księdza Marka,

natychmiast zaczął mu dokuczać, jacy to katolicy są skąpi; przekonywał, że skoro Watykan jest bogaty, to wszyscy księża, już z samej racji, że są zatrudnieni przez tenże Watykan, na pewno mają prawo wypisywać czeki do woli. Więc niech mu kto powie, jak to możliwe, żeby Kościół siedział na tych wszystkich milionach, a nie mógł sobie pozwolić na zapłacenie dwóm biednym malarzynom z Empire Falls w stanie Maine? Oto co chciał, żeby mu ojciec Mark wytłumaczył. W rzeczywistości pytanie i tak pozostałoby retoryczne, jako że Max dałby ojcu Markowi nie więcej niż dwie sekundy, po czym sam zacząłby wyjaśniać, na czym polega cały ten kościelny szwindel. Co tydzień - dowodziłby - zbierają pieniądze od ludzi, którzy są na tyle głupi, że nie potrafią z nich zrobić lepszego użytku, potem wkładają je do banku gdzieś na drugim krańcu świata, gdzie nie ma szans, by zjawił się ktoś z Empire Falls, Maine, żeby ich poszukać, nie mówiąc już o ich odnalezieniu. A jak ktoś poprosi o zwrot nawet małej sumki - powiedzmy, żeby ksiądz mógł sobie pomalować ten swój cholerny kościół - to wtedy mówią, że oni nic nie wiedzą, że są tak samo biedni jak wszyscy i że te pieniądze zostały wysłane biskupowi, który przekazał je kardynałowi, który oddał je papieżowi. „Już wiem, kim chcę być w przyszłym życiu - zakończyłby swoją tyradę Max. - Papieżem. A wtedy będę robił dokładnie to, co on. Będę siedział na całej tej sakramenckiej kupie forsy”. Miles lubił sobie wyobrażać podobne sceny, w głównej mierze dlatego, że pomagało mu to unikać ich w rzeczywistości.

- Gdybyś mi zapłacił za robotę - ciągnął Max, którego retoryka była bardziej wyrafinowana, niż można się było spodziewać po mężczyźnie z okruszkami jedzenia na brodzie - nie musiałbym się czuć jak bezużyteczny grat. Sam przyznaj, że nie ma takiego prawa, które by mówiło, że starzy ludzie muszą się ciągle czuć niepotrzebni. Gdybyś mi zapłacił, zyskałbym nieco godności.

Tym razem z kolei Miles przytaknął z miłym uśmiechem.

- Myślę, tato, że twój statek z godnością odplynał pod pełnymi żaglami już bardzo dawno temu.

Max uśmiechnął się szeroko, przestał mieszać cukier w kawie, po czym wycelował łyżeczkę w syna, który poczuł, jak parę zabłakanych kropel kawy ląduje na jego koszuli.

- Próbujesz mnie zranić - powiedział ojciec chytrze. - Ale to ci się nie uda.

Miles przyłożył papierową serwetkę do płam na koszuli.

- A poza tym, tato - rzekł - za każdym razem, gdy poczujesz, jak cię

rozpiera godność, możesz przyjść do restauracji i zająć się zmywaniem naczyń.

- I to ma być twoja wizja godności? Zamknąć swojego staruszka na długie godziny w tej ciasnej klitce bez okien i kazać mu zmywać gary za marne grosze, tak? Z czego na dodatek połowa idzie do rządowej kasy?

Obaj wiedzieli, że Max w końcu i tak przychodził zmywać, kiedy bieda go mocniej przycisnęła. Zresztą Milesowi też niespecjalnie zależało na tym, żeby go do tego zmuszać, bo ze staruszka był nieostrożny i niechętny pracownik. Jego zdaniem każde naczynie, które wyszło z wnętrza zmywarki, było czyste z definicji, choćby nawet widniały na nim ewidentne ślady po zaschniętych żółtkach. A jeszcze bardziej niż klaustrofobicznej klitki Max nie znosił tego, że Miles odmawia mu płacenia na lewo. Uważał, że skoro można pomalować cały dom i dostać za to zapłatę bez rachunków - co niewątpliwie Max robił przez całe swoje zawodowe życie - znaczyło to, że równie dobrze człowiek może zmyć parę garnków i nie brać za to pokwitowania. Z jego punktu widzenia Grace wychowała ich syna na człowieka o tak sztywnych zasadach moralnych tylko w jednym celu: żeby jemu dokuczyć. Gdyby przewidział podobną nieelastyczność charakteru, poświęciłby osobiście więcej uwagi wychowaniu chłopaka, niestety spostrzegł się, kiedy było już za późno. Na szczęście jednak, jego drugi syn, David, wziął po nim znacznie więcej.

- Zgodziłbym się, byś mnie zatrudnił w restauracji, gdybym od czasu do czasu mógł wyjść i stanąć za kontuarem - powiedział Max. - To przecież żadna filozofia przewrócić hamburgera na drugą stronę, no nie? A poza tym lubię sobie pogadać z ludźmi.

- Musiałbym cię najpierw przepuścić przez moją zmywarkę - odparł Miles. - Żeby wypłukać te okruchy z twojej brody. Najwyraźniej nie potrafisz zrozumieć, że ludzie przychodzą do Empire Grilla, żeby zjeść, a twój widok może każdemu popsuć apetyt.

- Może i jestem stary pryk i mam siedemdziesiątkę na karku - ciągnął ojciec, nie dając się zbić z tropu. - Ale wciąż potrafię wspinać się jak małpa.

On znowu swoje o tym malowaniu kościoła. Staruszek rzeczywiście był żwawy, Trzeba było przyznać, i to zarówno w nogach, jak w gębie. Miles już dawno zrezygnował z prób zapędzenia ojca w kozi róg.

Chociaż w sumie ten upór Maxa w kwestii kościoła była zastanawiająca. Kiedy trzydzieści lat temu ojciec Tom najął kogo innego do pomalowania św. Katarzyny, Max poprzysiągł, że jego noga więcej tam nie postanie. Naturalnie Max i bez tego przez całe lata nie przekraczał progę świątyni,



pozostawiając uczestnictwo we mszy świętej swojej żonie i synowi (Davida jeszcze nie było na świecie). Zgodnie z tym bowiem, jak rozumiał to Max, cokolwiek robili jego żona i syn, robili to niejako w jego imieniu, podczas gdy tamten budowlaniec wynajęty przez ojca Toma był jakimś cholernym prezbiterianinem, który nie miał żadnego, ale to żadnego związku z parafią. Może sam Max też nie był zanadto praktykującym katolikiem, ale ożenił się z katoliczką, która praktykowała w każdej minucie swego życia, nawet jeśli polegało to na klepaniu pacierzy. Co więcej, spłodził potem jeszcze jednego małego katolika, i to także powinno się liczyć.

I rzeczywiście, Max dotrzymał swojej przysięgi, dlatego Milesa tak bardzo to teraz zainteresowało. Czyżby jego życzenie, by pomalować kościół, było teraz swego rodzaju ukrytym aktem skruchy i żalu? Miles nigdy nie słyszał, by jego ojciec pozwalał sobie na żal w jakiegokolwiek formie, mimo iż niewątpliwie miał po temu aż nadto powodów. Ostatecznie był kiepskim ojcem i jeszcze gorszym mężem. Prawdę mówiąc, nawet malarzem był marnym. Nie znosił skrobania starej farby, a nową kładł grubą warstwą i do tego nierówno. Od malowania domów znacznie bardziej wolał przesiadywać w barach, tak więc aby czym prędzej przejść od pierwszego do drugiego, pracował szybko, nawet w sytuacjach, które wymagały nakładu czasu i starania. Okna, na przykład, malował zawsze zamknięte, nigdy też nie zadał sobie trudu, by wytrzeć szybę szmatą, jeśli zdarzyło mu się, że pomazał ją pędzlem.

U każdego innego człowieka w jego wieku życzenie, by pomalować kościół, mogło oznaczać jedynie tęsknotę za tym, by spędzić trochę więcej czasu w towarzystwie swego zaniedbywanego syna, i nic poza tym, ale Miles miał wątpliwości, czy było tak w przypadku Maxa, który nigdy nie dawał specjalnych dowodów na to, że towarzystwo któregoś z synów sprawia mu jakąś szczególną przyjemność, a znacznie wyżej cenił sobie każdego, kto zaofiarował się z zapłaceniem za jego paczka, bo wtedy pieniądze zaoszczędzone mógł przeznaczyć na kolejną paczkę papierosów. Nie, jedyny wniosek, do jakiego zdołał dojść teraz Miles, był natury ogólnej, a mianowicie, że wiek starczy czyni w naszej osobowości straszliwe spustoszenia. Ojciec Tom na przykład, który zawsze wyznaczał młodszych księży do spowiadania wiernych, na stare lata chodził za księdzem Markiem, błagając go, by pozwolił mu choć trochę posiedzieć w konfesjonale. W sobotnie popołudnia wystarczyło spuścić go na moment z oka, a staruszek natychmiast zniknął, i ksiądz Mark musiał pędzić przez trawnik, oddzielający plebanię od kościoła,

żeby go odszukać w mrokach konfesjonału, gdzie cierpliwie wysłuchiwał wyznań swoich parafian, na stare lata ciekawy, do czego zdolni są ludzie, i chętny do dzielenia się z innymi tym, czego się podowiadywał. To właśnie od ojca Toma Miles usłyszał, że jego żona zadaje się z Waltem Comeau.

- I powiem ci jeszcze coś. Ja jak wleżę na szczyt drabiny, to nie dostaję stracha jak jakaś mała siusiumajtko.

- To działa w obie strony, tato - przypomniał mu Miles. - Mnie też nie uda ci się zranić.

- Nie miałem takiego zamiaru - odparł stary człowiek, dając tym dowód zadziwiająco prostolinijnej nieszczerości, która na swój sposób była rozczulająca. - Natomiast chciałbym wiedzieć, kiedyż to stałeś się taki strachliwy jak baba? Bo jeśli o mnie chodzi, to wprawdzie jestem stary przyk i mam siedem krzyżyków na karku, ale nadal potrafię wspinać się jak małpa. A ty ile masz lat?

- Czterdzieści dwa.

- Czterdzieści dwa. - Max zgasił papierosa, tak jakby przynajmniej kwestia wieku jego syna została ustalona ponad wszelką wątpliwość. - Czterdzieści dwa lata, a pietra się, kiedy ma wleźć na drabinę. Spadłem kiedyś z wysokości dwóch kondygnacji, a i tak się nie boję.

- Dopij kawę, tato - powiedział Miles. - Muszę wracać do restauracji.

- Zwałem się z rusztowania przy Division Street, z dwóch sakramenckich pięter, i wylądowałem na tyłku w samiułkim śródeczku różanego krzewu. Powinieneś kiedyś tego spróbować. Ale to naprawdę nie oznacza, że bałbym się wleźć na drabinę.

Przez okno widać było parking, na który podjechał właśnie wóz policyjny, z Jimmym Minty za kierownicą. Miles poczuł, jak przedni zderzak trącił ścianę budynku, aż zadrżała cała wnęka ze stołem i stojącymi na nim popielniczkami. Zamiast wysiąść z wozu, Jimmy - tym razem w mundurze - siedział poruszając ustami, tak jakby mówił coś do niewidocznego towarzysza. Dopiero gdy pochylił się, żeby odłożyć słuchawkę, dotarło do Milesa, że facet rozmawiał przez radio. To już trzeci raz w ciągu dwóch dni ich ścieżki się przecięły. Całkiem przypadkowo. No cóż, przypadki się zdarzają.

- Mógłbym ci pomóc chociaż przy stawianiu rusztowania - ciągnął dalej ojciec. - W ten sposób wiedziałbyś przynajmniej, że stoisz na czymś solidnym.

- Tato, wiem, jak się stawia rusztowanie.

- Mam taką nadzieję - rzekł Max. - Przecież sam cię tego uczyłem, mówię na wypadek, gdybyś o tym zapomniał.

- Nie zapomniałem.  
- Pozwalałem ci, żebyś mi pomagał, pamiętasz? Gdyby twoja matka o tym wiedziała, dostałaby pewnie ataku, ale i tak pozwalałem ci pomagać. A teraz potrzebuję trochę gotówki na wyjazd, a ty każesz mi jechać autostopem.

- Nigdy nie mówiłem, żebyś...  
- Muszę iść się odlać - przerwał mu ojciec z obrzydliwą dosadnością, wysuwając się zza stołu, tak jakby to ich rozmowa, a nie kawa, spowodowała u niego tę niefortunną potrzebę opróżnienia pęcherza.

Jeszcze drzwi do toalety nie zdążyły się za Maxem dobrze zamknąć, kiedy Jimmy Minty wsunął się na ławkę po drugiej stronie stołu, kładąc swoją błyszczącą czarną czapkę na blacie. Miles zauważył, że rude włosy Jimmy'ego zaczynają siwieć na skroniach.

Kelnerka postawiła przed nim filiżankę kawy.

- Wolałabym, żebyś nie pakował się w tę ścianę za każdym razem, kiedy parkujesz, Jimmy - powiedziała. - Napędzasz ludziom stracha. W jednej chwili piją sobie spokojnie kawę, zajęci swoimi sprawami, a w następnej wjeżdżasz im w kanapę, na której siedzą. Przecież nie powiesz mi, do cholery, że ściany tej budy są niewidzialne. Wystarczy, że zatrzymasz się, zanim w nią wjedziesz.

- Musisz tam postawić parę tych betonowych krawężników - zaśmiał się Minty. - Załóż się, że nie jestem jedyny, który obija ci tę ścianę, Shirley.

- Nie - przyznała. - Ale jesteś jedyny, który wali w nią za każdym razem. Kiedy odeszła, policjant wzruszył ramionami.

- Jak się masz, Miles. Tak sobie pomyślałem, że to pewnie twoja jetta stoi tam na zewnątrz. Powinieneś zdobyć się na ten wydatek i położyć dobry podkład pod lakier. Ile by cię to wyniosło - parę setek?

Jimmy'emu Minty nigdy nie trzeba było dużo czasu, żeby każdą rozmowę sprowadzić do kwestii pieniędzy. Szczególną przyjemność sprawiało mu zwracanie Milesowi uwagi na wszelkie wady i usterki posiadanych przez niego rzeczy, takie jak rdza na samochodzie, której zresztą faktycznie było tam pełno. Miles już od dawna podejrzewał, że Jimmy Minty uważał go za swego rodzaju tyczkę mierniczą do pomiaru swego własnego dobrobytu. Najdziwniejsze, pomyślał Miles, że wszystko to jest bezpośrednim przedłużeniem ich wspólnego dzieciństwa spędzonego przy Long Street. Jimmy Minty zawsze miał dokładnie zinwentaryzowany stan posiadania Milesa, przy czym zawsze też chciał wiedzieć, ile co kosztowało i gdzie można to było

kupić. Jeśli tak się zdarzyło, że dostali podobne prezenty gwiazdkowe, Jimmy zaraz zaczynał mu tłumaczyć, że jego jest lepszy, bo został kupiony w lepszym miejscu, i w dodatku taniej, a to dlatego, że kto jak kto, ale jego tata wiedział, gdzie robić zakupy - nawet jeśli dana zabawka była wyraźnie tanią podróbką. Po wyliczeniu zalet swojego prezentu, Jimmy zwykle proponował, by zamienili się, tylko na pewien czas. A często zanim Jimmy ją zwrócił, zabawka Milesa była już popsuta.

Nawet po trzydziestu latach Miles wciąż pamiętał ulgę, jaką odczuł, kiedy matka zabrała go ze szkoły państwowej i zapisała do Najświętszego Serca, gdzie Jimmy - jego rodzina nie była katolicka - nie mógł chodzić. Stopniowo, mimo że nadal byli sąsiadami, drogi chłopców zaczęły się rozchodzić, i kiedy los rzucił ich znowu do tego samego gimnazjum, wiedli już odrębne życie i mieli różnych przyjaciół. Naturalnie Jimmy nie omieszkiał wytłumaczyć Milesowi, że jego kumple są lepsi. Po maturze on wstąpił na służbę, gdy tymczasem Miles wyjechał do college'u, a kiedy Miles wrócił do Empire Falls, Jimmy właśnie się ożenił i wyprowadził do Fairhaven. Odwiedzał jednak swoich rodziców, a po ślubie Milesa z Janine zaczął zabiegać o wznowienie ich starej przyjaźni, na co Miles nie miał specjalnej ochoty, gdyż dorosły Jimmy Minty miał dokładnie ten sam zwyczaj inwentaryzowania stanu posiadania, tyle że tym razem przedmiotem porównań były ich żony. Przez ostatnich dziesięć lat rzadko się widywali, chyba że mijając się w samochodach albo kiedy Jimmy kupował sobie nową zabawkę i chciał się nią pochwalić w Empire Grillu. Ostatnim razem - a było to rok temu - zjawił się w restauracji, zamówił stek, a potem siedział nad filiżanką kawy dopóty, dopóki Miles nie raczył łaskawie zauważyć czerwonego camaro, zaparkowanego przed wejściem. Jak zawsze, tak i tym razem Jimmy nie przepuścił okazji, by zapewnić Milesa, że świetnie mu się wiedzie, chociaż nie miał takich możliwości życiowych jak studia w college'u. Po czym dodał, że jeśli nie będzie wtykał nosa w nie swoje sprawy, nie widzi powodu, dla którego nie miałby zostać kolejnym szefem policji w Empire Falls. No, a jeśli chodzi o jego syna, Zacka, to jemu już na pewno w życiu się uda.

- Czy to twój tata był tu z tobą? Dobrze widziałem? - zainteresował się teraz Jimmy, wskazując głową w stronę toalety.

- Sam wiesz, że tak. Przecież siedziałeś tam - Miles kiwnął w stronę okna, za którym stał wóz policyjny - i dobrze nas widziałeś.

- Światło odbijało się w szybie - odrzekł Minty. - Mógł to być każdy.

- W takim razie cholernie celnie zgadłeś.  
- Przepraszam za wczorajsze - odezwał się Jimmy po chwili, zapewne mając na myśli młodego oficera policji, który przepytывał Milesa na Long Street. - To nowicjusz. Wszystkiego musi się uczyć od podstaw. Dobrze się złożyło, że akurat tamtędy przejeżdżałem. Powiedziałeś mu coś do słuchu czy coś w tym rodzaju?

- Nic podobnego.

Minty wzruszył ramionami.

- No cóż, czymś go musiałeś jednak wkurzyć. Dobrze się stało, że w tym momencie się zjawiłem.

Miles zdał sobie sprawę, że ta powtórna wzmianka o szczęśliwym dla niego zbiegu okoliczności została powiedziana specjalnie po to, by dać mu kolejną szansę do okazania wdzięczności. To, że Miles z niej nie skorzystał, sprawiło Jimmy'emu wyraźną przykrość, ale widocznie postanowił przejść nad tym do porządku dziennego.

- Smutna ta nasza stara ulica, co? - powiedział. - Pewnie na ten widok serce ci się kraje?

Miles spróbował skierować rozmowę na spokojniejsze tory spraw ogólnych.

- Na dobrą sprawę całe miasto tak wygląda.

Wyraz zaskoczenia, wręcz urazy, jaki pojawił się na twarzy Jimmy'ego Minty, sugerował, że jeśli o niego chodzi, to uważa podobne oskarżenie pod adresem Empire Falls za nazbyt daleko idące.

- A mnie się tu mimo wszystko podoba - rzekł. - Nic na to nie poradzę, po prostu lubię to miasto. Ludzie mówią, że są lepsze miejsca, ale ja tam nie wiem. - Przerwał, na wypadek gdyby Miles zechciał przytoczyć listę takich rzekomo lepszych miejsc. - Jednakże Long Street... To co innego. Ostatnio wciąż tam jeżdżę na wezwania. Nic, tylko faceci, co to biją swoje żony, i dealerzy narkotyków.

- Faceci bijący swoje żony to przecież żadna nowość - przypomniał mu Miles, jako że rodzony ojciec Jimmy'ego, William, znany był z tego, iż w ten sposób załatwiał małżeńskie różnice zdań.

Jimmy zignorował tę uwagę.

- Do licha, Miles, dom, przed którym zaparkowałeś, to największa dealernia narkotyków w całym mieście - ściszył teraz głos. - Od pewnego czasu monitorujemy, kto tam wchodzi i wychodzi. Przypuszczam, że oficer Pollard pomyślał, że przyjechałeś po dostawę.

Miles nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Myślę, że ktoś powinien mu powiedzieć, że zyskałby znacznie więcej

dowodów, gdyby odczekał, aż podejrzani będą stamtąd wychodzić, zamiast łapać ich, kiedy wchodzą.

- To właśnie mu powiedziałem. Musisz jednak przyznać, stary, że ta twoja jetta wygląda jak samochód dealerski.

- Naprawdę? A niby dlaczego?

Minty wzruszył ramionami.

- Nie obrażaj się, ale wygląda jak ostatni dezeli, którego właścicielowi nie zrobiliby różnicy, gdyby policja mu go zajęła.

- Mnie by zrobiło różnicę. To mój jedyny wóz.

Jimmy Minty zrobił minę, jakby chciał sam siebie kopnąć w kostkę.

- Psiakrew! Chyba cię jednak uraziłem, co?

- Nic a nic - uśmiechnął się Miles.

Przez długą chwilę Jimmy zastanawiał się, jak ma to rozumieć.

- Chcesz, żebym ci zdradził pewien sekret?

Uczciwa odpowiedź brzmiałaby „nie”, dlatego Miles zachował milczenie.

- Zdajesz sobie sprawę, co tam robiłeś wczoraj wieczorem? Bo ja to też czasem robię.

- Niby co takiego?

- No, wiesz. Po prostu jadę tam, siedzę w samochodzie i próbuję to wszystko zrozumieć.

- Co zrozumieć, jakie „wszystko”? - spytał Miles, tym razem szczerze zaintrygowany.

Minty wzruszył ramionami.

- Chyba... no wiesz, życie. Jak to się wszystko potoczyło. Domyślam się, że dla niektórych ludzi było dziwne, że skończyłem jako glina.

- Nie dla mnie, Jimmy.

Minty przyjrzał mu się uważnie, zapewne węsząc obrazę.

- Miałem na myśli mojego tatę, wiesz, no i wszystko. To prawda. Faktycznie, uderzył czasem mamę. Bo o to ci przed chwilą chodziło, zgadza się? I pewnie prawda, że u nas w domu zamrażarka była zawsze pełna przeterminowanego mięsa. Takie tam głupstwa. Ale i tak strasznie mi go brakuje. Człowiek ma tylko jednego ojca, przynajmniej ja to tak rozumiem, mimo że teraz jak patrzę w przeszłość, widzę dokładnie, gdzie i kiedy przekraczał granice. W każdym razie zostałem gliną, czy to kogoś dziwi czy nie. Pewnie był w tym palec Boży, tak sobie przynajmniej czasem myślę.

- Tak, to możliwe.

Jimmy pokiwał głową.

- A weźmy, na ten przykład, ciebie. Gdyby nie to, że twoja matka się wtedy rozchorowała, ty pewnie nigdy byś tu nie wrócił, nie mam racji?

Miles przyznał, że to także było możliwe.

- I o to mi właśnie chodzi. Dlatego jadę nieraz na tę naszą ulicę i po prostu siedzę w wozie - przerwał na chwilę. - I wtedy zawsze myślę o twojej mamie. Straszne tak umrzeć.

- Czy możemy zmienić temat? - spytał Miles.

- Co tam, cholera, pewnie. - Jimmy Minty wyprostował się i potrząsnął głową. - Nie mam pojęcia, co mnie naszło, żeby zacząć o tym wszystkim gadać. Ale to pewnie dlatego, że wczoraj zobaczyłem, jak tam siedzisz, i przypomniały mi się czasy, kiedy byliśmy przyjaciółmi. Tyle wody upłynęło. A jak tam twoja wspaniała córka, co u niej?

- W porządku - odparł Miles. - O wiele bardziej szczęśliwa niż przedtem.

„Odkąd przestała chodzić z twoim synem” - to było zdanie, którego Miles nie dodał. A Jimmy Minty, nawet jeśli domyślił się tego dalszego ciągu, nic nie dał po sobie poznać.

- Chcesz, żebym ci zdradził jeszcze jeden sekret? Coś mi się zdaje, że mój Zack wciąż coś do niej czuje - powiedział, pozwalając, by słowa zawisły w powietrzu pomiędzy nimi, tak jakby zachęcał Milesa, żeby zareagował, zdradzając się ze swym entuzjazmem lub niechęcią. - Oczywiście z dziećmi nigdy nic nie wiadomo. Powiedziałem mu, że powinien łagodniej z nią postępować. Traktuj ludzi tak, jakbyś chciał, żeby ciebie traktowali, oto moja dewiza. Wtedy nie popełnisz zbyt wielkiego błędu. Ale czy dzieciakom w ich wieku można coś wyklarować.

Słyszając, że za plecami drzwi od toalety się otwierają, Miles pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech. Niewiele okazji towarzyskich zyskiwało na obecności Maxa Roby, ale ta niewątpliwie do nich należała.

- Wciąż mu powtarzam, że jak nie zaczniesz przywiązywać większej wagi do ocen, to żaden college go nie zechce, ale nie, on wie lepiej, dokładnie jak oni wszyscy. Nie żebym go za to winił, nie tak znowu. Bo on patrzy na mnie i widzi, że ja sobie dobrze radzę bez college'u, cholera, tak naprawdę lepiej niż dobrze. No, to on sobie myśli, co mu tam. - Jimmy Minty znowu zamilkł na chwilę. - Ale jednej rzeczy te nasze dzieciaki nie rozumieją, że my chcemy dla nich jeszcze lepiej, a nie tylko dobrze. Nie mam racji?

Powrót Maxa zaoszczędził Milesowi konieczności wypowiedziania się w tej kwestii.

- Jimmy Minty! - zawołał Max, siadając na ławce obok policjanta, tym

samym zmuszając go do przesunięcia się w stronę okna, po czym przyjrzał mu się z wyrazem twarzy, wskazującym na totalne zaskoczenie. - Mój Boże, ależ z ciebie był głupi wyrostek.

- Uważaj, tato - ostrzegł go Miles. - On teraz nosi broń przy sobie.

- Mam tylko nadzieję, że dzisiaj jest bystrzejszy niż wtedy - powiedział Max, wyciągając do policjanta rękę. - Co tam u ciebie słychać, Jimmy?

Minty spojrział na oferowaną mu dłoń, jakby nie miał pewności, czy Max ją umył w łazience, ale mimo to ją uściskał.

- Jak się pan miewa, panie Roby?

Trzymając nadal dłoń Jimmy'ego w uścisku, Max zwrócił się teraz do Milesa, mówiąc:

- Pamiętasz, jaki głuptak był z niego? Mój Boże, człowieka aż litość brała. Nie przypominam sobie innego dzieciaka, który byłby aż takim beztalenciem.

Minty zrobił minę, jakby chciał wyrwać rękę z dłoni Maxa, tylko nie wiedział, jak to zrobić. Miles spojrział na niego i wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie ma pojęcia, co ojca napadło, żeby zachowywać się w taki sposób.

- Człowiekowi aż się na płacz zbierało na ten widok - Max nareszcie wypuścił trzymaną dłoń.

Minty zdawał się rozważać zagrożenia i korzyści, jakie wyniknęłyby dla niego, gdyby spytał, czym sobie zasłużył na tak niską ocenę.

- Uważam, że powinna to być nauka dla nas wszystkich - oznajmił Max. - Nigdy nie przekreślaj szans swego dzieciaka. Ponieważ nawet dzieci, którym musisz wiązać sznurowadła, bo same tego nie potrafią, mogą cię mile zaskoczyć na swoim ślubie, a jeszcze się może okazać, że wylądują na niezłe płatnej posadzie.

Max wygłosił tę naukę z natchnionym wyrazem twarzy, jakby chciał dać do zrozumienia, że traktuje swoje słowa jako komplement, co sprawiło, że Jimmy zmarszczył czoło z zakłopotania. Mógłby niemal przysiąc, że go tu obrażano, ale nie miał co do tego całkowitej pewności.

Oczywiście Miles nieraz widywał ojca, jak śmiejąc się w kułak i poklepując facetów po plecach, ciągnął obraźliwe monologi dopóty, dopóki ci nie mieli innego wyjścia, jak tylko mu przyłożyć. Jedyne najsprytniejsi nie dawali sobie w kaszę dmuchać i ucinali sprawę krótko. Ale skoro tylko Maxowi udało się narzucić zasadę, że cokolwiek powie, robi to dla wygłupu, trudno było się wyłamać z tej gry. Miles wiedział również, że ojciec często



nieoczekiwanie zmienia obiekt swoich prześmiewek, dlatego nie zdziwiło go, gdy zrobił tak i tym razem.

- Mój syn, na przykład, jest tego całkowitym przeciwieństwem - ciągnął tym samym tonem Max. - Zawsze w czołówce klasy... Same piątki od góry do dołu przez całą szkołę. Człowiek dałby sobie rękę uciąć, że zajdzie daleko.

Miles westchnął, z rezygnacją poddając się nieuniknionym cięgom. Przedtem Max obrażał Jimmy'ego Minty, spoglądając na Milesa. Teraz, obrażając własnego syna, mówił naturalnie do uprzedniego obiektu swoich szyderstw.

- Nie ma nic trudniejszego niż zrozumieć dzieciaka - tłumaczył Jimmy'emu takim tonem, jakby spędził większą część swego długiego i w dużej mierze kontemplacyjnego życia na studiowaniu tego zagadnienia. - Założyłbym się o własną skórę, że nasz Miles wyrośnie na człowieka o dobrym sercu. I gdyby tak się stało, że jego ojciec znalazłby się w tarapatkach finansowych i przyciśnięty koniecznością zwrócił do swojego rodzzonego syna o pracę, ten rzuciłby się mu na pomoc w te pędy, ekspresowo. Ale najwyraźniej się myliłem.

- Jesteś gotowy do wyjścia, tato?

- Nie, rozmawiam właśnie z Jimmym Minty. Ale ty jedź sam, jeśli chcesz.

Miles odnalazł wzrokiem kelnerkę i dał jej znak, że chce zapłacić.

- Jimmy może nie był taki zdolny jak ty, ale założę się z tobą, o co chcesz, że doskonale rozumie, o czym mówię.

Brwi Minty'ego ściągnęły się jeszcze mocniej na tę kolejną wzmiankę o jego ograniczeniach intelektualnych, jakkolwiek Max umiejscowił je w bezpiecznej przeszłości.

- Widzisz, Jimmy, poprosiłem mojego syna, żeby się zgodził, byśmy razem malowali nasz stary kościół, bo potrzebuję pieniędzy, żeby pojechać na południe, ale z jakiegoś powodu nie chce mnie nająć do tej roboty. A ja ciągle potrafię wspinać się jak małpa.

Miles położył pięciodolarowy banknot na stole i wstał, gotowy do wyjścia.

- Jesteś pewien, tato, że nie chcesz, żebym cię podrzucił do domu? Tylko pamiętaj, że nie będę mógł po ciebie przyjechać, tak więc daruj sobie dzwonienie do restauracji.

- Wcale nie mam zamiaru do ciebie wydzwaniać - zapewnił go ojciec. - Poza tym Jimmy Minty może mnie podrzucić swoim wozem.

- Prawdę mówiąc, to wbrew przepisom - rzekł Minty.

Teraz gdy Miles wstał ze swego miejsca naprzeciwko nich, wydawało się, że Jimmy jest jeszcze bardziej wtłoczony w kąć wnęki niż przedtem. Miles już sobie wyobrażał, jak to będzie wyglądało w oczach innych ludzi, dwóch facetów ściśniętych razem na ciasnej ławeczce po jednej stronie stołu, stanowiąc za blisko siebie, a do tego jeden z brodą pełną okruszków ciasta.

- Do diabła, potrafię to zrozumieć - ustąpił Max, machając Milesowi na pożegnanie z miną, która wskazywała na to, że ani myśli ruszać się z miejsca. - Przepisy to przepisy. Mogą być głupie, a ludzie, których wynajmujemy do ich pilnowania, jeszcze głupszy, ale co robić? Prawo to prawo. Ale jak powiadam, nie ma takiego prawa, które by mówiło, że syn nie może pomóc własnemu ojcu w potrzebie. Takiego prawa nie ma.

Miles wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce, absolutnie zdecydowany zignorować stukanie w szybę cukierni. Jego ojciec najpierw postawił na swoim, ale zaraz zmienił zdanie, gdyż pewnie prawda była taka, że jednak chciał, żeby go gdzieś podrzucić. Poza tym nie udało mu się jeszcze naciągnąć Milesa na pożyczkę. Siedząc za kierownicą i udając, że nie słyszy gwałtownego pukania, Miles doszedł do wniosku, że potrafi zrozumieć sposób myślenia ojca lepiej niż on sam. Teraz powinien zrobić jedno: wrzucić wsteczny bieg, wycofać się z miejsca parkingowego i odjechać. Dać staruszkowi nauczkę. Ale chyba był po prostu wdzięczny Maxowi za to, że tak strasznie dokuczył Minty'emu, bo po chwili namysłu przestał udawać i dał znak, że słyszy to walenie w okno. Zresztą nie pożałował, że tak zrobił, gdyż scena, która rozegrała się za szybą, warta była każdej ceny. Chcąc zastukać w okno, Max musiał się przechylić przez całą długość stołu w taki sposób, że jego wilgotna, przepocona pacha praktycznie zakryła policjantowi twarz. Miles nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Tak, był szczerze wdzięczny losowi za takiego ojca. Dokładnie tak, jak powiedział Minty. Z westchnieniem machnął na Maxa, żeby wyszedł, chociaż znając ojca wiedział, że staruszek zrobi to, kiedy on sam uzna za stosowne, to jest, w swoim czasie.

W oczekiwaniu na ojca postawił stopy na podłodze obok pedałów jetty, a wtedy poczuł, jak blacha pod wytartym dywanikiem ugina się, znak, że rdza przeżera podwozie. Jeśli o to chodzi, Minty miał rację. Powinien szarpnąć się na ten wydatek i zrobić porządny podkład antykorozyjny.

Gdy tak przyglądał się obu mężczyznom, którzy tymczasem wstali od stolika, zbierając się do wyjścia, zdał sobie sprawę, że Jimmy Minty nie

mówił prawdy w kwestii światel odbijających się od okien cukierni. Wszystko po drugiej stronie szyby miało klarowną wyrazistość jak na obrazie Edwarda Hoppera, co oznaczało, że Jimmy udawał, iż nie mógł rozpoznać tego, co było przecież doskonale widoczne. Głupie kłamstwo. W istocie kłamstewko tak drobne i wymyślane z tak błahego powodu, że jak na dłoni ukazało Milesowi pewien sposób na życie, swoistą strategię konfrontacji ze światem, i była to kolejna przyczyna - jeśli w ogóle konieczna - żeby zwątpić w szczerość wszystkiego, co ten człowiek przed chwilą tam w środku powiedział. Podczas gdy Minty płacił rachunek przy kasie, a Max kupował paczkę papierosów w automacie, Miles odczuł dziwny posmak na podniebieniu. Pewnie ma w sobie za dużo kawy zmieszanej z kwasami żołądkowymi. Albo to gniew pomieszany ze strachem? Cokolwiek to było, Miles dokładnie przełknął ślinę, by się tego pozbyć.

Mężczyźni wyszli razem na chodnik, obaj, jak zauważył Miles, z wykałaczkami w zębach.

- Jesteś w porządku, Jimmy - usłyszał głos swego ojca. - Powiem ci szczerą prawdę, jak na spowiedzi. Wolałbym mieć za syna kompletnego idiotę niż niewdzięcznika.

Zamiast wsiąść do swojego wozu, Minty obszedł jettę naokoło i dał znak Milesowi, by opuścił szybę.

- Przejdziesz się ze mną kawałek? - zaproponował cichym, konfidencjonalnym głosem.

- Naprawdę muszę wracać do restauracji - zaproponował Miles.

- To zajmie minutę.

- Śmiało - rzekł Max. - Ja tu posiedzę i poczekam. A ty idź z Jimmym poszeptać o waszych sekretach.

Miles wysiadł i poszedł za policjantem do jego wozu patrolowego, gdzie Minty przystanął, obracając wykałaczkę w ustach, jakby się zastanawiał, od czego zacząć.

- Nie powinienem tego robić, ale znamy się szmat czasu - powiedział. - Miałem zamiar wspomnieć o tym w cukierni, ale akurat twój staruszek wrócił i nie chciałem go niepokoić.

- O co chodzi, Jimmy?

- Sprawa wygląda tak - zaczął Minty, żując swoją wykałaczkę. - Po mieście krąży sporo prochów. Powiedz swojemu bratu, żeby uważał.

Miles zjeżył się w jednej sekundzie, bardziej z powodu narzuconej mu poufałości niż ukrytego w tych słowach oskarżenia.

- A dlaczegoż to David ma uważać?

- Hej, chwila. Rozumiem. On jest twoim bratem. Ja tylko mówię.
- Nie, Jimmy. Co chciałeś przez to powiedzieć?
- Ja tylko... nie, nic. Zapomnij o tym. Tak tylko mówię. Mądryemu dość dwa słowa.

Wciąż poruszał wykałaczką jakby w zamyśleniu. Miles przez chwilę rozważał, czy jej nie chwycić i przebiwszy przez dolną wargę tego człowieka, nie skręcić rozszczępionych końców.

- Ciągłe chodzi mi po głowie myśl, jak bardzo zmartwiłaby się twoja mama, gdyby...

Zamiast uderzyć uzbrojonego gliniarza w biały dzień na środku Empire Avenue, Miles obrócił się na pięcie i pomaszerował z powrotem do swojej jetty. Gwałtowność tego manewru najwyraźniej zaskoczyła jego ojca, który właśnie zajęty był przeszukiwaniem schowka w aucie. Konfrontacja wywołała niezamierzony skutek w postaci natychmiastowego powrotu Milesa do Jimmy'ego, który nawet nie zdążył się ruszyć z miejsca.

- Posłuchaj no - powiedział. - Po pierwsze, nie nie wiesz o mojej matce, jasne? Dlatego nigdy więcej o niej nie wspominaj w żadnej rozmowie.

- Hej, zaraz...

- Nie. Zamknij się i słuchaj, Jimmy - powiedział Miles, czując, jak wściekłość wzbiera mu w gardle. A więc jednak był to smak gniewu, a nie strachu. Krew pulsowała mu w skroniach. - Nie-znałeś-jej. Powtórz za mną głośno, żebym wiedział, że zrozumiałeś.

Twarz Jimmy'ego Minty zbladła.

- Hej, w porządku. To prawda, nie znałem dobrze twojej matki.

- Świetnie - rzekł Miles, czując jak jego wściekłość opada, ustępując miejsca poczuciu, że zareagował przesadnie. - Doskonale.

- Nie powinieneś mi mówić, żebym się zamknął, Miles - odezwał się Minty. - Nie w taki sposób i nie w miejscu publicznym. Ten mundur uprawnia mnie do pewnego szacunku.

- Masz rację - przyznał Miles, czerwony ze wstydu, a jednocześnie niezadowolony do pokonania całej złości. - Masz rację, przepraszam. Tylko nie twierdź więcej, że znałeś moją matkę.

- Hej, zawsze uważałem ją za wspaniałą kobietę. Nigdy nic innego nie twierdziłem... - zaczął, ale musiał spostrzec, że Miles znowu staje się purpurowy, bo przerwał w pół słowa. - A twój brat powinien uważać, tylko tyle chciałem powiedzieć, jasne? Wszyscy wiedzą, że hoduje marihuanę tam u siebie...

- Wszyscy? - przerwał mu Miles. - I tu właśnie się mylisz. Nie wszyscy o tym wiedzą. Ja, na przykład, nie wiem.

To była prawda. On nie wiedział, przynajmniej nie na pewno.

- Słuchaj, Miles, po co tak zaraz się żołądkujesz? Ja tylko próbuję oddać tobie i bratu przysługę...

- Nie - znowu przerwał mu Miles, niespodziewanie czując, jak ogarnia go spokój. - Nie wierzę w to. Nie mam pojęcia, co próbujesz zrobić, Jimmy. Nie mam pojęcia, dlaczego nagle gdziekolwiek się obrócę, na każdym kroku wciąż się na ciebie natykam. I nie rozumiem też, z jakiego powodu moje nazwisko miałoby wypłynąć w twojej rozmowie z panią Whiting w sądzie...

Na te słowa Minty spojrział na niego z ukosa, po czym odwrócił wzrok.

- Ale wiem na pewno, że nie chodzi ci o moje dobro. Tego jednego jestem pewien. Dlatego od tej chwili, jeśli naprawdę chcesz mi zrobić przysługę, to trzymaj się z dala od mojej rodziny. Dotyczy to także twojego chłopaka. W Empire Falls jest mnóstwo innych dziewcząt. Jeśli o mnie chodzi, może wybrać sobie każdą z nich. Jest tylko jedna, której nie może mieć, i jest to moja Tick.

Przebiegły uśmiešek nieznacznie wykrzywił rysy twarzy policjanta i Miles musiał się odwrócić i odejść, by uniknąć pokusy wykurzenia go stamtąd.

- Dlaczego tak mnie nie lubisz, Miles? - krzyknął za nim Minty. - Zawsze mnie to zastanawiało. Dlaczego?

Miles odpowiedział, nie odwracając się w jego stronę.

- Powiedzmy, że z przyzwyczajenia!

Znalazłszy się z powrotem w swojej jetcie, Miles odczekał z zapaleniem silnika, dopóki wóz policyjny Minty'ego nie zniknął w głębi ulicy.

- Boże, ależ to był osioł pierwszej klasy - odezwał się Max czule.

- Nie był głupi, tato. Był tylko podły, zawistny i podstępny. I niebezpieczny. I taki jest do dziś.

- Nie złość się na mnie - powiedział ojciec. - To na Jimmy'ego Minty jesteś wściekły, nie na mnie. Ja jestem tylko bezużytecznym starym człowiekiem.

Miles wrzucił wsteczny bieg.

- Znalazłeś to, czego szukałeś w moim schowku?

- Pożyczyłem dziesięć dolarów - przyznał ojciec, zmieszany. - Zamierzałem ci o tym powiedzieć, ale nie zdążyłem.

- Jasne.

- Naprawdę - upierał się Max, być może szczerze. Czasem faktycznie mówił prawdę, jeśli służyła jego celom. - Gdybyś mnie wziął do roboty, nie chodziłbym przez cały czas bez grosza przy duszy. A jakbym zarobił trochę gotówki, pozbyłbyś się mnie na całą zimę.

Nim wyjechał z parkingu, Miles wysunął głowę do przodu, żeby zerknąć na Empire Avenue i upewnić się, że nic nie jedzie. Kiedyś, gdy chodzili z matką do miasta na sobotnie poranki w starym kinie „Bijou”, chodniki były tak zatłoczone, a jezdnie tak zatłokane pojazdami, że przechodnie musieli obracać się bokiem, żeby minąć się nawzajem. A żeby przejść przez ulicę, przeciskali się pomiędzy samochodami, których sznur ciągnął się na długości kilku przecznicy od świateł. Teraz Empire Avenue była pusta aż do samego końca, do starej fabryki koszul (NIE WCHODZIĆ! ZAKAZ BEZ ZEZWOLENIA - faktycznie, zabawna ta wywieszka), gdzie pracowała matka Milesa, dzięki czemu mogli sobie pozwolić na wynajęcie małego domku przy Long Street, tego samego, w którym w mrocznej sypialni na piętrze, gdy choroba nowotworowa zaatakowała po raz ostatni, matka krzyczała w agonii tak głośno, że aż sąsiedzi ją słyszeli. Oczywiście Jimmy Minty też słyszał te krzyki. Sam Miles usłyszał je aż w Portland, gdzie studiował w małym katolickim college'u, a usłyszawszy je, wrócił pośpiesznie do domu, mimo że matka błagała go, by tego nie robił.

Rozglądając się po pustej ulicy, Miles nie mógł oprzeć się myśli, że wtedy chyba całe miasto musiało słyszeć tamte jej potworne krzyki. Jego brat, wtedy jeszcze młody chłopak, ucieka w picie, a ojciec aż na Florydę, do Key West. Można by niemal uwierzyć, że to jej krzyki spowodowały ten masowy exodus mieszkańców, który trwał już ponad dwie dekady, że to paniczna ucieczka od jej bólu opróżniła miasto.

- Możesz mnie podrzucić do Callahana - zaproponował ojciec.

Miles zamrugał oczami, a potem odwrócił się, żeby spojrzeć na ojca.

- Masz na myśli pub Callahan's? - spytał, wskazując na budynek z czerwonej cegły po drugiej stronie ulicy, należący do jego teściowej.

- Dokładnie.

- I po to tylko chciałeś podwózki?

- Może chciałem spędzić trochę czasu z rodzonym synem. Czy jest jakieś prawo, które również tego zabrania?

Miles westchnął. Staruszek naprawdę nie miał sumienia.

- Skąd u ciebie się znalazł prospekt agenta sprzedaży nieruchomości z Martha's Vineyard? - zainteresował się ojciec, wskazując na schowek.

- A jest prawo, które tego zabrania? - odpowiedział pytaniem na pytanie Miles.

Max puścił to mimo uszu.

- To byłoby do ciebie podobne, wynieść się na jakąś wyspę i zostawić mnie bez roboty. A gdybym kiedyś zapragnął cię zobaczyć, musiałbym przeprować się w pław.

- Nigdzie się nie wyprowadzam, tato. Sam wiesz - przypomniał mu Miles. - To był tylko tydzień wakacji.

- Mogłeś mnie zabrać ze sobą, nie myślisz? Może ja też chciałbym mieć czasem jakieś wakacje. Nie wpadło ci to do głowy?

Miles przejechał na drugą stronę jezdni i zatrzymał się na parkingu przed Callahanem. Kiedy ojciec zaczął wysiadać, Miles powiedział:

- Tato, ciągle masz okruszki w brodzie.

- No i co z tego? - odparł Max, zatraskując drzwi przed kolejną szansą na oświecenie.

## 6

Coś mi się wydaje, że pani Roderigue nie spodobał się mój wąż - zwierzyła się Tick ojcu.

Była połowa września, czwartek, a w czwartki wieczorem ona i Miles jadalili razem kolację, gdyż Janine jak zwykle miała papierkową robotę w fitness clubie aż do ósmej, Tick zaś odmawiała jadań posiłków ze Srebrnym Lisem. W Empire Grillu czwartkowe wieczory oznaczały również chińską kuchnię. Dziś jako specjalność dnia David oferował coś, co nazywało się „Podwójnie gotowany makaron z owocami morza w sosie hoisin”. Co bardziej wymyślne kompozycje kulinarne brata wywoływały na twarzy Milesa uśmiech. Wspominał wtedy Rogera Sperry, którego ulubionym daniem dnia był zwykle smażony w głębokim tłuszczu filet rybny z sosem tatarskim albo gulasz wołowy z purée ziemniaczanym, a do tego mus jabłkowy i bułki pszenne. Teoria Rogera na temat makaronu, której zresztą nie praktykował zbyt często, mówiła o tym, że należało trzymać makaron we wrzątku, aż miało się pewność, że się ugotował; wówczas na pewno nie trzeba go po raz drugi gotować. Poza tym Roger był głęboko przeświadczony, że prowadzenie wojny światowej byłoby pozbawione sensu, gdyby po powrocie do domu miało się zamiar serwować dania w jakimś sosie hoisin, cokolwiek to było. Tego typu rzeczy człowiek musiałby robić, gdybyśmy przegrali tę cholerną wojnę (Roger nie wdawał się nigdy w zbędne szczegóły, dlatego nie widział

różnicy pomiędzy Japończykami, z którymi prowadziliśmy zbrojny konflikt, a Chińczykami, z którymi podobnego konfliktu nie mieliśmy).

Jeśli chodzi o Milesa, to początkowo on także miał pewne obawy, gdy jego brat po raz pierwszy zaproponował mu owe wieczory Kuchni Różnych Narodów jako część planu przyciągnięcia klienteli spoza miasta - planu, który musieli wprowadzić w życie, jeśli restauracja miała przetrwać lokalny krach ekonomiczny. Przez jakiś czas piątki i soboty nie przynosiły widocznych zysków, ale David słusznie przewidział, że smaczne, tanie jedzenie etniczne zacznie w końcu przyciągać studentów i młodych ludzi ze szkoły pomaturalnej z Fairhaven, dla których wytarty, nadpalony papierosami kontuar barowy i wnęki z rozchwianymi stolikami będą „superproste” i „retro” czy jak go tam zwał. To był dopiero drugi czwartek, kiedy podawali chińskie dania - w ramach zwiększania oferty, obok włoskich piątków i meksykańskich sobót - i Miles z zadowoleniem obserwował, że restauracja jest prawie pełna i że większość klienteli to nowe twarze. Najwyraźniej nie tylko on chciał się przekonać, jakie korzyści dla makaronu mogą płynąć z faktu, że ugotuje się go drugi raz. W chwili krótkiej przerwy David odwrócił się od pieca, oparł się na łyżce, którą mieszał, poszukał wzroku Milesa i uniósł jedną brew. Nieźle, co? Miles skinął głową. Nieźle.

Faktycznie, tego wieczoru wyglądało na to, że jest lepiej niż „nieźle”. Zgoda, pierwszy tydzień po powrocie z Vineyard był ciężki, ale zawsze tak było. Co roku opuszczał wyspę, nękany głębokim poczuciem osobistej klęski. Czy to sama wyspa tak go nastrojała? Być może. Ale bardziej prawdopodobne, że miało to związek z Peterem i Dawn, którzy, wprawdzie nieświadomie, przypominali mu jednak, kim pragnął zostać, kiedy jeszcze wszyscy troje studiowali. Całkiem możliwe, że oni również odczuwali podobny żal. Peter chciał zostać dramaturgiem, Dawn poetką. Z całą pewnością po tym, w jaki sposób rozprawiali o swojej pracy w telewizji, widać było, że i oni zadawali sobie pytanie, czy przypadkiem nie zdradzili swoich młodzieńczych szczytnych ideałów. A może nawet, podobnie jak Miles, dopuszczali czasem myśl, że gdzieś w istniejącym równoległym wszechświecie każde z nich ma swojego sobowtóra, który wie dzie szczęśliwy żywot taki, jakiego pragnęli dla siebie w młodości.

Ale było to zwodnicze myślenie. Przede wszystkim dlatego, że Miles nie miał już nawet pewności, czy wiarę w to inne życie wmawia sobie sam, czy może chodzi tu o projekcję nadziei i życzeń jego matki. Odkąd pamiętał, już jako mały chłopiec, ilekroć podnosił wzrok znad książki, którą właśnie czytał, napotykał jej wzrok, spokojnie w niego wpatrzony. „Mój mały naukowiec”,



mówiła z uśmiechem. Później, w college'u, niezmiernie pociągało go ekscytujące życie, jakie, w jego odczuciu, wiedli profesorowie, życie w ogromnym stopniu wypełnione książkami i ideami, o które warto kruszyć kopie, i wtedy myślał sobie, że może matka miała rację, wierząc, iż praca umysłowa była jego prawdziwym przeznaczeniem. Jedno było pewne. Nigdy nie aspirował do tego, by zarabiać na chleb, karmiąc profesorów po dwakroć gotowanym makaronem.

Przy kontuarze Charlene balansowała talerzami ustawionymi na przedramieniu i z tej odległości mógłby ją niemal wziąć za tamtą dziewczynę, do której czuł miętę w ogólniaku, dziewczynę tak kobiecą w wieku osiemnastu lat, że sprawiała, iż Miles, wówczas piętnastolatek, czuł się jak jedenastoletni szczeniak. Patrząc teraz na nią, musiał sam przed sobą przyznać, że nie był całkowicie bezwolnym uczestnikiem swego spapanego losu. Tak, pociągało go życie umysłowe i niewątpliwie marzenia jego matki o tym, kim powinien zostać w przyszłości, ukształtowały jego własne wyobrażenie o sobie. Ale kiedy matka zachorowała, a on porzucił szkołę, by wrócić do Empire Falls i poprowadzić restaurację dla pani Whiting, uczynił tak nie tylko z altruistycznych pobudek. To prawda, chciał być blisko matki, i tak, zgadza się, jego brat już wtedy dawał pierwsze sygnały, że będą z nim kłopoty. Ale on myślał także o Charlene, licząc na to, że trzy lata różnicy między nimi, gdy on miał dwadzieścia jeden, a ona dwadzieścia cztery lata, nie będą już stanowiły takiego problemu, jak dawniej. I chociaż powiedział pani Whiting, że chce przemyśleć jej propozycję, to decyzję podjął w tym samym momencie, w którym odwieszał słuchawkę. Tego lata pierwszy mąż Charlene zostawił ją i uciekł, i Miles myślał, że może... może. Nie mógł wiedzieć, że gdy wróci na dobre do Empire Falls, Charlene będzie już zaręczona z przyszłym mężem numer dwa.

Nie, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że nie był jedynie bezwolnym uczestnikiem. To jest, ściśle mówiąc, gdyby dano mu szansę wprowadzenia zmian do tego scenariusza, wcale nie miałby na to ochoty. Przynajmniej nie dzisiejszego wieczoru, nie w tej restauracji, która pewnego dnia miała być jego, a gdzie teraz siedział przy stoliku ze swoją córką, której przyszłość zapewne nie będzie związana z Empire Falls -z całą pewnością nie, jeśli on miałby coś do powiedzenia w tej kwestii. Fakt, że jego matka wierzyła w to samo, jeśli chodzi o jego życie, był może trochę niepokojący, ale tego wieczoru Miles nie mógł się oprzeć uczuciu, że jest wielkim szczęściarzem. Po raz pierwszy od dziesięciu lat interes zaczynał iść lepiej. Wszystko wskazywało

na to, że David wypędził najgorsze ze swoich demonów. Tick chyba w końcu nieźle zniesie ich rozwód. Było wiele rzeczy, za które powinien być wdzięczny, nawet jeśli równowaga pomiędzy nimi była wciąż nie na tyle pewna, by wzbudzać absolutną ufność, dlatego w takie wieczory jak ten wydawało mu się, że w życiu nie trzeba mu nic więcej... prawie nic.

- Sprawa polega na tym - ciągnęła Tick, używając swego widelca jako pałeczki do zaakcentowania tego, co mówiła o nauczycielce plastyki. Wodząc wzrokiem za widelcem, Miles odczuwał wdzięczność, że w przeciwieństwie do jej dziadka Tick potrafiła przedstawiać swoje poglądy bez obrzucania rozmówcy jedzeniem. - Bo sam powiedz, co by było, gdyby jej się podobał? To byłoby jeszcze gorzej. To jest, mam na myśli, że jakby jej się spodobał, wtedy ja zaczęłabym się zastanawiać, co z nim jest nie tak.

Miles usiłował ukryć uśmiech, ale bezskutecznie. Już nieraz zaskakiwała go u córki ta jej umiejętność dojrzałej oceny sytuacji. Tak jak w tym wypadku, gdy dokładnie pojęła, ile warta jest aprobata ze strony głupca. Miles chodził do szkoły z Doris Roderigue - wtedy jeszcze Doris Flynn - wiedział więc, że jej rozwój zatrzymał się gdzieś na etapie katolickiej szkoły podstawowej. Odkąd ukończyła dwanaście lat, w jej życiu nie wydarzyło się nic, co wywarłoby na nią jakikolwiek wpływ, poza utwierdzeniem się w przekonaniach, jakie już posiadała. Kuratorium zmusiło ją - i był to warunek utrzymania posady - by wzięła udział w letnim kursie w Farmington, ale te zajęcia na niewiele się zdały, na pewno nie na to, by choć trochę podważyć jej niewzruszone przekonania, których, jak z dumą utrzymywała, nawet uniwersytet nie zdołał zmienić.

W Billu Roderigue, miejscowym agencie ubezpieczeniowym, znalazła idealnego towarzysza, jako że był to nieskończenie cierpliwy człowiek, którego dziwnym trafem nigdy nie męczyło jej frustrujące poczucie wyższości. Miles, spędziwszy parę kadencji w radzie szkoły, znał większość nauczycieli Tick i zawsze pilnie przestrzegał zasady, żeby nie wypowiadać się o nich źle w jej obecności, niezależnie od tego, jak bardzo byli głupi czy niedouczeni, ale w przypadku Doris Roderigue kusiło go nieraz, by zrobić wyjątek. W ciągu ostatnich pięciu lat ścinał się z nią przy licznych okazjach - w kwestii programu szkolnego, książek dla biblioteki, pomocy naukowych - ale od dnia, kiedy na publicznym zebraniu poprosił ją, by podała choć jedną różnicę między malarstwem Andrew Wyetha i Jacksona Pollocka, a następnie wykorzystał jej zaskoczenie i zmieszanie jako całkiem prawdopodobne wytłumaczenie, dlaczego historia sztuki nie wchodziła do programu jej kursu,

Doris Roderigue omijała go z daleka. Zgodnie z tym, co twierdziła Tick, od niej również postanowiła trzymać się jak najdalej, dlatego umieściła dziewczynkę przy stole, przy którym zgromadziła najmniej zdolnych uczniów z całej klasy, a następnie udawała, że ten stół zwyczajnie nie istnieje.

- Zapamiętaj sobie - napominał ją po raz kolejny Miles - że ona nie ma nic przeciwko tobie, tu chodzi wyłącznie o mnie. Ona chyba myśli, że ja próbuję przyczynić się do tego, żeby ją wylali z pracy.

- A próbujesz?

- Nauczycieli nie można wylać z pracy, chyba że molestują uczniów - odpowiedział Miles. - A Doris nikogo nie molestowała, prawda?

Zamiast odpowiedzieć, Tick zajęła się z powrotem swoją kolacją, w zamyszeniu przesuwając jedzenie na talerzu, jakby poszukiwała lepszych, bardziej artystycznych sposobów jego wykorzystania.

- Czy wyraziła się krytycznie na temat twojego węża?

- Właśnie w tym cała sprawa - powiedziała Tick pogodnie, znowu używając swojego widelca jako wskaźnika. Ostatnio wszystkie jej stwierdzenia były poprzedzone jakąś wariacją na temat bliżej nieokreślonej „sprawy”. W tym cała sprawa. Na tym sprawa polega. - Według mnie, w moim wężu nie podoba jej się to, że przypomina jej prawdziwe węże.

- To jedna możliwość - zgodził się Miles.

Inna, jaka mu przysłała do głowy, była bardziej Freudowska, chociaż nie sądził, żeby jego dorastająca córka musiała się już martwić o zahamowania seksualne.

- Wydaje się to o tyle interesujące - ciągnęła Tick - że oznacza, że im lepiej takiego węża namaluję, tym bardziej będzie przypominał jej to, czego nienawidzi, i tym gorszy stopień mi postawi. Stąd wniosek - to było kolejne słowo z nowego retorycznego arsenału Tick - jeśli zależy mi na dobrej ocenie, powinnam zastosować inną strategię, czyli namalować węża źle, a nie dobrze.

- Albo nie malować węża wcale - poczuł się w obowiązku zauważyć Miles.

- Tylko że my mieliśmy za zadanie namalować jeden z naszych najbardziej wyrazistych snów, a to był mój najbardziej wyrazisty sen.

- Rozumiem - rzekł Miles. - Ale nie uważasz, by twoja nauczycielka była w stanie docenić walory twojego węża jak należy, zgadza się?

- Zgadza się.

- Stąd wniosek - Miles uśmiechnął się - że równie dobrze możesz uznać, iż samo zadanie nie było najsmartziej wymyślane, zgadza się? Wobec

tęgo namaluj jej anioła. Pani Roderigue będzie zachwycona, widząc, że śnią ci się anioły. - To akurat nietrudno mu było przewidzieć. Doris Roderigue, która zawsze twierdziła, że rozdział Kościoła od państwa nie ma sensu, otwarcie zachęcała do podejmowania tematów religijnych.

- Ale mnie się śnią węże.

- To, co ci się śni, nie musi jej interesować - zauważył Miles, sam nieco zdziwiony rosnącą w nim złością na myśl o tym, żeby powierzać rozwój swojej córki, czy w ogóle jakiegokolwiek innego inteligentnego dziecka, osobom pokroju Doris Roderigue.

- Chcesz wiedzieć, na czym polega twój prawdziwy problem? - wtrąciła się Charlene, która w trakcie tej rozmowy kilkakrotnie przechodziła obok ich stolika i najwyraźniej usłyszała dość, by poczuć się upoważnioną do dorzucenia swoich trzech groszy. Nie na darmo Charlene przez całe życie była kelnerką w małym miasteczku. Wkraczała do rozmów swoich klientów nie tylko z absolutną pewnością siebie, ale też z poczuciem, że ma do tego pełne prawo. Ostatniej wiosny David i Miles, każdy ze swej strony próbowali zasugerować, że może nie będzie to najlepszy pomysł w przypadku ich nowej wieczornej klienteli, zwłaszcza jeśli będą to profesorowie z uczelni, którzy prawdopodobnie nie są przyzwyczajeni do tego, żeby kelnerka prostowała ścieżki ich myślenia. Nie mówiąc już o tym, że zapewne niezbyt chętnie będą dawać napiwki komuś, kto podważał logikę ich wyводу. Przez krótki czas wydawało się, że Charlene wzięła sobie do serca mądrość tych rad, ale ostatecznie je odrzuciła. Przede wszystkim dlatego, jak im to następnie wytłumaczyła, że posłuchawszy, o czym ci profesorowie rozprawiają, doszła do wniosku, iż małe rozjaśnienie umysłu niejednemu z nich bardzo się przyda. Po drugie, była zdania, iż pomimo ich starannie przyciętych bród, spodni z zaprasowanym kantem i tweedowych marynarek profesorowie dają napiwki dokładnie w taki sam sposób, jak inni mężczyźni - w zależności od wielkości filiżanki. A poza tym ona sobie świetnie z nimi radzi, dzięki za troskę.

- No więc twój prawdziwy problem - Charlene spojrzała na Tick - polega na tym, że ty śnisz na jawie, zamiast jeść. Może powiemy tacie o twoim sekrecie?

- Sprawa polega na tym... - zaczęła Tick, kierując zęby widelca w stronę Charlene, ale ona zaskoczyła szybkim refleksem i ojca, i córkę, błyskawicznie chwytając widelec i odwracając go w stronę Tick, która odchyliła się gwałtownie w udawanym przestraszu.

- I nie zaczynaj od „sprawa polega na tym”.

- Co za sekret? - spytał Miles.

Charlene zwróciła widelec Tick, a następnie oparła ręce na biodrach, po czym spojrzała na Milesa tak, jak się patrzy na ulubionego zwierzaka, na przykład na czyjegoś psa, który przypadł nam specjalnie do serca, mimo że w domu mamy już inne, znacznie mądrzejsze psy.

- Ta cała rozmowa prowadzona była tylko po to, żeby odwrócić twoją uwagę od oczywistego faktu, że Tick nie zjadła swojej kolacji. Znowu.

Charlene, jak przystało na kelnerkę z prawdziwego zdarzenia, uważała, że ma nie tylko pełne prawo wtrącać się do rozmów swoich klientów, ale też obowiązek, od którego zresztą nigdy się nie uchylała, żeby przypominać im, jak niewybaczalne jest marnotrawienie dobrego jedzenia, gdy inni ludzie chodzą głodni. Jeśli o to chodzi, szczególnie czujna była w stosunku do Tick, u której tej wiosny, podczas kontroli u lekarza stwierdzono niedowagę. Nie żeby Tick była jedyną osobą, której nawyki żywieniowe zwracały uwagę Charlene czy wywoływały jej komentarze. Milesowi też od lat powtarzała, że wciąż bezwiednie podjada, zamiast usiąść i zjeść porządny posiłek. Z biegiem czasu Miles wpadł w klasyczną pułapkę restauratora, który zjada swoje kulinarne pomyłki - nadliczbowe porcje frytek, niedorobione czy przesuszone burgery - i to nie wtedy, kiedy jest głodny, tylko wtedy, gdy akurat trafi się taka porcja. Dzisiejszego wieczoru, na przykład, była to miska tej zupy Davida, którą Miles zjadł tylko dlatego, że trzeba było opróżnić garnki. Zdaniem Charlene, gdyby potrafił zmusić się do tego, żeby wyrzucić każdą frytkę, która spadnie na kontuar, zamiast ją zjadać, ważyłby nie więcej niż jego brat, a faktycznie David był szczupły i muskularny.

- To nieładnie zdradzać czyjeś sekrety, Charlene - naburmuszyła się Tick. - Ja nie chodzę i nie opowiadam twoich.

- To tylko świadczy o tym, jaka jesteś mądra - powiedziała Charlene.

- Tym razem poszło jej całkiem nieźle - wtrącił Miles niepewnie, wskazując talerz Tick. To prawda, przyklepała, co się dało, i do tego jeszcze artystycznie wycięła pusty środek, udając, że przedtem było tam jedzenie, które teraz zniknęło. Mimo to Miles mógł stwierdzić, że z porcji nałożonej przez Davida ubyla mniej więcej jedna trzecia.

- Nie, Miles - Charlene nie dała się wywieść w pole. - To tobie poszło całkiem nieźle. Najpierw zjadłeś swoją porcję zupy rybnej, a przez ostatni kwadrans podjadałeś z talerza Tick. I nie mów mi, że tak nie było, bo was obserwowałam.

No cóż, wszystko się zgadzało, rzeczywiście Miles podjadł parę kąsków z talerza córki - jak zawsze mile zaskoczony, że David tak smaczne gotuje.

- Nic na to nie poradzę, że nie jestem głodna, Charlene - powiedziała Tick i odsunęła talerz, gdy okazało się, że nie ma sensu ciągnąć tej zabawy w ciuciubabkę. - Człowiek nie jest nic winien, że nie czuje głodu.

Charlene popchnęła talerz z powrotem w jej stronę.

- Błąd - rzekła. - Tu właśnie się mylisz. Kate Moss to już przebrzmiała śpiewka, dziecińko. Jedz.

Kiedy odeszła, Tick nabiła na widelec maleńkiego małego powleczonego sosem hoisin i odgryzła połowę, posyłając ojcu lekko zakłopotany uśmiech.

- To Charlene ma jakieś sekrety? - spytał Miles z nadzieją w głosie. Sprawilo mu przyjemność, że go obserwowała, co samo w sobie mogło być dowodem - nawet jeśli tylko słabym - na uczucie, które przenikało ich wieloletnią przyjaźń. Od pewnego czasu z nikim nie była związana, a Miles miał dostać rozwód lada dzień, więc kto wie. Poza tym ona sama od lat twierdziła, że Miles jest dokładnie takim typem faceta, w jakim natychmiast by się zakochała, gdyby miała dość rozumu w głowie - dobrym, prostolinijnym i szczerym, który przy odrobinie zachęty kochałby ją wiernie do końca swoich dni. Tak więc znowu, kto wie...

Niestety, jednocześnie Charlene przyznawała, że pomimo czterech niedanych małżeństw nadal odczuwa niekłamaną słabość do złych facetów, nawet jeśli nie radzą sobie z poplątanym życiem wewnętrznym i zmywają się z placu boju w tej samej minucie, w której coś poszło nie tak. Wszyscy jej mężczyźni mieli szybkie samochody i jeździli nimi jak szaleńcy, i to akurat najbardziej w nich lubiła. Trudno powiedzieć, co by się stało, gdyby pewnego dnia zesła się z takim facetem jak Miles, ale podejrzewała, że z czasem stałaby się dla niego okropna, kto wie, może jeszcze gorsza niż Janine, która była dla niego naprawdę paskudna. „Ja po prostu sobie nie wyobrażam, że mogłabym iść przez życie w twoim tempie, Miles - powiedziała mu kiedyś. - Nigdy nie wzięła cię chętką, żeby przycisnąć gaz do dechy tylko po to, żeby poczuć, jak to jest?”. Zatem pewnie jednak nie.

- Wszyscy mają jakieś sekrety, tato, oprócz ciebie - powiedziała Tick.

Miles przez chwilę rozważał jej słowa. W końcu powiedział:

- A dlaczego myślisz, że ja nie mam żadnych?

Jego córka nie odpowiedziała od razu.

- Tu nie chodzi o to, że ty ich nie masz - wyjaśniła mu, choć raz zostawiając swój widelec w spokoju. - Tylko o to, że każdy głupi potrafi je z miejsca rozgryźć.

- Myślę, że po prostu powtarzasz to, co twoja matka zawsze o mnie mówi.

- Ja tylko powtarzam to, co wszyscy o tobie mówią. Bo to prawda. Ja jestem bardziej podobna do mamy - dodała ponuro, tak jakby to nie był szczególnie powód do dumy. Odkąd zdecydowali się z Janine na rozwód, Tick zaczęła katalogować różnice i podobieństwa do każdego z rodziców, przypuszczalnie sądząc, że taka genetyczna mapa drogowa mogłaby jej pomóc w przyszłym nawigowaniu własnym przeznaczeniem. - Ja będę lepiej dochowywać sekretów. Jeśli zdradzę swojego męża, to nikt się nigdy o tym nie dowie.

Miles otworzył usta, potem zamknął je znowu, zastanawiając się, jak to mu się często zdarzało, czy jest gdzieś na świecie druga taka szesnastolatka.

- Tick! - wykrztusił w końcu.

- Nie powiedziałam, że zamierzam zdradzać mojego męża - wyjaśniła. - Ja tylko chciałam powiedzieć, że potrafię dochować tajemnicy.

Nim Miles zdołał coś odpowiedzieć, nad frontowymi drzwiami za-brzęczał dzwonek i w progu zmaterializowała się Janine, jakby wywołana aluzją córki. Bez chwili zastanowienia ruszyła przez zatłoczoną restaurację prosto w ich stronę. Tick, instynktownie wyczuwając obecność matki, nawet nie odwróciła głowy, tylko przesunęła się pod okno, żeby zrobić jej miejsce.

- Myśleliśmy, że zjawisz się dopiero za godzinę, co najmniej za godzinę - powitał ją Miles, gdy Janine usiadła za stołem i ściągnęła bluzę przez głowę, ukazując pod spodem ostro różową górę od stroju do ćwiczeń.

- No tak, słusznie, ale mimo to zjawiłam się teraz - powiedziała. - A poza tym nie gap się na moje piersi, Miles. Byliśmy małżeństwem przez dwadzieścia lat i przez cały ten czas nigdy cię nie interesowały.

Miles poczuł, że się czerwieni, ponieważ faktycznie na nie spojrział.

- To nieprawda - zaoponował słabo.

W rzeczywistości nie tyle chodziło o to, że się nimi teraz nagle zainteresował, ile że w tym obcisłym kostiumie były tak dokładnie widoczne, chociaż oczywiście to nie temat, który miałby ochotę roztrząsać w obecności córki.

- Przed chwilą skończyłam zajęcia - wyjaśniła Janine. - Jestem zgrzana i spocona, a nawet nie miałam chwili, żeby wziąć prysznic. - Zwróciła się do Tick. - Gotowa? Możemy już jechać do domu?

- Chyba tak - odpowiedziała Tick.

- Chyba tak - powtórzyła Janine. - A czy jest ktoś, kto będzie to wiedział

na pewno? Ktoś, kogo moglibyśmy poprosić o definitywną odpowiedź?

- Muszę tylko pójść po plecak - odpowiedziała jej Tick. - A ty nie musisz być przez cały czas taką wstrętną jędzą, nie?

- Przykro mi, ale niestety muszę, moja panno - odparła Janine, wysuwając się zza stołu, żeby przepuścić Tick. - Zrozumiesz dlaczego, kiedy dobijesz do czterdziestki.

- Ty już masz czterdzieści jeden - przypomniała jej Tick. - A w styczniu skończysz czterdzieści dwa.

Miles odprowadzał córkę wzrokiem, dopóki nie zniknęła za drzwiami na zaplecze, czując, zresztą nie pierwszy raz, straszliwą mieszaninę sprzecznych emocji - wstyd z powodu nieudanego małżeństwa, gniew na Janine za to, w jaki sposób się do tego przyczyniła, a zarazem wdzięczność, że zdołali się trzymać tego kiepskiego pomysłu na tyle długo, by mieć to dziecko. Ciekaw był, czy Janine podziela z nim któreś z tych uczuć, czy może raczej uprościła swoje życie emocjonalne, sprowadzając je wyłącznie do uczucia żalu. Odwróciwszy się z powrotem do Janine, Miles przyłapał ją, jak ściąga małża z talerza Tick.

- Cholera - powiedziała, kiedy się zorientowała, że została złapana na gorącym uczynku. - Cholera, ależ to jest dobre.

- Mogę zamówić ci porcyjkę, jeśli masz ochotę - zaproponował jej Miles. - Nie umrzesz od tego, jeśli coś zjesz.

- I tu się mylisz, Miles. Bo dokładnie to właśnie by się stało. Nie zamierzam być znowu gruba, nigdy więcej.

W tym momencie Charlene przechodziła obok ich stolika. Janine podała jej talerz.

- Zrób to dla mnie, proszę, i zabierz stąd ten talerz - powiedziała, po czym zwróciła się do Milesa. - Jest nawet słowo na określenie takich ludzi jak ty - ciągnęła. - Naganiacz.

Jest też pewne słowo na określenie takich ludzi jak Janine, pomyślał Miles, i jej rodzona córka przed chwilą go użyła.

- Koniec z futrowaniem mnie jak gęsi, masz to już za sobą, mój drogi. Teraz ja przejęłam kontrolę nad swoim ciałem.

- To dobrze - rzekł Miles. - Bardzo się cieszę z tego powodu.

Nawet jeśli Janine wyczuła zamierzony sarkazm w tych słowach, nie dała tego po sobie poznać. Jednakże widać było, że z trudem tłumi gniew, i kiedy Tick zjawiała się z plecakiem, Janine zwróciła się do niej:

- Może pójdziesz i posiedzisz chwilę w samochodzie, a ja tymczasem skorzystam z okazji, że tu jestem i porozmawiam sobie z twoim ojcem.



Tick pochyliła się nad stołem, żeby pocałować Milesa.

- Do zobaczenia jutro, tato. Znajdziesz chwilkę, żeby przeczytać moje wypracowanie?

- Znajdę - odparł Miles. - Ale to nie było ładnie z tym oszukiwaniem w sprawie jedzenia, wiesz o tym, co?

- Wiem, tato - przyznała bez najmniejszego śladu wyrzutów sumienia.

- Po prostu za łatwo dajesz się oszukiwać.

Odczekał, aż znajdzie się za drzwiami, a wtedy zwrócił się do Janine.

- Naprawdę jesteś dla niej ostatnio za ostra - ledwie zaczął to mówić, już wiedział, że popełnił błąd. To była dla Milesa jedna z największych zagadek małżeństwa: dlaczego człowiek musiał dopiero coś chlapnąć, żeby się zorientować, że powiedział nie to, co powinien. Ponieważ on mówił do Janine nie to, co powinien przez tyle lat, w końcu nauczył się przezorności, wszelkie uwagi testując najpierw w sferze wyobraźni, nim zdecydował się je wypowiedzieć na głos, a mimo to często i tak mówił nie to, co należy. Oczywiście, istniała możliwość, że wszystko, co mówił, było niewłaściwe, i że sprawa nie polegała na wyborze pomiędzy tym, co właściwe i niewłaściwe, tylko pomiędzy tym, co trochę niewłaściwe, bardziej niewłaściwe i tak zdecydowanie niewłaściwe, że gorzej już być nie mogło. Tak czy inaczej, niewłaściwe niejako z definicji albo wyłącznie z tej racji, że rzecz została powiedziana przez Milesa.

- No cóż, ktoś z nas musi - zjeżyła się Janine, o czym teraz już świadczyło całe jej spięte ciało, a nie tylko naprężone sutki. - Skoro w oczach tatusia i wujka wszystko, co robi, jest po prostu doskonałe.

Miles już otworzył usta, żeby zaoponować, ale jego żona - co nie było dla niego żadną niespodzianką- jeszcze nie skończyła.

- Walt jest taki samiuteńki, co do joty, jeśli chodzi o ścisłość. Im gorzej ona go traktuje, tym bardziej on się do niej przymiła.

- Janine, to przecież jeszcze dziecko. Nasze dziecko.

Janine wzięła ze stołu czystą łyżeczkę i przyłożyła ją niczym nóż do skroni, a potem zrobiła ruch, jakby chciała nią wbić coś do głowy.

- Mylisz się, Miles! Po pierwsze, ona już nie jest dzieckiem. Jak nie chcesz mi wierzyć, to po prostu na nią popatrz. I spróbuj spojrzeć na nią tak, jak patrzysz na innych ludzi. A po drugie - no i co z tego? Ja nigdy nie byłam dzieckiem, ty zresztą też nie. Odkąd byłam na tyle duża, by móc to robić, sama zmieniałam sobie pieluchy. Tick miała cudowne dzieciństwo, i ty o tym dobrze wiesz.

- Czy nie o to nam chodziło? - spytał Miles. - Myślałem, że o to właśnie nam chodziło.

- Tyle że to nie mogło trwać wiecznie, Miles.

W tej chwili Miles wyobraził sobie ich córkę, jak przygląda im się, kiedy pochylają głowy nad środkiem stołu, żeby móc przyciszyć głosy, a mimo to nadal wrzeszczeć na siebie nawzajem. Nie, ten ostatni rok życia ich córki trudno było nazwać cudownym, wszystko, tylko nie to. Może zresztą pozostałe lata też nie były aż takie znowu cudowne.

- Janine, proszę. - Nagle poczuł, jak strasznie jest wyczerpany. - Czy możemy się nie kłócić?

- Nie. Na tym zeszło nam ostatnich dwadzieścia lat, mówię na wypadek, gdybyś tego nie zauważył. Poza tym za każdym razem, kiedy jest jakiś problem i dzwonią z tej cholерnej szkoły, nie dzwonią do ciebie, tylko do mnie. I to ja muszę rzucać robotę, żeby tam pędzić, nie ty.

- No, tym razem chyba przesadziłaś - zaoponował Miles. - Życzyłbym sobie, żeby to do mnie dzwonili. Gdybyś się tylko zgodziła, żebym to ja był jej opiekunem...

- Jasne. A niby gdzie ona miałyby zamieszkać? Nad restauracją? Przeniósłbyś palety z olejem na dół do piwnicy, żeby jej zrobić trochę miejsca?

- Tu akurat masz rację - przyznał Miles, usiłując zapanować nad goryczą w głosie. - To ja zostałem bez domu w tym układzie. A skoro o tym mowa...

- Przestań - Janine wycelowała w niego łyżeczkę. - Nie zaczynaj znowu.

- W porządku - zgodził się, chociaż było za późno, bo już zaczął i Janine o tym wiedziała.

Janine przyrzekła, że porozmawia z Waltem o domu. Rozsądne i przyzwoite rozwiązanie byłoby takie, żeby Walt spłacił udział Milesa lub to, co byłoby jego udziałem, gdyby takowy istniał. W podziale majątku dom został przyznany Janine, a Milesa poinstruowano, że ma kontynuować opłatę połowy wierzytelności, dopóki nieruchomość nie zostanie sprzedana albo Janine nie wyjdzie powtórnie za mąż. Prywatnie oboje z Janine się zgodzili, że gdy dom zostanie w końcu sprzedany, podzielą między sobą to, co zostanie po spłacie hipoteki. Jednakże pieniądze, które nadpłacił, były niewielkie, dlatego postanowił nie robić z tego sprawy ani nic w tym rodzaju. Jego instrukcje dla adwokata były proste: niech Janine weźmie, co chce. Mówiąc prawdę, było tego żenująco mało, nie widział więc specjalnych powodów, żeby się użerać, a nawet gdyby czuł inaczej, nie mógł być małostkowy wobec Janine, nie będąc jednocześnie małostkowym wobec Tick. A tego nie chciał.

Jednakże wkrótce mieli dostać rozwód, co pozwoliłoby Janine na przekładany od dawna ślub, i Miles zaczynał się zastanawiać, czy dobrze zrobił, że nie posłuchał rady swojego adwokata. Walt Comeau, jak słusznie przewidział adwokat, postanowił wynająć swój dom, a samemu przeprowadzić się do Janine. „Czy tego właśnie chcesz? Chcesz, żeby facet, który ukradł ci żonę, zamieszkał z nią w twoim domu, spał w twoim łóżku, i do tego wszystko za darmo?”. No cóż, naturalnie Miles nie chciał tego wszystkiego, ale wtedy taki scenariusz wydawał mu się mocno przesadzony. Bo co za człowiek zachowałby się w ten sposób? No, ale z drugiej strony, Miles nie przewidział także, że Walt Comeau stanie się stałym bywalcem jego restauracji, że będzie wpadał codziennie po południu na kawę i partyjkę remika z Horacym, przy okazji zasypując Milesa dobrymi radami w kwestii prowadzenia interesów. Nie dalej jak dzisiaj poradził mu, żeby dodał „e” na końcu słowa „Grill”, bo będzie to brzmiało bardziej „klasycznie”. Za każdym razem, kiedy Walt wyrwał się z jednym z tych swoich pomysłów, dwie rzeczy przychodziły Milesowi do głowy. Po pierwsze, jakkolwiek mogło się to wydać dziwne, mimo wszystko Walt nie prowokował Milesa do zbrodni. Walt Comeau szczerze wierzył, że jego porady są cenne. I po drugie, że być może obdarzał nimi Milesa zamiast czynszu. Miles już dawno rozumiał, że większość ludzi podchodzi do swoich spraw dość logicznie, jeśli tylko zapewni im się kilka podstawowych rzeczy. Żaden sąd nie nakazał Waltowi, by spłacał raty za dom Milesa, więc Walt ich nie płacił. Widać żał mu było człowieka, któremu ukradł żonę - chociaż uczciwie rzecz biorąc, Walt był przekonany, że w tym wypadku zwyczajnie wygrał lepszy z nich - i dlatego, mimo że nie był do tego zobowiązany, stale szukał drobnych okazji, żeby to Milesowi wynagrodzić. W istocie z dnia na dzień okazywał coraz większą determinację, by mu na każdym kroku pomagać. Uważał, że jego darmowe rady są warte tysiące dolarów, tylko Miles jest uparty jak osioł i nie chce ich wprowadzać w czyn. Ale co człowiek może na to poradzić? Spróbuj wytłumaczyć koniowi, żeby wszedł do wody. Nie, gdyby tej nocy Miles nieoczekiwanie umarł we śnie, Walt powtórzyłby wszystkim żałobnikom razem i każdemu z osobna, że on uczynił, co w jego mocy, by zmienić Empire Grill w kwitnący interes. A potem zakończyłby stwierdzeniem, że Miles był cholernie miłym facetem, ale nie miał głowy do interesów. A nic bardziej nie denerwowało Srebrnego Lisa, jak właśnie to, że ktoś może jej nie mieć.

- Prawdę mówiąc, próbowałam z nim rozmawiać na ten temat - powiedziała w końcu Janine, spoglądając na swoje odbicie w szybie. - Powiedział...

- znowu zamilkła na chwilę, jakby sama nie umiała ocenić tego, co ma do przekazania. - Powiedział, że nie jest pewien, czy nieruchomości tutaj to dziś dobra inwestycja.

- Doprawdy - zdziwił się Miles. - Do takiego wniosku doszedł?

- Mówi, że nie chce łądować w nic pieniędzy, dopóki nie ma pewności co do swego kolejnego ruchu.

- A kiedy to nastąpi?

- Nie wiem, Miles. Naprawdę nie wiem - przyznała i w tej chwili nagle dała sobie spokój z udawaniem złości. - Czy zauważyłeś kiedyś, w jaki sposób drapie się w brodę, grając w karty? No wiesz, kiedy próbuje odgadnąć, jakie karty ma Horacy. Wygląda wtedy, jakby czas się zatrzymał. Jakbyś patrzył na martwą naturę.

- Janine...

- Mam na myśli to, że z nim nigdy nic nie wiadomo. W jednej chwili mówi o rozbudowie klubu, o tym, że zrobi dodatkowe kryte korty tenisowe, a w następnej zaczyna opowiadać o tym, że powinniśmy sobie coś zbudować nad jeziorem. Ma, zdaje się, upatrzone gdzieś pół akra gruntu z dostępem do wody, ale kiedy próbuję go podpytać, gdzie dokładnie, nagle staje się tajemniczy, jakby się bał, że wszystko wypaplam komuś, kto mu to sprzątnie sprzed nosa. Za każdym razem, kiedy usiłuję go przycisnąć o cokolwiek, on robi, wiesz, tę swoją szczwaną minę. No, rozumiesz, taką, jak zawsze na sekundę przed tym, kiedy Horacy rozkłada go na łopatki w remika.

- Janine.

Ciągle przyglądała się swemu odbiciu w szybie, jakby ewentualne natknięcie jego wzroku miało oznaczać przyznanie się do czegoś strasznego. Gdy w końcu spojrzała, Miles ujrzał w jej oczach łzy, a wtedy przyszło mu na myśl, że może jest jeszcze coś, czego mu nie powiedziała. Coś, czego sama nie jest pewna.

- Co, Miles?

- Czyżbyś miała jakieś wątpliwości?

Otarła kącik jednego oka ramiączkiem od kostiumu i natychmiast odzyskała swoją zwykłą buntowniczość, czym sprawiła, że Miles zaczął się zastanawiać, jak tyle już razy w ciągu ostatnich dwudziestu lat, co takiego Janine widzi w tej walecznej postawie, że wciąż ją przybiera.

- Nie martw się, nic z tych rzeczy - zapewniła go. - Poradzę sobie, przejdę i przez to. Obiecuję. Za miesiąc o tej porze będziesz miał już tylko dziecko na utrzymaniu.

- Nigdy nie twierdziłem, że chcę, żebyś przez cokolwiek przechodziła -

przypomniał jej Miles, który nagle poczuł falę czułości wobec swojej byłej żony, co czasem mu się zdarzało, jeśli się nie dość pilnował.

- Nie martwię się o siebie i Walta, to nie to. Jeśli jest coś, czego nadal nie rozumiem, to my, ty i ja.

- Masz na myśli, jak nam się udało tak dokładnie wszystko spać? - Janine skrzywiła się. - Cholera, nie, Miles. To jest prosta sprawa. Wszystko dokładnie schrzaniliśmy, ponieważ się nie kochaliśmy. Ale chciałabym wiedzieć dlaczego. Mam na myśli, wiesz, ja już ci powiedziałam, dlaczego cię nie kochałam. Wszystko, co robiłeś przez te dwadzieścia lat, a co mnie wkuzało, to ci powiedziałam.

Miles nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. To prawda, sporządzona przez Janine lista jego wad i słabych punktów była długa i wyczerpująca, stanowiła też przedmiot stałych uzupełnień.

- A teraz jesteście prawie rozwiedzeni, ja szykuję się do ślubu z innym facetem, a ty wciąż mi nie powiedziałaś, dlaczego ty mnie nie kochałeś. Czy to jest w porządku? Chodzi mi o to, jeśli chciałbyś się jeszcze raz kiedyś ożenić - czego bym ci nie radziła - przynajmniej powinieneś wiedzieć, co zrobić inaczej, żeby tym razem ci się udało, nie mam racji? Bo ja byłam z tobą uczciwa.

- Czego ty chcesz ode mnie, Janine? Małżeńskiej książki skarg i zażaleń? Na litość boską, Janine, zaczęłaś kręcić z Waltem Comeau!

- Pewnie, jasne, rzuć mi to w twarz.

Tym razem to Miles odwrócił wzrok i zaczął studiować swoje odbicie w szybie. Mężczyzna, który spoglądał mu w oczy, wyglądał na zrozpaczonego.

- To nie fair i dobrze o tym wiesz - ciągnęła. - Chodzi mi o to... Jasne, pewnie, doskonale. Wdałam się w romans z Waltem i teraz masz się do czego przyczepić. Ale zaczęłam ten romans, ponieważ ty mnie nie kochałeś. Wiem, że to rani twoje uczucia, fakt, że się w nim zakochałam, ale nie powinieneś udawać, że mnie kochałeś, Miles, ponieważ oboje dobrze wiemy, że tak nie było.

- Jaka jest moja rola w tej rozmowie? Bo jeśli zamierzasz mówić za nas oboje...

- Czy chcesz mi powiedzieć, że mnie kochałeś, Miles? Bo jeśli to jest to, co chcesz mi powiedzieć, to powiedz. Wobec tego ja się zamknę na chwilę, żebyś ty mógł to powiedzieć. - A kiedy opuścił wzrok na swoje dłonie, powiedziała: - Tak myślałam.

Miała rację, oczywiście. W najgłębszym rozumieniu tego słowa, nigdy jej nie kochał. Nie w taki sposób, jak myślał, że będzie. Nie tak, jak przysięgał

przed Bogiem, rodziną i przyjaciółmi, i ta prosta prawda zawstydziała go zbyt głęboko, by mógł sobie pozwolić na jakieś głębsze analizy. Nie, nie kochał jej, sam nie wiedział dlaczego. Podobnie jak nie wiedział, jak nazwać to coś, czymkolwiek to było, co powstrzymałoby go od powiedzenia jej prawdy, nawet gdyby wiedział, jak ona brzmi. Bo jeśli to nie była miłość, to jak nazywa się takie uczucie, które sprawia, że człowiek pragnie ochronić tę drugą osobę przed zranieniem? Jak nazywa się to uczucie, które teraz o mało go nie ogarnęło, a które sprawiło, że zapragnął wziąć ją w ramiona i zapewnić, że wszystko będzie dobrze? Bo jeśli nie miłość, to co?

A mimo to miała rację. Ponieważ czymkolwiek było to, co czuł wobec tej kobiety, której życie tak długo było związane z jego życiem, czymkolwiek to było, z całą pewnością nie można tego pomylić z pożądaniem, pragnieniem, tęsknotą. Tyle Miles wiedział, nawet jeśli tak długo dokładał wszelkich starań, żeby to pomylić.

- Po co się dręczysz, Janine? - spytał. - Jeśli dzięki Waltowi jesteś szczęśliwa, co jeszcze ma znaczenie?

Przyglądała mu się przez minutę, a potem zrezygnowała.

- Sama nie wiem, po co się tak zadrażam - przyznała, zmuszając się do uśmiechu. - Pewnie chciałabym od ciebie usłyszeć, że nie jestem taka najgorsza.

- Nigdy nie powiedziałem, że jesteś...

- To właśnie usiłuję ci powiedzieć, Miles - powiedziała, wstając zza stołu. - Ty nigdy nic nie mówiłeś.

- On wciąż powtarza, że potrafi wspiąć się jak małpa - powiedział Miles do brata.

Siedzieli w jego mieszkaniu na górze, nad restauracją, dochodziła jedenaasta. Miles, który przez całe życie cierpiał na bezsenność, wiedział, że i tak obudzi się o piątej rano, a mimo to zawsze miał do życia pretensję, że gdyby kiedyś naszła go ochota na przyzwoity sen, musiałyby się zerwać z łóżka, żeby otworzyć restaurację.

David wyjął z minilodówki małą butelkę wody mineralnej, postawił ją na podłodze, po czym zrzucił wielkie pudło papieru toaletowego z kanapy, żeby sobie zrobić miejsce do siedzenia. W telewizji leciał mecz Soxów, późna transmisja z Zachodniego Wybrzeża.

Janine miała oczywiście rację. W obecnej sytuacji nie było tu miejsca dla Tick, chociaż przez cały wieczór roztrząsał ten temat na wszystkie sposoby, usiłując znaleźć jakieś rozwiązanie. Mógłby przenieść całe zaopatrzenie

restauracji z powrotem do piwnicy, gdzie by sobie stało spokojnie do następnej powodzi, kiedy to dolne pomieszczenia znowu zaczęłyby nabierać wody. Gdyby uprzętnąć wszystkie te rzeczy, znalazłoby się miejsce dla nich obojga, tyle że dziewczyna w wieku Tick potrzebowała czegoś więcej niż tylko przestrzeni. Potrzebowała swojego własnego pokoju z drzwiami, które mogłaby za sobą zamknąć, a w razie potrzeby nawet zatrzasnąć. Tymczasem mieszkanie Milesa, które nie było używane, odkąd umarł Roger Sperry, składało się zasadniczo z jednego dużego pomieszczenia. Poza drzwiami wejściowymi były jeszcze tylko jedne, do łazienki, a i te nie całkiem się domykały. Tick zasługiwała na coś lepszego. Pewnie, że małym nakładem pracy i pieniędzy mógłby to wszystko urządzić ładniej, ale nadal byłoby to nędzne mieszkanko na piętérku nad jego miejscem pracy.

A mimo to wiedział doskonale, że jego córka skwapliwie skorzystałaby z okazji, żeby się wyprowadzić od matki. Konieczność mieszkania z Waltem Comeau pod jednym dachem budziła w niej odrazę i sprzeciw. A już na pewno domek przy księgarni na Martha's Vineyard, chociaż niewiele większy od tego mieszkania, byłby wystarczająco obszerny dla ich dwójki, gdyby tylko wiedział, skąd wytrzasnąć pieniądze.

- Wszystko, co tata robi - zauważył David z kanapy - robi jak małpa. - W odniesieniu do ich ojca David nigdy nie kierował się sentymentami. - Ale masz rację, że nie pozwalasz mu ganiać po drabinie. Tylko nie daj się wpędzić w żadne wyrzuty sumienia z tego powodu.

- Spróbuję. Ale ze mną zawsze mu się udaje. Myślę, że to pewnie dlatego, że sam nie chciałbym na stare lata czuć się nikomu niepotrzebny - rzekł Miles, usiłując wytłumaczyć to głupie uczucie. Bo jak inaczej nazwać współczucie wobec Maxa Roby'ego?

- Całkiem niezły wieczór, co? - zauważył David, potrząsając długimi włosami. Efekt noszenia siateczki na włosach przez ośmiogodzinną zmianę był taki, że po zdjęciu człowiek wyglądał tak, jakby wciąż miał ją na głowie.

- Lepiej niż całkiem niezły - stwierdził Miles, który podliczał kasę. - Wygląda na to, że czwartki mogą się rozkręcić.

- Nie jestem tylko pewien, czy trzymamy się kosztów.

- Nie myślę, byśmy je zbyt przekraczali.

- Wiesz, jaki powinien być, logicznie rzecz biorąc, kolejny krok, prawda?

- Tak, wiem - przyznał Miles. Była to stara śpiewka. Zresztą bezcelowa, jak tyle innych dyskusji z jego bratem, jak daleko mógł sięgnąć pamięcią, aż

do czasów, kiedy jeszcze żyła ich matka. Dziwne. Od wypadku Davida bracia byli ze sobą bliżej niż kiedykolwiek przedtem. Wcześniej obaj popychali każdą rozmowę tak daleko, aż w końcu słowa rozgrzewały się do czerwoności, rozpalając zadawnione urazy, otwierając stare rany. Między nimi było niemal dziesięć lat różnicy, ich doświadczenia życiowe były diametralnie odmienne. Miles dorastał, zanim ich matka się rozchorowała, David potem. Zapewne równie ważną rolę odgrywał fakt, że obaj mieli tak bardzo przeciwstawne temperamenty: Miles był stateczny i rozważny, jak matka; David energiczny i niespokojny, jak Max. Jednakże od wypadku wszystko to straciło jakby na znaczeniu, chociaż Milesa niepokoiło trochę, że ta ich nowa zażyłość polegała między innymi na tym, że mieli sobie tak mało do powiedzenia. Przekazywali sobie nawzajem restaurację jak pałeczkę, bez zbędnych słów. Często ich rozmowy przypominały niemal jakiś rytuał. David składał raport Milesowi, że wszystko pozamykał, chociaż miał świadomość, że Miles to już i tak wie, ale zarazem spodziewa się, że usłyszy te słowa, może nawet czeka na nie, ponieważ potrzebuje ich jako swego rodzaju zamknięcia, bez którego dzień nie byłby kompletny.

- Nie musiałyby to być nawet licencja na pełen wyszynk - ciągnął David. - Wystarczyłoby piwo i wino.

- Tyle że pani Whiting na to nie pójdzie.

- Wolałaby raczej stracić pieniądze?

Dziwne, ale Miles nieraz już miał podobne odczucie, że faktycznie i dosłownie taka mogła być prawda. Oczywiście było to wbrew wszelkiej logice. Dlaczego zadowalać się tym, że interes cienko ciągnie i przynosi minimalne zyski, skoro istnieje realna szansa na osiągnięcie znacznie większych dochodów? Pani Whiting była praktyczną i bezwzględną kobietą interesu, która swego czasu doskonale wyczuła odpowiedni moment na sprzedaż trzech fabryk Whitingów i która nigdy dotąd nie okazała ani krzty zrozumienia dla żadnego interesu na granicy opłacalności. A mimo to przez ostatnich dziesięć lat wydawała się zadowolona z tego, że Empire Grill kuleje, zmierzając do nieuchronnego końca. Z braku innego racjonalnego wytłumaczenia Miles był skłonny uwierzyć, że musi to wynikać z jej przywiązania. Tylko do kogo? Do samego Milesa? Sądził, że i to było możliwe. Horacy, na tyle mądry i cyniczny obserwator, na ile pozwalała mu na to lokalna scena, doszedł do podobnego wniosku, więc czemu nie? Bo jeśli nie przywiązanie do Milesa, to może do samej restauracji? Mało prawdopodobne, zważywszy, że starsza pani nie postawiła nogi w tej podupadającej budwie od co najmniej dwudziestu lat. Innym wytłumaczeniem, do którego Miles co pewien czas



powracał, była sympatia dla matki Milesa, która pracowała u pani Whiting, dopóki nie zachorowała. Tak więc znowu - całkiem możliwe.

- Porozmawiaj z nią - nalegał David. - Powiedz jej, że ludzie nie będą chcieli jeść ostrego meksykańskiego czy azjatyckiego żarcia bez piwa. I że lubią popijać winem potrawy z kuchni włoskiej.

- Spróbuję- obiecał Miles. - Ale nie rób sobie wielkich nadziei. Ona nie jest głupia, tylko z jakiegoś powodu nie chce żadnych zmian. Może to zwyczajnie starość. Może nie chce, żeby jej zawracano głowę. Tak czy siak, to jej interes.

David zamyślił się nad tą oczywistą prawdą, a tymczasem pałkarz Red Soxów odbił narzuconą wysoko *fly ball*, ale nie dość mocno, i piłka została wylapana na *warning track*. Potem, przyglądając się pustej butelce po wodzie, jakby usiłując sobie przypomnieć, dlaczego człowiek taki jak on miałby popijać wodę mineralną zamiast piwa, spytał:

- Chcesz usłyszeć o jeszcze jednym pomysle?

„Nie” brzmiałaby prosta prawda. Dzień był długi, a Miles zbyt zmęczony i przygnębiony rozmową z Janine, żeby myśleć.

- Jasne - powiedział na głos. - Słucham, co to za pomysł.

- Idź pogadaj ze swoją teściową.

- Z Beą? Dlaczego?

- Sam pomysł, Miles. To się trzyma kupy.

- Rzeczywiście, to jest myśl - przyznał Miles.

Matka Janine była nie tylko właścicielką podupadającego pubu Cal-lahan's, ale też całego budynku, w którym mieściła się knajpka. Co oznaczało, że pani Whiting, jeśli nawet poczułaby się oszukana i zechciałaby się odegrać, miałyby niewielkie pole manewru. Nie, nie było potrzeby, by David wyjaśniał bratu swój tok myślenia w tej sprawie. Jeśli pani Whiting nie zgodzi się na sprzedaż alkoholu, żeby w ten sposób dać im szansę na podjęcie walki o przetrwanie, trzeba będzie się zwinąć i przenieść cały kram na drugi koniec miasta. Poza tym lokal Bei był większy, co oznaczało, że byłoby miejsce na rozwojowy interes.

- Zrobiłbyś Bei przysługę. Bo ona idzie na dno, krok po krocisku. Mógłbyś za jednym zamachem uratować i ją, i siebie.

- David, ja nie mam tyle pieniędzy, żeby od niej odkupić lokal.

- Zaproponuj jej spółkę. Ona wniesie licencję na wyszynk, a ty zapewnisz obsługę kuchni.

- A co zrobisz, jeśli ty odejdziesz?

- A czy ja się gdzieś wybieram?  
- No, cóż...  
- Nie zaczynaj gadki od „no, cóż”, Miles.  
- Ty się w końcu nudzisz każdą rzeczą. A wtedy odchodzisz. Nie chcę cię krytykować, nie o to mi chodzi. Nie ma powodu, żebyś tego nie robił. Nie masz rodziny. A mnie samego na to zwyczajnie nie stać, to wszystko.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że z mojego powodu nie możesz rozważyć tego pomysłu z Beą?

- Nie mówię, że tego nie rozważę - powiedział Miles. - Przyznaję, jest to jakaś myśl.

- Przykro mi, że mówisz to w ten sposób - odparł David. - Zabrzmiało to tak, jakby pomysł został z góry przekreślony.

Miles nie odpowiedział od razu, próbując zapanować nad irytacją. Gdy ostatni z pałkarzy Red Soxów w tej zmianie, z zawodnikami na pierwszej i trzeciej, nareszcie wykonał prawidłowe odbicie narzuconej piłki, Miles powiedział:

- Dużo jej zawdzięczam, David.

- Komu?

- Jak to, komu? Pani Whiting. Czy to nie o niej rozmawiamy? Może Janine, Tick i ja nie mieliśmy straszego dostatku, ale też nie żyło nam się źle. Restauracja ciągnęła z trudem, to prawda, i Bóg jeden wie, że i my ledwie wiązaliśmy koniec z końcem, ale udawało nam się trzymać głowy nad powierzchnią, a to więcej, niż mógłbyś powiedzieć o większości ludzi w tym mieście. Pani Whiting mogła już dawno zamknąć tę budę i co by się wtedy stało z nami? Chcesz, żebym jej zagrał na nosie? I jest jeszcze coś. Byłem na studiach poza domem przez trzy lata i za każdym razem, kiedy naprawdę potrzebowałem pieniędzy, mama mi je przysyłała. A jak myślisz, skąd mama mogła co semestr wytrzasnąć pięćset dolarów na książki i czesne?

David rozważał przez chwilę to pytanie.

- Myślisz, że te pieniądze były od pani Whiting?

- Nie dostawała ich od Maxa. A kogo jeszcze miała?

- Sam nie wiem - przyznał David. - No, ale przynajmniej nareszcie rozmawiamy o właściwej osobie.

- A to niby co miało znaczyć?

- To, że kiedy powiedziałeś, ile jej zawdzięczasz, w pierwszej chwili pomyślałem, że to o niej właśnie mówisz. O mamie. Bo gdybyś chciał powiedzieć, że to jej wiele zawdzięczasz, to wtedy miałyby to sens.

- Nie potrzebuję, żebyś mi przypominał, ile jej zawdzięczam, David.  
- Czyżby? No cóż, jest tylko jeden sposób na spłacenie tego długu, bracie. I przykro mi, ale tobie trzeba od czasu do czasu przypominać, jak to wtedy było. Mama nigdy nie chciała, żebyś wracał. To był cel całego jej życia, żeby cię stąd wyciągnąć. Wiesz o tym lepiej niż ja. A nawet jeśli pożyczła pieniądze od pani Whiting, to możemy się założyć, że spłaciła wszystko co do grosika. I jeszcze odpłaciła przysługą za przysługę. Praktycznie wychowała córkę tej kobiety. I gdyby wiedziała, że w czterdziestym drugim roku życia skończysz, prowadząc Empire Grill, przewróciłaby się w grobie.

Miles potarł skronie kciukami, czując pierwsze symptomy nadchodzącej migreny.

- Wiem dobrze, że byłaby zawiedziona - przyznał, wiedząc także, że słowo „zawiedziona” było tu zbyt słabe. „To by jej złamało serce”, byłoby znacznie lepszym określeniem. - Nie mam wątpliwości, że przyniosłem jej wstyd. Czuję to, wiem, że tak jest, wierz mi. Ale jest jedna rzecz, której, jak sądzę, nie musiałbym wyjaśniać Grace Roby. Że najważniejsze w życiu jest dziecko. Może popełniłem błąd, że wróciłem, ale teraz mam Tick i nie mogę jej narażać na żadne ryzyko. Tego jednego nie mógłbym zrobić.

- A myślisz, że ja mógłbym? Myślisz, że ja mógłbym doradzić ci coś podobnego?

- A czy nie to właśnie robisz? W zeszłym tygodniu zapaliłeś się do tej księgarni na Martha's Vineyard, na którą mnie nie stać. Teraz chcesz, żebym sobie zrobił wroga z pani Whiting, wchodząc w interes z Beą. Czy przyjrzałeś się kiedyś tej kuchni u niej? Wiesz, ile trzeba by włożyć, żeby ją porządnie wyposażać?

- Między nami mówiąc, moglibyśmy...

Miles nie chciał już dłużej tego słuchać.

- David, jeśli ty masz ochotę wchodzić w interes z Beą, droga wolna, wchodź. Dam ci swoje błogosławieństwo.

Jego brat pokiwał wolno głową, tak jakby podobna rozmowa odbywała się już wielokrotnie, ale pojawił się w niej jeden czy może dwa drobne detale, których wcześniej nie zapamiętał.

- W porządku - rzekł w końcu. - Ponieważ i tak już cię wkurzyłem, spróbuję jeszcze tylko ten jeden jedyny raz, a potem dam ci spokój. Miles, ja doskonale wiem, że masz Tick. I wiem też, że jesteś w trudnym położeniu. Prawdę mówiąc, jestem bardziej od ciebie zaniepokojony tym, że jesteś w trudnym położeniu, ponieważ sytuacja jest poważniejsza, niż ty sobie wyobrazasz. Ale próbuję ci właśnie powiedzieć, że nie będzie lepiej. Ta kobieta

wpakowała cię w kierat, Miles. A ty przez cały czas tak szybko przebierasz nogami, żeby utrzymać się na powierzchni, że nawet tego nie widzisz. I tego właśnie obawiała się mama. Wiedziała, że tak właśnie się stanie, jeśli ty...

- Powiedz mi jedną rzecz - przerwał mu Miles. - Dlaczego ty tak strasznie nienawidzisz pani Whiting?

- Posłuchaj - odparł David - to nie jest kwestia nienawiści. Myślisz, że ona da ci restaurację, tak jak obiecała, a wtedy ty ją sprzedasz i wyniesiesz się stąd, mam rację? - A kiedy Miles nic nie odpowiedział, ciągnął dalej: - Tyle tylko że pani Whiting jeszcze nie umiera, Miles. Wiesz, co robi zamiast tego? Żyje. Kiedy jej to pasuje, siedzi miesiąc we Włoszech. Zimą jedzie sobie na Florydę. Późną wiosną do Santa Fe. A tymczasem to ty umierasz, Miles, po kawałeczku każdego dnia. Czy wiesz, ile lat miała matka pani Whiting w chwili śmierci?

- Nie mam pojęcia - przyznał się Miles.

- Właśnie. Bo ona wciąż żyje - odparł David. - W domu starców w Fairhaven, i ma dobrą dziewięćdziesiątkę z okładem. Jeśli pani Whiting pożyje równie długo, ty będziesz miał sześćdziesiąt pięć, kiedy odziedzicysz tę knajpę. To znaczy, jeśli ona ci ją da. A to ciągle jeszcze nie jest w tym wszystkim najgorsze, Miles. Twierdzisz, że trzymasz się tego dla Tick, ale czy wiesz, kim zostanie twoje dziecko, jeśli nie będziesz uważał? Zostanie następnym szefem restauracji Empire Grill.

- Po moim trupie - powiedział Miles.

Jego brat wstał i uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony, gdyż takiej reakcji się spodziewał.

- Doskonale. Teraz zatoczyliśmy pełne koło. Bo właśnie to mama zawsze powtarzała w związku z tobą. - David rzucił pustą butelkę po wodzie do kosza na śmieci przy drzwiach. - Słuchaj, przepraszam, że w ogóle się odzywałem. Powinienem wracać do domu. I tak wiem, jak to się skończy.

Przez moment Miles myślał, że David odnosi się do ich dyskusji, ale potem zdał sobie sprawę, że Davidowi chyba chodziło o mecz. W siódmej zmianie Sox i mieli słabiotką przewagę jednego obiegu pola, a jak wskazywała historia, zarówno ta najnowsza, jak i ta nieco starsza, zapewne nie było im pisane jej utrzymać. Wrzesień był kiepskim miesiącem dla kibiców baseballa w Nowej Anglii. Człowiek spędzał większość czasu, na próżno doszukując się powodów swego optymizmu z kwietnia. A kolejna okazja, żeby sobie te powody znowu przypomnieć, miała nastąpić nie wcześniej niż w kwietniu następnego roku.

- Kiedy wraca Buster? - spyta! David, mając na myśli drugiego kucharza, zatrudnionego w restauracji, który poszedł w tango w dniu, kiedy Miles wrócił z Martha's Vineyard.

Miles wątpił, czy Davida rzeczywiście interesował los Bustera. Raczej zależało mu, żeby bracia nie rozeszli się zagniewani. Jego pytanie zostało zadane tylko w tym celu, żeby przywrócić zwykłą równowagę.

- Zobaczę, może uda mi się go gdzieś jutro złowić.

- Będziemy potrzebowali jeszcze jednej kelnerki i dodatkowego pomocnika.

- Wiem, zajmę się tym.

- W porządku - powiedział David, idąc w stronę drzwi, ale zatrzymał się jeszcze z ręką na klamce.

- Dlaczego Janine była dzisiaj taka zdenerwowana?

- Nie wiem - odpowiedział Miles, patrząc bratu prosto w oczy. Czysta szczerłość i prawda. - Pewnie było jej zimno w nogi.

David pokiwał głową.

- Można się było tego spodziewać. Zważywszy na faceta, za którego zamierza się wydać, powinno jej być zimno od stóp aż po spinki na czubku głowy.

- Chyba kobiety już nie noszą spinek, co? - Miles od tak dawna nie rozpuszczał kobiecie włosów, że stracił rozeznanie.

- Mimo wszystko to zabawne... - powiedział David, wciąż stojąc w drzwiach.

Miles przyglądał mu się absolutnie pewien, że to, co usłyszy za chwilę, wcale nie będzie zabawne.

- Kiedy tak dziś wieczorem siedzieliście tam przy stoliku, wyglądaliście na kochanków bardziej niż kiedykolwiek podczas waszego małżeństwa.

- Zabawne? - powiedział Miles ze smutkiem. - To śmieszne, ale nie zabawne.

Zdał sobie sprawę, że to refren pani Whiting.

David był już na dole schodów, kiedy Miles o czymś sobie przypomniał i pobiegł za nim. Cofał już swojego pikapa z podjazdu na podwórku za restauracją- co było skomplikowanym manewrem jak na człowieka z jedną tylko sprawną ręką - gdy Miles zastukał w okno.

- Posłuchaj - zaczął Miles. - Powiedz od razu, żebym pilnował swego nosa...

- W porządku, powiem - obiecał David.

- Czy ty hodujesz marihuanę nad tym swoim jeziorem?

Jego brat parsknął śmiechem.

- A co, Miles, chciałbyś trochę?

Miles nie rozumiał, dlaczego Davidowi wydało się to tak cholernie śmieszne, ale puścił to mimo uszu.

- Jimmy Minty myśli, że tak, dlatego cię zapytałem.

- Jimmy Minty myśli?

- Na to wygląda.

- Dlaczego tobie to powiedział?

- Określił to jako przyjacielskie ostrzeżenie, po starej znajomości. No, i ja dałem mu do zrozumienia, żeby się odpięrzył. I jeszcze mu powiedziałem, że według mnie to nieprawda.

David skinął głową.

- Jak go spotkasz, to mu podziękuj ode mnie za ostrzeżenie.

Gdy brat zaczął podkręcać szybę z powrotem do góry, Miles zastukał znowu.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy hodujesz tam u siebie marihuanę?

David uśmiechnął się.

- Pilnuj swego nosa.

- Zawsze mówisz o mamie tak, jakbym był jedynym synem, wobec którego miała jakieś plany. Wiesz, że to nieprawda.

David skinął głową.

- Wiem dokładnie, czego pragnęła dla mnie, ponieważ powiedziała mi to przed śmiercią.

Coś w Milesie zwietryło zasadzkę, ale ponieważ zastawił ją jego rodzony brat, gotów był w nią wpaść.

- Co powiedziała?

- „Opiekuj się swoim bratem” - odrzekł David, wycofując samochód.

## 7

I kto się tam przytoczył? - zainteresował się Max Roby.

Siedząc w kącie pubu przy kontuarze, poczuł najpierw przeciąg, a dopiero potem usłyszał głucho trzaśnięcie drzwi frontowych. Ktokolwiek to był, zatrzymał się przy automacie z papierosami, co było obiecującym znakiem. Max odchylił się do tyłu na swoim stołku, usiłując przebić wzrokiem panujący w pomieszczeniu mrok, żeby się przekonać, kto to taki. Odkąd stuknęła

mu siedemdziesiątka, nie miał już tak dobrych oczu jak dawniej. Na szczęście, wciąż był zwinny jak małpa.

- To Horacy Weymouth - odezwała się Bea Majeski zza baru. - I od razu mówię, daj mu spokój, Max.

Bea właśnie się zastanawiała, czy nie powinna już zamykać Callahana. Zbliżała się północ, a jej jedynym klientem był Max Roby, którego tak naprawdę nie można było nazwać klientem, ponieważ wiecznie obracał się w ramach swego studolarowego kredytu. Prawdę powiedziawszy, większość klientów Bei była taka sama. Po południu spłacali dziesięć czy dwadzieścia dolców z długu, a do zamknięcia znowu dopijali do tej swojej setki. Chyba że miała szczęście i któryś z nich wręczył jej dwudziestkę, a zaraz potem spadł ze stołka, ale i tak wiedziała, że wszyscy ci cholerni próżniacy umrą, wisząc jej setkę. Bo nawet taki sztywniak, który oddał jej dwudziestkę, nim urwał mu się film, był jej nadal winien osiemdziesiąt. Właściwie jedyny pieniądz, jaki wciąż jeszcze jako tako zasilął Callahana, spływał z Empire Towers, dotowanego przez państwo osiedla dla ludzi starych, które znajdowało się przecnicę dalej. Pierwszego każdego miesiąca, gdy tylko starszycy otrzymywali swoje czeki, zaczynał napływać stamtąd strumień leśnych dziadków. Przez parę dni z rzędu popijali swoje ulubione słodkie cocktaile z whisky i brandy, jak old-fashioned czy sidecar, ale mniej więcej do dziesiątego cały limit przeznaczony na drinki mieli już wyczerpany i Bea wiedziała, że zobaczy ich dopiero pierwszego następnego miesiąca. Z wyjątkiem Maxa Roby'ego. On także mieszkał w Towers, ale zjawiał się niezależnie od wszystkiego. Przynajmniej dziadki nie wszczyły burd, powtarzała sobie. Ale znowu z wyjątkiem Maxa Roby'ego.

- Dobrze zrobisz - dorzuciła teraz Bea, podejrzewając, że jej poprzednia instrukcja mogła zostać zinterpretowana w nazbyt wąskim zakresie - jak w ogóle wszystkich zostawisz w spokoju.

- Zaproś no go tutaj - zaproponował Max. - Przyda się trochę towarzystwa.

Bea łypnęła na niego groźnie.

- Co ja ci przed chwilą powiedziałam?

- A co to może komu szkodzić? Ja przecież lubię Horacego.

- Ja również - odparła Bea, przyglądając się Horacemu, który pochylał się w przedśionku nad automatem z papierosami, szarpiąc dziko za dźwignie maszyny. Najwyraźniej zrezygnował już ze swojej marki papierosów, skłonny zaakceptować wszystko, co tylko automat zechce łaskawie z siebie wypluć. - I to jest właśnie powód, dla którego cię uprzedzałam, żebyś dał

mu spokój. Człowiek powinien mieć prawo przyjść tutaj bez obawy, że zaraz go zaczniesz naciągać na papierosy i piwo.

Automat w przedsiönku wypluł w końcu jakąś jedną paczkę i Horacy schylił się, żeby wyjąć ją z rynienki. Kiedy znowu się wyprostował i odwrócił w stronę baru, spostrzegł Maxa, który był jedynym klientem i który siedział na ostatnim stołku przy końcu kontuaru. Tam go Bea zawsze sadowiła, ponieważ cuchnął z przepocenia i był upierdliwy jak mało kto. Ten widok spowodował u Horacego lekki moment zatrzymania w jego rozkołysanym chodzie, taką sekundę zawahania, która daje dość czasu, by rozważyć różne wyjścia z sytuacji. Jak choćby opuszczenie lokalu. Inni znani byli z tego, że wypatrzywszy Maxa, odwracali się na pięcie i umykali, ale Horacy całe życie był ofiarą swoich dobrych manier. Jako reporter „Empire Gazette” od ponad trzydziestu lat, miał okazję poznać rodzaj ludzki ze wszystkich stron. Na tej podstawie doszedł do wniosku, że większość ludzi to banda samolubnych, chciwych, pozbawionych zasad, skorumpowanych, bezpowrotnie straconych gnojków, przy czym nieraz miał okazję zaobserwować, że ci sami ludzie bywają niezwykle wrażliwi na krytykę. Max Roby był tu wyjątkiem, ale Horacy i tak nie chciał urazić jego uczuć. Co oznaczało również, że nie mógł, ot tak, klapnąć sobie na stołku na drugim końcu baru. Zresztą ten fortel i tak na nic by się nie zdał, gdyż rozmowa, która by nastąpiła potem, potoczyłaby się dokładnie tym samym torem, z tą tylko różnicą, że Max wykrzykiwałby swoje kwestie na całe gardło.

- Co ci wypluła tym razem? - zagaił Max z niedbałą ciekawością w głosie, kiedy Horacy wsunął się na stołek nieopodal, pozostawiając jedno siedzenie między nimi jako strefę buforową, jakkolwiek niedostateczną. Horacy spróbował wyobrazić sobie sytuację, gdy w pubie zjawiłby się ktoś, kto by zapragnął zapełnić tę właśnie lukę. Musiałby to być ktoś obcy. W dodatku jakiś ślepy obcy. I jeszcze pozbawiony węchu.

- Chesterfieldy - odparł Horacy, rzuciwszy okiem na paczkę, nim położył ją na barze, wraz z dwudziestodolarowym banknotem. Bea nalała mu beczkowego piwa i podsunęła popielniczkę, pozostawiając banknot tam, gdzie był, przynajmniej na razie.

- Tobie też nalać, Max?

- Pewnie - powiedział, pochylając się, żeby sięgnąć po paczkę papierosów, po czym zręcznie odwinął cienki pasek, zsunął celofan, kciukiem podważył wieczko i wysunął dwa papierosy.

Horacy zauważył, że Max wziął sobie dwa, a nie jednego, ale nadal nic nie mówił, dokładnie tak, jak Max się tego spodziewał.



- Tak, nalej też naszemu przyjacielowi - zwrócił się do Bei. - Wygląda na spragnionego.

Bea nie pochwałała wspaniałomyślności Horacego, ale spełniła jego żądanie.

- Pracowałeś dziś do późna? - spytała.

Horacy pokiwał głową. Nie ma co, wieczór miał udany, jak rzadko. Na początek musiał obsłużyć zebranie rady szkoły w Fairhaven - robota, za którą najmniej przepadał; w dodatku dzisiejsze zebranie bardzo prędko zmieniło się z cywilizowanego w niecywilizowane, z gniewnego w zwykłe obrzucanie się wyzwiskami, i o mało nie skończyło się na rękoczynach. Potem, już w drodze do domu, zepsuł mu się samochód, i to akurat na mało uczęszczanej bocznej drodze za miastem, w pobliżu starego wysypiska śmieci. W promieniu mniej więcej mili znajdował się tylko jeden dom i Horacy postanowił dojść tam na piechotę, licząc na to, że będzie mógł skorzystać z telefonu, żeby wezwać pomoc drogową. Ale kiedy już dotarł na miejsce, z tyłu za rozpadającym się, nieoświetlonym domem stał się przypadkowym świadkiem czegoś, co wstrząsnęło nim do szpiku kości, czegoś tak okropnego, że wykraczało to daleko poza zachowania samolubnych, chciwych, pozbawionych zasad, skorumpowanych i bezpowrotnie straconych gnojzków, do jakich był normalnie przyzwyczajony, i co sprawiło, że niezauważony wycofał się z powrotem na drogę, tak jakby to on sam, a nie tamten smutny, budzący litość chłopak był tu winowajcą. Przemaszerował potem prawie trzy mile do miasta, a każdemu jego krokowi towarzyszyło wspomnienie tego, co zobaczył. Dlatego teraz ze szczerym zadowoleniem przyjął towarzystwo, nawet jeśli miało to być towarzystwo Maxa Roby.

- Powinieneś dać sobie wyciąć to dziadostwo - zauważył Max, wskazując na narośl na czole Horacego.

- Co takiego? - odpowiedział Horacy standardowym pytaniem, jakim zwykle odpowiadał na tego typu uwagi, które padały częściej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

- Zawsze się boję, że to coś wybuchnie akurat wtedy, gdy będę z tobą rozmawiał - rzekł Max, wypijając jednym długim haustem od razu pół szklanki piwa. Max nie zamierzał wlać w siebie aż tyle naraz, ale nasiedział się o suchym pysku cholernie długo na tym swoim stolku. Gdy człowiek jest splukany, to bar staje się pustynią, a kurki od piwa migoczą w oddali jak jakaś fatamorgana. A kiedy człowiek wreszcie dotrze do oazy, może sobie tłumaczyć, ile mu się żywnie podoba, że ma nie pić zbyt dużymi łykami, ale ciało, które od tak dawna wysychało na wiór w pustynnych piaskach

pragnienia, ma swoje potrzeby, no i ma swoje własne sposoby. Max mógł być więc tylko zadowolony, że jego ciało nie zażądało od razu całej szklanki, postawionej mu przez Horacego. Teraz sprawa polegała na tym, żeby zachować cierpliwość i dostosować się do tempa człowieka, z którym miał nadzieję pić jeszcze przez pewien czas. Gdyby zaczął popędzać Horacego, osuszając własną szklankę zbyt prędko, ten mógłby poczuć, że się go zanadto naciska i opuścić lokal, a wtedy Max musiałby się znowu obejść smakiem, porzucony na środku pustyni. Horacy miał samochód i w takiej sytuacji mógł po prostu wstać, wyjść stąd i pojechać choćby do Lamplightera, lokalu, gdzie Max nie byłby mile widziany - nawet gdyby miał czym tam dotrzeć, a nie miał, chyba że pomaszerowałby na piechotę albo złapał okazję. Pierwszego ani myślał robić, z drugim nigdy nie miał za wiele szczęścia, co zawdzięczał, jeśli wierzyć słowom jego syna Milesa, swojemu wyglądowi.

Ten brak środka transportu był początkiem Maxowego końca. Trzy lata temu zabrali mu prawo jazdy, po tym jak przejechał psa córki burmistrza, co tylko umocniło go w przekonaniu, że możliwości życiowe człowieka są zdeterminowane wyłącznie przez dwie rzeczy: łut szczęścia i politykę. W mieście, w którym roilo się od parszywych kundli, tylko człowiek z cholerycznym niefartem mógł przejechać czystej rasy foksterierka, który należał do ośmioletniego dzieciaka pana burmistrza. No, bo żadna inna ofiara nie miałaby politycznych uprawnień, żeby wyciągnąć kartotekę Maxa i natychmiast doprowadzić do stwierdzenia, że Max stanowi publiczne zagrożenie. Większy szczęściarz przejechałby sobie jakiegoś bezpiecznego kundla i natychmiast by go obwołali publicznym dobroczyńcą - i jeszcze zaraz by mu dali pracę w towarzystwie humanitarnym, gdzie trzymają takie zwierzaki na wybiegu przez tydzień, dwa, żeby mógł się po nie zgłosić właściciel, a potem wysyłają do uśpienia.

Nie, Max wiedział wszystko o pechu. Wiedział, na przykład, jaki jest zawsze dalszy ciąg pecha: jeszcze większy pech. Nie minął miesiąc, jak stracił prawo jazdy, pewnego wieczoru wyszedł z Callahana tuż przed zamknięciem i zasnąwszy za kierownicą, wjechał do rowu, przez co rama samochodu pękła na dwie połowy. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko pomaszerować z powrotem do Callahana i zgłosić kradzież auta. Tym sposobem znalazł się w sytuacji, w jakiej tkwił po uszy do teraz - człowieka nie tylko bez prawa jazdy, co już samo w sobie było dość uciążliwe, ale na dodatek bez samochodu, co stanowiło duży i skomplikowany problem. Stary człowiek bez czterech kółek jest doprawdy godny politowania. Ludzie mogą w każdej chwili wstać i odjechać, ale ty nie możesz pojechać za nimi, no bo

jak, i oni o tym dobrze wiedzą, i dlatego często tak właśnie postępują z człowiekiem. Poza tym zbliżała się zima. Najwyższy czas, żeby w jakiś sposób dotrzeć do Key West, gdzie nikt nie musi się obawiać, że odmrozi sobie tyłek, i gdzie samochód nie jest potrzebny, ponieważ bary i puby ciągną się tam szeregiem jeden za drugim, a wszyscy ludzie albo spacerują, albo jeżdżą na rowerach.

Max westchnął, spoglądając na swoją, pustą już teraz, szklankę i rozmyślając nad niesprawiedliwością tego wszystkiego.

- Ile by cię kosztowało usunięcie tego dziadostwa? - zaczął się zastanawiać na głos, dotykając własnego czoła w miejscu, gdzie brodawka, gdyby miał taką samą, byłaby zlokalizowana. Horacy siedział sobie, ściskając w garści swoje piwo, co Maxa rozeźliło jeszcze bardziej. - Ze dwie setki?

Horacy wzruszył ramionami, wymieniając znaczące spojrzenie z Bea, która już się szykowała, żeby Maxa wyrzucić za drzwi; było to po niej widać.

- Trudno powiedzieć.

Max powstrzymał cierpki śmiech.

- Dlaczego? Nigdy nie próbowałeś się tym zająć?

- Nie złożyło się.

- Ja na pewno bym to zrobił - powiedział Max. - Gdyby taki skurwiel wyrósł na środku mojego czoła, zająłbym się nim w te pędy, ekspresowo.

- Podejrzewam, że to może być źródło mojej inteligencji - odpowiedział mu Horacy, mrugając do Bei. - A co będzie, jak pozwolę to komuś wyciąć, a potem się okaże, że to była wylęgarnia moich najlepszych pomysłów?

- O to Max nie musiałby się martwić - wtrąciła Bea. - On i tak nie ma za grosz rozumu.

Max potraktował tę obelgę w taki sposób, jak traktował wszystkie podobne obelgi, po prostu podsunął szklankę do ponownego napełnienia. Wiedział z doświadczenia, że jak cię ludzie obrażą, to potem przeważnie czują się winni. Zaraz przychodzi im do głowy, że może cię nie docenili. Wtedy zaczynają się zastanawiać, co mogliby zrobić, żeby ci to wynagrodzić. Ten impuls jednak nigdy nie trwa długo, dlatego należało błyskawicznie wykorzystać swoją przewagę. Max przez cały wieczór stwarzał Bei okazję za okazją, żeby go obrażała, ale ona aż do tej chwili skutecznie mu się opierała, co oznaczało, że nie czuła, by była mu coś winna i jego szklanka pozostawała pusta. Teraz jednak nie miała innego wyboru, jak tylko ją napełnić i podsunąć, acz niechętnie, z powrotem pod jego nos. Tym razem odpił tylko

jedną trzecią, dzięki czemu zrównał krok z Horacym i znalazł się dokładnie tam, gdzie chciał.

- Byłeś kiedyś na Florydzie? - spytał Max.

- Tylko raz - przyznał Horacy. - W czasach, kiedy jeszcze byłem żonaty.

- Założę się, że było to, zanim to coś zaczęło ci rosnąć na czole - powiedział Max, gwałtownie zeskakując ze stołka. - Muszę iść się wysikać.

Gdy drzwi do męskiej ubikacji zamknęły się za nim, Bea westchnęła.

- Chcesz, żebym się pozbyła tego dupka?

Na razie jeszcze go stąd nie pogoniła tylko dlatego, że tak bardzo lubiła jego syna, Milesa, który był chyba najmilszym i najsmutniejszym człowiekiem w całym Empire Falls, człowiekiem tak dobrym, że nawet małżeństwo z jej córką Janine nie zdołało tego w nim zniszczyć. Gdzie Janine miała rozum, żeby zamienić takiego Milesa na tego małego zadziornego kogucika, Walta Comeau. Przekraczało to granice wyobraźni. A przynajmniej granice wyobraźni Bei. To prawda, o Milesie nie można powiedzieć, że jest seksowny, nigdy zresztą nie był. Chyba że dla kogoś takiego jak Bea, dla której seksowne były dobroć i łagodność. Zgoda, jest taki rodzaj facetów, z którymi kobieta chce iść zaraz do łóżka, którzy rozpalają do białego i spędzają sen z powiek, ale są też inni, tacy jak Miles, dla których aż się chce zrobić coś miłego, i to tylko dlatego, że są przyzwoici i na to zasługują, i jeszcze kobieta wie, że oni by ten gest docenili, i na pewno nigdy by jej nie wytykali, że może nie jesteś jakąś cholerną pięknoscią. Bea próbowała to kiedyś wytłumaczyć swojej córce, ale Janine kompletnie nic nie zrozumiała, tylko zaraz odwróciła kota ogonem.

- Po co komu takie litościwe pieprzenie - skwitowała, a Bea nie zamierzała się z nią kłócić, ponieważ akurat wtedy jej córka zaczęła uważać się za autorytet we wszystkich sprawach dotyczących seksu. Szczerze mówiąc, ten temat męczył ją, zwłaszcza odkąd sama szczęśliwie miała już tę część życia za sobą. Pożegnanie z seksem było dla niej niczym ozdrowienie z jakiejś gorączki tropikalnej, niczym przebudzenie z delirium w świecie chłodnej kanadyjskiej bryzy. Chłop z wozu, babie łżej, i chwała Bogu.

Miles jednak był tego rodzaju facetem, którego można było kochać bez obawy, że utraci się resztki szacunku dla samej siebie, czego nie można powiedzieć o innych, a już na pewno nie o Walterze Comeau.

- A tam, zostaw go, niech sobie będzie - powiedział Horacy. - Max tylko gada, co mu ślina na język przyniesie. Bardziej mnie niepokoją ludzie, którzy zawsze długo się zastanawiają, nim powiedzą jedno słowo.

- To zwykły dupek, ot co.
- Jasne, że tak, to też - przyznał Horacy, kiedy drzwi od męskiej toalety otworzyły się znowu, zapowiadając powrót Maxa. Wydawało się trochę mało prawdopodobne, żeby mężczyzna mógł się tak szybko załatwić, dlatego oboje przyglądali mu się ciekawie, jak zwawo sadowił się z powrotem na swoim miejscu. Przód jego spodni nosił ślady ubikacyjnego pośpiechu.
- Jezu - powiedziała Bea, potrząsając głową z niesmakiem. - Ależ z ciebie obrzydliwy, obleśny staruch. Kończąc, mógłbyś przynajmniej strząsnąć ostatnią kapkę, co?
- Byłeś kiedyś w Key West? - spytał Max Horacego, całkowicie ignorując Beę.
- Nigdy.
- A gdzie byłeś na Florydzie?
- W Orlando.
- Spodobałoby ci się w Key West - zapewnił go Max. - Hemingway tam mieszkał.

Horacy pociągnął łyk piwa, a potem obserwował, jak Max zrobił to samo. Wzmianka o Hemingwayu, wypowiedziana akurat przez tego starego człowieka, wydała mu się interesująca.

- Hemingway?
- Zgadza się - powiedział Max z zadowoleniem, widząc, że przynęta chwyciła. Wiedział, że Horacy pisuje dla gazety i że może go zaintrygować osoba innego pisarza, podobnie jak normalnego człowieka interesuje piwo czy piękna pogoda. - To był dopiero facet.
- Spotkałeś go?
- Wszystko tam nosi jego imię. Hemingway to, Papa tamto. Bo jego kumple mówili na niego „Papa”, wiedziałeś o tym?
- Ja pytałem o co innego. Czy go kiedyś spotkałeś?
- Kto to wie?

Horacy nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Co przez to rozumiesz?
- Właśnie to: kto to może, do cholery, wiedzieć? Wypiłem tam mnóstwo piwka przez te wszystkie lata. A on któregoś wieczoru mógł zwyczajnie siedzieć gdzieś na stołku koło mnie. Nawet nie musiałem o tym wiedzieć, nie?
- Założę się, że między wami był przynajmniej jeszcze jeden stołek - rzekła Bea.
- Kiedy zacząłeś tam jeździć? - spytał Horacy.

- W zimie sześćdziesiątego dziewiątego.
- A więc nie siedziałeś obok Hemingwaya - stwierdził Horacy. - Zabił się w sześćdziesiątym pierwszym.

Max usiłował sobie przypomnieć, czy kiedyś już o tym słyszał. Był prawie pewien, że wiedział o śmierci Hemingwaya. Kiedyś dostał się do domu pisarza, dołączając do grupy turystów - kiedy to mogło być, ze dwadzieścia lat temu? - i wydawało mu się, że chyba już wtedy padła jakaś wzmianka o tym, że Hemingway nie żyje. W każdym razie nie było go w domu. Na Maxie największe wrażenie zrobiła gromada kotów, z których większość miała takie dodatkowe pazury na przednich łapach, które wyglądały jak coś w rodzaju kciuków. Wcale nie uważał, żeby taki koci kciuk był jakoś szczególnie atrakcyjny, chociaż podejrzewał, że te stare kocury mogłyby unieść szklankę piwa, zupełnie jak człowiek, obejmując ją tym piekielnym kciukiem. Zgodnie z tym, co mówił przewodnik, koty wielkiego pisarza były tam bardzo czczone; w każdym razie one tam rządziły. I to właśnie w Key West podobało się Maxowi najbardziej, że ludzie tolerowali tam dosłownie wszystko, nie wyłączając samego Maxa i jego starości, którą tak wyśmiewano na Północy, a tam traktowano jako rzecz naturalną, więcej, jako stan, który nie ominie nikogo. W Key West ludzie często brali Maxa za jednego z miejscowych - których nazywa się tam „Conchs” - a turyści zwiedzeni jego wyglądem chętnie stawiali mu drinki. Podejrzewał, że taki Hemingway, jako sławny człowiek, nigdy nie musiał sam płacić za swoje drinki. To nasunęło mu na myśl kolejne interesujące pytanie.

- Popęnił samobójstwo, powiadasz? A niby po co miałby to robić?
- Pewnie obudził się pewnego ranka i poczuł bezsens tego wszystkiego - próbował zgadnąć Horacy.

- Jak to bezsens?

Horacy spojrział na swego rozmówcę.

- Nie słyszałeś o tym, że ludzie czasem dochodzą do takiego wniosku na temat swojego życia? Do diabła, nie tak znowu dawno temu, tu u nas, w Empire Falls, najbogatszy człowiek w całym środkowym Maine strzelił sobie w łeb.

Znaczy C. B. Whiting, jego miał na myśli. Charlesa Beaumonta. Charliego.

- Dwadzieścia trzy lata temu, w marcu - powiedział Max i w tej samej chwili poczuł, że Horacy i Bea przyglądają mu się uważnie.
- Skąd, na Boga, możesz o tym wiedzieć? - spytała Bea.

Max wzruszył ramionami, jakby chciał zauważyć, że ludzie mają prawo wiedzieć, co im się żywnie podoba, ostatecznie to wolny kraj. W każdym razie, zdaniem Maxa, w samobójstwie C. B. Whitinga jako takim nie było nic dziwnego, a rozmyślał o tym wiele w ciągu minionych dwóch dekad z okładem. Nie, dziwne natomiast było co innego, że Whiting zużył tyle czasu i zadał sobie tyle trudu, żeby przebyć taki szmat drogi i wrócić do Empire Falls, skoro mógł się zastrzelić w Meksyku, gdzie w owym czasie mieszkał. Sącząc resztki piwa, Max dopuszczał jednak i taką możliwość, że człowiek, który postanowił strzelić sobie w głowę, prawdopodobnie od samego początku nie myślał zbyt jasno.

Jego szklanka znowu była pusta. Max zerknął na szklankę sąsiada, która nadal była do połowy pełna. Max podejrzewał, że mógłby spróbować jeszcze raz swoją podsunąć Bei do napełnienia, ale dobrze wiedział, że to mu nie wyjdzie na zdrowie. Z Beą sprawy miały się tak, że jako zadośćuczynienie za obrazę można było liczyć tylko na jedno piwo na wieczór, potem obrażała człowieka już za darmo. I kto tu mówi o bezsensie.

- Powinniśmy kiedyś wybrać się tam razem, ty i ja - zaproponował Horacemu. - Babki chodzą na wpół nago. I nie przeszkadza im, kiedy się na nie gapisz. Jest tam taki jeden bar, gdzie dziewczyny zdejmują staniki i majtki i przybijają je do sufitu. Powinieneś to zobaczyć. Ja jestem wolny, możemy jechać w każdej chwili.

- Nie sędzę - rzekł Horacy, przesuwając dwudziestkę w stronę Bei i dając znak Maxowi, że jeśli o niego chodzi, dziś wieczorem poprzestanie na jednym piwie. - Mógłbym dostać depresji. Jeszcze bym sobie strzelił w głowę.

Max, który dostrzegł jego gest, był głęboko zawiedziony. Jak również zirytowany.

- Spróbuj się pozbyć tego dziadostwa z czoła - poradził. - Wyobrażasz sobie, jakiego bałaganu mogłoby takie coś narobić?

Po wyjściu Horacego Max wysączył ostatnie krople piwa ze szklanki swego towarzysza, a następnie, zły sam na siebie za folgowanie ponurym myślom, zajął się rozwiązywaniem problemu, kogo mógłby naciągnąć, żeby mu towarzyszył na południe. Idealny kandydat powinien posiadać samochód i nie oczekiwać od Maxa za wiele w kwestii ponoszenia kosztów za benzynę. Gdy już dotrą na Florydę, sprawy jakoś się ułożą. Wynajmie sobie jakieś lokum, a potem namówi kogoś w Empire Towers, żeby każdego miesiąca na pierwszego wysyłał mu jego czek z opieki. Trochę niepokoiło Maxa, że w Key West pieniądze tak szybko wyparowują. Podejrzewał, że to wszystko

przez słońce, które tam świeciło przez cały czas, sprawiając, że człowiek się pocił, a wiadomo, że nadmierna potliwość wywołuje nadmierne pragnienie. Poza tym piwo na Florydzie jest droższe, chociaż Maxowi znacznie bardziej smakowało, bo serwowano je z plasterkiem świeżej limonki, zwiniętym w rulonik i wetkniętym wprost do szyjki zroszonej butelki. Jak człowiek nie dość uważał, mógł przepić od razu do dna cały czek z Opieki Społecznej, nie doczekawszy połowy miesiąca, i potem musiałby chodzić jak proszalny dziad aż do pierwszego.

Jak z tego wynikało, Maxowi trzeba było dobrej, pocziwej duszy - kogoś z niewielką forszą, kto miałby ochotę miło spędzić czas, tyle że sam nie bardzo by wiedział jak. Im głębiej Max się nad tym zastanawiał, tym bardziej dochodził do wniosku, że Horacy, którego początkowo obsadził w tej roli, nie był odpowiednim kandydatem. I dobrze się stało, że się nie zapalił do pomysłu. Max nie wyobrażał sobie, jakby to było, gdyby musiał się każdemu tłumaczyć z tego cholernego syfa na czole kumpla, gdziekolwiek by poszli. Kobiety, zwłaszcza kobiety, zaraz by chciały poznać szczegółową historię tego dorodnego purpurowego dziadostwa, a przynajmniej dość szczegółów, by mieć pewność, że to nie jest zaraźliwe.

Jeszcze dziesięć lat temu było mnóstwo ludzi, których Max mógłby namówić na taką eskapadę, ale ostatnie lata zebrały obfite żniwo. Wielu z najlepszych kumpli Maxa już nie żyło, inni byli w domach starców, a jeszcze inni strasznie stetryczeli i nie mieli już tego ducha, czego Max zwyczajnie nie pojmował; jemu właśnie stuknęła siedemdziesiątka, a czuł się, jakby miał lat piętnaście i całe życie przed sobą.

Ciekawą towarzyszką podróży mogłaby się okazać kobieta, ale tutaj znowu to samo, dziesięć lat temu nie musiałby szukać daleko. W takim mieście jak Empire Falls zawsze znalazła się czyjaś żona, chętna i gotowa do tego, żeby wyrwać się z klatki, wystarczyło tylko umiejętnie do niej zagadać, ale teraz Max przyłapał się na tym, że zastanawia się, gdzie, u diabła, podziały się wszystkie porządne kobiety. Większość starych uciekła w religię, a młodsze mogły sobie pozwolić na kogoś lepszego niż Max Roby i jeszcze dałyby mu to wyraźnie do zrozumienia, na wypadek gdyby miał jakieś wątpliwości. Co może nawet dobrze się składało. Kobiety, mówiąc w ogólności, mają zawsze strasznie dużo potrzeb. Muszą mieszkać w ładnych miejscach, co pięć minut chce im się siusiu i jeszcze we wszystkim muszą być zawsze na czasie, oczywiście na nasz koszt. Ale kompletnie nie rozumieją, co to problemy finansowe, na przykład, że pieniądze się skończyły. Poza tym



jest jeszcze aspekt filozoficzny tego zagadnienia, po co w ogóle je gdzieś ciągnąć, skoro po przyjeździe na miejsce człowiek stwierdza, że tam jest już i tak kobiet pod dostatkiem. Jak się dobrze zastanowić, to tak jakby wozić drewno do lasu. Max lubił kobiety w Key West. Od razu było widać, że nie są marzycielkami, ponieważ życie zrobiło z nich realistki. Poza tym w lot chwytają, jak to jest, że mężczyźni tacy jak Max kończą tak, jak mężczyźni tacy jak Max, i człowiekowi tego nie wymawiają.

- Obudź się, Max. - Bea wyrwała go z zamyślenia. Przez sekundę zastanawiał się, czy przypadkiem nie podsłuchiwała jego myśli. W telewizorze nad barem ze zdziwieniem zobaczył, że mecz już się skończył i teraz leżą komentarze w studio sportowym. Soxi po raz kolejny przegrali. - Zbieraj się do domu - powiedziała Bea.

- Która godzina? - spytał Max, zerkając na zegar umieszczony nad barem. Jeśli było coś, czego szczerze nienawidził, to były to bary, które wcześniej zamykano.

- Pierwsza - powiedziała Bea. - Przespałeś tu dobrą godzinę.

- Wcale nie spałem, tylko myślałem - sprostował Max.

- Ach, tak? Rozumiem, wobec tego jesteś jedynym mężczyzną, jakiego znam, który chrapie, kiedy myśli. - Wyłączyła telewizor, pozostawiając Maxowi tylko tyle światła, by mógł trafić do drzwi. - Za szybko wypiliśmy te dwa ostatnie piwa, staruszku. Nieźle cię podcięły.

- Wypiłem je całkiem jak należy - zapewnił ją. Zdaniem Maxa, był tylko jeden zły sposób picia piwa, a był to sposób, w jaki uczynił to Horacy, pozwalając, by zrobiło się ciepłe, a potem zostawiając niedopitą resztkę na dnie. Max zostawiał piwo tylko w jednym miejscu - w kiblu.

- Muszę iść się odlać - mruknął, kierując się w stronę męskiej toalety.

- Zrobisz to w domu - powiedziała Bea, popychając go w stronę drzwi; naprawdę była z niej twarda kobieta, w dodatku bez serca. - Mieszkasz nie-daleko.

Może i prawda, ale dla kogoś niedaleko, a dla niego daleko. Budynki Empire Towers stały w głębi, spory kawałek od ulicy. Kawalerka Maxa znajdowała się na szóstym piętrze, a winda była strasznie wolna; wiedział z doświadczenia, że kiedy sprawa jest naprawdę bardzo pilna, czasem z nerwów nie może trafić od razu kluczem do dziurki.

Na szczęście uliczka, przy której znajdował się Callahan's, była pusta, i Max umiejętnie wykorzystał ceglany mur pubu do swoich potrzeb. Kiedy skończył, poczuł w sobie taki napływ energii, że nagle odechciało mu się wracać do domu. W powietrzu wisiała delikatna mgła i Max doszedł do

wniosku, że była to piękna pora na przechadzkę, ruszył więc spacerkiem przez uśpione miasto. Wszystko było już pozamykane w Empire Falls, nie natknął się na żaden samochód ani na żadnego przechodnia przez całą drogę aż do cmentarza, gdzie odnalazł bez trudu, nawet po ciemku, grób swojej żony. Stał nad nim bez ruchu tak długo, że ktoś przechodzący po drugiej stronie wysokiego żeliwnego ogrodzenia mógłby z łatwością wziąć go za posąg cmentarny. Stopniowo mgła przeszła w deszcz, a mimo to stary człowiek, bez kapelusza, trwał u stóp kamienia z napisem „Grace Roby”, nagrobka, który jego synowie umieścili tam, kiedy umarła, gdy tymczasem Max przebywał w Keys na Florydzie, w towarzystwie zupełnie innej kobiety, kobiety, jaką powinien był sobie wybrać od samego początku. Dziwne, ale teraz czuł się w towarzystwie Grace tak spokojny i zadowolony, jak nigdy nie był za jej życia, gdy była tak pełna marzeń i nadziei, że nie mógł na nią patrzeć bez bólu. Max przysnął chwilę na stojąco, po czym przebudził się z uczuciem świeżości, mimo że przemókł do suchej nitki. Poza tym znowu chciało mu się załatwić, którą to konieczność oznajmił na głos swojej żonie oraz jej pogrążonym w cichym śnie sąsiadom. Jednym z nich był Charles Beaumont Whiting, który, podobnie jak wielki Hemingway (jeśli można było wierzyć Horacemu), musiał zapewne obudzić się pewnego ranka z uczuciem, że jego egzystencja nie ma sensu, uczuciem, którego Max chyba nigdy nie potrafiłby zrozumieć. Życie to były różne rzeczy, nie wyłączając okresowych rozczarowań i zawiedzionych nadziei, ale mimo wszystko.

U szczytu grobu, gdzie C. B. Whiting został pochowany, wdowa po nim ustawiła ciężki pomnik, żeby mieć gwarancję, że jej mąż pozostanie tam, gdzie jest. Max przystanął przy tym pomniku, odpiął rozporek i pomyślał refleksyjnie, że takie porządne, długie, oczyszczające duszę sikanie jest czymś, do czego niewielu facetów w jego wieku jest jeszcze zdolnych. Ledwie stuknie im siedemdziesiątka, a zaraz zaczynają ciurkać powolutku, po kropelce, jak nieszczelne krany. Ale nie Max, którego prostatę należałoby zapisać w darze na rzecz nauki.

- Mam nadzieję, dobry człowieku, że chce ci się pić - powiedział staremu Charliemu, zanim zaczął.

Dopiero kiedy skończył, spojrzął w górę, gdzie na szczycie pomnika spostrzegł przycupniętego kamiennego kota. Dziwne, że nie zauważył go nigdy przedtem, kiedy składał podobne hołdy C. B. Whitingowi, a czynił to wielokrotnie. Zwierzę wyglądało jak żywe do tego stopnia, że Max trochę się przestraszył, a przeląkłby się o wiele bardziej, gdyby przyjrzał mu się bliżej i stwierdził - że kot oddycha.

Tego lata, kiedy Miles skończył dziewięć lat, grał na drugiej bazie dla Empire Paper Giants. Jako jeden z najmłodszych chłopców w drużynie większość sezonu spędzał na ławce rezerwowych, obserwując starszych kolegów, tych najodważniejszych, którzy potrafili wytrzymać każdą *ground ball*, niezależnie od tego, jak mocno piłka została wybita i jak mocno nią oberwali. Trener LaSalle nie wystawiał go nigdy wcześniej niż w którejs z ostatnich zmian, kiedy mecz był już praktycznie wygrany albo przegrany - za co Miles był mu wdzięczny, tak bardzo przerażało go, że drużyna mogłaby przegrać z jego powodu. A kiedy wreszcie wchodził do gry i chłopcy z przeciwnej drużyny widzieli, jak kręci się niespokojnie wokół drugiej bazy z tą swoją zbyt obszerną rękawicą i wystraszonym wyrazem twarzy, posyłali mu piłkę lewą ręką z obrotu, wiedząc doskonale, że praktycznie każda wybita w jego kierunku *ground ball* będzie równała się trafieniu w niego.

Wszystko jednak zmieniło się w ostatnim tygodniu lipca, kiedy Milesowi jakimś cudem udało się złapać narzuconą piłkę. Właściwie było tak, że stał na swojej pozycji, rozmyślając o niebieskich migdałach, gdy nagle usłyszał uderzenie kija i piłka nadlatywała w jego kierunku z taką prędkością, że zwyczajnie nie zdążył uskoczyć z miejsca, jak to miał w zwyczaju. Piłka uderzyła prosto w jego nastawioną rękawicę tak mocno, że dosłownie się w nią wbiła, a Milesa zakręciło wokół własnej osi i posłało na trawę, gdzie wylądował na siedzeniu. Szczęśliwie dla wszystkich rękawica nie spadła mu z dłoni, a piłka nie wypadła z rękawicy.

- Patrzcie, a to się trafiło ślepej kurze ziarno - usłyszał od trenera LaSalle, kiedy zbiegł z boiska, ale w jego głosie brzmiała nie tyle złośliwość, ile raczej zadowolenie. Gratulacje i poklepywanie po ramieniu ze strony kolegów z drużyny napełniło serce Milesa dumą. Aczkolwiek do tego momentu baseball był dla niego nieustającym źródłem upokorzeń, Miles zawsze szczerze uwielbiał ten sport i teraz niezmiernie mu się spodobała myśl, że mógłby być dla drużyny mocnym punktem, a nie jak dotąd ciężarem. Skoro złapał jedną piłkę przez pomyłkę, nie widział powodu, dla którego nie mógłby zacząć jej łapać celowo.

Gdy więc matka oznajmiła, że wyjeżdżają na tydzień wakacji, Miles zgodził się, ale tylko pod warunkiem, że będzie mógł zabrać ze sobą swoją rękawicę. Grace tłumaczyła mu wprawdzie, że na Martha's Vineyard na pewno nie będzie miejsca, żeby grać, ale on się uparł, że chce codziennie ćwiczyć, nawet jeśli to miało polegać tylko na samotnym rzucaniu piłek na plaży. Poza tym matka przyznała, że sama tam jeszcze nigdy nie była, dlatego

Miles żywił cichą nadzieję, że będą zaskoczeni tym, co tam zastaną. Myślał sobie, że skoro wyspa jest pełna bogatych ludzi, jak to matka sama twierdziła, równie dobrze wszędzie mogły być boiska do baseballu, i to tyle boisk, że na pewno starczy miejsca dla każdego, kto miałby ochotę pograć. A kto wie, może były tam i ligi baseballowe, zorganizowane dla chłopców takich jak on, których wyciągnięto z domu wbrew ich woli, w najgorszym z możliwych momentów, na pochopnie zorganizowane wakacje.

Jak się jednak okazało, matka miała rację, co Miles mógł stwierdzić już z pokładu promu, kiedy wpływali do portu Vineyard. Ale było jasne, że matka także nie bardzo wiedziała, czego tak naprawdę mogą się tam spodziewać, ponieważ kiedy przybili do brzegu i przyjrzała się bliżej tłumom elegancko ubranych ludzi w drogich samochodach, którymi przyjechali do portu, żeby powitać wpływający prom, Miles zauważył, jak ukradkiem zakryła usta dłonią, tak jak to zawsze robiła, gdy się czegoś przestraszyła albo zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Faktycznie, minę miała taką, jakby chciała zostać tu, gdzie stała, przy relingu na pokładzie, i w ogóle nie zsiadać na ląd, tylko od razu wrócić tym samym promem do domu. Miles pierwszy spostrzegł na nabrzeżu w dole mężczyznę, który machał ręką albo do nich, albo do kogoś stojącego tuż obok. Miles nigdy przedtem go nie widział, ale kiedy wskazał go palcem, matka pomachała mu w odpowiedzi.

- Jak pan nas rozpoznał? - spytała, gdy mężczyzna, który przedstawił się jako Miller, podszedł do nich u zejścia z trapu.

- Ten tutaj młody człowiek był dla mnie najlepszą wskazówką - rzekł pan Miller, uśmiechając się do niego. - Baseballista, co?

Teraz z kolei Miles zaczął spoglądać na rozmówcę z podziwem za jego przenikliwość - dopóki sobie nie przypomniał, że ma na ręku swoją rękawicę, którą zmiękczyło morskie powietrze, na niższym deku przesycone wodą i solą. Po raz pierwszy, odkąd ojciec podarował mu tę rękawicę, Miles mógł ją zgiąć jedną ręką.

- Jesteśmy bardzo wdzięczni za to, że zechciał pan zrobić dla nas wyjątek - powiedziała matka, kiedy pan Miller zdejmował ich walizki z wózków bagażowych, wyjeżdżających z ładowni statku. Co ciekawe, pan Miller wiedział bez pytania, które walizki należą do nich, i Miles zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest tak dlatego, że są bardziej zniszczone od innych.

- Wiem, że normalnie nie przyjmujecie państwo dzieci - powiedziała matka.

- No, cóż - odparł pan Miller, ładując ich walizy do samochodu dostawczego, który zostawił na gazie. - Ma pani przyjaciół w wysokich kręgach. -

A zaraz potem prędko dodał: - Poza tym ten młody człowiek i tak jest już prawie dorosły, nie mam racji?

Jak się okazało, mieli zamieszkać po drugiej stronie wyspy, nieopodal osady rybackiej, a kiedy pan Miller skręcił z głównej drogi i wjechał na długi wąski podjazd prowadzący do hotelu Summer House, który wznosił się na szczycie stromego urwiska z widokiem na ocean, w oczach matki znowu pojawił się przestrach, jaki Miles dostrzegł u niej na promie, i przez moment obawiał się, że może jednak matka każe panu Millerowi zawrócić i zawieźć ich z powrotem do portu.

Oprócz głównego budynku hotelowego znajdowało się tam jeszcze z tuzin letnich domków, które, jak wyjaśnił im pan Miller, nieraz wynajmowane były przez rozmaitych artystów i gwiazdy filmowe. Ten, który mieli zająć Miles z matką, był usytuowany nieco z dala od pozostałych, a jedną z jego ścian porastał krzew pnącej róży. Milesowi spodobał się najbardziej ze wszystkich domków, ponieważ stał najbliżej ścieżki, prowadzącej w dół zbocza i dalej przez wydmy aż na plażę. Ostrzeżono ich, by nie zbaczali z wytyczonej drogi, ze względu na rosnące w okolicy sumaki jadowite.

Grace najbardziej podobało się, że wczesnym rankiem, gdy wiatr zmienił kierunek, budził ich odgłos uderzającej o brzeg fali. Miles wiedział, że do wody jest dość daleko, ale fale rozbijały się z takim hukiem, że co rano wyskakiwał z łóżka i biegł do frontowego okna, żeby się upewnić, że przez noc ziemia nie osunęła się pod ich naporem. Mógłby przysiąc, że ujrzy spienione fale tuż pod progiem.

Jadalnię hotelową omijali z daleka, gdyż Grace wystarczył jeden rzut oka, gdy meldowali się w recepcji, by stwierdzić, że będzie tam bardzo drogo, nie mówiąc już o tym, że nie miałyby się w co ubrać. Niewielka kuchenka w ich domku była wyposażona w małą lodówkę, a Grace kupiła w wiosce paczkę płatków kukurydzianych i kwartę mleka na śniadanie. Codziennie o dziesiątej rano ktoś z obsługi hotelowej zjawiał się z wiklinowym koszykiem pełnym kanapek, owoców i soków, które zabierali na plażę. Jedynie tam, pośród wydym, matka czuła się naprawdę swobodnie i przyjemnie spędzała czas.

W wieku trzydziestu lat Grace była atrakcyjną kobietą i nawet kiedy pojawiała się w towarzystwie dziesięcioletniego chłopca, wielu panów spośród gości hotelowych spoglądało na nią z nieskrywanym podziwem, czym zwracali uwagę swoich żon. Jeden zatrzymał się kiedyś przy ich kocu, by się przedstawić, a potem spytał, dlaczego nie widuje ich wieczorami w jadalni hotelowej, i nawet zaproponował, że chętnie zaprosiłby Grace któregoś popołudnia na cocktail, jeśli tylko miała na to ochotę, a jej młody towarzysz znalazłby sobie jakąś rozrywkę na ten czas. Grace udała, że rozważa

jego propozycję, wsparłszy brodę na lewej dłoni, tak że obrączka ślubna połyskiwała w promieniach słonecznych, aż w końcu pan wzruszył ramionami, mówiąc: „No cóż, nie można winić faceta za to, że próbował”. Ona zaś nie śpieszyła się z wyrażeniem swojej opinii na ten temat.

Wieczorami wracali do domku, gdzie pod prysznicem splukiwali piasek i sól ze skóry wciąż nagrzonej od słońca, a potem zakładali szorty, bluzki i sandały i wędrowali polną drogą do wioski na kolację w najtańszej knajpce, jaką udało im się znaleźć, która nazywała się Thirsty Whale - Spragniony Wieloryb - i specjalizowała się w potrawach na wynos, ale również serwowała jedzenie na niewielkim tarasie pod plażowymi parasolami. Kelnerka, studentka z college'u, zapałała do Milesa wielką sympatią i uczyła go, jak się je małże, które podawano tam w drucianych koszykach, wraz z dwoma dodatkowymi naczyniami. W jednym był gorący wywar z tychże mięczaków, ale ten, jak mu tłumaczyła, służył tylko do wypłukania z nich piasku. Drugie naczynie zawierało sklarowane masło, w którym się je maczało. Towarzystwa temu wszystkiemu duża miska krakersów. Były drogie, ale Grace powiedziała, że to nic nie szkodzi, i Miles zamawiał je codziennie, z wielkim apetytem pałaszując swoje małże z drucianego koszyka.

Wczesnym wieczorem, kiedy zasiadali do jedzenia, zwykle słońce jeszcze mocno przygrzewało, ale pod koniec posiłku pojawiała się już chłodna bryza, która kołysała parasolem rozpiętym nad ich głowami. Miles, z brzuchem pełnym skorupiaków wykąpanych w roztopionym maśle, czuł, jak ogarnia go cudowna senność, a wtedy droga powrotna do hotelu wydawała mu się niemożliwie długa. Nieliczne sklepy w wiosce były zwykle otwarte do późna i któregoś wieczoru Grace weszła do jednego z nich, żeby przymierzyć letnią sukienkę z wystawy. Zanim znalazła odpowiedni rozmiar i zdecydowała się na zakup, Miles prawie zasnął na krześle przy drzwiach. Drogę ze wsi do domku musieli przejść już w absolutnych ciemnościach i kiedy tak maszerowali, Miles zadał pytanie, które się w nim zrodziło, może podczas drzemki, nie wiadomo skąd.

- Mamo - spytał - czy my na kogoś czekamy?

Matka zatrzymała się i Miles poczuł jej spojrzenie poprzez mrok.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

Może dlatego, że nie było nikogo innego, Miles pomyślał, iż osobą, na którą zapewne czekają, musi być ojciec, chociaż matka strasznie się pokłóciła z Maxem na tydzień przed tym, jak niespodziewanie oznajmiła, że wybierają się na Martha's Vineyard. Prawdę powiedziawszy, po tej awanturze Miles nie zobaczył już ojca przed ich wyjazdem z Empire Falls, ale z drugiej strony

nie było to nic nadzwyczajnego. Po takich kłótniach Max często znikał bez słowa, może wyobrażając sobie, że jego nieobecność będzie dla Grace nauczką. Czasami, wprawdzie częściej zimą niż latem, znikał na całe miesiące. Wyruszał wtedy na południe, do Key West na Florydzie, gdzie było cieplej, a on mógł złapać jakąś sezonową robotę, albo przy malowaniu domów, albo zaciągając się jako załogant na szkunery, które zabierały turystów na morskie wycieczki o zachodzie słońca. Nigdy nie przysyłał stamtąd pieniędzy do domu, nie uważał też, by porzucać żonę i dziecko. Jego zdaniem dzięki tym wyjazdom Grace miała o jedną głębę mniej do wyżywienia, a co ważniejsze, żadnych rachunków w barach czy pubach, które musiałaby regulować ze swoich zarobków w fabryce. A to już nie miało nic wspólnego z porzucaniem rodziny, było raczej czymś w rodzaju niespodziewanej przysługi, czego nigdy nie omieszkła jej wypomnieć, ilekroć nasza ją ochota, żeby użalić się nad swoją krzywdą.

Oczywiście Max znikał również latem. Najlepsze perspektywy pracy dla malarzy były na wybrzeżu, w takich miejscach jak Camden, Blue Hill czy Castine, gdzie bogaci ludzie z Massachusetts mieli swoje letnie domy i dość pieniędzy, by odmalowywać ściany przy pierwszym odpadającym płatku farby. A jeszcze lepsze było to, że ludzie ci, nie będąc z tych okolic, niekoniecznie musieli wiedzieć o awersji Maxa do skrobania - a w istocie do wszelkich co bardziej czasochłonnych aspektów każdego zadania. Były też większe szanse, że się połapią, iż pomalował im okna, nawet ich nie otworzywszy, gdy jego samego dawno tam nie było. Kiedy więc odkrywano jego fuszerkę w Boothbay, on już w tym czasie malował zamknięte okna komuś w Bar Harbor. Zwolnić takiego nieodpowiedzialnego malarza w sezonie na wybrzeżu Maine było sprawą niezmiernie trudną, ponieważ istniało spore prawdopodobieństwo, że zastąpi go jeszcze większy partacz. W lipcu i sierpniu ubodzy mieszkańcy stanu Maine mieli znaczną przewagę nad bogatymi, co było powodem, dla którego owe dwa miesiące były szczególnie satysfakcjonujące dla Maxa Roby.

Dlatego właśnie, gdy Max zniknął w dzień po tej ostatniej awanturze, Miles uznał, że ojciec po prostu złapał pierwszą lepszą okazję i pojechał na wybrzeże. Zarobi trochę pieniędzy, da się wyrzucić z roboty, gdy sam uzna to za stosowne, po czym zjawi się na wyspie, by spędzić z nimi ostatnich parę dni wakacji. Nigdy dotąd nie byli na żadnych wakacjach bez Maxa, dlatego Miles spodziewał się, że prędzej czy później ojciec na pewno do nich dołączy. Matka dwa razy chodziła do głównego budynku hotelowego, żeby zatelefonować, i chyba musiała z kimś rozmawiać, bo po powrocie wydawała się przybita, co Miles odczytywał jako znak, że ojciec jest uwięzany w robocie albo wciąż obrażony za tamto. Sam Miles przyjmował to z ulgą.

Matka z miejsca instynktownie wyczuła, że nie pasują do Summer House, ale ojciec wszędzie czuł się mile widziany, nawet jeśli zdecydowanie nie był. Gdyby Max przyjechał, zaraz by się zainstalował w kącie baru, gdzie siedziałby, nabijając się z tych wszystkich mężczyzn w granatowych blezerach ze złotymi guzikami i ich zażywnych, pachnących kwiatem bzu małżonek, dopóki by go stamtąd nie wyprowadzono siłą. A po drodze do drzwi pewnie by jeszcze spuścił spodnie i pokazał im księżyc w pełni.

Pewnego dnia późnym popołudniem, na dwa dni przed ich wyjazdem, Miles popisywał się, walcząc z falami, nie zważając przy tym na prośby matki, by wyszedł z wody i osuszył się przed kolacją, gdy nagle spostrzegł, że w rzeczywistości nie zwraca ona na niego większej uwagi, nawet kiedy on do niej coś krzyczy. Przez ostatnich kilka dni przyzwyczaił się do tego, że matka bacznie go obserwuje, i cieszył go jej przestrach za każdym razem, gdy szczególnie groźna fala załamywała się tuż nad jego głową, znosząc go na brzeg. Faktycznie, od ich przybycia na wyspę była chętną „publicznością” dla wszelkich jego szaleństw, ale w owej chwili stała tyłem do niego, osłaniając oczy przed blaskiem, a gdy podążył za jej wzrokiem, na szczycie urwiska dojrzał samotną postać, oświetloną od tyłu późnym słońcem, spoglądającą w dół na plażę. Niemal wszyscy plażowicze poza nimi zebrali już swoje rzeczy i odmaszerowali krętą piaszczystą drogą, kiedy więc mężczyzna na górze zaczął machać ręką, Miles rozejrzał się wokół i stwierdził, że nie mógł on machać do nikogo innego oprócz nich. Spojrzawszy ponownie na matkę, zdążył jeszcze uchwycić moment, gdy opuszcza rękę, którą osłaniała sobie oczy. Czy pomachała temu mężczyźnie w odpowiedzi? Doszedł do wniosku, że chyba jednak nie, a w tej samej chwili ona odwróciła się z powrotem w stronę morza i zawołała na Milesa, żeby wychodził.

- Kto to był? - spytał, gdy matka zaczęła go wycierać.

- Kogo masz na myśli?

Po powrocie do domku Grace zmusiła go, by wziął prysznic przed pójściem na kolację, a kiedy wyszedł, ubrany w szorty i T-shirt, kazała mu wrócić i założyć lepszą koszulkę, długie spodnie i prawdziwe buty, a nie tenisówki. Tego wieczoru mieli jeść w Summer House, w głównej jadalni. Ona sama była ubrana w tę nową białą sukienkę, którą kupiła sobie w wiosce.

W restauracji Surf Club Miles na próżno szukał w karcie dań swoich ulubionych małych w sosie własnym. Szczerze mówiąc, wszystko tam wydawało się obce i nieznanne, nie wyłączając języka, w którym wiele dań było opisanych, a który, jak powiedziała mu matka, był językiem francuskim. Miles doszedł do wniosku, że nie wróży to nic dobrego. Nie rozumiał, dlaczego



ubieranie się w długie spodnie, sztywną koszulę i buty oraz jedzenie w zamkniętym pomieszczeniu na białym obrusie miałyby być takie przyjemne, skoro mogli włożyć wygodne rzeczy, usiąść na świeżym powietrzu pod kolorowym parasolem w Spragnionym Wielorybie i jeść owoce morza, w dodatku po angielsku. Zwłaszcza długie spodnie mu się nie podobały, ponieważ swędziały go łydki i uda. Poprzedniego dnia, gdy wracali ścieżką z plaży, podrzucił piłkę tak niezręcznie, że musiał gonić za nią w krzaki, a wieczorem, biorąc prysznic, zauważył, że w kilku miejscach ma podrażnioną skórę. Po kąpieli wytarł je szorstkim białym ręcznikiem, jakie codziennie dostarczano im do domku, a potem tarł suchą skórę bez opamiętania, dopóki nie poczuł najpierw ekstatycznej ulgi, a potem już tylko bólu i pieczenia. Teraz w tych miejscach znowu go swędziało, ale nie miał do nich dostępu. Co gorsza, matka zapowiedziała mu, że to dorosła kolacja i wyliczyła długą listę, co wolno, a czego nie wolno. Wieczór miał trwać długo i to w sumie było przyjemne. Ale nie powinien srę wiercić ani drapać. Nie pozwoliła mu nawet zabrać ze sobą jego rękawicy baseballowej.

Miles musiał przyznać, że nigdy jeszcze nie widział, by matka wyglądała równie pięknie, jak tego wieczoru. Podczas tygodnia, jaki spędzili wspólnie na plaży, jej skóra nabrała brązowego odcienia, ale nie zanadto, bo pilnowała, żeby się nie przypiec, a materiał jej nowej białej sukienki ładnie kontrastował z opalenizną. Fakt, że na ten wieczór skropiła się perfumami, nasunął mu myśl, że może mimo wszystko ojciec miał się pojawić, chociaż nie było to zbyt logiczne, skoro pozostał im jeszcze tylko jeden dzień na wyspie.

Jadalnia była już prawie pełna, ale zarazem dziwnie cicha. Miles nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek widział tylu ludzi naraz w jednym pomieszczeniu, którzy by się tak cicho zachowywali. Gdzieś z oddali dobiegały dźwięki fortepianu, ledwie słyszalne, a ponad tą cichą muzyką wznosił się brzęk sztućców. Gdy Miles przestudiował menu i głośno zauważył, że nie widzi swoich małży, Grace nachyliła się ku niemu i szeptem pouczyła, że powinien ściszyć głos. Przy sąsiednim stole siedział mężczyzna o siwych włosach i smutnych oczach, który popijając cocktail, również studiował kartę menu. Podobnie jak polowa mężczyzn na sali, miał na sobie granatowy blezer ze złotymi guzikami, a kiedy Miles z matką siadali przy stole, uśmiechnął się do nich na powitanie. Prawdę mówiąc, każdy z obecnych w jadalni panów zdołał się pod tym czy innym pretekstem odwrócić, by rzucić okiem na Grace, choć większość natychmiast udała, że to nie ona przyciągnęła ich wzrok. Słyszac uwagę Milesa o tym, że w menu nie ma jego ulubionego dania, siwowłosy pan opuścił kartę i nachylił się w ich stronę.

- Pani wybacz, że się wtrączę - rzekł - ale sędzę, że pani uroczemu młodemu towarzyszowi mogłyby zasmakować małże casino. Są tutaj naprawdę wyśmienite.

Miles przyglądał się mówiącemu, próbując odgadnąć jego wiek. Z powodu jego przeredzonych siwych włosów pomyślał z początku, że musi być bardzo stary, ale twarz miał gładką, i im dłużej Miles mu się przyglądał, tym się wydawał młodszy. Był, naturalnie, starszy od Grace, choć trudno powiedzieć o ile. Poza tym sposób, w jaki matka uśmiechnęła się do niego w odpowiedzi, wskazywał, że nie był to jakiś tam sobie starszy pan.

- Jak myślisz, Miles?- spytała teraz. - Zaryzykujesz i posłuchasz rady tego pana?

Miles rozważał tę propozycję z namysłem. W zasadzie rzecz powinna być prosta, ale z jakiegoś powodu nie była, nim jednak się zdecydował, starszy pan przywołał gestem przechodzącego kelnera i zamówił pół tuzina małży casino, po czym zwrócił się do Grace:

- Proszę się nie obawiać. Jeśli nie będą smakować synowi, ja je zjem.

Ku zaskoczeniu Milesa matka wdała się z tym panem w rozmowę, tłumacząc, że owoce morza to nowe doświadczenie dla jej syna i że odkąd ich spróbował, nie chce jeść nic innego.

Pan słuchał tego z uśmiechem.

- Wygląda na to, że będzie lubił dobre rzeczy w życiu.

- Właśnie jesteśmy na wakacjach - powiedziała Grace, a potem przedstawiła siebie i Milesa. Następnie zawahała się.

- Wolno mi spytać, czy będzie pan jadł dzisiaj sam?

- Niestety.

- Może zechciałby się pan do nas przysiąść?

- Byłbym zachwycony - odparł pan. - Ale jeśli się nie mylę, mój stół jest większy. A zatem może to pani przesiądzie się z panem Milesem do mnie?

Ledwie padła ta propozycja, a już dwóch kelnerów zaczęło wprowadzać ją w czyn. Miles nie był tym wszystkim zachwycony, dopóki nowy znajomy nie spytał, jaki jest jego ulubiony sport. Odkąd tu przyjechali, Miles doskonale zdawał sobie sprawę, że niejeden z tych panów chętnie by zawarł znajomość z jego matką, gdyby nie obecność dziecka. Ale ten człowiek wydawał się zupełnie inny, tak więc gdy zapytał go o jego ulubiony sport, Miles odpowiedział, że baseball, a potem, już bez dalszej zachęty, zaczął opowiadać o tym, jak niesamowicie mu się udało ze złapaniem tej piłki w zeszłym tygodniu. Gdy skończył, natychmiast zaczął całą opowieść od początku, na wypadek, gdyby słuchaczowi umknęły jakieś szczegóły. Doszedł do wniosku, że ta jego historia o piłce całkiem ładnie pomogła im przejść przez przystawki. Jak było do przewidzenia, małże smakowały Milesowi niezmiernie,

choć był trochę zawiedziony, że podano ich zaledwie kilka sztuk, a nie cały koszyk, jak w Spragnionym Wielorybie.

Pan nazywał się Charlie Mayne, przeliterował nawet głośno swoje nazwisko, dla odróżnienia go od stanu, gdzie mieszkali Miles z matką. Z jakiegoś powodu matka Milesa wydawała się zaskoczona tym nazwiskiem, chociaż Miles uznał, że całkiem dobrze do tego pana pasuje. Podczas gdy Miles rozkoszował się swoimi małżami, Charlie Mayne z wielkim znanstwem zajmował się wyciąganiem z wnętrza spiralnie zwiniętych muszli czegoś, co wyglądało jak duże gumki-myszki do wycierania ołówka. Owe muszle coś Milesowi przypominały, tylko nie pamiętał co. W ostatnim tygodniu spędził wiele godzin, przeczesując plażę w poszukiwaniu muszli, ale nigdy nie znalazł takiej, jak te.

- Masz ochotę spróbować? - spytał pan Mayne, kiedy zauważył, że Miles przygląda się muszłom.

Te gumki-myszki wcale nie wyglądały apetycznie, ale z drugiej strony nie wyglądały gorzej niż małże ze swoimi wystającymi maciupkami czarnymi penisami, dlatego Miles zebrał się na odwagę i poczęstował się jedną. Okazało się, że smakuje ona prawie dokładnie tak, jak się tego spodziewał - trochę gumowata, ale w sumie dobra - gdy więc zaferowano mu jeszcze jedną, chętnie ją przyjął, mimo że Grace zaprotestowała, twierdząc, że już i tak dostał aż nadto.

- Ależ skąd - zaproponował Charlie Mayne, nie przestając nalegać. - Przyjemnie mi, że młody człowiek ma apetyt. Czy powiemy mu, co właśnie zajął?

Mówiąc to, uśmiechnął się do matki Milesa, jednak chłopiec zauważył, że jego oczy pozostawały smutne, nawet kiedy się uśmiechał. W odpowiedzi na ten smutny uśmiech matka też się uśmiechnęła, a wtedy Milesowi przyszło do głowy, że tych dwoje w jakiś dziwny sposób tworzy dobraną parę, jakiej Grace z ojcem nigdy nie tworzyła.

- Istnieją sekrety, których należy dobrze strzec, panie Mayne - odrzekła na to matka. - Przynajmniej przez pewien czas.

Jednakże Miles wyczuł jakoś, że Charlie Mayne jest człowiekiem, który ugnie się, jeśli go tylko trochę przycisnąć, dlatego tak długo nalegał, żeby mu powiedzieć, co to są te gumki, aż w końcu Charlie uległ i wyjaśnił mu, że właśnie jadł ślimaki. To odkrycie tak rozczarowało Milesa, że nabrał on podejrzeń, iż został najzwyczajniej w świecie okłamany, a co gorsza, że odbyło się to z czynnym udziałem jego matki. Jeśli tak było istotnie, zrobiła to naturalnie dla zabawy, ale myśl, że matka mogła opowiedzieć się po stronie Charliego Mayne'a, a przeciwko niemu, mimo wszystko była niepokojąca.

Ostatecznie okazało się, że nie było to kłamstwo; gdy ponownie podano im karty menu, żeby mogli zamówić danie główne, Miles odnalazł przedmiot swojego zainteresowania, wymieniony pośród przystawek: „Escargot du maison, podawane w muszlach, z masłem czosnkowym”. Wówczas przyszło mu na myśl, że może Charlie Mayne miał rację, mówiąc przedtem, jak to na pierwszy rzut oka od razu widać, iż z Milesa wyrośnie człowiek o wyrefinowanym guście.

Kolacja dobiegła końca i Charlie Mayne sprawił, że rachunek po prostu zniknął, choć żadne pieniądze nie przeszły z rąk do rąk, po czym ich nowy znajomy spytał, czy zwiedzili już resztę wyspy. Grace wyjaśniła, że przez cały czas nie opuszczali terenu hotelu, jeśli nie liczyć wypadów do wioski, a wtedy Charlie (jak teraz Miles nazywał go w myślach), rzuciwszy wpierv okiem na zegarek, oznajmił, że może jeszcze da się to nadrobić, jeśli się pośpieszą. Na ich pytanie, co takiego ma na myśli, on tylko się uśmiechnął i zapewnił, że wkrótce sami się przekonają.

I rzeczywiście, pośpieszyli się. A raczej popędzili, to jest, Charlie popędził swoim małym żółtym jak kanarek sportowym autem, w którym z przodu było ledwie dość miejsca dla dwóch osób, z drażkiem biegów pomiędzy nimi. Miles siedział wciśnięty w ciasną przestrzeń z tyłu za matką i Charliem. Przelatywali przez wyspę z zawrotną prędkością, a kierowca nie hamował nawet na zakrętach. Dach auta był opuszczony i długawe włosy Charliego powiewały mu za plecami jak zmierzwiona biała grzywa. Grace dostała od niego płócienną czapkę żeglarską, ale chcąc ją utrzymać, musiała przez cały czas przyciskać głowę ręką. Miles spodziewał się, że matka zacznie zaraz prosić Charliego, żeby tak nie pędził. Dostawała ataku nerwowego za każdym razem, gdy Max jechał trochę prędzej, ale teraz z jakiegoś powodu nie miała nic przeciwko temu. Przynajmniej tak się wydawało Milesowi. W otwartym wozie wiatr huczał tak głośno, że nie mógł on dosłyszeć ani słowa z tego, co mówiono na przednich siedzeniach. Czuł, że od tego pędu powietrza zewnętrzne kąciki oczu dosłownie odginają mu się aż na skronie i nawet zaczął się zastanawiać, czy nie będzie wyglądał jak Chińczyk, kiedy w końcu dojadą do celu, dokądkolwiek zamierzali dojechać.

Nareszcie asfalt się skończył i Charlie Mayne wjechał swoim małym autkiem na ubitą drogę, która urywała się jakieś sto jardów dalej na piaszczystym parkingu, gdzie zatrzymali się przy długim ogrodzeniu na samym skraju łagodnie opadającej plaży. Słońce, niewiarygodnie wielkie i pomarańczowe, wisiało kilka cali nad spokojnymi wodami cieśniny Vineyard, a kiedy silnik zamilkł, Miles usłyszał, jak matka mówi: „Och, Charlie, popatrz!”. Miles spytał, dlaczego tak się śpieszyli i co mieli zobaczyć, a wtedy

oboje z Charliem roześmiali się głośno, przez co poczuł się głupio, chociaż rozejrzawszy się wokół stwierdził, że nie on jeden nie zwracał większej uwagi na zachód słońca. Z pół tuzina samochodów stało zaparkowanych obok nich, a w najbliższym Miles zobaczył całującą się parę. Ku jego zdziwieniu na pytanie, czy mógłby wysiąść i zejść na plażę, matka odparła, że tak, naturalnie, pod warunkiem że zdejmie buty i skarpetki, podwinie nogawki spodni i obieca, że będzie się trzymał brzegu.

- Ale tylko dziesięć minut - przykazała mu. - Niedługo zrobi się ciemno.

Rzeczywiście, zrobiło się, za co Miles był wdzięczny. Podrażnienia na skórze, które rozdrapał, biorąc prysznic, teraz okropnie pulsowały, a na tylnym siedzeniu w aucie był tak ściśnięty, że nie mógł się do nich swobodnie dostać. Dlatego teraz chciał czym prędzej zejść z widoku i zacząć się drapać bez opamiętania. Tym większe przeżył zaskoczenie i rozczarowanie, gdy minąwszy wydmy, przekonał się, że plaża wcale nie jest pusta, jak się tego spodziewał. Na brzegu, jak okiem sięgnąć, w równych odstępach stali wędkarze, którzy raz po raz zarzucali wędki w łagodne fale, ale natychmiast podrywali je z powrotem, kręcąc wściekle kołowrotkiem, by po chwili zarzucić je znowu. Miles obserwował ich przez kilka minut, usiłując zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Max zabrał go kiedyś na ryby na jezioro, ale tam polegało to na tym, że się wyrzucało linkę z przynętą za burłę łódki, a potem siedziało, czekając spokojnie, aż coś się złapie. A tutaj wyglądało to tak, jakby ci ludzie brali udział w jakichś zawodach, które miały wykazać, kto zarzuci wędkę dalej na fale, a ponieważ żaden rzut nie był dość dobry, natychmiast kręcili kołowrotkiem i próbowali kolejny raz. Mężczyzna stojący najbliżej krzyknął coś ostrzegawczo do Milesa. W sekundę później wyjaśniło się dlaczego - rybak poderwał długą wędkę do tyłu, coś srebrnego błysnęło, przelatując ze świstem w powietrzu, a następnie znowu wystrzeliło daleko na fale.

Starając się zachować bezpieczną odległość od wędkarzy, Miles zaczął się mozolnie wspinać z powrotem pod górę, grzeżąc w piasku, aż doszedł do odosobnionego miejsca na wydmach pośród wysokich kęp trawy morskiej. Tam opuścił spodnie do kostek i zaczął się drapać. Było zbyt szaro, by móc stwierdzić na pewno, ale wydawało mu się, że od kąpieli pod prysznicem plamy szorstkiej, zaognionej skóry stały się dwa razy większe. Drapanie ich paznokciami wywoływało dziwną mieszaninę uczuć, coś między intensywną przyjemnością a bólem, i pewnie drapałby się tak dalej, aż do krwi, gdyby w pobliżu nie usłyszał jakiegoś dźwięku, a potem przyciszonych głosów. Błyskawicznie podciągnął spodnie i uciekł.

Znalazłszy się z powrotem na plaży, usłyszał jakiś inny odgłos, tym razem bardziej przypominający trzepotanie, a kiedy spojrział w dół, ze zdumieniem zobaczył wielką srebrzystą rybę, zakrwawioną przy skrzelach,

która szamotała się na piasku u jego stóp.

- Ostrożnie - usłyszał czyjś głos parę kroków od siebie; w mroku dojrzał przykucniętego mężczyznę, który mocował srebrną przynętę na haczyku. - One mają zęby.

Było już prawie całkiem ciemno, kiedy wrócił na parking, gdzie rozpoznał żółty samochodzik Charliego Mayne'a, bardziej kształcie nadwozia niż po kolorze. Był przekonany, że dostanie burę od matki, że tak długo biegł po plaży, ale znowu się pomylił. Nim usłyszeli, że wraca, w ostatnich promieniach światła dostrzegł głowę matki, spoczywającą na ramieniu Charliego Mayne'a.

Następnego ranka Miles, któremu przez całą noc strasznie dużo się śniło, zbudził się z powodu jakichś odgłosów, a po chwili zorientował się, że to matka wymiotuje w maleńkiej łazieneczce. Właściwie już drugi czy trzeci ranek z rzędu to słyszał, ale dziś poczuł, że jest na nią o coś zły. I nie szło o te odgłosy. Możliwe, że miało to związek z tym, co przypadkiem zobaczył w samochodzie, ale chyba jeszcze bardziej z tym, że w ciągu nocy wszystko mu się samo poukładało w głowie. Propozycja matki, by nieznajomy przysiadł się do ich stolika, sugerowała niedwuznacznie, że jego, Milesa, towarzystwo pozostawiało nieco do życzenia. Nie żeby nie polubił Charliego - wręcz przeciwnie. Ale jednak poczuł, że i na niego jest również zły. Charlie, który był tak uważny podczas kolacji, potem nie okazał szczególnego zainteresowania historią o szamoczącej się na piasku srebrnej rybie, którą Miles widział na plaży. A kiedy Miles umyślnie zaczął wyolbrzymiać niebezpieczeństwo, opowiadając im, jak to o mały włos nie został schwytyany na haczyk przez jednego z wędkarzy, ani matka, ani Charlie nie wydawali się tak przestraszeni, jak by sobie tego życzył. Co gorsza, zbudziwszy się tego ranka, o mało nie dostał mdłości na samą myśl o tym, że poprzedniego wieczoru naprawdę zjadł ślimaka.

Jednakże odkrył, że nie jest łatwo gniewać się na osobę, którą się kocha, kiedy ta osoba wymiotuje obok w łazience, dlatego chcąc za wszelką cenę umocnić w sobie satysfakcję, płynącą z poczucia słusznej złości, wyszedł na dwór ze swoją rękawicą i piłką, żeby sobie poćwiczyć rzucanie i poczekać na kosz piknikowy, który mieli im lada moment przynieść z hotelu. Wkrótce faktycznie go przyniesiono, a wtedy okazało się, że tego dnia kosz jest cięższy niż zazwyczaj, Miles wtaszczył go więc do środka i postawił na stole, przy którym jadali śniadania, a gdzie teraz matka, ciągle jeszcze w nocnej koszuli, siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach. Gdy uniosła ją i spojrzała na

niego - blada, zniechęcona i wyraźnie wyczerpana - złość, którą próbował w sobie podtrzymywać, wyparowała z niego całkowicie.

- Jesteś chora? - spytał, nagle wystraszony.

- Chciałabym, żeby tak było - powiedziała ze smutnym uśmiechem. - Wtedy mogłabym z nadzieją czekać, aż wyzdrowieję.

Zauważył, że mówiąc to, matka bezwiednie drapie zaczerwienioną skórę na przedramieniu.

- Nie martw się - dodała. - Nie umieram ani nic w tym rodzaju.

Miles zajął się przeglądaniem zawartości piknikowego kosza. Gdy tylko mu powiedziała, żeby się nie martwił, natychmiast posłuchał jej rady i przestał o tym myśleć.

- Dzisiaj przysłali o wiele więcej rzeczy - poinformował ją, podnosząc do góry mały słoiczek czegoś, co wyglądało jak atramentowe kuleczki.

Ta wiadomość jakoś ucieszyła Grace. Wstała od stołu i odsunęła zasłony w oknie kuchennym, a potem stanęła w jasnym świetle, które zalało całe wnętrze. Stała tam przez długą chwilę, z zamkniętymi oczyma, tak jakby zanurzała się w promieniach słońca, a uśmiech igrał na jej wargach. Miles pomyślał, że jak na kobietę, która ostatnią godzinę spędziła na klęczkach z głową w sedesie, wygląda naprawdę pięknie, dlatego postanowił wybaczyć jej wczorajszy wieczór.

Poza tym był to ich ostatni dzień na wyspie.

Byli na plaży może z pół godziny, nie dłużej, gdy zjawił się Charlie Mayne. Milesowi sprawił satysfakcję widok nóg Charliego, które były chude, białe i niemal pozbawione owłosienia, a gdy ściągnął on przez głowę bluzę z długimi rękawami, odsłonił bladą zapadniętą klatkę piersiową, z kilkoma zaledwie czarnymi włoskami wokół sutków. Miles spostrzegł teraz, że chociaż matka nie była mocno zbudowana, to była od Charliego znacznie większa. Poprzedniego wieczoru, zwłaszcza w sportowym aucie, wydawało się, że jest przeciętnej budowy. Ale dzisiaj, kiedy przysiadł na rogu ich koca, wyglądał wręcz cherlawo. Miles pomyślał, że matka na pewno też to zauważy i prędko się go pozbędzie.

- Nie dali ci koszyka z drugim śniadaniem? - spytała.

- Niestety, nie - odparł Charlie, ale nie wyglądał na zmartwionego.

- Wobec tego podzielimy się naszymi zapasami - zdecydowała Grace. Patrząc teraz na nią, nikt by nie podejrzewał, że zaledwie przed godziną tak okropnie wymiotowała. Nic też nie wskazywało na to, by zamierzała odesłać Charliego Mayne'a z kwitkiem.

- Ale myślę, że będziesz zadowolona, jeśli powiem, że nie przychodzę

tak z całkiem pustymi rękami - mówiąc to, wyjął z kieszeni spodenek kąpielowych wąską białą tubkę i pokazał ją Grace, a następnie rzucił stojącemu kawałek dalej Milesowi, który złapał ją w swoją rękawicę. Grace klasnęła w dłonie z zachwytem.

- Och, Charlie, jesteś naszym wybawcą!

- Prawda? - zgodził się.

- W recepcji powiedzieli mi, że już im się skończył cały zapas - powiedziała, dając znak Milesowi, by podał jej tubkę z maścią.

- Rano pojechałem do Edgartown - opowiadał Charlie, podczas gdy Grace smarowała maścią na oparzenia sumakiem nogi i brzuch Milesa, a następnie swoje przedramiona i takie miejsce u góry uda, którego Miles wcześniej nie zauważył. - Wyobraź sobie, że dostałem w aptecce ostatnią tubkę. Podobno to rekordowy rok na całej wyspie; tego lata sumak jest wyjątkowo jadowity i mnóstwo ludzi chodzi poparzonych.

Mówiąc to, Charlie Mayne obserwował, jak Grace wciera sobie maść w udo, dopóki nie poczuł wzroku Milesa, który, wciąż jeszcze nie powiedziawszy mu dzień dobry, patrzył na niego z uwagą. Charlie odwrócił się i zaczął przeglądać zawartość koszyka z prowiantem. Natrafił na słoiczek z tym czymś, co wyglądało jak atrament, i podniósł go w stronę Milesa.

- Próbowaleś już kiedyś kawioru, kolego?

Miles potrząsnął przecząco głową, wciąż mając w pamięci, jak go oszukano w kwestii kulinarnych specjałów tym wczorajszym ślimakiem. W duchu postanowił sobie, że odmówi tego kawioru, jeśli tylko zostanie nim poczęstowany, nie dlatego, że mógłby być niesmaczny, bo kto wie, tylko dlatego, że propozycja wyszłaby od Charliego Mayne'a. Poprzedniego wieczoru było mu miło, że został uznany za kogoś, kto potrafi docenić wyrafinowane rzeczy. Jednakże tego ranka wszystko się zmieniło. Szczerze mówiąc, w tej chwili pożałował nawet, że nie odmówił przyjęcia maści, chociaż już zaczął odczuwać jej chłodne kojące działanie na podrażnionej skórze. Jednak sam przed sobą przekornie udawał, że wołałby, żeby go swędziało.

- Znalazłem również uroczą restaurację, w sam raz dla nas - opowiadał matce Charlie. - Ale musisz mi obiecać, że znowu ubierzesz się w tę białą sukienkę.

Matka założyła okulary przeciwsłoneczne i przewróciła się na plecy.

- To jedyna, jaką mam - zaśmiała się i w tej chwili Miles poczuł, jak wraca mu złość. Od razu się zgodziła, żeby Charlie Mayne siedł z nimi na kolację, nawet nie zapytawszy o zdanie jego, swego syna.

- Dziś wieczorem chcę iść znowu do Wieloryba - powiedział Miles, trącając jej stopę swoją. - Chcę gotowane małże.



Matka westchnęła z zadowoleniem.

- Czujecie to słońce - zamruczała.

Miles znowu trącił ją w stopę.

- Słyszałaś, co mówiłem? - Mógł zobaczyć, nawet przez jej ciemne okulary, że oczy ma zamknięte.

Nie otworzyła ich, kiedy się odezwała.

- Nie, nie słyszałam, co mówiłeś - powiedziała. - A jeśli ty nadal będziesz niegrzeczny, to ja nadal nie będę cię słuchać.

Charlie Mayne udawał, że nie zwrócił uwagi na ich kłótnię.

- A więc, powiadasz, że masz ochotę na małże? - odezwał się pogodnie, wyciągając się na brzuchu. Jeśli chodzi o jego plecy, również tam mógł się poszczycić jedynie rzadkim czarnym owłosieniem. Uzbierałby się może z tuzin włosków, nie więcej. Śmiechu warte. Spójrz tylko na te jego plecy, miał ochotę powiedzieć matce Miles. Był pewien, że jej problem polega wyłącznie na tym, że jest za mało spostrzegawcza. - Wobec tego dostaniesz małże - zakończył Charlie.

Po południu, kiedy Grace wyszła z łazienki w szlafroku, odświeżona po prysznicu, Miles powiedział jej, że w ogóle nie chce iść z Charliem na kolację. Myślał, że pójdą sami, tylko on i matka. Przecież świetnie się bawili, powiedział jej, zanim Charlie Mayne się zjawił.

- Ach, tak? - powiedziała Grace, nie wiedząc czemu nagle tak gniewnie, że Miles się przestraszył; wyglądało to tak, jakby tylko czekała, że on powie coś podobnego. - No cóż, a ja się bawię świetnie, odkąd on się tu zjawił. Co ty na to?

Miles nie odpowiedział od razu.

- Tacie by się to nie podobało - rzekł, patrząc jej prosto w oczy.

- Coś podobnego!

- Powiem mu.

- Doskonale - odrzekła, czym znowu go zaskoczyła, jeszcze pogłębiając to dziwne uczucie, które nie dawało mu spokoju przez cały dzień, jakby wszystko wokół niego dryfowało z prądem. Wyjęła maść i zaczęła nakładać ją na skórę. - Ależ powiedz, proszę bardzo.

- Zobaczysz, że powiem - powtórzył, chociaż wiedział, że nie powinien tego mówić, a mimo to nie mógł się powstrzymać.

- Będziesz musiał jednak poczekać do czasu, aż wyjdzie z aresztu - powiedziała, a jej spojrzenie stało się nagle tak twarde, jak nigdy dotąd. A ona nie tyle wypowiedziała te słowa, ile wypuściła je z klatki, a teraz przyglądała mu się, jakby z czystej ciekawości, chcąc się przekonać, jakie wrażenie na

nim wywrą. Bo jeśli zaszłaby taka potrzeba, to miała ich więcej na podoręczu. - Nie wiedziałeś o tym, co? Że twój ojciec jest w areszcie?

Oparła stopę na kuchennym krześle, żeby nałożyć maść. Po chwili opuściła ją na podłogę, a podniosła drugą i wtedy, jej szlafrok odchylił się i Milesowi mignęło w przelocie coś ciemnego, coś, o czym wiedział, że nie powinien na to patrzeć, i czego właściwie nie zobaczył, gdyż oczy zaszły mu łzami.

- A chcesz wiedzieć dlaczego, Miles? Ponieważ w zeszłym tygodniu został aresztowany za naruszenie porządku publicznego, oto dlaczego. Nie pierwszy raz zresztą. Raz po raz zagraża społeczeństwu, naruszając porządek publiczny, zwykle wtedy gdy znudzi mu się zakłócanie spokoju prywatnego. I powiem ci jeszcze coś. Myślisz, że Max Roby przejąłby się, gdybyś mu powiedział o Charliem Mayne? Pomyśl przez chwilę. Jediną osobą, którą przejmuje się twój ojciec, jest twój ojciec. Bardzo bym chciała, żeby było inaczej, ale niestety tak nie jest, a ty już jesteś dość duży, żeby to wiedzieć. Im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej dla ciebie.

Skończyła już nakładanie maści i stała teraz przed nim.

- I powiem ci jeszcze jedno, skoro już jestem przy tym. Kiedy wrócimy do domu, wszystko będzie zupełnie, ale to zupełnie inaczej niż dotąd, lepiej więc, żebyś już teraz się na to przygotował.

Chcąc zrobić jej na złość, Miles odczekał, aż Grace pójdzie się przebrać w tę swoją białą sukienkę, a sam, zamiast wziąć prysznic, jak miał przykazane, wymknął się tylnym wyjściem i zbiegł z powrotem na opustoszałą już o tej porze plażę u stóp klifu, gdzie zaczął rzucać piłką tak wysoko, jak potrafił, dopóki jeden z powodu złości źle wymierzony rzut nie posłał piłki daleko w morze. Wówczas usiadł na piasku i zaczął bić pięścią w zagłębienie rękawicy, zły, że w ogóle przyjechali na Martha's Vineyard. Nieoczekiwanie poczuł, że już się nie boi żadnych piłek, choćby sobie były nie wiedzieć jak mocno wybite. A nawet jeśliby którąś oberwał, to co z tego? Zrozumiał teraz, czego trener LaSalle usiłował go nauczyć przez całe lato. Nieważne było, czy oberwiesz, tak jak nieważne było, że poczujesz ból.

Po jakimś czasie usłyszał za plecami, że ktoś schodzi ścieżką z góry. Obracając się w tamtą stronę, był przekonany, że ujrzy rozszoszczoną matkę, która przyszła go szukać, ale to był Charlie Mayne, który zbliżał się, grzęznąc w piasku w czarnych błyszczących trzewikach. Miał na sobie eleganckie spodnie, więc Miles nie spodziewał się, że usiądzie, ale usiadł.

- Co się stało z twoją piłką?

Miles wskazał na morze.

Charlie Mayne pokiwał głową.

- Pokłóciliście się z mamą?

Miles milczał.

- Ona jest ogromnie miłą osobą, wiesz o tym, prawda? - odezwał się w końcu Charlie.

- Wiem, że jest miła - powiedział Miles ze złością, gdyż nie miał ochoty wysłuchiwać czegoś, co sam wiedział, i to od kogoś, kto zna jego matkę zaledwie od dwóch dni.

- I bardzo cię kocha.

- Wiem - powtórzył Miles.

- Prosiła, żebym ci powtórzył, że jest jej bardzo przykro z powodu tego wszystkiego, co ci powiedziała o twoim tacie. Nie powinna była tego robić.

Miles wzruszył ramionami.

- Widzisz, chodzi o to - ciągnął mężczyzna - że każdy człowiek zasługuje na odrobinę szczęścia.

- Ona jest szczęśliwa.

- Ale kiedyś przychodzi taki moment w życiu, gdy nagle uświadamiasz sobie, że jeśli teraz nie wykorzystasz swojej szansy na szczęście, to taka szansa może ci się już nigdy więcej nie trafić.

- Ona jest szczęśliwa - upierał się Miles.

- Szczerze mówiąc - rzekł Charlie - miałem na myśli siebie. Twoja mama jest tego rodzaju osobą, która... jakby to powiedzieć... która jest jak słońce, nagle wylaniające się zza chmury.

Miles nic na to nie odpowiedział, ale te słowa przypomniały mu, jak wyglądała tego ranka, kiedy odsunęła zasłony w kuchni.

- To tak jakby dzięki niej wszystko wydawało się jak nowe.

A kiedy i na to Miles nie odpowiedział, Charlie dodał:

- W każdym razie byłbym szczęśliwy, gdybym mógł się do was przyłączyć dziś wieczorem, kiedy będziecie wybierać się na kolację. Ale to zależy od ciebie.

Miles wzruszył ramionami.

Charlie Mayne skinął głową i czekał. Wreszcie powiedział:

- Co miało znaczyć to wzruszenie ramion?

Kolejne wzruszenie ramionami.

- Więc dobrze - rzekł. - Domyślam się, że mogło to oznaczać, że nie masz nic przeciwko temu, byśmy razem zjedli kolację. Ale równie dobrze, że wolałbyś, bym się do was nie przyłączał. Albo jeszcze coś innego, a mianowicie, że bardzo byś chciał, żeby cały świat był inny, niż jest w rzeczywistości, czy tak?

Wzruszenie ramionami.

Charlie Mayne ponownie skinął głową.

- W porządku - rzekł. - Rozumiem.

Kolację jedli w restauracji, która nazywała się Cock of the Walk, i jak poprzedniego wieczoru ich towarzysz zwracał większą uwagę na Milesa niż na jego matkę. Chociaż małży nie było w karcie, Charlie poradził Milesowi, żeby mimo to je zamówił, po czym mrugnął porozumiewawczo do kelnera. Kiedy je podano, była ich taka góra, że troje dorosłych nie dałoby im rady, ale Charliemu sprawiało widoczną przyjemność przyglądanie się, jak Miles dzielnie walczy.

- Popatrz tylko, jak mu to sprawnie idzie - zwrócił się do Grace, która próbowała pokazać, że już się na syna nie gniewa. A gdy się uśmiechnęła i powiedziała, żeby uważał, bo jeszcze się rozchoruje z przejedzenia, Miles odparł, żeby się nie martwiła, a poza tym jeśli chodzi o ścisłość, to nie on ma co rano mdłości. Na te słowa Charlie zbladł i przez kilka minut słychać było jedynie odgłos, jaki wydawały puste muszle po małżach, wpadające z grzechotem do przeznaczonej na ten cel miski.

Kilka razy Milesowi przyszło do głowy, że oni się tutaj doskonale bawią w ekskluzywnej restauracji z człowiekiem, który jeździ drogim sportowym autem, a tymczasem jego ojciec siedzi w celi aresztu w Empire Falls, ale ta niepokojąca myśl tylko przez krótką chwilę zaprzętała mu głowę. Za każdym razem, gdy dochodził do wniosku, że powinien stanąć po stronie ojca, zaraz przypominał sobie, co Charlie Mayne powiedział o tym, że każdy człowiek ma prawo do odrobiny szczęścia, i w końcu pomyślał, że może rzeczywiście jest to prawda. Zrozumiał również, dlaczego matka woli, przynajmniej na dzień, dwa, towarzystwo człowieka, dzięki któremu zdarzają się miłe rzeczy i który tak jak Charlie Mayne spełnia każdą zachciankę dosłownie na skinienie ręki, zamiast być z kimś, kogo skazano za naruszanie porządku publicznego. Z początku wiadomość o tym, że jego ojciec został aresztowany, przeraziła go i upokorzyła; ale im dłużej o tym myślał, tym większej nabierał otuchy. Aż do dzisiejszego wieczoru czuł zawsze, że jego ojciec różni się od ojców innych chłopców, ale nie potrafił powiedzieć, na czym ta różnica polega. Teraz już wiedział: Max Roby jest zagrożeniem dla społeczeństwa. Taka ocena była o niebo lepsza niż niejasne podejrzenia o jakąś trudną do określenia dziwość.

Dopiero głęboką nocą - właściwie gdy już prawie świtało - poczuł nagły smutek tego wszystkiego i otworzył oczy wystraszony, choć sam nie potrafił powiedzieć, co się stało. Wydawało mu się, że we śnie ujrzał ojca, chociaż nie zapamiętał żadnych szczegółów, a teraz, kiedy tak leżał sam w łóżku, ogarnęło go poczucie winy. Na pewno ojciec zasłużył na lepsze określenie niż „zagrożenie dla społeczeństwa”. Zastanawiał się, czy Max nie będzie zły, gdy po wyjściu z aresztu przekona się, że ich nie ma, co nasunęło mu na

myśl, że może został już zwolniony i w jakiś sposób się dowiedział, dokąd wyjechali. I całkiem możliwe, że w tej chwili jest już w drodze po swoją rodzinę i że zjawi się tutaj, chwyci ich za ręce i zacznie ciągnąć z powrotem do Empire Falls, gdzie jest ich miejsce, nakazując, by zachowywali się jak należy i dali sobie spokój z jedzeniem jakichś ślimaków. Miles był już prawie przekonany, że wszystko to jest zupełnie prawdopodobne, gdy nagle w absolutnej ciszy, jaka panowała za oknem sypialni, usłyszał jakiś odgłos.

Znad oceanu napłynęła mleczna mgła, nasilając dźwięki, w tym dalekie dzwonienie boi. Przez szparkę w zasłonie obok łóżka Miles zaczął wpatrywać się w mgłę i już był niemal pewien, że się przesłyszał, gdy nagle znowu rozległ się ten hałas, coś jakby odgłos stąpania na żwirowej ścieżce, a potem mgła zagęściła się wokół ciemniejszego kształtu, który zbliżał się w jego stronę, i w końcu zmieniła się w jego matkę, i zobaczył ją, jak idzie po trawie wzdłuż ścieżki, z butami w jednej ręce, uważnie patrząc, gdzie stąpa. Ten widok zaskoczył Milesa, ale zanim zdolał pojąć ów fakt, że widzi matkę za oknem, co oznaczało, że nie ma jej za ścianą w sąsiedniej sypialni, matka podniosła oczy i spojrzała prosto na niego, a wtedy, dopiero wtedy wypuścił zasłonę z ręki, pozwalając, by opadła z powrotem na miejsce.

Charlie Mayne odwiózł ich na prom w milczeniu i pomógł im załadować walizki na wózek bagażowy. Następnie skłonił człowieka przy trapie, by wpuścił go na pokład bez biletu, żeby mógł się pożegnać z Milesem i jego matką. Było to coś, co Milesa najbardziej w nim zdumiewało i co miał zapamiętać najdłużej: sposób, w jaki Charlie Mayne sprawiał, że wszystko stawało się możliwe, że ludzie robili dla niego rzeczy, jakich ani im się śniło robić dla kogokolwiek innego. Z Charliem Mayne wszystko było możliwe, nawet zamówienie małży w restauracji, w której ich nie podawano.

A jednak pomimo tego zdumiewającego talentu najwyraźniej i on nie mógł wszystkiego, bo kiedy stał na górnym pokładzie promu w porcie Vineyard, w żaden sposób nie potrafił znaleźć właściwych słów, jeśli takie w ogóle istniały, które pragnęłyby powiedzieć Grace. Obserwując Charliego, jak zмага się ze sobą, Miles nie mógł wiedzieć, że to obecność dziecka uniemożliwiła wypowiedzenie choćby połowy słów, druga ich połowa zaś była niewspółmierna w stosunku do treści, jaką miały przekazać. Matka, poprzedniego wieczoru tak promieniejąca w blasku świec w swojej białej sukience, wydawała się teraz błada i krucha w ostrym świetle poranka. Również Charlie wyglądał na zmęczonego i zakłopotanego i nawet jego ubranie pierwszy raz podkreślało ukrytą pod nim niezgrabną sylwetkę o zapadniętej klatce Piersiowej. Miles pomyślał, że Charlie wygląda po prostu staro. Co

było o tyle dziwne, że dokładnie takie było pierwsze wrażenie, jakie odniósł na jego widok przed dwoma dniami, zanim mu się lepiej przyjrzał.

W dole pod nimi ostatni pasażerowie posuwali się powoli jeden za drugim po trapie prowadzącym na pokład, ostatnie auta wjeżdżały do ładowni statku. Za moment, pomyślał Miles, trap zostanie zdjęty i prom odbije od brzegu. Na koniec Charlie Mayne wziął Grace za rękę i powiedział:

- Posłuchaj. Chodzi mi o to, że... to trochę potrwa.

- Tak, wiem - odparła, nie patrząc na niego, tylko w bok, na port Vineyard.

- Pomyśl o Puerto Vallarta.

- Dobrze.

- Obiecuj mi, że będziesz dzielna.

- Musisz już iść - powiedziała, wskazując na dokerów poniżej, którzy zabrali się do zdejmowania trapu.

Charlie wiedział, że musi iść, a mimo to poświęcił jeszcze chwilę, żeby zwrócić się do Milesa.

- Może się jeszcze spotkamy - powiedział, wyciągając do chłopca rękę, a kiedy Miles wyciągnął swoją, zauważył na przedramieniu Charliego dużą czerwoną plamę, ślad po zetknięciu z trującym sumakiem.

- Charlie - przypomniała Grace; w dole zdejmowano już trap z burty.

Zwrócili się twarzą do siebie.

- Grace.

- Wiem - powiedziała Grace. - Wiem. Idź.

I wtedy dopiero ruszył biegiem, wymachując rękami i krzycząc na dokerów poniżej. Bez słowa protestu ponownie podjechali z trapem do burty, a Charlie, skoro tylko znalazł się bezpiecznie na ziemi, uściskał dłoń bosmanowi, zupełnie jakby udało im się wspólnymi siłami dokonać jakiegoś wielkiego i skomplikowanego wyczynu. Potem rozległ się gwizd i prom zaczął odbijać od pirsu, a Charlie Mayne stał na końcu doku i przez cały czas do nich machał. Machał tak długo, aż jego postać stała się całkiem malutka, ale z oddali Miles widział jeszcze, jak raz po raz przestawał na chwilę machać, żeby się podrapać. Nieoczekiwanie zrobiło mu się go żal, bo pomyślał, że Charlie został na wyspie bez maści, że nie miał nic, co mogłoby ulżyć jego cierpieniu. Dopiero po jakimś czasie Miles zdał sobie sprawę, że matka już przy nim nie stoi.

Wyspa całkiem zniknęła w oddali i z wolna cienka linia brzegowa przyładka Cod zaczęła się coraz wyraźniej rysować na horyzoncie, gdy Grace wróciła na pokład. Miles od razu poznał, że znowu chorowała, a kiedy zbliżała się do niego chwiejnym krokiem, wyraźnie osłabiona, była tak niepodobna do tej postaci, która wyłoniła się z porannej mgły, że zaczęła się

zastanawiać, czy mu się to wszystko nie przyśniło. Na wypadek, gdyby jednak to nie był sen, odczekał, aż ona usiądzie obok niego, a wtedy powiedział:

- Nic nie powiem tacie. Obiecuję.

Wiedział, że go usłyszała, ale wyglądała tak, jakby go nie słuchała. Wzięła go za rękę i już żadne z nich nie odezwało się ani słowem, dopóki prom nie wpłynął do portu Woods Hole i objijając się twardo o pirs, całkiem się nie zatrzymał.

Stali przy relingu, który Grace ścisnęła tak mocno, aż palce jej zbieleły. Na koniec zaczerpnęła głęboko powietrza i powiedziała:

- Pomyliłam się.

Próbował coś powiedzieć, ale ona tylko potrząsnęła głową, nakazując mu milczenie.

- Pomyliłam się, kiedy ci powiedziałam, że po powrocie do domu wszystko się zmieni - rzekła. - Nic się nie zmieni. Nic a nic.

Chciał wierzyć, że miała rację, ale obawiał się, że nie miała. W dole na nabrzeżu stał jakiś mężczyzna w czapce na głowie z napisem Red Sox i dopiero ten widok przypomniał Milesowi, że nie zabrał swojej rękawicy. Zobaczył ją w myślach leżącą na nocnym stoliku koło swojego łóżka w domku przy plaży. Dokładnie tam, gdzie ją zostawił.

## Część druga

### 9

Jeszcze zanim Miles przejechał przez Iron Bridge w drodze do pani Whiting, był już i tak w kiepskim humorze. Przez kilka ostatnich dni było szaro i deszczowo, zbyt mokro, żeby popchnąć malowanie św. Katarzyny do przodu. Tego ranka nareszcie się przejaśniło i zapowiadało się długie, słoneczne popołudnie pod wysokim pogodnym niebem, błękitnym jak jajko drozda. Kto wie, pomyślał Miles, w taki dzień jak ten nawet człowiek, który boi się wysokości, byłby w stanie znaleźć w sobie dość odwagi, by pomalować kościelną wieżę. To znaczy, mógłby pomalować, gdyby nie to, że otrzymał telefon od swojej chlebodawczyni z wiadomością, że ma dla niego niespodziankę, może więc zechciałby wpaść do niej z wizytą jeszcze tego samego dnia. Jakkolwiek Miles był za mądry, żeby żywić jakiegokolwiek nadzieję, mimo to kiedy skręcał między dwoma kamiennymi pilastrami i objeżdżał okrągły podjazd, przemknęło mu przez myśl, że może stara dziedziczka zmieniła jednak zdanie w kwestii licencji na sprzedaż alkoholu. Albo że nadal jest przekonana, iż to on powinien zostać burmistrzem, i teraz chce go poinformować, że zamierza sfinansować jego kampanię.

Ledwie jednak zaparkował przed głównym wejściem, wysiadł z jetty, ruszył w stronę drzwi frontowych, natychmiast odgadł, jaką to niespodziankę miała dla niego pani Whiting, i zamarł z wrażenia w pół kroku. Jedne z drzwi do podwójnego garażu, te, które zazwyczaj pozostawały zamknięte, stały teraz otworem, odsłaniając w głębi starego beżowego lincolna z oznakowaniem pojazdu inwalidzkiego. Na ten widok Miles Roby, dorosły mężczyzna, musiał zebrać w sobie całą wewnętrzną siłę, na jaką było go stać, by wejść po schodach i nacisnąć dzwonek, a nie zawrócić, wsiąść do samochodu i czym prędzej odjechać, pozostawiając za sobą jedynie ciemne ślady



spalonej gumy na asfalcie. Miles zdawał sobie sprawę, że tak właśnie postąpiłby w tej sytuacji Max. On jednak stał teraz posłusznie i obowiązkowo przed frontowymi drzwiami i zastanawiał się, zresztą nie po raz pierwszy w życiu, co takiego miał w swoim charakterze, co powstrzymywało go od tego, by w zetknięciu z jakąś nieprzyjemnością okazać to, jakże typowe dla jego ojca, pogodne, zdroworozsądkowe tchórzostwo. Max miał w sobie dokładnie zero pragnienia, by cierpieć samemu, i jeszcze mniej, by dzielić cierpienie z innymi. Według niego, niechęć ta nie wymagała wyjaśnienia ani wybaczenia. To raczej inni powinni się tłumaczyć z tego, że lubią cierpieć.

Nim Miles zdołał znaleźć jakieś wyjaśnienie powodów, dla których wspaniałe instynkt samozachowawczy jego ojca został jemu samemu poskąpiony, drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i ujrzał Cindy Whiting, która z wielkim wysiłkiem próbowała, jak zawsze, odkąd była dzieckiem, zejść samej sobie z drogi, zmuszając do posłuszeństwa swoje okaleczone ciało, które jakże okrutnie ją zawiodło. Zrobiła postępy, co Miles natychmiast zauważył, zamieniając kule, jakich używała ostatnim razem, kiedy ją widział - jakieś pięć lat temu? - na mocny, aluminiowy balkonik na czterech nogach. Musiała dokonać tej zmiany stosunkowo niedawno, ponieważ widać było, że nie czuje się jeszcze zbyt pewnie z tym urządzeniem. Otwieranie drzwi zza czegoś takiego musiało być naprawdę trudnym zadaniem i opanowywanie tej sztuki mogło zająć człowiekowi spory kawałek życia. Aby dosięgnąć klamki, prawdopodobnie należało taki balkonik ustawić przodem do drzwi, ale wówczas te by się zablokowały; można je było otwierać tylko wycofując się stopniowo, niezadarnymi i upokarzająco małymi etapami, centymetr po centymetrze.

- Cindy! - zawołał Miles przez na wpół otwarte drzwi, udając zaskoczenie i radość. - Nie miałem pojęcia, że jesteś w domu.

Jej oczy natychmiast napelniły się łzami.

- Och, Miles! - zawołała, zasłaniając usta wolną ręką, z wyraźnym przejęciem. - Tak bardzo chciałam zrobić ci niespodziankę. Zaskoczyłam cię, prawda?

- Wyglądasz wspaniale - powiedział Miles. Była to przesada, być może, chociaż faktycznie wyglądała nadspodziewanie dobrze. Przytyła parę kilogramów, co jakby dodało kolorów jej bladej karnacji. Cindy Whiting trudno było nazwać piękną, ale mogłaby być atrakcyjna, gdyby ktoś jej doradził, jak ma się ubierać, gdyby przestała nosić stroje bez gustu i fryzury przynajmniej o dziesięć lat dla niej za poważne. Już mając dwadzieścia lat, wyglądała jak stara panna. Po trzydziestce wpisała się całkowicie w tę rolę.

Teraz, w wieku czterdziestu dwóch lat - Miles wiedział dokładnie, w jakim wieku jest Cindy, ponieważ urodzili się tego samego dnia w szpitalu w Empire Falls - sprawiała wrażenie, jakby nareszcie odkryła w sobie szczyptę kobiecości, a kto wie, może nawet zapomnianej dziewczęcości.

- Wejź, proszę - powiedziała. - Pozwól, niech ci się dobrze przyjrzę.

Ale zrobiwszy krok do przodu, Miles zahaczył końcem buta o jej balkonik, powodując, że Cindy ponownie musiała się uchwycić obiema rękami za poręcz.

- Jak widzisz, nadal jestem ucieleśnieniem gracji - rzekła szybko i dla zilustrowania swoich słów zaczęła udawać, że traci równowagę, a Miles, który przez całe życie musiał w stosunku do niej wyrabiać w sobie niezbędną odporność wewnętrzną, poczuł, jak coś w nim topnieje. Odkąd miała kilkanaście lat, próbowała umniejszać swoją tragiczną ułomność, odwołując się do autoironii, która głównie polegała na tym, że Cindy pokazywała, jak łąduje na siedzeniu, przy czym chyba nigdy nie zdawała sobie sprawy, że nie jest to najlepszy dowcip. Choćby dlatego, że te udawane upadki niewiele się różniły od prawdziwych, co nie zmiennie kończyło się tym, że ludzie rzucali się jej na pomoc. Co gorsza, bywały nieraz groźniejsze w skutkach niż te, które przytrafiały jej się w sposób niezamierzony. Miles wiedział, że jej nadgarstki w wielu miejscach trzymają się na metalowych śrubach, ale najwyraźniej potrzeba naśmiewania się z samej siebie była u niej silniejsza niż obawa przed kolejnym złamaniem kości.

Każdą inną kobietę w podobnej sytuacji Miles uściskałby na powitanie i każda inna świetnie by rozumiała, co taki uścisk oznacza, że jest niczym więcej niż: „Witaj, przyjaciółko, nie widzieliśmy się kopę lat”. Jednak ta kobieta natychmiast skorzystałaby z okazji, żeby się go uchwycić kurczowo, a następnie zalać łzami, rozmazując makijaż na jego koszuli i ze szlochaniem zawołać: „Och, Miles! Och, mój drogi, kochany Miles!”. Ostatnim razem, kiedy się widzieli, uniosła obie kule w powietrze, tak jak jedna z tych kalek w telewizji na uzdrawiającym spotkaniu ewangelicznym, po czym ku jego przerażeniu rzuciła mu się w objęcia, tym samym zmuszając go, by i on pochwycił ją w ramiona równie mocno, w przeciwnym razie osunęłaby się po jego ciele na ziemię. Tym większą wdzięczność teraz odczuł - Boże, wybacz, ale właśnie tak: wdzięczność! - za ten nowy aluminiowy wynalazek, który ich odgradzał i pozwolił mu tylko nachylić się do przodu i złożyć niewinne cmoknięcie na jej policzku, co, według niego, było znacznie odpowiedniejszym powitaniem osoby, która się w nim kochała od szkoły

podstawowej i na dowód tego dwukrotnie podejmowała próby samobójcze, twierdząc, że Miles jest ich powodem.

- Witaj - odezwał się niezręcznie, na gwałt usiłując znaleźć jakieś rozwiązanie dylematu retorycznego, z którym, jak podejrzewał, niewielu ludzi musiało się na co dzień mierzyć: co dokładnie należało powiedzieć kobiecie, która usiłowała ze sobą skończyć z naszego powodu. - Jak się masz, Cindy?

- Doskonale, Miles - odparła. - Mam się naprawdę świetnie. Nawet lekarze są zdumieni. - Po czym, jakby zdała sobie sprawę, jak dalece jest to mało prawdopodobne, dodała: - Twierdzą, że to istny cud. Zupełnie jakby moja dusza niespodziewanie postanowiła sama się uzdrowić. Nie miałam nawrotów od czasu...

W tym miejscu przerwała, chcąc sobie to przypomnieć, i najwyraźniej zaczęła robić obrachunek w pamięci, chociaż Miles nie miał pojęcia, czego te liczby miałyby dotyczyć, co takiego sumowała czy też odejmowała, czy były to duże czy małe liczby, czy reprezentowały dni, tygodnie, miesiące, a może lata. Podczas gdy ona rachowała, Miles objął wzrokiem hall wejściowy i salon Whitingów i jak zawsze, nie wiedząc czemu, poczuł się z lekka nieswojo. Wprawdzie pokoje były przestronne, ale nieproporcjonalnie niskie, co w Milesie, który był wysoki, wywoływało nie tyle nawet uczucie klaustrofobii, ile walącego się na głowę wielkiego ciężaru. Pani Whiting była kolekcjonerką, na ścianach wisiały same oryginały, ale obrazy te w przeważającej mierze, jak zauważył Miles, nie były dobrze wyeksponowane. Większe dzieła dziwnie przytłaczały ściany, na których je umieszczono. Nawet najbardziej przez niego ulubione, jak choćby kilku pomniejszych Johnów Marinów, wyglądały tak, jakby nie były na swoim miejscu - pejzaże z okolic Marine uwiecznione w tych wnętrzach wbrew swojej woli. Co charakterystyczne, w oczy rzucał się brak rodzinnych fotografii, które pani Whiting ofiarowała w całości na rzecz starej rezydencji Whitingów w centrum miasta. Nikogo z rodu Whitingów ani z rodziny Robideaux nie było tu nigdzie na widoku.

- W każdym razie - Cindy Whiting podjęła przerwany wątek, widocznie zrezygnowawszy ze swych obliczeń - wszystko wskazuje na to, że zaczynam nowe życie, jak normalny człowiek, i to w wieku trzydziestu dziewięciu lat. Możesz mi pogratulować.

- Co za wspaniała wiadomość, Cindy - powiedział Miles, gładko przełykając to oczywiste kłamstwo. Urodzony tego samego dnia, Miles był jedynym

człowiekiem pod słońcem, który na pewno by nie zapomniał, ile dokładnie oboje mają lat. Z drugiej strony, podejrzewał, że jej pragnienie, by mieć trzydzieści dziewięć zamiast czterdziestu dwóch, mogło stanowić dowód na to, co mu przed chwilą powiedziała o swojej uzdrowionej duszy. Ostatecznie, zatajenie paru lat jest absolutnie normalną rzeczą, czymś, z czego kobiety są powszechnie znane. Może Cindy nareszcie nauczyła się zastępować duże kłamstwa - jak na przykład, że Miles Roby jest w niej zakochany, a jeśli nawet nie, to któregoś pięknego dnia na pewno będzie - które wystawiały na niebezpieczeństwo jej zdrowie psychiczne, kłamstewkami drobnymi, o wiele mniej szkodliwymi i optymistycznymi. To trochę tak, jak wyobrazić sobie, że w taki słoneczny dzień jak dzisiejszy ktoś budzi się rano z poczuciem, że jest w stanie wejść na drabinę i pomalować kościelną wieżę, która tkwi w samym środeczku błękitnego nieba. Mogłoby się przecież tak zdarzyć.

- Gdzie zamierzasz zamieszkać?

Ledwie Miles wypowiedział te słowa, natychmiast wyczuł, że wbrew jego intencjom ułożyły się w bolesne pytanie.

- Jak to gdzie, tutaj, naturalnie. A gdzież by indziej?

- Oczywiście. Nie o to mi chodziło - skłamał prędko. - Mnie chodziło raczej o to, czy będziesz mieszkać z matką czy też...

- Tylko do czasu, aż znajdę sobie jakieś mieszkanie - powiedziała, uśmiechając się na tę myśl. - Dorosła kobieta powinna móc wychodzić i wracać, kiedy ma na to ochotę, nie sądzisz? I przyjmować u siebie, kogo ma ochotę?

Nim jednak Miles zdołał wyrazić swoją opinię na temat prowadzenia się dorosłych kobiet, za jego plecami rozległo się głośne syczenie, i nie musiał się nawet odwracać, żeby wiedzieć, że gdzieś na horyzoncie pojawiła się jego prześladowczy. Na kotkę wołano Timmy od małego, kiedy to niezależnie od jej prawdziwej płci wszyscy doszli do wniosku, że musi być kocurem, zważywszy na jej agresywną i złośliwą naturę. Małe kocie - kompletnie przemoczone, ze zmierzwionym futerkiem i żółtymi ślepkami, świecącymi dziko z przerażenia i wściekłości - pojawiło się pewnego ranka na patio u Whitingów, gdzie miauczało tak rozpaczliwie, że Cindy Whiting, przebywająca w domu na przepustce z zakładu w Augustie, wzięła je do siebie i pielęgnowała, dopóki nie wydobrzało. Przypuszczalnie ktoś wrzucił kociaka do wody w górze rzeki, licząc na to, że utonie na głębini albo roztrzaska się o skały przy wodospadach. Zwierzak miał skrawek juty przyczepiony do jednego z pazurków, co mogło świadczyć o tym, że w tę podróż rzezną Timmy

wyruszyła w worku - być może, sądząc po głębokości jej urazu, w towarzystwie swojego rodzeństwa. W każdym razie gdy tylko odzyskała siły, Timmy zmieniła się w złośliwą małą kreaturę, której jedyną życiową ambicją było rozszarpanie całego świata na strzępy. Kastracja wydawała się dobrym wyjściem z sytuacji, tyle że - jak zauważył natychmiast weterynarz, do którego Timmy została zawieziona na zabieg - mało praktycznym, zważywszy na jej pleć.

Zdaniem Milesa, pleć Timmy stanowiła mniejszy problem niż jej metafizyczna natura, która wyraźnie była nie tyle kocia, ile raczej szatańska. Horacy Weymouth, który z uwagi na swoją pracę reportera w „Empire Gazette” wielokrotnie przeprowadzał wywiady z panią Whiting w jej wiejskiej rezydencji, przysięgał, że Timmy jest wielką faworytką starej damy, a Miles, który sam również zauważył, że takie nagłe pojawienie się często zbiega się ze wzmianką o pani Whiting lub z jej nadejściem, był skłonny się z nim zgodzić.

Ponieważ okazało się, że Timmy nie posiada jąder, które można by jej usunąć, odesłano ją nietkniętą do domu, skąd z kolei odesłano ją do piwnicy, zaopatrzwszy w kuwetę z piaskiem i jedzenie na tydzień, w nadziei że zamknięcie w ciemnościach pomoże jej dojść do przekonania, iż obecni właściciele nie są w żaden sposób odpowiedzialni za nieludzkie traktowanie i minione krzywdy. Nie pomogło. Zwierzę wcale nie przyjęło dobrze swego uwięzienia, które mogło jej przypominać wnętrze jutowego worka. Między podłogą a dolną krawędzią drzwi do piwnicy była mała szpara i Timmy, siedząc na najwyższym stopniu schodów, wsuwała tam łapę i szarpała źle spasowanymi drzwiami niemal tak mocno, jak by to zrobił dorosły człowiek ręką. Z początku nikt nie chciał wierzyć, że małe rozwścieczone zwierzę może narobić tyle rabanu, ale noc w noc Timmy łomotała drzwiami tak straszliwie, że w końcu musieli ją wypuścić; a wtedy dla uczczenia swojej wolności, zaczęła drzeć na strzępy tapicerkę na krzesłach w jadalni. Pod koniec tygodnia pani Whiting poleciła swojej gospodyni, by udała się do apteki i zakupiła dla siebie, dla Cindy i dla niej zatyczki do uszu. Solidne zatyczki.

W nocy, nawet z zatyczkami w uszach, wciąż słyszały rozpaczliwe miauczenie Timmy i szarpanie drzwiami do piwnicy, ale gdzieś po północy hałas ucichł i trzy kobiety zaczęły sobie gratulować, że nareszcie udało im się złamać kociego ducha. Następnego ranka, gdy gospodyni weszła do kuchni, by otworzyć drzwi prowadzące do piwnicy i uwolnić teraz już ujarzmionego - jak to sobie wyobrażała - i ustatkowanego kota, przeżyła największy szok w swoim życiu. W istocie, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Na kaflach

posadzki, w szparze pod drzwiami ujrzała głowę zwierzęcia, odwróconą do góry, z zakrwawionymi kłami, i z łapami przyciśniętymi po bokach do podłogi, tak jakby zmiażdżyły je opadające drzwi. Biedna gospodyni doszła do takiego wniosku na podstawie tego, co zobaczyła. Wiedziała oczywiście, że drzwi nie mogły opaść w taki sposób. Drzwi do piwnicy bowiem otwierały się i zamykały obracając się na dwóch mosiężnych zawiasach, dokładnie tak samo jak wszystkie inne drzwi. Ale z tym przytrzaśniętym pod spodem zakrwawionym kocim łbem i unieruchomionymi łapami wyglądało na to, że drzwi musiały działać na zasadzie bramy do garażu, unosząc się pod sufit i opuszczając do podłogi. I widocznie opadły niczym nóż gilotyny dokładnie w tej samej chwili, w której Timmy próbowała przekroczyć próg. Złudzenie optyczne było tak silne, że rozum biednej kobiety nie potrafił go zweryfikować, dopóki Timmy się nie poruszyła. Niestety, to nowe zjawisko w postaci poruszającej się, zakrwawionej, jakby odciętej od reszty ciała, acz najwyraźniej żywej kociej głowy doprowadziło do tego, że biedna gospodyni wypadła z domu z krzykiem przerażenia.

Jak to zdołano odtworzyć później, przypuszczalnie biedna kobieta weszła do kuchni, udaremniając próbę ucieczki. Od północy kotka, nie zważając na krwawiące dziąsła, metodycznie wygryzała drzwi od spodu, chcąc na tyle poszerzyć szparę, by utorować sobie drogę na zewnątrz. W chwili gdy gospodyni zjawiała się w kuchni, szpara była już na tyle duża, że Timmy, wijąc się na plecach, przecisnęła swój zakrwawiony łebek i częściowo ramiona na drugą stronę. A na nieoczekiwane pojawienie się człowieka po prostu zamarała w bezruchu.

Był to, bez wątpienia, okropny widok, chociaż zapewne niewiele gorszy od tego, jakim obecnie został potraktowany Miles. Wprawdzie Timmy nie miała zakrwawionych kłów od wygryzania piwnicznych drzwi, ale odsłoniła ostre jak brzytwa zębki aż po nasadę, jakby chciała mieć pewność, że Miles je wszystkie dobrze zobaczy. Futro zjeżyła na sztorc, grzbiet wygięła w łuk, zupełnie jak koty w filmach kategorii B w chwili, gdy duch - widzialny jedynie dla zwierząt, a nie dla ludzi - wchodzi właśnie do pokoju. Miles, nie będąc duchem, instynktownie cofnął się o krok.

- Och, Timmy! - zawołała Cindy Whiting i narażając na niebezpieczeństwo swą i tak niepewną równowagę, schyliła się, by pogłaskać zwierzę.  
- Przestań. Nie widzisz, że to tylko Miles?

Na co Timmy odpowiedziała, sycząc, fukając i prychając z jeszcze większym natężeniem niż poprzednio. Miles, który wiedział z doświadczenia, że właściciele dzikich zwierząt rzadko kiedy stanowią odpowiednią ochronę

przed nimi, zaczął się właśnie rozglądać za jakąś bronią, gdy nagle usłyszał dalekie brzęczenie dzwonka, dobiegające gdzieś z głębi domu. Odwrócił się z powrotem w stronę Timmy, ale stwierdził, że kotka zniknęła.

- To mama - powiedziała Cindy, skinąwszy głową w kierunku, skąd dochodził dźwięk. - Musiała usłyszeć, jak przyjechałeś, i teraz się niecierpliwi.

Miles nie przestawał się rozglądać po pokoju w poszukiwaniu kotki.

- Czeka na zewnątrz, w altanie - ciągnęła Cindy. - Kazała mi obiecać, że przyśle cię od razu prosto do niej, wobec tego idź. - Sama zaczęła wykonywać powolny, niezdarny obrót, walcząc ze swoim balkonikiem. - Mnie to trochę zajmie.

- Nic nie szkodzi - powiedział Miles, biorąc ją za łokieć. Wciąż był roztrzęsiony z powodu kotki i swego żenującego lęku przed nią. Dzwonek nie przestawał dzwonić, podczas gdy oni posuwali się wolno przez pokój, a kiedy dotarli do drzwi na patio, Miles ujrzał kotkę, która głośno mrucząc, stała na dwóch tylnych łapach po wewnętrznej stronie drzwi przesuwnych, wczepiając się pazurami w oczka siatki wypełniającej ramę. Siatka była podarta w wielu miejscach, świadcząc o tym, że Timmy nie pierwszy raz prezentowała podobne wyczyny akrobatyczne.

- Ona wprost uwielbia dzwonek mamy - powiedziała ze słodyczą w głosie Cindy.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, Miles dostrzegł starą damę siedzącą w altanie, z twarzą zwróconą w stronę rzeki, plecami do nich. Poruszała dzwonkiem nieprzerwanie, jakby oczekiwała, że na ten dźwięk ryby zaczną wyskakiwać z wody jak na komendę. Wszyscy pozostali zawsze skakali. Dlaczego ryby by nie miały? Grace Roby twierdziła, że słyszała dzwonek swojej chlebobodawczyni nawet przez sen. Miles znowu poczuł, jak serce mu topnieje na myśl o najsmutniejszej prawdzie na temat życia Cindy Whiting, której pole manewru ograniczało się do wyboru pomiędzy mieszkaniem w domu i odpowiadaniem na ten dzwonek a pobytem w szpitalu stanowym w Auguście.

Miles westchnął głęboko i nim wyszedł na zewnątrz, zwrócił się do niej:

- Cindy - powiedział miękko.

Błąd. Ścisnąc kurczowo balkonik lewą ręką, wyciągnęła prawą i chwyciła Milesa za rękaw koszuli, przytrzymując go z zadziwiającą siłą.

- Słyszałam o tobie i Janine - powiedziała. - O twoim rozwodzie. Tak mi okropnie przykro, Miles.

Postawił na szczerą prawdę.

- Mnie również.

Ale Cindy najwyraźniej nie zarejestrowała tonu, jakim to powiedział.

- Ty nigdy jej nie kochałeś, Miles - powiedziała. - Wiem, że nie.

- Ona twierdzi to samo - przyznał zasmucony, że dwie tak różne kobiety jak Janine i Cindy Whiting doszły do tego samego przynębiającego wniosku.

Wypuściwszy jego koszulę, Cindy chwyciła go z kolei za palce, a jej uścisk zwarł się na nich niczym szczęki imadła.

- Skłamałam, Miles - powiedziała, a z oczu popłynęły jej łzy. - Wcale mi nie jest przykro z powodu twojego rozwodu. To daje mi iskierkę nadziei...

- Cindy... - zaczaj, usiłując wydostać palce z tego uścisku, nie zaburzając przy tym jej delikatnej równowagi. Dzwonek na zewnątrz rozbrzmiewał teraz donośnie.

- Ja wciąż cię kocham, Miles. Wiesz o tym, prawda? To jedyna rzecz, na którą związki litu nie działają. Wiedziałaś o tym? Leki uspokajające zalewają ci mózg i sprawiają, że wszystko lepiej znosisz, ale nie mogą dotknąć twego serca! Nie potrafią odmienić tego, co już tam jest, Miles. - Przycisnęła jego dłoń do swojej piersi, żeby mógł lepiej poczuć prawdę tych słów. Milesowi wydawało się, że dzwonek pani Whiting huczy już teraz w jego głowie niczym róg myśliwski. Spróbował oswobodzić rękę, ale nie mógł, przynajmniej nie tak, żeby przy okazji nie przewrócić Cindy.

- Powinienem już tam pójść...

- Jeszcze nie, Miles.

- Cindy - powiedział ostrzej, niż zamierzał, kiedy w końcu udało mu się uwolnić dłoń, a ona ponownie chwyciła obiema rękami za poręcz balkoniku. - Cindy, proszę cię.

Balkonik zachwiał się, Miles złapał ją za nadgarstek, ten sam, który sobie przecięła przed dwudziestu laty.

- Już dobrze - rzekła, wyraźnie starając się zapanować nad sobą. - Idź!

To chyba niemożliwe, że Bóg istnieje, pomyślał Miles. Jego po prostu nie ma.

- Cindy - powtórzył.

- No idź - powiedziała, cofając się teraz i ciągnąc za sobą balkonik. - Już wszystko w porządku.

Miles odetchnął głęboko, a potem usłyszał swój własny głos, który powiedział:



- Może zadzwonię do ciebie w tygodniu, co ty na to?

Na tę propozycję jej twarz rozjaśniła się tak błyskawicznie, aż Miles przez moment pomyślał, że go nabrała.

- Naprawdę, Miles? Zadzwonisz do mnie?

Musiał zdobyć się na wysilek, żeby ukryć zniecierpliwienie.

- A dlaczego nie miałbym zadzwonić? - spytał, on, człowiek, który miał po temu więcej powodów, niż mógłby zliczyć.

- Och, Miles! - Jej dłoń ponownie powędrowała do ust. - Drogi, dobry Miles.

Drogi, dobry Boże.

Doszedł już do drzwi przesuwnych, oddzielających pokój od patio, kiedy usłyszał, że ona znowu go woła. Twarz jej spochmurniała i nabrała wyrazu, który pamiętał z czasów, gdy była młodą dziewczyną, a który towarzyszył zwykle uświadomieniu sobie jakiejś straszliwej prawdy.

- Miles?

- Tak, Cindy?

- Tam, na dworze... Kiedy wysiadłeś z auta... Zatrzymałeś się i stałeś z dobrą minutę na podjeździe. Wyglądałeś, jakbyś... jakbyś chciał uciec.

Na oczekaniu wymyślił kłamstwo, którego teraz bardzo potrzebował.

- Nie, zdałem sobie tylko sprawę, że zapomniałem czegoś, co miałem dać twojej matce. Wiesz, jaka ona jest - rachunki, rachunki za każdy wydatek.

Przyglądała mu się dłuższą chwilę.

- Bo przyszła mi do głowy straszna rzecz - powiedziała wolno - że może zauważyłeś mój samochód i domyśliłeś się, że jestem w domu.

- Cindy... - zaczął Miles.

- Wiesz, Miles, potrafię znieść, że mnie nie kochasz - rzekła. - Żyję z tym od tak dawna. Ale jak pomyślę, że z mojego powodu mógłbyś zapragnąć uciec...

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi - zapewnił ją. - Nie chcę od ciebie uciekać.

Posłała mu uśmiech, w którym nadzieja i wiedza spierały się ze sobą, niczym dwaj odwieczni zapaśnicy o równych szansach w zwarcu na gołe pięści. Nie, jednak mimo wszystko Bóg istnieje, stwierdził Miles, wychodząc do ogrodu. Nieszczęście, które znosimy, jest zgodne z jego planem.

Zamiast rozmyślać o Bogu, Miles lepiej by zrobił, gdyby zwrócił baczniejszą uwagę na koteczkę Timmy, ponieważ dokładnie w tym samym momencie, w którym on podszedł do drzwi, żeby je przesunąć, pani Whiting

postanowiła przestać dzwonić swoim dzwoneczkiem, tym samym wyrwijając Timmy z kociego transu. W jednej sekundzie zwierzę przestało wydawać swoje głębokie, gardłowe mruczenie i nim Miles się zorientował, rzuciło się na niego i przeryło pazurami wierzch jego dłoni.

- Och, Timmy - zawołała Cindy Whiting na ten widok. - Ależ z ciebie jest mała złoźnica!

- Czy przyszło ci kiedyś do głowy, drogi chłopcze, że życie jest jak rzeka? - spytała pani Whiting, gdy Miles usiadł naprzeciwko niej w altanie. Zadając to pytanie, stara dama jasno dawała do zrozumienia, jak zawsze zresztą, kiedy stawiała podobne pytania, że bynajmniej nie oczekuje odpowiedzi, która by ją miała oświecić. Podczas gdy zdarza się, że ludzie swoim zachowaniem sugerują, iż wiedzą coś, czego my moglibyśmy nie wiedzieć, pani Whiting zawsze niedwuznacznie dawała do zrozumienia tylko jedno: że ona wie wszystko, w odróżnieniu od reszty ludzi, którzy wszystkiego wiedzieć nie mogą. Jedynie ona daną rzecz zauważa, dlatego czuje się w obowiązku, by innym, przynajmniej po części, to wyjaśnić.

Ubrana była elegancko, zwłaszcza jak na przebywanie we własnym ogrodzie. O ile Cindy z wolna zaczynała przypominać zaniedbaną starą pannę, o tyle sama pani Whiting - z włosami starannie ostrzyżonymi i ułożonymi, w tweedowym żakiecie i świetnie skrojonych spodniach moleskinowych, ze zwojami bransoletek, pobrzękujących żywo na nadgarstkach, gdzie ani śladu po żadnych bliznach - wyglądała jak kobieta, która z racji wieku mogłaby już zdecydować się na starość, ale jest w tak dobrej formie, że przeciwnie, stawia na młodość. I rzeczywiście w jakiś sposób udało jej się tą młodość zawrócić, nie wszystko od razu, naturalnie, ale stopniowo, po malutku, minuta za minutą, godzina za godziną - odwracając bieg wskazówek zegara, aż do osiągnięcia pożądanego efektu. A co jeszcze bardziej niesamowite, pani Whiting promieniowała - choć Miles nie miał pojęcia, jak to było możliwe - także seksualnością, żywą, pulsującą seksualnością. Coś w jej znaczącym uśmiechu sugerowało, że całkiem niedawno uprawiała seks, i to znacznie bardziej niedawno niż Miles, o czym na dodatek zdawała się wiedzieć. I że mogło być nawet tak, iż przez moment rozważała jego kandydaturę jako partnera do łóżka, tyle że ostatecznie odrzucała tę możliwość.

W tej chwili usadowiła się w plamie gasnącego wrześnie słońca, Milesowi pozostawiając miejsce na krześle w chłodnym cieniu. Miles zwrócił

na to uwagę, jednocześnie przypomniał sobie, co powiedział jego brat o pani Whiting, że to kobieta niezmiernie żywotna, której daleko do umiarności, gdy tymczasem osoby z jej otoczenia zmuszone są żyć w pewnym zniewoleniu. Zwrócony plecami do rzeki, Miles miał przed oczyma opadający skłon trawnika i żwirową ścieżkę, obrzeżoną białą cegłą, która zakolami wiodła pod górę do domu. Gdyby tylko zechciała, pani Whiting mogłaby kazać poszerzyć tę ścieżkę, a może nawet i wyłożyć płytami, tak by jej kaleka córka również miała dostęp do altany. Ostatecznie był to najładniejszy element architektoniczny w całej posiadłości, zwłaszcza w słoneczne popołudnie, chociaż dzisiaj wydawało się Milesowi, że wyczuwa w powietrzu jakiś dziwny zgniły zapach.

- Podejrzewam, że każdy, kto kiedykolwiek widział rzekę, musiał o tym pomyśleć, pani Whiting - powiedział. Po rozmowie z Cindy Miles nie był w nastroju do abstrakcyjnej filozofii. Srebrny dzwonek stał na stole pomiędzy nimi i Miles musiał się siłą powstrzymać, żeby go nie chwycić i nie wrzucić do rzeki. I na pewno nie byłaby to Rzeka Życia. Stara dama musiała wyczytać to w jego myślach, ponieważ wzięła dzwonek ze stołu i przestawiła go bliżej siebie, w bezpiecznej odległości od niego.

- Mój zmarły mąż... - zaczęła pani Whiting, ale zaraz przerwała. - Czy spotkałeś go kiedyś?

- Nie przypuszczam. - Miles był w college'u, gdy C. B. Whiting wpakował sobie kulkę w głowę. W tej altanie, jak mówiono. Prawdę mówiąc, ilekroć spotykał się z panią Whiting akurat tutaj, robił świadomy wysiłek, żeby zaledwie się nie rozglądać w poszukiwaniu śladów po strzale z broni palnej, jakiegoś małego kawałeczka brakującego w drewnianym okratowaniu altany albo jakiejś krokwi rozszczepionej od kuli.

Starsza pani przyglądała mu się przez chwilę, a następnie wzruszyła ramionami. Swoboda, z jaką przywoływała pamięć człowieka, który pozbawił się życia - na Boga, jej własnego męża - zawsze go zadziwiała. Wydawało się, że robi to specjalnie, jakby wręcz czekała na to, że to inni będą zażenowani podobnymi wzmiankami, a nie ona.

- Być może spotkałeś go, nawet o tym nie wiedząc. Nie był typem człowieka, na którego zwróciłbyś uwagę, chyba że wiedziałbyś, iż jest bogaty.

- Pani zwróciła na niego uwagę - nie mógł się powstrzymać Miles.

- To prawda - zaśmiała się cicho. - I właśnie ci wyjaśniłam dlaczego. W każdym razie podejrzewam, że nie był bardziej szalony od innych mężczyzn, a mimo to nigdy nie zgadniesz, czym się zajmował, kiedy go poznałam. Wyobraź sobie, usiłował zawrócić bieg rzeki, tak, tak, naszej rzeki. Wydał

małą fortunę, by za pomocą dynamitu przebić kanały, a następnie zbudować wały umacniające i groble w górnym biegu, że nie wspomnę o łapówkach, którymi musiał przekupić urzędników stanowych, żeby mu na to wszystko wydali odnośne pozwolenia, a wszystko po to, by na naszym brzegu nie gromadził się śmietnik. Co więcej, umarł w przekonaniu, że mu się to udało. I jak, co powiesz na taki rodzaj szaleństwa?

Miles wzruszył ramionami, zbyt zirytowany, by udawać wielkie zainteresowanie arogancją ludzi bogatych.

- Ale teraz rzeka znowu robi, co jej się żywnie podoba, a podoba jej się nanosić z prądem gnijącą padlinę i śmietnik wszelkiego autoramentu na mój piękny trawnik. Stąd ten uroczy zapasek, który zapewne zauważyłeś, kiedy tu przyszedłeś. I to jest właśnie to, o co mi chodziło. Życie ludzkie jest jak rzeka. Wyobrażamy sobie, że możemy kierować jego nurtem, chociaż u kresu czeka nas wszystkich jedno i to samo przeznaczenie, a jeśli pozostajemy wierni sobie, to wyłącznie dlatego, że nie mamy innego wyboru. Ludzie mówią o egoizmie, ale to kolejne szaleństwo, ponieważ oczywiście nie ma czegoś takiego. To rzecz, której nigdy nie zdołałam wytłumaczyć twojej świętej pamięci matce. Na swój własny sposób była jak mój zmarły mąż, z tą różnicą, że ona próbowała zawracać ludzkie rzeki.

Miles udawał, że ogląda zadrapanie pozostawione przez Timmy na jego dłoni. Szrama, która miała poszarpane krawędzie i już napuchła na całej długości, zarazem piekła i swędziała. Być może rzeczywiście Grace Roby była na tyle szalona, by wierzyć, że mogłaby zmienić czyjeś życie. Nie ulega żadnej wątpliwości, że ta myśl przyświecała jej, gdy postanowiła wyjść za mąż za Maxa. Była jednak pewna różnica. Nigdy nie próbowałaby zawrócić biegu rzeki tylko po to, by śmietnik nie gromadził się przy jej brzegu. Przez sekundę rozważał, czy nie zwrócić pani Whiting uwagi na tę różnicę, ale zaraz się rozmyślił.

- Mogła mnie pani uprzedzić, że Cindy jest w domu - powiedział.

- Chciała ci sprawić niespodziankę - odparła stara dama, pochylając się, by coś podnieść spod okrągłego stołu. Ku zaskoczeniu Milesa okazało się, że to kotka Timmy. Czasem mu się wydawało, że w tym domostwie muszą być dwa takie same koty, bo zwierzę nigdy nie przechodziło z miejsca na miejsce, tylko po prostu nagle się materializowało. Miles zauważył, że drzwi przesuwne na patio są zamknięte. Jak ona mogła się stamtąd wy dostać, a następnie przejść przez cały trawnik, tak że on tego nie zauważył?

Miles starł chusteczką krew z ręki, zerkając na Timmy ostrożnie i jak zwykle zastanawiając się, dlaczego ktoś trzyma w domu kota o morderczych zapędach, skoro tuż pod progiem domu ma taką wspaniałą rzekę. Zdecydowanie poprzedni właściciel kotki wpadł na słuszny pomysł. Jednakże w tej chwili Timmy zupełnie nie wyglądała na morderczynię. Wtulila się w łono swojej pani i zaczęła głośno mruczeć, przyglądając się Milesowi z typową dla zwierząt obojętnością, a jej powieki przysmykały się powoli, jakby ociężala od senności, by po chwili otworzyć się znowu, odsłaniając ślepią koloru uryny.

- Która z nich cię podrapała, moja córka czy ona?

- Modłę się o dzień, w którym pani w końcu uśpi tę jędzę - odpowiedział zgodnie z prawdą, gdyż wielokrotnie sam oferował się z pomocą w tej sprawie. - I wcale nie trzeba by robić tego tutaj.

- Drogi chłopcze - uśmiechnęła się stara kobieta. - Jak się zdenerwujesz, przestajesz wyrażać się zrozumiale. Domyślam się, że to, co powiedziałeś, odnosiło się do kota. Popraw mnie, jeśli się mylę.

Miles westchnął.

- Boję się, że ją zdenerwowałem. Nie chciałem jej...

- Biedny Miles - powiedziała pani Whiting. - Masz przerost poczucia odpowiedzialności. Wiesz przecież doskonale, że to nie ty jesteś odpowiedzialny za smutny żywot mojej córki. Byłeś mały, kiedy miała wypadek.

Rzeczywiście, to okropne wydarzenie było jednym z jego najwcześniejszych i najżywszych wspomnień z dzieciństwa. Miles sam nie widział tego, jak przejechano dziecko, ale ludzie opowiadali o tym wypadku przez wiele tygodni i straszne sceny zalegały w jego przerażonym umyśle jeszcze bardzo długi czas potem. Samochód, który uderzył, a potem włócił dziewczynkę za sobą, zmiażdżył jej obie nogi i połamał kości miednicy. Doznała też poważnych obrażeń głowy, co spowodowało, że zaraz po przewiezieniu do szpitala zapadła w śpiączkę i przez wiele tygodni istniały obawy, że nie ma szans na przeżycie.

Władze prowadziły długie i zawzięte poszukiwania jasnozielonego pontiacca, którego zauważono, jak odjeżdżał z miejsca wypadku. Miles wciąż pamiętał, że wszyscy właściciele pontiaców w Empire Falls stali się przedmiotem podejrzeń. Z początku przypuszczano, że kierowca mógł być miejscowy, gdyż wypadek zdarzył się tuż za mostem Iron Bridge po stronie Whitingów. W owych czasach za rzeką znajdowała się jedynie posiadłość Whitingów, i jeszcze siedziba klubu sportowego. Ojciec Jimmy'ego Minty miał wtedy czerwonego pontiacca, starego grata, którego zawsze parkował na wspólnym podjeździe pomiędzy ich domem a domem Robych na znak, że

oni posiadają auto, a rodzina Milesa nie, to znaczy przeważnie nie. Max ciągle kupował jakieś samochody, ale rzadko za nie płacił, co niezmiennie kończyło się tym, że zabierano je z powrotem. Miles był jeszcze małym chłopcem, kiedy wykonywał, że okresowe znikanie ojca z domu ma jakiś związek z odzyskiwaniem tych samochodów, dlatego pewnego razu zapytał matkę, czy razem z samochodem odebrano również Maxa. Ta uwaga bardzo ją rozbawiła, a on poczuł się głupio, bo powiedział żart, którego sam nie rozumiał.

Z okna swojej sypialni na piętrze Miles widział na podjeździe czerwonego pontiaca Mintych i był święcie przekonany, że wprawdzie kolor się nie zgadzał, ale musiał to być ten samochód, który przejechał córeczkę Whitingów. Pan Minty był dużym mężczyzną, a do tego okropnie wybuchowym, i według Milesa należał do tego typu ludzi, którzy przejeżdżają małe bogate dziewczynki. Ciągle zachodził do nich do kuchni - chociaż nigdy, kiedy Max był w domu - i proponował mięso ze swojej zamrażarki. Grace zwykle zapraszała ludzi, by weszli do środka, ale nigdy nie proponowała tego panu Minty'emu, który miał zwyczaj się na nią tak obcesowo gapić z góry na dół, że aż Miles czuł się nieswojo. Widząc, że pan Minty się zbliża, Grace zawsze upewniała się, że drzwi z siatki są zamknięte. A teraz zbrodniczy pojazd stał sobie na podjeździe jak gdyby nigdy nic i pewnie tylko czekał, żeby Miles przez nieuwagę znalazł się za nim. Ale chociaż był małym chłopcem, instynktownie rozumiał, że gdyby to on został przejechany, nie wzbudziłoby to aż takiej sensacji, jaką wywołał wypadek Cindy Whiting.

I miał rację. Fakt, że ofiarą była córka Whitingów, poruszył wyobraźnię wszystkich mieszkańców hrabstwa Dexter. Świadomość, że taka tragedia mogła dotknąć rodzinę, która niejako historycznie była chroniona od wszelkich nieszczęść, wywołała falę filozoficznych rozważań, zwłaszcza po sąsiedzku w kręgach robotników przędzalni. Był to bezpośredni dowód, że Bóg nikogo nie faworyzuje. Że tak naprawdę nie miłuje bogatych bardziej niż biedaków, ale trzeba było dopiero takiej tragedii, żeby wszystkim wątpiącym udowodnić tę prawdę.

Grace nie podobało się całe to gadanie, co zaskoczyło Milesa, ponieważ zawsze mu powtarzała, że w każdej rzeczy na ziemi można się dopatrzeć Bożej ręki. Ale w tym wypadku była nieugięta; Bóg nie mógł siedzieć za kierownicą tego pontiaca, a jej słowa spowodowały, że Miles zaczął się zastanawiać, czy czasem matka nie postanowiła opowiedzieć się po stronie Boga w nadziei, że jak następnym razem zechce zesłać kolejne nieszczęście na świat, wówczas będzie pamiętała o tych, którzy byli mu wierni.

Nawet jeśli pani Whiting rzeczywiście miała rację, że Miles przesadza z tym swoim poczuciem odpowiedzialności za Cindy, to było to o tyle uzasadnione, że patrząc z perspektywy czasu, mógł powiedzieć, że jego matkę ten wypadek autentycznie wytrącił z równowagi, tak jakby stał się potwierdzeniem czegoś, czego się zawsze obawiała - że świat roi się od niebezpieczeństw. Odtąd przez lata wykorzystywała tamto wydarzenie jako argument, by odwozić Milesa od wspinania się na drzewa, opisując, co by się stało, gdyby spadł, i pytając, czy chce być kaleką do końca życia, jak mała Cindy Whiting. Naturalnie Milesowi podobne rozumowanie wydawało się całkowicie pozbawione sensu, gdyż jego zdaniem właśnie siedzenie na drzewie zmniejszało szansę, że się zostanie przejechanym przez jakiś samochód. Ale Grace była niewzruszona w swych sądach.

Ponieważ ona i pani Whiting urodziły dzieci tego samego dnia i w tym samym szpitalu, jego matka wyobraziła sobie, że on i Cindy Whiting są duchowymi bliźniakami, przynajmniej takie wyrobiła w nim przekonanie. Od samego początku Grace zawsze pamiętała, żeby wysłać małej córeczce Whitingów kartkę na urodziny i święta, mimo że pani Whiting, o ile Milesowi było wiadomo, ze swej strony nigdy nie odwzajemniła się niczym podobnym. Po wypadku Grace dopilnowała, by jej syn raz na zawsze zrozumiał, że odtąd mają specjalne obowiązki wobec małej kaleki. Jeśli Miles miał urodzinowe przyjęcie, Cindy Whiting musiała być zaproszona. Jeśli spotkali ją i jej matkę w mieście, musiał podejść i grzecznie się przywitać. Cindy Whiting, powtarzała mu matka przy każdej okazji, jest dzielną małą dziewczynką, która musi przechodzić jedną operację za drugą. Przytrafiła jej się straszna rzecz, a to oznaczało, że teraz inni ludzie mają obowiązek sprawiać jej różne przyjemności. Grace Roby wierzyła, że jest to powinność każdego człowieka na ziemi, bo taki jest Boży plan - zapisany w Biblii po to, by uczynić życie choć odrobinę lepszym - i że plan ten nakazuje nam nakarmić głodnych, ofiarować ciepłe ubranie zmarzniętym, napoić spragnionych. (Max, szykując się do wyjścia do swego ulubionego pubu, szczególnie przyklaskiwał temu ostatniemu). Ale największą powinnością jest, byśmy obdarzali miłością tych, którzy potrzebują naszego uczucia. (Maxa na ogół nie było już w domu, kiedy jego żona dochodziła do tego istotnego punktu). Zdaniem Grace właśnie miłości ludzie potrzebują najbardziej - bardziej niż pożywienia, schronienia i ciepła - a co szczególnie ważne, miłość nic nie kosztuje. Nawet biedacy mogą sobie pozwolić na to, by ofiarować ją bogatym.

Jakkolwiek matka nigdy nie powiedziała mu tego otwarcie, Miles podejrzewał, że gdy obie z Francine Whiting urodziły swoje dzieci, musiało się w szpitalu coś wydarzyć, co sprawiło, że jego matka nabrała wiary w duchową więź dwójki noworodków. Ale może był to cały splot rozmaitych rzeczy. Nietrudno odtworzyć tok jej myślenia. Dwoje niemowląt urodzonych niemal dokładnie w tym samym czasie, ale przeznaczonych do życia w tak różnych warunkach - jedno bogate, drugie biedne. Bez wątplenia personel szpitala na tysiąc drobnych sposobów dawał Grace do zrozumienia, które z dzieci jest ważniejsze, i zapewne też kobieta tak łagodna i myśląca jak ona musiała się zadumać nad jakże odmiennym losem, jaki czekał jej dziecko oraz dziecko kobiety, której nazwisko brzmiało Whiting, nawet jeśli jeszcze całkiem niedawno brzmiało ono tylko Robideaux. Możliwe, że przemknęło jej przez myśl, iż jest to w pewnym sensie niesprawiedliwe, a może nawet zastanawiała się, czy zdarzyło się tu kiedyś, że przypadkiem zamieniono dzieci w kołyskach i tym sposobem zwykle niedbalstwo zadecydowało o ich przyszłym losie. Nie żeby taka podmiana była możliwa w tym wypadku, kiedy jedno dziecko było chłopcem, a drugie dziewczynką, ale mimo wszystko. No, bo jaka kobieta na miejscu takiej Grace nie zadałaby sobie podobnych pytań?

Jednakże takie tłumaczenie nigdy nie wydawało się Milesowi straszliwie przekonujące. Choćby dlatego, że o ile pamięć go nie myliła, jeszcze przed wypadkiem Cindy Whiting Grace zawsze uważała, że to jej dziecko jest szczęśliwe i obdarzone błogosławieństwem Bożym. Dlaczego? Miles nie miał pojęcia. Nie wiedział, czy jego matka znała Francine Robideaux, zanim ta poślubiła najbogatszego człowieka w całym środkowym Maine, ale raczej w to wątpił, co oznaczało, że Grace nie miała wcześniej żadnych powodów, by podejrzewać, że Francine będzie kiepską matką. Cała wiedza, jaką Grace mogła posiadać o tej drugiej kobiecie, musiała pochodzić z czasu ich wspólnego pobytu w szpitalu. Chociaż z drugiej strony, Grace była uważnym obserwatorem o dużej intuicji, więc może po prostu zauważyła, jak małe dziecko dziewczynka szamocze się, uczepona jałowej piersi matki, i na tej podstawie przepowiedziała jej wieczne niezaspokojenie w przyszłości. Jakkolwiek był powód, Grace zawsze wskazywała na małą córeczkę Whitingów jako kogoś ważnego, kogoś, dla kogo należy być szczególnie miłym. Wypadek i kalectwo, jedynie wzmocniły uczucia Grace, tak więc gdy zbliżał się bal maturalny, a Cindy Whiting ciągle nie miała chłopca, z którym mogłaby pójść, oczywiście padło na Milesa, i musiał ją zaprosić - chociaż już wtedy jego serce biło dla ślicznej dziewczyny, która nazywała się Charlene Gardiner,



była o trzy lata starsza od niego i pracowała jako kelnerka w Empire Grillu, gdzie Miles dorabiał po szkole, sprząając brudne talerze i zmywając garnki, dziewczyny, która chyba zdawała sobie sprawę, jak bardzo jest w niej zakochany, dlatego odnosiła się do niego miło i serdecznie i nigdy nie pozwoliła żadnemu ze swoich licznych chłopaków, żeby się z niego nabijał zbyt ostro w jego obecności, i która czasem zachowywała się tak, jakby brała jego uczucie poważnie.

Niestety, zdaniem Grace Miles nie powinien kochać Charlene Gardiner. To prawda, przyznawała, Charlene jest chyba najładniejszą dziewczyną w całym Empire Falls. Mimo to nie omieszkała mu wytłumaczyć czegoś, na co wprawdzie, jak stwierdziła, jest jeszcze za młody, żeby to zrozumieć, ale kiedyś na pewno przyzna jej rację. „Charlene Gardiner tak naprawdę nie jest dziewczyną”, powiedziała, na co Milesowi szczeka opadła. „Wiem, że nie jest dużo starsza od ciebie, ale to już kobieta, podczas gdy ty jesteś jeszcze chłopcem”.

Co do tego drugiego, to możliwe, że Grace miała słuszość, ale myliła się całkowicie, sądząc, że on nie wie, iż Charlene jest już kobietą. To właśnie podobało mu się w niej najbardziej, a jego wszystkie ulubione fantazje dotyczyły rozmaitych sposobów, na jakie mogłaby go uczynić mężczyzną. Natomiast jeśli chodzi o Cindy Whiting, to podejrzewał, że mogłaby go wyłącznie unieszczęśliwić, i to przeczucie miało mu towarzyszyć przez następnych trzydzieści lat, aż do chwili obecnej.

Koteczka Timmy uniosła łebek, zmuszając panią Whiting, by podrapała ją pod brodą.

- Przypuszczam, że istotnie powinnam kazać cię uśpić - zwróciła się do zwierzaka. - Jesteś naprawdę paskudną małą bestią. Mimo wszystko jednak zmuszasz człowieka, żeby podziwiał intensywność twoich uczuć.

- Dla mnie nie ma w tym nic godnego podziwu - powiedział Miles. - Za każdym razem, kiedy tu przychodzę, ona mnie albo drapie, albo gryzie.

- Och, nie tylko ciebie, drogi chłopcze. Każdego, kto nie należy do rodziny, traktuje z równie wielką złością. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu przeorała burmistrzowi przedramię na całej długości, nieprawdaż, skarbie?

- Powinna pani urządzić tutaj strzelnicę - podsunął Miles. - Dziesięć dolarów od strzału, a zwycięzca w nagrodę dostaje kij baseballowy i może tłuc to zwierzę, ile dusza zapagnie. Zyski moglibyśmy przeznaczyć na dokończenie nowego skrzydła szpitala.

Stara dama klasnęła w dłonie z rozbawienia.

- Czy ty wiesz, że masz wspaniałe poczucie humoru, drogi chłopcze?
- Czy powiedziałem coś zabawnego? - spytał Miles.
- Oho, widzisz? Teraz też. Musiałeś to chyba odziedziczyć po tym nicponiu, twoim ojcu. A przy okazji, znowu do mnie dzwonił, kiedy ciebie nie było. Musiałam mu zagrozić, że naślę na niego policję.
- Porozmawiam z nim.
- Czy on zdaje sobie sprawę, jaki jest komiczny?
- Kto wie... Jednak większość swoich dowcipów wypróbował na mnie.

- I na tej dobrej kobiecie, twojej matce. Biedna Grace, los nie obdarzył jej zrozumieniem dla wielkich szaleństw życia.

Na te słowa Timmy pokiwała łebkiem niczym tłokiem w cylindrze, a następnie przyjrzała się swojej pani uważnie, co wyglądało tak, jakby śledziła ich rozmowę z wielkim zainteresowaniem.

- W rzeczywistości moja matka uwielbiała się śmiać. - Miles nie znośił rozmawiać o swojej matce z panią Whiting niemal tak samo, jak z Jimmym Minty. - Życie może i jest jednym wielkim szaleństwem, jak pani powiada, ale żart trudniej docenić, kiedy samemu jest się jego celem.

- Tak, zdaję sobie sprawę, że życie bywa ciężkie dla niektórych ludzi - przyznała pani Whiting, a jej słowa zabrzmiały tak, jakby już gdzieś podobną opinię słyszała i podejrzewała, że może to być prawda. - Mimo wszystko jednak zawsze wierzyłam, że ludzie w dużym stopniu sami są kowalami swego szczęścia. I nie musisz się na to uśmiechać, Milesie Roby - choć raz w jej głosie zabrzmiała odrobina szczeroci. - Myślisz, że ja poślubiłam swoje szczęście, ale taki wniosek jest równie nieuprzejmy, jak bezmyślny, i nie przynosi ci chluby. Małżeństwo z właściwą osobą wymaga morza zachodów i nadzwyczajnego wyczucia chwili. Zwłaszcza gdy dziewczyna, o której tu mowa, pochodzi z Robideaux Blight.

- Co było też powodem pójścia do Bowdoin College. - Miles poczuł nieodpartą pokusę, by to dorzucić, wiedział bowiem, że wszelkie wzmianki na ten temat zawsze ją denerwują. Ludzie, którzy myślą, że wszystko zawdzięczają wyłącznie sobie, nie lubią, gdy ktoś zaczyna w detalach analizować ich drogę do sukcesu.

- Mój Boże, ależ tak, naturalnie! - zgodziła się pani Whiting, z ledwie wyczuwalnym zawahaniem. - Tak, tak, nie wolno nam zapominać o Bowdoin i o możliwościach wyzwolenia, jakie niesie ze sobą wyższa edukacja. Choć nie każdego ona wyzwala, nieprawdaż?

Zdaje się, że chodzi o mnie, domyślił się natychmiast Miles. Pani Whiting była zadziwiająco odporna na ciosy. Po każdym ciosie natychmiast

podnosiła się, gotowa do jego odparowania. Miles szykował się na niezłe cięgi.

- A jednak nie uważasz, że dobre małżeństwo to wielka rzadkość? - zapytała. - Większość ludzi zwykle akurat to jedno potwornie partaczy. Poślubiają niewłaściwe osoby z całej masy nieodpowiednich powodów. Z powodów w istocie tak absurdalnych, że nie mija parę miesięcy od przysięgi na wierność aż po grób, a ci biedacy nie potrafią już nawet ich sobie przypomnieć. Dla nieszczęśliwych małżonków pozostanie wieczną tajemnicą, co to takiego było, co ich opętało, mimo że dla postronnych obserwatorów ich motywacje są często oczywiste aż do bólu. Na przykład, założę się, że ty, drogi chłopcze, sam nie wiesz, dlaczego się ożeniłeś?

Miles pokiwał głową.

- Ma pani na myśli, że założyłaby się pani pod warunkiem, że znalazłby się ktoś, kto zechciałby pójść o taki zakład?

- A więc przyznajesz, że nie wiesz! - zawołała. - Cudownie. Czy mam ci powiedzieć?

- Nie, dzięki.

- No dalej, drogi chłopcze, czy nie jesteś choć odrobinę ciekawy?

Szczerze mówiąc, był ciekawy. Albo raczej byłby, gdyby wierzył, że pani Whiting posiada autentyczną przenikliwość. Ale był niemal pewien, że to, czym ona pragnęła się z nim podzielić, wynikało wyłącznie z jej zamiłowania do małodusznej złośliwości.

- No więc, dlaczegoż to się ożeniłem, pani Whiting?

- O tak, tak jest lepiej - rzekła. - A już przez moment myślałam, że zamierzasz popsuć nam zabawę. Otóż ożeniłeś się ze strachu, drogi chłopcze. - Timmy znowu pokiwała gwałtownie łebkiem, jakby chciała dać do zrozumienia, że jest tego pewna. - Czy mam mówić dalej?

- Myślałem, że strach jest powodem, dla którego mężczyźni się nie żenią.

- Nie bądź śmieszny. To, że ludzie ciągle powtarzają te same głupstwa, nie znaczy jeszcze, że mówią prawdę.

- No więc, czego się bałem? - usłyszał swój własny głos Miles.

- Naprawdę nie wiesz? - Uśmiechnęła się. Timmy ziewnęła szeroko, jakby mówiła, że na to pytanie nawet ona potrafiłaby odpowiedzieć. - O, Boże, a więc to prawda. Ty rzeczywiście nie wiesz, zgadłam? No, więc tak. To daje nam możliwość sprawdzenia starego porzekadła, że prawda może cię wyzwolić. Ja sama nigdy specjalnie w to nie wierzyłam, ale...

- Pani Whiting...

Nachyliła się w jego stronę i zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu.

- Ożeniłeś się, drogi chłopcze, by uniknąć jeszcze gorszego losu. Domyślałam się, że czujesz się z tego powodu zawstydzony, ale zapewniam cię, że nie masz powodów. Może nie wiesz tego o sobie, ale to, co zamierzam ci teraz powiedzieć, jest całkowitą prawdą, zapewniam cię. Z natury jesteś człowiekiem, który instynktownie wybiera zawsze drogę środka, drogę pomiędzy niebezpieczną namiętnością a niszczącą duszę obojętnością. Całe twoje dorosłe życie było szkołą zręcznego lawirowania i muszę ci powiedzieć, że od dawna podziwiam cię za to, jak umiejętnie potrafisz wytyczać sobie kurs w tej nawigacji. Obwiniasz się - i nie udawaj, że tak nie jest, ponieważ ci nie uwierzę - za nieudane małżeństwo, ale to czysta głupota. Ty tylko uratowałeś siebie, a to jest zwykły instynkt samozachowawczy, zresztą cecha wspólna nam wszystkim. I mogę śmiało ci powiedzieć: Brawo, dzielnie się sprawiłeś.

- Przed czym się uratowałem, pani Whiting?

- Och, na pewno sam się domyślasz, biorąc pod uwagę tak bezpośrednią wskazówkę. Pomyśl, drogi chłopcze. Przypomnij sobie. Sam z własnej woli wszedłeś w nieudane małżeństwo, by ustrzec się od małżeństwa, które byłoby jeszcze gorsze. Bałeś się, że jeśli się szybko nie ożenisz, wylądujesz przed ołtarzem z moją córką, ponieważ dobrze wiedziałeś, że takie było życzenie twojej matki. Miałeś w sobie dość charakteru twego ojca, by pójść na najlepszy układ, jaki w tej sytuacji był możliwy, a który nie wymagał od ciebie skorzystania z bardziej eleganckiego wyjścia, jakim byłaby po prostu ucieczka. Dwadzieścia lat temu firma autobusowa Greyhound wciąż jeszcze miała swój przystanek w Empire Falls, ale to przecież nie była alternatywa dla syna Grace Roby. Wszystkie te lekcje katechizmu nauczyły cię, że nikt nie może się wymknąć bezkarnie. I tak wylądowałaś bezpiecznie pomiędzy skrajnościami. Może nie dostałeś tego, czego pragnąłeś najbardziej, a tym czymś była ta panna z wielkim biustem, która do dziś pracuje dla ciebie w restauracji - czyż nie mam racji? - ale miałeś dość rozumu w głowie, by umknąć przed kimś, kogo się najbardziej obawiałeś, przed biedną kaleką dziewczyną, która tak cię kochała, że była zdolna posunąć się aż do próby samobójstwa, i której godne pożalowania oddanie uczyniłoby z twego życia jedno wielkie, piekielnie trudne ćwiczenie w cnotach moralności.

Pani Whiting zajęła się otrzepywaniem kolan, z których Timmy widocznie w pewnym momencie zeskoczyła, chociaż Miles nie przypominał sobie, żeby zauważył, kiedy to zrobiła.

- I tak oto masz to, czego sam chciałeś, a teraz chodzisz osowiały, odpowiadając codzienną pokutę, zamiast celebrować zwycięstwo, jak każdy rozsądny człowiek zrobiłby na twoim miejscu. A teraz bardzo bym sobie życzyła, żebyś w końcu i ty coś powiedział, zamiast siedzieć tu z taką miną, jakby cię ktoś postrzelił w brzuch. Uwierzysz czy nie, ale nie miałam zamiaru urazić twoich uczuć.

- A co pani zamierzała?

- Dodać ci odwagi, której teraz ogromnie potrzebujesz, drogi chłopcze. Wskazać ci, że pomimo swoich znacznych zdolności za chwilę możesz znowu wpaść jak śliwka w kompot. Niedługo zostaniesz kawalerem z odzysku, nieprawdaż? Zapewne nie sądzisz, że ta... sytuacja i powrót mojej córki do uroczego Empire Falls są całkowicie przypadkowe?

Nie, jak się teraz nad tym zastanowił, rzeczywiście tak nie myślał.

- Przyznam się szczerze, że czekam z ogromnym zaciekawieniem, żeby zobaczyć, jak sobie poradzisz z tą sprawą za drugim razem.

- Ciekawe.

Spojrzała na niego znad okularów.

- Och, błagam, oszczędź mi tego tonu moralnej wyższości. Masz to z całą pewnością po swojej matce. Prawdę mówiąc, była to jedyna męcząca i trudna do zniesienia cecha w tej skądinąd uroczej kobiecie. Nie potrafiła się zdobyć na otwartą krytykę, ale wiecznie mówiła takim właśnie tonem. Bez wątplenia podzielała twoją błędną opinię, że mam zimny i wyrachowany intelekt, podczas gdy faktycznie jest on po prostu żywym intelektem. Żywy intelekt tak podziwiany u mężczyzn, rzadko kiedy tolerowany jest u kobiety - czy może się myłę?

- A czy ja się myłę czy też dobrze mi się wydawało, że rozmawialiśmy o pani córce?

- Prawdę mówiąc, mnie się wydawało, że rozmawialiśmy o tobie. Drogi chłopcze, ja naprawdę przejmuję się losem mojej córki, całe życie się przejmowałam. Chcesz wierzyć, to wierz, nie chcesz, proszę bardzo. Ale wybac mi, jeśli powiem teraz prawdę, pragnę jednak zwrócić twoją uwagę na fakt, że jej kłopotliwe położenie, jakkolwiek bolesne, nie jest - w porównaniu z twoim własnym - tak znowu straszliwie interesujące. Jeśli o nią chodzi, los wtrącił się do gry we wczesnym wieku, i począwszy od chwili wypadku, życie mojej córki było zawsze w dużej mierze zdeterminowane przez siły niezależne od jej rozumienia i kontroli. Litość i strach, współczucie i lęk, to jedyna reakcja emocjonalna i moralna, o ile dobrze pamiętam, odpowiednia do jej sytuacji. Ale gdy los bierze wodze w swoje ręce, a wolna wola zostaje wysadzona z siodła, tak naprawdę niewiele pozostaje do

powiedzenia, prawda? Ty natomiast jesteś aktorem, jakkolwiek niechętnym i opornym, ale mimo wszystko aktorem na scenie życia. Nie każdy ma prawo wyboru, tak jak tyje kiedyś miałeś. A teraz znowu przyjdzie ci wybierać. Tylko mi nie próbuj wmawiać, że nie uważasz tego za nadzwyczajną szansę. Nie mówię, że ci zazdroszczę, ale jestem ciekawa. Czy wybierzesz tak samo, czy jednak inaczej? Większość z twoich dawnych wyborów pozostaje nadal otwarta. Mógłbyś się znowu ożenić - na przykład, z tą panną z dużym biustem. Pewnie znowu zaczął ci szeptać do ucha ten głos, ten, którego nigdy nie chciałeś słuchać, a który wciąż zadaje ci to samo pytanie: Czyż i ja nie zasługuję na odrobinę szczęścia? Czyż nie dość długo byłem dobrym chłopcem? No tak, ale w odpowiedzi na to natychmiast odzywa się drugi głos, ten, którego zawsze musiałeś słuchać, bo tak życzyła sobie twoja matka, a który zaraz oskarża cię o egoizm, o to, że nie myślisz o innych... Jak choćby o biednej kalekiej Cindy Whiting. Bo czyż ona także nie zasługuje na odrobinę szczęścia? I teraz, kiedy masz tę swoją drugą szansę, może się okazać, że posłuchasz tego innego głosu, ponieważ wydaje się ze wszech miar moralny, to znaczy, wydawałby się, gdyby nie pociągał za sobą tych nieznośnych rozważań na temat interesowności - gdyż, naturalnie, pieniądze, które towarzyszyłyby temu małżeństwu, byłyby bardzo mile widziane, a ty jesteś już zmęczony ciągłą walką o to, żeby wiązać koniec z końcem. A kto by nie był? Na wypadek gdyby twoje poczucie winy stało się już całkiem nie do zniesienia, mógłbyś zawsze powiedzieć, że robisz to dla swojej córki, która wkrótce dorośnie i będzie chciała pójść na uniwersytet, a czyż ona nie jest tą jedyną, która naprawdę się tu liczy? Och, tak, tak, mój Boże, to wszystko jest doprawdy skomplikowane. Nic dziwnego, że ludzie zawsze usilnie dążyli do upraszczania sobie życia. Jak brzmi to pytanie, które tak często zadają nasi ewangeliccy bracia? „A co uczyniłby Jezus?”. W samej rzeczy - co?

W tym momencie zmienił się kierunek wiatru i Miles znowu poczuł dziwny zapach idący od rzeki, ale czy z tego brzegu, czy też z przeciwnego, gdzie rozciągało się Empire Falls, tego nie potrafił powiedzieć.

- Coś mi mówi, że ma pani dla mnie jakąś radę.

Pani Whiting westchnęła.

- Obawiam się, że nie, drogi chłopcze. Poza próbą rzucenia światła na twój problem obawiam się, że mogę ci zaoferować bardzo niewiele. Niestety, jest tylko jedna rzecz, co do której mam absolutną pewność.

- A tą rzeczą jest?

- Moja córka dała ci zapewne do zrozumienia że, zdaniem doktorów jej stan zdrowia jest ostatnio bardzo dobry?

Miles przytaknął.

Uniósłszy wysoko brwi, pani Whiting pokręciła przecząco głową.

Dochodziła trzecia po południu, gdy Miles minął Iron Bridge w drodze powrotnej do Empire Falls. Zaczęło się chmurzyć, a z chwilą gdy parkował z tyłu za „odbytnicą”, chmury zgromadzone wokół oskarżycielskiego palca dzwonnicy nabrzmiały już deszczem. Ale nie to było najgorsze. Na stopniach ganku, zatopieni w rozmowie, sprawiającej im wyraźną przyjemność, siedzieli staruszek proboszcz, ojciec Tom oraz Max Roby, który na widok samochodu uniósł głowę i z uśmiechem czekał, aż jego syn wyłączy silnik. Minęło dobrych parę chwil, a Miles wciąż siedział w środku, jakby wcale nie zamierzał wysiąść, więc Max podszedł niezdecydowanym krokiem do samochodu od strony pasażera i dał mu znak, żeby opuścił szybę. Widać było, że czuje się bezpieczniej, kiedy dzieli ich cała szerokość auta.

- Co ty tu robisz, tato? - spytał Miles, pocierając skronie opuszkami palców.

- Czekam na ciebie.

- Po co?

- Czekam już dobre dwie godziny.

Ojciec Tom wciąż siedział na stopniu, tak jak go Max zostawił, wpatrując się w Milesa zagubionym wzrokiem. Staruszek poruszał ustami, ale był za daleko, żeby Miles mógł rozpoznać, czy któreś ze słów nie brzmiało przypadkiem „sukinsyn”.

- To co, ruszajmy do roboty - zaproponował Max.

- Zbiera się na deszcz - rzekł Miles, wskazując na niebo.

- Może nie - nie rezygnował Max.

- Zaraz będzie padać - zapewnił go Miles.

- Powinieneś przyjechać wcześniej - powiedział Max. - Kiedy jeszcze było słońce.

- Wiem.

- Nie musisz mi płacić za te dwie godziny, które na ciebie czekałem.

- W ogóle za nic nie muszę ci płacić.

Przez chwilę Max przeżuwał tę krzyczącą niesprawiedliwość, po czym zajrzał ciekawie do wnętrza jetty.

- Co się stało z twoim samochodem?

- Nie twój interes - odparł Miles, który wolał tego nie wyjaśniać.

Sprawa wyglądała tak, że kiedy wracał do samochodu, który zaparkował przed domem Whitingów, coś śmignęło mu pod nogami i wtedy przypomniał sobie, że zostawił okno po stronie pasażera do połowy otwarte. Wnętrze samochodu było teraz pełne maleńkich fruujących kawałeczków pianki z rozdartego siedzenia.

- Nie wściekaj się na mnie - powiedział Max. - Ja tego nie zrobiłem.
- Wiem.

- I nie ja sprowadziłem te chmury. Nic złego nie zrobiłem. Jestem tylko starym człowiekiem.

Miles przyglądał się ojcu, którego kilkudniowy zarost miał dziwnie pomarańczowe zabarwienie.

- Masz w brodzie pełno jedzenia. Co to jest? Chipsy?
- No i co z tego?

Miał rację i Miles pomyślał ze smutkiem, że pani Whiting przypuszczalnie też miała rację. Ludzie są tylko sobą, niezależnie od wysiłków, żeby być kimś innym. Max został zaprogramowany, żeby być po prostu Maxem i mieć resztki jedzenia w brodzie. Gdyby na to popatrzeć od innej strony, można by pewnie uznać, że faktycznie jest to godne podziwu, iż jego ojciec nigdy nie postępował wbrew swojej naturze, nigdy nie wymagał od siebie więcej, niż mógł dać, bo wiedział z doświadczenia, że dzięki temu człowiek unika rozczarowań i poczucia winy. W gruncie rzeczy był to prosty i rozsądny sposób na życie, znacznie rozsądniejszy niż sposób, w jaki Miles chodził koło swoich spraw, a to wstydząc się, że ma lęk wysokości, a to obwiniając siebie za niewierność swojej żony, a na dodatek perwersyjnie pakując się w sytuacje, które wręcz gwarantowały jeśli nie kłopoty, to na pewno nerwy i zgryzoty. Może rzeczywiście, jak twierdziła stara dama, wszystko to przez katechizm i przez te nauki, że trzeba się poddać woli Bożej, które wbijał im do głowy na lekcjach religii nie kto inny, tylko ten sam stary ksiądz, który siedział teraz parę metrów dalej, popatrując na nich złym okiem. O czymże, na Boga, mogły te dwa stare capy tak zawzięcie rozprawiać, zastanawiał się Miles.

- Pani Whiting mówi, że znowu do niej wydzwaniałeś – powiedział Miles.

Max wzruszył ramionami.

- No i co z tego?
- Przyrzekałeś, że już nie będziesz.
- Wcale nie, nic nie przyrzekałem - odciął się z zapierającą dech nieuczciwością. Max święcie wierzył, że wszystko ma swoje granice, a to znaczy,



że obietnice też. - Ona i ja jesteśmy krewniakami, nie wiesz? Roby i Robideaux, jedna i ta sama rodzina.

- Nie masz co do tego pewności - rzekł Miles. - To tylko twoje pobożne życzenie. A nawet jeśli, to i tak nie daje ci to prawa, żeby wydzwaniać do niej po nocy, żebrząc o pieniądze.

- A bo ona nigdy nie odbiera telefonu za dnia - zaczął tłumaczyć się Max. - Każę tej swojej automatycznej sekretarce odpowiadać za nią.

- Zaczynij od tego, że to przez takich ludzi jak ty inni ludzie kupują sobie automatyczne sekretarki - przerwał mu Miles. - Można by pomyśleć, że to tacy ludzie jak ty napędzają rozwój sporej części nowoczesnej techniki.

- Ja nie chciałem dużo, tylko tyle, żeby mi starczyło na dojazd do Key West. Gdybyś ty się zgodził mi coś odpalić, wcale nie musiałbym jej prosić. Ty jesteś bliższym krewnym niż ona, może nie?

- Ona mówi, że jeśli jeszcze raz zadzwonisz, to naśle na ciebie gliny.

Max pokiwał głową w zamyśleniu.

- A oni pewnie przysłał tego Jimmy'ego Minty. Mój Boże, ależ z niego był durny dzieciak.

Nie taki durny jak twój, miał ochotę wyznać mu Miles. Przechyliwszy się przez siedzenie pasażera, podkręcił okno do góry, tym sposobem skutecznie kończąc rozmowę, po czym wysiadł. Na zewnątrz przynajmniej nie wirowały w powietrzu te kłaczkki pianki. Miles obszedł auto i otworzył drzwi od strony pasażera, żeby obejrzyć zniszczony fotel, a potem rozsądnie odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając cały ten bałagan za sobą. Ostatecznie zniszczona tapicerka nie była w tym wszystkim taka najgorsza. Ponieważ opuszczając dom Whitingów, zrobił coś tak przewrotnego, że jeszcze teraz, kwadrans po tym wydarzeniu, niemal zapierało mu dech w piersiach. Wciąż nie mógł pojąć, co on, u licha, sobie myślał?

A zrobił ni mniej, ni więcej, tylko to, że wychodząc stamtąd, zatrzymał się po drodze i zaprosił Cindy Whiting na następny weekend na szkolny mecz futbolu. Ich drużyna miała grać na własnym terenie. Dobry Boże, myślał teraz, spoglądając w górę na oblażącą z farby wieżę św. Katarzyny. Dlaczego po prostu nie wejdzie po drabinie na sam czubek, a potem jednym ruchem nie kopnie tej cholery, a sam nie zleci na łeb, na szyję? Nareszcie byłoby po wszystkim. Prawda jest taka, że cyniczna ocena jego charakteru, wypowiedziana przez panią Whiting, poruszyła go do żywego. Może starsza pani nie wie o nim wszystkiego, ale wie dość - i dlatego nagle zapragnął coś

zrobić, żeby udowodnić, jak bardzo się myliła, nie tyle co do natury ludzkiej w ogólności, ile co do jego natury. Chciał pokazać, że można postąpić nie-egoistycznie, tym samym nadając moc obowiązującą przekonaniu jego matki o konieczności poświęcenia. Tyle tylko że, jak teraz podejrzewał, zapraszając Cindy na spotkanie, które ona niewątpliwie uzna za randkę, udowodnił dokładnie to, co miał nadzieję podważyć. Wybrał drogę środka. Pozwolił, by pokierowało nim poczucie winy, nakłaniając do wykonania bezwolnego, obłudnego gestu, chociaż wiedział dobrze, że jest wręcz dramatycznie nieprzygotowany na konsekwencje, jakie ten gest może za sobą pociągnąć. Przed dwudziestu laty, na prośbę swojej matki, zaprosił Cindy na bal maturalny i teraz zrobił niemal identyczną rzecz po raz drugi. Bez trudu mógł sobie wyobrazić panią Whiting, jak siedzi za rzeką w tej swojej altanie i śmieje się do rozpuku, świetnie się bawiąc jego kosztem. Po raz kolejny udało jej się zagrać na nim jak na skrzypkach.

A sprawa licencji na wino i piwo, którą obiecał bratu załatwić na tym spotkaniu, nawet nie została poruszona.

## 10

W trzy tygodnie od rozpoczęcia semestru jesiennego drzwi do szkolnej kafeтерии otwierają się i Tick widzi, że do środka wchodzi dyrektor, pan Meyer, holując za sobą tego śniętego jak ryba Johna Vossa. Chłopak ubrany jest jak zwykle w zbyt obszerny czarny T-shirt z rozciągniętą szyją i poliestrowe spodnie do gry w golfa z lumpeksu, na nogach ma tenisówki z porwanymi sznurowadłami, a przed sobą w obu rękach niesie niekształtną pogniecioną papierową torbę, z czego Tick wnioskuje, że będzie miała towarzysza do śniadania. Jeśli „towarzysz” jest odpowiednim słowem dla chłopaka, który jeszcze nigdy przy Tick nie odezwał się ani jednym słowem. Gdyby nie to, że Justin, niby w imieniu Johna Vossa, nieustannie zaczepia Candance, Tick nie wiedziałaby nawet, jak on się nazywa. Chłopaki z drużyny futbolowej, którzy w zęcaniu się nad nim znajdują szczególną przyjemność, wołają na niego po prostu „Kutafon”. Po tym, jak się zmateriałizował u nich w szkole - kiedy to było? ze dwa lata temu? - John Voss nadal pozostawał dla wszystkich tajemnicą. Tick nie ma pojęcia, gdzie mieszka, dlaczego jest taki milczący, dlaczego ubiera się tak jak się ubiera i dlaczego nie reaguje na świat zewnętrzny. Widać, że z nikim się nie przyjaźni, co jest

o tyle wyjątkowe, że wszystkie inne żalosalne wyrzutki społeczne w szkole tworzą luźne, bo luźne, ale jednak wspólne towarzystwo. Prawdę mówiąc, kiedy teraz Tick o tym myśli, dochodzi do wniosku, że John Voss najbardziej przypominają samą - Tick. Przynajmniej tę Tick z ostatnich dni, odkąd nie należy już do towarzystwa Zacka Minty. Gdyby nie Candance, która na lekcjach plastyki za wszelką cenę usiłuje z niej wycisnąć jakieś informacje, sama Tick mogłaby pewnie przeżyć cały dzień w szkole, nie odzywając się do nikogo ani słóweczkiem. Na ile się orientuje, jest całkiem prawdopodobne, że w oczach swoich szkolnych kolegów wygląda równie żalalnie jak ten milczący chłopak, który właśnie przed nią stoi.

Stoi i wbija wzrok w podłogę, czekając na jakieś polecenie ze strony pana Meyera, który jednak milczy, a zamiast tego przygląda mu się długo i dokładnie, w taki sposób, jak byśmy się wpatrywali w umundurowanego strażnika w muzeum figur woskowych, czekając, aż ten się ruszy, bo chcemy mieć pewność, iż nie jest on częścią ekspozycji. Czy jest możliwe, zastanawia się Tick, żeby jakiś chłopak mógł posiadać jeszcze mniej naturalnego wdzięku? Wygląda tak, jakby brał lekcje w sztuce poruszania się jak ludzie u jakiegoś robota z Disney World. Kiedy pan Meyer mówi mu, żeby usiadł, gdzie chce, on człapie na drugi koniec kafeterii i siada na pierwszym krześle z brzegu, przygląda się swojej brązowej papierowej torbie zdecydowanie za długo, a dopiero potem otwiera ją i zagląda do środka. Cokolwiek się w niej znajduje, nie zachęca go od razu do dalszego działania.

Pan Meyer obserwuje go jeszcze przez kolejną minutę z miną wyjątkowo bezradną, nawet jak na dyrektora szkoły średniej. Tick myśli sobie w duchu, że dyrektor wygląda teraz, jak żołnierz zrzucony na spadochronie w sam środek pola bitewnego z rozkazem, by jako broń wykorzystał wszystko, co znajdzie pod ręką. W końcu daje jej znak, żeby wyszła z nim na korytarz, i Tick niechętnie stosuje się do polecenia.

- Znalazłem kogoś, kto będzie jadał z tobą drugie śniadania - zawiadamia ją pan Meyer, gdy drzwi za nimi zostają bezpiecznie zamknięte. Tick nie może się powstrzymać i otwarcie przygląda się panu dyrektorowi. Nigdy nie przestaje jej zadziwiać fundamentalna nieuczciwość dorosłych, ich założenie, że cokolwiek powiedzą, ty i tak im uwierzysz tylko dlatego, że oni są dorośli, a ty jesteś dzieckiem. Tak jakby historia postępowania dorosłych z młodzieżą była jednym długim, nieprzerwanym ciągiem prawdomówności. Tak jakby żadne dziecko nigdy nie miało powodu, by nie ufać każdemu powyżej dwudziestego piątego roku życia. W tym wypadku widać, że pan Meyer bardzo by chciał, żeby Tick uwierzyła, iż przez te dwa tygodnie, odkąd

zezwoił jej na przywilej jadań samotnych śniadań w pustej kafeterii, nie myślał o niczym innym, jak tylko o tym, by znaleźć jej towarzysza. Gdy tymczasem Tick wątpi, by jej osoba choć raz sama z siebie przemknęła mu przez myśl, dopóki nie sprowokował tego większy problem w postaci tego nieszczęsnego chłopca, z którym nie wiadomo, co począć, ponieważ przez sam fakt, że jest pozbawiony przyjaciół, głosu i wdzięku, podczas przerw śniadaniowych stanowi cel ataków ze strony szkolnych rozrabiaków, którzy zrobili sobie świetny sport z rzucania w jego głowę pustymi pojemnikami po mleku i złamanymi ołówkami, przy okazji licytując się, kto celniej trafi, strzelając w niego gumkami czy innymi poręcznymi pociskami, wypuszczanymi z najdalszych kątów stołówki dla większej siły rażenia.

Strategia Tick, jeśli chodzi o traktowanie kłamliwych dorosłych, polega na tym, żeby nie mówić, tylko patrzeć, jak kłamstwo puchnie i grzęźnie im w gardle. Kiedy tak się dzieje, kłamstwo nabiera samoistnego fizycznego bytu, w wyniku czego musi zostać wyplute albo połknięte. Większość dorosłych woli wypluć nieprawdę drobnymi kaszlnięciami, by nie powiedzieć beknięciami, co robią, zasłaniając sobie dyskretnie usta ręką, podczas gdy reszta cichutko chichocze, pochrząkuje lub też wydaje odgłosy przypominające szczekanie. Gdy tylko panu Meyerowi podskakuje jabłko Adama, Tick wie, że ma do czynienia z polykaczem i że jego kłamstwo zjechało właśnie na południe, to jest, ześlizgnęło się wzdłuż przelyku i trafiło prosto do żołądka. Zdaniem jej taty, który jest starym przyjacielem pana Meyera, ten człowiek cierpi na krwawiące wrzody. Tick może zrozumieć dlaczego. Zdaje sobie sprawę, ile kłamstw człowiek na jego stanowisku musi ciągle mówić, i wyobraża sobie, jak mu się one obracają w żarnach jelit niczym kawałki niestrawionego jedzenia, dopóki nie zostaną wydalone. Tymczasem Tick sądzi, że w kłamstwie tkwi naturalna potrzeba świeżego powietrza. I że nie lubi ono być więzione w mrocznych, stłoczonych miejscach. Mimo wszystko jednak z dwójga złego Tick woli, że pan Meyer jest typem polykacza. Jej tata, który nie kłamie ani często, ani dobrze, przynajmniej jak na standardy człowieka dorosłego, również należy do polykaczy, i Tick musi mu przyznać, że w jego wypadku odbywa się to bardzo boleśnie. Parskacze, jak pani Roderigue, i szczekacze, jak Walt Comeau, są najgorsi.

- Widzisz, John miał podobny problem z ustawieniem planu lekcji z powodu plastyki jak ty - ciągnie pan Meyer, obserwując ją uważnie, żeby się przekonać, jaki skutek odniesie to drugie kłamstwo, przy czym jabłko Adama znowu podskakuje mu gwałtownie. Tick wie, że John Voss nie ma żadnych

problemów z ustawieniem planu lekcji. Poza zajęciami z komputerów, gdzie podobno błyszczą, chłopak idzie kursem dla mało zdolnych, a plastyka jest tam dokładnie dopasowana, jak dłoń do rękawiczki.

Tick nadal milczy, a wtedy pan Meyer zaczyna się nerwowo pocić. Co tu się dzieje: czyżby dwójka dzieciaków w śpiączce? Gdyby podanie pomocnej dłoni nieudolnemu kłamcy nie było wbrew religii wyznawanej przez Tick, może byłaby skłonna rzucić dyrektorowi linę ratowniczą. Nie zapomniała mu, jaki był dla niej dobry tamtego dnia, gdy Candance rozcięła sobie palec nożem do papieru, nie zapomniała też, że odplaciła mu za tę jego dobroć i troskę dwulicową obludą, ukrywając nożyk w swoim plecaku, gdzie od tamtej pory ciągle się znajdował.

- Prawdę mówiąc, mam do ciebie pewną prośbę, Christino - ciągnie pan Meyer. Jego jabłko Adama siedzi spokojnie na swoim miejscu, należy więc przypuszczać, że aż do tego momentu mówił prawdę. Ruchem głowy wskazuje na drzwi. - John Voss jest bardzo nieszczęśliwym chłopcem. Obawiam się, że bardziej nieszczęśliwym, niż ktokolwiek mógłby to przypuszczać. - Mówiąc to, zniża głos jeszcze o jeden stopień, może zaniepokojony, że nieszczęśliwy chłopiec mógłby się dowiedzieć o swoim nieszczęściu i poczuć się jeszcze bardziej nieszczęśliwy.

- W naszej szkole mamy do czynienia z elementem, który upatruje w tym biednym młodym człowieku doskonałego kandydata na ofiarę sztychów, a nawet znacznie gorszych przejawów okrucieństwa.

Przerywa, by przyjrzeć się Tick, może licząc na to, że ona zaprzeczy jego słowom, zaświadczając, że według niej w szkole nie ma żadnych „elementów”. Jeśli o to chodzi, akurat w tej sprawie pan Meyer bardzo chciałby się mylić.

- Mamy tu naprawdę bardzo dobrą szkołę - dodaje prędko, jakby się obawiał, że posunął się za daleko w swoim krytycyzmie. - Nie wszyscy jednak... - jego głos milknie, a jabłko Adama znowu zaczyna podskakiwać, potwierdzając przekonanie Tick, że przemilczenie jest również formą kłamstwa, może nawet najbardziej niebezpieczną. - John Voss potrzebuje tylko jednego - mówi pan Meyer, kładąc jej rękę na ramieniu. - Przyjaciela.

Tick bardzo tego nie chce, ale mimo wszystko cofa się bezwiednie o krok. Nie lubi, żeby dorośli ją dotykali. Srebrny Lis, który przechodząc koło niej, za każdym razem głaszcze ją tym swoim łapskiem po głowie, nawet nie zdaje sobie sprawy, jak nieprzepartą budzi to w niej chęć, żeby zaraz biec pod prysznic i myć włosy.

Pan Meyer zauważył ten odruch i prędko cofa rękę.

- Nie miałem na myśli...

Tick czeka cierpliwie, aż pan dyrektor wyjaśni jej, czego nie miał na myśli.

- Nie chodzi mi o to, że powinniście od razu zostać najlepszymi kolegami ani nic w tym rodzaju - mówi, wycierając błyszczące od potu czoło płócienną chustką do nosa. - Pomyślałem tylko, że może... że może temu chłopcu byłoby miło, gdyby wiedział, że jest ktoś w jego wieku, kto nie...

Kto nie uważa go za świra, myśli Tick, gdyż dokończenie tego zdania wcale nie jest trudne. I zaraz na poczekaniu wymyśla kilka wariantów, podstawiając zamiast świra różne inne słowa, takie jak ślimak, szczur, karaluch, jaszczurka czy ropucha, a tymczasem pan Meyer nadal dzielnie się zmagając z problemem okrucieństwa u młodzieży.

- Pewnie słyszałaś, że kilku chłopców zaatakowało go wczoraj w stołówce - mówi pan dyrektor, ostatecznie rezygnując ze swego kłamstwa o tym, jak to długo myślał, aż w końcu wymyślił, kto będzie najlepszym towarzyszem dla Tick podczas jej samotnych śniadań. Gdy Tick niemal niezauważalnie kiwa głową, pan Meyer kontynuuje: - To już drugi raz w ostatnich...

Teraz wygląda na to, że nawet takie proste słowa, jakich używa się na określenie czasu - dni? tygodnie? miesiące? czy co? - jakoś dziwnie umykają panu Meyerowi. Spogląda na Tick z nadzieją, jakby liczył na to, że może ona podsunie mu stosowną informację. A może oczekuje od niej przyrzeczenia, że jeśli już zdecyduje się powierzyć nieszczęsnego Johna Vossa jej opiece, Tick będzie umiała zapanować nad odruchem - najwyraźniej powszechnym - by natychmiast tego biedaka zmaltretować.

Lub jeszcze, co również jest możliwe, dyrektor ma świadomość, że to, o co prosi, jest naprawdę wielką przysługą. Do tej pory udawał, że to drobnośćka, taki nic nieznaczący mały dobry uczynek, ale oboje wiedzą, że jest inaczej. Że prosi on kogoś, kto sam znajduje się w dolnych partiach szkolnej drabiny społecznej - osobę, która jest niemal równie samotna i pozbawiona przyjaciół, jak chłopiec, z którym ma się zaprzyjaźnić - by zszedł z tej drabiny jeszcze niżej, do wilgotnej ciemnicy, gdzie koczują ci wszyscy, których jedyną nadzieją i szansą jest cierpliwe czekanie na ratunek pod postacią matury (jeśli to w ogóle możliwe), studiów w college'u (jak wyżej), pracy (w Empire Falls?), małżeństwa (mało prawdopodobne) lub śmierci (w końcu).

- Może mogłabyś poprosić o pomoc paru swoich przyjaciół - sugeruje pan Meyer, tak jakby dopiero teraz przyszło mu do głowy, że to zadanie

chyba przerasta możliwości jednej chudej, i tak już niepopularnej, dziewczyny. - Może ta koleżanka z zajęć u pani Roderigue? Ta, która zacięła się w palec?

Tick nie może powstrzymać uśmiechu, bo przypomniało jej się, jaka wściekła była Candance, kiedy dla żartów łączyło się ją z Johnem Vossem.

- Candance?

- O, właśnie, tak, Candance - przytakuje prędko pan Meyer, zachwycony tym, że Tick natychmiast domyśla się, o którą dziewczynę mu chodzi, a może po prostu uspokojony, że Tick nareszcie wydała z siebie jakiś dźwięk w jego obecności. - Albo ktokolwiek inny - dodaje również prędko, żeby nie wyszło na to, że on jej mówi, jak ma się do tego zabrać.

- W porządku, spróbuję - słyszy Tick swój głos, który wyraża zgodę, ale zarazem czuje ciężar na sercu. Nie cieszy jej też widoczny wyraz ulgi na twarzy pana Meyera, z którego krępych, okrągłych ramion zdjęła właśnie ciężar moralnej odpowiedzialności, przerzucając go na swoje szczupłe, wiotkie barki. Pozbywszy się tego ciężaru, pan dyrektor prostuje się i nagle wygląda tak jakoś, jakby miał ochotę ruszyć w podskokach korytarzem, pogwizdując sobie pod nosem do taktu. Ale zaraz zasępią się znowu i Tick zaczyna się zastanawiać, że może jednak źle go oceniła.

- Ten chłopak, Minty... - zaczyna pan Meyer.

- Zack? - pyta Tick. Jest tylko jeden chłopak o tym nazwisku.

- Czy to twój przyjaciel?

- Kiedyś był.

Pan Meyer kiwa głową w zamyśleniu, a następnie spogląda w stronę kafeterii.

- Przykrości tego chłopca... Nie chcę powiedzieć, że Zachary Minty bierze w tym bezpośredni udział, ale mam podstawy sądzić, że nic podobnego by się nie wydarzyło bez zachęty z jego strony. No, ale może jestem niesprawiedliwy wobec niego.

- Akurat tym bym się nie martwiła, czy ktoś jest niesprawiedliwy wobec Zacka. - Tick natychmiast żałuje swoich słów, albowiem uświadamia sobie, że mogą zostać odczytane jako znak sojuszu, a co gorsza, wspólnoty poglądów na świat, jaka łączy ją z dyrektorem. Ma również przecucie, że wyruszenie do boju z panem Meyerem u swego boku równałoby się wyruszeniu do boju w pojedynkę.

Widać wyraźnie, że jej uwaga wprawiła dyrektora w doskonałe samopoczucie.

- A jak tam ostatnio idzie wam z Doris, dobrze? - pyta pan Meyer, używając imienia pani Roderigue na dowód intymnego porozumienia, mającego ostatecznie przypieczętować ich układ.

- Doskonale - mówi Tick, przelykając głośno, przekonana, że powiedzenie prawdy nie przyniosłoby żadnego pożytku: że byłoby najlepiej, gdyby ta kobieta umarła.

Po powrocie do sali kafeterii Tick postanawia, że najlepszym rozwiązaniem będzie udawać, że ta rozmowa z panem Meyerem w ogóle się nie odbyła. Choćby z tego powodu, że dyrektor na pewno wkrótce zapomni, o co ją prosił, jeśli już tego nie zrobił. Może by sobie przypomniał o ich umowie, gdyby w najbliższych dniach natknął się na nią w korytarzu, ale jeśli o to chodzi, Tick jest pewna, że unikanie go nie sprawi jej większego kłopotu, zwłaszcza biorąc pod uwagę anonimowość, jaką cieszy się w murach swojego liceum w Empire Falls. Tak więc, jeśli na siebie nie popatrzą, na pewno jej nie zauważą, a gdyby ich oczy mimo wszystko się spotkały, najwyżej okaże się, że on jednak pamięta, a wówczas zapytają, czy są jakieś postępy w wiadomej sprawie, i to będzie najgorsze, co może się wydarzyć. Bo Tick wie, że dorosłych można z łatwością zadowolić, wciskając im odpowiedni kit. Wystarczy wzruszenie ramion i: „Myślę, że chyba nieźle”. To zwykle załatwia sprawę.

Niemal tak samo atrakcyjny wydaje się inny scenariusz, który również pociąga niewielkie ryzyko, a wymaga jeszcze mniej zachodu. Tick może teraz podejść do chłopaka i powiedzieć: „A więc chcesz tu przychodzić na śniadania, tak?”. Przy czym tonem swego głosu da mu jasno i wyraźnie do zrozumienia, że zmusił ją do tego pan Meyer, a ona spełnia jedynie obietnicę, jaką złożyła pod przymusem. Ta druga opcja ma jeszcze tę dodatkową korzyść, że jest prawdziwa, zakładając, że to w ogóle stanowi jakąkolwiek korzyść. Zysk z tego taki, że chłopak nie zechce jej litości, i będzie po sprawie. I tak wybrał stolik w drugim końcu kafeterii, a gdyby ten gest jeszcze nie dość mówił sam za siebie, usiadł na krześle zwróconym tyłem do niej. Jest więc bardzo prawdopodobne, że on chce mieć z nią do czynienia nie więcej niż ona z nim.

Zdecydowanie najmniej pociągającą możliwością jest w jej mniemaniu podjęcie uczciwego wysiłku, i z początku Tick myśli, że tego nie chce, że to wymaga od niej zbyt wiele. Jedyne problem polega na tym, że podczas gdy John Voss siedzi do niej tyłem, ona niestety usiadła przodem do niego, a niezbyt podoba jej się perspektywa, że spędzi resztę swojej przerwy śniadaniowej, wpatrując się w oskarżycielskie plecy ofiary. Zjadła już połowę swojej



kanapki z sałatką z kurczaka, którą rano przygotował dla niej tata w restauracji, a na drugą połowę nie ma już ochoty. Zaplanowała sobie, że przez ostatnie dwadzieścia minut przerwy przeczyta kolejny rozdział z książki o Picassie, którą w zeszłym tygodniu przeczytała od deski do deski, a która tak ją zainspirowała, że natychmiast zaczęła ją czytać jeszcze raz od początku. Niesamowicie ją zachwyciło, jak kompletnie temu człowiekowi nie przeszkadzało, że jest inny; że miał odwagę iść swoją drogą i polegać wyłącznie na sobie, dokładnie tak jak twierdził Emerson w tym eseju, który czytali w pierwszym tygodniu szkoły na lekcji angielskiego. To naprawdę wspaniała sztuka umieć się zdobyć na coś takiego i Tick bardzo by chciała się nauczyć, jak to się robi, chociaż zdaje sobie sprawę, że książka nie daje na to recepty, nie odpowiada na pytanie „jak”, przynajmniej nie w trakcie lektury za pierwszym razem. Mimo wszystko już samo to, że Tick wie, iż taka wiara w siebie jest możliwa, dodaje otuchy, a poza tym przeczytanie paru stron podczas przerwy śniadaniowej mogłoby jej pomóc przebrnąć przez resztę lekcji.

Ale żeby się skoncentrować, musiałaby wstać i zmienić krzesło, tak by z kolei ona siedziała plecami do pleców Johna Vossa. Właśnie wstaje z krzesła, żeby to zrobić, gdy ze zdziwieniem stwierdza, że zamiast tego zarzuca plecak na ramię, zgarnia resztki swego śniadania, a następnie przechodzi przez całą salę na drugą stronę. Podchodzi do stołu chłopaka i z głuchym stuknięciem stawia plecak na jednym z plastikowych krzeseł, a wtedy on na sekundę podnosi wzrok, nie za wysoko, tak do poziomu brody, i natychmiast spuszcza go z powrotem na swoje jedzenie. Zawartość plastikowego pojemnika, z którego je, wygląda na sałatkę z tuńczyka; cokolwiek to jest, ma wyjątkowo intensywny zapach. Sama Tick jest na dobrej drodze do tego, żeby zostać wegetarianką; większość mięs i ryb, według niej, zwyczajnie śmierdzi.

- Podobało mi się twoje jajko - proponuje dziwny gambit na otwarcie.

- Nie musisz ze mną rozmawiać - odpowiada chłopak, szybko i niegrzecznie, w gruncie rzeczy tak niegrzecznie, że Tick czuje się zwolniona z dalszych zobowiązań moralnych. Nie zrozumie, skąd mu się wzięło takie zachowanie akurat wobec niej. Nic dziwnego, że co chwila go tłuką, jak worek treningowy. Ale zamiast się wycofać, Tick wysuwa plastikowe krzesło, siada, a potem tak długo na niego patrzy, aż w końcu on ponownie podnosi wzrok, tak że ich oczy prawie, prawie się spotykają. Przychodzi jej na myśl, że zupełnie nieźle sobie z nim radzi. I jeszcze chłopak przemówił, co oznacza, że nie jest niemową.

- A może ja mam na to ochotę - mówi, prędko przełykając kłamstwo, zgodnie z metodą pana Meyera, przy czym pozwala sobie na ledwie wyczuwalny cień szorstkości w głosie. - Może po prostu mam ochotę powiedzieć, że podobała mi się twoja kompozycja z jajkiem.

- Aha - mruczy chłopak w ramach odpowiedzi, jednocześnie pakując sobie do ust tłustą, lepką substancję, co powoduje, że Tick zaczyna się zastanawiać, jak by to było całować się z chłopakiem, który zjadł coś tak obrzydliwego. - On ci kazal.

Chłopak mówi to w taki sposób, że zaimek osobowy „on” dosłownie zawisa w powietrzu. Tak jakby pan Meyer, przynajmniej dla Johna Vossa, nadal znajdował się w tym pomieszczeniu. Niesamowite. Na dodatek, ilekroć chłopak podnosi wzrok, jego oczy przez ułamek sekundy z wahaniem zatrzymują się na kanapce Tick, nim znowu opadną na tę jego okropną breję.

- A więc jak to jest, że przyśniły ci się jajka - decyduje się w końcu spytać Tick.

- Wcale mi się nie śnią żadne jajka. - Co za głupota, żeby śnić o czymś takim, zdaje się mówić jego ton. Za każdym razem, kiedy chłopak się odzywa, Tick przeżywa szok, że w ogóle słyszy jego głos: jest zaskoczona, że brzmi on całkiem normalnie, nawet jeśli nieco gniewnie; i właściwie nie ma w nim nic dziwnego poza tym, że nigdy przedtem nie słyszała jego brzmienia. Tick dochodzi do wniosku, że ten głos to jedyna normalna rzecz w tym skądinąd bardzo dziwnym chłopaku.

- Zaraz, zaraz, dostaliśmy zadanie, żeby namalować swój najbardziej wyrazisty sen - przypomina mu.

- Mnie się nigdy nic nie śni - mówi chłopak. - Więc nie mogłem wykonać tego zadania.

- Każdy człowiek śni.

Po raz pierwszy patrzy jej prosto w oczy i Tick coś to spojrzenie przypomina, tylko nie bardzo wie co.

- Jesteś tylko sobą - mówi chłopak i brzmi to trochę tak, jakby sobie nie życzył, by takich ja ona było więcej.

- To prawda - przyznaje. - I co z tego?

- I czy to daje ci podstawy, żeby wiedzieć, co robią inni ludzie?

Tick, która ma już za sobą podobną rozmowę ze swoim ojcem, czuje się dość pewnie na tym gruncie.

- To się nazywa wnioski - mówi. Gdyby miała gwarancję, że potrafiłaby z taką samą pewnością siebie mówić w klasie, nie musiałaby ciągle siedzieć cicho. - Wnioskuje, że nie ma dwóch takich samych płatków śniegu.

Nie muszę sprawdzać każdego z osobna, żeby to wiedzieć.

Chłopak nie daje się zbić z tropu.

- To nie jest najlepszy przykład - mówi tak swobodnie, jakby on również odbył w przeszłości podobną rozmowę. - Kiedy twierdzisz, że ja muszę śnić, ponieważ ty śnisz, wnioskujesz, że nikt nie może być inny niż ty, a nie że każdy musi być podobny. - Jego wzrok pada na książkę o Picassie. - A on nie był inny?

Musiałaby to przemyśleć.

- Do pewnego stopnia - mówi w końcu, z zadowoleniem stwierdzając, że jest to coś, w co faktycznie wierzy, i że nie mówi tego dlatego, żeby nie przegrać w tej walce na argumenty. Jeszcze większą satysfakcję odczuwa, widząc, jak chłopak wzrusza ramionami na znak, że jest mu wszystko jedno. Sama Tick dość się w życiu nawzruszała ramionami, by wiedzieć, że człowiek robi to tylko wtedy, gdy właśnie nie jest mu wszystko jedno. Czy też, dokładniej, by wywnioskować, że u niego takie wzruszenie ramionami znaczy mniej więcej to samo, co u niej.

- No dobra, więc jak to się stało, że przyszły ci na myśl akurat jajka?

Tak jak poprzednio chłopak wzrusza ramionami, dlatego Tick słucha z nateżoną uwagą tego, co powie.

- To wszystko przez to, co kiedyś moja mama mówiła. Że gdyby kurczaki wiedziały, co je czeka, zostałyby tam, gdzie się załęgły, w swoich skorupkach.

Aha, znaczy, jesteśmy na gruncie filozoficznym.

- Ona praktycznie nie robiła nic innego, tylko smażyła jajka - mówi dalej chłopak. - Nie jestem pewien, czy rozumiała, że te jajka, które smażyła, nigdy nie miały się stać kurczakami. Moja mama nie była zbyt mądra, tak przynajmniej twierdzi babcia.

Tick waha się, a potem podejmuje decyzję. Pyta:

- Czy twoja mama nie żyje?

- To jest możliwe - odpowiada takim tonem, jakby to była wyłącznie kwestia zainteresowania naukowego.

Tick próbuje sama rozwiązać tę zagadkę. Lubi rozumieć różne rzeczy i nie znosi przyznawać, że czegoś nie rozumie, zwłaszcza jeśli podejrzewa, że umknęło jej coś, co jest oczywiste. Postawienie dodatkowego pytania mogłoby narazić ją na śmieszność, dlatego czeka cierpliwie, dopóki nie staje się jasne, że było to wszystko, co John Voss miał jej do powiedzenia na ten temat.

- Nie rozumiem - przyznaje w końcu Tick.

- Patrzcie, nie rozumie - prycha chłopak, a jest to ten rodzaj pogardliwej odpowiedzi, który sprawia, że ludzie przestają być uprzejmi.

Tick, teraz już zła, mówi zadziornie:

- Nie. Nie rozumiem.

Na koniec chłopak wyjaśnia:

- Mój tata odszedł pierwszy. Potem mama wyszła drugi raz za mąż mi oboje z nowym mężem też odeszli. A wtedy ja przyjechałem tutaj, żeby zamieszkać z babcią. No jak, teraz rozumiesz?

Skończył już jeść to swoje śniadanie, ale jego okropny zapach ciągle zalega pomiędzy nimi. Gdy jego wzrok ponownie zatrzymuje się na jej nadgryzionej kanapce, Tick mówi:

- Możesz ją skończyć, jeśli masz ochotę. Ja już nie mogę.

- Strasznie się najadłem - odpowiada, mimo że nie wygląda ani trochę na najedzonego, dlatego Tick patrzy na jego jabłko Adama, przekonana, że zaraz zobaczy, jak mu podskoczy. Chłopak ma długą, chudą szyję i jabłko Adama sterczy mu pod bladą skórą jak ostry, nierówny kant jakiegoś obcego ciała. Po zaczerwienieniu na jego szyi Tick poznaje, że zaczął się niedawno golić i że jeszcze niezbyt dobrze opanował tę umiejętność. Nieźle sobie radzi z górną wargą i brodą, ale o wiele gorzej z nierówną topografią przyszczonej szyi, gdzie włoski są grubsze i rosną pod nieprzewidzianymi kątami. Na niektóre musiał nie trafiać od tygodni, bo są długie i nawet zaczęły się już kręcić.

Nagle zamrugał oczami i utkwił wzrok w jakimś punkcie ponad jej ramieniem. Tick ogląda się na drzwi, gdzie w jednej z małych prostokątnych szybek widnieje nieruchoma twarz Zacka Minty. Tick omal nie cofa się odruchowo, ponieważ coś w tej zastygłej twarzy za szybko mówi jej, że tkwiła tam już od dłuższego czasu, obserwując ich rozmowę. Już otwiera usta, by powiedzieć swemu towarzyszowi, żeby się nie martwił, bo drzwi do kafeterii są po piątej lekcji zawsze zamykane na klucz, gdy raptem Zack otwiera je gwałtownym ruchem i wkracza do środka. Niektórym ludziom nie należy powierzać tak ważnej rzeczy jak klucze, myśli Tick, i pan Meyer niewątpliwie do nich należy. Otworzył drzwi, żeby wpuścić Johna, a potem zapomniał zamknąć je znowu, i to po wygłoszeniu kazania do Tick na samym początku, kiedy się umawiali co do jej samotnych przerw śniadaniowych, że te drzwi muszą pozostawać przez cały czas zamknięte i że nie wolno jej wpuszczać do środka żadnych kolegów.

Drzwi zamykają się z trzaskiem za Zackiem Minty, a on sam staje na środku w dramatycznej pozie, jak gdyby chciał dać swojej byłej dziewczynie,

jak też ulubionemu obiektowi drwin całej szkoły dość czasu, by mogli się zastanowić nad absurdalnością przekonania, iż kogoś takiego jak on można powstrzymać do wejścia gdziekolwiek, skoro on tego chce. Bez pośpiechu podchodzi do rzędu automatów, po czym uderzając otwartą dłonią kolejno we wszystkie przyciski automatu z wodą, czeka, aż coś z niego wypadnie. Ponieważ nic nie wypada, kładzie dłonie po obu stronach automatu i opiera się o niego w pozie, która ma pokazać, że wysiłek, jaki włożył w wielokrotne powtórzenie tej tak w końcu prostej prośby, i zawód, spowodowany odmową jej wykonania, to dla niego stanowczo za wiele. Dłuższą chwilę opiera się czołem o gładką powierzchnię, a potem zaczyna kołysać automatem w tył i w przód, aż za którymś razem maszyna uderza o ścianę i słychać w środku brzęk tłuczonego szkła. Wtedy ją puszcza, pozwalając powrócić do pionu, i nadal czeka. Nadal nic.

Tick obserwuje całe to przedstawienie bardziej zafascynowana niż przestraszona. Tymczasem John Voss powrócił do swego dawnego stanu śpiączki. Zack rezygnuje wreszcie i zostawia automat w spokoju. Podchodzi do nich. Gdy siada na krześle obok Tick, ona wyjmuje trzy monety po dwadzieścia pięć centów i kładzie je przed nim. Zack jeszcze nawet na nią nie spojrział, wpatrzony w Johna Vossa, jakby na próżno próbował się doszukać uzasadnienia dla egzystencji kogoś takiego jak on. Po dłuższej chwili spozstrzega monety, chociaż minę ma taką, jakby i tu nie potrafił doszukać się sensu.

- Co to takiego?
- Myślałam, że chcesz wodę - mówi Tick.
- Neeeeee - odpowiada, biorąc ze stołu jedną z monet i zręcznie przesuwając ją między palcami. Kiedyś próbował ją nauczyć tej sztuczki, stąd Tick wie, że Zack strasznie chępli się swoją zręcznością. Siedzi blisko Tick, która widzi teraz, jak bardzo urósł przez lato, nie tyle jeśli chodzi o wzrost, ile o masę ciała, co powoduje, że Tick zaczyna się zastanawiać, czy przypadkiem nie bierze jakichś sterydów. Jest na to wystarczająco głupi, mimo że wiosną przysięgał jej, że nigdy tego nie zrobi, ale kto wie, może uznał, że ich zerwanie zwolniło go z danej obietnicy.

Mimo wszystko wciąż jest przystojny, Tick musi to przyznać, na tyle przystojny, że znowu zaczyna ją intrygować problem, który nie dawał jej spokoju przez cały ostatni rok, to jest, czego on może chcieć od kogoś takiego, jak ona. Mógłby mieć naprawdę superdziewczynę, gdyby tylko chciał. Candance nie jest jedyną, która uważa go za smaczny kąsek.

- Wcale nie chciałem kupować wody - wyjaśnia. - Miałem ochotę... Moneta nie przestaje tańczyć między jego palcami.

- ...na darmową wodę.

I z tymi słowami moneta, która zatrzymała się pomiędzy jego kciukiem a palcem wskazującym, nagle przelatuje nad stołem i trafia Johna Vossa prosto w czoło, uderzając mocno tuż nad lewym łukiem brwiowym.

Chłopak prawie się nie uchyla, chociaż musiało go zabołec. Zack sięga po kolejną monetę, ale Tick jest szybsza, jednym ruchem zgarnia obie pozostałe i wrzuca je do bocznej kieszeni plecaka, skąd dochodzi ją cichy brzęk, gdy spadają na ukryty tam nóż, który ona ciągle zamierza podrzucić do szafy z przyborami w pracowni plastycznej przy najbliższej okazji, jaka się nadarzy.

- No więc - mówi Zack - kogo my tu mamy? To twój nowy chłopak?

- Nie - odpowiada Tick, może odrobinę za prędko, ponieważ Zack natychmiast reaguje głupim uśmiechem. - My tylko rozmawiamy. A ty nie powinienes tutaj być.

Zack wzrusza ramionami, po czym znowu wbija wzrok w Johna Vossa. W miejscu, gdzie moneta uderzyła chłopca w czoło, pojawił się czerwony ślad i możliwe, że Zack zastanawia się teraz, podobnie jak Tick, jak on może powstrzymać się od potarcia tego miejsca.

- Drzwi nie były zamknięte na klucz - mówi Zack. - A poza tym mam przepustkę - pokazuje przepustkę podpisaną przez panią Roderigue, co samo w sobie jest małą zagadką, jako że przecież on nie ma z nią żadnych zajęć. Ale z drugiej strony, Zack zawsze ma wszystko, czego mu potrzeba. Właściwie jest to jedna z najbardziej zaskakujących rzeczy, jeśli chodzi o niego, i Tick sama się sobie dziwi, że przez lato o tym zapomniała. W zeszłym roku, ilekroć szli razem do kina, zawsze miał dwa bilety, a nawet się nie pofatygował do kasy. A jeśli któryś z jego przyjaciół zjawił się nieoczekiwanie, on jakimś cudem znajdował i trzeci bilet. Albo i czwarty. I nigdy nie chciał powiedzieć, skąd brał te wszystkie rzeczy, tylko uśmiechał się tajemniczo, gdy ktoś go o to pytał. Wyraźnie lubił sprawiać wrażenie, że osoby, które są lojalne wobec niego, zostaną otoczone specjalną opieką.

Teraz wsuwa przepustkę z powrotem do kieszeni i odwraca się do chłopaka.

- Może sobie już pójdziesz? - proponuje mu.

John Voss traktuje tę propozycję, jakby to był doskonały pomysł, jakiego od wieków nie słyszał, bo dosłownie zrywa się na równe nogi i zaczyna zgarniać swoje rzeczy.

- Moja była dziewczyna zamierza mi wytłumaczyć, dlaczego mnie już nie lubi.

Najdziwniejsze w tym zdaniu jest to, że zabrzmiało szczerze. Jeśli Tick dobrze go zrozumiała, Zackowi chodzi o to, że nawet ludzie mocni, głupi i okrutni mają uczucia i że ona zraniła jego.

Tick obserwuje, jak chłopak wstaje i przechodzi na drugą stronę sali, gdzie siada na krześle, tyłem do nich. Nie oczekiwała od niego wielkiej rycerskości, ale mimo wszystko jest zaskoczona takim nieuzasadnionym tchórzostwem. Widać po nim, że nauczył się przyjmować upokorzenia jako swój los, a może nawet traktować je jak swoich sprzymierzeńców.

- Billy Wolff zwichnął sobie kostkę na treningu - mówi Zack. - A to oznacza, że w najbliższy weekend zagram w obronie jako *linebacker*. Przyjedziesz na mecz?

- Nie wiem - mówi Tick. Wstrętny zapach jedzenia tamtego chłopaka odpłynął wraz z nim prawie całkowicie, mimo że plastikowy pojemnik, ze szczelnie zamkniętą pokrywką, pozostał na stole. Rybi fetor został teraz zagłuszony przez wodę kolońską Zacka i Tick zwraca uwagę, że w ciągu lata on również zaczął się golić. Widać, że jego zarost jest mniej oporny albo może Zack lepiej opanował technikę, której ciągle brakuje Johnowi Vossowi.

- Po meczu cała paczka wybiera się gdzieś razem - ciągnie Zack. - Masz ochotę dołączyć do nas?

Tick wołałaby nie chcieć, ale prawda jest taka, że chce. Minęły zaledwie trzy tygodnie od początku semestru, a ją już męczy brak towarzystwa. Brakuje jej przyjaciół, jeśli tak może ich faktycznie nazywać. A przynajmniej tego poczucia, że gdzieś przynależy. Może pewnego dnia stanie się niezależna jak Picasso, ale jeszcze nie teraz. Po spotkaniu Danny'ego na Martha's Vineyard przysięgła sobie, że nigdy więcej nie zejdzie się z Zackiem Minty, ponieważ nie jest tego wart. A ona nie jest głupia. Wie, że bardzo prędko on zacznie znowu ją traktować protekcyjnie, podkopując i tak już słabe zaufanie do siebie, naśmiewając się z rzeczy, które ona lubi, i opowiadając, że Picasso był pedrylem. A co gorsza, będzie znowu próbował wzbudzić w niej zazdrość, flirtując z ładniejszymi dziewczynami. Tick zna siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że jest skłonna do zazdrości. Nie lubi tego u siebie i chętnie by to zmieniła, gdyby potrafiła, ale nie wie jak. Po jakimś czasie Zackowi nie wystarczy poniżanie i wzbudzanie jej zazdrości. Zacznie ją traktować jak zwykły śmieć, tyle że wtedy nie będzie już wyjścia z tej sytuacji,

ponieważ ona będzie w takim stanie, że uwierzy we wszystko, co on powie. A nawet to jeszcze nie będzie najgorsze. Tick nawet nie ma ochoty myśleć o tym najgorszym, chociaż na wiosnę, zanim zerwali, Zack obiecywał jej, że nic podobnego nigdy więcej się nie powtórzy.

- Candance też idzie - dodaje Zack, jakby, kto wie, ten argument mógł się okazać dodatkową zachętą.

- Sama nie wiem - mówi Tick. - Może.

- Może - powtarza za nią, westchnąwszy najpierw głęboko, tak jakby słówko „może” wymagało swobodnego wymieszania z tlenem przed połknięciem. Sięga po plastikowy pojemnik śniadaniowy i kciukiem odchyła pokrywkę, a wtedy w powietrzu znowu pojawia się ten rybi fetor. - Bardzo się zmieniłem od wiosny - dodaje.

- Tak twierdzi Candance - odpowiada ona, na wypadek gdyby był ciekaw, czy jego wiadomość została przekazana. Od tego zapachu robi jej się niedobrze, ale Zack zdaje się tego nie zauważać.

- Mnie po prostu strasznie wścieka, że ty nie chcesz dać mi drugiej szansy - wypala nagle prosto z mostu. Naturalnie, podobną rozmowę mieli już wcześniej. Zack święcie i gorąco wierzy w drugie szanse. Również w trzecie i czwarte. Tick podejrzewa, że to może wynikać z jego zamiłowania do sportu, gdzie ani kolejne porażki, ani nawet najbardziej groteskowe zachowania nigdy nie przekreślają szansy ponownego zagrania. Mogą cię zawiesić na mecz czy dwa, ale nie ma czegoś takiego jak zawieszenie do końca życia; tak więc, zgodnie z jego rozumowaniem, został zawieszony, odbył swoją karę, a teraz to już wyłącznie jej wina, bo próbuje mu nałożyć karę, jakiej nawet liga nie miałaby prawa się domagać. I kiedy mówi, że go to złości, to bynajmniej nie żartuje. Ona to widzi. Natomiast on nie widzi, że jego złość stanowi dowód przeciwko niemu. Tylko kto nie byłby zły, bardzo chciałby to wiedzieć. Mimo wszystko to jakoś nie jest w porządku. Gdyby to facet tak cię wściekł, człowieku, po prostu byś mu skopał tyłek, a jakby się podniósł, tobyś mu dołożył jeszcze raz. Potem uścisnęlibyście sobie ręce, i po krzyku. Z dziewczynami nigdy nie dojdiesz do ładu, bo nic się z nimi nigdy nie da raz a dobrze ustalić. Mówią „może”, co równie dobrze może oznaczać „odpieprz się”.

Zack jest zawiedziony i sfrustrowany, i Tick poznaje po nim, że chyba zaczyna żałować, iż odesłał Johna Voss.

- Mam świetny pomysł - mówi. - Zaprośmy twojego nowego chłopaka, żeby poszedł z nami. Hej, Kutafonie!

Zadnej odpowiedzi.



- Może on jest głuchy - mówi Zack, niemal z zadumą. - A może myśli, że tu są dwa kutafony?

Tak, są dwa, i Tick jest bardzo bliska, żeby to powiedzieć głośno. Zamiast tego mówi:

- Przestań, Zack. Zostaw go w spokoju.

- Hej, Kutafonie! - woła znowu Zack. - Przestań udawać, że nie wiesz, do kogo mówię. Odwróć no się tutaj!

Chłopak obraca się na krzesła, ale na nich nie patrzy. Jak zwykle, wbija wzrok w podłogę.

- Tak lepiej - mówi Zack.

- Zack - mówi Tick, która wołałaby, żeby w jej głosie nie było słycać tyle błagania. - Nie dokuczaj mu.

- A co w tym złego, że zapytam go, czy nie chciałby pójść gdzieś z nami po meczu? Co w tym złego?

- Ale tobie nie o to chodzi.

- Naprawdę? - mówi. - Próbujesz mi powiedzieć, że ja nie wiem, o co mi chodzi? Wiesz lepiej ode mnie, co ja robię, co?

- Po prostu zostaw go w spokoju.

- Posłuchaj no, Kutafonie - mówi Zack. - Bez obrazy, w porządku? A tak przy okazji, jak masz na imię?

Chłopak podnosi na moment wzrok, po czym opuszcza go znowu.

- Nazywa się John Voss - mówi Tick cicho.

- Hej, ty, Johnie Voss! Może chciałbyś pójść gdzieś z nami po meczu?

Czyżby chłopak wydał jakiś dźwięk? Tick nie jest pewna. Zack Minty chyba również nie ma pewności, dlatego patrzy najpierw na nią, a potem znów na niego.

- Hej tam, Voss. Czy to było tak, czy co?

Tym razem oboje słyszą, jak mówi:

- Tak.

- Słyszałaś? - zwraca się do niej Zack, ucieszony. - John Voss się zgadza.

- Jeśli go zostawisz w spokoju - mówi Tick - to ja pójde z wami, zgoda?

Zack miał właśnie znowu coś zawołać do chłopaka, ale na te słowa milknie i spogląda na Tick z uśmiechem, który omal nie rozwiewa jej wątpliwości. Ten uśmiech jest pełen... czego? Czegoś, czego ona potrzebuje. Chciałaby myśleć, że jest to miłość i możliwe, że miłość jest w tym gdzieś również, chociaż Tick podejrzewa, że nie stanowi ona głównego składnika tego uśmiechu. Więc co? Wdzięczność? Ulga, że za trzecim podejściem nareszcie

się udało i teraz już wszystko będzie dobrze?

- Hej tam, Kutafonie, to znaczy, chciałem powiedzieć, John – woła Zack. - Słyszałeś? Tick mówi, że też idzie. Będzie niezła zabawa, no nie, John?

Nic, cisza.

- Nie jesteś na mnie zły, co? Za tę monetę? To była gówniarska zagrywka, John, przyznaję. Ale nadal jesteśmy kumplami, nie, John?

Znowu cisza.

- Tylko kiwnij głową, jeśli uważasz, że ciągle jesteśmy kumplami, co, Voss?

Skinienie głową.

Ale Zack nawet tego nie widzi, gdyż z powrotem spogląda na Tick. Bierze ją za rękę, a ona się nie opiera.

- To świetnie, John - woła przez salę, wciąż patrząc na nią. - Dzięki za drugą szansę, John. Naprawdę dzięki.

- Chodźmy już, zgoda? - szepcze Tick, starając się nie patrzeć na tego drugiego chłopaka. Konieczność wstania daje jej jednocześnie wymówkę, żeby cofnąć rękę. Jakby na potwierdzenie tego ruchu rozlega się dzwonek, oznajmiając koniec szóstej lekcji.

- No, dobra, John - woła Zack, biorąc ze stołu plastikowy pojemnik. - Widzimy się w sobotę.

Idą razem z Tick w stronę podwójnych drzwi kafeterii. Tick ma nadzieję, że uda jej się nie dopuścić do tego, by zatrzymał się przy stole Johna, dlatego wyciąga rękę i ciągnie go za mankiet, ale on bez trudu się uwalnia.

- Mam jeszcze tylko jedno pytanko, dobra? - mówi Zack, rzucając plastikowe pudełko na stół przed chłopakiem. - Powiedz mi, co to było za gówno, które jadłeś? - Nagle zanosi się głośnym śmiechem i śmieje się tak mocno, że omal nie traci równowagi. - Bo muszę ci powiedzieć, że śmierdzi to to, jakby już ktoś je raz zjadł przed tobą, chłopie - mówi. - Ja bym ci radził wystrzegać się tego w przyszłości, Voss. Żadnego żarcia, które ktoś przeżuwał przed tobą, rozumiesz? To moja dobra rada.

Gdy znaleźli się na korytarzu, na którym zaroilo się już od przepychających się uczniów, Zack gwałtownie zatacza się na ścianę ze śmiechu. Śmieje się tak gwałtownie, że lzy ciekną mu po policzkach. Kilka osób obserwuje go i też zaczyna się śmiać, chociaż nie ma pojęcia dlaczego. To pozostawia Tick, która ma twarz całkowicie poważną, w mniejszości. Dawniej nieraz widywała u Zacka podobne nastroje, dlatego teraz wie, że prawdziwe

niebezpieczeństwo już minęło. Zack pozostanie w tym niepoczytalnym stanie jeszcze przez pewien czas, co oznacza, że może bez obaw zadać mu swoje pytanie.

- Dlaczego ty zawsze musisz robić z siebie takiego strasznego dupka?  
- mówi.

Zackowi wydaje się to jeszcze zabawniejsze. Zgina się wół i teraz śmieje się już tak mocno, że ledwie może odpowiedzieć.

- Nie mam zielonego pojęcia - charczy i obejmuje ją ramieniem, i teraz już mogą razem wmieścić się w strumień ciał. Tick nie chce, żeby tak było, ale czuje, że lubi, by jego ramię obejmowało jej ramiona, lubi być w tłumie uczniów, zmierzających w tym samym kierunku. Wie, że lepiej by zrobiła, nie oglądając się za siebie, żeby spojrzeć w prostokątne szybki drzwi do kafeterii, ale mimo to odwraca się i natychmiast żałuje, gdyż wołałaby nie zobaczyć Johna Vossa, jak z wyrazem głodu na twarzy odgryza kęs z zostawionej przez nią kanapki.

## 11

Janine Roby siedziała w końcu baru w Callahanie, popijając wodę sodową seltzera z kilkoma kroplami soku z limonki i ćwicząc swój nowy podpis - *Janine Louise Comeau* - na stosie papierowych serwetek, podczas gdy jej matka wymieniała stalowy keg z piwem. Jeśli ten cholerny sąd w Fairhaven znów się nie zapadnie - co oczywiście zawsze jest możliwe, choćby tylko po to, żeby pokrzyżować jej plany - Janine i Srebrny Lis wkrótce się pobiorą, a ona chce, by do tego czasu nowy podpis wszedł jej w krew, żeby nie było tak jak choćby z datami, kiedy człowiek ciągle się myli i do połowy stycznia nowego roku wypisuje na czekach stary rok. Albo, jak w wypadku człowieka pokroju jej męża, Milesa - poprawka: już wkrótce jej byłego męża - do połowy marca. Uśmiechnęła się na tę myśl. Dobrze się składa, że to nie on musi przybierać nowe nazwisko i ćwiczyć nowy podpis, bo według Janine, kto jak kto, ale on nie dałby sobie z tym rady. Nawet gdyby gdzieś istniał ktoś mocniej przywiązany do starych nawyków niż jej mąż - poprawka: jej wkrótce już były mąż - Janine na pewno go nie spotkała. Miles to był ludzki trybik, oto czym był, małym kółkiem, które wiecznie toczy się utartym śladem, z domu do restauracji, z restauracji do tego cholernego kościoła i z kościoła z powrotem do restauracji, a z restauracji z powrotem do

domu (wtedy gdy był to jeszcze jego dom). Którejś nocy, w kilka tygodni po tym, jak zdecydowali się na separację i Miles wyniósł się do mieszkanka nad restauracją, nieoczekiwanie zjawił się w ich sypialni. Wzdrygnęła się, nagle wyrwana ze snu, widząc jego postać w nogach łóżka, mającą groźnie w ciemnościach nad nią i Waltem, i pierwsza myśl, jaka jej przyszła do głowy, była taka, że Miles przyszedł, żeby ich zabić. Ale potem zobaczyła, jak machinalnie ściąga przez głowę koszulę i rzuca ją na kosz z brudną białizną i już wiedziała, że zamknął restaurację wykończony i nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wrócił jak po sznurku prosto do domu. Musiał dopiero co wejść, bo kiedy Janine zapaliła nocną lampkę przy łóżku, światło wystraszyło go i rzucił się na tę swoją koszulę, jak jakiś włamywacz. Gdyby innemu mężczyźnie przydarzyła się taka pomyłka, zapewne wiedziony impulsem wykorzystałby sytuację i poderżnął im obojgu gardła. Ale po jego minie Janine od razu mogła poznać, że gdyby to on miał nóż, poderżnęłaby tylko jedno gardło: swoje własne.

Prawdę mówiąc, Miles przypominał jej plastikowe figurki z takiej gry w hokeja, którą w dzieciństwie dostał jej brat. Powierzchnia planszy przedstawiała tafelę lodowiska i miała liczne rowki, w których były umocowane figurki z kijami w rękach, poruszające się w tył i w przód po swoim torze. Prezent okazał się nie najlepszym pomysłem. Rodzice prędko doszli do wniosku, że Billy jest jeszcze za mały na tę grę, bo zaczął od tego, że powyrwywał plastikowe figurki z zamocowań w rowkach, ponieważ przypuszczałnie uznał, że gra będzie ciekawsza, jeśli zawodnicy będą mogli sobie wędrować tam, gdzie chcą, tak jak prawdziwi hokeiści. Bo i skąd taki mały dzieciak mógł wiedzieć, że pod planszą znajdują się sporych rozmiarów krążki, które mocują plastikowych zawodników na ich miejscach. Wyrwane z planszy, figurki wyglądały śmiesznie, jak pluton miniaturowych żołnierzy o koślawych stopach, którzy przypadkowo zostali uzbrojeni tylko w kije do hokeja. Co gorsza, w żaden sposób nie można ich było zmusić do tego, by stali w pionie jak mężczyźni. Janine już dawno zrozumiała, że gdyby komuś jakimś cudem udało się wyrwać jej przyszłego byłego z utartych kolein, proponując mu wolność, odniosłoby to dokładnie taki sam skutek. Uwolniony z więzów, Miles Roby nie byłby zdolny ustać na nogach o własnych siłach.

- Te serwetki kupuje się za pieniądze, wiesz o tym, prawda? - odezwała się Bea, gdy Janine zużyła już blisko połowę paczki. Janine udawało się zmieścić trzy *Janine Louise Comeau* na spodzie każdej serwetki, lecz tylko

dwa autografy na wierzchu, a to z powodu logo Callahana w postaci małego skrzata. - Co się z tobą dzieje, do cholery?

Janine wzięła świeżą serwetkę i pod wizerunkiem irlandzkiego stworka wypisała swoją nową tożsamość.

- Nic, tylko przypomniał mi się Billy - powiedziała. - Pamiętasz tę grę w hokeja, którą ty i tata kupiliście mu na Gwiazdkę?

- Pamiętam - powiedziała Bea, zostawiając z pół tuzina serwetek na kontuarze baru przed córką, a resztę usuwając z zasięgu rażenia. - Pamiętam każdą zabawkę, którą to dziecko zniszczyło, a to oznacza wszystkie, jakich się kiedykolwiek dotknął. Wystarczyły trzy minuty, żeby powyrywał tych małych skurczybyków z zamocowań na planszy. A potem tak długo płakał, aż musieliśmy obiecać, że kupimy mu drugą taką samą grę.

Janine nie była w nastroju do wysłuchiwania nostalgicznych wspominek matki. Jej młodszy brat zginął w wieku dziewiętnastu lat, gdy samochód znajdujący się na podnośniku spadł z góry, zabijając go na miejscu, a ona wcale nie zamierzała rozmyślać o Billym. Była szczęśliwie zajęta roztrząsaniem wad swojego męża - poprawka: już wkrótce swojego byłego męża, Ludzkiego Trybiku - kiedy nie wiedzieć skąd i dlaczego przypomniał jej się Billy. Tak więc, ponieważ myślenie o bracie wprawiało ją w smutek i depresję, wróciła do rozmyślań o Milesie, które wprawiały ją i w radość, i w depresję. Depresję, gdyż nigdy nie miał być nikim innym jak tylko Milesem, a radość, ponieważ już wkrótce przestanie to być jej problemem.

Skończywszy się podpisywać na pozostałych serwetkach, Janine rzuciła okiem na zegarek. Do popołudniowych zajęć z aerobiku miała jeszcze pół godziny, naturalnie, jeśli zdoła przetrzymać do tego czasu. Dla Janine wczesne popołudnie było zawsze najgorszą porą dnia, porą, której nie potrafiła znieść w samotności, co zresztą było jedyną przyczyną, że w ogóle odwiedziła matkę, która doprowadzała ją zawsze do szału. Janine wiedziała z doświadczenia, że jak już w końcu dotrze na salę gimnastyczną i na dużych głośnikach puści „Abbę” na cały regulator („Mama Mia! Czyż mogę mu się oprzeć!”), wszystko znowu będzie dobrze, jako że nie wymyślono dotąd lepszego poskramiacza głodu niż intensywne ćwiczenia. Gdy o czwartej skończy kurs aerobiku wytrzymałościowego, a o piątej zajęcia z aerobiku rekreacyjnego, najgorsze z jej wewnętrznych demonów będą już ujarzmione. A wtedy ona będzie mogła usiąść do sensownej kolacji z Waltem, który nauczył ją, jak powstrzymywać się od dalszego jedzenia z chwilą, gdy pierwszy

głód zostanie zaspokojony, zamiast wiosłować dalej, żeby się napchać do syta. Po takiej umiarkowanej kolacji bez problemu wytrzyma do wieczora, dopiero gdy położy się do łóżka, kiszki zaczną grać marsza w jej brzuchu, tyle że wtedy łatwiej je będzie uciszyć, gdyż będzie zanadto wykończona po ćwiczeniach. A jak to zawsze powtarza jej Walt, zmęczenie najlepiej zagłusza głód. Poza tym będzie jeszcze seks, kolejny doskonały sposób na odwrócenie uwagi.

Teraz jednak była tak głodna, że mogłaby zjeść ten nasiąknięty plasterek limonki, który pływał w jej szklance z wodą. Obrzydliwe peklowane świńskie nóżki, pływające w zalewie w trzylitrowym słoju, stojącym na blacie baru, wyglądały naprawdę smakowicie i Janine z łatwością mogła sobie wyobrazić, jak rzuca się na podłogę i obgryza taką nóżkę jak pies, zębami trzonowymi krusząc kość i wysysając szpik ze środka. Matka jakby wyczuła jej cierpienie, bo postawiła miseczkę z orzeszkami przed nosem Janine, po czym sama wzięła garść do ust i chcąc pokazać, jakie są pyszne, zaczęła mruzczyć: Mmmm.

W tej chwili Janine potrafiłaby wymienić tylko trzy pierwotne instynkty: żeby się najeść, sprawić sobie solidną porcję pieprzenia i zamordować swoją upierdliwą matkę. Nie była pewna, która z tych potrzeb była teraz największa, ale wiedziała, że ta ostatnia należała do najbardziej niebezpiecznych, jako że w praktyce niewiele jej można było przeciwstawić.

- Wiesz co, Beatrice? - powiedziała Janine. Nigdy nie używała pełnego imienia matki, z wyjątkiem chwil, gdy chciała jej dać do zrozumienia, że jest bliska matkobójstwa. - Jesteś po prostu zazdrosna. - Zazdrosna o to, że Janine schudła, jest względnie młoda i prowadzi aktywne życia seksualne, to rozumiało się samo przez się.

Janine wstała i przeniosła miseczkę z orzeszkami na drugi koniec baru, gdzie wręczyła ją jedynym klientom, jacy byli tam poza nią, dwóm przygnębnym bezrobotnym pracownikom przędzalni, którzy sączyli cienkie piwo z beczki, cierpliwie czekając na *happy hour*, kiedy browar będzie tańszy. W drodze powrotnej zgarnęła kolejną partię serwetek.

- Tak, masz rację - przyznała matka. - Naprawdę dużo bym dała, żebym mogła przejść przez życie równie ślepo i samolubnie. Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że ja już mam sześćdziesiąt lat? I że może przydałaby mi się pomoc przy wymianie tych cholernych beczek?

*Janine Louise Comeau* - napisała Janine Louise Roby na odwrocie pierwszej ze świeżych serwetek. I poniżej znowu to samo, jeszcze dwa razy.

- Tylko nie mów mi, że po tych wszystkich latach doszłaś w końcu do wniosku, że nie lubisz tej harówki - powiedziała.

- Nie, wcale się nie uskarżam - odparła Bea, co było zgodne z prawdą. Jeszcze do niedawna po prostu podnosiła - podnosiła! - te cholerne kegi. Teraz, chcąc wymienić pusty keg na pełny, musiała skorzystać z wózka, który trzymała na zapleczu, i każdą beczkę najpierw delikatnie rozhuścić, żeby włożyć na ten wózek, a potem z niego stoczyć. - Nolan Ryan też ciągle lubi *fast balls*.

Prowadząc pub od czterdziestu lat, Bea obejrzała dobrych kilka tysięcy meczów, które ją kompletnie nie interesowały, by dopiero ostatnio odkryć, że przez ten czas podłapała cholernie dużo wiedzy na temat baseballu, tak że nawet zaczęło ją to bawić. Nabrała też przekonania, iż takie właśnie jest życie: że człowiek może polubić niemal wszystko, pod warunkiem że da sobie na to dość czasu. Nie wyłączając mężczyzn - dodawała zawsze na koniec Bea. Mając na myśli Milesa - podejrzewała Janine. Matka prędko traciła cierpliwość, kiedy rozmawiały o jej małżeństwie. - Skoro ja mogłam pokochać twego ojca - Bea nigdy nie przepuściła okazji, żeby o tym przypomnieć córce - to i ty możesz pokochać tak dobrego człowieka jak Miles. Co było wierutnym kłamstwem, o czym Janine doskonale wiedziała. Bea pokochała jej ojca od pierwszego wejrzenia i kochała go nieprzerwanie do dnia, w którym umarł. Fakt, że ojciec bynajmniej nie był dobrym człowiekiem, nie miał tu nic do rzeczy.

- Myślisz, że Nolan Ryan lubi wrzucać w siebie garściami ibuprofen po narzuceniu każdej *fast ball*? - dopytywała się Bea.

*Janine Louise Comeau*, napisała Janine nad kolejnym skrzatem. Jeśli wierzyć jej zegarkowi, minęło półtorej minuty.

- Naprawdę nie mam pojęcia, mamu. Nawet nie wiem, kto to jest Nolan Ryan.

- A ja nie mogę zrozumieć, dlaczego nie mogę mieć od czasu do czasu jakiejś wyręki - odparowała Bea. - Bo jeśli ty potrzebujesz pomocy z tym swoim aerobikiem, to ja ci chętnie pomogę.

Janine, naturalnie, wiedziała, do czego to wszystko zmierza. Aluzje Bei miały zmusić ją do pomocy w pubie, ale nic z tego. Ostatnio matka zaczęła rozważać, czy nie otworzyć ponownie kuchni w porze lunchu. Dawniej, jeszcze za życia ojca, Callahan's serwował kanapki i na porannej zmianie robił zupełnie niezłe obroty. Gdyby Janine pomogła, teraz też mogłoby się to udać. Znała się na kuchni, dość się nauczyła przez te lata, jakie zmarnowała w Empire Grillu - ale to właśnie przez taką pracę ciągle blisko kuchni przybrała na wadze ni mniej, ni więcej, tylko dwadzieścia pięć kilo. Walt

zjawił się w samą porę i namówił ją na tę pracę w klubie. Jeszcze rok, dwa i wyglądałaby dokładnie tak jak matka, która była zbudowana jak solidny kciuk, tyle że nie była tak giętka w środku. Jednej rzeczy Janine nie potrafiła zrozumieć: dlaczego matka w ogóle chciała ją w tym swoim pubie. Nic tylko by walczyły ze sobą przez cały czas jak dwie kocice, nie mogąc się zgodzić na żaden temat.

- Skończ z tym, Beatrice - poradziła jej Janine. Jeśli wierzyć zegarkowi, pozostały jej jeszcze tylko dwadzieścia dwie minuty. - Mam pracę w jednym z niewielu dobrze prosperujących interesów w całym hrabstwie Dexter. Schudłam dwadzieścia pięć kilo i pierwszy raz w całym moim pieprzonym życiu czuję się nareszcie świetnie we własnej skórze. Nie uda ci się ściągnąć mnie znowu na dno, dlatego nawet nie próbuj, zgoda?

Dwaj ponuracy z drugiego końca baru przestali już udawać, że nie przysłuchują się tej wymianie zdań, Bea włączyła więc telewizor, gdzie leciał jakiś talk-show, i nastawiła na tyle głośno, by ona i córka mogły swobodnie kontynuować swoją rozmowę. Mężczyźni byli wyraźnie zawiedzeni.

- Jeśli już musimy wysłuchiwać jakiejś tłustej baby, to dlaczego nie może być przynajmniej biała? - poskarżył się jeden.

Bea niechętnie spełniła jego żądanie, chociaż, jej zdaniem, akurat te dwa smutasy skorzystałyby więcej, oglądając Oprah niż Rosie.

- Oprah ma więcej oleju w głowie niż pięciu białych facetów razem wziętych, jakich ty mógłbyś wymienić, Otis.

- Ale nie jest dość bystra, żeby zostać białą, co nie? - sprzeciwił się, wywołując sarkastyczny chichot u swego kumpla.

Jeśli Bea chciała się z kimś pokłócić, była to jej córka, a nie tych dwóch typków, ale nie mogła też pozwolić, by Otis miał ostatnie słowo. Uważała siebie za jedną z nielicznych osób bez przesądów w całym Empire Falls przez sam fakt, że praktycznie na wszystkich patrzyła pesymistycznie, niezależnie od rasy i płci.

- W przeciwieństwie do niektórych - odparła - Oprah czuje się świetnie we własnej skórze.

- Ja w swojej też się czuję doskonale - zaoponował Otis, nie rozumiejąc, że ta uwaga była skierowana do jej córki.

- A to dopiero tragedia - odrzekła Bea, po czym odwróciła się w stronę Janine. - I wcale nie zamierzam cię dołować, moja mała. Zawsze oskarżałaś o to wszystkich ludzi, tak jakby cały świat tylko to miał w głowie: ciebie. Matka ma obowiązek zwrócić swemu dziecku uwagę, gdy zachowuje się idiotyczniej niż zwykle, a ja nic innego teraz nie robię.



Janine przedarła serwetkę z brzydki napisanym *u w Comeau*.

- Czy możemy skończyć ten temat, mamó? - zaproponowała, zwijając w rulonik podartą serwetkę. - Nie ma sensu, żebyśmy o tym dyskutowały, choćby dlatego, że to nie twój pieprzony interes. Jeśli nie potrafisz pojąć, dlaczego mogłabym chcieć czegoś lepszego niż przejść przez życie jako grube i nieszczęśliwe babsko, to tym gorzej dla ciebie. Może któregoś dnia się poddam - tak jak ty - ale nie dzisiaj, jasne? Ludzie potrafią się zmieniać, i ja się zmieniam.

- Ty się wcale nie zmieniasz, Janine - odpowiedziała jej matka. - Ty tylko chudniesz. A to jest różnica. Gdybyś któregoś ranka obudziła się, myśląc o kimś innym niż ty sama, wtedy byłaby to jakaś zmiana. A gdybyś choć przez dwie sekundy pomyślała o tym, jaki wpływ ma to twoje wariactwo na twoją córkę, byłaby to kolejna zmiana.

- Już ci mówiłam, mamó - powtórzyła Janine, biorąc ostatnią serwetkę - ty po prostu jesteś zazdrosna, więc lepiej skończmy z tym, zanim któraś z nas powie coś, czego potem będzie żałować, zgoda?

- Ja nawet nie jestem bliska tego, żeby powiedzieć coś, czego potem będę żałować - zapewniła ją Bea. - Jeśli mogłabym czegoś żałować, to tylko tego, że trzymałam język za zębami.

- Skąd możesz to wiedzieć? Nigdy nawet nie spróbowałaś.

Na te słowa w drugim końcu kontuaru Otis parsknął śmiechem. Co oznaczało, że telewizor nie był nastawiony wystarczająco głośno, i na co Bea natychmiast znalazła radę.

- Usiłuję ci jedynie powiedzieć - ciągnęła - że ty przez cały czas nie robisz nic innego, tylko zawracasz kijem gównu w rzece. Człowiek się nie zmienia, zawsze jest tylko sobą.

Janine miała ochotę opowiedzieć matce o każdym orgazmie, jaki teraz przeżywała, o tym, jak Walt odnalazł ten punkt, którego istnienia Miles nawet nie podejrzewał, i jeszcze o tym, jak to miło choć raz czuć się pożądaną. Tylko jaki byłby sens tłumaczenia tego kobiecie, która nawet nie miała pojęcia, że istnieje coś takiego jak orgazm, gdyby Oprah jej tego nie powiedziała. - Nie potrzebuję, żebyś mi mówiła, kim jestem, Beatrice. Po raz pierwszy w życiu mam na ten temat dość niezłe pojęcie.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się matka z wyższością, jak to ona miała w zwyczaj. -

- A żebyś wiedziała, że mam - powiedziała Janine, składając swój autograf na ostatniej serwetce. Mimo wszystko nie było powodu się złościć. Ta kłótnia doprowadziła do tego właśnie, na co liczyła, oderwała jej myśli od

głodu. Według zegara nad kasą była już za dziesięć czwarta, czas, żeby ruszać do klubu.

- No cóż, nie wierzę ci - powiedziała jej matka. - A co więcej, mogę ci to zaraz udowodnić.

Zsunawszy się ze stołka, Janine zarzuciła torbę sportową na ramię i przesunęła w stronę matki szklankę, teraz już pustą, jedynie z namokniętym plasterkiem limonki na dnie.

- Aha, tylko że ja nie jestem zainteresowana twoimi dowodami, Beatrice. Idę do pracy.

- Ale kto idzie do tej pracy? - spytała Bea, nakrywając serwetkę szorstką ręką. - Ta kobieta, której nazwisko jest na tej serwetce, czy tak?

- Zgadza się, mamó - odparła Janine, kierując się do drzwi. Zatrzymał ją śmiech matki.

- Przeczytaj to i zapłacz, moja dziewczynko - powiedziała Bea, biorąc serwetkę w dwa palce i podsuwając je córce do obejrzenia.

Nagle Janine straciła ochotę, żeby tam spojrzeć. Poznała po triumfalnym wyrazie twarzy matki, że musiała się czymś zdradzić. I faktycznie, na serwetce widniał dowód, czarno na białym, po trzykroć wypisany jej własną ręką.

*Janine Louise Roby.*

*Janine Louise Roby.*

*Janine Louise Roby.*

## 12

Pamiętam, nieraz się bałem - przyznał ojciec Mark - że Bóg mógłby się okazać kimś takim, jak moja babka ze strony matki.

Było późne popołudnie i obaj z Milesem siedzieli na plebanii w kąciku jadalnym w kuchni, popijając kawę. Miles zwierzył się właśnie ze swych rozterek co do mądrości Bożej, co w jego pojęciu było drażliwym tematem. Tego dnia, na usilne nalegania córki, przyjął do pracy nowego pomocnika do kuchni. Potrzebowali kogoś takiego, więc jeśli o to chodzi, wszystko było w porządku, poza tym pani Whiting dawała mu wolną rękę w kwestii zatrudnienia personelu, za co w tym wypadku był jej szczególnie wdzięczny, ponieważ nie wyobrażał sobie, jak miałby swojej chlebodawczyni wytłumaczyć tę dzisiejszą decyzję. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, w jaki sposób uzasadnić ten wybór również przed Davidem i Charlene, którzy na

widok Johna Vossa spojrzeli na niego takim wzrokiem, jakby byli przekonani, że postradał zmysły. Co? Wynająłeś niemowę? - Nie mogli wyjść ze zdumienia, kiedy okazało się, że chłopak nie jest w stanie słowem się odezwać, a co dopiero spojrzeć dorosłemu prosto w oczy. Miles mógł poznać po „mowie ciała” swojego brata, że David uznał to jedynie za czubek góry lodowej, jeśli chodzi o dziwaczne zachowania Milesa od jego powrotu z Martha's Vineyard. Po spotkaniu Milesa z panią Whiting David nigdy nie powrócił do kwestii licencji na sprzedaż alkoholu, ale Miles wiedział dobrze, że temat nie został ostatecznie zamknięty. Podobnie jak konieczność znalezienia kogoś, kto by wreszcie zastąpił Bustera, który zapadł się jak pod ziemię, i Miles nie mógł się nigdzie dopytać, co się mogło z nim stać. Co prawda i tak potrzebowali kogoś do pomocy w obsłudze, jednak wynajęcie drugiego kucharza było o wiele pilniejsze, jeśli Miles nie miał nadal sam się zrywać codziennie, żeby otwierać restaurację, jak czynił to od blisko miesiąca. Gdyby na przykład zachorował, byłiby ugotowani, jako że David pracował jedynie wieczorami i rzadko kiedy wstawał przed południem. Tak więc na widok Johna Vossa David potrząsnął tylko głową, tak jakby Miles przysłał na boisko skrzydłowego, żeby zastąpił kontuzjowanego zawodnika na środku pola.

- Nasza rodzina była bardzo liczna - ciągnął teraz ojciec Mark - i na każde Boże Narodzenie babka dawała nam zamiast prezentów pieniądze, każdemu inną sumę, twierdząc, że nagradza swoje wnuki w zależności od tego, jak bardzo ją kochają. Przysięgała, że wystarczy jej jedno spojrzenie w nasze serca, by od razu to wiedzieć. I tak, jedno dziecko dostawało sztywną szeleszczącą pięćdziesiątkę, a inne pomięty banknot jednodolarowy. Nigdy nie zdarzyło się, by dwie koperty były tej samej wartości.

Miles pokiwał głową.

- Cóż, może piekło rzeczywiście istnieje

Ojciec Mark uśmiechnął się.

- Dobrze ci tak myśleć. Naturalnie to nie miało nic wspólnego z wnukami. Ona nagradzała i karała swoje dorosłe dzieci, zgodnie z wyznawanym przez siebie, wyjątkowo podłym i małodusznym, poczuciem sprawiedliwości. Ci, którzy wpadali do niej z wizytą w tygodniu, posłusznie wypełniali jej rozkazy, podlizywali się i nadskakowali na każdym kroku, byli następnie nagradzani. A ci, którzy tego nie robili, dostawali pod choinkę różgę w skarpecie. Moja siostra Jane należała do grona tych pierwszych, dopóki jej mąż nie wziął roboty w stanie Illinois. Babka zabroniła jej się wyprowadzać,

a kiedy mimo to wyjechali, wykreśliła Jane z testamentu.

Miles znowu pokiwał głową. Jak to możliwe, pomyślał, że światem rządzą stare kobiety, zwariowane na punkcie władzy?

- Nawet fakt, że odtąd Jane musiała jeździć taki kawał drogi do New Jersey na święta, nie przysporzył jej punktów. Z moją babką było tak, że jak raz zostałeś skreślony, to było jak amen w pacierzu, gorzej niż Mojżesz zakopany w płytkim grobie. Ale najgorzej oberwało się dzieciom Jane. Do dziś mam przed oczyma twarz mojej małej kuzynki Phyllis, jak otwiera świąteczną kopertę i wyciąga z niej pomięty jednodolarowy banknot. Nie podejrzewam, by zależało jej na pieniądzach, ale myślę, że naprawdę wierzyła w to, co babka mówiła o swojej zdolności patrzenia prosto w ludzkie serca. Jak ona strasznie płakała, biedactwo.

Obudziło to Milesa ciekawość.

- A jak tobie poszło tamtego roku?

- Mnie? - Ojciec Mark uśmiechnął się. - Och, ja dostałem szeleszczącą pięćdziesiątkę. Jeszcze pachniała świeżą farbą.

- Czy podzieliłeś się nią z pokrzywdzonymi kuzynami?

- Nie, bo jak możesz się domyślić, dzielenie się było surowo zakazane. Ale za to powiedziałem moim kuzynom prawdę.

- To znaczy?

- Że strasznie nienawidzę naszej babki, co stanowi doskonały dowód na to, że ona kłamie, bo w rzeczywistości nie potrafi zajrzeć w nasze serca. Powiedziałem małej Phyllis, że gdyby babka zajrzała w moje, zobaczyłaby, że z utęsknieniem czekam, aż ta stara wydra w końcu wykituje. - A gdy Miles nie zareagował na to od razu, ojciec Mark wyraźnie się zakłopotał. - Kiedy teraz opowiadam tę historię, przychodzi mi na myśl, że chyba nigdy jej nie wybaczyłem.

- Rzeczywiście, nie jestem pewien, czy ta opowieść mogłaby posłużyć jako temat kazania, bez wprowadzenia pewnych poprawek - przyznał Miles, mimo że to on sam sprowokował to wyznanie, próbując wytłumaczyć, jak to się stało, że rano zgodził się przyjąć do pracy tego nowego pomocnika. Jeśli to, co opowiedziała mu Tick, było prawdą, rodzice porzucili chłopaka, jedno po drugim, a teraz był celem ataków i pośmiewiskiem, zdany na łaskę szkolnych rozrabiaków. Co z kolei spowodowało, że Miles zakwestionował Bożą mądrość, skoro to Pan Bóg urządził świat w taki sposób, że dzieciaki są zbyt często obarczane ciężarem ponad ich siły.

A ponieważ „randka” z Cindy Whiting zbliżała się nieuchronnie, Miles poświęcał sporo czasu na rozmyślanie o życiowych niesprawiedliwościach

oraz o skłonności swojej matki do brania ich sobie do serca oraz do postępowania zgodnie z przekonaniem, że wszyscy zostaliśmy powołani na ziemię, by uczynić ją miejscem choć odrobinę bardziej sprawiedliwym. I wprawdzie to Tick poprosiła go, by przyjął do pracy tego bezbronnego, opuszczonego chłopca, ale bez wątpienia to matka szeptala mu do ucha, kiedy instynkt podpowiadał, by lepiej tego nie robił.

- Tak, to jest dobra przypowieść ze złym morałem - przyznał ojciec Mark. - Chyba muszę nad nią trochę popracować. Przyznaję, że niektóre z moich co bardziej udanych kazań biorą swój początek w tych naszych popołudniowych pogawędkach. A potem zawsze czuję się winny, że może powinienem ci odplacić jakimś dobrym przepisem kulinarnym dla restauracji. Mówiąc już całkiem poważnie, wcale nie uważam, że Bóg jest choć w części podobny do mojej babki, ale czasem myślę, że ta sytuacja jest w istocie bardzo pouczająca, jeśli spojrzeć na nią z perspektywy dziecka. No, bo co by było, gdyby się okazało, że nasz związek z Bogiem opiera się na czymś zupełnie innym, niż zakładaliśmy? Co by było, gdybyśmy odkryli, że w tym równaniu jest jakiś istotny element, który pominęliśmy? Może, tak jak dzieci, zakładamy, że odgrywamy zasadniczą rolę, a wcale tak nie jest. Może tu wcale nie chodzi o niesprawiedliwości, którymi się przejmujemy tu na ziemi, tylko o coś zupełnie innego.

- Chcesz powiedzieć, że nie jest ważne, czy nakarmimy głodnych?

- Nie całkiem. Może jest ważne, ale nie do końca tak, jak nam się wydaje. Może dla Boga ważniejsze jest to, w jaki sposób wyrażamy owo „jeszcze coś”, co wykracza poza wszelkie rozumienie. Coś, czego wcale nie mamy rozumieć.

- Nonsens - odparł z uśmiechem Miles. - Ja rozumiem twoją babkę doskonale, podobnie jak ty. Próbujesz zrobić tajemnicę ze zwykłego egoizmu.

Ojciec Mark zaśmiał się cicho.

- Tak, chyba tak. Ona rzeczywiście była złą, egoistyczną, starą wiedźmą. A przecież wszystkich nas pociągają dobre tajemnice. Wyjaśnienie, niezależnie od tego, jak pełne i dokładne, tak naprawdę nie przynosi satysfakcji. Weź, na przykład, tę dwójkę - wskazał przez okno Maxa i ojca Toma, którzy siedzieli w zapadającym zmierzchu pod wielką płaczącą wierzba. Według Milesa wyglądali teraz jak para starych włóczęgów, którzy nie mogli się zdecydować, czy mają wstać i złapać nocny pociąg towarowy na południe, czy przepuścić ten, a złapać dopiero poranny. Przy każdym podmuchu wiatru wąskie brunatne listki wierzbowe, wirując, opadały wokół nich;

co któryś osiadał im na włosach, ale oni, zatopieni w rozmowie, zdawali się tego nie zauważać. - Jakaś część we mnie chciałaby wiedzieć, o czym oni mogą tak zapamiętałe rozprawiać, chociaż z drugiej strony wątpię, czy poczułbym się o wiele mądrzejszy, gdybym to wiedział.

Przez ostatni tydzień, odkąd zaczął pomagać Milesowi przy kościele, Max zdołał nawiązać zadziwiającą przyjaźń ze starym księdzem. Z początku Miles podejrzewał, że ojciec Tom, zapadając się w coraz głębszy stan demencji, nie rozpoznał w Maksie człowieka, którego znał od dawna i którym bezwzględnie pogardzał, ale jednak nie. Kiedy go pytano, pamiętał całkiem dobrze, że miał zawsze o Maksie jak najgorsze zdanie, uważając go za starego bluźniercę, nieodpowiedzialnego miglancza i pijaka, ogólnie rzecz biorąc, niegodziwca i nicponia. Sprawiał natomiast wrażenie, jakby znacznie mniej jasno rozumiał przyczyny, dla których był tak krytycznie nastawiony wobec takich cech charakteru. I chociaż ani Miles, ani ojciec Mark nie odmawiali starym dziwakom prawa do przyjaźni, obaj byli zgodni co do tego, że należy ich mieć na oku.

Oprócz tego, za radą Milesa, Max otrzymał zakaz wstępu do „odbytnicy”, to jest na plebanię, jako że staruszek miał lepkie ręce; jeśli więc ojciec Mark nie chciał, by co cenniejszy dobytek kościelny wylądował w lombardzie Empire Music and Pawn, lepiej było trzymać Maxa na dworze i nie wpuszczać do środka.

- Okradłby pana Boga? - zdziwił się na tę sugestię ojciec Mark, za barwiając swoje pytanie zwykłą domieszką ironii.

- Jest szczególnie nieustraszony, jeśli chodzi o pana Boga - odparł Miles. - Tyle że nie potrafię powiedzieć, czy jest on prawdziwym ateistą czy może po prostu wierzy w takiego specjalnego Boga, który niezbyt dobrze orientuje się w szczegółach.

- To znaczy w Boga, którego można nabierać?

- Właśnie - zgodził się Miles, wzruszając ramionami. Nabijanie pana Boga w butelkę było istotnie dobrym i zwięzłym określeniem na ewentualne zamierzenia Maxa. Miles miał nawet pomysł, jak wyglądałby gambit Maxa na otwarcie. Po prostu wytknąłby panu Bogu, że jeśli spodziewał się po nim czegoś lepszego, należało zacząć od wyposażenia Maxa w lepszy charakter, zamiast wysyłać go do boju tak źle wyekwipowanego.

Jednakże nawet jeśli Miles za nic by się do tego nie przyznał, malowanie ruszyło z miejsca i posuwało się w znacznie szybszym tempie. Niewątpliwie istotną rolę odgrywał tu fakt, że zabierali się do pracy od razu, zamiast

marnować co najmniej godzinę, którą Miles zwykle spędzał z ojcem Markiem przy kawie. I było też prawdą, że nawet z tą swoją siedemdziesiątką na karku Max rzeczywiście był zwinny jak małpa. W dodatku mógł malować zarówno z drabiny, jak z rusztowania, i wcale się nie trząsał, znalazłszy się kilkanaście metrów nad ziemią, podczas gdy Miles czuł się niepewnie na chwiejnej podstawie i bardzo niechętnie odchyłał się od pionu. Z początku niepokoiła go nieustraszona brawura Maxa, ale między Bogiem a prawdą staruszek nigdy z niczego nie spadł, chyba że po pijanemu, więc Miles poprzestał na tym, że za każdym razem sprawdzał jego oddech, nim pozwolił mu postawić stopę na szczeblu drabiny. W rezultacie zachodnia strona św. Katarzyny była już prawie na ukończeniu, również dzięki temu, że koniec września był pogodny i słoneczny. I gdyby byli z Maxem mądrzy, to powinni na tym poprzestać, a dopiero na wiosnę wziąć się znowu do roboty, zakładając oczywiście, że do tego czasu św. Katarzyna nie zostałaby zamieniona na galerię sztuki lub salę koncertową.

Co do jednej rzeczy Miles miał już teraz absolutną pewność, a mianowicie, że nie będzie zaczynał wieży, nie pozwoli też na to ojcu, niezależnie od tego, że staruszek był taki dziarski. Początkowo Miles ludził się jeszcze, że może zebrałby się na odwagę i zrobił to sam, pod warunkiem że wchodziłby na szczyt ostrożnie i powolutku, dlatego któregoś dnia na początku tygodnia, odesławszy uprzednio Maxa do domu, wziął od ojca Marka klucze i wspiął się po wąskich schodkach na dzwonnice. Czuł, jak w miarę wchodzenia wyżej i wyżej ogarnia go coraz większa panika, ale wszystko było dobrze, dopóki pozostawał wewnątrz zamkniętej, pozbawionej okien przestrzeni. Gdy jednak pchnął klapę prowadzącą na zewnątrz, a następnie wyszedł i spróbował stanąć na dzwonnicy, natychmiast zdał sobie sprawę, że malowanie wieży jest w jego wypadku absolutnie wykluczone. Zrozumiał, że nigdy nie zdobędzie się na to, by wejść tak wysoko, czy to na drabinę, czy na rusztowanie, chyba że przez cały czas trzymałby się czegoś kurczowo obiema rękami. A szczerze mówiąc, nie mógł się zdobyć nawet na to, żeby wstać z kolan, tak bardzo się obawiał, że mógłby wypaść przez sięgającą pasa barierkę. Kiedy tak klęczał w tej pokutniczej pozycji, rzucił przelotne spojrzenie na rozległy krajobraz, rozciągający się hen, aż za rzekę, do posiadłości pani Whiting i dalej, a wtedy przyszło mu nieoczekiwanie na myśl, że gdyby Cindy Whiting zobaczyła, jak on tu klęczy tchórzliwie, nie mogąc się ruszyć z przerażenia i ściskając desperacko barierkę, może nareszcie uwolniłaby się od swego wieloletniego uczucia. Zajęło mu dobre pół godziny, nim w końcu

zebrał się na odwagę, by zejść przez otwór w podeście z powrotem na dół i zatrzasnąć klapę nad głową.

- Widać, że to przeważnie Max mówi - zauważył Miles w odpowiedzi na pytanie swojego przyjaciela, o czym ci dwaj starszuszki mogą tak zawzięcie rozmawiać.

- Myślisz, że spowiada się ze swoich grzechów?

Ta możliwość nie przyszła Milesowi do głowy, chociaż jak o tym teraz pomyślał, był w tym jakiś sens. Max był strasznym bufonem i samochwałą, a starszuszki mocno się buntowały, że go odsunięto od konfesjonału. Jeden mógł się okazać nieocenioną skarbnicą opowieści, których drugi tak bardzo łaknął. Maxa spowiedzi bez wątpienia były barwne, dramatyczne, urozmaicone i pouczające, i pewnie jeśli czegoś im brakowało, to wyłącznie żalu za grzechy. Ale Milesa zaintrygowała inna kwestia: czy księżom z demencją starczą nadal przysługuje prawo udzielania rozgrzeszenia? Max zawsze miał taką błogosławioną zdolność, która pozwalała mu przemykać się przez życie bez ponoszenia konsekwencji, było więc całkiem do niego podobne, że znalazł sobie kolejną furtkę, tym razem w postaci starszuszki księdza, który był skłonny mu wybaczyć niezliczone mnóstwo grzechów, w zamian nie żądając okazania skruchy.

- Kto wie, może rzeczywiście coś w tym jest - przyznał Miles, przyglądając się teraz starszuszkom z większą uwagą. Max opowiadał i gestykulował, ksiądz potakiwał z wielkim zapałem.

- No cóż, nie ma się czym martwić. Moim zdaniem twojego ojca niebiosy nam zesłały. Dokładnie tego Tomowi było trzeba.

- Max Roby? Z misją od pana Boga?

- Pomyśl tylko. Tom był pastorem starej daty. A tacy jak on kładli zawsze nacisk na unikanie grzechu.

- I to ma być staromodne?

Ojciec Mark wzruszył ramionami.

- Do pewnego stopnia, w tym sensie, że nigdy nie musisz się sam mierzyć ze swym człowieczeństwem. A jakąż mądrość miałby do zaoferowania nam, grzesznikom, człowiek prawdziwie bez skazy? Jakie pocieszenie mógłby nam przynieść?

- Coś mi mówi, że to, czego jesteś tutaj orędownikiem, nie jest po linii oficjalnego katolicyzmu.

- To zależy od linii - przyznał rozmówca Milesa. - Ale i tak wiesz, o co mi chodzi. Tak naprawdę Tom nigdy nie miał ciepła i zrozumienia dla swoich owieczek. Jak tyłu innych księży ze starej gwardii, zawsze widział w sobie



tęgo, który surowo wymaga i karze. Taki Brudny Harry w koloratce. Na kolana, punku! Pięćdziesiąt ojczenaszów i pięćdziesiąt zdrowasiek i żebym cię nigdy więcej nie przyłapał, nawet na myśleniu o tym, albo będę musiał z tobą inaczej porozmawiać.

- Kiedyś ludziom się to podobało - zauważył Miles. Pamiętał, że jako chłopiec też to lubił, bo wtedy czuł, że istnieje ktoś, kto jest ponad tym wszystkim, kto wie, co jest słuszne i dobre, i kto ma za zadanie dopilnować, byś i ty to wiedział.

- Możliwe - powiedział ojciec Mark. - Ale ja miałem na myśli, że może Tomowi przyda się trochę ucłowieczenia.

- W takim razie - przyznał Miles - rozmawia z właściwym człowiekiem.

- Skąpiradło, dusigrosz jeden - burczał Max, przeliczając banknoty, które otrzymał od ojca Marka, nim wetknął je do frontowej kieszeni pochłapanych farbą ogrodniczek. Siedzenie pasażera i podłoga przed nim także były teraz w plamach farby przez to, że Max odmówił przebierania się w czyste ubranie po skończonej robocie. Nie robił różnicy między ubraniami roboczymi i innymi, dlatego odkąd zaczął pomagać Milesowi przy św. Katarzynie, wszystkie jego koszule, spodnie i buty zostały pobrudzone farbą. A kiedy znajomi zwracali mu na to uwagę, odpowiadał jak zwykle: No i co z tego? Niewielu ludzi, myślał Miles, żyje równie wygodnie w granicach swojej prywatnej filozofii, która sprowadza się do pięciu krótkich słów.

- A czy chociaż mu podziękowałaś? - spytał Miles, wyjeżdżając z parkingu.

- A niby za co? - zdziwił się Max. - Przecież pracowałem, może nie?

- Mówiłem ci, że pracujemy za darmo, i ty się zgodziłaś.

- Co nie znaczy, że nie może mi dać forsy, jeśli poczuje taką wolę. To ty jesteś naiwniak, nie ja.

Miles skręcił na drogę wiodącą do restauracji. Tęgo wieczoru Tick pracowała na zapleczu, dlatego chciał jej pomóc. I chciał też sprawdzić, jak idzie Johnowi Vossowi. Poprzysiął sobie w duchu, że nie zwolni chłopaka, niezależnie od tego, czy sobie radzi z nowymi obowiązkami, czy nie.

- Naturalnie rozumiem, że ty byś się wstydził brać pieniądze - monologował dalej Max. - Wystarczyło, że wlałeś na drugi szczebelek tej cholernej drabiny, a już zaczęłaś się trząść jak galareta o swoje cenne życie.

- Chcesz, żebym gdzieś cię podwiózł, tato?

- Wiesz, że on jest ciotą? - ciągnął Max. - Ten młody, znaczy się.

- Skąd ci to przyszło do głowy, tato?  
- Ja tylko powtarzam, co powiedział mi ten stary przyk - dodał prędko Max. - Sam bym na to nie wpadł, czy on jest taki czy siaki.  
- Tato, ojciec Tom ma uwiad starczy. Na wypadek, gdybyś nie zauważył.  
- Och, ja to od razu zauważyłem - odpowiedział Max. - Nawet wolę go takiego. Ale znając ciebie, to pewnie to apróbujesz.

Miles zerknął na ojca.

- Co, uwiad starczy?  
- Nie, cioty - sprostował Max. - Rozmawialiśmy o ciotach.  
- Nie, to ty powiedziałeś, że twoim zdaniem ojciec Mark jest gejem, ja natomiast stwierdziłem, że ty nie wiesz, o czym mówisz. Jak zwykle zresztą.  
- Ja powiedziałem ciota, nie gej. A ty się złościsz, bo nie dostałeś zapłaty, a ja dostałem.  
- Nie, tato; nie jestem o to zły. Wręcz przeciwnie, jestem zachwycony. Może uda ci się przebrnąć przez weekend, nie nagabując mnie o pożyczkę.  
- Każdy człowiek ma jakieś potrzeby - powiedział Max, pochylając się do przodu, żeby nacisnąć zatrask od schowka. - To, że stuknęła mi siedemdziesiątka, wcale nie znaczy, że raz na zawsze skończyłem z jedzeniem, no nie?

- Powinieneś mieć te swoje potrzeby w pamięci na początku każdego miesiąca, kiedy żłopiesz piwsko, a nie pod koniec - zasugerował Miles. - Możesz mi powiedzieć, co ty teraz robisz?

- Twój schowek nie chce się otworzyć.  
- A wiesz dlaczego, tato? Bo jest zamknięty na zamek.  
- Zamknięty? - na twarzy Maxa odmalowało się zaskoczenie. Nie dalej jak wczoraj schowek nie był zamknięty, wiedział, bo go przeszukał i wziął sobie dziesiątkę, która pomogła mu przetrwać do wypłaty. Fakt, że teraz schowek był zamknięty, oznaczał zdecydowanie niepożądany rozwój wypadków. To tak jakby przyjąć gdzieś na kolację, zakładając, że jest się mile widzianym gościem, po czym stwierdzić, że nasze nakrycie stołowe znajduje się w kredensie.

- Tak, zamknięty. Żeby osoby niepowołane nie miały do niego dostępu - wyjaśnił Miles.

Nawet jeśli Max poczuł się urażony tym stwierdzeniem, nie dał po sobie poznać. Zamiast tego pochylił się jeszcze bardziej do przodu i zaczął macać pod tablicą rozdzielczą.

- Taki mały zameczek nie powstrzyma niepowołanych osób - powiedział. Dla zilustrowania swoich słów stuknął otwartą dłonią w jeden punkt pod spodem i drzwiczki schowka same odskoczyły. - Jeden gość w Keys mnie tego nauczył - rzekł, wyraźnie zadowolony, że był takim pojętym uczniem. - Mogę ci pokazać, jak to się robi, jeśli chcesz.

Miles podjechał do krawężnika, włączył światła postojowe, przechylił się w bok i sięgając poprzez ojca, zaczął przerzucać zawartość otwartego schowka, dopóki nie natrafił na dwudziestkę, którą tam rano włożył, żeby mieć rezerwę na wszelki wypadek. Z banknotem bezpiecznie schowanym w kieszeni na piersi, włączył się z powrotem do ruchu.

Max przyglądał się koszuli syna przez dłuższą chwilę, jakby chciał dokładnie zapamiętać położenie kieszeni, na wypadek gdyby miało mu się to przydać w przyszłości.

- Nigdy nie chcesz korzystać z mojego doświadczenia życiowego - zauważył. - Sam wiesz, że człowiek nie dojeżdża do siedemdziesiątki, nie nauczywszy się po drodze paru rzeczy, nie? - A kiedy Miles nie odpowiedział, dodał: - A może myślisz, że wiesz już wszystko, co?

- Wiem tylko tyle, że tej dwudziestki nie dostaniesz - rzekł Miles, patrząc na niego. Max wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że czas pokaże. Milesowi przypominał teraz Harpo Marxa, który nie chce się spierać, czyje to dwadzieścia dolarów, ponieważ wie coś, o czym ty nie wiedziałeś, wkładając je do swojej kieszeni - że banknot jest na sznurku. Faktycznie, podobieństwo między ojcem a Harpo Marxem było w tym momencie tak niesamowite, że Miles pomacał się po kieszeni, żeby się upewnić, że banknot jest na swoim miejscu.

- Podwędziłbyś i tę dwudziestkę, co? Mimo że pięć minut temu dostałeś zapłatę i pieniądze jeszcze ciepłe dopiero co włożyłeś do kieszeni. I nic, tylko jedno masz w głowie, sprawdzić, co mogło się znaleźć w moim schowku od ostatniego razu, kiedy tam zaglądałeś.

Max zignorował te słowa. Wyjął ze schowka folder agencji nieruchomości i niczym przyszyły kupiec zaczął przeglądać strony z ofertami domów na Martha's Vineyard po milion dolarów.

- Czy to przypadkiem nie ty tłumaczyłeś mi przed chwilą, że powinienem pamiętać o swoich przyszyłych potrzebach?

Miles zatrzymał się na czerwonych światłach, złapał folder, wepchnął go z powrotem do schowka i zatrzasnął drzwiczki. Żeby nie było wątpliwości. Niech sobie Max nabiera Pana Boga. Milesowi przyszło nagle na myśl, że pewnie Pan Bóg nie zdaje sobie nawet sprawy, z jakim przeciwnikiem miałby do czynienia. Miał tylko nadzieję, że jakby przyszło co do czego, to Pan

zająłby się tą sprawą w pierwszej kolejności zaraz z samego rana, w przeciwnym razie na zamknięcie długiego dnia miałby jak w banku, że w decydujących zakładach w Vegas Max został obwołany czarnym koniem.

- Gdybym ja był na twoim miejscu - zagadnął Max - zacząłbym chodzić w konkury do tej kalekiej córki Whitingów.

- I ty się dziwisz, dlaczego nigdy nie proszę cię o radę - powiedział Miles. Absolutnie nie miał zamiaru się przyznawać, że wybiera się z Cindy na jutrzejszy mecz. Może Max zapomni o meczu i wcale nie pójdzie. Może nikt nie zauważy ich razem i nie doniesie o tym staremu. Może świnie mogą latać.

Max obserwował w milczeniu, jak Miles walczy z zatraskiem zamka, aż w końcu zrezygnował i drzwiczki znowu opadły.

- Gdyby jedynym warunkiem tego, żebym mógł położyć łapę na dzieściu milionach, była żeniaczka z kaleką, ożeniłbym się w te pędy, ekspresowo.

- Wiem, że ty byś to zrobił, tato. A potem byś ją porzucił.

- Wcale nie - powiedział Max, majstrując przy mechanizmie zamka. - Może tylko, jakby mi przyszła ochota, pojechałbym sobie parę razy na wakacje - po raz kolejny trzasnęła drzwiczkami, które jednak natychmiast opadły znowu.

Miles patrzył na niego bez słowa, dopóki światła nie zmieniły się na zielone.

- Gdybyś miał tu śrubokręt, mógłbym ci to naprawić - zaoferował się Max.

- Już to świetnie naprawiłeś, tato - powiedział Miles, przejeżdżając przez skrzyżowanie, a jednocześnie rozmyślając o tym, co mu powiedziała pani Whiting, że byłoby mu o wiele łatwiej, gdyby się ożenił z Cindy. - Proszę cię tylko o jedną przysługę, żebyś mi już nic więcej nie naprawiał, zgoda?

Max założył nogę na nogę i przytrzymując kolanem zepsute drzwiczki, zapatrzył się w okno. Przez dobrą minutę podziwiał widoki za szybą, po czym znów wyciągnął folder agencji nieruchomości.

- Ożeniłbyś się z tą kaleką i zaraz mógłbyś sobie kupić ten dom, na którym ci tak cholernie zależy.

- Tato? - powiedział Miles. - Czy mógłbyś nie mówić o niej w ten sposób?

- W jaki sposób?

- Kaleka. Możesz tego nie robić?

- A niby jak powinienem ją nazywać?  
- Mam propozycję. Co ty na to, żebyś w ogóle jej nie nazywał. Prawdę mówiąc, nie widzę żadnego powodu, dlaczego miałbyś w ogóle o niej mówić. Nic nas z nią nie łączy, ani ciebie, ani mnie.

Max milczał dłuższą chwilę.

- To ta sama rodzina. Roby i Robideaux.

- Nie zaczynaj znowu tej śpiewki, tato - ostrzegł go Miles. - Masz jeszcze mniejszą szansę, że uda ci się położyć łapę na ich forsie, niż to, że zdołasz wyciągnąć tę dwudziestkę z mojej kieszeni.

A kiedy Max nic na to nie powiedział, Miles dyskretnie pomacał się po kieszeni, chcąc się upewnić, że staruszek już jej stamtąd w jakiś sposób nie wyciągnął. Z ulgą wyczuł, jak banknot marszczy się pod materiałem koszuli.

- Znałem takiego jednego gościa w Keys, który nigdy nie mówił o sobie inaczej, jak tylko kaleka - powiedział ojciec. - Max, mówił mi, nigdy nie bądź kaleką.

- Dobry Boże - westchnął Miles.

- Chciałem tylko powiedzieć, żebyś się na mnie nie wkurzał - wyjaśnił ojciec. - To nie ja ją przejechałem.

- Nie - zgodził się Miles. - Ty miałeś szczęście. Przejechałeś jedynie pieska burmistrza.

- Miałem to nieszczęście, chciałeś powiedzieć - rzekł Max. - Pieska jego córki, nie burmistrza. Wpadł mi prosto pod koła, a na to nic nie można było poradzić, nawet gdybym był trzeźwy. To się wydarzyło dokładnie w tym miejscu - Max wskazał cichą, zacienioną ulicę niegdyś eleganckich domów, z których większość w ostatnich czasach zaczęła się z lekka sypać. Jeden z nich należał do Walta Comeau; na jego froncie widniał napis „Na sprzedaż”.

- Nie, wiem, co mówię - upierał się Miles. - Miałeś szczęście. Gdyby to było dziecko, też byś nic nie mógł pomóc. Ale tobie się udało.

- Gdyby to był każdy inny dzieciak, byłoby znacznie mniej wrzawy - przypomniał mu Max. - Przyznaj, że ty też myślałeś, tak jak wszyscy, że to ja zrobiłem.

- Ja nie...

- Gdyby twoja matka żyła, na pewno kazałaby ci się ożenić z tą kaleką dziewczyną, tak samo jak ja. A gdyby to ona ci powiedziała...

Miles uśmiechnął się mimo woli. Pani Whiting zastosowała dokładnie tę samą taktykę.

- ... na pewno byś to zrobił. A wtedy mielibyśmy dziesięć milionów do podziału.

- To ty tak myślisz - powiedział Miles. - Gdyby mama żyła, to ona i ja mielibyśmy dziesięć milionów. A ty znów miałbyś gówniane szczęście.

Max rozważał tę możliwość.

- Wiesz, tak mnie nie lubisz, że aż się dziwię, dlaczego mi nie zapłacisz, żebym się stąd wyniósł. A ja bym się zmył w te pędy, wiesz, nie? Wystarczyłoby pięć stówek, w tej minucie już bym zasuwał na Florydę. Więcej mi nie trzeba.

- Więc jak to możliwe, że zawsze do mnie stamtąd wydzwaniasz, prosząc o pieniądze.

- Jesteś moim synem. Powinieneś mi trochę pomóc od czasu do czasu.

Po raz kolejny Miles nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Czy nie przyszło ci nigdy na myśl, że to, co mówisz, jest postawione na głowie? Czy to nie rodzice powinni pomagać swoim dzieciom?

- To działa w obie strony - odpowiedział Max.

- Nie w tej rodzinie - zapewnił go Miles. - W tej rodzinie to działa wyłącznie w jedną stronę, i obaj dobrze wiemy, w którą.

Max wytrzymał w milczeniu całkiem sporą chwilę, nim odezwał się ponownie.

- Tylko pięć setek, nie potrzebuję więcej - rzekł w końcu. - Jak już tam dotrę, poradzę sobie. Wszyscy turyści myślą, że jestem Conchem. A wiesz, kto to *Conch*?

- Jasne. To miejscowe określenie na obdartusa i włóczęgę, który nie lubi się myć, zgadza się? I jeszcze na zatwardziałego rozpustnika, który ma resztki jedzenia w brodzie i łązi po mieście, naciągając obcych i wyzymając ich jak gąbki.

Tym razem Max milczał dwa razy dłużej, czym zmusił Milesa do tego, by w końcu na niego spojrzeć. Doświadczenie nauczyło go, że uczuć ojca nie można zranić, ale czasem lękał się, że pewnego dnia zagalopuje się za daleko.

Wreszcie po długiej chwili ojciec zachichotał.

- Zabawne, że wspomniałeś o gąbkach - rzekł. - Bo tak mówi się na dawnych poławiaczy gąbek. *Conch*. W większości byli to Grecy. No, może wystarczyłoby czterysta.

Miles musiał przyznać, że pozbycie się ojca z domu na całą zimę - które w Maine są długie - za jedyne czterysta dolarów to kusząca wizja, nie mówiąc o tym, że cena nie była wygórowana. Ale po pierwsze, Miles nie miał

tych pieniędzy; po drugie, znał Maxa. Można mu było zapłacić, żeby się gdzieś wyniósł, ale to wcale nie znaczyło, że tam zostanie. Nie, dawanie Maxowi pieniędzy na wyjazd byłoby równoznaczne z opłacaniem się szantażystę; jak tylko by się zorientował, że Miles ma możliwości i jest skłonny zapłacić, natychmiast byłby z powrotem. I w końcu musiałby chyba ojca zamordować, inaczej by zbankrutował.

- Księgarnia z kawiarnią, plus domek o dwóch sypialniach. I-di-licz-ne położenie. Rowerem do miasta i na plażę - przeczytał Max ogłoszenie, zakreślone przez Milesa.

- I-dyl-liczne - powtórzył Miles wolno, poprawiając wymowę ojca. Kiedy po wizycie u pani Whiting na początku miesiąca wrócił do domu, przerażony tym, co narobił, zapraszając Cindy na randkę, popełnił wówczas dwa błędy, jeden ze strachu, drugi z braku roztropności. Zadzwoił do pośrednika nieruchomości, żeby zapytać o cenę wywoławczą, a następnie zanotował ją nad ogłoszeniem w folderze z ofertami domów. Właściwie zanotował jedynie trzy pierwsze cyfry, co przypuszczalnie wprowadziło teraz ojca w błąd. Naturalnie, wcale nie zamierzał nic zapisywać, ale suma, jaką podał mu pośrednik, zaparła mu dech w piersiach, i zanotował trzy pierwsze cyfry, żeby je sobie samemu bardziej urealnić. Nim skończył notować, już znał prawdę - że nawet gdyby pani Whiting zapisała mu restaurację w testamencie i nawet gdyby zdołał ją sprzedać, a na dodatek Janine sprzedałaby dom z zyskiem, suma uzyskana z obu tych transakcji nie wystarczyłaby nawet na zaliczkę za to miejsce na Martha's Vineyard. A nawet gdyby jakimś cudem był w stanie wpłacić tę zaliczkę, zostałyby uziemiony ze splatami hipoteki, na które nigdy w życiu nie zarobiłby, sprzedając książki i espresso. Pośrednik zaproponował, że skontaktuje go z obecnymi właścicielami, żeby mógł przedyskutować kwestię opłacalności tego interesu, ale Miles mu podziękował i odwiesił słuchawkę, porażony już tymi trzema pierwszymi cyframi.

Na nieszczęście Miles Roby w niczym nie przypominał Walta Comeau, który z łatwością oddawał się podobnym fantazjom. Przez ostatnich kilka tygodni pomysł otwarcia fitness klubu na Martha's Vineyard umocnił się w Walcie na tyle, że właściwie im bardziej o tym myślał, tym mniej widział racji, dla których nie miałyby tego uczynić. A gdyby nowy klub przyniósł dochody, był gotów otworzyć kolejny na sąsiedniej wyspie, Nantucket, czy gdziekolwiek indziej. Miles nie mógł się powstrzymać od uczucia podziwu dla Walta za jego zdolność do snucia tego rodzaju przyjemnych planów, które nie miały żadnego pokrycia w rzeczywistości. Widać było, że Walt nie

uznawał za konieczne, by przekładać fantastyczne pomysły na liczby czy rozważać ewentualne trudności; takie rzeczy jedynie odbierają człowiekowi śmiałość i odwagę, niczym zaciskająca się pięść.

- Co to niby znaczy? Idylliczny?

- To, że w polu widzenia nie ma tam żadnego Concha - odpowiedział Miles. - Zrób to dla mnie i odłóż ten folder na miejsce.

Ku zaskoczeniu Milesa Max posłuchał bez słowa komentarza i nawet udało mu się jakoś zamknąć drzwiczki schowka. Gdyby Miles go nie znał, mógłby przysiąc, że ojciec zrozumiał, jak się miały te trzy cyfry do propozycji w folderze nieruchomości, i co to musiało znaczyć dla jego syna.

Ale wtedy Max zaczął gwizdać. Milesowi zajęło dobrą chwilę, nim rozpoznał skoczną melodię, której nie słyszał od dzieciństwa. Gdy Max doszedł do refrenu, przestał gwizdać, a zaczął wyśpiewywać pod nosem słowa, jednak na tyle głośno, by można je było usłyszeć, i tylko ktoś, kto go nie znał, mógłby przysiąc, że jego myśli są zajęte czym innym.

*Wróć, wróć do domu, Cindy, Cindy,*

*Wróć, wróć do domu, Cindy, Cindy,*

*Wróć, wróć do domu, Cindy, Cindy,*

*Pewnego dnia poślubię cię...*

Przed restauracją nie było wolnego miejsca, tak więc Miles zaparkował z tyłu za śmietnikiem, tuż obok hyundaia Charlene. Ludzie czekali przy wejściu na wolny stolik i Miles od jednego rzutu oka mógł stwierdzić, że w lokalu jest pełno. Piątek wieczór. Kuchnia meksykańska. Danie dnia - *flautas* z nadzieniem z krewetek.

- Pewnie przydałaby im się tam jakaś pomoc - zwrócił się Miles do ojca, przygotowany, że ten bez wahania odmówi. Staruszek miał gotówkę w kieszeni i pewnie tylko czekał, żeby wyskoczyć do Callahana albo Olde Mill Pub. - Przyjeliśmy dziś nowego chłopaka do pomocy, ale przy takim tłumie sam na pewno sobie nie poradzi.

- Czemu nie - zgodził się Max tak gładko, że Miles natychmiast zakarbował sobie w pamięci, by go mieć przez cały wieczór na oku. Ojciec nienawidził pracy, natomiast lubił ścisk i tłok, przypuszczalnie dlatego, że chaos stwarzał znacznie więcej okazji niż ład i porządek.

- Tylko załóż świeżą koszulę, nim wyjdiesz do ludzi - przypomniał mu Miles.

- Pracowałem tu już wcześniej, nie pamiętasz?



- I fartuch - dodał Miles. - I umyj ręce.
- Umyć ręce do zbierania brudnych naczyń?

Pomieszczenie na zapleczu wypełniała gęsta para. Tick wkładała właśnie talerze do zmywarki, kiedy ojciec i dziadek weszli do środka.

- Jak leci, dziecinko? - przywitał ją Miles.

- W porządku - odparła. - Staruszka ledwie ciągnie - wskazała na zmywarkę.

Miles uśmiechnął się i pocałował ją w czubek głowy, wciągając zapach swego dziecka, które nie było już dzieckiem, ale nadal tak pachniało. Wszystko w jego córce wydawało mu się właściwe i na miejscu, nie wyłączając tego, w jaki sposób drugie zdanie, które wypowiedziała, często przeczyło pierwszemu. Wszystko zawsze było w porządku. Poza tym, że w porządku nie było.

- Póki co radź sobie, jak możesz, a ja później do niej zajrzę. A jak tam idzie twojemu przyjacielowi?

- W porządku - odparła. - Trochę powoli. Nie powinienesz mu na początek dawać wieczornej zmiany w weekend.

- Dziadek zaraz mu pomoże - powiedział Miles w tej samej chwili, w której Max wyłonił się z magazynu, zapinając wykrochmaloną białą koszulę, o dwa numery za dużą na niego. Max podszedł do niej od tyłu i objąwszy ramionami jej szczupłą talię, przyciągnął do siebie. Miles dobrze wiedział, że Tick jest przywiązana do dziadka, ale nie do jego uścisków, i na pewno by mu to powiedziała, gdyby potrafiła wymyślić sposób, w jaki mogłaby to zrobić bez urażenia jego uczuć. Miles próbował jej wytłumaczyć, że Max prawdopodobnie nie posiada uczuć w potocznym rozumieniu tego słowa, ale ona nie do końca dała się przekonać, ponieważ wolała wierzyć, że je ma, tylko gdzieś bardzo dobrze ukryte. Zresztą, kto wie? Miles musiał przyznać, że jeśli Max rzeczywiście żywił do kogoś szczere uczucia, to ich obiektem była właśnie jego wnuczka.

- Jak się czuje moja mała dziewczynka? - spytał Max.

- Twoja broda drapie, dziadku. I pachniesz.

- Ty też - odparł Max. - Różnica polega tylko na tym, że ty jesteś młoda i pachniesz ładnie. Kiedy ja byłem w twoim wieku, dziewczęta mówiły, że pachnę jak dojrzałe jabłko.

- Dojrzałe, w to mogę uwierzyć - wtrącił się Miles, wręczając ojcu plastikową tacę. - Tylko naczynia. Jeśli Charlene przyłapie cię, jak zgarniesz jej napiwki, wypatroszy cię jak rybę. - Wyszli razem przez wahadłowe drzwi.

- Na Florydzie kelnerki zawsze dzielą się swoimi napiwkami z pomywaczami.

- Zaproponuj to Charlene, czemu nie spróbujesz? - uśmiechnął się Miles, wiedząc doskonale, że Max nie jest ani taki odważny, ani taki nierozsądny.

- Doskonale! - zawołał David, usłyszawszy ich głosy. - Przybyła kawaleria.

- Jak ci pomóc? - spytał Miles.

- Pomóż lepiej Charlene - zasugerował David. - Robi za kierowniczkę sali i kelnerkę jednocześnie.

W małym przedsionku czekały na stoliki cztery grupy gości, z czego trzy prawdopodobnie przyjechały z college'u w Fairhaven. Miles usadowił jedną parę przy świeżo zwolnionym stoliku we wnęce, po czym ustalił listę oczekujących. Lista oczekujących w Empire Grillu? Jak tak dalej pójdzie, będzie musiał dodać to cholerne „e” na końcu słowa „Grill”, jak go ciągle do tego namawia Walt Comeau. Trzy stoliki kończyły jednocześnie, więc Miles obsłużył kasę, a następnie zrealizował zamówienia na drinki przyniesione przez Charlene. Poczł, że David go obserwuje, i bez trudu mógł odgadnąć jego myśli: ile z tych szklanek coca-coli i mrożonej herbaty byłoby kieliszkami wina po cztery, pięć dolarów jeden, gdyby tylko mieli licencję?

- Ten twój starszerek podbiera sobie z moich stolików po dwadzieścia centów - powiedziała Charlene zamiast powitania. - Wykastuję go.

- Ostrzegalem go - zapewnił ją Miles, zadowolony, że groźby Charlene okazały się tak zbieżne z jego przewidywaniami na ten temat. Wyglądała na zmęczoną, ale całkowicie zdolną do wprowadzenia swoich pogrózek w czyn, a w oczach Milesa była ciągle tak samo piękna jak tamta dziewczyna, która pracowała tu już dobrych parę lat jako kelnerka, kiedy on, w wieku piętnastu lat, rozpoczął pracę w Empire Grillu.

- Zjawileś się w samą porę - powiedziała. - Kiedy to ostatni raz mieliśmy taki ruch jak dzisiaj?

- To wszystko zasługa Davida - powiedział Miles. - Kto by pomyślał, że w hrabstwie Dexter tak zasmakują meksykańskie *flautas*?

Charlene ustawiła na ramieniu dużą srebrną tacę, zapełnioną talerzami.

- Będzie nam potrzebny stolik w narożnej wnęce, Miles - powiedziała. - Ten, gdzie teraz siedzą przyjaciele Tick.

Miles był dotąd tak zajęty, że nie zauważył grupy złożonej z siedmiu uczniów z ogólniaka, wciśniętej we wnękę, którą zwykle popołudniami

zajmowały dziewczęta ze szkoły kosmetycznej, i twarz mu spochmurniała, kiedy zobaczył wśród nich Zacka Minty. Teraz, jak się nad tym dobrze zastanowił, przyszło mu do głowy, że Tick od paru dni zachowywała się tak, jakby usiłowała mu coś powiedzieć.

- Dobry wieczór, panie Roby - przywitał go młody Minty gładko i flegmatycznie, jak to miał w zwyczaju, gdy Miles podszedł do ich stolika. Miles znał większość z pozostałych młodych ludzi i nawet dość ich lubił. Była też wśród nich dziewczyna z lekką nadwagą, w koszulce z jednorożcem, z nastroszonymi włosami o barwie, jakiej nie spotyka się w naturze; Miles domyślił się, że to musiała być Candance, koleżanka z plastyki. - Jak się pan miewa, panie Roby - ciągnął Zack Minty. - Pewnie potrzebuje pan tego stolika?

Dlaczego, zastanawiał się Miles, dorośli tak nalegają, żeby dzieci zachowywały się grzecznie i uprzejmie? Te najbardziej uprzejme zawsze wydawały mu się z gruntu niegodne zaufania. Wszyscy pozostali, siedzący przy stole, byli nieśmiali i zachowywali się niezręcznie w obecności dorosłych, nie potrafili nawet spojrzeć w oczy. Młody Minty zawsze patrzył dorosłym prosto w oczy, i to w taki sposób, który sprawiał, że to oni pierwsi odwracali wzrok.

- Tak, byłbym bardzo wdzięczny - odpowiedział mu Miles. - Myślę, że może udałoby nam się wygospodarować parę miejsc przy barze.

- Nie ma sprawy, panie Roby. Tata mówił mi, że pański biznes ostatnio lepiej się kręci - odparł chłopak, wysuwając się zza stołu. Kiedy stał, był niemal tego samego wzrostu co Miles, a przy tym sprawiał wrażenie, że jest tego w pełni świadomy. Milesa ciekawiły dwie rzeczy. Czy stosuje sterydy? I skąd jego ojciec, który sam rzadko kiedy zaglądał do restauracji, może wiedzieć, że interes się kręci? W porządku, może nie była to aż taka wielka tajemnica. Mógł tędy przejeżdżać i zobaczyć na parkingu o wiele więcej samochodów niż dawniej. Albo ktoś mu o tym powiedział. Pani Whiting, na przykład. Dziwne, ale Miles nadal nie mógł się oprzeć myśli, że kiedy przed miesiącem natknął się na nich, jak rozmawiali przed Biurem Planowania i Rozwoju, ich rozmowa dotyczyła jego osoby. Może i wariackie podejrzenie, ale nie mógł się go pozbyć.

- Wybiera się pan jutro na mecz, panie Roby?

Miles skinął głową.

- Zamykamy po lunchu.

- Kto wie, może uda nam się choć raz dokopać tym z Fairhaven - rzekł Zack, a pozostali żywo przytaknęli tej pełnej nadziei przepowiedni. - Żeby Empire Falls nareszcie było z nas dumne.

- Zack będzie backerem - wtrąciła dziewczyna, co do której Miles pomyślał, że to musi być Candance.

- Linebackerem - poprawił Zack, nie patrząc na nią, a w jego głosie pojawiła się nutka pogardy, wyraźnie skierowana, jak zauważył Miles, pod adresem dziewczyny. - Przyszła, że to moja wielka szansa, żeby się pokazać. - Ponownie spojrzął wprost na Milesa.

- Powodzenia - powiedział Miles, możliwie jak najbardziej obojętnym tonem.

- Wielkie dzięki, panie Roby. Wiemy, że całe miasto jest za nami. - A gdy Miles zaczął ścierać stół w opróżnionej wnęce, dodał jeszcze: - Widzę, że wynajął pan więcej ludzi do pomocy - skinął głową w stronę Johna Vossa, który właśnie zniknął za wahadłowymi drzwiami w drodze na zaplecze; Milesowi przypomniało się nagle, że tej wiosny Minty sam starał się u niego o pracę na godziny. - Dobry chłopak z tego Johna.

Miles pokiwał głową bez słowa, chociaż nie miał pojęcia, czy to prawda.

- Czy myśli pan, że Tick będzie gotowa, żeby zdążyć na seans od dziewiętej trzydzieści? - spytała dziewczyna.

- Zrobię, co w mojej mocy - rzekł Miles i jednocześnie ze zdziwieniem spostrzegł, że to rutynowe zapewnienie wywołało na jej twarzy uśmiech, który był jakby niewspółmierny do okoliczności. Miles rozpoznał w nim dokładnie taki sam uśmiech, jakim Cindy Whiting, będąc w tym wieku, zawsze odpowiadała na najdrobniejszą uprzejmość. Uśmiech świadczący o nieszczęśliwym życiu.

- Szkoda, że John nie może iść z nami, co, Candance? - odezwał się chudy chłopak, którego Miles słabo znał.

- Zamknij się! - krzyknęła dziewczyna, na tyle głośno, że wszyscy goście odwrócili się od stolików, żeby na nią spojrzeć.

- Hej - powiedział ostrzegawczo Miles i już miał dodać, że krzyki w jego restauracji są niedozwolone, kiedy zorientował się, że oczy dziewczyny w jednej chwili napelniły się łzami. Mój Boże, pomyślał, jakie to straszne być w tym wieku, gdy emocje ma się tuż pod powierzchnią i wystarczy drobne nieporozumienie, a już zaczynają kipieć. Na tym właśnie, w największym uproszczeniu, polega dorosłość - na opanowaniu umiejętności skrywania uczuć. Z dała od wzroku i na ile to możliwe, z dała od myśli.

- W porządku, panie Roby - odezwał się Zack Minty. - Proszę przekazać Tick, żeby się nie martwiła. Wpadniemy po nią później. I dzięki za propozycję miejsca przy barze.

Po ich wyjściu Miles przygotował stół na pięć osób, ulokował tam jedynę tak liczne towarzystwo, które czekało w przedsionku, a następnie dodał nazwiska trzech kolejnych grup gości do listy oczekujących. Minęła jeszcze dobra godzina, nim sprawy na tyle zwolniły tempo, że mógł wyjść na zaplecze.

- Twoi przyjaciele kazali ci przekazać, że po ciebie wrócą - powiedział córce.

Oczy Tick rozbłysły, nim zdążyła się odwrócić, żeby otworzyć zmywarkę i wyjąć stamtąd plastikowy koszyk z parującymi szklankami.

- W porządku.

Miles podszedł do niej, na chybił trafił wybrał kilka szklanek i podniósł je pod światło. Nie było aż tak źle, jak się tego obawiał, ale na kilku zauważył drobne stwardniałe grudki proszku, przyklejone do zewnętrznych ścianek, które zdrapał paznokciem.

Zdjął koszulę i zawiesił ją na kołku przy drzwiach, po czym sięgnął po szpikulec do lodu, który leżał zawsze w pogotowiu na blacie zmywarki jako podręczne narzędzie do mniej lub bardziej ciężkich napraw rozpadającej się ze starości maszyny. Gdy zatykały się otwory spryskiwacza - co było najczęstszym problemem - szklanki nie służyły do czyszczenia, a wtedy szpikulec do lodu służył do ich odfekowania równie dobrze jak każde inne narzędzie.

- Wydawało mi się, że wiosną skończyłaś z Zackiem Minty - powiedział Miles, wsuwając głowę do środka maszyny, przez co jego głos nabrał głuchego brzmienia.

A kiedy Tick nie odpowiedziała, odwrócił się, żeby na nią popatrzeć, i zdążył uchwycić moment, jak wzruszała ramionami.

- Co to miało znaczyć?

- Co?

- To wzruszenie ramionami.

Naturalnie sam doskonale wiedział co. Oznaczało, że to nie jego interes.

- Nic - odparła.

Kolejne potwierdzenie, jeśli w ogóle było potrzebne.

Miles włożył głowę z powrotem do zmywarki. Kilka otworków rzeczywiście było zatkanych i wystarczyło pięć minut głupiej roboty, żeby je przetkać z grubsza, dość by maszyna mogła jako tako działać do jutra, gdy to przeczyści sięj dokładniej. Kiedy ładował do niej nową porcję brudnych naczyń, oczy jego córki były już pełne łez, a ramiona i głowa pochylone, jakby przygniatał je wielki niewidzialny ciężar.

- Och, kochanie - powiedział, przyciągając ją do siebie na tyle, na ile mu na to pozwoliła. - Wszystko jest dobrze.

- Ja wiem, że ty go strasznie nie znosisz - pociągnęła nosem na jego piersi.

- To nieprawda - powiedział Miles. - To tylko chłopak. Jeśli jest coś, czego rzeczywiście nie znosisz, to myśl, że boisz mi się mówić o różnych rzeczach.

- Tu nie ma nic do opowiadania - powiedziała, odsuwając się od niego i nie patrząc mu w oczy, wciąż markotna. - Tak tylko razem się trzymamy. Całą paczką. Nie tylko ja i Zack.

- Domyślam się, że to Candance była tam z nimi?

- Miała na sobie koszulkę z jednorożcem?

Miles potwierdził.

- Sprawiała wrażenie, jakby ona również podkochiwała się w Zacku?

- Czemu powiedziałeś „również”? Mnie na nim nie zależy.

- W porządku - rzekł Miles, wciąż zakłopotany całą sytuacją, jednocześnie układając sobie w głowie wszystko, czego udało mu się od niej dowiedzieć. - To twoja sprawa. Nie jesteś już dzieckiem.

Chociaż przecież była. Zgoda, czymś więcej niż dzieckiem, możliwe. Dzieckiem z dorosłą inteligencją i być może nawet z pewnym doświadczeniem osoby dorosłej, bystrzejszą i bardziej godną zaufania, bardziej odpowiedzialną i dojrzałą niż większość jej rówieśników, ale jednak dla Milesa nadal tylko dzieckiem. Wystarczył mu jeden rzut oka na nią, żeby to wiedzieć. I to nie jakimś dzieckiem - była jego dzieckiem. Jego, o wiele bardziej niż Janine, niezależnie od tego, jak zadecyduje sąd. Jego dzieckiem, które uwielbiał i którym zamierzał się opiekować, przynajmniej jeszcze przez pewien czas.

- Gdybym tylko dostała list...

Miles nie od razu się połapał, o czym ona mówi, dopóki nie zrozumiał, że chodziło o tego chłopca z Martha's Vineyard.

- Nie minęło jeszcze zbyt wiele czasu - rzekł, mimo że upłynął już prawie miesiąc. W wieku Tick była to cała wieczność. - A poza tym bądź sprawiedliwa. Ty do niego też nie napisałaś, prawda?

Kolejne rozpaczliwe wzruszenie ramionami.

- A niby po co miałam pisać?

Nie, prawda była taka, że ona była dzieckiem i jednocześnie nim nie była. W wieku szesnastu lat jego córka już rozumiała, że osoba, która wykona ruch pierwsza, ląduje na przegranych pozycjach. A gdyby na dodatek ona napisała, a chłopak nie odpowiedział, byłoby jeszcze gorzej. Miles pojął, że

jego córka za wszelką cenę stara się zaakceptować rzeczy takimi, jakie są, co więcej, zdaje sobie sprawę, że na tyle ją stać, i boi się, że każda rzecz ponad to mogłaby się okazać zbyt trudna. W tym momencie przypomniało mu się, jak w zeszłym tygodniu David ostrzegł go, że jeśli nie będzie uważał, Tick skończy jako jego następczyni, zarządzająca Empire Grillem.

Właśnie zamierzał coś powiedzieć, gdy zorientował się, że atmosfera w pomieszczeniu uległa zmianie, i odwróciwszy się, zobaczył, że John Voss stoi w progu, nieporuszony i milczący, z pojemnikiem pełnym brudnych naczyń. Zupełnie jakby nie wiedzieć skąd nagle się zmaterializował, chociaż bardziej prawdopodobne było, że po prostu wszedł w chwili, gdy Miles kłęzczał z głową w zmywarce. A jeśli tak, to ciekawe, jak długo tam stał, z tymi swoimi wiecznie rozchylonymi ustami, w których połyskiwały wąskie, ostro zakończone zęby, przez co wyglądał jak pies, który spodziewa się, że lada chwila ktoś go kopnie. Nie, pomyślał Miles, nie jak pies. Tak naprawdę ten chłopak przypominał jakiegoś androida z filmu science fiction, którego baterie są na wykończeniu. Nawet nie patrzył na nich, tylko gdzieś w bok, pod jakimś dziwnym kątem, z lekko przechyloną głową, tak jakby pomimo utraty sił, oznaczającej niemożność poruszania się, zachował możliwość słyszenia. Co takiego było w ludzkiej bezradności, że wywoływała okrucieństwo? Miles powstrzymał odruch, by powiedzieć chłopakowi, żeby wyniósł się do diabła. Co on sobie myśli, żeby tak stać tam i przysłuchiwać się jego prywatnej rozmowie z córką? Czy to możliwe, żeby chłopak w jego wieku był tak dalece pozbawiony ogłady towarzyskiej, by nie wiedzieć, że powinien chrząknąć, przeprosić za to, że przeszkadza? A nawet, skoro już tego nie zrobił, wystarczyło po prostu odstawić ten cholerny pojemnik i wycofać się za drzwi!

- Postaw te naczynia przy zlewie - polecił mu Miles, swymi słowami wprawiając chłopaka w ruch, co wskazywałoby, że jego baterie jeszcze trochę działają.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim wahadłowym ruchem, Miles poczuł, że moment, w którym mógł coś jeszcze powiedzieć Tick, minął bezpowrotnie; zdawał sobie sprawę, że pojawienie się chłopaka zaprzepaściło jakąś szansę - chociaż nie bardzo wiedział jaką. Był bliski powiedzenia córce czegoś prosto od serca, żeby nie dała się zapędzić w jakąś pułapkę czy coś w tym rodzaju, nawet jeśli niewiele więcej ponad to. Cokolwiek to było, odpowiednia chwila minęła.

Spojrzał na zegarek, dochodziła dziewiąta. Nagle uświadomił sobie, że jedyna mądrość, jaką mógł się z pełnym przekonaniem podzielić, dotyczyła stanu zmywarki.

- Wstaw te szklanki jeszcze raz do zmywania, tylko bez proszku - polecił, jako że to mogło przetkać do końca dolne otworki spryskiwacza. - I jeszcze trochę tu ogarnij, a potem możesz iść, zgoda? Powiedzieli, że wpadną po ciebie w drodze do kina.

Jej oczy troszkę się rozpozogdziły.

- Na pewno? Jest jeszcze spory ruch.

- Nie aż taki, żebyśmy nie mogli sobie poradzić sami z dziadkiem - zapewnił ją. - Idź i baw się dobrze.

Ale widać nie do końca usunął ze świadomości obraz Johna Vossa, stojącego bez ruchu w progu, ponieważ nieoczekiwanie dla siebie samego usłyszał własny głos, który mówił:

- Chcesz, żebym zwolnił też Johna, żeby i on mógł z tobą pójść?

Odpowiedziała prędko, niemal nie czekając, aż on skończy zdanie:

- Nie. - Na jej twarzy pojawił się wyraz napięcia i lęku.

- W porządku - rzekł, niemal równie prędko, zdziwiony tym, jak sam natychmiast instynktownie wyczuł, że był to naprawdę kiepski pomysł.

David stał oparty o lodówkę, popijając dietetyczną colę i obserwując salę jadalną, gdy Miles dołączył do niego za kontuarem, przepasując się fartuchem. Przy ośmiopalnikowej kuchni było ciągle strasznie gorąco i David otarł czoło rękawem koszuli.

- Superwieczór - Miles zwrócił się do brata z uznaniem. Cały czas wszystkie stoliki były zajęte, chociaż nikt już nie czekał na miejsce i goście co do jednego zostali obsłużeni.

- Rzeczywiście - przyznał David, jednak bez entuzjazmu, jakiego można by się spodziewać, i Miles zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem David nie poczuł się tym wszystkim zmęczony, i to akurat w momencie, kiedy zaczęły odczuwać pozytywne efekty. Oczywiście byłoby to całkowicie w zgodzie z jego charakterem. Już jako chłopiec David prędko się nudził każdą czynnością, z chwilą gdy tylko ją opanował. - Dobrze, że się zjawileś, w samą porę. Nie wiem, co byśmy zrobili bez ciebie.

- Źle zaplanowałem, moja wina - rzekł Miles, chociaż prawdę mówiąc, planował pojawić się dokładnie wtedy, kiedy się pojawił. - Obiecuję, że w tym tygodniu znajdę kogoś na miejsce Bustera, ale wygląda na to, że będziemy



potrzebowali jeszcze kogoś do pomocy na weekendy. Chyba że dzisiejszy wieczór był wyjątkiem.

- Nie, myślę, że jutro po meczu może być jeszcze większy tłok – rzekł David. - Czy dobrze słyszałem, że zamierzasz wcześniej zamknąć?

Miles skinął głową.

- Pomyślałem, że wydamy śniadanie, zamkniemy koło jedenastej, a potem otworzymy o szóstej na obiad i kolację.

- Brzmi nieźle - zgodził się David. - Wtedy i ja mógłbym się załapać na pierwszą połowę meczu.

- Gdzie się podział tata? - zainteresował się nagle Miles, jako że Maxa nigdzie nie było widać.

- Poszedł na dwór zapalić. Powiedziałem mu, że może się zwinąć o dziewiątej. Dobrze?

- Doskonale - potwierdził Miles. To pasowało jak ulał do Maxa, zrobić sobie przerwę na papierosa na dziesięć minut przed końcem pracy. Z drugiej strony, ojciec naprawdę się przydał. A to już w żaden sposób do niego nie pasowało. - Dobrze się sprawował?

- O ile wiem, tak. Charlene nie zrobiła mu krzywdy, tak więc myślę, że wszystko poszło jak należy.

Miles pokiwał głową.

- Zwolnię też Tick. Idzie z przyjaciółmi do kina.

- Znowu chłopak Mintych?

- Wiem, wiem - odparł Miles. - Ja też nie jestem zachwycony.

- Ja nic nie powiedziałem.

- Nie musiałeś.

W tej chwili, jak na zawołanie, z zaplecza wyłoniła się Tick, wciągając sweter przez głowę, żywy okaz zdrowia i młodzieńczej kobiecości. Pięć minut wcześniej, spocona i zmęczona po pięciu godzinach przebywania w oparach od zmywania, była bliska płaczu z powodu chłopca z Martha's Vineyard. Teraz nie tylko się uspokoiła, ale wręcz promieniała i zdaniem Milesa wyglądała wzruszająco pięknie.

- Czy mogłabym dostać trochę pieniędzy? - mrugnęła do niego porozumiewawczo.

Widocznie Miles nie był jej jedynym cichym wielbicielem, gdyż okazało się, że David jakimś cudem trzyma w ręku dziesięciodolarowy banknot. Miles kazał mu go schować.

- W kieszeni mojej koszuli jest dwudziątka - zwrócił się do córki. - Wiśi na kołku przy drzwiach do zaplecza. - Ale nim skończył mówić, nagle ogarnęło go niejasne przecucie.

Po minucie Tick była z powrotem.

- W kieszeni nic nie masz, tato - powiedziała, mrugając znowu, tym razem ze zdziwienia.

Oznaczało to, że Max, który niby to stał sobie niewinnie na dworze, znowu go przechytrzył, a przecież Miles jeszcze w samochodzie wiedział, że tak będzie. Mówienie ojcu, że nie dostanie tej dwudziestki, było oczywistym błędem, którego nie należało popełniać. Wprawdzie dwadzieścia dolarów to nie było o wiele więcej ponad kwotę, którą Max zarobił, ale nie w tym rzecz. Chodziło o to, że po raz kolejny staruszek postawił na swoim. Nie tylko dopiął swego z malowaniem kościoła, chociaż Miles zapowiedział mu, że nic z tych rzeczy, ale jeszcze teraz Miles zapłacił mu na lewo za pracę w restauracji.

Tym razem, gdy David ponownie zaproponował swoją dziesiątkę, Miles pozwolił Tick ją wziąć.

- Myślisz, że on w ogóle ma jakieś sumienie? - zapytał, odczekawszy, aż córka wyjdzie.

- Pewnie, że ma - odparł David, ustawiając pustą szklankę do góry dnem na tacy obok. A po namyśle dodał: - Tyle że nie jest jego niewolnikiem.

## 13

N a litość boską, co ci strzeliło do głowy, żeby przyjąć do roboty tego śniętego chłopca? - zaczęła się dopytywać Charlene, gdy tylko Miles wsunął się na ławkę obok niej. To był jego, Milesa, pomysł, żeby w trójkę, razem z Davidem i Charlene, uczcić dzisiejszy sukces i pójść na drinka. Dopiero gdy wieczorem podliczył kasę na zamknięcie restauracji, Miles ze zdumieniem zobaczył, ile zarobili.

Obok whisky Charlene stała szklanka wody z cytryną, wypita do połowy, więc Miles domyślił się, że jego brat musi być gdzieś w pobliżu. A jeśli wzrok go nie mylił, był tam również Horacy Weymouth, zakotwiczony w rogu baru. Milesowi zeszło niemal do jedenastej trzydziści na zamykaniu restauracji, a Lamplighter był jednym z niewielu pubów, otwartych o tej porze w hrabstwie Dexter, gdzie mogli mieć jaką taką pewność, że nie natkną się na Maxa. Pod warunkiem że Miles nie przeliczył się w swoich kalkulacjach, co przypuszczalnie tłumaczyło także obecność Horacego.

Jedno można było powiedzieć na pewno, nie było tu atmosfery. Sala w Lamplighterze przypominała Milesowi hotele Holiday Inn na Środkowym Zachodzie. Po drugiej stronie mrocznej sali drobna kobietka z szopą włosów usiłowała grać na pianinie, wystukując pracowicie coś, co bardzo słabo przypominało jakąś znaną melodię. Z półkolistej wnęki, gdzie siedzieli, widać było tylko jej włosy; frazowanie melodyczne wskazywało, że jest zdecydowana przebrnąć przez każdą kolejną piosenkę bez błędu. Czy to możliwe, pomyślał Miles, że była to jakaś krewna Doris Roderigue?

Na spotkanie dotarł ostatni, jako że po drodze podrzucił jeszcze Johna Vossa do domu. Przez cały wieczór chłopak harował przy stosach brudnych naczyń, nie odezwawszy się słowem do nikogo. Jego posępne milczenie najbardziej podpadło Charlene. Dla Charlene, która z natury była straszną gadułą, nic nie było bardziej nienaturalne i perwersyjne. Jej sekret jako kelnerki polegał na umiejętności nawiązywania kontaktu z ludźmi, na tym, że zaczęli mówić, niezależnie od tego, kim byli: dziećmi ze szkoły, dziewczętami ze szkoły fryzjerskiej, kierowcami ciężarówek na dalekich trasach czy profesorami z college'u. Przypadek Johna Vossa okazał się totalną porażką.

- Ostatni facet, który miał równie mało do powiedzenia jak ten tutaj, próbował mnie zgwałcić na parkingu, jeśli sobie przypominasz.

Miles doskonale pamiętał to wydarzenie, chociaż od tamtej pory minęło ponad dwadzieścia lat. Przez lata napędzało w jego młodszej wyobraźni niepokojąco żywe sceny, w których Miles, w owym czasie pomywacz i pomocnik kelnerski, wychodzi z zaplecza z workiem śmieci, żeby go wyrzucić do śmietnika, i na ciemnym podwórku udaremnia próbę gwałtu, bohaterstwo odciągając uzbrojonego w nóż napastnika gdzieś w ciemności nocy. W rzeczywistości prawdziwy napastnik nie był zaopatrzony w żaden rodzaj broni, ale Miles w swej fantazji dla większego dramatyzmu wyposażył go w nóż. Już wówczas zdawał sobie sprawę, że ta jego fantazja nie była tak całkowicie niewinna ani nawet przyzwoita, niezależnie od jej moralnej wymowy i bohaterskiego finału. Odkrycie przez niego mocującej się na parkingu pary następowało zawsze w nadzwyczaj precyzyjnie zaplanowanym momencie. Nigdy nie zjawiał się przedtem, zanim napastnik Charlene nie posunął się dość daleko, to jest na tyle daleko, by odsłonić jej mlecznobiałą pierś. Gdyby Miles kiedykolwiek faktycznie natrafił na podobną sytuację na tyłach Empire Grilla, nie mógłby, naturalnie, nic zobaczyć w ciemnościach panujących na parkingu, ale w jego wyobraźni cała scena była wystarczająco

oświetlona. Pierwszy raz, kiedy to sobie wyobraził, ukazało mu się tylko na krótki moment nagie ciało Charlene, ale już za każdym kolejnym razem sekwencja się przedłużała, aż w końcu poczuł, że to niezdrowe i że musi skończyć z tym fantazjowaniem, bo chociaż obsadził siebie w roli bohatera, w gruncie rzeczy utożsamiał się z napastnikiem, z którym podzielał rozpaczliwe przekonanie, że żadna piękna dziewczyna nigdy nie zechce do niego przyjść dobrowolnie.

Jakby tego było mało, relacjonowała Charlene, ten nowy chłopak nie tylko nie odezwał się do niej ani jednym cholernym słóweczkiem, to jeszcze nie raczył na nią spojrzeć, nawet kiedy ona mówiła do niego.

- Przysięgam na wszystkie świętości, że mogłabym stanąć przed nim nagusienka jak mnie Pan Bóg stworzył - stwierdziła - a on i tak nie zobaczyłby nic poza podłogą.

Była to prawda, bez wątpienia, chociaż w tej chwili Milesowi znowu się przypomniał śliski sposób bycia Zacka Minty i po raz kolejny doszedł do tego samego wniosku, co poprzednio: że temu chłopakowi pod żadnym pozorem by nie zaufał. Tak więc może John Voss musiał się jeszcze sporo nauczyć, ale chłopak Mintych miał równie wiele do oduczenia się. Milesowi przyszło na myśl, że obaj byli równie beznadziejni.

- Może i nie powinienem go przyjmować - przyznał Miles. Bo też pewnie by tego nie zrobił, gdyby nie Tick. Według jego córki chłopak mieszkał sam ze swoją babką, a jak wywnioskowała z jego niedopasowanych dziwacznych ubrań, najwyraźniej pochodzących z lumpeksów, musieli być rozpaczliwie biedni. Na śniadanie jadał coś, co śmierdziało jak żarcie dla kota, więc i przez cały ostatni tydzień Tick prosiła Milesa, żeby zrobił jej o jedną kanapkę więcej na drugie śniadanie do szkoły. A dziś wieczorem nie chciał się zgodzić, żeby go odwiedzić do domu, ale było późno i Miles nalegał. Wałący się dom, który wskazał chłopak, znajdował się na peryferiach miasta, w pobliżu starego wysypiska śmieci, do tego dobre ćwierć mili od najbliższego sąsiedztwa. Kiedy zajechali na miejsce, wszędzie panowały całkowite ciemności. Nawet gdyby ktoś, przejeżdżając tamtędy, zauważył jakiś dom z tej odległości, musiałby dojść do wniosku, że to opuszczona rudera, gdzie nikt nie mieszka, może z wyjątkiem dzikich kundli pod podłogą i ptaków pod powalą. Nigdzie nie było też widać żadnego auta, a chłopak powiedział, że babcia pewnie położyła się wcześniej do łóżka i zapomniała zostawić zapalone światło.

- Ale pracował dobrze - zauważył Miles.

Jeśli o to chodzi, Charlene przyznała mu rację.

- Po prostu będę musiała go któregoś dnia namówić na małego skręta, to go rozluźni.

W tej chwili David wsunął się na siedzenie po drugiej stronie Charlene.

- Nie radziłbym ci sprowadzać naszej młodzieży na manowce bardziej niż to absolutnie konieczne, Charlene - powiedział, pociągając łyk swojej wody. - Oficer Minty ma i tak na ciebie oko.

Charlene parsknęła śmiechem.

- Chciałeś powiedzieć, na ciebie. Nie na mnie.

Miles przyjrzał się najpierw swemu bratu, a następnie kobiecie, w której kochał się od dobrych dwudziestu pięciu lat. Ich szybka, łatwa wymiana zdań wskazywała, że coś chyba umknęło jego uwagi. Podobnie czuł się nieraz na Martha's Vineyard w towarzystwie Petera i Dawn, którzy, jak większość małżeństw, rozwinęli swego rodzaju werbalną stenografię, system błyskawicznych skojarzeń i aluzji, które nie wymagały dalszych wyjaśnień. Miles podejrzewał, że był to jeszcze jeden przykład, dlaczego jego własne małżeństwo się rozpadło. On i Janine zawsze mieli problem ze wzajemnym zrozumieniem się, nawet kiedy mówili pełnymi akapitami. Według Janine gdyby nie to, że się ze sobą kochali może z tuzin razy, nawet nie warto by było przechodzić przez ten cały rozwód. Wystarczyłoby po prostu anulować małżeństwo, powiadamiając Kościół, że w ciągu dwudziestu lat żadne istotne zbliżenie, czy to seksualne, czy intelektualne, nie miało między nimi miejsca, i byłoby po sprawie.

W końcu Miles zatrzymał wzrok na bracie i zapytał:

- Dlaczego Jimmy Minty miałby mieć oko na którekolwiek z was?

- Nie wiedziałeś? - David wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Ta oto Charlene jest moją dealerką.

- Nic z tego nie rozumiem - upierał się Miles. - Dlaczego Jimmy Minty miałby tak myśleć? Jeśli to prawda, to wcale nie jest śmieszne.

- To dopiero połowa całej sprawy - ciągnął David. - Według Jimmy'ego ja jestem głównym plantatorem. I trzymam w garści całutki cholerny rynek marychy w środkowym Maine. Przyłapałem go wczoraj, jak kręcił się u mnie za chatą w poszukiwaniu mojej hodowli.

To także wcale nie było śmieszne, mimo że David tak uważał.

- I co zrobiłeś?

- Poradziłem mu, żeby ubrał się na pomarańczowo, bo mamy sezon na losie.

- Miles ma rację, David. Nie powinieneś z nim zadzierać - powiedziała Charlene takim tonem, jakby jednocześnie uznawała słuszność tej rady i

rozumiała jego reakcję. - To gliniarz. Ci faceci nie mają poczucia humoru.

David wzruszył ramionami.

- Spokojna głowa, wszystko odbyło się, jak należy. Zaprosiłem go nawet na kawę, żeby mógł mi spokojnie wyłuszczyć swoje podejrzenia. Okazuje się, że chłop jest cholernie do nas przywiązany, no bo niby nasze rodziny mieszkały kiedyś po sąsiedzku, i w ogóle. Cholera, a jak ten jego chłopak wodzi słodkimi oczyma za córką Milesa.

David był tak dobry w naśladowaniu płaszcącego się sposobu mówienia Jimmy'ego Minty, że Miles poczuł, jak wściekłość rośnie mu w dołku. Wiadać, Jimmy nie posłuchał ostrzeżenia Milesa, żeby trzymał się z dala od jego rodziny. Co gorsza, sądząc po tym, co właśnie opowiedział David, potraktował to ostrzeżenie jako wyzwanie.

- Do diabła, a na dodatek ostatnia rzecz, jakiej by nam życzył, to kłopoty - ciągnął David. - Zresztą tylko dlatego zjawił się u mnie w lesie. Żeby nie dopuścić do kłopotów. Znacnie jego zdanie na ten temat, prawda? Uważa, że jego obowiązkiem po pierwsze jest być dobrym sąsiadem, a dopiero po drugie dobrym policjantem.

Charlene parsknęła śmiechem.

- A ty co mu na to odpowiedziałeś?

David znowu wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam, chyba, że jest dupkiem żołądnym i po pierwsze, i po drugie, a nawet po trzecie. Coś mi się wydaje, że uraziłem jego uczucia.

- To wcale nie jest zabawne - powiedział Miles i naprawdę tak myślał.

- A więc, jak się domyślam, dzisiaj wieczorem nie zwróciłeś uwagi na jego wóz zaparkowany przed restauracją po drugiej stronie ulicy? - spytał David, spytując wzrok brata.

Miles nie zauważył żadnego wozu policyjnego, ale swoją drogą przez cały wieczór byli tak zajęci, że pewnie by i tak nie zauważył, nawet gdyby tam jakiś był.

- Służbowy cruiser?

- Nie, jego prywatny wóz - wtrąciła się Charlene. - Czerwone camaro.

Miles tylko na nią spojrział.

- Strasznie mi przykro, Miles. Nic na to nie poradzę - powiedziała. - Wiesz, że ja zawsze zwracam uwagę na facetów w szybkich samochodach.

Miles skierował wzrok z powrotem na swego brata.

- Więc jak, hodujesz marihuanę czy nie?

- Pilnuj swoich interesów, Miles.

- To jest mój interes, David - odrzekł, czując, jak uraza gromadzona przez całe życie niebezpiecznie w nim wzbiera. Ilekroć zaczynał myśleć, że brat nareszcie wyszedł na prostą, jego wrodzona nieodpowiedzialność znowu dawała o sobie znać. - Minty pewnie myśli, że dealerujesz w restauracji. I prawdopodobnie ten głupek uważa, że to dlatego u nas jest taki ruch.

- No, bo my faktycznie rozprowadzamy towar w naszej restauracji, Miles - rzucił David, nieoczekiwanie poważny i więcej niż trochę wkurzony, tak jakby i on nagle przypomniał sobie coś na temat charakteru swego brata, co, ku jego rozpacz, zapewne nigdy nie miało się zmienić. - A tym towarem są nasze nadziewane krewetkami kukurydziane placki, nasze *flautas*. Ale wiesz co? Właśnie przed chwilą rozmawiałem tu w kuchni z Audrey i powiedziała mi, że dziś praktycznie w ogóle nie było ruchu. Podobnie jak w Eating House przy wyjeździe na Dziewięćdziesiątą Drugą. Jedyna restauracja w całym hrabstwie Dexter, gdzie był dzisiaj ruch, to nasz Empire Grill. I zamiast martwić się, czy Jimmy Minty obserwuje restaurację albo czy ja pędzę marychę, pomyśl lepiej o tym. Bo nawet w taki spokojny dzień ta knajpa tutaj przyniesie lepszy zysk niż nasza, ponieważ ma licencję na sprzedaż alkoholu. Dzisiejszego wieczoru świetnie nam poszło, Miles, ale nigdy nie pójdzie nam lepiej, gdyż nie możemy tam zmieścić więcej stołów, a przy stolikach, które już mamy, nie wciśniemy więcej ludzi. Jedyną szansą dla nas, żebyśmy mieli prawdziwą restaurację i dobry zarobek, jest sprzedaż alkoholu. I nie próbuj mi wciskać kitu o pani Whiting - dodał, w lot wyczuwając nazwisko, które już formowało się na wargach Milesa - ponieważ ja nie chcę tego słuchać.

- No cóż, Empire Grill jest jej...

Ale David już złapał kurtkę z poręczy kanapy i wstał z ławki.

- Wzywa cię do siebie dwa, trzy razy do roku, żeby się upewnić, że jesteś dokładnie w tym samym miejscu, gdzie cię usadziła. Ty pytasz: Matko, czy pozwolił? A ona ci na to: Nie, nie pozwalałam. A ty nic, tylko podkulasz ogon pod siebie i pokornie wycofujesz się za drzwi, i na tym koniec pieśni. Wszystkie te lata w katolickiej szkole kompletnie cię złamały, Miles. Oni tam nauczyli cię posłuszeństwa. Ktoś mówi ci, że nie możesz czegoś mieć, i ty się na to zgadzasz.

- David - tym razem to Charlene spróbowała się wtrącić, ale David nie chciał jej słuchać.

- Czy przyszło ci kiedyś na myśl, że ilekroć wracasz z domu tej kobiety, nosisz ślady zadrapań? - i dla zilustrowania swoich słów złapał Milesa za nadgarstek i podniósł go do światła. Zadrapanie, jakim poczęstowała go ostatnio koteczka

Timmy, pokryło się strupem i wyglądało teraz jeszcze gorzej niż na początku. Przypominało brudę wypełnioną piaskiem. - Czy zastanawiałeś się kiedyś, co to znaczy?

- Że kobieta ma psychotycznego kota? - zaryzykował Miles.

- Nie. Wręcz przeciwnie. To znaczy, że ona manipuluje tobą, jak chce. Że jesteś jak ćma, którą ona nabiła na szpilkę. Co pewien czas zdejmuję cię z tej szpilki, żeby sobie popatrzeć, jak tłuczysz skrzydełkami, by po chwili znowu cię przekłuć i odłożyć na półkę. I nie próbuj mi wmawiać, że nie jesteś jedyny, który chodzi z takimi bliznami i szramami - ciągnął David, a było to dokładnie to, co Miles właśnie zamierzał powiedzieć. - Wiem, że połowa miasta chodzi podrapana. Wiem doskonale, że ona jest właścicielką większości tego, co warte jest posiadania w Empire Falls. Ale mnie chodzi o to, że ciebie posiada tylko dlatego, że ty jej na to pozwalasz. Mógłbyś wywinąć się z tej szpilki, gdybyś tylko zechciał.

- David - podjęła kolejną próbę Charlene.

- Chodzi mi o to... Mnie się po prostu serce kraje, kiedy na to wszystko patrzę. Co roku wyjeżdżasz na tę wyspę, żeby przez dwa tygodnie pożyć w swoim marzeniu. Pomyśl tylko, Miles. Mała wysepka, inny świat, o wiele mil stąd, tęsknota na bezpieczną odległość. Coś, czego możesz sobie pragnąć do woli, bo nikt się nawet nie spodziewa, byś kiedyś o to powalczył. I wiesz co? To nawet nie jest najsmutniejsza część tej historii. Najsmutniejsze jest to, że w gruncie rzeczy ty nie kochasz Martha's Vineyard. To mama ją kochała. To ona pojechała tam i zakochała się, Miles, nie ty. Ty byłeś tylko małym chłopcem, którego ciągnęła wszędzie za sobą i który musiał się tłuc tym złotym sportowym autkiem. I nadal jesteś tym małym chłopcem.

- David, błagam... - prosiła Charlene.

- Przestań, Charlene - przerwał jej David. - Już dawno ktoś powinien był mu to powiedzieć. - Odwrócił się z powrotem do Mileasa. - No więc tak, bracie, mieliśmy niezły dzień. W gruncie rzeczy mieliśmy świetny dzień. Kłopot tylko z tym, że ty jesteś tak ślepy, że nie widzisz, w czym rzecz, dlatego ja muszę ci to powiedzieć. A rzecz w tym, że teraz nareszcie masz szansę ująć ster w swoje ręce. Więc łap go, Miles, łap ten cholerny ster. A jeśli się rozwalisz - uniósł niesprawną rękę - to co z tego? Zrób to! Jeśli nie dla siebie, to zrób to dla Tick. Nasiąka tą twoją pasywnością i defetyzmem każdego dnia po troszeczkę. A jak dojdzie do trzydziestki, będzie oszczędzała cały rok na dwutygodniowe wakacje na Martha's Vineyard, ponieważ będzie myślała, że było to miejsce, które ty kochałeś.



- David - powiedziała Charlene cicho. - Spójrz na swojego brata.

Zamknij się na sekundę i spójrz na niego.

Właściwie w tej chwili już wszyscy w lokalu patrzyli na nich. Nawet pianistka z wielką szopą na głowie przestała grać. Głos Davida podniósł się w trakcie mówienia i przyciągnął uwagę całej sali, z czego on dopiero teraz zdał sobie sprawę.

- Cholera - zaklął, wyjmując drobne i rzucając je na stół. - Jadę do domu. Wybaczcie, że zepsułem wam przyjęcie.

- Nie musisz wychodzić, David. - Miles usłyszał swój własny głos, który sam z trudem rozpoznał.

- Szczerze mówiąc, muszę - odparł David. - Czas jechać i oporządzić moje narkotykowe królestwo.

A kiedy Miles nic na to nie powiedział, a Charlene tylko potrząsnęła głową, David nachylił się, tak że jego twarz znalazła się tuż przy twarzy brata.

- To był tylko żart, Miles. Mam w piwnicy jedną roślinkę pod jedną cieplarnianą żarówką. Przyjedź, kiedy tylko zechcesz, i sam się przekonaj. A nikt nie będzie ci się dobierał do tyłka za jedną roślinkę. Nawet Jimmy Minty.

- Wiesz co - powiedziała Charlene po powrocie do stolika. - Gdybyście ze swoim bratem częściej rozmawiali, nie musiałoby dochodzić do takich wybuchów. A wy najpierw przez rok gromadzicie wielką kupę gówna na wątrobie, a potem eksplodujecie.

- To nie ja wybuchnąłem - zwrócił jej uwagę Miles. - To on.

- Zgadza się - przyznała Charlene. - Ale dzisiaj padło z jego ust więcej słów, niż wypowiedział przez ostatnich kilka miesięcy i w tej chwili pewnie czeka, że usłyszy przynajmniej połowę tego w odpowiedzi.

- Tak myślisz?

- Tak, Miles, tak właśnie myślę.

Może rzeczywiście miała rację. Kiedy David wyszedł, pobiegła za nim do samochodu i nie było jej dobrych piętnaście minut, i Miles mógłby pomyśleć, że zwyczajnie poszła do domu, gdyby nie to, że wyjrzał przez okno, pod którym siedział, i zobaczył, że oboje stoją na parkingu, a Charlene mu coś klaruje. Podczas jej nieobecności Horacy Weymouth, który musiał słyszeć większość z tego, co David mówił, przysłał mu kieliszek martini, które Miles wypił trzema łykami. Potem z kolei on zamówił dwa następne, i jeden odesłał Horacemu, który uniósł kieliszek do góry takim gestem, jakby przyznawał, że taki ponury wieczór jak ten wymaga wyjątkowych środków zaradczych. Miles

kończył drugie martini, gdy Charlene zjawiała się z powrotem przy stoliku. Od razu zauważyła dwa puste kieliszki i zmianę jego nastroju.

- Twój brat naprawdę cię kocha - zaczęła mu tłumaczyć. - Nie chciał cię urazić. On tylko martwi się o ciebie, tak samo jak ty martwisz się o niego. Tyle tylko że jeden drugiego denerwuje.

- Przypuszczam, że on ma do tego pełne prawo. Ja sam nieraz się wkurzam na siebie - powiedział, ale niemal natychmiast pożałował tego tonu użalania się nad sobą.

- I to jest dokładnie to, o co mu chodzi, Miles. On uważa, że powinieneś się wkurzyć na zupełnie kogo innego.

- Na panią Whiting.

- Tak, na nią też, ale on twierdzi, że ty w ogóle jesteś za miękki dla ludzi. I że dajesz sobie wciskać strasznie dużo kitu.

- A ty myślisz, że on ma rację? - spytał.

- Och, do diabła, Miles, a niby skąd ja mam wiedzieć. To prawda, że jesteś chyba najostrożniejszym facetem, jakiego w życiu spotkałam. Jesteś miły i cierpliwy i wszystko wybaczasz, i jesteś taki hojny, ale tak jakbyś nie rozumiał, że te zalety u faceta mogą być naprawdę wkurzające, niezależnie od tego, co o tym wypisują w magazynach kobiecych.

- Nie czytałem ich zbyt wiele, Charlene - zapewnił ją.

- Wiem, że nie, kotku. - Wzięła go za rękę. - Chodzi mi o to... no, sam wiesz... O to, co David zawsze mówi o waszej rodzinie.

Miles nie miał pojęcia, że David w ogóle coś opowiada o ich rodzinie. Jeśli kiedykolwiek doszedł do jakichś wniosków na temat rodziny Robych, to z Milesem się nimi nie podzielił.

- David ma swoją teorię, że gdyby poskładać waszą czwórkę - mamę i ojca, ciebie i jego - dopiero wtedy można by zrobić z was jedną kompletną osobę. Wasz ojciec nigdy nie myśli o nikim poza sobą samym, wasza mama myślała zawsze jedynie o innych, a nigdy o sobie. David myśli zawsze łącznie o teraźniejszości, a ty masz w głowie tylko przeszłość i przyszłość.

- Nigdy tego nie słyszałem - przyznał Miles szczerze. - Kiedy on ci to wszystko powiedział?

Charlene zignorowała jego pytanie.

- Chodziło mu o to, że wszyscy moglibyście się czegoś nauczyć od siebie nawzajem, i dobrze byście na tym wyszli. Spójrz tylko na siebie, w tobie nie ma kompletnie nic z twego taty. A szkoda.

Miles spróbował rozważyć na poważnie jej słowa.

- Wiesz, Charlene - rzekł. - Szczerze mówiąc, chyba pierwszy raz w życiu ktoś namawia mnie, bym stał się trochę bardziej podobny do Maxa.

- Nie sądzę, by Davidowi zależało na tym, żebyś bardzo się upodobił do swego ojca, ale wystarczająco, żebyś przestał być...

- ...takim cholernym niedojdą - dokończył za nią Miles.

- Och, Miles, nie bądź taki. Nie bierz sobie wszystkiego tak bardzo do serca. Davidowi chodzi tylko o to, że twój ojciec zawsze doskonale wie, czego chce. A jak tylko zda sobie z tego sprawę, natychmiast ma gotowy plan, jak to zdobyć. Może i głupi plan, ale on jest jak taki mały buldog, który będzie się dopominał o kotlet wieprzowy, dopóki mu go nie dasz, a jak nie, to i tak znajdzie sposób, żeby się do niego dorwać, kiedy nie będziesz patrzył. Więc David uważa, że gdybyś miał w sobie trochę tego, co wasz tata, wówczas nauczyłbyś się rozpoznawać, czego tak naprawdę chcesz, i potrafiłbyś wymyślić odpowiedni plan, i...

A kiedy jej głos zamilkł, Miles poczuł, jak dwa kieliszki martini przemawiają głosem, który w bardzo małym stopniu przypomina jego własny.

- Właściwie - powiedział ostrożnie - jest znacznie gorzej, niż on sobie wyobraża.

A skoro Charlene nic nie odpowiedziała, uznał, że jest to przyzwolenie dla dalszych wyznań.

- Kiedy to byłem u pani Whiting? W zeszłym tygodniu? Wtedy gdy miałem niby to wrócić z licencją na sprzedaż alkoholu? David miał rację. Rzeczywiście, wycofałem się z podkulonym ogonem. Ale on nie wie, że nie wyszedłem stamtąd z całkiem pustymi rękami.

Kolejna chwila ciszy, podczas której Miles nie mógł się zdobyć na to, by unieść głowę znad swego kieliszka martini. - Przed odjazdem stamtąd... - westchnął, a jego głos był ledwie słyszalny, nawet dla niego samego - ...zdążyłem się umówić na randkę z Cindy Whiting. Dokładnie na jutro. Idziemy razem na mecz.

To wyznanie było dla niego tak bolesne, że całkiem zapomniał, iż przez cały czas trzyma Charlene za rękę, dopóki go lekko nie ścisnęła.

- Och, to bardzo słodko z twojej strony, Miles. Tej biednej kobiecie należy się odrobina przyjemności w życiu. Myślę, że to naprawdę miło z twojej strony.

- Dla mojego brata będzie to kolejny dowód mojej naturalnej skłonności do bycia patentowanym dupkiem.

- Zagalopował się dzisiaj, Miles. Jestem pewna, że jutro cię przeprosi.
- Myli się tylko co do jednego - rzekł, tym razem patrząc jej prosto w oczy. - Jeśli myśli, że ja nie wiem, czego chcę.

Chociaż tego nie zamierzał, wypowiedziane przez niego zdanie zabrzmiało w taki sposób, że nagle oboje uświadomili sobie, że siedzą w mrocznej wnęce, trzymając się za ręce: Miles, mężczyzna jeszcze nie całkiem po rozwodzie, i Charlene, kobieta wielokrotnie rozwiedziona. Aby zaoszczędzić jej zarówno zakłopotania, jak konieczności odpowiedzi, wypuścił jej dłoń ze swojej, chociaż jeśli o niego chodziło, to mógłby tak przesiedzieć, trzymając ją za rękę, przez całą noc. Ku jego zaskoczeniu, ona pochyliła się i pocałowała go w czoło, a był to pocałunek tak pełen uczucia, że cała niezręczność gdzieś zniknęła, chociaż serce w nim zamarło, ponieważ wszystkie pocałunki mają swój kaliber, a ten ujawnił wielką przepaść, jaka dzieli przywiązanie od miłości.

- Do licha, Miles - powiedziała. - Nie myśl sobie, że o tym nie wiem. Że przez całe życie się we mnie kochałeś. I wiesz, jak bardzo jestem do ciebie przywiązana. Jesteś chyba najmilszym i najśłodszym facetem, jakiego znam.

Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- To kolejna rzecz, która nie jest zbyt atrakcyjna u mężczyzny, co?
- Nie - wzięła go znowu za rękę. - Wręcz przeciwnie, bardzo pociągająca. Ale widzisz, mogłabym cię zabrać do mnie i moglibyśmy się kochać, tylko że ja nie zniosłabym myśli, jak bardzo byłbyś zawiedziony. A w dodatku nie potrafiłbyś tego ukryć, nie z tą twoją twarzą.

Sięgnęła po płaszcz i Miles wysunął się zza stołu, żeby pomóc jej się ubrać.

- Gdybym był pewien, że ty nie będziesz zawiedziona - powiedział, kiedy szli w stronę drzwi, za którymi czekała ciemna noc - nalegałbym.

- Byłoby naprawdę dobrze zdobyć tę licencję, Miles - powiedziała Charlene, otwierając drzwi do swojego hyundaia. - A jak zaczęłabym lepiej zarabiać, mogłabym nareszcie zrobić coś z tym wrakiem.

- Jeszcze się nie poddałem - rzekł Miles, ze zdumieniem odkrywając, że tak rzeczywiście czuje. Przyszło mu do głowy, że sprytny facet mógłby jutro po meczu zaprosić Cindy Whiting na kolację do restauracji i uczynić z niej swego sojusznika w tej sprawie. Nie ma przecież takiego prawa, które by mówiło, że skoro ktoś bez przerwy włazi na zaminowany teren, raz po raz nadziewając się minę, to w końcu nie może z tego wynikać coś dobrego.

Już miał wsiadać do swojego samochodu i jechać do domu, kiedy usłyszał trzaśnięcie drzwi od pubu i zobaczył Horacego, który szedł w jego stronę.

- Dzięki za drinka - rzekł Miles, podając mu rękę. - Jeśli w drodze do domu zatrzymają mnie za jazdę po pijanemu, to powiem glinom, czyja to wina.

Mówiąc to, Miles rozejrzał się po parkingu, chcąc się przekonać, czy w pobliżu nie stoi camaro Jimmy'ego Minty, ale nigdzie go nie zauważył. Choć nie jest powiedziane, że Jimmy Minty nie czeka gdzieś poza zasięgiem parkingowych latarni.

- I przepraszam za to całe zamieszanie, któregośmy narobili - dorzucił Miles, wiedząc, że Horacy jest zbyt dobrze wychowany, by zapytać, o co tam poszło, czy nawet zrobić jakąś aluzję na ten temat. Jakie to dziwne, pomyślał nagle Miles, że człowiek, który tak bardzo szanuje prywatność innych, został reporterem gazety. Szkoda, że nie zdarza się to częściej.

Horacy grzebał w kieszeni w poszukiwaniu kluczy.

- Rodzina - mruknął, jakby to jedno słowo miało tłumaczyć każde dziwne zachowanie.

- A gdzie jest twoja? - przyszło Milesowi na myśl, żeby zapytać. Ten człowiek przychodził do jego restauracji niemal codziennie, a Miles tak niewiele o nim wiedział.

- Moja rodzina? - Horacy wydawał się zaskoczony. - Tu i tam. Nie utrzymujemy kontaktu. Brzmi to smutniej, niż jest w istocie.

- Rzeczywiście, brzmi smutno - przyznał Miles.

- Ja sam nie bardzo wierzę w te rzeczy - stwierdził Horacy. - Krew. Pokrewieństwo. I co z tego?

- Dom to miejsce, gdzie muszą cię przyjąć, gdy się tam zjawisz - Miles zacytował Frosta w odpowiedzi.

Dziennikarz otworzył drzwi swojego auta, wsiadł, zastanowił się przez chwilę, po czym uniósł głowę i spojrzał na niego.

- Dobre płoty czynią dobrych sąsiadów.

Miles uśmiechnął się, powiedział dobranoc i ruszył w stronę swojej jetty. Już miał wsiadać, gdy usłyszał, jak okno po stronie pasażera w wozie Horacego otwiera się, a sam Horacy pochyła się w jego stronę.

- A skoro mowa o przyjmowaniu ludzi pod swój dach - rzekł. - Uważaj na tego chłopaka, którego przyjąłeś do pracy.

- Dobrze - odparł Miles. - A może chcesz mi powiedzieć, dlaczego mam uważać?

Horacy namyślał się przez chwilę.

- Nie teraz - zdecydował, a po chwili dodał jeszcze: - Nigdy nie zostawaj reporterem.

## 14

Tej jesieni, kiedy Miles Roby zdał do przedostatniej klasy gimnazjum, jego ojciec, będąc przy forsie po letnim sezonie malowania domów, kupił używanego mercurego cougar, twierdząc, że wkrótce Miles dorośnie i będzie mógł zrobić prawo jazdy. Jednakże do Święta Dziękczynienia Max sam zainkasował trzy mandaty za nadmierną prędkość, a na dodatek przejechał kota. Miles był z nim, kiedy stało się to ostatnie, i widział to, czego Max nie zdołał zauważyć - jak zwierzę wpadło pod koła - po czym zdążył się jeszcze odwrócić i zobaczyć, jak kot biega jak oszalały wokół własnej głowy, która uległa zmiążdżeniu pod jednym z tylnych kół cougar.

- Co to, do cholery, było? - spytał w dwie sekundy po uderzeniu Max. Chwilę wcześniej pochyłał się do przodu, z jedną ręką na kierownicy, drugą przyciskając zapalniczkę do czubka papierosa.

- Kot - westchnął Miles, zły na siebie za to, że nie zauważył go w porę, by zaalarmować ojca i uratować zwierzaka od śmierci. Ilekroć jechał gdzieś z ojcem samochodem, odczuwał zawsze głębokie pokrewieństwo ze wszystkim, co żyło i nie mogło biec tak szybko, jak Max jechał, co z braku gepardów w stanie Maine, oznaczało niemal wszelkie stworzenie.

Zasadniczo ojciec był zdecydowanie przeciwny zbaczaniu z kursu w celu omijania przeszkód. Jeśli tak się zdarzyło, że jechali autostradą, dajmy na to, za półciężarówką, i tej półciężarówce nagle pękła opona, wyrzucając kawał bieżnika na ich pas, to Max przejeżdżał po tym, twierdząc, że wyminięcie byłoby bardziej niebezpieczne, co w istocie, o ile Milesowi było wiadomo, mogło być prawdą. Jednakże podejrzewał, że tak naprawdę Max po prostu lubił przejeżdżać po różnych rzeczach, a potem patrzeć, co z nich zostało. Pewnego razu, jakiś rok wcześniej, jadąc samochodem, który Max miał przed cougarem, na wąskiej drodze za miastem natknęli się na kartonowe pudło, stojące dokładnie na środku ich pasa. Ponieważ nikt nie jechał z przeciwnej strony ani też za nimi, było mnóstwo czasu, żeby wykonać manewr wyminięcia pudła - a prawdę mówiąc, gdyby Maxa niespodziewanie ogarnęło jakże nietypowe dla niego poczucie obowiązku obywatelskiego, byłoby dość czasu i na to, by stanąć i ściągnąć pudło na pobocze - dlatego Miles był niemile zaskoczony, kiedy ojciec zamiast tego przyspieszył i wjechał

prosto w pudło. Był przygotowany na coś w rodzaju eksplozji, ale pudło - na szczęście, puste - zostało zassane przez auto pod spód, gdzie utknęło w wale korbowym, robiąc potworny hałas przez dobrych kilkadziesiąt metrów, zanim z trzepotem nie odpadło, pogięte i sprowadzone do dwóch wymiarów, by ostatecznie wylądować w rowie.

- A co by było, gdyby to pudło było pełne kamieni? - spytał Miles.

- A niby co pudło pełne kamieni miałyby robić na samym środku drogi? - odpowiedział pytaniem na pytanie Max, wciskając zapalniczkę na tablicy rozdzielczej i klepiąc się po kieszeni koszuli w poszukiwaniu paczki swoich lucky strike'ów.

Miles miał ochotę odparować: „Czekać na jakiegoś idiotę, który by w nie wjechał z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę”, ale zamiast tego powiedział:

- Gdyby rzeczywiście było pełne kamieni, pewnie już byśmy nie żyli.

Max przez chwilę rozważał jego słowa.

- A ty? Co ty byś zrobił?

Miles wyczuł pułapkę ukrytą w tym niewinnym pytaniu, ale w wieku piętnastu lat wciąż jeszcze grał kartami, jakie dostawał do ręki, wierząc, że z tym, co ma, nie pozwoli się ograć.

- Pewnie bym się zatrzymał, żeby sprawdzić, co jest w środku, a dopiero potem bym w nie wjechał.

Max pokiwał głową.

- A co by było, gdyby się okazało, że jest pełne grzechotników? Wtedy wystarczyłoby, żebyś je otworzył i już byłoby po tobie.

Miles nie na darmo był synem swego ojca i odparował w tym samym stylu:

- A niby co pudło pełne grzechotników miałyby robić na samym środku drogi?

- Czekać na jakiegoś głupka, który by się zatrzymał, żeby zajrzeć do środka - odpowiedział Max, a Miles natychmiast pożałował, że przedtem trzymał język za zębami.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu, po czym Max zauważył z miną człowieka, który wie, co to jest współczucie, przynajmniej w jego bardziej abstrakcyjnych przejawach:

- Twoja matka wychowuje cię w strachu przed całym tym cholernym światem. Zdajesz sobie z tego sprawę, co?

Miles postanowił nie odpowiadać na to pytanie.

- A co by było, gdyby to pudło było pełne dynamitu? - spytał, dając tym wyraz swemu przekonaniu, że ich wcześniejsza rozmowa dałaby lepsze rezultaty, jeśli by ją nadal traktowali jak zabawę, zamiast schodzić na temat matki.

Widocznie Max był tego samego zdania, ponieważ ciągnęli tę grę przez całą drogę do domu, wypełniając pudło coraz to innymi wymyślonymi przedmiotami, począwszy od galaretek marshmallów, a na pancernikach kończąc, i do domu dojechali wyczerpani od śmiechu.

Ale teraz, o trzy mandaty za przekroczenie prędkości i jednego przejechanego kota później, sędzia, któremu Max usiłował się wytłumaczyć z tych mandatów (kot jakimś trafem w ogóle nie wypłynął), bynajmniej nie był skory do śmiechu. Prawdę mówiąc, sędzięgo poruszyły do żywego nie tyle te trzy pierwsze mandaty, ile dwa dalsze, jakie Max zdążył otrzymać potem, czekając już na termin swojego przesłuchania w sądzie, ponieważ w oczach przedstawiciela prawa świadczyło to o znaczącym braku zdolności uczenia się na własnych błędach. Max musiał od razu w sądzie oddać swoje prawo jazdy, po czym został poinstruowany, by do domu udał się piechotą.

Zamiast tego Max wsiadł do samochodu i niepomyślnie na brak zabezpieczenia w postaci ważnego prawa jazdy, pojechał do sklepu z artykułami metalowymi, który znajdował się przy drodze wylotowej z miasta. Tam zakupił małą tabliczkę z napisem „Na sprzedaż”, którą przyczepił na desce rozdzielczej pod oknem swego cougar. Następnie wrócił do miasta, zaparkował dokładnie przed wejściem do sądu i dopiero wtedy poszedł na piechotę do domu, gdzie zastał syna, czytającego książkę przy kuchennym stole. Zazwyczaj Max Roby pozostawiał kwestie wychowania moralnego dzieci swojej żonie, ale zważywszy na wydarzenia, jakie miały miejsce tego dnia, nie mógł przepuścić tak doskonałej okazji do wygłoszenia odpowiedniej nauki. Usiadł więc naprzeciwko syna przy kuchennym stole i rzekł:

- Odłóż na chwilę tę książkę.

Miles, który właśnie czytał z zapalem „Przygody Hucka” na lekcję angielskiego, odczuł coś w rodzaju zawrotu głowy, spowodowanego nagłym przerwaniem lektury, jak również widokiem ojca, który siedział po drugiej stronie stołu, uśmiechając się do niego szeroko. W owym czasie Max miał jeszcze wszystkie zęby, jeśli nie liczyć tych dwóch, które mu wybito tamtego lata, gdy Miles pojechał z matką na Martha's Vineyard.

- Zapamiętaj sobie raz na zawsze jedną rzecz na temat glin i adwokatów - powiedział Max. - Nawet najgorsze, co ci mogą zrobić, wcale nie jest takie złe - przerwał, dając synowi czas, by mógł przyswoić tę trudno zdobytą mądrość. - Oni lubią myśleć, że złapali cię za jaja, ale im się tak tylko wydaje, jasne?

Wszystko to, jak domyślał się Miles, było kontynuacją rozmowy, której uniknęli, jadąc wtedy samochodem, kiedy to Max stwierdził, że Grace wychowywała go na tchórza.

- Słyszysz, co do ciebie mówię? - spytał Max.



Miles skinął głową, na co Max, spełniwszy swój moralny obowiązek, wstał i wyszedł z domu. Mógł nie mieć prawa jazdy ani samochodu, ale miał dwie zdrowe nogi, a w tamtych czasach było jeszcze co najmniej pół tuzina tawern i pubów, do których z łatwością można było dotrzeć na piechotę. Po takim dniu jak ten nie widział powodu, by nie odwiedzić wszystkich. Nie wrócił na noc do domu.

Tak więc kiedy Miles doszedł do odpowiedniego wieku, by zrobić prawo jazdy, sprawa miała się tak, że w domu nie było samochodu, na którym mógłby ćwiczyć, i w efekcie od pierwszego dnia kursu był daleko w tyle za innymi, co więcej, z powodu swoich marnych umiejętności dostawał o wiele mniej czasu na prowadzenie auta niż pozostali uczniowie z klasy, mimo że wyraźnie potrzebował go więcej. Wszyscy koledzy jeździli już bardzo dobrze. Od miesiący mieli próbne prawa jazdy i ćwiczyli codziennie, tak więc w ich wypadku celem zajęć szkolnych było jedynie skorygowanie ewentualnych błędnych nawyków, jakie zdołali w nich zaszcześcić rodzice. Niektórzy z nonszalancją doświadczonych kierowców jeździli z łokciem opartym o otwarte okno, lubili też demonstrować pełną kontrolę nad pojazdem, ledwie dotykając kierownicy otwartą dłońią jednej ręki. Pan Brown, trener drużyny baseballowej i instruktor jazdy, zdawał się traktować te zachowania jako wrodzone, podlegające koniecznym korektom jedynie na czas trwania jego kursu. Dla pana Browna o wiele ważniejsze było to, że wszyscy oni spędzili dość czasu za kółkiem, by nie stanowić bezpośredniego zagrożenia dla życia samego pana Browna, który siedział obok nich na miejscu dla instruktora, ze stopą ustawioną nad zapasowym hamulcem.

Na nieszczęście już za pierwszym razem, gdy Miles usiadł za kierownicą, z panem Brownem po swojej prawej ręce i trzema innymi uczniami z tyłu, ledwie przejechał długość jednej przecznicy, poczuł, jak paniczny strach spowija go niczym śmiertelny całun. Nie tyle bał się, że rozbije auto, a przy okazji pozabija ich wszystkich, ile raczej że z miejsca zostanie zdemaskowany jako kompletny żółtodziób. I rzeczywiście, z tylnego siedzenia natychmiast dały się słyszeć złośliwe docinki. Ponieważ Miles nigdy dotąd nie przyspieszał, nie miał zielonego pojęcia, co się może wydarzyć, kiedy naciśnie pedał gazu. Obawiał się, że nawet lekki nacisk mógłby spowodować, że auto ruszy z kopyta, tym samym wymykając się spod kontroli. Jego obawa sprawiła, że posuwał się ulicą w tak ślimaczym tempie, iż prędkościomierz nawet nie rejestrował tej prędkości. A kiedy próbował dodać ciut gazu, auto zaczynało buksować.

- Roby - powiedział pan Brown, przyglądając mu się z miną, na którą w równych częściach składały się strach i niedowierzanie. - Czy ty zupełnie nie potrafisz prowadzić?

Niemal równocześnie Miles odkrył, że właśnie udało mu się przyspieszyć. A raczej, nie tyle on to odkrył, ile jeden z siedzących z tyłu „doświadczonych kierowców”, gdyż Miles, ze wzrokiem wlepionym w szybę, nie ośmielił się zaryzykować rzutu oka na prędkościomierz z obawy, by nie stracić kontroli nad pojazdem, co, jak podkreślał pan Brown, było kardynalnym grzechem. Dobry kierowca, utrzymywał pan Brown, nigdy nie spowoduje wypadku, ponieważ dobry kierowca zawsze panuje nad sytuacją, a skoro panuje się nad sytuacją, to nie może być mowy o czymś takim, jak wypadek.

- On jedzie czterdzieści mil na godzinę, a tu wolno tylko dwadzieścia pięć - poinformował pasażer z tylnego siedzenia.

Pan Brown zapewne sam by to zauważył, gdyby spoglądał przed siebie, zamiast tego jednak odwracał się właśnie za siebie w poszukiwaniu pasa bezpieczeństwa. Jak przystało na obowiązkowego instruktora, pan Brown zawsze napominał swoich kursantów, by siadając za kierownicą przede wszystkim zapinali pasy, a dopiero potem przekreślali kluczyk w stacyjce, on sam jednak rzadko kiedy stosował się do tej reguły. Uzasadniał to tym, że musi mieć swobodę ruchu, by w razie potrzeby móc się odwrócić i poinstruować tych, co siedzieli z tyłu. Sprawdzano się to zwłaszcza wtedy, gdy tylne siedzenia zajmowali członkowie jego drużyny baseballowej, jak właśnie teraz. Jednakże uświadomienie sobie faktu, że Miles nie ma żadnego doświadczenia w kierowaniu pojazdem, skłoniło pana Browna do przewartościowania swego stosunku do kwestii pasa bezpieczeństwa, który notabene zsunął się między poduszki siedzenia. W momencie, w którym jeden z baseballistów podał do wiadomości, z jaką prędkością pędzi Miles, ręka pana Browna tkwiła właśnie po łokieć w szparze pomiędzy poduszkami, a jego dłoń wysunęła się z drugiej strony siedzenia, gdzie drugi z członków drużyny spostrzegł ją, jak po omacku usiłuje wymacać coś, co mogłoby się okazać kłamrą od pasa. Chłopiec nachylił się do przodu, ujął dłoń pana Browna i potrząsnął nią serdecznie.

- Jak się pan ma, panie trenerze? - rzekł.

Pan Brown, wyczuwając potencjalne niebezpieczeństwo, rozkazał:

- Zatrzymaj wóz, Roby.

Bez większego trudu wyswobodził dłoń z uścisku swego zawodnika, jednak nadgarstek nadal tkwił uwięziony między poduszkami fotela, dlatego chcąc sprawdzić poczynania kierowcy, musiał wykręcić tułów i spojrzeć na niego przez ramię.

- Powiedziałem, zatrzymaj wóz!

Miles wykonał polecenie. Gdyby mu polecono, aby najpierw zwolnił, a dopiero potem się zatrzymał, również by to wykonał, ale niestety tego mu nie powiedziano. Dlatego też, gdyby któryś z mieszkańców tej spokojnej

ulicy w zamożnej dzielnicy mieszkaniowej wybrał akurat ten moment, by wyjść przed dom, stałby się świadkiem doprawdy zadziwiającej sceny: oto samochód do nauki jazdy z miejscowego gimnazjum pędził ulicą z prędkością czterdziestu mil na godzinę, trzymając się zaledwie parę centymetrów od krawężnika, z instruktorem zwróconym twarzą za siebie, tak jakby jego głównym zmartwieniem była możliwość pościgu, i z pasażerami wciśniętymi w oparcia tylnych siedzeń, podczas gdy kierowca czekał cierpliwie na dalsze instrukcje. Tymczasem kilkadziesiąt metrów przed nimi, przy krawężniku, stał zaparkowany samochód.

Naturalnie pan Brown miał zapasowy hamulec po swojej stronie, ale jako że był w tym momencie odwrócony bokiem, a jego nadgarstek wciąż tkwił unieruchomiony w siedzeniu, miał najwyraźniej kłopot z umiejscowieniem owego hamulca, chociaż przez cały czas gwałtownie naciskał stopą coś, co jego zdaniem było podłogą. W rzeczywistości jednak był to spód schowka i brak pożądanego skutku hamowania doprowadził do tego, że pan Brown wpadł w panikę. A ponieważ nie mógł się zdecydować, co ważniejsze, oswobodzenie ręki czy zlokalizowanie hamulca, miotał się gorączkowo między jedną czynnością a drugą, nie wykonując żadnej z nich skutecznie, a za to przez cały czas krzycząc:

- Roby! Do diabła! Roby!

W miarę jak Miles zbliżał się coraz bardziej do zaparkowanego auta, sam zaczął nabierać przekonania, że zwolnienie prędkości - a właściwie zatrzymanie auta - byłoby jak najbardziej pożądane, ale szamotanina pana Browna wprowadziła go w kompletne pomieszenie. Wciąż bał się oderwać wzrok od jezdni, uznał jednak, że jego instruktor na pewno naciska już na swój hamulec, jednak bez rezultatu, co mogło oznaczać tylko tyle, że z niewyjaśnionych powodów wóz jest bez hamulców, co z kolei doprowadziło go do jedyne go, jak mu się wydawało, słusznego wniosku, że skoro tak, to nie ma sensu naciskać na hamulec po jego stronie i w związku z tym jechał dalej wzdłuż krawężnika tak długo, jak tylko się dało, przez cały czas licząc na to, że w końcu otrzyma odnośne instrukcje. A kiedy mimo wszystko żadna nie padła, skręcił kierownicą ostro w prawo, wóz przeleciał z podskokiem ponad krawężnikiem i zahaczywszy o metalowy pojemnik na śmieci, wpadł na czyjś trawnik. W trakcie tego lotu Miles zdołał nawet odczytać adres na skrzynce pocztowej - Spring Street numer 116 - a następnie zauważył, że garaż pod numerem 116 jest otwarty, a do tego pusty, zupełnie jakby zapraszał do środka.

Nagle uderzenie w krawężnik miało ten zbawienny skutek, że jednym szarpnięciem, wprawdzie bolesnym, wyzwoliło zakleszczony nadgarstek pana Browna, następnie jednak zarzuciło go na drzwi, i to tak mocno, że

głową uderzył w szybę, zamieniając ją w pajęczą siatkę. Wprawdzie teraz mógłby już zlokalizować hamulec, by z niego skorzystać, ale nadal nie był w stanie tego uczynić, ponieważ właśnie stracił przytomność. Sprawy miały się więc tak, że dopiero siedzący z tyłu przyjaciel Milesa, Otto Meyer Junior (rezerwowy *catcher* w drużynie), wyratował ich z opresji w ten sposób, że przechyliwszy się do przodu ponad omdlałym ciałem instruktora, ręką docisnął pedał hamulca. Z przeraźliwym zgrzytem samochód zatrzymał się gwałtownie, dosłownie o parę kroków od tylnej ściany garażu, co wyglądało tak, jakby Miles od samego początku tam właśnie zamierzał wykonać manewr parkowania.

- Jesteś na ręcznym? - spytał Otto, a jego głos zabrzmiał dziwnie, doby wając się znad podłogi u stóp fotela pasażera.

Miles wrzucił ręczny hamulec.

- Dzięki, Otto - rzekł.

- Nie ma sprawy - odparł Otto. - Możecie mnie stąd wyciągnąć?

Pozostali dwaj chłopcy zrobili to, o co prosił, i dopiero wtedy Miles spostrzegł, że mały palec lewej ręki Ottona wygięty jest do tyłu pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w dość nienaturalny sposób. Sam Otto zauważył to dopiero, gdy chcąc przekręcić kluczyk w stacyjce, zahaczył o gałkę kierunkowskazu.

- O, kurczę! - powiedział, pokazując to Milesowi, bez żadnych złych intencji, zanim zemdlął.

W przeciwieństwie do Ottona Meyera jr., pan Brown zachował do Milesa głęboką urazę jeszcze na długo po tym, jak imponujący guz na jego skroni zniknął. Gdyby to od niego, pana Browna, zależało, Miles zostałby bezwzględnie wykopany z kursu na prawo jazdy, przynajmniej dopóki nie nauczyłyby się przyzwoicie prowadzić. Nie chodzi tylko o to, że jest takim niewydarzonym kierowcą, tłumaczył pan Brown dyrektorowi szkoły, ani nawet o to, że ten cholerny smarkacz omal ich wszystkich nie pozabijał. Pan Brown musi mieć również na uwadze swoją drużynę baseballową, co do której miał nadzieję, że będzie ją mógł w tym roku zabrać na rozgrywki stanowe, w składzie, który teraz, dzięki Milesowi Roby, przedstawiał się tak, że *shortstop* miał nadwreżony nadgarstek w ręce rzucającej, a *catcher* złamany mały palec ręki, na którą zakładał rękawicę do łapania piłki. Połowa jego drużyny robiła kurs na prawo jazdy i nie widział powodu, by ryzykować nieuchronne obrażenia na ciele, a możliwe że i śmierć na miejscu, pakując ich do jednego samochodu z chłopakiem, który nie ma za grosz rozumu i skacze po krawężnikach, przefruwa nad trawnikami i nurkuje w garażach obcych ludzi. A jak trener ma skutecznie trenować drużynę z tymi bólami głowy, na jakie cierpi teraz od czasu wypadku? Nie, on żąda, by Roby'ego natychmiast usunięto z kursu, co więcej, liczy na to, że dyrekcja

wdroży jakieś rozsądne postępowanie na przyszłość, by mieć pewność, że każdy uczeń, który zapisze się na kurs nauki jazdy, będzie miał wcześniej przynajmniej słabe pojęcie o tym, jak należy się zachowywać za kierownicą.

Dyrektorem szkoły był w owym czasie Clarence Boniface, człowiek powszechnie nie lubiany, ponieważ nie pochodził z Empire Falls ani nawet z okolic Empire Falls. Został wybrany spośród licznych kandydatów, z których wszyscy pozostali byli miejscowi, nie wyłączając samego pana Browna, ponieważ pan Boniface mógł się poszczycić (choć tego nie robił) wyższym wykształceniem i znacznym doświadczeniem w administrowaniu szkołą jako zastępca dyrektora dużego gimnazjum w Connecticut. W ciągu dwóch lat, odkąd był u steru w gimnazjum w Empire Falls, udowodnił, że jest człowiekiem poważnym, obowiązkowym i kompetentnym. Umiał słuchać innych i nie obrażał się łatwo - obie cechy znakomite i niesłychanie pożądane u człowieka na tym stanowisku, chociaż wcale nie zyskały mu powszechnej akceptacji, bo większość i tak zadecydowała, że to zwykły duppek żółedny, jeszcze zanim przybył do miasta. W każdym razie teraz wysłuchał spokojnie, co trener baseballu ma mu do powiedzenia na temat rozwiązania „problemu tego małego Roby'ego”, następnie odczekał cierpliwie, dopóki się nie upewnił, że pan Brown skończył wyłuszczać swoją kwestię, po czym wybuchnął gromkim, niepoohamowanym śmiechem, który nieoczekiwanie rozwinął się w pełnowymiarowy atak hysterii, z której nie można go było wyciągnąć. Dosłownie wył, zachłystywał się i zanosił od śmiechu. Twarz mu nabrzmiała i stała się purpurowa, Izy płynęły ciurkiem po policzkach i wkrótce z trudem łąpał powietrze. Zaalarmowana sekretarka przybiegła ze szklanką wody, ale on trząsał się tak straszliwie, że nie mógł nic przełknąć.

W końcu musieli położyć dyrektora na dywanie, twarzą do podłogi, gdzie początkowo rzucał się niczym okoń na pokładzie kutra, a następnie zwinął się w kłębek i leżał nieporuszony, mając ledwie tyle energii, by wyszeptać:

- O Boże, o Boże. Proszę mi wybaczyć, panie Brown. Nie miałem zamiaru... Tak mi przykro... Nie śmiałem się tak od dzieciństwa... od czasów, gdy mój wuj łaskotał mnie tak długo, aż w końcu moczyłem się w majtki. - Wreszcie był w stanie usiąść i oprzeć się o ścianę. - Widać musiałem w sobie tłumić ten śmiech, odkąd się tu sprowadziłem - powiedział.

Pan Brown nie miał pojęcia, co taki człowiek mógł w sobie tłumić czy też nie tłumić, ale nie znosił, gdy ktoś się z niego śmiał w ogólności, a już na pewno nie wtedy, gdy ten ktoś pochodził z Connecticut, a fakt, że pan dyrektor oczyścił swoją duszę jego kosztem, doprowadził go do prawdziwej furii. Powstawszy z krzesła, spojrzął z góry na pana Boniface'a, który wciąż

siedział na dywanie, opierając się plecami o ścianę, gdzie wyglądał jak człowiek znajdujący się po niewłaściwej stronie plutonu egzekucyjnego.

- Myśli pan, że to zabawne, tak? - wycodził pan Brown, wskazując na wąską szparkę, która była jego prawym okiem. - Myśli pan, że to bardzo zabawnie widzieć wszystko podwójnie?

Miałby jeszcze więcej do powiedzenia, gdyby nie to, że pan Boniface trzymając się za obolałe żebra, zaczął błagać trenera:

- Dość... Proszę przestać... Panie Brown, błagam pana... Już więcej nie mogę... Pan mnie zabija...

W odpowiedzi na to panu Brownowi nie pozostało nic innego, jak tylko wypaść z gabinetu z niezłomnym postanowieniem, że odtąd będzie występował przeciwko wszystkim pomysłom dyrektora, gdy tylko nadarzy się po temu okazja, niezależnie od tego, ile by to go miało kosztować, z postanowieniem, które umacniało się w nim przez cały następny miesiąc, ilekroć spotykał pana Boniface'a na korytarzu i widział, jak tamtemu zaczynają drgać ramiona na wspomnienie wypadku z Robym. Pan Brown nie był w nastroju, by dzielić z dyrektorem ten dobry humor. Notatka, jaką otrzymał od niego następnego dnia po ich spotkaniu był zwięzła i jednoznaczna: *Proszę kontynuować kurs z Milesem Roby w zakresie nauki jazdy. Do uczestnictwa w kursie nie są wymagane żadne warunki wstępne. Żywię nadzieję, że w dalszym ciągu będzie pan mógł zaoferować chłopcu, podobnie jak wszystkim uczniom w Empire Falls, którzy zechcą przystąpić do nauki na tym kursie, swą pełną i niepodzielną uwagę.*

Kiedy w rok później pan Boniface zmarł nagle w wyniku rozległego zawału, pan Brown zbojkotował pogrzeb, przy okazji wypowiadając do przyjaciół następującą uwagę:

- Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Przy czym zdawał się nie zauważać znaczącego faktu, że jemu samemu wcale nie jest do śmiechu.

I tak, pomimo dość niefortunnego początku, Milesowi pozwolono kontynuować naukę. Niemniej pan Brown dawał mu odtąd wyraźnie do zrozumienia, że jeśli o niego chodzi, to wprawdzie ciągnie ten mecz dalej, ale robi to pod przymusem i w gruncie rzeczy wydawał się zawiedziony, że reszta semestru wiosennego upłynęła bez dalszych wypadków. Prawda była taka, że rzadko dopuszczał Milesa do kierownicy, poza wyjątkowo prostymi i łatwymi odcinkami, nie pozwalał mu też parkować na ulicy. Kiedy kurs dobiegł końca, pan Brown poinformował Milesa, że otrzymuje ocenę niedostateczną, a następnie dodał, że w całej swojej karierze instruktorskiej nigdy

nie spotkał nikogo, komu Bóg bardziej poskąpiłby talentu. Na zakończenie wyraził szczerą nadzieję, że resztę życia Miles przejdzie na piechotę.

Pan Boniface, który miał świadomość, że spośród wszystkich mściwych i nienawistnych małomiasteczkowych półgłówków najgroźniejszym jest pan Brown, przewidział taki bieg wypadków, tak więc kiedy otrzymał od niego arkusz ocen, poprosił Milesa, by ten odwiózł go do domu dyrektorskim samochodem. Dla obu stron była to podróż pełna nerwów, ale dotarli bezpiecznie pod dom dyrektora, gdzie obaj jednocześnie zdali sobie sprawę, że teraz Miles będzie musiał przejść z powrotem przez całe miasto na piechotę, dlatego zamienili się miejscami i dyrektor odwiózł ucznia do domu.

- Więc powiadasz, że przez cały semestr nie miałeś możliwości ćwiczyć? - wypytywał go pan Boniface.

Miles, który wstydził się przyznać, że jego rodzina nie ma aktualnie samochodu, przyznał, że to prawda.

- I pan Brown dał ci ocenę niedostateczną - indagował dalej dyrektor.

- No, cóż - wzruszył ramionami Miles. - Faktycznie o mały włos go nie zabiłem.

- No, ale mimo wszystko... - pan Boniface zawiesił głos, tak jakby rozważał długą listę okoliczności łagodzących, dzięki którym można by wybaczyć ewentualne zabicie pana Browna. - Mimo wszystko porozmawiam z nim.

Jak obiecał, tak uczynił. Natychmiast po powrocie do domu zatelefonował do pana Browna.

- Przez dwadzieścia pięć lat nigdy nie zmieniłem żadnej oceny wystawionej przez nauczyciela, ale uczynię to teraz z pańską oceną, jeśli pan sam tego nie zrobi.

Pan Brown nie musiał nawet pytać, o kim mowa.

- Roby otrzymuje ocenę niedostateczną - stwierdził stanowczo. - Omal mnie nie zabił.

- Dokładnie przemyślałem całą sprawę - odparł dyrektor z namysłem. - Proszę mi wierzyć.

Pan Brown, który normalnie nie był zbyt lotny w rozumowaniu, tym razem natychmiast pojął, że jest to próba ingerencji.

- Czyżby? No cóż, ale jest pan zdany na mnie, niestety. I obaj dobrze wiemy, że nie jest w pana mocy, by zmienić ocenę wystawioną przez nauczyciela.

- A pan jest skazany na Milesa Roby. Jeśli pan go obleje, to chłopak będzie musiał powtórzyć kurs. Pomyślał pan o tym?

Pan Brown nie pomyślał. Do tej pory żaden uczeń nigdy nie musiał powtarzać kursu na prawo jazdy.

- A na dodatek, jeśli mam być szczerzy, wielu pańskich zawodników ledwie

ciągnie z przedmiotów ogólnych. Byłaby wielka szkoda, gdyby okazało się, że taki Jimmy Minty, na przykład, nie daje sobie rady w najstarszej klasie. A jest spora szansa, że Gladys będzie go uczyła angielskiego w przyszłym roku. Praktycznie rzecz biorąc, jest na to bardzo duża szansa.

Gladys była żoną pana Boniface'a i ilekroć pan Brown był na tyle głupi, żeby popełnić coś na piśmie, Gladys poprawiała gramatykę i ortografię, po czym odsyłała mu poprawiony tekst.

- Zmienię ocenę - przyrzekł pan Brown.

- I jest pan winien przeprosiny Milesowi Roby.

- Nigdy - odpowiedział pan Brown. - Po moim trupie, nawet za tuzin Jimmich Minty. Ani nawet za tysiąc.

- Proszę pomyśleć, jak to wygląda. Dorosły człowiek nienawidzi szesnastoletniego chłopca - zasugerował mu pan Boniface. - Jak to wygląda, żeby nauczyciel nienawidził ucznia.

- A co w tym złego? - chciał wiedzieć pan Brown. - Pan nienawidzi mnie, może nie?

Pan Boniface, człowiek uczciwy, musiał przyznać mu rację.

Miles był już skłonny zrezygnować z myśli o kolejnym podejściu do egzaminu na prawo jazdy, gdy któregoś dnia matka wróciła z pracy i zakomunikowała, że pani Whiting zaoferowała się, iż może mu posłużyć jako dodatkowy instruktor. Co było jeszcze bardziej nieprawdopodobne, zaproponowała, że do ćwiczeń mogą wykorzystać jej nowego lincolna. Miles był tak zdumiony tą propozycją, że nie potrafił na poczekaniu wymyślić ani jednego powodu, dla którego mógłby odmówić, chociaż bardzo chciał tak uczynić. Nie miało to nic wspólnego z panią Whiting, którą znał mało i przelotnie, miało natomiast bardzo wiele wspólnego z jej córką, Cindy.

W kwestii uczuć reguły dotyczące związków chłopców z dziewczętami w szkole średniej w Empire Falls były niesłychanie precyzyjnie określone, zasady postępowania ustanowiono od razu na początku szkoły, a zestaw wytycznych nie mógł być bardziej obowiązujący, nawet gdyby przybito go do drzwi szkoły. Jeśli dana osoba była dziewczyną i swoje serce skłaniała ku określonemu chłopcu, prosiła jedną z przyjaciółek, by wypytała któregoś z przyjaciół owego chłopca. Taki kontakt oznaczał rozpoczęcie serii skomplikowanych negocjacji, w których rundy początkowe prowadzone były przez wyznaczonych do tego celu przyjaciół. Na przykład przyjaciel chłopaka A mógł powiadomić przyjaciółkę dziewczyny B, że chłopak, o którym mowa, uważa tę dziewczynę za niezłą laskę, lub jeśli był szczególnie zainteresowany, za superlaskę. Co bardziej doświadczeni w tej materii wiedzieli, że należy



postępować bardzo ostrożnie, gdyż nadmiar zapału mógł opóźnić postępy w sprawie o wiele tygodni. Dziewczyna, której dotyczyły negocjacje, mogła przecież prowadzić jednocześnie rozmowy z innymi partiami, a żaden chłopak nie chciał znaleźć się na liście jako ten, który uważa, że dziewczyna jest super, a następnie dowiedzieć się, że ona uważa go zaledwie za fajnego. Przyjaciele otrzymywali szczegółowe instrukcje co do tego, ile mogą powiedzieć i jak daleko wolno im się posunąć, ponieważ każda nadgorliwość mogła prowadzić do dewaluacji oferty i obniżenia wartości uczuć wszystkich zainteresowanych. Dopiero z chwilą dojścia do porozumienia poprzez wytyczenie poziomu uczuć w granicach bezpiecznych dla obu stron mogło nastąpić spotkanie głównych zainteresowanych w celu wymiany pamiątek i upominków - takich jak pierścionki, kurtki, fotografie, breloczki do kluczy - by przypieczętować związek, oczywiście zakładając, że swaci reprezentowali przyszłych zakochanych we właściwy sposób.

Jako kaleka, Cindy Whiting naturalnie nie miała przyjaciółek, co oznaczało, że żaden romans nie mógł się rozpocząć. Gdyby nie to, że jako mała dziewczynka została przejechana przez samochód, z pewnością znajdowałyby się na szczycie, lub prawie na szczycie, piramidy socjalnej, zważywszy na to, że miała bogatych rodziców i niekwestionowany rodowód, jednak chociaż nikt nie chciał być wobec niej niemiły, fakty mówiły same za siebie - Cindy była kaleką. Nie chodziło o to, że komuś sprawiało to jakąś szczególną przyjemność, iż została kaleką, po prostu trudno było udawać, że nią nie była, skoro była. Z braku swatki i pośredniczki nie miała innego wyboru, jak tylko samej przemówić w swoim imieniu, co też uczyniła pewnego dnia w stołówce, gdy Miles zatrzymał się przy jej stoliku, by zabrać jej tacę i odnieść do okienka.

- Kocham cię - powiedziała bez żadnych wstępów.

Miles miał dość własnych kłopotów proceduralnych, niezależnie od Cindy Whiting. Miał wprawdzie przyjaciół, jak Otto Meyer jr, którego pochodzenie, podobnie jak Milesa, było może wątpliwe, jednak nie najgorsze - przyjaciół, co mogliby z powodzeniem, choć może trochę niezdarnie, mediuwać w sprawie miłosnych kontaktów, ale Miles popełnił ten błąd, że zakochał się poza systemem w dziewczynie, która nazywała się Charlene Gardiner i która pracowała jako kelnerka w podrzędnej knajpie w centrum miasta, w dodatku była o trzy lata od niego starsza. A system z reguły nie pomagał nikomu, kto był na tyle głupi, by ulokować swe uczucia poza jego jasno wytyczonymi zasadami, co oznaczało, że Miles Roby, podobnie jak Cindy Whiting, był pozostawiony sam sobie.

Wiedział wprawdzie, że Charlene Gardiner jest w nim akurat tyle zakochana, co on w Cindy Whiting, ale to nie powstrzymało go od szukania

jej towarzystwa, nawet jeśli miało to polegać wyłącznie na tęsknym wpatrywaniu się w nią z kąta Empire Grilla, co zresztą było powodem, dla którego niemal codziennie zmuszał Otto Meyera jr., by właśnie tam spotykał się z nim po szkole. Dlatego teraz natychmiast zrozumiał, jaka mu grozi katastrofa, jeśli się zgodzi na propozycję pani Whiting w sprawie popołudniowych lekcji jazdy. Zostanie zmieciony z orbity Charlene Gardiner i wciągnięty w orbitę Cindy Whiting. A skoro znajdzie się w jej polu grawitacyjnym, będzie zmuszony dryfować samotnie, zdany wyłącznie na własne siły. I matka nie będzie mu tutaj w żaden sposób pomocna. Bezlitosna brutalność szkolnych miłości wyzwalała u niemal wszystkich dorosłych zbiorową amnezję. Ponieważ im samym udało się przeżyć, zamykali wspomnienia na kluczyk, ukrywając je głęboko w ciemnym zakamarku swojej podświadomości, gdzie wrzuca się na wieczne składowanie wszystkie rzeczy, które są zbyt okropne, by o nich pamiętać. Im ktoś był lepszy w tej grze za czasów szkoły średniej, tym głębiej zakopywał swoje wspomnienia i związane z nimi poczucie winy. To jest przyczyna, dla której rodzice tak rzadko się martwią o swoje dzieci w wieku licealnym, jednocześnie unikając wszelkich pytań dotyczących szczegółów ich życia koleżeńkiego. Złamane serca, mówili sobie na pocieszenie, są częścią „procesu dorastania”.

Grace Roby była wyjątkiem od tej reguły. Z jakiegoś powodu zdawała się doskonale pamiętać wszystkie okropności szkoły średniej. W owym czasie pracowała już u pani Whiting od wielu lat i widok córki tej kobiety, wracającej co dnia ze szkoły, jedynie umacniał jej naturalną skłonność do współczucia.

- Nie mogę tego znieść, Miles - zwierzyła się synowi któregoś wieczoru.  
- Po prostu nie mogę spokojnie patrzeć, w jaki sposób to dziecko skazywane jest na ostracyzm, jak dzień w dzień wszyscy dookoła łamią jej serduszko. Mamy na tym świecie pewien obowiązek do wypełnienia, Miles. Rozumiesz to, prawda? Mamy moralny obowiązek!

Miles nie mógł się nie zgodzić z wnioskami matki, aczkolwiek opowiadał się za możliwie najszerszym rozumieniem zaimka osobowego „my”. Poczował się do spełnienia jakiejś części tego obowiązku, ale zgodnie z jego wyliczeniami zobowiązanie moralne, któremu na imię Cindy Whiting, podzielone sprawiedliwie pomiędzy wszystkich mieszkańców Empire Falls, sprowadzało się dla każdego indywidualnie do naprawę skromnej misji, której z łatwością można sprostać za pomocą sporadycznego zdawkowego słowa czy równie sporadycznego i zdawkowego gestu. Jednakże podejrzewał, że matka miała całkiem co innego na myśli. Chociaż nigdy o tym nie rozmawiali, był niemal pewien, że nie spodobałaby jej się gotowość do wzięcia na barki jedynie „swojej części” niedoli Cindy Whiting i pozostawienie innym całej reszty. Większość ludzi, o czym Grace zapewne zaraz by mu przypomniała,

nigdy nie robi tego, co do nich należy. Grace wierzyła, że ci, co wiedzieli, jakie obowiązki do nich należą, byli wezwani przez Boga do wykonywania ciężkiej roboty za tych, którzy pozostawali ślepi moralnie. A tam, gdzie w grę wchodziła Cindy Whiting, kiedy jego matka mówiła „my”, tak naprawdę miała na myśli „Miles”.

W tym samym okresie było coś jeszcze, co niepokoiło Milesa, mimo że pewnie trzeba by go mocno przycisnąć, żeby potrafił owo „coś” wyartykułować. Z chwilą, gdy matka straciła pracę w fabryce i przeszła na służbę do pani Whiting, stała się inną osobą, zupełnie jakby znalazła się w nowym wymiarze życia. Zewnętrznych oznak tej transformacji było może niewiele, nic, co mógłby tak naprawdę uchwycić czy wskazać, ale zmiana, choć tak trudno uchwytna, była wyczuwalna. Grace powróciła z Martha's Vineyard ze złamanym sercem, Miles myślał nawet przez pewien czas, że ona nigdy nie zapomni o Charliem Mayne. Ale odkąd zaczęła pracować dla pani Whiting, powoli dźwigała się ze swego smutku i zamieszkała w jakimś nowym świecie. Wydawała się nie tyle szczęśliwa, ile pogodzona, ale i to jeszcze nie było to. „Zadowolona” też nie było odpowiednim określeniem, chociaż zdawała się teraz mniej cierpieć. Raczej było tak, jakby nagle została dopuszczona do tajemnicy, którą przez całe życie usiłowała poznać, i ta wiedza, mimo że w istocie zmieniła niewiele, sprawiła, że wszystko stało się łatwiejsze do zniesienia. W domu była mniej nerwowa, nie złościła się już tak bardzo ani na Milesa, ani na Maxa (w tych rzadkich chwilach, gdy Max zazwyczaj ich swoją obecnością).

W stosunku do Milesa matka nie była mniej kochająca niż dawniej, ale i między nimi zaszła pewna zmiana. Jej dzień pracy w domu Whitingów był zwykle długi, a kiedy w końcu wieczorem wracała do domu, to było, jakby przybywała z innej planety i nieraz zdarzało się, że przez pół godziny po prostu siedziała przy kuchennym stole, rozglądając się po swoim niewielkim domu, tak jakby życie w nim było kompletnie dla niej obce, zagadkowe i niewytłumaczalne. Czasem Miles przyłapywał ją na tym, że przygląda mu się tak jakoś dziwnie, jakby i on był zagadką albo kimś obcym, kimś, kogo niegdyś dobrze знаła, ale kto przeszedł operację plastyczną, i to tak zręczną, że nie miała już pewności, że jest tym, za kogo się podaje.

To, że przygląda mu się z ciekawością, było, według niego, jeszcze dość naturalne. W przedostatniej klasie wystrzelił mocno w górę i był teraz wyższy od obojga rodziców, całkiem możliwe więc, że to jego fizyczna przemiana w męczyznę wprawiała ją w taką konsternację. O ile jego chłopięce wspinanie się na drzewa napawało ją przerażeniem, o tyle teraz jakby mniej się o niego bała. Czasem tylko wyraz jej twarzy zdawał się mówić, że ma przecucie co do jakiegoś nieodwracalnego przeznaczenia, którego ona

sama by nie wybrała, a spokój, z jakim poddawała się tym wizjom, jakiegokolwiek by one były, budził w Milesie coś na kształt lęku.

Grace przestała się też denerwować o pieniądze, chociaż wieczna nieodpowiedzialność Maxa gwarantowała im życie w niepewności z tygodnia na tydzień. Strasznie przejmowała się natomiast sprawami rodzinnymi Whitingów. Zwłaszcza jej troska o Cindy graniczyła z obsesją i każdego dnia wypytywała Milesa, w jakim nastroju dziewczynka była w szkole, nawet jeśli wiedziała, że mieli tylko jedną lekcję razem. Wciąż kazała mu obiecywać, że nigdy nie pozwoli, by Cindy siedziała sama przy stole podczas drugiego śniadania, mimo że tłumaczył jej wielokrotnie, iż Cindy czasem w ogóle nie przychodzi do stołówki albo przychodzi później, i to w towarzystwie nauczyciela, lub też wtedy, gdy Miles już znalazł sobie miejsce i był w połowie jedzenia. Bywało też, że siadała przy stole pana Boniface'a.

Ale nie chciał mówić matce, że Cindy często siedziała sama na końcu długiego stołu, który był przeznaczony dla co najmniej dwudziestu uczniów, podczas gdy na jego drugim krańcu tłoczyła się hałaśliwa gromada rozśmianych i rozgadanych kolegów, którzy jakby celowo nie zauważali jej obecności. Dla kogoś obcego, kto by wszedł do stołówki po raz pierwszy, wyglądałoby to tak, jakby Cindy Whiting zrobiona była z innego, cięższego materiału niż jej koledzy z klasy i dlatego dopiero dwudziestoosobowa grupa mogła zrównoważyć drugi koniec tej szali. Miles nie opowiadał też matce o swoich własnych pomysłach co do dotrzymywania danej jej obietnicy, o tym, jak to wstawał od stołu, przy którym jadł lunch z przyjaciółmi dosłownie na kilka minut przed dzwonkiem i zatrzymywał się przy stole Cindy na jedną, dwie minuty; często tak wyliczał czas, by znaleźć się przy niej jednocześnie z dzwonkiem, a wtedy nie pozostawało mu nic innego jak tylko pomóc jej odnieść tacę. Straszna prawda była taka, że to, co robił dla Cindy, nawet w oczach Milesa, który miał wtedy szesnaście lat, to było zbyt mało i jednocześnie zbyt wiele, więcej, niż niemal wszyscy inni mieli ochotę uczynić, ale o wiele mniej, niż nakazywało mu sumienie. Gdyż Miles miał sumienie. Jego obecność - niczym sztylet wbity prosto w serce - uświadamiał sobie za każdym razem, gdy na jego widok twarz Cindy rozjaśniała się pełnym nadziei uśmiechem.

Ale matka miała obsesję nie tylko na punkcie Cindy Whiting. Stopniowo Grace zaczęła się przejmować wszystkim, co działo się w domu Whitingów. Wracała do domu zaniepokojona larwami ćmy, która wila swoje jedwabiste kokony w liściach hortensji. Zamartwiała się, że krewetki z supermarketu nie będą dość świeże na sobotnie spotkanie komitetu budowy szpitala. Z troską mówiła o tym, że dom za rzeką jest zbyt odizolowany, przez co

jego mieszkańcy mogą być narażeni na niebezpieczeństwo ze strony różnych lotrów i opryszków, którzy mogli się tam przekraść przez Iron Bridge.

Jakkolwiek często nieobecna myślami i roztargniona, matka była w dwójnasób wdzięczna Milesowi za to, że był jej tak pomocny. Nauczył się gotować obiady dla siebie i młodszego brata, można mu było też powierzyć niewielkie sumy pieniędzy na zakup takich podstawowych artykułów, jak papier toaletowy, proszek do prania czy mleko.

- Nie rozumiem, dlaczego nie potrafię się już na niczym skupić - zwierzała mu się, gdy po raz kolejny zdarzyło jej się zapomnieć o kupnie czegoś w sklepie czy o zapłaceniu rachunku za telefon. - Przysięgam, naprawdę nie rozumiem, o czym to ja myślę przez większość czasu.

Miles wiedział dokładnie o czym, ale kochał ją zbyt mocno, by wytknąć jej to, co było oczywiste: że jego matka znalazła sobie drugą rodzinę.

Pani Whiting od początku szczerze go polubiła, co zaskoczyło Milesa, zważywszy na to, jakie miała podejście do młodych ludzi. Nigdy nie robiła sekretu ze swej opinii na temat nastolatków, którzy jej zdaniem powinni przebywać w zakładach dla niebezpiecznych wariatów, skąd nie powinno się ich wypuszczać, dopóki słowo „fajny” nie zostanie wyrugowane z ich słownictwa. Podobnie nie taila swych innych, równie zdecydowanych, poglądów. Codziennie, dokładnie o godzinie trzeciej trzydzieści pięć podjeżdżała swoim lincolnem pod główne wejście szkoły. Lekcje kończyły się o trzeciej dwadzieścia, ale wtedy na zewnątrz ustawiały się autobusy szkolne i uczniowie ze wszystkich czterech poziomów wypadali hurmem przez cztery skrzydła drzwi wejściowych - ludzki żywioł, nieokiełznany i nieuważny, z którym chwiejąca się na nogach dziewczynka nie powinna się mieszać. W tym momencie swego życia Cindy była już przyzwyczajona do czekania, dopóki tłum się nie rozproszy. Kiedy jechała gdzieś z matką, pozostawały zawsze z tyłu, pośród załęcznionych dorosłych, rodziców z małymi dziećmi i osób nieśmiałych, czekając, aż silni i zdrowi wyjdą pierwsi. Unikwały wyprzedzaży w domach towarowych, kolejek do lodów i popcornu nad jeziorem, wszystkiego, co mogło się łączyć z przepychaniem. Z czasem Cindy zrozumiała, że jeśli zachowa cierpliwość, to popcornu i lodów wystarczy również dla niej. Mogła cieszyć się tymi samymi przyjemnościami, co ludzie pełnosprawni i pewnie stojący na obu nogach. Tyle tylko, że niejednocześnie z nimi.

Tak więc dopiero gdy odjechała falanga autobusów, załadowanych tłumem wszystkich tych Wandali i Hunów, Gotów i Wizygotów z Empire Falls, lincoln podjeżdżał na jedno z miejsc parkingowych, oznaczonych napisem: TYLKO DLA AUTOBUSÓW SZKOLNYCH. Pomimo wdzięczności, jaką

odczuwał dla pani Whiting za to, że zechciała mu pomóc w nauce jazdy, Miles od razu pojął, jaka jest cena tej nauki. Teraz, oprócz zdawkowych miłych gestów podczas przerwy śniadaniowej wymagano od niego, by spędzał z Cindy kolejnych dziesięć czy piętnaście minut po lekcjach, czekając razem na jej matkę. Chociaż oboje byli w przedostatniej klasie, należeli do innych grup, tak więc Miles, odczekawszy, aż pierwsza fala uczniów się przewali, zachodził po nią do klasy, by pomóc jej nieść rzeczy do głównego wyjścia. Z początku przy ładnej pogodzie czekali zazwyczaj na dworze, dopóki nie odkryli, że będą wystawieni na mniejsze pośmiewisko, jeśli pozostaną w środku.

Kpiny i szyderstwa nie były, naturalnie, niczym nowym dla Cindy Whiting. W szkole podstawowej koledzy z klasy odgrywali okrutne pantomimy, naśladując jej chwiejny krok, jako żywo przypominający pokraczny chód potwora ze starych filmów o Frankensteinie, który idąc, unosił ręce dla utrzymania równowagi. Nazywali to „krokiem Whitingów”, i nawet urządzano zawody, żeby ocenić, kto potrafi naśladować najlepiej. Podczas przerw nie był to wcale niezwykły widok, gdy trzech, czterech chłopaków ćwiczyło naraz, potykając się i strącając różne przedmioty, które znalazły się pod ręką. „Krok Whitingów” był zabawą, która dawała taką frajdę, że przeniosła się do gimnazjum, gdzie kwitła w najlepsze, dopóki pewnego dnia jedna dziewczyna z liceum, Charlene Gardiner, która zjawiała się tam, ponieważ jej młodszy brat zapomniał pieniędzy na śniadanie, natknęła się na korytarzu na grupkę chłopaków, idących za dziewczynką „krokiem Whitingów”, przy czym ilekroć Cindy się odwracała, niezdarne udawali niewiniątka. Na ten widok Charlene Gardiner strasznie się zezłościła i zapytała ich tonem pełnym miazdzącej pogardy, czy zamierzają kiedykolwiek dorosnąć.

Dla chłopaków z gimnazjum niczyja dezaprobata nie miała większej wagi niż kogoś takiego, jak Charlene Gardiner, ponieważ posiadała ona niewątpliwie najwspanialsze melony w całym Empire Falls, poza wszelką konkurencją. Jeden z chłopaków, który tego dnia też tam był na korytarzu, Jimmy Minty, zobaczywszy ją ostatniego lata w bikini nad jeziorem, następnie przez cały semestr jesienny opowiadał ze szczegółami o tym, co przeżył, obserwując ją, jak schyla się po tubkę z kremem do opalania. Podanie w wątpliwość twojej dojrzałości przez Charlene Gardiner było zdecydowanie ciosem między nogi, tak więc od tej pory zabawa w „krok Whitingów” spadła z topu, a wszyscy jej dotychczasowi uczestnicy nabrali przekonania, że istotnie dojrzeli, jak tego od nich oczekiwano.

To zapewne tłumaczyło, dlaczego tamtego wiosennego popołudnia widok Cindy Whiting i Milesa Roby, czekających razem na przyjazd jej matki z odsieczą, został przyjęty z tak niesamowitą ulgą i radością. Pewnie,

naigrwanie się z samej Cindy Whiting nadal nie należało do dobrego tonu, ale jako część pary z powrotem znalazła się w dozwolonej grze, nawet jeśli Miles był jedynie obiektem pozornym w tej nowej zabawie. Siedzieli więc z Cindy Whiting na kamiennej ławce, podarowanej szkole przez klasę rocznik '43, a chłopcy, którzy już mieli prawa jazdy, krążyli po dziedzińcu w samochodach, trąbiąc klaksonami, wychylając się z okien i wykrzykując sprośne dowcipy pod jego adresem.

Jeszcze więcej satysfakcji przyniosło im aktywne zademonstrowanie odnośnych części ciała, chociaż to akurat zdarzyło się tylko raz, ponieważ obnażeni prześladowcy sami padli ofiarą złego planowania i fatalnego pecha. W ich zamierzeniu miało to być krótki, ograniczony w czasie atak taktyczny skierowany na parę biedaków siedzących na ławce, ale ledwie wystawili swoje przyszczate dupska z okien rozpędzonego samochodu, gdy z budynku niespodziewanie wyłonił się pan Boniface, którego uwagę przyciągnął rozbrzmiewający klakson. Widok, jakim został poczęstowany, sprawił, że pan dyrektor stanął jak wryty i patrzył w ślad za samochodem, dopóki ten nie zniknął za rogiem szkoły, a tym samym z pola jego widzenia. Naturalnie obnażone siedzenia mogły należeć do każdego, ale pan Boniface rozpoznał samochód i tym sposobem prędko zidentyfikował i zawiesił w prawach ucznia, kogo należało. Pech winowajców był tym większy, że pan dyrektor doszedł do wniosku, iż to on miał być celem tego ataku, co było piramidalnym nieporozumieniem, którego nie mieli jak sprostować. Trudno bowiem było znaleźć jakiś sposób, by wyjaśnić, że to nie jemu zamierzali pokazać gołe tyłki i przyrodzenie, tylko biednej kalece.

Oczywiście przesiadywanie w budynku szkoły także nie chroniło Milesa i Cindy przed szyderstwami. Któregoś dnia cała reprezentacja drużyny baseballowej - z uśmiechniętym panem Brownem na końcu - wymaszerowała z szatni, skandując „Da-lej, Roby, do ro-bo-ty, dalej! Da-lej, Roby, do ro-bo-ty, dalej!” przez całą drogę aż na boisko.

Prawdę mówiąc, ta drwina znacznie bardziej zabolowała Milesa niż Cindy, która albo nie rozumiała jej znaczenia, albo udawała, że nie rozumie.

- O co im chodziło? Co to miało znaczyć: „Do ro-bo-ty, Roby!”? - spytała tak niewinnie, sprawiając, że Miles, który w trakcie przemarszu drużyny oblał się szkarłatem, teraz zarumienił się jeszcze bardziej.

Usiłując nie dopuścić do ciągłych wyznań miłosnych Cindy, Miles nauczył się kierować ich rozmowy na bardziej neutralne tory szkolnych tematów, często też pomagał jej w odrabianiu prac domowych, zwłaszcza z angielskiego, w którym, tak się składało, był najmocniejszy, a ona najslabsza. Według Milesa problemy z nauką świadczyły nie tyle o głupocie Cindy, ile o jej upartej przekorze. Z jakiegoś powodu z wielką złością oskarżała po kolei

każdego autora, z którego tekstem miała do czynienia, o to, że nie można zrozumieć intencji i sensu, a kiedy Miles usiłował jej wytłumaczyć jakiś kłopotliwy fragment czy pojęcie, jej twarz wykrzywiła się, przybierając maskę złości i frustracji. Zwłaszcza poezja doprowadzała ją do białej gorączki. Jej zdaniem był to rodzaj gry słów, wymyślony tylko w jedynym celu, by ci, co rozumieli, mogli się naigrawać z zakłopotania tych, którzy nie rozumieli. Miles próbował zwrócić jej uwagę, że przecież wiersze nie są pisane jakimś kodem i że wcale nie są ani w połowie tak trudne, jak ona twierdzi, ale prawda była taka, że nawet całkiem proste i oczywiste metafory wprawiały ją w zdenerwowanie, a co bardziej złożone figury słowne napełniały ją świętym oburzeniem.

- To proste - zaczął jej tłumaczyć któregoś popołudnia. - To się nazywa personifikacja. Osoba mówiąca w tym wierszu porównuje śmierć do woźnicy. *Nie mogłam stanąć i czekać na Śmierć/ Ona sama mnie podwoziła - uprzemja\**.

\* Emily Dickinson, „100 wierszy”. Przeł. Stanisław Barańczak, Kraków 1993.

- Jeśli o to jej chodzi, to dlaczego po prostu tego tak nie powie?

- Ona właśnie to mówi - stwierdził Miles, wskazując na odpowiednią linijkę. Niemożność zrozumienia przez nią czegoś tak prostego wręcz nie mieściła mu się w głowie. Jeśli można było się po kimś spodziewać, że zachwyci się Emily Dickinson, mógłby się założyć, że będzie to Cindy, ale ona odmówiła nawet spojrzenia na wskazaną stronę. Ten wiersz sprawił, że poczuła się gorsza, dlatego nie chciała mieć z nim nic więcej do czynienia. Dalsze jego analizowanie utwierdziłoby ją tylko w przekonaniu, że ani ten, ani żaden inny wiersz nie mają racji bytu.

- Dlaczego ona nie powiedziała tego w taki sposób, żebym ja mogła zrozumieć? - upierała się.

Miles pomyślał, że mądrze zrobi, jeśli nie zareaguje na to pytanie, a zamiast tego powiedział, usiłując zapanować nad irytacją w głosie:

- No dobrze, ale jak ci wytłumaczyłem, to już rozumiesz, prawda?

- Nie - powtórzyła uparcie, jakby chcąc przeciąć dalsze próby jej oświecania, ostentacyjnie zatrzasnęła książkę, wrzuciła ją do swojej płóciennej torby, po czym wstała z wysiłkiem, złapała laskę i pokuśtykała przez hall do łazienki.

Jednak ze złości i pośpiechu nie zamknęła dokładnie torby i Miles dojrzał w niej jakąś ciekawą książeczkę w tanim wydaniu, wetkniętą bokiem między książki szkolne, która jednak sama nie wyglądała na podręcznik. Wiedział, że nie ma prawa przeglądać jej rzeczy, ale nie mógł powstrzymać ciekawości, jakiego rodzaju lektury mogły przemawiać do kogoś tak wojowniczo nastawionego przeciwko subtelnym językom. Okładka, przedstawiająca scenę na obozie letnim, z dwiema rozchichotanymi dziewczętami



wbiegającymi do lasu za parą nastoletnich chłopców, którzy na nie kiwają, wyglądała dość niewinnie. Przypominała wszystkie tego typu książki adresowane do młodych nastolatek, takie, które czytywało się na głos na śniętych prywatkach, tym większe było więc zaskoczenie Milesa, gdy przekonał się, że jej zawartość, przynajmniej na stronie, której róg był zagięty, była z lekka pornograficzna. Fragment, na który padł jego wzrok, mówił o dwóch dziewczętach, przypuszczalnie tych z okładki, które potajemnie obserwują pół tuzina chłopców, baraszkujących w rzece. Chłopcy są nadzy, a jeden z nich, Jules, jest szczególnie godzien uwagi. *To, co kryło się między jego nogami, było tak dziwne i cudowne, że ciało Pam przeszło dreszcz rozkoszy*, przeczytał Miles. No tak, to zdanie z pewnością nie wymagało objaśnień. Zdążył wsunąć książkę z powrotem do torby dosłownie w ostatniej chwili, nim Cindy pojawiła się znowu na korytarzu.

- A w dodatku - powiedziała, podejmując wątek ich dyskusji dokładnie w tym miejscu, gdzie ją przerwali - wcale nie wierzę, że ty naprawdę te wiersze rozumiesz. Na pewno tylko udajesz.

- No i dobrze - stwierdził Miles, straciwszy zainteresowanie dyskusją na temat zalet poezji. Stała się bowiem rzecz straszna, a mianowicie urywek, który przeczytał, pomijając głupie sformułowania, wywołał u niego erekcję. A co więcej, świadomość, że Cindy Whiting czyta takie książki i przypuszczalnie znajduje w tym przyjemność, dodatkowo pogorszyła całą sytuację. Bo kiedy usadowiła się znowu obok niego na ławce, nagle wyobraził sobie, że siedzi tam całkiem naga, i przypomniało mu się, że w zeszłym tygodniu, kiedy te nagusy zaskoczyły ich, świecąc gołymi tyłkami i dyndając genitaliami w obramowaniu okien samochodu, wyraz jej twarzy nie był całkiem taki, jakiego mógłby się po niej spodziewać.

- Według mnie, po prostu udajesz, i tyle - ciągnęła z uporem. - I co się tak na mnie gapisz?

Ale w tym momencie na zewnątrz dał się słyszeć klakson i zobaczyli czarnego lincolna, który zatrzymał się przy krawężniku. Wstając, Miles zdołał się odwrócić nieco tyłem i zasłonić książkami, żeby się poprawić. A potem dziwna myśl przyszła mu do głowy: ten lincoln przypomniał mu powóz Śmierci z wiersza Emily Dickinson.

Pod kierunkiem pani Whiting umiejętności Milesa jako kierowcy wykazywały stałą poprawę, z czego większość zawdzięczał pierwszej lekcji. Zamieniwszy się miejscami, Miles właśnie ruszył ostrożnie od krawężnika, gdy pani Whiting poleciła mu, by się zatrzymał.

- Drogi chłopcze - rzekła - czy ty zawsze jesteś taki?

Pytanie, poparte spojrzeniem, jakim go zmierzyła z góry na dół, wywołało w Milesie poczucie własnej nieadekwatności, która przekraczała kwestie motoryzacyjne, tak jakby zadając je, pani Whiting dotknęła jakiejś poważniejszej wady charakterologicznej.

- To znaczy jaki? - usłyszał własny głos.

- Jakby sparaliżowany ze strachu.

- To bardzo piękny samochód - zauważył.

- Tu cię mam, a więc o to chodzi! - zawołała, zadowolona z siebie, że odkryła... kto wie, co? Nadal wpatrywała się w niego z natężeniem, sprawiając, że Miles zaczął się zastanawiać, czy ta rozmowa z czasem stanie się bardziej sensowna, czy nadal będzie miał trudności z jej zrozumieniem. Matka ostrzegała go, że pani Whiting jest inna niż wszyscy ludzie, których znał, ale dopiero teraz pojął, dlaczego Grace nie potrafiła mu tego wytłumaczyć dokładnie.

O ile wiedział, pani Whiting była o wiele starsza od jego matki, co oznaczało, że mogła być w wieku koło czterdziestu kilku lat, ale nawet jeśli wyglądała, w jakiś trudno uchwytny sposób, na swoje lata, to zarazem sprawiała wrażenie, jakby miała ich mniej. Miles zdawał sobie sprawę, że Grace była kiedyś bardzo piękną kobietą, i nieraz, chociaż ostatnio coraz rzadziej, potrafił jeszcze dostrzec ślady tej jej dawnej urody. Przez lata, jakie upłynęły od ich powrotu z Martha's Vineyard, stała się kobietą w średnim wieku, podobnie jak wszystkie matki jego przyjaciół i kolegów. Dziwna sprawa, wystarczyło, że człowiek rzucił okiem na panią Whiting, żeby wiedzieć, że ona nigdy nie była piękna ani nawet ładna. Jej córka, gdyby jako dziecko nie została kaleką, a potem nie wchodziła w dorosłość w atmosferze straszliwych szyderstw, byłaby o wiele ładniejsza. Teraz, w chwili gdy pani Whiting zadała Milesowi pytanie, czy zawsze jest taki przestraszony, mógł pomyśleć, że to, co ta kobieta próbuje mu przekazać, jest podszyte erotyzmem, jakiego przynajmniej on swoimi szesnastoletnimi oczyma nigdy dotąd nie zauważył u żadnej innej kobiety w jej wieku. Zaszokowany, uświadomił sobie, że pod wpływem jej spojrzenia poczuł seksualną niższość, co sprawiło, że policzki zaczęły go palić ze zmieszania i wstydu.

- Że niby o co chodzi? - zapytał i niemal jednocześnie pożałował swojego pytania.

- Nie o co, tylko kogo. O twoją matkę - wyjaśniła. - Z początku prawie jej w tobie nie zauważyłam, dopóki nie wspomniałeś, jaki to ładny samochód. Fizycznie nie przypominasz naszej Grace, ale masz w sobie jej nieśmiałość.

Miles zarejestrował tę „naszą Grace”, ale postanowił to zignorować.

- Bo naturalnie, jeśli chodzi o wygląd, jesteś kropka w kropkę jak twój ojciec - powiedziała, jak gdyby uważała, że jest to powszechna opinia, co

zresztą nie było prawdą. - Cindy również jest córeczką tatusia, tak jak ty, drogi chłopcze, swojego, czyż nie?

Było to raczej bolesne stwierdzenie jak na matkę i Miles zerknął w lusterko wsteczne, żeby sprawdzić, jak na tę uwagę zareaguje Cindy, ale jej twarz w tym momencie nie mogła być bardziej pozbawiona wyrazu. Zresztą, jego zdaniem, czy była podobna do ojca czy też nie, nie było w żadnym razie kwestią, co do której akurat on mógł mieć jakieś wyrobione zdanie, skoro nigdy w życiu nie spotkał C. B. Whitinga. Z tego, co mówiła Cindy, jej ojciec mieszkał obecnie najczęściej w Meksyku, gdzie doglądał takiej samej fabryki włókienniczej jak ta, którą zamknęto w Empire Falls.

W szkole średniej w Empire Falls mogło brakować wielu rzeczy, ale parking był tam ogromny. Z tyłu za budynkiem było chyba ze sto jardów wyasfaltowanego placu parkingowego, późnymi popołudniami prawie pustego. Pani Whiting kazała Milesowi ustawić się w taki sposób, aby miał przed sobą całą wolną przestrzeń parkingu, za którą było już tylko trawiaste zbocze, łagodnie opadające ku znajdującej się u jego podnóża szkolnej bieżni, w kształcie owalu o długości ćwierć mili.

- W porządku - rzekła. - A teraz naciśnij z całej siły gaz do podłogi.

Miles nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

- Chce pani, żebym....

- Zgadza się.

- Ale ja nie mogę...

- Tak jak powiedziałam, naciśnij pedał gazu do samej podłogi.

Przez moment Miles rozważał to żądanie. Był całkiem pewien, że nie mogło być mowy o nieporozumieniu, mimo to jednak... Ponownie zlokalizował twarz Cindy w lusterku wstecznym, ale wyrażała mniej więcej tyle zrozumienia, ile mógłby się spodziewać, gdyby jej matka wyrecytowała wers z poezji elżbietąńskiej.

Jedyny samochód, jaki dotychczas Miles prowadził, był to szkolny pojazd do nauki jazdy, który miał specjalnie osłabiany silnik, nic więc dziwnego, że zaskoczyło go, gdy pod jego stopą lincoln wyskoczył nagle do przodu niczym zwierzę wypuszczone z klatki. Kiedy instynktownie puścił pedał gazu, pani Whiting warknęła:

- Nie! Trzymaj! Dociskaj do końca! - jej głos przebił się ponad rykiem silnika i tym razem Miles zrobił to, co mu kazano. Długa połać parkingu zaczęła się przesuwac gwałtownie obok nich, siła przyśpieszenia wcisnęła ich ciała w oparcia foteli, i tak pędzili, dopóki pani Whiting nie odezwała się ponownie:

- Teraz byłby czas, byś się zatrzymał, drogi chłopcze.

I faktycznie miała rację. Znajdowali się już niemal po drugiej stronie parkingu i między sugestią pani Whiting a momentem, gdy jego stopa znalazła i docisnęła hamulec, Miles wciąż pędził dalej. Lincoln zahamował natchmiast, ze straszliwym zgrzytem opon. Świadomość, że wóz zwalnia, była, oczywiście, wysoce satysfakcjonująca, ale pisk opon zabrzmiał w uszach Milesa niepokojąco, jak coś niedobrego, czego właściciel wozu z pewnością by nie pochwalił, dlatego po krótkiej chwili puścił hamulec, kładąc kres zgrzytowi, ale to z kolei oznaczało, że wciąż jechali z prędkością co najmniej trzydziestu mil. Tymczasem bruk się skończył i zaczęli staczać się w podskokach po trawiastym zboczku ku bieźni, gdzie ostatecznie stanęli. Miles rzucił okiem na panią Whiting, przekonany, że teraz już na pewno zgodzi się ona z jego poprzednim instruktorem, iż jako kierowca istotnie stanowi zagrożenie dla otoczenia, jednak jeśli była z niego niezadowolona, to nie dała tego po sobie poznać. Jej córka na tylnym siedzeniu również nie reagowała.

- Naturalnie byłoby znacznie korzystniej zatrzymać się tam na górze - zauważyła spokojnie pani Whiting. - Ale nic nie szkodzi. Tak też jest dobrze. A teraz powiedz mi, proszę, czego się nauczyłeś?

- Nie jestem pewien - przyznał Miles. I faktycznie nie był pewien, czy się nie zmoczył z wrażenia.

- A ja jestem - stwierdziła pani Whiting. - Nauczyłeś się, co się stanie, kiedy zrobisz coś, czego dotąd bałeś się zrobić. Nauczyłeś się, jak szybko samochód może jechać, a także co i jak trzeba uczynić, by ponownie go zatrzymać. Obie te rzeczy zaskoczyły cię, ale następnym razem już cię nie zaskoczy.

Miles pokiwał głową, wyczuwając dziwną prawdę w jej słowach.

- Nie możesz oceniać swoich możliwości kontrolowania czegoś, dopóki nie sprawdzisz tego w ekstremalnych warunkach. Rozumiesz?

Tak, rozumiał. Pomijając fakt, jak bardzo jeszcze przed chwilą był przeżony, czuł teraz nadspodziewaną przyjemność płynącą z faktu, że siedział za kierownicą lincolna - i było to całkowicie odmienne uczucie od tego, jakie wywołała w nim utrata kontroli nad samochodem szkolnym i lądowanie w tamtym garażu.

- Siła i opanowanie- powtórzyła z naciskiem pani Whiting. - Nieraz zdarzy ci się, że będziesz musiał nacisnąć pedał gazu z całej siły, a kiedy indziej będziesz musiał z całych sił docisnąć hamulec. Nieczęsto, ale na pewno ci się zdarzy. Teraz znasz już samochód, i wiesz, że między tymi skrajnościami nie ma się czego obawiać, zgadza się?

Ciągle jeszcze stali skierowani przodem w dół, na odcinku szkolnego terenu, który nie był przeznaczony dla pojazdów zmechanizowanych.

- Co teraz? - spytał.

- Teraz musisz się wy dostać z sytuacji, w którą sam się wpakowałeś. Dobrze się zastanów.

Miles skinął głową, wziął głęboki wdech, zdjął stopę z hamulca i pozostając na luzie, zsunął się na bieżnię. Jazda tyłem po trawiastym zboczu pod górę byłaby co najmniej ryzykowna, więc zwyczajnie skierował lincolna na bieżnię i zaczął jechać po torze owalu, wdzięczny losowi za to, że drużyna lekkoatletyczna miała tego dnia trening poza szkołą. Już prawie zamykał całą ćwierćmilową pętlę, już nawet widział ślady opon w mokrej trawie w miejscu, gdzie przed kilkoma minutami zsunął się w dół, i właśnie zamierzał tam skręcić, by po własnych śladach wrócić na brukowaną nawierzchnię na górze, gdy do jego świadomości przedarł się głos, dobiegający z zewnątrz samochodu:

- Hej! Hej! Stop, do cholery! Zatrzymać się! - i w tej samej chwili ujrzał w lusterku wstecznym apoplektyczne oblicze pana Browna, który wielkimi susami pędził w ślad za lincolnem. Trudno było powiedzieć, czy biegł już tak za nimi po bieżni całe okrążenie, czy rozpoczął swój bieg na ostatnim odcinku. W każdym razie trener baseballu dopadł ich bez tchu, czerwony jak burak, obszedł samochód dookoła i oparł się o maskę, blokując Milesowi drogę odwrotu.

- Roby! - zaświszczał, kiedy zobaczył, kto siedzi za kółkiem. - Powiniennem być się tego domyślić! - Miles wyświadczył mu tę uprzejmość, że opuścił szybę, tak by panu Brownowi było łatwiej na niego wrzeszczyć.

- Do diabła! Co ty sobie wyobrażasz? Czy masz pojęcie, ile kosztuje nawierzchnia takiej bieżni?

W tym momencie pani Whiting pochyliła się na siedzeniu; pan Brown drgnął na jej widok.

- Wiem doskonale - zapewniła go. - Zapłaciłam za nią. A teraz proszę się odsunąć.

- O rany, pani Whiting, nie zauważyłem pani - zawołał trener speszony. - Nie miałem pojęcia...

- Czy słyszał pan, co powiedziałam?

A kiedy pan Brown odskoczył z drogi, Miles ruszył powoli, jadąc pod górę po swoich śladach, dopóki lincoln nie znalazł się z powrotem na asfalcie, a jego dawny instruktor nie zniknął z pola widzenia w lusterku. Twarz Cindy Whiting, która zapadła w osłupiałe milczenie, odkąd wsiadła do auta, była tam naturalnie nadal, i kiedy dziewczyna spotkała jego wzrok w lusterku, odpowiedziała mu niepewnym, niemal wystraszoną uśmiechem. W tej chwili, widząc w prostokątnej ramce jedynie część jej twarzy od ust do oczu, Milesowi przemknęło przez myśl, że to ktoś inny, kogo słabo zna i kogo z trudem rozpoznaje.

- Siła i opanowanie - powtórzyła pani Whiting, a uśmiech błędził po jej wargach.

## Część trzecia

15

Miles planował, że zamknie restaurację o jedenastej. Mecz zaczynał się o pierwszej trzydziestej, a on chciał się zjawić u Cindy Whiting około południa, w nadziei że zaoszczędzi mu to później nieco zakłopotania. Większy hipokryta próbowałby może przekonywać sam siebie, że nie chciał wprawiać w zażenowanie Cindy Whiting, ale Miles wiedział swoje. To jemu zależało, żeby dotrzeć na stadion Empire Field, nim zacznie się tam gromadzić tłum, tak by oboje mogli spokojnie zająć miejsca w dolnych ławkach, w sektorze po stronie gospodarzy. Wchodzenie wyżej na trybuny z balkonikiem Cindy nie tylko trwałoby całą wieczność, ale także pozwoliłoby wszystkim mieszkańcom Empire Falls zobaczyć na własne oczy, a zapewne i skomentować ten fakt, że oto Miles Roby towarzyszy tej biednej kalece od Whitingów, która kiedyś próbowała popełnić samobójstwo z jego powodu. Jak również dałoby asumpt do spekulacji, czy przypadkiem nie oznacza to, że Roby szykuje się do poślubienia tej góry pieniędzy, jak tylko jego rozwód dojdzie do skutku. A w poniedziałek rano w restauracji już wysłuchiwałby pierwszych żarcików na ten temat.

Praktycznie większość bezsennej nocy spędził, wyobrażając sobie w kółko, jak wchodzi na wymaginowane trybuny. Raz tylko przerwał na krótko, żeby odegrać w myślach to, co Charlene powiedziała mu w Lamplighterze po wyjściu jego brata, że zgodziłaby się z nim kochać, tylko boi się, że byłby zawiedziony. Powinien był jej odpowiedzieć - co naturalnie przyszło mu do głowy dopiero o trzeciej nad ranem - że chętnie przystałby na to ryzyko, pod warunkiem, że ona by tego chciała. Ale w gruncie rzeczy o to właśnie jej chodziło. Tak naprawdę nie mówiła mu, że mógłby być zawiedziony, tylko że byłby, niezależnie od jego wewnętrznego przekonania, że byłoby wręcz

287

przeciwnie. Nie tyle więc dała mu wybór, poparty poważnym ostrzeżeniem, ile stwierdziła pewien fakt, uczyniwszy to w sposób delikatny i pełen czułości.

Czy to możliwe, by miała rację? Usiłując rozstrzygnąć tę kwestię - a też aby powstrzymać w głowie obraz tego bezustannego wchodzenia na trybuny z Cindy Whiting - spróbował wyobrazić sobie, jak Charlene jedzie za nim swoim rozklekotanym hyundaiem do Empire Grilla, a potem wślizgują się razem przez drzwi na zapleczu i wchodzą po schodach na górę. Ta część była prosta i cudowna w swojej intymnej antycypacji. Nie miał również problemu z wyobrażeniem sobie ich pocałunku w ciemnościach czy ciepłego dotyku ciała Charlene na swoim ciele. Pracowali blisko siebie przez tyle lat, że zdołał poznać jej zapach, wiedział nawet, jakie jest w dotyku jej ciało; był też za mądry na to, żeby zaśmieszać wyobraźnię zbędnymi dialogami. Może Charlene była rozmowna, ale łatwiej mu było wyobrazić sobie jej milczenie niż to, że wypowiada słowa, które tak bardzo pragnął usłyszeć. Ale potem ta scena całkiem się rozpadła. Kiedy doszedł do momentu, w którym miał ją rozebrać, odkrył, że kobieta stojąca przed nim to wcale nie Charlene, tylko Cindy Whiting, i to nie Cindy, taka jaką jest teraz, ale raczej jako młoda dziewczyna, która odnosi się do niego bez należytej rezerwy i szacunku, chociaż on jest już w średnim wieku. „Drogi Milesie - wyszeptwała, jakby chciała go uspokoić, że nie przeszkadza jej, że się postarzał i utył. - Drogi, kochany Milesie”.

Tym sposobem powrócił do poprzedniej sceny i przez kolejną długą godzinę znowu wchodził niestrudzenie na trybuny, a niemożność wyobrażenia sobie tego, czego naprawdę pragnął, przygnębia go jeszcze bardziej niż całe to wchodzenie po schodach. Przynajmniej, pocieszał się, na tym cholernym stadionie byli w ubraniach. W końcu około czwartej zasnął, a budzik zaczął dzwonić o piątej piętnaście. Nieprzytomny z wyczerpania, zbyt wiele czasu zmitrężył pod prysznicem, na próżno usiłując splukać z siebie nieskończenie długą noc, przez co narobił sobie opóźnień, jeszcze zanim otworzył restaurację. Co gorsza, poranny ruch, co do którego miał nadzieję, że będzie niewielki w dniu meczu, okazał się całkiem spory, ludzi było przez cały czas dużo, wszyscy gadali, pełni oczekiwaniami i energii. Ostatnich klientów pozbył się dopiero o jedenastej, ale nie chciał zostawiać bałaganu dla Davida, Charlene i reszty wieczornej zmiany, gdyż wiedział, że i tak będą mieli pełne ręce roboty, kiedy o szóstej znowu otworzą Empire Grilla, tak więc było już po dwunastej, gdy skończył sprzątanie, wpół do pierwszej, gdy powtórnie

wszedł pod prysznic, żeby zmyć zapach smażonej kiełbasy, pierwsza, kiedy zjawiał się po Cindy, i piętnaście po, gdy znalazł miejsce do parkowania w bocznej uliczce, przylegającej do stadionu Empire Field, a dwadzieścia pięć po, kiedy zaczęli się wspinać w górę między rzędami zimnych metalowych ławek na trybunach, po stronie drużyny gości, w jedynym sektorze, gdzie jeszcze były wolne miejsca, w dodatku prawie na samej górze. O wpół do drugiej, dokładnie w chwili gdy zawodnicy Empire Falls wybili otwierającą piłkę, oni nareszcie zakończyli tę mozolną wspinaczkę, którą Miles rozpoczął dwanaście godzin wcześniej. Cindy zostawiła swój balkonik w domu, zadowolając się mocną laską do podparcia z jednej strony i mocnym Milesem Roby z drugiej. W chwili gdy Miles spojrział ze złością na kobietę w górnym rzędzie, zmuszając ją, żeby się przesunęła dalej, tak by on i Cindy mogli usiąść z brzegu, Empire Falls już przegrywało 0:7 do Fairhaven, które odebrało wykop rywali i od razu zakończyło go przyłożeniem. Miles usiadł na ławce spocony i wyczerpany.

- Och, Miles, popatrz! - zawołała Cindy. Z góry, tam gdzie siedzieli, mieli rozległy widok aż po rzekę. Był pierwszy weekend października, powietrze było rześkie, liście na drzewach zaczęły się już przebarwiać, w rzece Knox mienił się błękit nieba. Empire Falls wyglądało, jakby w nocy dokonano podmiany na jego lepszą wersję. Cindy wzięła go pod ramię, przyciskając ciepłą pierś do jego łokcia, aż Miles, po zbyt wielu miesiącach abstenencji, poczuł podniecenie, które za wszelką cenę starał się zignorować.

- Wiesz, co mi się teraz przypomniało? - spytała. Pytanie wprawilo go w chwilowe zakłopotanie. O czym znowu zapomnieli? O popcornie? Słodyczkach? Na litość boską, przecież dopiero co usiedli. - Przypomniały mi się czasy, kiedy byłam uczennicą.

Miles zrozumiał, co miała na myśli. On też by wołał, żeby była młodą dziewczyną, zwłaszcza gdyby to oznaczało, że on jest młodym chłopakiem.

- Szkoda, że za całe towarzystwo masz tylko męzczyznę w średnim wieku.

Niestety, żarty nigdy nie robiły specjalnego wrażenia na Cindy Whiting. Obiema rękami ścisnęła mu biceps lewego ramienia i zawołała z przejęciem:

- Och, drogi Milesie - dokładnie tak samo, jak zeszłej nocy w jego majakach sennych. - Nie ma na świecie nikogo, z kim teraz wolałabym być - i mówiąc to, podciągnęła się na ramieniu Milesa w górę i złożyła wilgotny



pocałunek na jego policzku. Pocałunek trwał tak długo, póki nie został przerwany przez odgłos uderzenia, jaki wydała jej laska, która zsunęła się pomiędzy metalowe ławki, po czym spadła na ziemię poniżej trybun. - Och, do diaska - zawołała wesoło. - Widzisz, jakie są skutki namiętności?

- Ot, takie - rzekł, pokazując jej miejsce, gdzie Timmy ugryzła go pół godziny wcześniej. - Takie są skutki namiętności. - Ślady po kocich kłach były wciąż widoczne, dwie małe białe plamki. Widok rany przypomniawszy mu teraz, jak się wtedy poczuł - jakby go ukąsił wąż. W ciągu paru minut cała dłoń mu napuchła jak rękawica baseballowa, chociaż teraz opuchlizna nieco już zmalowała.

- Biedny Miles - powiedziała jego towarzyszyca, gładząc delikatnie ranę wierzchem palców. - Czy to cię bardzo boli?

- Nie - odparł, odsuwając gwałtownie rękę i pocierając nią z całej siły o sztruksowe spodnie. - Tylko swędzi jak cholera.

Nagle uświadomił sobie, co mu to przypomina. Pamięć przywołała tamtą wysypkę, jakiej nabawił się przed laty na Martha's Vineyard od poparzenia sumakiem trującym, i na to wspomnienie znowu zaczęło go swędzieć, gorzej niż przedtem.

- Przestań, głuptasie, napuchnie ci jeszcze bardziej.

- A co mi tam - odpowiedział lekceważąco Miles, teraz już drapiąc się mocno paznokciami. Ale prawdę mówiąc, przejmował się. Gorąco liczył na to, że opuchlizna zejdzie mu do wieczora, bo za nic nie chciał się przyznać bratu, że po raz kolejny wrócił od pani Whiting poraniony. Aż trudno było uwierzyć, że temu zwierzakowi znowu udało się go zaskoczyć. Przez cały czas Miles miał się na bacności; przestał uważać dosłownie przed samym wyjściem. Cindy poprosiła go, żeby podał jej szal wiszący w szafie w hallu, do której drzwi były uchylone. Sięgając do środka, Miles patrzył na szal, zawieszony na haczyku nad rzędem półek, i tylko kątem oka uchwycił szybki ruch, jednak zbyt późno, by cofnąć rękę.

- Widzisz, co narobiłeś? - zauważyła Cindy, gdy przestał się drapać. - Teraz jest jeszcze gorzej.

- Ale za to czuję się lepiej - skłamał Miles, jednocześnie myśląc, że gdyby miał pod ręką skalpel, ulżyłby sobie jeszcze bardziej. - Jeśli się okaże, że muszą mi dać zastrzyk przeciwtężcowy, to wyślę rachunek twojej matce.

Jedna tylko rzecz była dobra w tej całej wizycie w hacjendzie. Ponieważ pani Whiting wyjechała - do Bostonu, tak powiedziała Cindy - David nie mógł mieć do niego pretensji, że nie poruszył kwestii licencji.

- Nigdy nie zgadniesz, gdzie znalazłam tę małą diabolicę w zeszłym tygodniu - powiedziała Cindy, mając na myśli koteczkę Timmy. - Po-przedniego dnia gdzieś nam zniknęła, a kiedy pojechałam na cmentarz, wyobraź sobie, nagle patrzę, a na grobie taty siedzi nasza kotka.

Miles zmarszczył czoło. Co ona sobie wyobraża, że on uwierzy w takie bajdy?

- Naturalnie zabierałam ją tam już wcześniej, tak więc wiedziała, który to grób. Nie wierzysz mi, prawda? Widzę to po tobie.

W gruncie rzeczy Miles nie miał pewności, w co trudniej mu uwierzyć: w to, że kot z własnej woli odwiedził grób C. B. Whitinga, czy też że Cindy to uczyniła. Znał panią Whiting na tyle dobrze, by nie mieć wątpliwości, że nigdy nie oddawała czi człowiekowi, którego pamięć starała się wymazać wszelkimi sposobami, co oznaczało, że jej córka musiałaby odbyć taką wyprawę na cmentarz na własną rękę. Miles nie mógł się oprzeć uczuciu podziwu, jeśli już nie dla motywacji, to dla podjętego wysiłku. On sam odwiedził grób swojej matki zaledwie raz i doświadczenie to niezbyt go poruszyło, chyba że jako okazja do melodramatu. No, bo niby czego oczekiwano od człowieka, który stoi u stóp czyjegoś grobu? Że będzie prowadził konwersację z kamieniem nagrobnym? Że zasadzi tam jakieś kwiatki? Czuł się bardziej oddalony od swej matki, stojąc nad jej grobem, niż kiedy pochylał się nad patelnię w kuchni w Empire Grillu lub kiedy przejeżdżał obok starej fabryki koszul czy też gdy klęczał w jej ulubionej ławce u św. Katarzyny. Nawet w hacjendzie Whitingów, gdzie ostatecznie umarła, postać matki zjawiała się jak na zawołanie, przez co wydawała się o wiele bardziej realna. Odwiedzanie jej grobu urosło do swego rodzaju przymusu, dlatego wcale go nie zdziwiło, że nic tam nie poczuł. Kiedyś poprzysiągł sobie, że jeśliby miało się okazać, iż istnieje życie po śmierci, to on na pewno nie będzie czekał na czyjeś odwiedziny, leżąc w swojej dziurze w ziemi.

- Zaniósłam kwiaty również na grób twojej mamy - ciągnęła Cindy. - Zawsze to robię. Wiedziałaś o tym, Miles?

- Nie, nie wiedziałem - przyznał Miles, udając zainteresowanie tym, co dzieje się na boisku poniżej.

- To straszne, co powiem, ale była mi o wiele droższa niż moja własna matka. Kiedy zachorowała, a ciebie nie było...

Miles zerwał się z ławki.

- Lepiej pójde na dół po twoją łaskę, zanim ktoś inny ją znajdzie i podwędzi.

Spojrzała na niego wilgotnymi oczyma.

- Nikt nie będzie kradł laski, Miles. - Po czym, gdy zauważyła jego zdenerwowanie, dodała: - Och, wybacz, tak mi przykro. Jest taki piękny dzień, nie miałam zamiaru sprawiać ci bólu...

- Nie sprawiłaś - zapewnił ją. - Zaraz wracam.

- W takim razie czekam tu i nigdzie się nie ruszam - rzekła, z tym swoim autoironicznym uśmiechem, jak za dawnych młodzieńczych lat.

W chwili, gdy dotarł na sam dół, na trybunach podniosła się wrzawa i Miles zobaczył, że Fairhaven zaliczyło kolejne przyłożenie. Gdy wrzawa ucichła, usłyszał, że ktoś woła go po imieniu. Okazało się, że to Otto Meyer jr, który stał nieopodal, oparty o ogrodzenie z drucianej siatki. Otto należał do tego rodzaju mężczyzn, którzy jako dorośli ludzie jakimś cudem wyglądali dokładnie tak samo jak kiedyś w chłopięctwie, i Miles nigdy nie mógł, patrząc na niego, nie widzieć w nim jednocześnie tamtego dziewięciolatka, którego zapamiętał stojącego samotnie pośrodku pola na mecie miotacza. Ojciec Ottona był pewnym siebie lokalnym agentem od ubezpieczeń na życie i jego poczucie własnej ważności wymagało, aby syn (i imiennik) był miotaczem drużyny baseballowej, mimo że trener LaSalle widział w chłopcu urodzonego łapacza. Urodzonego rezerwowego łapacza (którym chłopak ostatecznie został w szkole średniej). Ale na razie Otto Meyer senior był nieugięty, i tak z jego syna zrobiono miotacza, chociaż pan LaSalle nie chciał go wystawiać w meczach, w których wynik nie był jeszcze przesądzony, a jeśli już go wysyłał na boisko, to w samej końcówce, przy zdecydowanym prowadzeniu, powiedzmy, siedmiu czy ośmiu obiegów. Trzeba przyznać, że Otto Meyer jr dawał z siebie wszystko podczas tamtych meczów, nawet jeśli musiał stanąć twarzą w twarz z co najmniej szóstką pałkarzy, żeby w końcu wykonać prawidłowy narzut. Najgorsze było to, że siedząc na ławce, biedak nieraz musiał wysłuchiwać pohukiwań ojca, który dopóty grzmiał z górnych ławek, dopóki trener ostatecznie nie ustąpił i nie wysłał Ottona na boisko. Mimo że staruszkowi zmarło się na zator przed blisko dziesięcioma laty, Otto wciąż miał wygląd zahukanego chłopca. Jego syn, David, też był w drużynie futbolowej i Meyer bywał na wszystkich meczach, nawet tych wyjazdowych. Nigdy jednak nie krzyczał na syna, ani dla zachęty, ani dla krytyki. Więcej - nawet nie siadał w ławkach na trybunie, tylko przemieszczał się od jednego końca boiska do drugiego, od jednego strefy przyłożenia do drugiej. Kiedyś Miles zapytał go, dlaczego tak się zachowuje, chciał się przekonać, czy Otto robi to świadomie, a on odpowiedział, że tak się denerwuje, że nie może usiedzieć na jednym miejscu.

Ale Miles wiedział swoje. To, że Otto był w jakimś sensie niewidzialny, było dobrodziejstwem, dzięki któremu jego syn mógł całą uwagę skupić na grze.

- Cześć, Meyer - przywitał się Miles i dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Przed chwilą widziałem twoją Tick po drugiej stronie na trybunach. Mówiła ci o swoim obrazie?

Miles czym prędzej odtworzył w myślach kilka ostatnich rozmów.

- Nie, chyba nie.

- Został wybrany jako jeden z dwóch ze wszystkich drugich klas na międzyszkolną wystawę sztuki.

- Doris Roderigue wybrała jakąś pracę Tick?

Meyer parsknął śmiechem.

- Nie bądź idiotą. Zaprosiłem takiego jednego profesora z college'u, żeby wybrał prace. Tick nic ci nie wspominała?

Miles potrząsnął przecząco głową, zażenowany, urażony i dumny zarazem. Dopiero teraz zrozumiał, że ich wakacje stanowiły jedynie krótki okres „głośności”, podczas którego Tick ofiarowała mu kilka osobistych zwierzeń, ale były to takie same rutynowe zwierzenia, jakimi zbywała go jako dziecko. Miał nadzieję, że ta otwartość będzie trwała nadal, ale teraz, zaledwie w miesiąc od rozpoczęcia nowego roku szkolnego, jego córka stawiała się znowu daleka i zamknięta. Zresztą pewnie była to jego wina, przynajmniej częściowo. Widać na początku tygodnia zbyt ostro zaznaczył swoje obiekcje w stosunku do młodego Minty'ego i w rezultacie Tick nabrała teraz jeszcze większej niechęci, żeby się z ojcem dzielić tym, co czuło jej serce.

- Ostatnio - popatrzył na Ottona - wydaje mi się, jakby się chowała gdzieś, gdzie nie mogę jej znaleźć. Jedyne sposoby, żeby móc się czegoś dowiedzieć, to system pytanie-odpowiedź albo krzyżowy ogień pytań. Ale swojej matce mówi jeszcze mniej.

- Jest już w liceum, Miles. W tym wieku wszyscy oni stają się mało komunikatywni.

Zamilkli, obserwując zaciętą grę, po czym Miles powiedział:

- Myślę, że po naszym rozwodzie doszła do wniosku, że żadne z nas nie jest godne zaufania. Zresztą może ma rację.

- Nie wydaje mi się, żeby o to szło. Tick jest wspaniałą dziewczyną. Po prostu wiedziała, że i tak w końcu się dowiesz.

- Tak myślisz?

- Prawdę mówiąc - zwierzył się Meyer - obawiam się, że popełniłem błąd,

obciążając ją parę tygodni temu zbyt trudnym zadaniem. Do dziś tego żałuję.

- Chodzi ci o tego chłopaka, Vossa? Meyer pokiwał głową, z miną winowajcy.

- Mówiła ci coś?

- Oczywiście, że nie.

- Słyszałem, że dałeś mu pracę. To było bardzo w porządku z twojej strony, Miles. Chłopak ma duże trudności.

- Trudności? Jakiego rodzaju? - spytał Miles, któremu nagle przypomniała się tajemnicza przestroga Horacego.

- Z jakiegoś powodu młodzież uwzięła się na niego i strasznie mu dokucają. Sam chciałbym wiedzieć więcej. O ile wiem, rodzice go porzucili. Mieszka ze swoją babką za miastem, przy starej szosie do Fairhaven.

- Tak, wiem, podwoziłem go tam wczoraj wieczorem - rzekł Miles, jednocześnie rozmyślając o tym, jak tam było dziwnie. Te wygaszone światła w całym domu i ani śladu żywego ducha.

- Tak się składa, że to on jest tą drugą osobą, której praca została wybrana na wystawę.

Miles pokiwał głową, czując coś na kształt lęku. Poprzedniego wieczoru w restauracji odczuwał taki sam niepokój, jak również niechęć do tego, by jego córka w jakikolwiek sposób była powiązana z owym nieszczęsnym stworzeniem. A teraz, proszę, stoi tu i ma za złe, że obraz chłopaka będzie wisiał obok pracy Tick na międzyszkolnej wystawie plastycznej. To nie jest w porządku. A nawet jeszcze gorzej - to dowód załamania się fundamentalnego odruchu miłosierdzia. Miles mógł niemal wyczuć w tej chwili obecność matki u swego boku, nie musiał chodzić na cmentarz.

- Wydaje mi się, że ten chłopiec dobrze pracuje - przyznał Miles sprawiedliwie. - Wprawdzie nie potrafię go zmusić, żeby wydusił z siebie choćby dwa marne słowa, ale już Charlene nad nim popracuje.

- Ja zawsze mam kłopot z wysłowieniem się, kiedy Charlene jest w pobliżu - uśmiechnął się Meyer. - Tak na mnie działa, że zaczynam się ją-ją-jąkać.

Miles też się uśmiechnął, bo przypomniało mu się, jak w ostatniej klasie gimnazjum zwierzył się w końcu Meyerowi, że kocha się w Charlene, a ten nieśmiało przyznał, że on również, co wyjaśniało, dlaczego zawsze tak chętnie towarzyszył Milesowi w jego wyprawach do Empire Grilla, który był zdecydowanie nieodpowiednim miejscem, żeby po szkole chodzić tam na

coca-colę. Podobnie i teraz było coś wzruszającego w tym wyznaniu starego przyjaciela. Meyer miał, o ile Miles wiedział, udane małżeństwo. Tak jak Miles, opuścił Empire Falls jedynie na krótko, w młodości na czas studiów w college'u i jeszcze kilka lat później, żeby dokończyć studia na uniwersytecie, co oznaczało, że Meyer także dźwigał na swoich barkach ciężar czyichś niespełnionych oczekiwań - Meyer Parówka, wołano na niego w dzieciństwie. Skończyć jako dyrektor szkoły średniej znaczyło tyle, co potwierdzić najgorsze przypuszczenia swych kolegów z klasy.

- Trochę szkoda, że rywalizacja zaczyna się w tym sezonie tak prędko - zauważył teraz Otto.

Miles pokiwał głową bez przekonania.

- A ja myślałem, że rywalizacja jest wtedy, gdy ty wygrywasz trochę i oni trochę.

Fairhaven wygrało chyba z dziesięć ostatnich meczów. Obie szkoły bardzo ubolewały z powodu ich zmniejszającego się udziału w rozgrywkach stanowych w ciągu ostatniego dwudziestolecia, ale upadek Empire Falls był znacznie poważniejszy, jako że w swojej klasie zdołali już spaść nie tylko z potrójnego A do podwójnego A, ale wszystko wskazywało na to, że wkrótce spadną jeszcze niżej, tym razem do klasy B. Fairhaven, bardziej stabilne jako miasto, dzięki temu że miało college i parę pomniejszych zakładów, które jeszcze jakoś utrzymywały się na rynku, zachowało wprawdzie Empire Falls w swoim kalendarzu imprez, ale nalegało, aby ich mecz odbył się wcześniej, na samym początku sezonu, by niejako posłużyć jako przygrywka do ważniejszych zawodów. Dla Empire Falls - które było w sytuacji porzuczonego kochanka - był to nadal „ważny mecz”.

Otto Meyer jr pokiwał głową, obserwując, jak Empire Falls kończy naradę w „kupie” i rozbiega się, żeby ustawić się na linii wznowienia.

- Nic z tego nie rozumiem - przyznał. - Nasi chłopcy są po prostu zbyt wyrośnięci, za słabi i za głupi, skoro rok w rok dają się tak bezwolnie popychać jak teraz.

Kiedy to mówił, na trybunach podniósł się kolejny wrzask. Fairhaven przejęło źle wysnapaną piłkę i znowu ruszyło do ataku.

- Do diabła - zaklął Meyer, potrząsając głową. - Zaraz, zaraz, a skoro mowa o przepychankach, czy będziesz tak uprzejmy i wejdiesz znowu do rady szkoły? Ci piekielni fundamentaliści doprowadzą do wycofania z biblioteki wszystkich książek, które warte są przeczytania, jeśli ktoś mi nie pomoże. Sam rozumiesz, że nie powinieneś zwać na nas Żydów całej walki

o słuszną sprawę. To jest stan Maine, tutaj nie ma nas wystarczająco dużo, byśmy mogli się wszystkim zająć. Nie mówiąc już o tym, że niektórzy z twoich są gorsi niż zaklinacze węży.

To rzeczywiście było zgodne z prawdą. Miles musiał przyznać, acz niechętnie, że wielu katolików faktycznie próbowało przelicytować osobą Jezusa swoich ewangelickich braci, chociaż lubił myśleć, że katolicy z Sacré-Coeur byli do tego bardziej skłonni niż ci od Świętej Katarzyny.

- Zastanowię się - obiecał Miles. - Chociaż po ostatniej kadencji poprzysiągłem sobie, że już nigdy więcej...

- O, Boże - jęknął Meyer. - Tylko posłuchaj, o czym my mówimy. O cholernej radzie szkoły. A tak niedawno sami byliśmy tam uczniami.

- Do zobaczenia, Meyer - powiedział Miles. - Chciałbym jeszcze pogadać, ale widzisz, tak się składa, że mojej „randce” spadła laska pod ławkę.

Jego słowa wywołały szeroki uśmiech.

- Tak myślałem, że to Cindy Whiting, kiedy was zobaczyłem. Chcesz znać prawdę? Szczerze się zdziwiłem, widząc, że zrobiła się z niej taka atrakcyjna kobieta.

Miles nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Meyer był chyba najsympatyczniejszym facetem, jakiego znał, a to był jego sposób, żeby delikatnie napomknąć Milesowi, że jeśli rozważy możliwość poślubienia tej fortuny, to on nie ma nic przeciwko temu. I jak już nieraz się zdarzało, gdy przypadkiem spotykał Meyera, tak i tym razem Miles nie mógł się nadziwić, dlaczego przez te wszystkie lata nie byli lepszymi przyjaciółmi. Ich wzajemne przywiązanie nie zmniejszyło się, odkąd byli chłopcami; i Miles często myślał, że Meyer byłby wiernym i pożytecznym przyjacielem. Doszedł do wniosku, iż jedną z najdziwniejszych rzeczy, jeśli chodzi o wiek średni, jest to, że człowiek dopiero po czasie odkrywa, jak różne dziwne decyzje podjął tylko w ten sposób, że ich po prostu nie podjął, na przykład to, że przez zwykłe zaniechanie bliskie przyjaźnie się rozluźniły, a przyjaciele odeszli.

Gdy Miles znalazł się pod trybunami, nie mógł przez chwilę zlokalizować właściwego sektora ławek. Z ziemi unosił się zapaszek, jakby liczne pokolenia starych wiarusów, dzielnie kibicujących szkolnemu futbolowi, po kryjomu opróżniały woreczki do kału ze swoich sztucznych odbytów wprost pod siedzenia poniżej. Zebrało mu się na mdłości, nim wreszcie zdołał znaleźć łaskę, w nieprawdopodobny sposób opartą o jeden z metalowych słupów. Czyżby ktoś ją tak postawił? Czy to możliwe, by wylądowała w takiej pozycji? Oparłszy stopę o rozwidlenie podpory jednego ze słupów i podciągając się

do góry, Miles wspiął się na tyle wysoko, że mógł postukać w spód ławki, na której siedziała Cindy. Kiedy nachyliła się, żeby odebrać laskę, ujrzał jej twarz. Była tak pełna nadziei i radości, że Miles omal nie poddał się impulsowi, żeby pozostać tam, gdzie był. Albo, jeszcze lepiej, żeby umknąć, gdzie pieprz rośnie. Po meczu ktoś by ją na pewno zobaczył, siedzącą samotnie na najwyższej ławce w sektorze dla kibiców gości, i odwiozłby do domu.

Wracając na górę z dwiema butelkami coca-coli w ręku, Miles stwierdził, że jego modlitwa, aby ktoś zauważył obecność Cindy Whiting, została wysłuchana, tyle że w taki sposób, w jaki Bóg nieraz odpowiada na nasze prośby, jeśli nie są dość precyzyjnie sformułowane. Obok Cindy siedział Jimmy Minty we własnej osobie. Oboje pomachali rękami na jego widok, obserwując, jak Miles wchodzi po schodach. On tymczasem zbliżał się do nich, usiłując zapanować nad sobą, gdyż przypomniało mu się, co poprzedniego wieczoru opowiadał David, że Jimmy Minty obserwuje ich restaurację.

- Jak to się stało, że „siadliście” akurat w tych ławkach po niewłaściwej stronie? - chciał się koniecznie dowiedzieć Jimmy. Był w cywilnym ubraniu i zrobił gest, jakby zamierzał wymienić uścisk dłoni, chociaż Miles miał obie ręce zajęte butelkami. - Wstydzicie się swojego własnego miasta, czy jak?

- Przyjechaliśmy za późno - wyjaśnił Miles, przechodząc przed policjantem i Cindy, a następnie spoglądając wymownie na tę samą kobietę, która przedtem nie chciała się przesunąć, dopóki znowu nie zrobiła mu miejsca. Fairhaven, jak stwierdził, zdobyło kolejny *field goal*, podnosząc wynik do 17:0. - Nie pozostało nam nic innego, jak znaleźć sobie siedzenia tutaj, w gronie zwycięzców - dodał, lekko akcentując „e” w słowie „siedzenie”.

- Nie powiedziałbym, że mecz jest już przesądzony - odparował Minty szybko. - Mój chłopak jest dziś w grze i idzie mu całkiem nieźle. Nigdy nie widziałem nikogo, kto by się bardziej palił do gry niż on dzisiaj od samego rana.

- Zack jest w drużynie? - spytał Miles.

Na te słowa policjant lekko drgnął. Był niemal pewien, że Miles wie o tym, a skoro tak, to teraz wyraźnie przeciągnął strunę.

- Który to jest? - zaczęła się dopytywać Cindy co zabrzmiało niewinnie i wyrażało szczere zainteresowanie.



Jimmy Minty położył jej dłoń na plecach, jednocześnie pochylając się ku niej, tak by razem mogli podążyć wzrokiem za jego wyciągniętym ramieniem i dalej, wzdłuż wskazującego palca, na końcu którego, na przeciwległym skraju boiska, numer pięćdziesiąt sześć tkwił właśnie w ławce, podczas gdy formacja ataku Empire Falls zastanawiała się, co dalej począć z piłką.

- Na jakiej pozycji gra pański chłopak?

- Jako *linebacker*, panno Whiting - wyjaśnił, z ręką wciąż spoczywającą między jej łopatkami. - To znaczy, że jest w obronie. I z tego powodu „siadnął se” tam teraz na ławce. On ma inne zadania. Nadzoruje pole za linią wznowienia. Przechwytuje przeciwnika z piłką. Oslania rozgrywającego *quarterbacka*, kiedy ten odbiera wysnapaną piłkę i rzuca ją do przodu. Trzeba mieć sporo sprytu, żeby być *linebackerem* i spodziewam się, że chłopak wzbudzi zainteresowanie, jak będzie dalej tak świetnie sobie radził. Mam na myśli zainteresowanie ze strony jakiegoś *college'u* naturalnie. Nie jest dość wyrosnięty, żeby grać zawodowo, ale ja tam nie chcę, żeby napychał się sterydami. Powiedziałem mu, że jeśli kiedyś nakryję go na łykaniu czegokolwiek, czego nie można dostać w każdej aptece, to skopię mu tyłek, jak pierwszemu lepszemu *gówniarzowi*, przyłapanemu na posiadaniu kilograma kokainy.

- Nie wiedziałem, że kokę sprzedają na kilogramy - zauważył Miles.

- Nieważne, na co ją sprzedają - zgodził się Minty. - Zero tolerancji, oto moja zasada.

- Jak to się stało, że nie jesteś dziś na służbie w czasie takiego meczu?

- Masz na myśli w mundurze? Widzisz, Miles, nie zajmuję się już nadzorowaniem tłumów. Większość tych facetów, których widziałeś dziś na bramkach, i tych, którzy pilnują parkingów, to chłopaki wynajęte z firmy ochroniarskiej. - Wyjął z kieszeni sportowej kurtki zgrabne walkie-talkie, żeby im pokazać. - Mimo to ja też jestem na służbie. Żadna próba wzniecenia niepokoju podczas meczu Empire Falls-Fairhaven nie ujdzie na sucho.

Niepokoje? Miles uśmiechnął się, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz słyszał to określenie. Trzeba przyznać, że jak już się zapanowało nad odruchem zamordowania Jimmy'ego Minty, to można było dojść do wniosku, że jest całkiem zabawny, no, chyba że ktoś nie lubił takich niezamierzonych dowcipów.

- Ten sektor wydaje się całkiem prawomyślny - zauważył Miles. - Ale obiecuję, że dam ci znać natychmiast, jak tylko zaczniesz się tu jakaś rozróżba.

Jimmy Minty zaśmiał się nieprzyjemnie, pewien, że ktoś tu sobie stroi z niego żarty.

- Albo tak, albo może sam postarasz się przywrócić porządek publiczny, co? - szturchnął Cindy łokciem, tym samym jakby włączając ją do żartu. - Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby to zobaczyć na własne oczy, co pani na to, panno Whiting? Nasz staruszek Miles w akcji, zażegnujący awanturę...

Tymczasem poniżej, *punter* Empire Fallsów ponownie wbiegał na boisko.

- Cholera - zaklął Minty. - Jeszcze trzy takie nieudane próby i będzie po nas. Nasza obrona nie wytrzyma takiego tempa do końca pierwszej połowy, chłopaki padną jak kawki.

Było to charakterystyczne dla drużyny Empire Falls, że najlepiej wychodziły im kopnięcia z powietrza, i teraz chłopak, który przez cały mecz był głównym kopaczem, skorzystał z okazji, żeby wykonać strzał, który poszybował dobre pięćdziesiąt metrów w powietrzu. Na nieszczęście piłka wylądowała wprost w ramionach *punt-returnera* drużyny Fairhaven, zanim jeszcze pierwsi zawodnicy Empire Fallsów zdążyli przebiec więcej niż dwadzieścia metrów w kierunku pola przeciwnika, dlatego nie dobiegli nawet do zawodnika trzymającego piłkę, a już musieli znowu zawrócić, gdyż on właśnie mijał ich sprintem, pędząc w kierunku ich własnego pola, a tymczasem oni jeszcze musieli pozbyć się blokujących ich przeciwników. W końcu, już na trzydziestym metrze na połowie Empire Fallsów, temu samemu kopaczowi, który tak dobrze wybił piłkę, udało się dopaść *punt-returnera* przeciwników i zepchnąć go za linię pola gry, i zmęczona obrona po raz kolejny wbiegła na boisko, wraz z Zackiem Miny, który zagrzewał do walki swoich kolegów, poklepując ich po hełmach i wykrzykując komendy w oczekiwaniu, aż formacja ataku Fairhaven zakończy swoją naradę w „kupie” i rozstawi się na linii wznowienia.

Jimmy Minty ponownie położył dłoń na plecach Cindy Whiting, wskazując w dół na boisko.

- Tam jest mój chłopak - zawołał. - No, teraz jesteśmy na obronie. Przejęli piłkę.

*Quarterback* z Fairhaven, niewątpliwie węsząc zapach krwi w powietrzu, odebrał wysnapaną piłkę, następnie wycofał się parę kroków do „kieszeni” i poszukał wzrokiem ich skrzydłowego, który nadbiegał właśnie wzdłuż linii bocznej boiska. Podanie, jakie wykonał do skrzydłowego, było przepiękne, piłka poszybowała wysokim, spiralnym łukiem, tak że dosłownie

wszyscy, nie wyłączając sędziów, odwrócili się, podążając za jej lotem. Jednakże Miles zobaczył to samo, co Jimmy Minty. Numer pięćdziesiąt sześć z drużyny Empire Fallsów dobrą chwilę po tym, jak piłka oderwała się od dłoni quarterbacka, wbił w jego nerkę najpierw swój hełm, a zaraz potem naramiennik. Następnie zacisnął ramiona wokół jego ud, uniósł chłopaka w powietrze i cisnął na trawę z taką siłą, że jego głowa dwukrotnie uderzyła o ziemię. Starszy Minty zerwał się na równe nogi.

- Taaak! - wrzasnął, potrząsając pięścią w powietrzu. - O, tak właśnie! Widzieliście, jak go trafił? - wymachiwał w tamtą stronę podniecony. Tymczasem Cindy, która, jak Miles doskonale pamiętał z dawnych czasów, nigdy nie należała do osób bystrych, pomimo usilnych nalegań Jimmy'ego Minty nadal podążała za lotem piłki, ociągając się z odwróceniem wzroku we wskazanym kierunku.

Zack Minty był już z powrotem na nogach i szybko kierował się na środek pola, podczas gdy *quarterback* wciąż leżał rozciągnięty bez ruchu na murawie, albo ranny, albo świdomy, że jego usługi akurat w tym momencie nie były już potrzebne, zważywszy, że piłkę przekazał celnie skrzydłowemu, który zdołał zaliczyć kolejne przyłożenie. Trener drużyny Fairhaven również zauważył spóźniony atak na swojego zawodnika, dlatego wypadł teraz na boisko, wskazując to na quarterbacka, to znów na Zacka Minty, który stał z rękami na biodrach i potrząsając głową, obserwował radość na trybunach po stronie gości. Jeden z sędziów bocznych, stojący najdalej, także wbiegł na boisko, kiwając głową i wskazując na numer 56. Sędziowie odbyli krótką naradę, po której sędzia główny wyciągnął żółtą chorągiewkę i rzucił ją Minty'emu pod nogi.

- Och, no nie, niech sędzia da mu grać! - wrzasnął Jimmy Minty, wyrażając stanowisko niepopularne po tej stronie trybuny. - To nie badminton!

- Czy ten chłopiec jest ranny? - spytała Cindy, jako że *quarterback* nadal się nie poruszał.

- Ależ skąd, tylko mu w uszach zadzwoniło, to wszystko - zapewnił ją Minty. - „Siadnie se” na chwilkę, to mu przejdzie. Zaraz się pozbiera.

Wiwaty umilkły i obecnie tłum skoncentrował uwagę na rannym *quarterbacku*. Po dobrej minucie zdołał usiąść, a wreszcie chwiejnie stanąć na nogi, opierając się na ramionach swojego trenera i kolegi z drużyny. Gdy cała trójka ruszyła w stronę linii bocznej, nieoczekiwanie numer pięćdziesiąt sześć podbiegł do nich i zaczął nalegać, żeby mu pozwolono zająć miejsce asystującego piłkarza. Trener z Fairhaven zrobił minę, jakby miał

zaoponować, ale ostatecznie pozwolił, by Zack Minty zarzucił sobie na naramiennik ramię słaniającego się quarterbacka i pomógł wyprowadzić go z boiska.

Na widok tej sceny oczy Jimmy'ego Minty zaszkliły się od łez.

- No, no, to dopiero zachowanie pierwsza klasa - zawołał, wskazując głową rozgrywającą się na boisku scenę. - Oto dlaczego warto mieć dzieci, co, stary?

Miles również był poruszony tym, co zobaczył, aczkolwiek nie podzielał uczuć Jimmy'ego. Z chwilą gdy rannego chłopaka usadowiono bezpiecznie na ławce, rozległ się szmer grzecznościowego aplauzu, a kiedy Zack Minty wbiegał z powrotem na murawę, powitała go burza grzmiących oklasków.

- Tak to jest w futbolu, tutaj fortuna piłką się toczy - zwrócił się Jimmy Minty do Cindy, z dłońmi złożonymi w trąbkę przy jej uchu, żeby dobrze usłyszała i zrozumiała to, co koniecznie chciał jej przekazać pośród ogólnej wrzawy.

Zdaniem Milesa jednak ten rodzaj uderzeń wprawiał w ruch znacznie więcej niż tylko piłki futbolowe i nagle dalsza obecność policjanta wydała mu się nie do zniesienia.

- Czy jest coś, o czym chciałeś ze mną pogadać, Jimmy? Czy może przyszedłeś tu na górę, bo wykończyło cię przywracanie porządku publicznego i szukałeś miejsca, gdzie mógłbyś „se siadnąć”, żeby dojść do siebie, co?

Tym razem Cindy Whiting zareagowała pierwsza. Odwróciła się w jego stronę i zamrugała oczami, najwyraźniej niemile zdziwiona, że słyszy zdania żywcem wzięte z Jimmy'ego Minty, wypowiedane ustami Milesa Roby'ego. Minty również wszystko słyszał - Miles miał co do tego absolutną pewność - ale jeszcze przez dłuższą chwilę wpatrywał się w boisko poniżej, nim odwrócił się w jego stronę. Miles spostrzegł, że uczucie, jakie wezbrało w nim na widok „sportowego zachowania” syna, zdążyło już całkowicie z niego wyparować. Spoglądał teraz twardym, tępyim wzrokiem.

- Przepraszam w imieniu pani przyjaciela, panno Whiting - rzekł, odwracając się z powrotem do Cindy. - Widzi pani, Miles i ja znamy się całe wieki, ale z jakiegoś powodu nasza dawna przyjaźń go krępuje. Zawsze czuje się lepiej, jak sobie raz czy dwa zażartuje moim kosztem. Nie żeby mi to przeszkadzało, w każdym razie nie kiedy to są jeden czy dwa drobne żarty. Domyślałem się, że człowiek, który wyjeżdża do college'u i wraca stamtąd z dyplomem w kieszeni w pełni zasługuje sobie na to prawo. I myślę, że jestem

już dość dorosły, żeby przyjąć ze spokojem drobne impertynencje, o ile, naturalnie, nie posuwają się one za daleko. Miles już otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale zaraz je zamknął z powrotem. Zbyt wiele kłamliwych słów tu padło, by odpowiadać na którekolwiek z nich, choć oczywiście było jasne, że dla takiego człowieka jak Jimmy Minty odróżnienie fałszywych uczuć od prawdziwych, które płynęły prosto z serca, było zwyczajnie niemożliwe. Tak więc Miles zadowolił się, wprowadzając korektę wyłącznie co do jednego faktu.

- Nigdy nie zrobiłem żadnego dyplomu, Jimmy.

- Rzeczywiście, nie zrobiłeś - przyznał ochoczo Minty, co mogło sugerować, że Miles wpadł w zastawioną na niego pułapkę, gdyby naturalnie Jimmy Minty był dość sprytny, by umieć takową zastawić. Szkoda, że nie ma tu z nimi Maxa, pomyślał Miles. Była to sytuacja w sam raz dla niego. Zaraz by zadał jakieś niewinne pytanko w stylu, czy każdy w policji otrzymuje ostrą amunicję, czy może idiotom wydaje się tylko ślepe naboje. A swoją drogą, zastanowił się Miles, ciekawe, gdzie w tej chwili podziewa się Max. To było całkiem niepodobne do jego ojca, żeby opuścić mecz grany na własnym boisku. Zwykle przy tego typu okazjach zachowywał się jak kieszonkowiec, którym w pewnym sensie był, łapiąc za guzik każdego, na kogo się natknął.

- Proszę przekazać moje uszanowanie pańskiej matce, panno Whiting - rzekł Minty, zanim ponownie zwrócił się do Milesa. - Naprawdę chcesz wiedzieć, dlaczego tu do ciebie zaszedłem? Ano dlatego, żeby ci powiedzieć, że wyjaśniliśmy już sobie wszystkie sprawy z twoim bratem, tak więc nie musisz się o nic martwić. I jeszcze po to, żeby ci powiedzieć, że nie żywię do ciebie o nic urazy. Wiem, że byłeś na mnie wściekły w zeszłym tygodniu, a ja za nic nie chciałem nieporozumień między starymi przyjaciółmi. Ponieważ kiedyś nimi byliśmy, Miles. Przyjaciółmi. Nic to, dawne czasy. Może już nimi nie jesteśmy, ale to z twojego powodu, a nie przeze mnie. Nie chcesz, żebyśmy się przyjaźnili, w porządku. Ale powiem ci jedną rzecz. Na pewno nie chcesz też, żeby Jimmy Minty był twoim wrogiem.

W tej chwili nad boiskiem podniosła się wrzawa i odwróciwszy się, Miles spostrzegł, jak Zack Minty wyłania się ze stosu leżących ciał i trzymając piłkę obiema rękami wysoko w górze, zwraca się najpierw ku trybunie po stronie połowy Empire Falls, a następnie w stronę kibiców Fairhaven z gestem mówiącym „pocałujcie mnie”, który wprawił miejscowych kibiców w jeszcze większą euforię. Wyglądało na to, że chłopak wiedział dokładnie,

gdzie znajduje się jego ojciec, a kiedy Jimmy zobaczył, co się dzieje, wówczas on również uniósł ramiona do góry, niczym lustrzane odbicie gestu swego syna, tylko mu brakowało piłki. Nawet Cindy sprawiała wrażenie, jakby pojmowała wagę wydarzeń rozgrywających się na boisku, bo puściła ramię Milesa i dołączyła do ogólnej radości, klaszcząc szaleńczo w dłonie. Ostatecznie, pomyślał Miles, tylko jej życie mogłoby sugerować, że to fizyczne szaleństwo jest jedną wielką pomyłką. Ale z drugiej znów strony, czyż to właśnie nie od całego swojego życia pragnęła uciec Cindy Whiting, choćby na parę krótkich godzin tego szczególnie uroczego sobotniego popołudnia na początku października, tym piękniejszego, że niesło już w powietrzu rześką zapowiedź zimy? W następnej chwili Miles ujrzał, jak Cindy traci nagle równowagę i pada twarzą w przód. Wprawdzie zdążył złapać ją za ramię, ale Cindy Whiting nie była już małą dziewczynką, a uchwyt Milesa nie był dość mocny, by zapobiec temu, co by się niewątpliwie stało, gdyby w tym samym momencie Jimmy Minty nie odwrócił się, żeby raz jeszcze spojrzeć na Milesa, i nie zauważył, jak Cindy spada w jego kierunku, akurat w samą porę, by złapać ją w locie. Wyraz przerażenia wciąż jeszcze malował się na jej twarzy, mimo że spoczywała już bezpiecznie w ramionach policjanta, i nadal machała beładnie rękami i nogami, tak jakby w swojej wyobraźni wcale nie została złapana, tylko ciągle spadała głową w dół, staczając się do podnóża trybuny.

Dopiero gdy siedziała z powrotem na ławce, uspokojona, ściskając obiema rękami aż do bólu lewe ramię Milesa, a Jimmy Minty wreszcie zniknął gdzieś w tłumie poniżej, Miles przypomniał sobie łoskot, jaki usłyszał w momencie, gdy Cindy zaczęła się przewracać, i zobaczył, że jej laska po raz kolejny spadła na ziemię pod nimi.

## 16

Sześćdziesiąt, to było wszystko, o czym Janine Roby - już wkrótce Waltowa Comeau - mogła w tej chwili myśleć. Sześćdziesiąt, sześćdziesiąt, sześćdziesiąt, sześćdziesiąt.

Poniżej, na boisku, mecz został przerwany, ponieważ jeden z zawodników Fairhaven, ich *quarterback* - słyszała, jak ktoś mówił - został kontuzjowany. Ze swego miejsca niewiele mogła zobaczyć, zresztą i tak nie była zainteresowana. Pierwszą połowę przesiadziła, niespecjalnie nawet patrząc.

Mecze interesowały ją tylko dlatego, że zjawiało się na nich całe miasto. Kiedy była w szkole średniej, te cholerne mecze z Fairhaven za każdym razem przechodziły jej koło nosa tylko dlatego, że była gruba, a w dodatku matka kazała jej się ubierać w jakieś głupie ciuchy i nikt nigdy nie chciał jej zaprosić. Od tygodni rozkoszowała się ironią sytuacji i poczuciem słodkiej zemsty, jaką miał jej przynieść teraz ten mecz. Wyobrażała sobie całe wydarzenie w najdrobniejszych szczegółach, przy okazji modląc się, by utrzymała się taka ciepła pogoda, bo wtedy będzie mogła włożyć swoje nowe białe dżinsy i obcisłą bluzkę bez ramiączek. I teraz faktycznie miała je na sobie, mimo że było trochę zimno. Walt udawał, że jest wielkim miłośnikiem futbolu, ale prawda była taka, że w gruncie rzeczy znajdował przyjemność we wszelkich imprezach towarzyskich, gdzie nie musiał występować w marynarce i pod krawatem; chciał się nawet zjawić na stadionie przed czasem, ale Janine natychmiast wybiła mu ten głupi pomysł z głowy. Najważniejszy był przecież moment wejścia, a to oznaczało, że wszyscy musieli już siedzieć w tych swoich cholernych ławkach. Jedyne problem był taki, że skoro wszyscy będą już siedzieć na trybunach, to mogłoby się okazać, że dla nich zabraknie miejsc.

Jak większość dylematów, tak i ten był trudny do rozwiązania, dlatego Janine w końcu pomyślała o swojej matce. Przez długi czas główkowała na wszelkie sposoby, jak by tu zmusić tę starą kłepę, żeby choć trochę polubiła Srebrnego Lisa. Ostatecznie ona i Walt zamierzali się pobrać i Janine miała nadzieję, że do czasu ceremonii matka przynajmniej przestanie o nim mówić „ten mały chudy kogut”. Może gdyby Bea przyszła na taki mecz i dobrze się bawiła, zrozumiałaby, że Walt nic nie popsuł, i byłby to dobry początek. A i Waltowi takie popołudnie spędzone w towarzystwie Bei mogłoby wyjść na dobre. Nie żeby Srebrny Lis miał coś przeciwko matce, przynajmniej Janine nic o tym nie wiedziała, ale wyraźnie miał kłopot z pamiętaniem o istnieniu Bei. Za każdym razem, gdy Janine wspominała o matce, Walt mrużył oczy i patrzył podejrzliwie, tak jakby ona ukrywała przed nim swoją rodzinę. Tak jakby to nie on ukrywał swój cholernie wielki sekret, i to przed kim, przed nią!

Ale prawdziwy powód zaciągnięcia Bei na mecz był taki, żeby choć raz w życiu okazała się pomocna przy rozwiązaniu problemów, zamiast być ich źródłem. Plan był taki: Janine zadzwoni do matki i powie, że trochę im się przedłużają sprawy w klubie i poprosi ją, żeby pojechała wcześniej na stadion i zajęła trzy miejsca, możliwie najbliżej środkowej linii boiska i możliwie w najwyższym rzędzie na trybunie, żeby mieli stamtąd dobry widok.

Jak również żeby wszyscy mieli dobry widok na Janine, w jej nowych białych dżinsach i obcisłej bluzce bez ramiączek, kiedy ona z Waltem będą wchodzić na samą górę, mijając po drodze rzędy ławek, wypełnionych mężczyznami, którzy jako chłopcy ani razu nigdzie jej nie zaprosili, oraz kobietami, które zapraszali zamiast niej. Większość z nich to teraz rozłożyste szafy, zajmujące swymi puszystymi kształtami prawie dwa miejsca, dobrze im więc robi, jak sobie też popatrzą. Długie godziny spędzone na stairmasterze nauczyły Janine, że kobieta w dobrej formie tylko w jednym wypadku wygląda bardziej zabójczo, niż kiedy wchodzi po schodach - gdy odwraca się i zaczyna z nich schodzić.

Ale, oczywiście, wszystko sprzysięgło się, żeby popsuć jej to wejście, i stanowiło jeszcze jeden dowód na to, co Janine i bez tego od dawna już wiedziała: że nieważne, człowieku, jak doskonale zaplanujesz całą sprawę, Bóg i tak zawsze zaplanuje wszystko lepiej. I jeśli On będzie miał tego dnia muchy w nosie i nie zechce, żeby spełniła się drobnostka, na której tak cholernie ci zależało, to na pewno jej nie dostaniesz i koniec pieśni. A dzisiaj z jakiegoś powodu Bóg nie chciał, żeby Janine Roby - wkrótce Waltowa Comeau - miała swoje wielkie wejście, chociaż oboje dobrze wiedzieli, że na nie zasłużyła. Bea zjawiała się wprawdzie wcześniej, ale rozłożyła trzy poduszki na ławce już w trzecim rzędzie od dołu, ponieważ stwierdziła, że nogi bolą ją od stania po całych dniach, że nie wspomni o bólach w krzyżu od dźwigania beczek, a poza tym i tak nie widziała powodu, dlaczego miałyby się wspinać na samą górę sektora, od czego można było tylko dostać krwotoku z nosa. Gdyby Janine lepiej pomyślała, przewidziałaby to wszystko, ale ona zamiast tego skoncentrowała się na wrażeniu, jakie ma wywołać jej strój.

Tak naprawdę jednak to nie odmowa matki, by postąpić zgodnie z prośbą, zdawałoby się, instrukcją, popsuła cały plan. Prawda była taka, że Janine ciągle jeszcze nie mogła dojść do siebie po porannej niespodziance. Sześćdziesiąt! W okręgowym urzędzie stanu cywilnego Walt wyjął złożoną kopię aktu urodzenia, którą zaczął niezdarnie rozprostowywać dłonią, a kiedy urzędniczka w okienku poprosiła go, by podyktował jej swoją datę urodzenia, on zamiast tego w milczeniu przesunął dokument po kontuarze w jej stronę. Janine powinna była od razu w tym momencie się zorientować, co tu jest grane. Szczerze mówiąc, powinna była nabrać podejrzeń jeszcze wcześniej, bo od tygodni już nie mogła go zmusić, choć wielokrotnie próbowała, by pojechali do urzędu zapisać się w kolejkę po akt małżeństwa, tak żeby w chwili otrzymania przez nią ostatecznej decyzji o rozwodzie, nie



musieli tracić czasu na papierkową robotę. Jego pierwszą wymówką było to, że nie mógł znaleźć tego cholernego aktu urodzenia, a potem dwukrotnie w ciągu ostatniego tygodnia udało mu się tak długo zabradziażyć w klubie, że biuro było już zamknięte. Dopiero dzisiaj zrozumiała, skąd ta jego niechęć i opieszałość. A i tak o mały włos mu się nie udało. Urzędniczka bez słowa wystukała na maszynie datę urodzenia Walta na formularzu, po czym oddała mu jego dokument przez okienko. Gdyby go uprzednio złożyła, Janine nigdy by nie spostrzegła wypłowiałej daty, jaka tam widniała: 10 kwietnia 1940 roku.

1940?

- A to niby co, u diabła, ma znaczyć? - powiedziała, przyszpilając dokument do kontuaru paznokciem wskazującego palca, tak by uniemożliwić Srebrnemu Lisowi złożenie go i schowanie do kieszeni - manewr, na którego wykonaniu wyraźnie bardzo mu zależało. A kiedy ich oczy się spotkały, jego twarz przybrała ten sam wyraz, co wtedy, gdy mu się wydawało, że zdołał przechytrzyć Horacego w remiku. - Czy to jakaś pomyłka w druku? - spytała. Zabawne, ale gdyby jej powiedział, że „tak, to pomyłka”, to prawdopodobnie ona by mu uwierzyła, ponieważ Walt Comeau za nic w świecie nie wyglądał na sześćdziesiątkę.

Janine rozejrzała się i zlokalizowała go teraz w pobliżu linii bocznej boiska. Zbliżał się koniec pierwszej połowy, a on stał tam, rozmawiając z Horacym. Pakowanie się na boisko - to był cały Walt, oczywiście. Jeśli istniało jakieś miejsce, gdzie nie powinien się znajdować, bez pudła można go było tam właśnie zastać. Do Empire Grilla najbardziej lubił chodzić tuż przed zamknięciem. Z jakiegoś powodu uwielbiał odgłos drzwi zamykanych za sobą na klucz, tak jakby podobała mu się myśl, że inni, którzy też by chcieli tam wejść, zostaną odesłani z kwitkiem. A jak się potem obracał na stołku, żeby zobaczyć, kto też dobija się do drzwi, by z wyrazem zawodu na twarzy zobaczyć tabliczkę „Zamknięte”! Podobała mu się cała sprawa z tym cholernym „byciem w środku”, tak samo jak zdobywanie tych jego słynnych „wewnętrznych informacji”, co do których twierdził, że tylko takie są naprawdę wiarygodne, i na dodatek udawał, że ma ich całe kopy, i to na wyłączne posiadanie. Teraz, kiedy Janine się nad tym dobrze zastanowiła, dochodziła do wniosku, że to przypuszczalnie było powodem, dla którego nigdy żadną się z nikim nie podzielił. Bo zdradzić ją komuś, to tak jakby wypuścić ją na zewnątrz.

Była też i dobra wiadomość, a mianowicie, że Walt nie wyglądał nawet na pięćdziesiątkę, do której aż do dzisiejszego ranka tak chętnie się przyznawał.

Wyglądał na czterdzieści parę, na człowieka starszego o kilka lat od Milesa i od samej Janine, a w takim razie ta jego pięćdziesiątka, tak przynajmniej dotychczas jej się wydawało, mogła być wręcz powodem do dumy. Janine uważała nawet, że w zasadzie coś takiego działa inspirująco. Bo skoro jej przyszły mąż mógł wyglądać tak doskonale jako pięćdziesięciolatek, to Janine miała jeszcze dobre dziesięć lat, by nosić obcisłe dżinsy i bluzki na ramiączkach, bez obawy o śmieszność. Ale sześćdziesiąt! Sześćdziesiąt lat wcale nie było inspirujące. To było zwykle cholerne szachrajstwo i kiedy Janine przyszpilała palcem wskazującym do kontuaru tę jego metrykę, nieoczekiwanie przyszło jej na myśl, że to, co zamierzała uczynić, w gruncie rzeczy sprowadzało się do zamiany faceta, który nie potrafił dochować najgłępszego sekretu, na faceta, który nie tylko potrafił, ale z powodzeniem to robi. I nie dość, że ukrywał coś przed innymi ludźmi, to jeszcze ukrywał to także przed nią.

W dodatku, kiedy się wydało, natychmiast zaprzeczył wszystkiemu - twierdząc, że myślał, iż ona przez cały czas wiedziała, ile on ma lat. Zaczął jej nawet pokazywać swoje cholerne prawo jazdy, które mówiło dokładnie to samo.

- Czy kiedykolwiek powiedziałem ci, że mam pięćdziesiąt? - spytał ją na schodach sądu. No cóż, rzeczywiście, nie mogła sobie dokładnie przypomnieć konkretnej sytuacji, bezpośredniego kłamstwa, wygłoszonego pod przysięgą, ale przecież, do jasnej cholery, sama też tego nie wymyśliła. Ileż to razy w ciągu ostatniego roku żartowali sobie z tej dziesięcioletniej różnicy między nimi, a on tylko się uśmiechał - istny Srebrny Lis! - i nigdy, ale to przenigdy nie poprawił jej, mówiąc: „Złotko, muszę ci coś wyznać. Nie mówimy o jednym dziesięcioleciu, tylko o dwóch”.

- Co za różnica? - dopytywał się, gdy wracali do domu, jakby udawał, że nie rozumie, dlaczego ona się tak zdenerwowała. - Dobrze wiesz, że jestem w doskonałej formie. Mam ciało czterdziestoletniego mężczyzny. Sama tak mówiłaś. W czym problem?

- Problem w tym, Walt, że mnie okłamałeś - odparowała Janine, zdając sobie sprawę, że to, oczywiście, też jest kłamstwo, i nienawidząc siebie za to. Fakt, że ją okłamał, powinien być powodem jej zdenerwowania na niego, ale nie był. Powodem, dla którego tak się wkurzyła było to, że liczyła na co najmniej dwadzieścia lat ognistego, porywającego seksu, zważywszy na to, ile straciła przez ostatnich dwadzieścia lat, które zmarnowała jako żona Milesa. Ale w tej sytuacji, z chwilą gdy ona dojdzie do sześćdziesiątki, będzie miała przyjemność kochać się z osiemdziesięcioletnikiem, jak dobrze pójdzie. Odkrycie prawdziwego wieku Srebrnego Lisa wyjaśniało też,

dlaczego ostatnio Walt - który jak na niepokąźnego mężczyznę był doprawdy całkiem niezłe podwieszony, niech go Bóg ma w swej opiece - przy kilku okazjach wymagał wydatnego wspomagania ręcznego, by wreszcie wstrzelić się w bramkę. A co będzie, jeśli za parę krótkich lat okaże się, że jej dobrze podwieszonoego mężczyznę będzie stać wyłącznie na to, by zwisać? Janine rzuciła okiem na matkę, której nie wspomniała o niczym ani słówkiem, gdyż dobrze wiedziała, jak serdecznie Bea by się z tego uśmieła. W końcu, kto jak kto, ale jej matka stanowiła jeszcze jeden tragiczny przykład, jak wielką frajdę sprawiało Panu Bogu doprowadzanie kobiet do ostatecznej frustracji.

- Nie jest ci zimno? Może założysz bluzę? - zatroszczyła się Bea.

Janine faktycznie zabrała ze sobą blużę, na wypadek gdyby później po południu zrobiło się chłodno, co zresztą już się stało.

- Widzisz, Beatrice? Sama sobie odpowiedziałas na swoje pytanie. Nie jest mi zimno.

- Ach, tak? No, no, twoje sutki mówią co innego.

Nim Janine odpowiedziała, skierowała na matkę zabójczy wzrok, nie spojrzała natomiast w dół na swoją cienką bawełnianą blużę.

- Nie kłopotz się moimi sutkami, mamó, dobrze? Tak się składa, że rozkoszuję się ciepłem promieni słonecznych na ramionach, jeśli ci to nie przeszkadza. Pewnie nie zobaczymy kolejnego ciepłego dnia wcześniej niż w połowie cholernego maja przyszłego roku, tak więc bardzo proszę, daj mi spokój.

Janine musiała przyznać, że jej plan od samego początku miał wady. Nie pomyślała, co będzie dalej, to jest po jej wejściu na stadion, co przecież nie mogło trwać - nawet gdyby wszystko poszło dokładnie zgodnie z planem - dłużej niż pięć minut, po których to pięciu minutach przez następne trzy godziny miała być zdana na towarzystwo matki. Istniało swego rodzaju naturalne prawo, które jak ulał pasowało do tej sytuacji: coś za coś. Nieważne jak, i tak by ją to dopadło. Albo też musiałyby zapomnieć o całej sprawie - co i tak na jedno wychodziło.

A teraz ta sześćdziesiątka. Upłynie trochę czasu, nim o tym zapomni. Janine wiedziała z doświadczenia, że o niebo łatwiej było zapomnieć tysiąc rzeczy, które chciało się zapamiętać, niż tę jedną jedyną rzecz, którą za wszelką cenę chciało się wyrzucić z pamięci. Ponownie poszukała Walta wzrokiem wzdłuż linii bocznej boiska. Odkąd tego ranka dowiedziała się, że Srebrny Lis ma sześćdziesiąt lat, jakoś niepostrzeżenie zaczął jej wyglądać na tę swoją sześćdziesiątkę, co było po prostu czystym wariactwem, sama to

wiedziała. No, bo jak mężczyzna, który jeszcze wczoraj nie wyglądał nawet na pięćdziesiąt, mógł nagle zacząć wyglądać na sześćdziesiąt tylko dlatego, że na pożółkłym i pogiętym świstku papieru widniała data jego urodzenia. To przecież nie było racjonalne. Ale kiedy Walt Comeau odwrócił się i spojrział w górę na ławkę, gdzie Janine siedziała z matką, i zaczął machać do niej ręką, Janine nie widziała nic poza tym czymś na jego szyi. Co to, do cholery, jest? Jakieś wole, czy co? Dlaczego nigdy wcześniej tego nie zauważyła?

- A co to za kobieta siedzi tam z Milesem? - zainteresowała się matka. Nie zauważyła, jak Srebrny Lis machał do nich, zresztą na pewno by na to nie zareagował.

- Gdzie? - spytała Janine. Miles z kobietą? Obiecywała sobie, że nie będzie zazdrosna, chyba że będzie to Charlene.

- Dokładnie po drugiej stronie boiska, tylko znacznie wyżej.

A to dobre, pomyślała Janine. Znowu pan Bóg musiał popłatać te swoje druciki, jak zwykle zresztą. Ktoś nazwiskiem Roby zażyczył sobie miejsc w najwyższym rzędzie, no i proszę, On dał je Milesowi.

- Wygląda na córkę Whitingów - stwierdziła Bea, podczas gdy Janine wyszukiwała w tłumie kogoś, kto by wyglądał jak jej już-wkrótce-były mąż. - A to byś dostała niezłą nauczkę. Ty rozwodzisz się z dobrym człowiekiem, wtedy on wżenią się w najbogatszą rodzinę w całym środkowym Maine i potem żyją sobie długo i szczęśliwie, a za to ty dostajesz tego swojego małego chudego kogucika.

- Zniżkowa stopa zysku - wycedziła Janine, patrząc na matkę z nieukrywaną złością.

- Co takiego?

- Prawo zniżkowej stopy zysku. Próbowałam to sobie przed chwilą przypomnieć i dopiero teraz ty mi to uświadomiłaś.

Matka spojrzała na nią, mrużąc oczy, tak jakby pomimo bliskiej odległości, jaka dzieliła ją od córki, miała kłopot z ostrością widzenia.

- Przysięgam, Janine, ty nie tylko kilogramy zgubiłaś.

Janine zignorowała te słowa i powróciła do przeczesywania sektorów. Zajęło jej jeszcze dobrą chwilę, nim go zlokalizowała, ponieważ szukała pary, a zamiast tego zobaczyła, że siedzą we troje, przy czym trzecią osobą był ten policjant, którego Miles wyjątkowo nie znosił. Ten sam, którego widziała jednego wieczoru w zeszłym tygodniu, jak siedział w zaparkowanym wozie naprzeciwko restauracji. Jimmy Minty. Teraz zobaczyła, że zrywa się na równe nogi i zaczyna coś mówić, ale w tej samej chwili podniósł się krzyk na trybunach i Janine zauważyła, że na boisku zrobiło się jakieś

zamieszanie i ktoś upadł na murawę. A kiedy znowu wyszukała ich w tłumie, Milesa i tę całą Whiting, jeśli to rzeczywiście była ona - Janine przyznała niechętnie sama przed sobą, że będzie musiała pójść do okulisty sprawdzić wzrok i to wkrótce, bo za cholerę nic nie widzi - policjant zniknął już gdzieś w tłumie. Czyżby był to tylko wytwór jej wyobraźni, czy też przed chwilą rzeczywiście o coś się pokłócili?

- Mam nadzieję, że Miles nie poszedł i nie narobił czegoś, czym wkurzył tego Minty'ego - powiedziała jej matka, której wzrok był wyraźnie w jak najlepszym porządku. - On jest kropka w kropkę jak jego ojciec, a William Minty był wyjątkowo nędzną kreaturą i kanalią, jak oni wszyscy. Był to jedyny człowiek, co do którego twój ojciec i ja zawsze się zgadzaliśmy.

Janine ponownie przyjrzała się matce, zaskoczona tym, że odczuwa coś na kształt lęku o Milesa. Na szczęście pokonanie tego uczucia nie przysporzyło jej zbyt wielkich trudności. W końcu Miles Roby nie był już problemem Janine, dlatego zmusiła się, by więcej nie patrzeć w stronę Milesa i tej kaleki, która, zdaje się, siedziała, trzymając go pod ramię. Zamiast tego Janine powtórnie zwróciła uwagę na Srebrnego Lisa, który teraz znalazł sobie publikę złożoną z trzech bezrobotnych tkaczy i coś im klarował, na pewno wciskając jakiś kit. Od razu mogła to poznać, ponieważ szeroko rozkładał ramiona i stał na rozstawionych nogach, tak jak to on zawsze, gdy opowiadał którąś z tych swoich bajeczek, zupełnie jakby miał pod sobą pokład rozkołysany na wzburzonej fali. Tak, to Walt, a nie Miles już niedługo może się stać jej problemem - chyba że zmieniła zdanie, i to cholernie szybko, czego w żadnym wypadku nie zamierzała zrobić. A to choćby z tej przyczyny, że za nic w świecie nie dałaby satysfakcji matce, by ta mogła jej powiedzieć: „Widzisz, a nie mówiłam”. Poślubi więc Walta, dokładnie tak, jak się odgrażała, nawet jeśli było prawdą to, że zamierzał on ukryć przed nią swój starczy wiek i że zrobił to celowo. I nawet jeśli miał to jakieś wole na szyi.

Jednak to rzeczywiście musi być córeczka Whitingów, tam w ławce na górze. Teraz kiedy matka ją rozpoznała, Janine miała już pewność. Nie żeby Cindy była wciąż małą dziewczynką. Widać było, że przybrała na wadze, co akurat w jej wypadku nie było wcale takie złe. Ostatnim razem, kiedy Janine ją widziała, wyglądała jak ktoś, kto właśnie dożywał w więzieniu ostatnich dni strajku głodowego. To oczywiście było możliwe, że umawiali się na prawdziwe randki, ale im dłużej Janine się nad tym zastanawiała, tym bardziej zaczynała się obawiać, że było to po prostu kolejne kłopotliwe

położenie, w jakie Miles się wpakował na własne życzenie, i tylko ciekawiło ją, jak to zrobił. Wiedziała, że on się panicznie boi tej kobiety, która się w nim kochała i nawet próbowała odebrać sobie życie z jego powodu, co, według Janine, było doprawdy komicznym pomysłem. Jej zdaniem to raczej bycie żoną Milesa mogło wywoływać myśli o samouniściwieniu. Dla każdej rozsądnej kobiety niemożność poślubienia tego człowieka powinna być okazją do świętowania. Jasne, z tego, co ludzie mówią, Cindy Whiting nie była rozsądną kobietą, dlatego zresztą połowę swego dorosłego życia spędziła w różnych zakładach leczniczych. Co też Milesowi strzeliło do głowy, żeby tak się dać podpuścić? No cóż, jeśli chodzi o pakowanie się w pułapki, to trzeba przyznać, że był mistrzem, ale swoją drogą Janine i tak bardzo chciałaby wiedzieć, jak dał się wmanewrować tym razem. Szczerze mówiąc, Janine poczuła neodpartą potrzebę, żeby zadzwonić do niego po meczu i zapytać o to wprost. Od czasu ich separacji zauważyła, że najbardziej brakowało jej drobnych rzeczy, takich jak choćby przysłuchiwanie się Milesowi, gdy próbował wytłumaczyć, jak to się stało, że po raz kolejny dał się namówić do zrobienia czegoś, czego jeszcze chwilę wcześniej przysięgał nie zrobić nigdy więcej. Nigdy więcej nie zamierzał kandydować do rady szkoły, po czym, dziesięć minut później, okazało się, że uległ, ponieważ Otto Meyer go o to poprosił. Tak jakby to tłumaczyło wszystko. Tak jakby nie było sposobu, żeby przewidzieć wcześniej, że oczywiście ten przeklęty Meyer Parówka go o to poprosi. Tak jakby Otto Meyer był człowiekiem, któremu nie można było odmówić, kiedy faktycznie wszyscy mu zawsze odmawiali, nie wyłączając jego własnego ciała pedagogicznego, po którym należało się spodziewać, że będzie robiło to, co on im powie, że mają robić. Albo weźmy, na ten przykład, Amerykańską Ligę Baseballową. Powiedział, że koniec z sędziowaniem, tak? Nigdy więcej. Tak było rano. A w południe wszyscy sędziowie zebrali się i przyszedli do niego prosić, żeby się zgodził, że to tylko do czasu, aż znajdą kogoś innego na jego miejsce, i co? I zgodził się na cały kolejny rok. Dokładnie tak. To było naprawdę żałosne, tak więc kiedy Janine postanowiła się z nim rozwieść, przyglądanie się, jak Miles daje się wrabiać w robienie rzeczy, których nie chciał robić i zarzekał się że robić nie będzie, zdecydowanie dodałaby do długiej listy rzeczy, których na pewno nie będzie jej brakowało. I z początku rzeczywiście tak było. Dopiero później...

Oczywiście, Walt był zwierzęciem zupełnie innego gatunku, on nigdy nie rysował linii na piasku, by po dwóch minutach ją zmyć, i to właśnie od samego

początku było w nim pociągające. Musiała jednak przyznać, że i z nim był pewien problem, który polegał na tym, że Walt praktycznie nigdy nie mówił zdecydowanie, ani że coś zrobi, ani że czegoś nie zrobi. I jeszcze lubił jej przypominać, że sekret jego powodzenia tkwi właśnie w tym, iż wszystkie możliwości trzyma zawsze otwarte. Że niby to jak w chodzeniu zygzakiem, raz zyg, raz zak, najpierw robi się krok w lewo, a po namyśle okazuje się, że nie, jednak korzystniej będzie zrobić krok w prawo. Jednym z jego ulubionych powiedzeń było: „Rozumiesz, w tej sytuacji sprytny facet mógłby po prostu...” - po czym następowało wyjaśnienie, co takiego w tej sytuacji zrobiłby sprytny facet. Z początku Janine wyobrażała sobie, że te stwierdzenia mają jakiś związek z jego prawdziwymi intencjami. Na przykład: sprzedaż dom Walta i użycie tych pieniędzy, żeby spłacić Milesa. Żadne z nich nie miało wyjść na tym rozwodzie zbyt dobrze, ale Milesowi oberwało się o wiele gorzej i naprawdę było jej strasznie głupio, kiedy Walt tak po prostu zmienił zdanie. Po cichu znalazł kogoś, kto od niego wynajął dom, a teraz ciągle się migał i nie chciał powiedzieć, jak on to sobie wyobraża i jakie rozwiązanie tej sytuacji proponuje, jeśli chodzi o kwestię finansową. Czy po ślubie pieniądze za wynajem będą wpływać na ich wspólny rachunek, czy tylko na jego? A na dodatek obawiała się, że Miles w żadnym razie i tak nie zobaczy ani grosza z tego, co mu się należało.

Szczerze mówiąc, teraz, kiedy o tym myśli, to widzi, że generalnie Walt nigdy nie powiedział nic konkretnego o swoich finansach, chociaż to, oczywiście, będzie się musiało zmienić, zgodnie z prawem, z chwilą zawarcia przez nich małżeństwa. Janine była bardziej niż ciekawa, jakie sumy rzeczywiście wchodzi w grę, a jednym ze sposobów szukania sposobów, jak by tu spłacić Milesa, była obietnica, jaką złożyła sama przed sobą, że dopilnuje, by dostał swoją część później, kiedy już będzie mogła wypisywać czeki na podstawie ich wspólnego rachunku w banku. Był, naturalnie, fitness club, a teraz jeszcze pieniądze za wynajem domu Walta, poza tym odnosiła wrażenie, że Walt posiada parę innych nieruchomości. Nie wiedziała dokładnie, co to były za nieruchomości ani nawet gdzie. Ostatnio dużo mówił o budowie klubu w Fairhaven, które mimo że dwa razy większe od Empire Falls, mogło się poszczycić zaledwie dwiema małymi podrzędnymi salami gimnastycznymi. Poza tym rozważał też rozszerzenie klubu w Empire Falls, podwojenie przestrzeni dla sekcji fitnessowej, tym bardziej teraz, gdy okoliczni lekarze zaczęli przysyłać pacjentów z zakładów pracy na rehabilitację. Walt natychmiast zaczął wyliczać, że sprytny facet dodałby zaraz kilka krytych

kortów tenisowych, tym bardziej że jedyny, jakim dysponowali, był niemal bez przerwy zarezerwowany. Ale odkąd byli ze sobą, Srebrny Lis ani razu nie zamienił choćby jednego z tych wszystkich „można by zrobić” na „zrobimy”.

Rozmyślania Janine zostały przerwane przez pojawienie się jej córki, której udało się niepostrzeżenie przejść rzędem za nimi i wsunąć się na miejsce obok babki, która powitała ją serdecznym uściskiem, dokładnie takim samym, na jaki jej, Janine, od dawna już nie pozwalała.

- Jak leci, dziecinko? - zawołała Bea.

- W porządku.

Janine musiała przyznać, że jej córka wygląda naprawdę promiennie w tym wczesnojesiennym słońcu. Biedne dziecko, wciąż nie ma biustu, nie mówiąc już o biodrach, ale zapowiada się, że będzie miała figurę modelki, co do tego nie ma dwóch zdań. Co nie znaczy, że na to zasłużyła. Na początku roku, gdy Janine zaproponowała jej, że może by poszła na kurs dla modelek, Tick prychnęła szyderczo, że może i tak, ale najpierw musiałaby sobie zrobić lobotomię. To wkurzyło Janine maksymalnie, jeszcze nawet zanim sprawdziła w słowniku znaczenie słowa „lobotomia”.

- Tylko w porządku? - dopytywała się Bea, tak jakby i ona zauważyła, że jej wnuczka wyjątkowo dziś promienieje.

- No więc, mój obrazek z węzem został wybrany na wystawę plastyczną.

Dla Janine była to nowina, podobnie jak fakt, że Tick namalowała jakiegoś węża. Co natomiast nie było dla niej absolutnie żadną nowością, to sposób, w jaki jej córka traktowała matkę w obecności innych. Po lewej stronie Janine też było wolne miejsce, to, które zwolnił Walt, ale oczywiście Tick nie chciała tam usiąść. Po pierwsze, przedtem siedział tam Walt, tak więc w mniemaniu Tick miejsce było skażone. W domu nie używała już łazienki na piętrze, z tego samego powodu. Wołała schodzić kawał drogi na dół do piwnicy, żeby wziąć prysznic w maciupkiej niewykończonej łazieneczce za pomieszczeniem, służącym im kiedyś jako pokój rekreacyjny, a teraz zawalonym gratami Milesa, na które nie miał miejsca w swoim mieszkanku. W głównej mierze były to stosy książek, o które Walt wiecznie suszył jej głowę, wypominając, że nie da się korzystać z tego pokoju. Mogliby przecież wstawić tam rowerek, a może nawet i stairmastera, tak aby można było - by ona mogła, zdawał się mówić - poćwiczyć sobie wieczorami, oglądając telewizję.

Od początku było źle ze stosunkiem Tick do Walta, ale ostatnio nie chciała mieć już nic wspólnego z czymkolwiek, czego Walt dotykał, nie



wyłaczając Janine. Ilekroć Janine zbliżyła się do niej z nadto, ona marszczyła nos i mówiła: „Fuj, czuć od ciebie zapach jego wody po goleniu”. Oczywiście nie mogła tego czuć, a już na pewno nie od razu z rana, skoro Janine dopiero co wzięła prysznic. Nie było wątpliwości, że czekały ich jeszcze niezłe przeboje, i to pewnie przed samym ślubem, co do którego Tick z góry zapowiedziała, że nie zamierza być druhną, chociaż Janine bardzo miło ją o to poprosiła.

Janine zaczynała powoli rozumieć, że jej córka jest mocnym, mądrym przeciwnikiem. Oczywiście, ojca owinęła sobie wokół małego paluszka - ale to było do przewidzenia. Jednak najbardziej zdumiewał Janine ktoś inny, a mianowicie Walt. Mimo że Tick rzadko kiedy okazywała mu cokolwiek poza pogardą, potrafiła tak jakoś wszystko zawsze ustawić, że w większości kłótni brał jej stronę!

- Myślałam, że tej nauczycielce nie spodobał się twój wąż - mówiła właśnie Bea. Kolejna nowina dla Janine.

- Sprowadzili jakiegoś profesora z Fairhaven, żeby oceniał prace - wyjaśniła Tick. - On i pani Roderigue pokłócili się na parkingu. Następnego dnia powiedziała nam, że pan Meyer próbował, cytuję, podważyć jej autorytet. Tak jakby w ogóle jakiś miała.

- I wszystko to przez ciebie i twojego węża?

- Różnice zdań na temat sztuki, babciu.

- Wybaczcie mi, proszę - powiedziała Janine, pochylając się do przodu, tak by obie z córką mogły na siebie spojrzeć. - Ale może przynajmniej powiedziałaś mi „dzień dobry”, co? Nie jestem po prostu kimś obcym, koło kogo możesz się przemykać chyłkiem bez zwykłego powitania.

- Ja wcale się nie przemykałam chyłkiem - odparła Tick. - To ty nie zwróciłaś na mnie uwagi.

- Teraz zwracam, ale nadal mi nie powiedziałaś „dzień dobry”.

- Powiedz swojej matce, że powinna założyć bluzę - wtrąciła się Bea. - Powiedz jej, że wygląda na zziębniętą.

- Wyglądasz na zziębniętą, mammo.

- Powiedz jej, że dostała gęsiej skórki - podpowiadała dalej Bea.

Teraz Janine rzuciła piorunujące spojrzenie na matkę.

- Przypomnij mi, żebym koniecznie zaprosiła cię na następny mecz futbolu.

- Twoja matka jest dziś okropnie rozeźlona - wyjaśniła Bea. - Chciała, żebym wspinała się na sam szczyt trybuny na moich obolałych nogach, a ja nie chciałam tego zrobić.

- To prawda, że jestem dziś w strasznie podłym humorze, Beatrice. I prawdą też jest, że wcale mi nie ułatwiasz sprawy, ale daleko ci do tego, by być tego przyczyną, tak więc nie pochlebiaj sobie.

- Jest zażenowana, bo przyniosłam ze sobą poduszkę na moje hemoroidy, żeby nie siedzieć na twardym - dorzuciła Bea.

To także była prawda. No, bo kto ogłasza całemu światu akurat takie schorzenie.

- Mamo - powiedziała Janine - jeśli o mnie chodzi, to możesz nawet te swoje hemoroidy pokazać ludziom z sąsiedniej ławki.

- Nie wiem, czy nie byłoby warto, choćby po to, żeby zobaczyć wyraz twojej twarzy - parsknęła śmiechem Bea, ani na chwilę nie dając się zbić z tropu.

Oczywiście jej córka nadal się z nią nie przywitała, ale Janine nagle poczuła, że ogarnął ją smutek, nie złość. Oczy zaszkły jej łzami i musiała spojrzeć w bok, żeby nikt nie zauważył. Tego ranka, kiedy wybierali się z Waltem do miasta, przed samym wyjściem zjawił się listonosz, znacznie wcześniej niż zwykle w soboty, prawdopodobnie dlatego, że chciał szybciej skończyć swój obchód i zdążyć na mecz. Pomiędzy plikiem ulotek i rachunków znajdowała się mała koperta, zaadresowana starannym młodzieńczym piśmem do Christiny Roby, z pieczątką gdzieś ze stanu Indiana. Zniecierpliwiona, ponieważ Walt znowu się ociągał w sprawie pojechania do urzędu stanu cywilnego, Janine rzuciła kopertę na stół w hallu i natychmiast o niej zapomniała, a przypomniała sobie dopiero po powrocie. Teraz wystarczyło tylko rzucić okiem na jej córkę, by wiedzieć, że to zawartość tej koperty była odpowiedzialna za ten promienny blask.

A lzy wywołała świadomość, że jej córka nie zamierza się z nią absolutnie niczym z tego podzielić. Do licha, Janine nawet by się nie dowiedziała o istnieniu tego chłopca, gdyby nie to, że Miles przypadkiem o nim wspomniał, najwyraźniej zakładając, że ona już o wszystkim wie. Od czasu separacji rodziców Tick ucieła wszelką wzajemną poufałość, łącznie z najmniejszymi oznakami zewnętrznymi jakichkolwiek uczuć względem matki. Było to bardzo bolesne, chociaż Janine tłumaczyła sobie, że córkę w końcu zmęczy ta melodramatyczna postawa. Ostatecznie młode dziewczęta potrzebują swoich matek. Jak dotąd jednak nie wyglądało na to, że Tick zamierza ustąpić. Zwykła uprzejmość zdawała się sprawiać jej wysiłek, a Janine podejrzewała, że nawet i to było jedynie wynikiem obietnicy, jaką dała ojcu.

Janine ukradkiem otarła oczy rękawem bluzy, którą trzymała na kolanach, i pomyślała: Okay, w porządku, do diabła z tym. Zapracowała sobie

na tę ostatnią szansę na szczęście i przysięga na Boga, że wykorzystają najlepiej, jak potrafi. A jeśli komuś się to nie podoba, no cóż, tym gorzej dla niego, nie wyłączając tej małej smarkuli, jej córki. Jeśli więc ma ochotę, to proszę bardzo, niech sobie ma swoje sekrety. Niech się przekona, komu na nich zależy. Na dowód, że stać ją na to, odwróciła się plecami do nich obu, do córki i do matki.

W dole piłkarze Fairhaven i Empire Falls wbiegali właśnie po przerwie z powrotem na boisko. Janine robiła, co mogła, żeby okazać choć trochę zainteresowania grą, a mimo to nie potrafiła oprzeć się myśli, jak prędko wszystkie te smukłe cheerleaderki, tak sprawnie wykonujące swoje kroki i skoki, wyjdą za mąż i zajdą w ciążę z takimi chłopcami, jak ci tutaj, albo z podobnymi, tyle że z sąsiednich miasteczek. I jak prędko życie zwali się na barki tych chłopców. Szybkie małżeństwo, i już zaraz nieubłagane raty i spłaty za dom i samochód, rachunki za doktorów, i cała reszta. Z wolną radością, jaką czerpali z tego twardego sportu, stopniowo zniknie. Zaczną grawitować w stronę barów, takich jak bar jej matki, by uciec od tych dziewcząt, z którymi się pożenili, a potem od dzieci, i ani oni, ani ich żony nie będą dość mądrzy i niezależni, by temu zapobiec. W pubie znajdą telewizor z dużym ekranem, nastawiony na kanał sportowy, i pełno piwa, i przez jakiś czas będą ustawicznie mówić o tym, żeby znowu wyjść na boisko i zagrać, ale kiedy rzeczywiście zagrają, nabawią się kontuzji, które z upływem czasu zmieniają się w „stan chroniczny”, i to już koniec. Praca, małżeństwo, dzieci, życie - jeden wielki kierat. Raz do roku poczują jeszcze w sobie zew buntu, pomalują sobie twarze, władują się do minivana jednej z żon i nawet jeśli będzie to sporo kosztowało, wyruszą na południe, żeby pójść na mecz Patriotów, chyba że się okaże, iż drużyna przeniosła się ostatecznie na południe, bo tam ulokowały się wszystkie dobre posady. Po meczu, na wpół pijani, wyruszą w drogę powrotną do domu, ponieważ żaden nie będzie miał pieniędzy, żeby prznocować na miejscu. Do domu w Empire Falls, jeśli coś takiego będzie jeszcze istnieć.

Podczas krótkiej nieobecności mężów parę co bardziej awanturnicznych czy zdesperowanych żon skorzysta z okazji, by wynająć opiekunkę do dzieci, a potem spotkać się z jednym z tych chłopców-mężczyzn, którzy w większości stali się już dupkami przesiąkniętymi whiskaczem, i spędzą parę godzin w przydrożnym motelu Lamplighter Motor Court, by choć przez moment poczuć smak tej drogi, na którą się nie zdecydowały, i by przekonać się, że w gruncie rzeczy to taka sama stara dwupasmowa asfaltówka, jaką jeżdżą

codziennie, tyle tylko że inny, nieznany jej odcinek, który jednak i tak prowadzi do tego samego przeznaczenia.

Janine również siedziała obok swojego własnego przeznaczenia, jakżeby inaczej, przeznaczenia, które usadowiło swoje hemoroidy na tej pioruńskiej poduszce.

- Och, zostaw dzieciaka w spokoju, Walt - usłyszała głos matki i dopiero wtedy zobaczyła przez łzy, że jej przyszły mąż wrócił przed chwilą, niewątpliwie przemknąwszy się z tyłu za nią równie niepostrzeżenie jak Tick. Najwidoczniej przywitał swoją przyszłą pasierbicę, całując ją w czubek głowy, i zamiast podziękowania został poczęstowany tą samą odprawą, co zwykle.

- Co pozwala ci myśleć, że ładna piętnastoletnia dziewczyna chce być całowana publicznie przez takiego starego capa jak ty? - spytała go Bea.

- To, że jestem przystojnym starym capem - stwierdził Walt, niezmiennie pewien tego, że jest mężczyzną godnym pożądania. Po sekundzie wyczuł jednak kłopoty i przeszedł wzdłuż rzędu dalej, aż do końca ławki, gdzie usiadł obok kobiety, której właśnie cały świat się zachwiał, ale która była dla niego dobra. Jeśli wzrok go nie mylił, w jej oczach ujrzał łzy, łzy, które usiłowała ukryć, wciągając bluzę przez głowę. Nie pozostawało mu nic innego, jak spróbować ją rozchmurzyć, zaczął więc nucić piosenkę Perry'ego Como, której słowa jak ulał pasowały do sytuacji.

- „Ach, jakże radośnie wołaliśmy, gdy nasi zdobywali bramkę” - zawodził, szturchając ją pod bok w idiotycznej nadziei, że zmusi ją, by i ona zaśpiewała razem z nim.

Nie ma co, pięknie, pomyślała Janine. Nareszcie pojęła przyczynę zauroczenia jej przysłego małżonka twórczością Perry'ego Como, które nie miało nic wspólnego z urodą piosenkarza, jego czarem osobistym ani lisią srebrzystością czupryny. Ten skurwiel był po prostu Walta równolatkiem.

- Wiesz, o czym marzę w tej chwili? - powiedziała, nawet na niego nie patrząc. - Marzę, żebyście wszyscy dali mi święty spokój.

- „Czas nie wykreśli z pamięci... - wyśpiewywał dalej Walt, nie biorąc poważnie jej ostrzeżenia, głupi stary kutas - ...tych magicznych chwil, które wypełniała miłość”.

I to jest najsmutniejsze ze wszystkiego, pomyślała Janine, teraz już całkowicie pogrążona w głębokim współczuciu dla samej siebie. Bo ona nie mogła sobie przypomnieć ani jednej magicznej chwili wypełnionej miłością w całym swoim smutnym życiu, a na dodatek teraz siedziała tutaj, usiłując

ze wszystkich sił temu zaprzeczyć, zanim będzie już tylko z górki.

Spojrzała w dół na murawę akurat w chwili, gdy Fairhaven wybiło piłkę do kick-returnera Empire Fallsów, który odebrał ją czysto i ruszył sprintem przez boisko. Kiedy z powodzeniem wymknął się pierwszej fali obrońców, usiłujących go przytrzymać, i boisko przed nim zaczęło się otwierać, wszyscy na trybunach powstali z miejsc, by zobaczyć, czy zdoła przebiec cały dystans, wszyscy, z wyjątkiem Janine, która wiedziała bez patrzenia, że mu się to i tak nie uda, i która siedząc, czuła napór tłumu podnieconych ludzi, tupiących nogami i wrzeszczących w rzędach ponad nią. Janine rozumiała, że jej matkę bolały nogi, rozumiała, dlaczego matka nie chciała się wspinać aż na samą górę, mimo że Janine tak ją o to prosiła. Ale, do jasnej cholery, naprawdę liczyła na to, że będzie siedzieć trochę wyżej.

## 17

Jimmy Minty zaparkował swój policyjny wóz po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko Empire Grilla, tak żeby Miles, wracając do restauracji, musiał go natychmiast zauważyć. Siedział tam już od dłuższego czasu, zastanawiając się nad tą całą sytuacją z Milesem Roby, ale z jakiegoś powodu jego rozmyślania zeszyły na Billy'ego Barnes'a, którego nie widział od wieków. Dlaczego akurat Billy Barnes wpadł mu do głowy i dlaczego, ze wszystkich parszywych dni, musiał sobie wybrać akurat ten, Jimmy nie miał pojęcia, tym bardziej że to przecież Roby'ego miał ochotę stłuc na krwawą pulpę. Z tego, co wiedział, Billy Barnes mógł już nie żyć. Nie grał profesjonalnego hokeja, to jedno było pewne. Jimmy nadal śledził z uwagą rozgrywki NHL, dlatego wiedział, że jego staremu kumplowi się nie powiodło, mimo że wszyscy w hrabstwie Dexter głowę by dali, że komu jak komu, ale jemu musi się udać. Oczywiście, nawet gdyby rzeczywiście mu się udało, do tej pory po Billym i tak dawno by nie było już śladu. Skąd więc Jimmy'emu się to brało, że ciągle jakby oczekiwał, iż pewnego wieczoru Billy pojawi się na lodzie podczas meczu Bruinsów?

A swoją drogą, ciekawe, jak mógł skończyć taki chłopak, co to nigdy nie pudłował? Jimmy Minty bardzo był tego ciekaw. Co robi człowiek, kiedy jest dobry wyłącznie w jednej rzeczy, a potem się okazuje, że nie jest wcale

aż taki dobry, jak myślał? No cóż, jeśli jest sprytny, robi to, co prawdopodobnie uczynił Billy Barnes. Znika. Po co siedzieć tam, gdzie ludzie pamiętają tylko to, że mu się nie powiodło. No, stary, powiedz szczerze, jak to się stało? Tylko tyle chcieliby wiedzieć, i kto by ich za to winił? Jimmy sam chętnie by o to zapytał Billy'ego Barnes'a. Pewnie, znalazłoby się paru, którzy by nie zapytali, ale i tak mieliby to pytanie wypisane na twarzy. Wystarczyłoby, żeby powiedział „do widzenia” i ruszył do drzwi, a oni zaraz by się nachylili i zaczęli coś szeptać do swoich dzieciaków i człowiek od razu by wiedział co. Widzisz tego faceta? To Billy Barnes. Najlepszy w okolicy, jaki kiedykolwiek przypiął łyżwy do nóg. Nigdy nie pudłował. Nie mogło mu się nie udać. Tyle że mu się nie udało.

- Ambicja - powtarzał Jimmy'emu ojciec. - Ambicja zabije każdego.

Sam William Minty nie żył już od wielu lat, ale jego nauki go przeżyły. Jego jedyny syn, który siedział teraz w aucie, obserwując, jak parking i ulica w pobliżu Empire Grilla zapełniają się samochodami, mógł odtworzyć te mądrości z pamięci, niemal słowo w słowo. „Oni wszystko dokładnie wyliczyli”, ogłaszał staruszek ze swojego wytartego fotela, w którym zasiadał co wieczór. Podczas obiadu ojciec był zawsze milczący i poważny, ale gdy tylko znalazł się w salonie, z Walterem Cronkitem w telewizji, robił się rozmowny. Sądząc po pełnych zrozumienia kiwnięciach głowy ojca, Jimmy podejrzewał, że Cronkite był jednym z tych, którzy wszystko rozpracowali i wyliczyli.

- Co wyliczyli? - ośmielił się raz zapytać.

Ojciec przyjrzał się synowi ciekawie, jakby nie potrafił zrozumieć, jak jego rodzony dzieciak może być aż taki głupi. Ponownie skinął głową w stronę telewizji.

- Wszystko - wyjaśnił, po czym przez dłuższą chwilę przyglądał się z powagą Cronkite'owi. - Założę się, że w szkole mówią ci, że żyjemy w wolnym kraju.

Jimmy nie mógł zaprzeczyć, że słyszał już tę opinię, wygłoszoną przy więcej niż jednej okazji.

- No tak, więc żebyś sobie nie myślał, że masz w to wierzyć. Mogę cię zapewnić, że już oni tam wszystko dobrze wyliczyli i o wszystkim pomyśleli. Kogo wolno ci poślubić. Gdzie będziecie z nią mieszkać. Ile wyniesie wasz czynsz. Ile będziesz mógł zarabiać. Którzy z was zginą na ich wojnach. Wszystko. Myślisz, że masz tu coś do gadania? Zastanów się dobrze.

Jimmy pomyślał, że te wszystkie obliczenia musiały być bardzo skomplikowane. Pewnie wymagały niesamowitej organizacji, a i tak wyliczenie

wszystkiego, jak należy, wcale nie było prostą sprawą. I pewnie zależało od tych samych ludzi, na których ojciec stale narzekał, że nie potrafią na czas dostarczyć człowiekowi jego czeku z zasiłkiem dla bezrobotnych, może nie? Mniej więcej coś takiego spróbował podsunąć ojcu w ramach odpowiedzi.

- Tak myślisz? No, to już ciebie niech o to głowa nie boli – zapewnił go ojciec. - A jeśli mi nie wierzysz, to pooglądaj sobie tego tu pana mądralę, który każdego wieczoru od dwudziestu lat ci tłumaczy, co i jak, a wtedy zobaczymy, czy się nie przekonasz, że oni tam mają wszystko dobrze wyliczone.

Z miejsca, gdzie siedział w salonie, Jimmy mógł zobaczyć dom Robych pod drugiej stronie podjazdu. Nieraz widział w ich oknach, jak matka Mileasa przechodzi przez pokój, a czasem zatrzymuje się na moment, żeby zaciągnąć zasłony. W wieku dziewięciu lat Jimmy uważał, że pani Roby jest najładniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział w życiu, nie wyłączając dziewczyn, i nieraz zastanawiał się, jak by to było mieszkać z nią pod jednym dachem. Domyślał się, że gdyby była jego matką, sprawa wyglądałaby całkiem inaczej, jednak niezależnie od tego nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby się nie podpalać do pani Roby. Kilkakrotnie przyłapał też ojca, jak spogląda na drugą stronę. Jimmy popełnił nawet ten błąd, że powiedział Milesowi, jaki z niego szczęściarz, że ma taką kobietę za matkę, wyłącznie dla siebie, i to jeszcze przez większość czasu, bo przecież pan Roby był w domu tyle samo, ile go nie było. Zapytał też Mileasa, czy widział kiedyś swoją matkę nagą, licząc na jakieś szczegóły, ale potem Miles nie odzywał się do niego przez cały tydzień, dopóki Jimmy go nie przeprosił, co zresztą zrobił bez ociągania, ponieważ bał się, że Miles poskarży jego matce, że ma nieczyste myśli.

Tak więc Jimmy rozmyślał o tym, co mówił mu ojciec o Walterze Cronkite i całej reszcie, która dobrze wszystko wyliczyła, i miał nadzieję, że jego ojciec się mylił. Nie podobał mu się pomysł, że ktoś inny miałby decydować o tym, z kim on ma się ożenić. Chciał sam dokonać tego wyboru, a zamierzał poślubić dziewczynę, która będzie możliwie jak najbardziej podobna do pani Roby. Albo nawet samą panią Roby - oczywiście później, w wieku dorosłym, gdyby jej mąż umarł albo całkiem gdzieś zniknął.

- Nikt nie potrafi wyliczyć wszystkiego - ośmielił się wyrazić swoją nadzieję.

- Nie? - odpowiedział ojciec, nie spuszczać uważnego wzroku z Cronkite'a, żeby ten nie myślał, że może mu wcisnąć jakieś oszustwo. - No, może

nie wszystko. Ale najważniejsze rzeczy mają rozpracowane, to jedno jest sakramencko pewne. I nie waź się w to wątpić.

Mówiąc krótko, filozofia jego ojca w kwestii radzenia sobie z tymi ludźmi sprowadzała się do tego, żeby nigdy nie pokazywać, że się jest ambitnym. Nie ściągaj na siebie uwagi, brzmiała jego rada. Miej oczy szeroko otwarte, poluj na okazję, ale nie bądź chciwy. Nigdy nie kradnij za dużo na raz. Upewnij się, że jak cię złapią, to nie znajdą przy tobie za wiele. Zapamiętaj zasadę „warto - nie warto”, jak ją nazywał. Nie będą sobie zawracać głowy drobiazgami, bo nie warto - w taki sposób ojciec uzasadniał swoje własne złodziejstwa. W zamrażarce w piwnicy pojawiły się dwa combry z jelenia? Kto ci będzie tym głowę zawracał? Nie warto. Ale dwie, trzy wielkie lodownie podprowadzonej dziczyzny? Za dużo. Faktycznie, zasada „warto - nie warto” pozwalała doskonale ocenić ryzyko niemal każdej sytuacji. Przypadek sprawił, że znalazłeś klucz, który pasuje do czyjejsz spizarni? Szczęściarz z ciebie. Zgarniasz okazjnie butelkę taniego whiskacza? Tylko głupi uzna, że warto tym sobie głowę zawracać. Całkiem możliwe, że oni tam wcale nie liczą butelek z tanim alkoholem, a nawet jeśli policzą i okaże się, że jednej butelki brakuje, to może sami źle policzyli? Markowe trunki albo całe skrzynki, te to oni liczą. Tych będą szukać. Lepiej podwędzić flaszkę taniocy. A jak ta się skończy, podwędzisz następną. Znalazłeś klucz, nie zgub go. Nikomu o tym nie wspominaj. Jeśli się nie zrobisz zanadto pazyryny, taki klucz przyda ci się na długo. Zwędzisz dużą rzecz, oni zmienią zamek, i już nie masz klucza. Klucze to było hobby Williama Minty. Dorabiał je w piwnicy na maszynie, którą kupił za bezcen, kiedy sklep żelazny Oleruda zbankrutował.

Jimmy wyprostował się na widok starego volva, które zatrzymało się równolegle do jego wozu, a następnie zaparkowało na wolnym miejscu z tyłu za nim. Obserwował kierowcę, który wysiadł i obszedł samochód dookoła, żeby otworzyć drzwi kobiecie siedzącej w fotelu dla pasażera. Była elegancko ubrana, ale nic ciekawego, nie było na czym oka zahaczyć. Mężczyzna miał na sobie szare spodnie i tweedową sportową kurtkę, nałożoną na jasnoniebieską koszulę z kołnierzykiem na guziczki, i niósł coś w brązowej papierowej torbie. Jimmy Minty z miejsca go nie polubił, jeszcze zanim ten wysiadł z samochodu. Niewielu ludzi zabrałoby się do parkowania, gdyby musieli rozpocząć ten manewr od ustawienia się równolegle do wozu policyjnego. Kimkolwiek był ten dupek - który na pierwszy rzut oka wyglądał jak profesor - był kurewsko pewny siebie. On i ta jego cienka lala przeszli na drugą stronę Empire Avenue, ledwie spojrzawszy w jego stronę, a



kiedy zniknęli wewnątrz Empire Grilla, Jimmy odwrócił się na swoim fotelu, żeby rzucić okiem na nalepkę przeglądu technicznego, widniejącą na przedniej szybie. Ważna, niestety.

Spojrzał na zegarek, była szósta trzydzieści. Jimmy obliczył, że o tej porze Roby powinien już być z powrotem w restauracji. Przejechanie przez Iron Bridge, odstawienie Cindy do domu, a potem droga powrotna nie powinny mu zająć zbyt wiele czasu. Chyba że stary kolega tak zakręci, żeby go zaproszono do środka. Mimo że ta możliwość nie wydała mu się zbyt przyjemna, Jimmy musiał się uśmiechnąć. Pani Whiting była w Bostonie, o czym przypadkiem wiedział, tak więc kto wie, może Miles i jej córeczka postanowili zrobić to na kanapie i Roby właśnie się do tego zabierał. No, to dopiero byłby widok, który chciałby zobaczyć.

Zza zakrętu wyjechał na Empire Avenue jakiś pikap, trąbiąc klaksonem. W kabinie kierowcy siedziała ciasno upchana czwórka młodych ludzi w wieku licealnym - z czego dobrze, jeśli dwóch było przypiętych pasami - a do tego jeszcze trzech stało z tyłu na platformie; najwyższy z nich trąbił w jeden z tych długich plastikowych rogów. Kierowca spostrzegł wóz policyjny w ostatniej sekundzie i natychmiast dał po hamulcach tak ostro, że chłopaki stojące z tyłu musieli się złapać czego popadnie, żeby ratować drogie życie, a plastikowy róg poszybował w powietrzu, po czym wylądował z brzękiem na chodniku za nimi i potoczył się pod wóz Jimmy'ego. Przez chwilę rozważał, czy nie pojechać za nimi i nie dać upomnienia temu szalonemu skubańcowi za kierownicą, a może nawet wypisać mu mandat, ale po chwili zrezygnował. To tylko dzieciaki, podgrzane po supermeczu. Wystarczy, że się trochę przestraszyli na jego widok, no i stracili swój róg na dokładkę. Będą teraz jechać wolniej, przynajmniej przez pewien czas. Poza tym gdyby ruszył za nimi w pościg, na pewno straciłby miejsce parkingowe.

Jakby na potwierdzenie tej obawy, do krawężnika po drugiej stronie ulicy podjechał kolejny samochód, z którego wysiadł jeszcze jeden facet w tweedowej marynarce. Dlaczego wszystkie te uniwersyteckie profesorki muszą nosić takie same mundurki? Kobieta, towarzysząca temu gościowi, była jota w jotę jak ta poprzednia; jakby ktoś kiedyś zorganizował konkurs brzydoty, to te dwie dostałyby ex aequo siódme miejsce; pod warunkiem, że nie byłoby pokazu w kostiumach kąpielowych, bo wówczas spadłyby na dziewiąte. Tutaj akurat jego ojciec miał, niestety, rację. Nigdy nie żenisz się z tą, co chciałeś. Żenisz się z najlepszą spośród tych, jakie pozostały. Tweed

poślubia tweed, flaneli przypada w udziale flanela. A jeśli chodzi o to, czy ambicja zawsze zabija, Jimmy Minty też miał swoje wątpliwości.

Profesorowie. Może to dlatego przypomniał mu się Billy Barnes. Po szkole średniej Billy, dzięki stypendium z hokeja, dostał się na Uniwersytet Maine. Zamieszkał w akademiku swojej korporacji studenckiej i któregoś weekendu zaprosił Jimmy'ego do Orono na party, żeby mógł się na własne oczy przekonać, co traci. Party okazało się strasznie tłumne i zwariowane i było już w pełnym toku, gdy Jimmy Minty tam dotarł. Właściwie to przyjechał do miasta wcześniej, ale potem kręcił się jeszcze trochę w kółko, zbierając się w sobie na odwagę, żeby przekroczyć próg akademika. Prawdę mówiąc, wykończył samodzielnie cały sześciopak, nim się zdecydował, że co mu tam, do diabła - wchodzi. Gdy w końcu zadzwonił do drzwi, otworzył mu jakiś dryblas z butelką piwa w lewej ręce i nieprzytomną dziewczyną z gołym siedzeniem, przerzuconą przez prawe ramię. Długie ciemne włosy dziewczyny zwisały pionowo w dół, sięgając dryblasowi prawie do kolan, dzinsy i majtki miała zrolowane wokół kostek. Udując, że nie widzi w tym nic niezwykłego, Jimmy wyjaśnił, że jest przyjacielem Billy'ego Barnes, na co dryblas odpowiedział:

- A gównu mi do tego. Skombinuj se piwko, koleś. Chcesz niucha?

- Co takiego? - spytał Jimmy, czując, że ogarnia go złość i zmieszanie.

- Dolar za niucha - wyjaśnił mu dryblas, ale w tym momencie zjawiał się jakiś drugi gość i wcisnął pomięty banknot do kieszeni w koszuli swojego kumpla i dopiero w tej chwili Jimmy spostrzegł, że kieszeń jest pełna banknotów. Ten nowy chłopak poprosił Jimmy'ego, żeby mu zszedł z drogi, po czym chwycił dziewczynę za kostki, podniósł je do góry, tak że jej kolana spoczęły mu na ramionach. Następnie nachylił się do przodu i wciągnął głęboko powietrze.

- Taaak - rzekł, gdy skończył i opuścił nogi dziewczyny. - To dopiero słodka cipka.

- No więc jak? - dryblas znowu zwrócił się do Jimmy'ego, który stał nieporuszony. - Chcesz sobie niuchnąć czy zamierzasz tak tu stać i się gapić?

- Szukam Billy'ego Barnes - przypomniał mu Jimmy Minty.

Dryblas pokiwał głową z pijackim zrozumieniem.

- Mam tu śliczną dojrzałą cipeczkę, a ty szukasz jakiegoś Billy'ego Barnes - wzruszył ramionami. - Każdy ma to, na co zasłużył.

No cóż, trzeba przyznać, że było to naprawdę dosyć dzikie przyjęcie. Jimmy wypił piwo z jednego z trzech ustawionych tam kegow, zastanawiając się, czy tyle mu wolno, skoro nie jest mieszkańcem akademika.

Trudno było sobie wyobrazić, że ktoś mógł dostać coś więcej niż jedno darmowe piwo tylko dlatego, że wymienił nazwisko Billy'ego Barnesa, ale najwyraźniej się mylił. Gdy podszedł z powrotem do baru, student, który tam stał, nawet na niego nie spojrzawszy, natychmiast odkręcił kurek, zupełnie tak jak gdyby zareagował na widok pustego kubka, a nie na osobę, która go trzymała. Piwo ciurkało z kurka powolutku, a w tym czasie chłopak nie przerywał rozmowy z dziewczyną (tym razem, w pełni ubraną), nie wykazując najmniejszego zainteresowania kubkiem Jimmy'ego. A kiedy Jimmy przerwał mu rozmowę, żeby spytać, czy nie widział Billy'ego Barnesa, chłopak zmarszczył czoło i spytał:

- Kogo?

Następnego ranka po przebudzeniu Jimmy'ego tak okropnie bolała głowa, że przez długi czas po prostu leżał nieruchomo, nie mając odwagi nawet oczu otworzyć. Przypominał sobie słabo, że noc miał niespokojną i że śnił mu się jeden koszmar po drugim. Gdy wreszcie otworzył oczy, stwierdził, że znajduje się w jakimś obcym pokoju. Spojrzenie w sufit było mniej więcej wszystkim, na co go było stać, ponieważ nawet najlżejszy ruch wywoływał przetaczające się fale mdłości i bólu. W pokoju panowała cisza, z czego wnioskował, że jest sam. Z ulgą zamknął oczy i musiał chyba znowu zasnąć, przynajmniej na krótko, bo kiedy otworzył je ponownie, ból głowy, mimo że nadal wywoływał mdłości, wydawał się już mniej intensywny.

Niepokoilo go, że ktokolwiek był mieszkańcem tego pokoju, mógł w każdej chwili się pojawić i zażądać wyjaśnień, co Jimmy tam porabia. Pewnie nie będzie nawet wiedział, kim jest Jimmy, chyba że jakimś cudem okaże się, że to pokój Billy'ego Barnesa, ale na to były słabe szanse. Nie mógł sobie przypomnieć, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru, pamiętał jednak, że wielokrotnie pytał o swego starego przyjaciela i za każdym razem odnosił wrażenie, że Billy nie był szczególnie lubiany przez swoich kolegów. Nie żeby go to zbyt zaskoczyło, jako że w szkole średniej Billy też nie miał za wielu przyjaciół, poza kolegami z drużyny hokeja, a i to tylko dlatego, że potrafił kręcić kółka na łyżwach, jak chyba nikt inny w całym hrabstwie Dexter.

W każdym razie, jeśli nie jest to łóżko Billy'ego, pomyślał Jimmy, to im szybciej się stamtąd zmyje, tym będzie lepiej, zamknął więc oczy po raz ostatni, policzył do trzech, a potem usiadł i opuścił nogi na podłogę. Znowu otworzył oczy, ale natychmiast zamknął je z powrotem, czekając, dopóki nie przeminie kolejna fala potwornego bólu w czaszce. Gdy w końcu minęła, w szarym półmroku wczesnego poranka natychmiast ujrzał dwie rzeczy.

Po pierwsze, był kompletnie nagi, co przypomniało mu tę obnażoną od pasa w dół dziewczynę, którą poprzedniego wieczoru wszyscy wachali za opłatą, i ogarnęło go potworne podejrzenie, że coś podobnego mogło się i jemu przydarzyć, po tym jak mu się film urwał. Czy to możliwe, że zanie-siono go do tego pokoju, rozebrano do rosołu, a następnie oferowano jako okaz męskiego osobnika ciekawskim uczestniczkom przyjęcia? Niewątpli-wie, w jednej chwili pozbyłby się zawartości żołądka, gdyby nie to, że za-uważyl tę drugą rzecz, dzięki której mdłości ustąpiły miejsca fali zimnego strachu. Nieświeże białe prześcieradło, na którym spał, pokrywały jakieś czerwone plamy, aż do poduszki, a kiedy bliższa inspekcja wykazała, że lepka wilgoć jest dokładnie tym, czego się obawiał - krwią - zerwał się bly-skawicznie na równe nogi i odskoczył od łóżka tak gwałtownie, że wylądo-wał na przeciwległej ścianie. To spowodowało kolejną falę straszliwego bólu głowy, tym razem tak intensywnego, że osunąwszy się po ścianie, siadł na podłodze, gdzie pozostał z podkulonymi do piersi nogami, z rękami splecionymi wokół kostek i czołem opartym na kolanach. Ponownie zamknął oczy i zaczął rozmyślać o błogosławieństwie ciemności, która w cudowny sposób odcinała cały świat.

Pukanie w boczne okno wozu policyjnego kazało mu spojrzeć w górę i nieoczekiwanie po drugiej stronie szyby zmaterializował się Zack. Jimmy opuścił szybę i uśmiechnął się do niego. Boże, ależ ten chłopak wyrósł.

Podał mu rękę.

- Świetny mecz, synu.

Uścisnęli sobie niezręcznie dłonie.

- Szkoda, że zabrakło nam czasu - rzekł młodszy Minty. Wrócili jeszcze na boisko w drugiej połowie i dosłownie w końcówce czwartej kwarty zdoła-li zdobyć *field goal*, dzięki czemu udało im się zremisować z Fairhaven. - Zdobylibyśmy jeszcze parę punktów, gdybyśmy tylko dostali tę cholerną piłkę z powrotem.

- To pewne - zgodził się Jimmy. - Widać było, że wszyscy liczyli na cie-bie.

- Faktycznie - odparł chłopak z dumą.

- Dokąd się teraz wybierasz?

Po drugiej stronie ulicy prywatne camaro Jimmy'ego Minty stało na zapa-lonym silniku, mruczając gardłowo, zaparkowane równolegle do wozu tego drugiego profesorka. A za camaro ustawił się ten sam pikap, który wcześniej

z piskiem opon zniknął za rogiem. Z tyłu na pace nie było już nikogo i tylko trójka siedziała w szoferce. Na pokaz, bez wątpienia. Reszta tej smarkaterii czekała pewnie gdzieś za rogiem, żeby ich znowu za chwilę podebrać.

- Myślałem, żeby wyskoczyć do Fairhaven na pizzę.

- Pizzę mamy i tutaj, w Empire Falls, wiesz o tym.

- Wiem - odparł Zack. - Ale mogę pojechać?

- Myślę, że tak. Kogo masz tam z sobą? - Wychylił się, żeby zobaczyć, kto siedzi w samochodzie, ale okna były zamknięte, a camaro miało przyciemniane szyby.

- Justin. Tick Roby. I jeszcze jedna dziewczyna, Candy Burke.

Jego ojciec skinął głową, ale czekał dalej. W samochodzie siedziały cztery osoby. Tyle mógł dojrzeć, nawet przez przyciemniane szyby.

- To trzy osoby - rzekł.

Odnosił wrażenie, jakby jego syn nie miał ochoty mu powiedzieć, kim jest ostatni pasażer.

- A, jeszcze taki jeden, na imię ma John.

- John jaki?

- Chyba Voss, tak mi się wydaje.

Jimmy pokiwał głową, usiłując sobie przypomnieć, co wie na temat tego nazwiska. W lipcu chłopaka złapano na podkradaniu w supermarkecie. Jimmy dał mu ostrzeżenie i puścił wolno. Nie warto było nim sobie głowy zawracać. Ale zapamiętał go, jakiś taki strasznie pokręcony dzieciak. Zupełnie nie w typie kolegów, przynajmniej według niego, z jakimi jego chłopak by się trzymał.

- No dobra, ale jeśli ciebie przyłapię na podkradaniu w sklepie, to tak ci tyłek skopię, że popamiętasz, jasne?

- Nic z tych rzeczy - obiecał chłopak niewyraźnie.

- Wiesz, że wciąż jeszcze mogę.

- Może. - Teraz chłopak się uśmiechnął.

- Może? Niby kto komu skopie tyłek, tak? - Jimmy uśmiechnął się w odpowiedzi. - Jasne, że mógłbyś mnie powalić na ziemię, ale ja nie byłbym taki, jak ten dzieciuch, któremu dzisiaj dołożyłeś. Ja bym wstał i ci oddał.

- Wiem, że ty byś to zrobił, tato.

- Masz dość pieniędzy?

- Tak, mam.

Jimmy Minty pokiwał głową, po czym i tak wsunął mu dwudziestkę do garści.

- Weź. Możesz mi oddać, jeśli się okaże, że nie były potrzebne. - Co pewnie się nie okaże. Nie to, żeby miał coś przeciwko temu. Ale Jimmy nie chciał, żeby jego dzieciak chodził bez grosza przy duszy, jak było zawsze z nim, kiedy on miał tyle lat. Wydostanie głupiego piąta od ojca było zajęciem na cały dzień.

- Trzymaj się z dala od kłopotów. To niedobry wieczór dla ciebie, żeby jechać do Fairhaven po dzisiejszym meczu. Jak cię zamkną w areszcie za bójkę, to już moja w tym głowa, żebyś tam posiedział.

- Będę pamiętał.

- Dobrze ci radzę.

- Mogę już jechać?

- A jak tam ty i ta mała Roby, jak wam się układa?

- Och, głupia pinda, jak to ona zawsze, udaje, że mnie nie lubi.

Jimmy już chciał mu powiedzieć, żeby uważał, jak się wyraża, ale ostatecznie zrezygnował. Sam używał tego słowa w odniesieniu do matki chłopaka, chociaż ona to nią faktycznie była i w pełni sobie zasłużyła na to miano. Jak zresztą większość z nich, jak się dobrze nad tym zastanowić.

- No cóż, nie byłaby córeczką swojego tatusia, gdyby nie musiała za każdym razem utrzcć komuś nosa. Posłuchaj mojej rady i nie daj sobie w kaszę dmuchać. - Prawdę mówiąc, sam zamierzał niebawem postąpić zgodnie z tą radą.

- Nie wrócę późno.

- Rozbijesz moje camaro, a nawet nie będę słuchał, czyja to była wina - pogroził mu Jimmy, czując potrzebę udzielenia synowi ostatniego ostrzeżenia.

- Jeśli się boisz, to możemy się zamienić - odparował mądrała.

- No już, jedź, zanim dam ci mandat za parkowanie na środku ulicy.

Zack skinął głową. Nim jednak przeszedł przez jezdnię, obszedł wóz policyjny i podniósł plastikowy róg z rynsztoka, po czym przebiegł na drugą stronę i podał go kierowcy pikapa.

Kiedy tak siedział tam na podłodze z zaciśniętymi mocno powiekami, przyszło mu do głowy, że najbardziej oczywistym wyjaśnieniem dla tego zakrwawionego łóżka było to, że wciąż jeszcze śni. W końcu naprawdę przez całą noc śnił mu się jeden koszmar za drugim, bo jeszcze teraz różne strzępy docierały w przeblyskach do jego świadomości. I to musiał być ostatni z nich. Gdy znowu otworzy oczy, znajdzie się z powrotem w łóżku, może nawet w swoim własnym, z gigantycznym kacem, ale zdrow i cały. Tyle tylko

że po sprawdzeniu tej teorii w praktyce okazało się, że ciągle siedzi na podłodze pod ścianą w jakimś obcym pokoju. Jedyna różnica była taka, że teraz jeszcze zaczął jęczeć. Najwyraźniej coś potwornego wydarzyło się tu w nocy, a ponieważ on żył i oglądał ślady, wydawało się rzeczą oczywistą, że czyn nie tyle został popełniony na nim - mimo że dopiero teraz spostrzegł, iż jego własna skóra pokryta jest w kilku miejscach zakrzepłą krwią - ile raczej przez niego. Od dawna, pewnie odkąd miał piętnaście czy szesnaście lat, co wieczór przed zaśnięciem dawał upust mrocznym, brutalnym fantazjom i najwidoczniej jedna z nich w jakiś sposób się urzeczywistniła. Może wczoraj wieczorem udało mu się zaciągnąć jakąś dziewczynę do tego pokoju, a kiedy kazała mu spadać, on po prostu zabił? Jak przez mgłę pamiętał, że podczas przyjęcia usiłował namówić kilka różnych dziewczyn, żeby się z nim przespały. O ile dobrze pamiętał, żadna nie była tą propozycją nawet w słabym stopniu zainteresowana, ale widać jedna musiała dać się skusić. Znów poczuł, jak w żołądku wszystko mu się przewraca.

Pomimo pozorów psychologicznego prawdopodobieństwa tego scenariusza Jimmy Minty znalazł drobne pocieszenie w braku fizycznych dowodów na jego potwierdzenie. Jeśli faktycznie zabiłby jakąś biedną dziewczynę z żeńskiego akademika, w takim razie gdzie podziało się ciało? Na czworakach przeczołgał się z powrotem do miejsca, gdzie w nogach łóżka leżała zwinięta w kłębek pościel. Uniósł ją do góry, ale żadnej dziewczyny pod nią nie było. Przeczolgał się na drugą stronę łóżka. Tam podobnie, żadnego ciała. Z kolei sprawdził szafę, w której pełno było wszelkiego rodzaju kłopotów, z wyjątkiem martwej dziewczyny. Czy to możliwe, że usiłował ją zabić, a ona w jakiś sposób zdołała się wymknąć? Wystawił głowę na korytarz, przygotowany, że ujrzy tam ślady krwi na podłodze. Na ścianie widniała wielka plama, ale było to z całą pewnością piwo. Zamknął z powrotem drzwi.

W porządku, więc może mimo wszystko nikogo nie zabił. Ale ktoś - ktoś! - krwawił jak zarzynane prosię, bo poplamiał całe łóżko. Liczne plamy były już zaschnięte i zeskorupiałe, podobnie jak ślady na jego kolanach, na brzuchu i na klatce piersiowej. Ale w innych miejscach krew była jeszcze ciągle lepka i wilgotna. Siedząc na brzegu łóżka, Jimmy zastanawiał się przez długi moment, następnie sięgnął na podłogę, wziął czysty róg prześcieradła i starł nim plamę zaschniętej krwi z kolana, zdziwiony, że go to zapiekło i że jaskrawe krople świeżej krwi zaczęły się z wolna tworzyć wzdłuż czegoś, co teraz dopiero rozpoznał jako drobne nacięcie.

Jak cudownie było odkryć, że była to jego własna krew! Okazało się że całe ciało ma pokryte drobnymi, cienkimi jak od brzytwy skaleczeniami! Prawda, że zrobiło mu się słabo na samą myśl, ile krwi musiało z niego wyćiec, ale przynajmniej nie był mordercą. Zamierzał wstąpić do Akademii Policyjnej i nie wyglądałoby dobrze, gdyby w podaniu musiał napisać, że pojechał i zabił jakąś dziewczynę na studenckiej popijawie, nawet gdyby się wytłumaczył, że był wtedy zalany w trupa i nic nie pamiętał. Zajął mu większą część roku wymyślenie, że pójdzie do tej akademii i teraz nie chciałby zaczynać wszystkiego od początku, nawet gdyby miał dość wolnego czasu w trakcie odsiadki długiego wyroku, by przemyśleć inne możliwości kariery zawodowej. Nie, jeśli ta krew była rzeczywiście jego, oznaczało to, że nadal mógł zostać policjantem - w związku z czym przyszło mu do głowy, że obecna sytuacja wymagała podjęcia się roboty detektywa. Jak to się stało, u licha, że obudził się cały w ranach, a nie pamiętał, jak i kiedy się ich nabałwił? Prawdziwa zagadka.

Słyszał mnóstwo historii o dzikich studenckich popijawach i o dziwacznym rytuale, który nosił nazwę „fali”, a który starsi członkowie stowarzyszeń studenckich wykonywali na nowicjuszach w formie zaprzysiężenia. Przeważnie wyglądało to tak, że nowicjuszy wywożono gdzieś na wieś, tam konfiskowano im ubrania i zostawiano w polu nagusieńkich, żeby sobie sami radzili podczas upokarzającego powrotu do kampusu. Albo zmuszano ich, żeby pili do utraty przytomności. Może coś w tym stylu wydarzyło się ostatniej nocy? Wprawdzie w jego rozumieniu, aby zostać poddanym „fali”, najpierw należało być przyjętym na studia, ale kto ich tam wie? Może wzięli go za nowicjusza z bractwa Sigma Nu? Oczywiście, nikt go nie zmuszał, by pił na umór, aż mu się film urwie. Zrobił to na własne życzenie. Ale obudził się goły jak święty turecki, a to już coś znaczyło. Czy to możliwe, że wszystkie te rany koledzy studenci zadali mu po pijaku po prostu dla kawału? Dobry Boże, jedno cięcie miał nawet na kutasie!

Dobrze, że chociaż jego ubranie było zwinięte w kłębek razem z prześcieradłem, tak więc Jimmy zaczął się ostrożnie ubierać. Każdy ruch otwierał jakieś ranki, które zaczynały piec i krwawić od nowa, ale na to nie mógł nic poradzić. W budynku ciągle panowała cisza, jak się domyślał, całe towarzystwo było pewnie pogrążone w pijackim śnie. Wystarczyło tylko wymknąć się niepostrzeżenie, nim ktoś jeszcze się obudzi i zacznie się zastanawiać, kim on, do cholery jasnej, jest i co tu robi. Pozostawało otwarte pytanie: czy powinien zabrać zakrwawione prześcieradła ze sobą? Z jednej strony, nie były to jego prześcieradła, a nie chciał, by pomyślano, że jest



złodziejem. Z drugiej, usunięcie ich byłoby dobrym uczynkiem wobec właściciela pokoju, któremu w ten sposób zaoszczędziłby szoku na widok tajemniczych krwawych śladów. Poza tym cały ten sakramencki akademik byłby pewnie przekonany, że wydarzyła się tu jakaś zbrodnia, a kiedy wszyscy wytrzeźwieją, komuś się może przypomnieć dziwny przyjaciel Billy'ego Barnesa, który przypadkiem załapał się na ich popijawę.

To pociągnęłoby za sobą konieczność tłumaczenia się, a Jimmy Minty mocno powątpiewał, że zrobiłby to dość przekonująco, skoro on sam nie do końca rozumiał, co tu się mogło wydarzyć. A więc najlepiej będzie zwyczajnie podwędzić te prześcieradła.

Zaczął je ściągać z łóżka, gdy nagle zauważył jakiś błysk, zupełnie jakby zakrwawione prześcieradło zostało posypane gwiazdnym pyłem. Przyjrzał się bliżej, Jimmy pojął, że są to odłamki cienkiego jak papier szkła. Zaczął oglądać z bliska maleńki kawałeczek, który przykleił mu się do kciuka, gdy próbował go zdjąć z pościeli. Usiadł ciężko na łóżku, żeby to wszystko spokojnie przemyśleć, a po minucie uniósł głowę i spojrzał na sufit. Dokładnie nad jego głową znajdowała się pusta oprawka od żarówki. Nie, nie pusta. Poszarpany kawałek cienkiego szkła wystawał z oprawki, tyle pozostało po szklanej bańce, która eksplodowała. Nic dziwnego, że tak niespokojnie spał: spędził noc na łóżku zasłanym tłuczonym szkłem.

Skoro zagadka została rozwiązana, postanowił mimo wszystko zostawić pościel i przekonać się, czy inni też będą potrafili dojść po sznurku do kłębka. Przecznąć dalej odnalazł swój samochód, dokładnie tam, gdzie go zostawił poprzedniego wieczoru, wsunął się ostrożnie za kierownicę, bo siedzenie miał podziurawione jak sito. Tuż przed nim znajdował się budynek innego akademika, z dwiema greckimi literami widniejącymi nad drzwiami. To go zastanowiło. Akademik, do którego trafił wczoraj, miał nad drzwiami trzy symbole. „Sigma Nu”, powiedział mu Billy Barnes, podając Jimmy'emu adres. Czy były to dwie czy też trzy litery? Sig Ma Nu. No nie, trzy.

Powrót do Empire Falls nie był przyjemny, ale Jimmy Minty uśmiechał się przez całą drogę, teraz już mając pewność, że będzie z niego cholernie dobry policjant. Był również zadowolony, że odwiedził Uniwersytet Maine. Większość młodych ludzi musiała spędzić tam pełne cztery lata, żeby odkryć swoje prawdziwe powołanie, a jemu udało się do tego dojść w jedną noc.

Wóz policyjny, zaparkowany w miejscu z daleka widocznym po drugiej stronie ulicy, był pierwszą rzeczą, którą Miles zauważył, kiedy wrócił z hacjendy Whitingów. Udawaj, że go nie widzisz, powiedział sobie. W restauracji panował równie duży ruch jak poprzedniego dnia, co oznaczało, że jego pomoc na pewno się przyda. Wjechał na podwórko, zaparkował jak zwykle koło śmietnika i ruszył w stronę tylnych drzwi, ale po chwili namysłu obszedł budynek naokoło i wrócił na ulicę. Zanim jeszcze Miles zdążył dojść do krawężnika, Jimmy Minty otworzył drzwi i wysiadł z wozu. Zrobił dość zdziwioną minę, gdy Miles wyciągnął do niego rękę. A może nawet trochę zawiedziona, bo przez sekundę się zawahał, nim ją uściśnił.

- Przepraszam za dzisiejszy dzień, Jimmy - powiedział Miles, kiedy już podali sobie ręce. - Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło. Pewnie po prostu jestem przemęczony.

- Nie ma sprawy. Ładnie z twojej strony, że przepraszasz. Ale tak coś czułem, że między nami popsuje się jeszcze bardziej.

- Nie chciałbym tego, naprawdę - odparł Miles, zgodnie z prawdą. - Miałeś rację. Nie potrzeba mi wrogów. A już na pewno nie, żebyś ty był jednym z nich.

Jimmy ostrożnie skinął głową. Zajął mu dobrą minutę, zanim się upewnił, że w słowach Milesa nie kryje się żadna ironia czy sarkazm.

- Może „siadniesz” tu ze mną na moment? To jest, chciałem powiedzieć: siądziesz. Miałeś rację. Zawsze popełniam ten błąd. „Siądz”, ale „siadaj”. I „siedzenie”. Stara pani Lampley zawsze mi to podkreślała czerwonym ołówkiem. Pamiętasz ją?

Miles skinął głową.

- Ale nie mogę długo zostać - rzekł, przechodząc na drugą stronę wozu. - Zdaje się, że mamy dzisiaj tłum gości.

- Boisz się, że bez ciebie sobie nie poradzą? - spytał Minty, gdy Miles wsunął się do środka, a on sam usiadł z powrotem za kierownicą.

- Nie - uśmiechnął się Miles. - Chyba bardziej się boję, że sobie poradzą.

Jimmy pokiwał głową, jakby ta mądrość była zbyt głęboka, by przelknąć ją od razu w całości. Po chwili namysłu powiedział:

- Tak jest lepiej. Ja i ty, ot tak po prostu rozmawiamy. Bez tego, żeby zaraz wychodzić z siebie.

Miles skinął w milczeniu. Jeśli się nie mylił, była to propozycja, by przeprosić drugi raz z rzędu. A przynajmniej, by podać pełniejsze, bardziej satysfakcjonujące wytłumaczenie ich niedawnej konfrontacji.

- No więc, o co tak naprawdę chodzi między nami? - spytał policjant, potwierdzając tym samym podejrzenia Milesa. - To znaczy, ja rozumiem: zmęczony. Ale to, co było dzisiaj po południu? To już nie była chyba kwestia zmęczenia. Coś było, to fakt, ale na pewno nie zmęczenie. A przedtem, no, wtedy z twoim tatą? To też nie powiesz, że było zmęczenie.

- A według ciebie co to było? - spytał Miles, jednocześnie ciekaw i pełen nadziei, że cokolwiek Jimmy Minty wykoncytuje na ten temat, nie będzie zbyt bliskie prawdy.

- Właśnie po to siedziałem tu w wozie, próbując do tego dojść.

- Posłuchaj, przyznaję, nie powinienem poprawiać ci błędów językowych, Jimmy. Zachowałem się protekcyjnie i podle. Masz prawo być wkurzony.

Jego rozmówca milczał przez minutę, po czym wyrzucił ręce w górę tak gwałtownie i nieoczekiwanie, że Miles aż się cofnął.

- Och, do diabła z tym. Już powiedziałeś, że ci przykro, no nie?

To już trzecie podejście, pomyślał Miles.

- Przed chwilą widziałem nasze dzieciaki - odezwał się Minty znowu, przyglądając mu się uważnie. - Twoją córkę i mojego chłopaka. I paczkę innych. Wybierali się do Fairhaven na pizzę. Albo przynajmniej tak twierdzili.

- Nie jestem pewien, czy to najlepszy pomysł.

- Dokładnie to samo mu powiedziałem - przytaknął Minty znowu. - Ale z drugiej strony, jeszcze dwa lata i oboje pójdą do college'u, a wtedy już w ogóle nie będziemy wiedzieli, co porabiają, nie mam racji?

- Pewnie to prawda. - Miles uśmiechnął się z nim zgadzając.

- Chciałbyś czasem być znowu młody?

- Nigdy - odparł Miles, zadowolony, że przynajmniej na to pytanie może odpowiedzieć szczerą prawdą. - Młodość była okropna.

- Och, no, nie wiem...

- Byliśmy tacy głupi - powiedział Miles, sam zaskoczony siłą swego przekonania. - W każdym razie ja byłem.

- Wiesz, o czym rozmyślałem, zanim się zjawiłeś? Przypomniało mi się, jak raz Billy Barnes zaprosił mnie, żebym przyjechał do niego do kampusu. To musiało być jakiś rok po naszej maturze. Jego i mojej. - Zaczął Milesowi opowiadać o tej pijatyce w akademiku, a przynajmniej tę część z dryblasem i nagą dziewczyną, którą tamten miał przerzuconą przez ramię.

- Chłopie, ale się wtedy wściekłem - zakończył. - W pierwszej chwili w ogóle się nie zorientowałem, o co mu chodzi.

- Faktycznie, to było ohydne - zgodził się Miles, jednocześnie za wszelką cenę usiłując nie wyobrażać sobie własnej córki na jakimś wieczorku zapoznawczym w college'u.

Jimmy Minty spojrział na niego bezmyślnie.

- Och, chodzi ci o dziewczynę? - rzekł, mrugając oczami. - Taaak, ja też myślę, że to było spore świństwo. Ale mnie o wiele bardziej wkurzyły te chłopaczki z akademika. Jak oni się w tym wszystkim potrafilo połapać. I to, jak cię, człowieku, traktowali, jak jakiegoś pieprzonego idiotę, tylko dlatego że oni rozumieli, co jest grane, a ty nie. Czy było tak samo, kiedy ty tam pojechałeś?

Miles nie potrafił ukryć uśmiechu.

- Ja poszedłem do małego katolickiego college'u, Jimmy. Ty zobaczyłeś więcej w ciągu pierwszych pięciu minut pobytu w kampusie niż ja przez trzy i pół roku.

- Nie o to mi chodzi - powiedział Jimmy Minty z rosnącą irytacją, że nie został należycie zrozumiany. - Nie mówię o tej cipie. Ja mówię o tym, jak się człowiek czuł z powodu tych tam. Że niby oni tam przynależą, a ty nie. I że nawet nie muszą na ciebie spojrzeć, żeby to wiedzieć. Czy tak samo było z tymi twoimi katolikami?

Miles przyglądał mu się z uwagą. Zapadał zmierzch, ale nawet w półmroku panującym wewnątrz samochodu Miles mógł dojrzeć, że twarz jego rozmówcy zrobiła się czerwona z tłumionej złości. Niewinność tego pytania w zestawieniu z usilnym naleganiem Minty'ego wskazywały na stan upojenia alkoholowego, chociaż nie było po nim widać żadnych innych objawów. Wyglądało to tak, jakby Minty sformułował to pytanie w myślach wtedy przed laty i aż do tej pory nie miał okazji zadać go głośno. Tym bardziej Miles nie śpieszył się z odpowiedzią.

- Myślę, że tak, nieraz miałem wrażenie, że jestem nie na swoim miejscu - przyznał. - To znaczy, kiedy czułem, że nie pasuję do reszty, zwłaszcza na początku. Było tam sporo ludzi z Bostonu, nawet z Portland, ludzi z dużych miast, którzy wiedzieli mnóstwo rzeczy, o jakich ja nie miałem pojęcia. Ale potem przychodzi chwila, gdy nagle zdajesz sobie sprawę, że nie czujesz się już tak bardzo niekompetentny. Pewnego dnia budzisz się rano w swoim pokoju w akademiku i myślisz: spałem w swoim łóżku. To moje biurko, a to moje książki, i to jest mój świat. Potem to w domu zaczynasz czuć się obco.

Minty słuchał uważnie i Miles zdał sobie sprawę, że chociaż starannie dobierał słowa, swoją wypowiedzią jedynie potwierdził jakieś ponure podejrzenia, których tamten nie mógł, czy też nie chciał, się pozbyć.

- Chcesz powiedzieć, że byłem tam za krótko?
- No cóż, jedna noc... jedna popijawa...
- Chcesz powiedzieć, że gdybym tam został dłużej, stałbym się jednym z nich?

W gruncie rzeczy Miles nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Na drugim roku studiów Jimmy Minty byłby już tym dryblasem z nagą dziewczyną na ramieniu, ale Miles nie był głupi, żeby wypowiedzieć tę myśl na głos.

- Nie, nie to...
- W takim razie cieszę się, że tam nie zostałem.
- Jimmy...
- Nie, chwila, Miles, pieprzyć to. Usiłuję ci coś powiedzieć, kapujesz? Pozwolisz, to ci coś powiem. A może ty już wszystko wiesz?

Miles znowu odczekał chwilę, zanim odpowiedział.

- Nie ma powodu, żeby się tak gorączkować, Jimmy. Zadałeś mi pytanie, a ja ci na nie odpowiedziałem.

- Zaraz, zamknij się na chwilę, z łaski swojej. Sprawa wygląda tak. Ja się wcale nie wściekam teraz, jasne? We mnie się gotuje od paru godzin. Co ty sobie wyobrażasz, że możesz sobie stroić ze mnie żarty w obecności panny Whiting i gromady innych ludzi, a potem przyjść tu do mnie i przeprosić, kiedy nikt nie widzi ani nikt nie słyszy? Myślisz, że to załatwi całą sprawę, tak? Ale wiesz co? Może by i załatwiło, gdyby nie to, że widziałem, jaką minę zrobiłeś, kiedy wspomniałem o twojej córce i Zacku. Widziałem, na własne oczy widziałem. I nie mów mi, że nie widziałem, dobrze ci radzę, bo znowu mnie obrazisz.

Miles położył rękę na klawce.

- Przykro mi, Jimmy, że cię zdenerwowałem.
- Nie, zaczekaj, jeszcze chwila, zanim „wysiadniesz”. I zdejmij rękę z tej cholernej klawki, dopóki ja nie skończę, dobrze?

Miles spełnił polecenie.

- Ja przez cały czas usiłuję ci wytłumaczyć, że między nami jest właśnie to, a nie jakieś tam głodne kawałki o zmęczeniu. Widzisz, mnie to miasto wcale nie wydaje się obce. I nigdy się nie wydawało, ani przez sekundę. Wtedy, po tej nocy w Orono, gdy przejeżdżałem przez ten most na drodze do Empire Falls, to był chyba najszcześniejszy moment w całym moim pieprzonym życiu. Możesz się ze mnie śmiać, ale to prawda.

- Ja się wcale nie śmieję, Jimmy...
- Widzisz, mnie zależało, kto dzisiaj wygra ten mecz. Może ludzie tacy jak ty myślą, że właśnie przez to jestem nikim, ale wiesz co? Gównno mnie to

obchodzi. Pan Nikt z Empire Falls? To ja. Ostatni, który stąd wyjedzie, a przed wyjazdem zgasi światło, jasne? To miasto to ja, a ja to ono. Nie jestem jednym z tych, co to wyjeżdżają, a potem wracają. Ja byłem tu przez całutki czas. Dokładnie tu, w tym miejscu byłem, i będę tutaj, gdy jutro wszędzie słońce, a więc jeśli ty...

- Nigdy nie twierdziłem...

- Problem tego miasta, Miles, leży w takich ludziach jak ty. Wielu jest takich jak ty. Masz tu przyjaciół, kilku nawet bardzo ważnych przyjaciół. Przyznaję. Ale jest tu jeszcze coś, co cię może zaskoczy. Ludzie tacy jak ja. Coś jeszcze? To, że ja też mam przyjaciół. Może się zdziwisz, kiedy to usłyszysz, ale ja i ty mamy nawet kilkoro wspólnych - tak, tak, wspólnych! - przyjaciół. Nie tylko ciebie ludzie lubią, wiesz? I powiem ci jeszcze coś. Wiesz, co miejscowym ludziom podoba się we mnie najbardziej? Najbardziej podoba im się to, że są bardziej podobni do mnie niż do ciebie. Patrzą na mnie i widzą miasto, w którym dorastali. Widzą swoją pierwszą dziewczynę. Widzą pierwszy międzyszkolny mecz futbolu, na jaki poszli w życiu. A wiesz, co widzą, kiedy patrzą na ciebie? Że nie są dość dobrzy. Patrzą na ciebie i widzą wszystko, co kiedykolwiek w życiu spieprzyli. Słyszą, co mówisz, i może nawet myślą tak jak ty, tylko nie mogą tego powiedzieć tak samo jak ty, bo wiedzą, że nikt im nigdy nie uwierzy i nie przyzna racji. Widzą ciebie i twoją pryncypałową, jak pochylacie głowy ku sobie i radzicie, jak i co ma być, ciągnąc tę waszą elegancką gadkę i przerzucając się tymi waszymi żarcikami, i wiedzą, że nie pasują do żadnego z was i nigdy nie będą. A ja? Zawsze może się zdarzyć, że kiedyś będzie im po drodze ze mną. Dlatego właśnie tak mnie lubią. I prawdopodobnie to jest powód, dla którego zostanę nowym szefem policji. Podoba im się moja postawa, jak ty byś to, sądzą, ujął. Ale wiesz co? Taka postawa jak twoja? Taka postawa jak twoja może prowadzić do różnych rzeczy.

Nareszcie Miles miał tego dosyć.

- Czy ty mi grozisz, Jimmy? - spytał. - Bo jeszcze nie jesteś nowym szefem policji. Czy Bill Daws wie, kto przejmuje jego stanowisko?

W oczach Minty'ego pojawił się ledwie dostrzegalny przebłysk strachu; przez sekundę kombinował, czy nie zagalopował się za daleko, jednak napięcie błyskawicznie minęło.

- Grozić tobie? - powiedział z niedowierzaniem. - Grozić tobie? Czy kiedykolwiek zdarzyło się, że chciałem być kimś innym niż tylko twoim przyjacielem? No, powiedz mi? Kiedy?

I naturalnie Miles wiedział, że na ten swój pokręcony i groteskowy sposób Jimmy Minty mówił szczerze i prosto z serca. Tego właśnie pragnął.

I naprawdę nie rozumiał, dlaczego nie może tego mieć. I wcale to nie znaczyło - musiał przyznać Miles, wysiadając z jego wozu i przechodząc na drugą stronę Empire Avenue - że był głupi. Bo w końcu jak świat długi i szeroki, czym była ziemia, jeśli nie miejscem zamieszkanym przez ludzi, których serca są pełne tęsknoty za marzeniami niemożliwymi do spełnienia, marzeniami, które na przekór prawom logiki, zasadom prawdopodobieństwa, a nawet upływowi czasu, stają się wieczne i trwale niczym polerowany marmur?

## 18

W niedzielę rano, za pięć szósta, nieprzytomny z niewyspania Miles Ro-by szedł na dół do restauracji, żeby przygotować wszystko dla porannej zmiany, i zastał tam mężczyznę, leżącego bezwładnie z czołem opartym o laminowany blat kontuaru, zupełnie jakby się tam przykleił. Minęła chyba minuta, zanim Miles rozpoznał w nim kucharza. Buster powrócił ze swego dorocznego, heroicznego pijaństwa, które tym razem najwyraźniej omal go nie zabiło. Obok niego leżał egzemplarz niedzielnej gazety, a dzbanek ze świeżą kawą parował w Bunn-O-Maticu, co wskazywałoby na to, że Buster nie do końca zapomniał swoich umiejętności.

Nie chcąc go budzić, Miles sam włączył elektryczny grill i zapełnił jego połyskliwą powierzchnię paseczkami bekonu, w ilości półtora kilograma. Gdy zaczęły skwierczeć, wziął do ręki gazetę, której pierwsza strona poświęcona była niemal w całości sobotniemu meczowi futbolu i między innymi zawierała dwie fotografie Zacka Minty, jedną, dużego formatu, jak unosi do góry odzyskaną piłkę, i drugą mniejszą, jak pomaga zejść z boiska kontuzjowanemu quarterbackowi drużyny Fairhaven. Po spóźnionym faulu, który na moment przed końcem pierwszej połowy pozbawił go przytomności, chłopak do końca meczu nie wrócił już do gry. Z niezbyt przytomnym wyrazem twarzy przesiedział na ławce, a tymczasem Empire Falls po kawałeczku wyrównywało wynik: tutaj punkt *za field goal*, tam za przyłożenie, aż drużyna gospodarzy, niespełna minutę przed końcem spotkania, zremisowała mecz. Nie dziwota, że „Empire Gazette” przedstawiła mecz w podobnym świetle, jak odebrali go miejscowi kibice, jako upokarzającą porażkę dla Fairhaven, które do końca pierwszej połowy prowadziło przecież z wynikiem 24:0.

Na tytułowej stronie była jeszcze niespodzianka, która zwróciła uwagę Milesa, w rubryce „Z życia wzięte”. Od kilku lat w numerze niedzielnym „Gazette” zamieszczała stare fotografie Empire Falls i jego obywateli z czasów chwały. Cykl nosił tytuł „Tak było kiedyś” i latem, na przykład, zamieszczono zdjęcie Empire Grilla, mniej więcej z roku 1960, przedstawiające starego Rogera Sperry, który swoim wyglądem bardziej pasował do rybackiego kutra niż do miejsca przy kasie fiskalnej. Dalej widniał kontuar baru, za którym stało kilku pracowników, a pierwszy plan obejmował salę restauracji, z jej ciemnymi wnękami, zapełnionymi przez klientów. W głębi na ścianie wisiała reklama hamburgera z dodatkiem pieczonej cebuli, ziemniaków purée, sałatki i bułki, za dolara i ćwierć. Jeden z młodszych mężczyzn, uwiecznionych przy kontuarze, nadal przychodził do restauracji i jak zwykle siadywał na tym samym stołku w końcu baru, jeśli tylko miejsce było wolne. Z powodów, które nie były dla Milesa do końca zrozumiałe, podobno publikowane fotografie wzbudzały powszechną radość mieszkańców miasta. Widocznie ludziom sprawiało przyjemność wspomnienie, że czterdzieści lat temu w soboty na Empire Avenue kwitł handel i wszędzie były tłumy, gdy tymczasem teraz w tym samym miejscu można było spokojnie puścić serię z broni maszynowej i nie zranić żywej duszy.

Niektóre postaci na zdjęciach w „Gazette” były podpisane, ale inne pozostawały niezidentyfikowane. Czy ktoś rozpoznaje tego mężczyznę? A tę kobietę? Kim byli ci ludzie i co dla nas znaczyli? - zdawały się pytać wszystkie te fotografie. Co się z nimi stało? Jeśli wyjechali, to dokąd? Dlaczego my pozostaliśmy? Rubryka „Tak było kiedyś” nieodmiennie budziła w Milesie uczucie, jakby samo miasto oczekiwało jakiegoś kataklizmu, który wreszcie położyłby mu ostateczny kres.

Dzisiejsza fotografia przedstawiała pracowników biura starej Fabryki Koszul w Empire Falls i została wykonana w 1966, na rok przed zamknięciem zakładu, a jedyną osobą w drugim rzędzie, która nie patrzyła w obiektyw, była młoda i piękna Grace Roby. Miles sprawdził prędko podpis u dołu, by z ulgą stwierdzić, że jego matka znalazła się w gronie osób zidentyfikowanych, albowiem pytanie „Czy ktoś poznaje tę kobietę?” w odniesieniu do niej chyba by mu złamało serce. Mimo to, niespodziewany widok matki wywołał w Milesie uczucie trochę podobne do tego, jakie mogłoby ogarnąć kogoś, kto stojąc na torach kolejowych, poczułby czy też wyobraziłby sobie dalekie drżenie czegoś wielkiego, co nieubłaganie zbliżało się w jego stronę. Przypuszczalnie miało to związek z faktem, że Grace nie spoglądała w



obiektyw, tylko gdzieś w bok, co mogło sugerować, że ona również nasłuchiwała tego samego odgłosu dalekiego dudnienia. Milesowi przymknęło przez myśl, że jeśli w istocie to, co słyszała, było przecuciem własnej śmiertelności, było to bliżej, niż sądziła.

Miles rozpoznał również wiele innych osób na tym zdjęciu, jedni już zmarli, inni jeszcze żyli, a kilkoro z nich nadal mieszkało w Empire Falls. Byli też tacy, którzy dawno wyjechali. W pewnej chwili wydawało mu się, że zna bardzo dobrze kogoś z fotografii, ale zaraz zdał sobie sprawę, że musi to być jego ojciec. A na skraju pierwszego rzędu stał niewysoki mężczyzna z siwą brodą, ubrany w trzyczęściowy garnitur. C. B. Whiting we własnej osobie, właściciel Fabryki Koszul w Empire Falls. Nawet jeśli już wtedy jakaś tragedia wisiała nad małżonkiem pani Whiting, nic nie wskazywało, że był tego świadomy. Miles spróbował wyliczyć, ile lat mogło upłynąć od momentu zrobienia tego zdjęcia do dnia, w którym C. B. Whiting powrócił ze swego wygnania w Meksyku, by przyłożyć chłodną lufę rewolweru do pulsującej skroni. Jakie to dziwne, pomyślał, że nie dalej jak wczoraj stał u stóp grobu tego człowieka.

Po meczu, kiedy już tłum się rozszedł, a oni pomalutku i ostrożnie wrócili do samochodu Milesa, Cindy zapytała go, czy nie miałby ochoty na krótki spacer, a on popełnił ten błąd, że zgodził się, zanim wypytał dokładniej, co miała na myśli.

- Moim zdaniem, jest to najładniejsze miejsce w mieście - powiedziała jego towarzyszka, kiedy już szli starannie utrzymaną ścieżką, przy czym Cindy opierała się teraz mocniej o swoją laskę niż o Milesa, chociaż nadal trzymała go kureczowo za łokieć, na wszelki wypadek. Utrata równowagi w ławkach na trybunie i upadek, zakończony w ramionach Jimmy'ego Minty, bardzo ją zdenerwowały.

Na jej prośbę zaparkował przed wschodnią bramą, która znajdowała się najbliżej kwatery należącej do Whitingów. Było już późne popołudnie, niebo zachmurzyło się i zerwał się przenikliwy wiatr, szeleszcząc w brunatnym listowiu wzdłuż ścieżki.

- Tak, rzeczywiście, jest tu spokojnie - przyznał Miles, wciągając głęboko powietrze w nozdrza. Czy była to tylko jego wyobraźnia, czy też faktycznie w powietrzu czuć było zapach kociego moczu? Od chwili, gdy weszli na cmentarz, Miles zauważył kilka kotów, przemykających się między grobami. To chyba nie mogły być dzikie koty? Nie chciał nawet myśleć, co stanowiłoby ich pożywienie na cmentarzu. Opuchlizna w miejscu, gdzie ugryzła go kotka Whitingów, wprawdzie już zeszła, ale nadal czuł w tym miejscu pulsowanie, które zachęcało do drapania. Tym razem jednak Miles postanowił

oprzeć się pokusie. Ulicą przejechał cicho wóz policyjny, ale od żelaznego ogrodzenia dzieliło ich jakieś sto metrów, zbyt daleko, żeby stwierdzić, czy to Jimmy Minty siedział za kierownicą. Cindy również odprowadziła go wzrokiem, dopóki wóz nie skręcił w Elm Street, skąd droga wiodła z powrotem do miasta.

Dotarli na szczyt wzgórza, skąd rzekę ledwie było widać w oddali, tylko promień mocnego popołudniowego słońca, który przebił się przez chmury, nadawał jej wodom elektryzujący błękitny blask. Zatrzymawszy się przed grobem ojca, Cindy powiedziała:

- On mnie tu czasem przywozi.

Miles przez chwilę analizował to zdanie. Znając odwieczną niechęć swojej towarzyszki do metafor, doszedł do wniosku, że nie mogła twierdzić, iż to C. B. Whiting sprowadzał ją w to miejsce w jakiś nadnaturalny sposób.

- Kto taki? - postanowił zapytać.

- James.

Nie wiedział, o kogo chodzi.

- James?

- James Minty. Jimmy.

Spojrzała na Milesa, jakby nie potrafiła rozsądzić, czy jest zbyt powolny, żeby zrozumieć, czy też nie słucha uważnie, co się do niego mówi. On tymczasem próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszał, żeby ktoś mówił o Mintym James, ale bezskutecznie.

- Zdaje się, że nie byłem dla ciebie zbyt dobrym przyjacielem - stwierdził po chwili. Musiał niechętnie przyznać sam przed sobą, że jako dorosły człowiek pozostał równie powściągliwy wobec niej, jak był w dzieciństwie. Bo w końcu ile czasu zajęłoby mu przywiezienie Cindy tutaj na grób ojca podczas jej rzadkich i krótkich wizyt w Empire Falls?

- Och, Miles, byłeś żonaty - powiedziała, najwyraźniej czytając w jego myślach.

Na grobie C. B. Whitinga stała duża donica, w której rosło coś, co kiedyś musiało być nagietkami. Kwiaty zwiędły, główki im opadły i zbrązowiły, a donica zapełniła się pokruszonymi liśćmi. Zapach uryny był tu jeszcze wyraźniejszy niż gdzie indziej.

- Postawiłam je zaledwie przed paroma dniami - rzekła Cindy, nachylając się ostrożnie, by przyjrzeć się nagietkom. - Powinny lepiej się trzymać. - Zamilkła na chwilę. - James pracuje dla mojej matki, wiedziałeś o tym? Jestem pewna, że zapłaciła mu i za ten raz.

- Pracuje dla niej? W jakim sensie? - spytał Miles.

- Różne rzeczy robi. Pilnuje domu, gdy mama jest w podróży. Pomógł jej założyć system alarmowy. Ma oko na stare zakłady.

Miles pokiwał głową, powstrzymując się od uśmiechu. Jeśli była jakaś osoba w Empire Falls, co do której nie życzyłby sobie, by znała szczegóły jego systemu zabezpieczeń, zakładając, że stać by go było na taki i że posiadałby rzeczy warte ukradzenia, to tą osobą byłby z całą pewnością Jimmy Minty. Ale może jest niesprawiedliwy? Możliwe, że Jimmy potrafi być zarówno wdzięczny, jak lojalny w stosunku do kogoś, kto traktuje go przyzwyczajenie. Jednocześnie Miles zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, i to dwukrotnie, prowokując Jimmy'ego, błąd, którego naprawienie nie było ani zbyt upokarzające, ani tak całkiem niemożliwe.

- Szczerze mówiąc - ciągnęła Cindy - mama oczekuje od niego, że biedak będzie na każde zawołanie.

- Twoja matka od wszystkich bez wyjątku oczekuje, że będą na każde zawołanie.

- Nie powtórzę jej, że to powiedziałaś - ścisnęła go za rękę.

- Możesz, jeśli masz ochotę - odparł pogodnie.

- Drogi Milesie - rzekła. - Jesteś jedyną osobą, której ona pozwala na impertynencje w swojej obecności. Wiedziałeś o tym?

- Nie powiem, żeby mi to wiele dawało.

- Traktuje cię jak rodzzonego syna, wiesz?

Słyszając to, nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Czyżby? Jak syna, którym przez całe życie była zawiedziona.

- On był tak straszliwie nieszczęśliwy - powiedziała Cindy w taki sposób, jakby ta jej uwaga naturalnie nawiązywała do jego ostatnich słów. Wypuściwszy dłoń Milesa, zbliżyła się do pomnika i palcem wskazującym przesunęła po nazwisku ojca, wrytym w kamieniu. W porównaniu z nagrobkami upamiętniającymi innych męskich członków rodu Whitingów, na przykład Honusa i Eliasza, pomnik C. B. był drobny i niepozorny, jakkolwiek wykonany w takim samym stylu i kształcie jak pozostałe. Fakt, że był od nich znacznie mniejszy, sprawiał wrażenie, jak gdyby sam kamień nie wyrósł w tym miejscu tak, jak powinien. Jakby przodkowie wysali z ziemi wszystkie składniki odżywcze. Uschnięte nagietki tylko pogłębiały to wrażenie.

- Mama twierdzi, że on był słabym człowiekiem, który nigdy nie chciał być Whitingiem, ale chętnie korzystał z pieniędzy i przywilejów. Wiedziałeś, że miał drugą rodzinę w Meksyku?

- Nie miałem pojęcia.

I trzeba przyznać, że uznał to za dość szokującą informację.

- Po tym, jak... no, wiesz, po jego śmierci mama otrzymała list od tej kobiety. Chciała pieniędzy, naturalnie. Dla siebie i swojego małego synka, którego z nim miała. Napisała mamie, że byli razem bardzo szczęśliwi, ale ja w to nie wierzę. To mama nie pozwalała mu wrócić do domu.

Miles skinął głową, zastanawiając się, czy przypadkiem Cindy nie doszła do tego wniosku tylko dlatego, że odczuwała taką rozpaczliwą potrzebę. Jako chłopiec często zadawał sobie pytanie, dlaczego Max ciągle zniknął na tyle długich miesięcy, pozostawiając jego i matkę, a później i małego braciśka, zdanych wyłącznie na siebie, i na tej podstawie wywnioskował, że pewnie Cindy również musiała zadawać sobie podobne pytania, a być może nawet obarczała siebie winą za wszystko, podobnie jak czynił to Miles. Jeśli wierzyła, że jej ojciec pragnął powrócić do domu, to przypuszczalnie dlatego, że on sam jej tak napisał w kartce świątecznej na Boże Narodzenie czy z okazji urodzin. Jednocześnie Milesowi przyszło do głowy, że człowiek, który wybudował hacjendę w sercu stanu Maine, rzeczywiście musiał w Meksyku czuć się jak w domu.

- A czy kiedykolwiek powiedziała ci dlaczego?

- Tylko, że był niedobry. Tak się dokładnie wyraziła - w jej głosie zabrzmiała gorycz. - Tyle razy błagałam ją, żebyśmy pojechały do niego do Meksyku, ale na to też nie chciała się zgodzić. - Twój ojciec był niedobry. Najpierw sam nie chciał mieć rodziny, to teraz nie może jej mieć.

Woń uryny zaczęła dawać się Milesowi we znaki.

- Czy to dobry pomysł, że tak tu stoimy na chłodzie?

- Chodzi ci o mnie?

Kiwnął głową, nieśmiało i bezradnie.

- Kochany Miles, jesteś taki słodki, że się o mnie martwisz - powiedziała, znowu ściskając go za rękę. - Ale mam to już za sobą. Nawet moi lekarze tak twierdzą. W tej chwili chce mi się żyć, a nie kończyć z życiem. Zwłaszcza teraz, kiedy wszystko zaczyna się układać. - Pewnie mówiąc to, miała jego na myśli, zaniepokoił się Miles. - Mimo to możemy wracać, jeśli ty tego chcesz - dorzuciła.

Ruszyli z powrotem do samochodu, wybierając, zgodnie z przewidywaniami Milesa, ścieżkę biegnącą koło grobu jego matki. Tam również stała identyczna donica z nagietkami, z tą różnicą, że te były w pełnym rozkwicie, a ich jaskrawożółte płatki wyglądały zdrowo i lśniaco.

- To wygląda tak, jakby nawet kwiaty wiedziały, że zdołają grób dobrego człowieka - powiedziała Cindy ze smutkiem. - Myślisz, że to głupie, co mówię, Miles?

- Rzeczywiście, tak - przyznał. - Ale rozumiem, o co ci chodzi.

Bustera obudziło własne chrapnięcie. Przez moment wyglądał jak człowiek na którejś z tych fotografii w „Empire Gazette”, w gronie niezidentyfikowanych osób. Miles sięgnął pod szufladę kasy, skąd wyciągnął czek, który leżał tam od pierwszego września, po czym wręczył go Busterowi. Ten przyglądał mu się przez chwilę, a potem spytał:

- Jestem zwolniony?

Miles nalał jedną filiżankę kawy jemu, a drugą sobie.

- Zamierzałem jutro rano umieścić ogłoszenie w prasie - przyznał. - Dość długo byłeś NBU - nieobecny bez usprawiedliwienia. Co się stało z twoim okiem?

Było to jedno z najbardziej oczywistych pytań, jakie Miles mógł w tej chwili zadać. Buster był blady, wymizerowany i brudny, minę miał speszoną i zakłopotaną, jednym słowem, wyglądał jak chory, zabiedzony pies. A na dodatek jedno oko spuchło mu tak, że nie mógł go otworzyć, a z kącika ciepla ropa. Miles nie miał wątpliwości, iż mógłby usłyszeć rozmaite historie jako wyjaśnienie tego opłakanego stanu. Zakonotował sobie w myślach, żeby nie dopuścić, by Buster pracował na jednej zmianie z Maxem, dopóki ten pierwszy jako tako się nie pozbiera i nie wróci do normy. Już widok każdego z nich z osobna mógł w klientach wzbudzić obawy co do jakości jedzenia, ale oglądanie tej dwójki razem mogłoby wywołać paniczny odruch natychmiastowej ucieczki.

- Pająk mnie ukąsił - stwierdził Buster, ostrożnie osuszając ropę różkiem serwetki. Miles musiał odwrócić wzrok. I bez tego rano miał zawsze kłopoty z żołądkiem. - Na ulicy stoi jakiś chłopaczek, który bardzo dziwnie wygląda - ciągnął Buster. - Twierdzi, że tu pracuje.

Miles obszedł kontuar dookoła i zbliżył się do drzwi frontowych, gdzie John Voss stał na stopniu, nieporuszony, z rękami w kieszeniach. Ciepła piękna pogoda wczorajszego popołudnia wydawała się dalekim wspomnieniem. Tego ranka wyczuwało się już zimę w powietrzu. Na odgłos przekręcanej zamka chłopak podniósł oczy i cofnął się szybko na chodnik.

- Bo rzeczywiście on tu pracuje - odpowiedział Miles Busterowi, wracając za kontuar. - To nasz nowy pomocnik.

- Wygląda raczej jak jakiś seryjny morderca.

- To raczej ty wyglądasz jak seryjny morderca - zauważył Miles. - On może jest za spokojny, ale pracuje całkiem dobrze, jak się zdaje.

Obaj jednocześnie obejrzeni się ponownie na drzwi, jakby wyczuli, że John Voss nie wszedł jeszcze do środka. Milesowi wpadło do głowy, że może chłopak czeka na wyraźne polecenie. I rzeczywiście, gdy podszedł powtórnie do drzwi, zastał Vossa na chodniku, dokładnie tam, gdzie go zostawił - najwyraźniej czekał na zaproszenie.

- Możesz wejść - rzekł Miles.

Chłopak skinął głową, po czym wpadł do środka z niespodziewanym impetem. Miles poszedł za nim na zaplecze.

- Zaczynj tymczasem od tych rondli - wskazał na wielką górę brudnych naczyń z poprzedniego wieczoru. Znowu brakowało im ludzi i Miles powiedział, żeby namoczyli wszystko w zlewie i tak zostawili, wiedząc, że nowy chłopak przychodzi wcześniej rano. Poza tym w niedzielę pracowali krótko. Restaurację otwierali jedynie na śniadanie i mieli zawsze tak niewielu klientów, że ten wysiłek praktycznie się nie opłacał. Właściwie, zważywszy na to, że piątkowe i sobotnie wieczory szły naprawdę dobrze, miałyby sens w ogóle nie otwierać i dać wszystkim wolny dzień. Pozwoliłoby to Milesowi na wzięcie udziału w porannej mszy, na którą z tego powodu nie mógł chodzić. Zwykle tak organizował sobie pracę w tygodniu, żeby w sobotę po południu mieć wolny czas, by móc się wymknąć na mszę o siedemnastej trzydzieści, ale dla starego ministranta to nie było to samo. Wczoraj, z powodu popołudniowej wyprawy z Cindy Whiting na cmentarz, był zmuszony opuścić nawet i tę mszę, przez co dziś rano czuł się lekko wytrącony z ustalonego rytmu.

Kiedy tak stał w kuchni, przyglądając się, jak John Voss napełnia zlewomywak wodą i zabiera się do szorowania, Milesowi przypomniało się dziwne ostrzeżenie, jakiego udzielił mu Horacy w piątek wieczorem, a także słowa wdzięczności wyrażone przez Otto Meyera za to, że dał chłopakowi pracę. Usiłował sobie wyobrazić, jak poza tym wyglądało życie tego dziwnego dzieciaka. Start życiowy miał tak kiepski, że, zdaniem Milesa, było mu wręcz pisane, by stać się przedmiotem przyszłych dociekań w rodzaju: „Czy ktoś poznaje tego chłopca na fotografii?”. To znaczy, zakładając, że kiedykolwiek tak się złoży, że znajdzie się w ogóle na jakimś zdjęciu. Bo to chłopcy tacy jak Zack Minty z reguły trafiali na łamy gazet. Z drugiej strony, kto to mógł wiedzieć? Może okaże się, że ten chłopak to drugi Bill Gates?

- A tak przy okazji, gratuluję - odezwał się Miles. A kiedy chłopak zamarł,

nie podnosząc głowy, dodał: - Słyszałem, że twój obraz został wybrany na wystawę plastyczną.

- I praca Tick też - odparł John, wciąż nie patrząc do góry, chociaż Miles mógł zobaczyć jego oczy, rzucające niespokojne spojrzenia na boki, jakby ze strachu, że udzielenie aż tylu informacji naraz mogło pociągnąć za sobą jakieś straszliwe konsekwencje.

Wróciwszy z zaplecza, Miles zaczął przewracać paski bekonu na grillu. Zwykle obsmażał je lekko, nim zjawiły się pierwsze zamówienia, a potem tylko rumienił odpowiednio do życzeń klientów. Mimo że żołądek już mu się trochę unormował, nadal miał to dziwne uczucie, jakby stał na torach kolejowych, czekając na zbliżający się pociąg - przypuszczalnie rezultat kolejnej nieprzespanej nocy. Razem z Davidem zamknęli restaurację o dziesiątej trzydziści i Miles, kompletnie wyczerpany, poszedł na górę, gdzie od razu zasnął, w ubraniu, z pilotem od telewizora w rękę, zanim jeszcze zdążył go włączyć. Ocknął się ze zdrygnięciem, wyrwany z koszmarnego snu, w którym szukał laski Cindy Whiting pod ławkami na boisku Empire Field, ale zamiast laski znalazł Tick, zwiniętą w kłębek, jakby śpiącą pośród pudełek po hot dogach i pustych kubków styropianowych. Tyle że Tick nie spała. Uświadomił to sobie dosłownie na sekundę przed tym, jak jego gwałtowne zdrygnięcie posłało pilota od telewizora na podłogę, gdzie wpadł pod paletę z kartonami papierowych ręczników. Spojrzał na zegarek, dochodziła północ, za późno, żeby dzwonić, ale nim zdołał sobie wyperswadować swoją panikę, już wykręcał numer. Janine odebrała po pierwszym sygnale.

- Wszystko w porządku? Tick wróciła? - wyjąkał niewyraźnie.

- Miles - powiedziała Janine takim tonem, jakby posiadała długą listę ludzi, którym pozwalała telefonować do siebie o tak późnej porze, a on się na niej nie znajdował.

- Czy Tick jest już z powrotem w domu?

- Jeszcze nie.

- Janine, jest już północ.

- Wiem, która godzina, Miles. Czy coś się stało?

- Czy byłabyś tak dobra i zadzwoniła do mnie, jak ona wróci?

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- To może głupie - przyznał. W rzeczywistości samo brzmienie głosu jego już-wkrótce-byłej żony, nawet jej niebotyczna irytacja działały uspokajająco. - Zasnąłem. I w tym śnie... I ona była ranna...

Jej głos trochę złagodniał.

- Jestem pewna, że nic jej się nie stało, Miles. Ma wrócić najpóźniej o północy. Niedługo będzie w domu.

- Ale zadzwonisz do mnie, tak? - poprosił. - I przekaz Waltowi, że przepraszam za ten późny telefon.

- Chcesz, żebym go obudziła teraz czy mogę mu o tym powiedzieć jutro rano?

Jej irytacja znowu podskoczyła o kilka stopni, tyle że tym razem chyba nie w stosunku do niego.

- Nie, nie, może być rano.

- To dobrze - powiedziała. - Człowiek w jego wieku potrzebuje wypoczynku.

O co jej, na Boga, chodziło tym razem? Ale zaraz Miles sam sobie przypomniał, że w gruncie rzeczy nie chce tego wiedzieć. A mimo to:

- Czy wszystko w porządku, Janine?

- Cudownie, Miles. Wszystko jest wprost cudownie. A dlaczego pytasz?

- Zadzwon do mnie, kiedy wróci, zgoda?

- Nie masz ochoty ze mną rozmawiać, to chciałeś powiedzieć, tak?

- Czy ty... - przerwał. - Janine, czy ty coś teraz pijesz?

- Może odrobinę. Czy to ci przeszkadza?

- To nie moja sprawa.

- Masz rację - powiedziała. A potem, po krótkiej chwili: - Znowu próbowałam wspomnieć Waltowi o sprawie domu. Powiedziałam mu, że będę chciała spłacić twoją część, jak tylko się pobierzemy.

- A co on na to?

- Widziałeś kiedyś krowę, jak przeżuwa?

- Nie musisz wychodzić za niego za męża, wiesz przecież.

- No tak, wiem, ale powiedzmy, że chcę, jasne?

- Rozumiem. Nie mówiłem, że nie powinnaś, tylko że nie musisz.

- Wiem, Miles. Jeśli o ciebie chodzi, to mogę sobie robić, co mi się żywnie podoba, w tym również iść do diabła, mam rację?

Miles uświadomił sobie, że rozmowy takie jak ta są ceną, jaką się płaci za słaby refleks.

- Janine.

- Czy to z Cindy Whiting byłeś na meczu?

- Tak.

- Gdybyś się z nią ożenił, już nie byłoby sprawy z tym gównianym domem,



który jest nic niewart. Miałbyś na własność połowę tego pieprzonego miasta. Mógłbyś opłacić college dla Tick, a potem się stąd wynieść i nigdy więcej nie oglądać mnie na oczy.

Jeśli Miles się nie mylił, to teraz zaczęła cicho płakać, zasłaniając dłonią słuchawkę.

- Janine...

Długa chwila stłumionej ciszy, a potem:

- Właśnie przyjechali. Już dobrze?

- Janine.

- Twoja córka wróciła i jest bezpieczna. Widzę ją przez okno. Idź spać.

- Janine...

Ale ona już odwiesiła słuchawkę.

- No więc jak, mogę mieć dziś wolne? - spytał Buster, jakby sugerował, że on miał dziś o wiele gorszą noc niż Miles.

Miles przełożył podsmażony bekon do miski ze stali nierdzewnej.

- Koniecznie - powiedział. - Prawdę mówiąc, nawet nie chcę, żebyś się tu pokazywał, dopóki to oko nie przestanie ci ropieć.

- Założę się, że skończy się na tym, że trzeba będzie to cholerstwo przeciąć - powiedział Buster markotnie, tak jakby życie oferowało niewiele więcej ponad ciąg równie okropnych nieszczęść i niedoli. - Kompletnie nie rozumiem, po co ja wciąż jeżdżę na to zadupie do Allagash. Ludzie myślą, że tam na północy jest spokojnie, ale są w błędzie. To jeden wielki chlew, tam się każde gówno może do człowieka przyplątać.

Krawędzią szpatułki Miles zgarnął prawie cały tłuszcz wytopiony z bekonu i zlał do rynienki, a następnie wrzucił na grill trochę posiekanej cebuli.

- Masz pojęcie, jak wysoki jest procent alkoholizmu na północy? - spytał Buster z powagą.

- Normalnie czy wtedy, kiedy ty się tam zjawiasz?

- Normalnie.

- Dość wysoki?

- Gorzej - stwierdził Buster, jakby był z góry przygotowany na zaniżoną ocenę. - Oczywiście wiadomo, że w pobliżu granicy ludziom nie wiedzie się tak dobrze, jak w pozostałej części stanu.

Miles odwrócił się, żeby przyjrzeć się swojemu kucharzowi, próbując się doszukać choćby śladu ironii.

- Czuję, że miałbym ochotę na parę kawałeczków tego bekonu - rzekł Buster. - Może być i jajko.

Miles przyrządził jajecznicę z dwóch i przełożył ją na talerz, wraz z kilkoma paskami bekonu i tostem. Buster zabrał się do jedzenia ze znacznie większym apetytem, niż Miles mógłby się spodziewać po człowieku, którego żółtko wyciekło z jednego oka.

- Nie trzeba było na mnie czekać - rzekł, odsuwając wyjedzony do czysta talerz. - Trzeba było dać moje miejsce komu innemu.

- Wiem o tym - przyznał Miles.

- Masz za miękkie serce - ciągnął Buster. - Ludzie cię wykorzystują.

- To też wiem - przyznał Miles, mając nadzieję, że przerwie te rozważania na temat swojej osoby.

Za oknem dostrzegł zardzewiałego gruchota Charlene, który skręcił z Empire Avenue na parking, ale po raz pierwszy od dwudziestu lat jej bliskość nie spowodowała, że Milesowi podskoczyło serce, tak jakby defetyzm Bustera, skrajnie wyczerpanego i z tym jego zaropiałym okiem, niepostrzeżenie przedostał się ponad laminowanym blatem kontuaru i jakimś cudem przeniknął do krwiobiegu Milesa. Buster postawił filiżankę z kawą na „Empire Gazette”, która zadziałała jak bibuła, i kiedy Miles przestawił filiżankę na kontuar, okazało się, że na fotografii w gazecie pozostało mokre kółko, akurat na twarzy jego matki.

- A wszystko dlatego, że z ciebie taki straszny naiwniak - powiedział Buster, nagle nie wiedząc czemu rozżłoszczony. Dłuższą chwilę przyglądał się, jak Miles osusza rozmoczony druk serwetką, a potem nieoczekiwanie zaczął płakać.

- Przepraszam, Miles - powiedział po chwili. Może usłyszał, jak drzwi od zaplecza otwierają się i zamykają, i wiedział, że za minutę Charlene do nich dołączy. A Charlene była zbyt piękną kobietą, żeby płakać w jej obecności. - Sam nie wiem, co mnie napadło. Naprawdę nie mam pojęcia.

- Jedź do domu, Buster - rzekł Miles, nie podnosząc wzroku znad fotografii, gdzie wprawdzie matki nie dało się już rozpoznać, ale za to zobaczył coś, czego nie zauważył wcześniej. Teraz nie miał już cienia wątpliwości. To „coś” naprawdę nadciągało. Tory kolejowe, na których stał, wibrowały wprawiane w drżenie jakąś potężną siłą, a mimo to nie mógł się ruszyć z miejsca. Wyczuł raczej, niż zobaczył, że Buster zsuwa się ze stołka i znika, nie zwrócił też uwagi, ile razy Charlene, stojąc u jego boku, wołała go po imieniu, nim w końcu podniósł wzrok i napotkał spojrzenie jej zaniepokojonych oczu.

- Wszystko w porządku? - spytała. - Bo jakoś dziwnie wyglądasz.

Gdyby zjawiała się tam o parę sekund wcześniej, zauważyłaby, jak Miles kładzie koniuszek palca wskazującego na dolnej partii brodatej twarzy C. B.

Whitinga, ale nawet wtedy i tak by nie zrozumiała, co to oznaczało - że twarz, która spoglądała teraz na niego, nie należała, jak twierdziła redakcja „Empire Gazette”, do C. B. Whitinga, tylko do Charliego Mayne.

## 19

Kiedy autobus zjechał nareszcie na końcowy przystanek w Fairhaven, obietnica, jaką Miles dał matce tego ranka - że nikomu nie wspomni o Charliem Mayne - już zaczęła mu ciążyć. Nie wyobrażał sobie, że przyrzeczenie, tak łatwo złożone na promie zacumowanym w porcie Vineyard, zmieni się w taki ciężar, i to zaledwie w ciągu kilku godzin. Przyłączyli się do Woods Hole, gdzie wsiadli do autobusu do Bostonu, tam mieli przesiadkę na inny autobus, który jechał na północ, do Maine. W Portland znowu musieli się przesiadnąć, tym razem na autobus, którego stacją docelową było Fairhaven, stanowiące również końcowy przystanek tej linii autobusowej. Do samego Empire Falls autobus już nie dojeżdżał, odkąd przed rokiem zawieszono obsługę tego odcinka, a ostatnio była nawet mowa o tym, że zostanie zamknięta także i stacja w Fairhaven, na którą składało się okienko w głębi sklepu tytoniowego i niewielkie miejsce postojowe, wytyczone z tyłu za nim. Grace zostawiła tam swojego dodge'a, gdy wyjeżdżali na Martha's Vineyard przed tygodniem, chociaż teraz wydawało się, że to było o wiele dawniej. Żadne z nich nie zdziwiło się, gdy po powrocie okazało się, że samochód zniknął. W odczuciu Milesa nie było ich całą wieczność, czyli tak długo, że auto pozostawione bez opieki mogło się zwyczajnie zdematerializować, niczym woda na dnie szklanki. Dla Grace oznaczało to tylko jedno: że Max wyszedł z aresztu.

Mimo że te dwa miasta były położone niedaleko od siebie, praktycznie tworząc niemal jedno miasto, połączenia telefoniczne Fairhaven-Empire Falls traktowano jak międzymiastowe, i Grace musiała zrealizować sporo takich połączeń, nim w końcu zdołała znaleźć kogoś, kto by się zgodził po nich przyjechać. Mieli zaczekać w kawiarni po drugiej stronie ulicy, a jako że pora obiadu dawno minęła, Grace nalegała, by Miles coś zjadł, chociaż on sam twierdził, że nie jest głodny. Wyziewy benzyny ze wszystkich tych autobusów, w połączeniu z faktem, że wkrótce miał znów zobaczyć ojca, sprawiły, że było mu niedobrze, ale podany hot dog pachniał smakowicie, zjadł go więc w całości, co Grace obserwowała ze smutkiem, popijając swoją

kawę. Kiedy przyszło do płacenia i Grace otworzyła portmonetkę, Miles zauważył, że było tam dokładnie tyle, ile wynosił rachunek. Jeśli matka nie miała pieniędzy schowanych gdzieś w innej przegródce, oznaczało to, że dojechali z powrotem do domu, to znaczy, prawie do samego domu, dosłownie z paroma groszami w kieszeni. To z kolei kazało Milesowi zastanowić się nad inną kwestią, a mianowicie, jak wyglądałyby ich wczasy na wyspie, gdyby nie zjawił się Charlie i nie zaczął płacić za różne rzeczy.

Znajoma matki, która przyjechała, żeby ich zabrać do Empire Falls, była młodsza od Grace i zdaniem Milesa niezbyt ładna, a jej samochód okazał się w jeszcze gorszym stanie niż ich dodge. Oczywiście, jakżeby inaczej, Miles został oddelegowany na tylne siedzenie, razem z bagażami, bo kobieta powiedziała im, że bagażnik nie chce się otwierać. Miles nie mógł się oprzeć refleksji, jak bardzo wszystko się zmieniło w ciągu jednego dnia. Wczoraj wieczorem o tej samej porze frunęli z matką przez wyspę w zgrabnym, karnarkowo-żółtym sportowym autku Charliego, po zjedzeniu obiadu, który kosztował (Miles ukradkiem rzucił okiem na rachunek) ponad pięćdziesiąt dolarów. Dzisiaj jego hot dog kosztował trzydzieści pięć centów, kawa matki dwadzieścia pięć, a i tak ledwie mogli sobie na to pozwolić.

Maud - bo tak miała na imię znajoma matki, która po nich przyjechała na stację - przez całą drogę do Empire Falls bez przerwy mówiła, opowiadając Grace, co się w tym czasie wydarzyło. Znowu rozeszła się pogłoska, że przędzalnia ma zostać sprzedana, pogłoska tym razem wywołana przez fakt, że C. B. Whiting wyjechał nagle w ostatni czwartek, nie mówiąc nikomu dokąd, przez co ludzie zaczęli spekulować, że pojechał do Atlanty lub do jakiegoś innego miasta na południu, żeby dopiąć ostatnie szczegóły transakcji. Jeśli tak było naprawdę, to oznaczało, że niektórzy pracownicy fabryki koszul również stracą pracę, zwłaszcza osoby takie, jak Grace i Maud, które były zatrudnione w biurze. Nowy zarząd na pewno wprowadzi na te stanowiska swoich ludzi, a było powszechnie wiadomo, że Południowcy pracują za jeszcze mniejsze pieniądze niż mieszkańcy stanu Maine. Nowo powstałe związki zawodowe już zaczęły się zastanawiać nad strategią. A Max, dodała Maud, zniżając głos, tak żeby Miles nie mógł tego usłyszeć, jest znowu na wolności. Na początku tygodnia przyszedł do fabryki, dopytując się o Grace.

Przez całą drogę Maud nie zwracała uwagi na milczenie Grace, która zupełnie nie reagowała na nowiny. Dojeżdżali już niemal do Empire Falls, gdy przyszło jej do głowy zapytać, jak im się udały wakacje.

- Jak wygląda życie na takiej wyspie? - chciała wiedzieć, czym przypominała Milesowi, jak to jeszcze przed tygodniem on sam wierzył, że wyspy to są takie kawałki lądu, które w jakiś cudowny sposób utrzymują się na

powierzchni wody. Tak przynajmniej wyglądały na mapie i przed wyjazdem na Martha's Vineyard zastanawiał się, czy ziemia pod nogami będzie tam równie twarda jak na „prawdziwym” lądzie. I jeszcze co by było, gdyby wszyscy przeszli na jedną stronę, czy wtedy taka wyspa by się przechyliła? Wiedział, że to niemożliwe, a mimo to był zadowolony, gdy po wylądowaniu na wyspie przekonał się, że ma twarde grunto pod stopami. Teraz dochodził do przekonania, że dopiero powrót do domu sprawił, iż wszystko wydawało mu się dziwnie chwiejne.

\* \* \*

Ojca nie było w domu, gdy Miles z matką zajechał na miejsce, dodge'a zresztą też nie. Max zostawił notatkę, przyczepioną magnesem na lodówce: jedź do Castine malować dom, wróci w końcu tygodnia. Miles znalazł tę kartkę zmiętą w śmietniku, gdzie wrzuciła ją Grace. Rozprostował ją i przeczytał od początku do końca, zaskoczony, że zawierała dokładnie tyle informacji, ile przekazała mu matka, ani mniej, ani więcej. Nie wiedzieć czemu, Milesowi wydawało się, że człowiek, który przesiedział tydzień w areszcie, podczas gdy jego żona z synem byli na wakacjach na Martha's Vineyard, po wyjściu stamtąd powinien mieć im więcej do powiedzenia. Mając tyle czasu na przemyślenia, mógł poczuć jakieś wyrzuty sumienia albo gniew, mogła go ogarnąć determinacja lub chęć poprawy. Ale widocznie ojciec odrzucił wszystkie te możliwości i wyszedł z aresztu z silnym postanowieniem pomalowania komuś domu w Castine. O Milesie w notatce nie było mowy - co przyjął z ulgą, gdyż przyszło mu do głowy, że Max mógłby go uznać za współnika matki. Jeszcze parę dni wcześniej Miles nawet nie podejrzewał istnienia takich mężczyzn jak Charlie Mayne, którzy mogli, jeśli nadarzyła się po temu okazja, ukraść drugiemu mężczyźnie żonę. Sądząc po tej notatce, jego ojciec wciąż jeszcze nie wpadł na to, że istnieje taka możliwość; a nawet jeśli wpadł, to nie winił Milesa, że ten nie wywiązał się jak należy z zadania obrońcy matczynej cnoty.

Skoro już znaleźli się z powrotem w Empire Falls, Miles i Grace tak naprawdę nie potrzebowali ani Maxa, ani dodge'a. Miles mógł jeździć na rowerze na treningi baseballu czy do kolegów, a ona rano do pracy chodziła na piechotę. Jak większość pracownic głównego biura, szykowała sobie drugie śniadanie w papierowej torbie, żeby zaoszczędzić zarówno czas, jak i pieniądze. Jeśli się zjadało kanapkę naprędce przy biurku, można było skończyć pracę o czwartej trzydzięci, zamiast o piątej. C. B. Whiting, właściciel fabryki, nadal był nieobecny, tak więc co wieczór przez cały tydzień rozdzwaniał się telefon w domu Milesa, gdyż dziewczęta z pracy chciały

wiedzieć, czy Grace, którą w głównym biurze powszechnie uważano za pierwszą pomiędzy równymi, nie usłyszała czegoś nowego na ten temat.

Max nie wrócił w piątek, tak jak obiecał, a tymczasem dla Milesa stało się jasne, że matka zaczyna popadać w głęboką depresję. Był pewien, że powód tego stanu niewiele ma wspólnego z groźbą utraty pracy, a jeszcze mniej z przedłużającą się nieobecnością ojca. Domyślał się, że powodem jej stanu był Charlie Mayne i dana przez niego obietnica, że wszystko się ułoży. Za każdym razem, kiedy wieczorem dzwonił telefon, Grace rzucała się do aparatu z twarzą rozjaśnioną nadzieją, która natychmiast gasła, kiedy w słuchawce rozpoznawała głos Maud czy innej koleżanki z biura, przynoszący kolejną plotkę. Zgodnie z jedną z nich C. B. Whiting powrócił w końcu do miasta, ale natychmiast wyjechał znowu. Dwukrotnie Miles był świadkiem, jak matka sama gdzieś telefonuje, a potem szybko odkłada słuchawkę.

W poniedziałek drugiego tygodnia w fabryce niespodziewanie zjawił się stary Honus Whiting, ojciec C. B. Whitinga, i zwołał generalne zebranie pracowników wszystkich trzech zakładów, podczas którego oznajmił, że w najbliższym czasie on sam ponownie przejmie bezpośredni zarząd nad Empire Manufacturing. Wie, że w mieście spekulowano, iż przedsiębiorstwo została sprzedana, ale pragnie wszystkich zapewnić, że te pogłoski są nieprawdziwe. Przeciwnie, w Meksyku ruszyła właśnie kolejna przedsiębiorstwo Whitingów, w związku z czym C. B. przeniósł się tam czasowo, by dopilnować rozruchu zakładu. Francine Whiting, jego żona, która ostatnio dowiedziała się, że spodziewa się dziecka, dołączy do męża w Meksyku za miesiąc, jak tylko zostaną poczynione odpowiednie kroki, by zapewnić jej dogodny warunki, i spędzi tam zimę, na wiosnę natomiast powróci do Maine, by tutaj mogło się urodzić dziecko, co do którego wszyscy mają nadzieję, że będzie to męski potomek, który przeprowadzi Empire Manufacturing International w następne stulecie. Pracownicy wysłuchali tego, co starzec miał im do zakomunikowania, a kiedy skończył, powrócili do przerwanej pracy. Niewiele z tego, co usłyszeli, brzmiało prawdziwie.

Tego wieczoru Miles wrócił do domu po treningu baseballu stosunkowo późno i zastał matkę łkającą na łóżku w pokoju, który dzieliła ze swoim mężem, przynajmniej gdy Max był w pobliżu, żeby w ogóle móc z nią dzielić cokolwiek, i Miles natychmiast pomyślał, że może w końcu doczekała się i Charlie Mayne zatelefonował. Ona jednak następnego dnia zgłosiła w pracy, że jest chora. Podobnie postąpiła kolejnego dnia. Rankami czuła się znacznie gorzej niż na Martha's Vineyard, a wieczorami ledwie mogła się zwlec z łóżka, żeby przygotować coś na kolację. Pod koniec tygodnia Miles był już naprawdę przerażony. Grace miała tyle dzikiej rozpacz w spojrzeniu, że

zaczął wypatrywać powrotu ojca z nadzieją, chociaż dotąd tak strasznie się tego obawiał, z powodu wszystkich tych pytań, jakie nieuchronnie będą musiały paść. W jego mniemaniu gorsza niż konieczność dochowania sekretów, jakie zostały mu powierzone, była jedynie pewność, że ojciec zechce usłyszeć odpowiedzi również i na inne pytania, odpowiedzi, których sam Miles także nie znał. Ale dzień mijał za dniem, a tymczasem ani Max, ani Dodge nadal się nie pojawiali.

W sobotę po południu, w trzecim tygodniu, drzwi od sypialni rodziców nagle się otworzyły i ukazała się w nich Grace w ciemnej sukience, której Miles nie widział na niej od pogrzebu sąsiada, zabitego ostatniej wiosny na nocnej zmianie w papierni. Nie włożyła biżuterii ani się nie umalowała, ale podpięła włosy do góry i Miles pomyślał, że wyglądałaby całkiem ładnie, gdyby tak bardzo nie schudła. Ładnie w zupełnie innym sensie niż na wyspie, w tamtej swojej białej sukience, kiedy wszyscy mężczyźni się za nią oglądali, ale nadal ładnie. Oznajmiła Milesowi, że minął ponad miesiąc, odkąd oboje byli u spowiedzi, a mówiąc to patrzyła mu znacząco w oczy.

Było słoneczne popołudnie w końcu sierpnia, ale kilka ostatnich nocy było już chłodnych i kiedy szli w milczeniu do św. Katarzyny, Miles zauważył, że górne liście wiązków zaczęły się przebarwiać. Grace jednak nie widziała ani tego, ani w ogóle niczego wokół siebie; wyglądała, jak kobieta idąca na własną egzekucję. Czas wyliczyła tak, że byli ostatnimi penitentami tego popołudnia. Zmusiła Milesa, żeby podszedł pierwszy do konfesjonału, a kiedy skończył, kazała mu prędko odmówić pokutę i zaczekać na nią na zewnątrz. Jak zwykle, liczyli na to, że nowy młody ksiądz będzie spowiadał, ale traf chciał, że kiedy Miles wślizgnął się do mrocznego konfesjonału i ukląkł na klęczniku, a aksamitna zasłonka rozsunęła się na boki, za kratą zamajaczyła ciemna sylwetka ojca Toma. Surowy głos starego księdza nakazał mu wypowiadać się szczerze ze wszystkich grzechów, aby mogły mu zostać odpuszczone.

Przed rokiem Miles został przyjęty do pierwszej komunii, tak więc oczywiście wiedział, że zatajenie jednego śmiertelnego grzechu oznaczało popełnienie drugiego. Od powrotu z Martha's Vineyard nabrał pewności, że nie tylko jego matka w jakiś sposób tam zgrzeszyła, chociaż nie bardzo wiedział, jakiego rodzaju miałby to być grzech ani jak ma to wytłumaczyć temu człowiekowi po drugiej stronie kraty. Rozumiał, że zdradził ojca, obiecując matce, że dotrzyma jej sekretu, tak samo jak był przekonany, że zdradziłyby matkę, gdyby złamał daną jej obietnicę. W każdym wypadku grzechem było zatajenie tego sekretu przed Panem Bogiem, który i tak już na pewno o wszystkim wiedział. Dlaczego spowiedź jest konieczna, mimo że Pan Bóg

i tak wszystko wie, wytłumaczył im na lekcji religii ten sam człowiek, który teraz siedział za kratą. Jednak delikatna logika tego zagadnienia już wtedy nie była dla Milesa zbyt jasna, a w tej chwili umknęła mu całkiem. Przystąpił do spowiedzi uzbrojony w całą listę grzechów, których nie popełnił, grzechów, które, jak miał nadzieję, były porównywalne pod względem wagi i wielkości z tym, co miał do ukrycia. Liczył też na to, że Pan Bóg zrozumie, iż jego opieszałość w dążeniu do oczyszczenia duszy nie wiąże się z chęcią udawania kogoś lepszego. Ojciec Tom wysłuchiwał tej litanii zastępczych grzechów, po czym nakazał mu pokutę z miną człowieka, który jest przekonany nie tyle o prawdziwości tego, co właśnie usłyszał, ile zepsuciu moralnym ludzkości w ogóle, z którego grzeszne zachowanie Milesa brało swój początek. Klęcząc przy barierce przed ołtarzem, Miles odmówił „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Mario” i już miał wychodzić, gdy usłyszał, jak drzwi od konfesjonalu otwierają się, a następnie ujrzał matkę podążającą za ojcem Tomem do zakrystii. Przesiedział na stopniach kościoła dobre pół godziny, a kiedy matka w końcu się pojawiła, twarz miała szarą jak popiół. Prowadził ją do domu, tak jakby prowadził ślepą kobietę. W domu poszła prosto do swojej sypialni i zamknęła za sobą drzwi. W niedzielę rano wybrali się na mszę, ale podczas kazania Grace zrobiło się słabo, więc nakazawszy Milesowi, żeby pozostał na miejscu, sama wydostała się z ławki i potykając się, z ręką na ustach, wybiegła z kościoła bocznymi drzwiami. Prawdopodobnie wcześniej przewidziała taką ewentualność, bo wbrew swym zwyczajom zajęli miejsca w ostatniej ławce, ale i tak ludzie się obejrzeli, żeby odprowadzić ją wzrokiem, a Miles odniósł wrażenie, że ojciec Tom jeszcze pogorszył sprawę, przerywając kazanie, dopóki drzwi kościoła się za nią nie zatrzasnęły. Przechodząc dalej za kościołem znajdowała się stacja benzynowa Esso i Miles podejrzewał, że matka pobiegła tam, żeby poczekać, aż poczuje się lepiej, ale nadszedł moment komunii, a jej ciągle nie było. Miles czekał i czekał, wreszcie dołączył do końca kolejki, pomimo bolesnej pewności, że nie zasłużył na przyjęcie hostii. Skłamał wczoraj w konfesjonale, a sam miał dość rozumu, żeby wiedzieć, że nie powinno się zapraszać Pana Boga do zbrukanego ciała. Z drugiej strony, skoro był u spowiedzi, wyglądałoby dziwnie, gdyby nie przyjął komunii, i z tego wszystkiego w ustach zrobiło mu się tak sucho z poczucia winy i wstydu, że kiedy przyszła jego kolej, opłatek zamiast się rozpuścić, przykleił się do języka jak cienki kłaczek waty. Ciągle jeszcze usiłował go połknąć, gdy spostrzegł, że matka wsuwa się z powrotem do ławki i siada obok niego. Była blada i słaba. Wzięła go za rękę i ścisnęła mocno, a wtedy on pomyślał, że w ten sposób próbuje mu powiedzieć to, czego się najbardziej obawiał. Że umrze z powodu tego, co uczyniła na Martha's Vineyard. Że zapadła tam na jakąś chorobę, którą przywlokła ze sobą



do domu. Wczorajsze pójście do spowiedzi nie poprawiło jej stanu zdrowia, dlatego Miles zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem i ona nie skłamała księdzu, bo mogło przecież być tak, że jak zobaczyła, iż tym księdzem jest ojciec Tom, który ją znał, a nie ten młodszy ksiądz, wówczas postanowiła zataić swój sekret. I pewnie ojciec Tom musiał się wszystkiego domyślić, skoro kazał jej iść ze sobą do zakrystii, ale pewnie i tam nie zgodziła się opowiedzieć mu o Charliem Mayne.

Miles zdawał sobie sprawę, że w tym scenariuszu są luki, choćby dlatego, że matka zaczęła chorować, zanim zjawił się Charlie Mayne. Ale tłumaczył to sobie w ten sposób, że może już wcześniej zdecydowała się, żeby to z nim zrobić, cokolwiek to było, i że już w tamtym momencie zrodził się grzech, w momencie grzesznej myśli, przynajmniej tak go uczono na lekcjach religii. Może więc jej choroba była ostrzeżeniem od Pana Boga, które postanowiła zignorować. A w takim razie, była to cena za jej krótkotrwałe szczęście.

Po powrocie z kościoła Miles spodziewał się, że matka zaraz wycofa się do sypialni, ale zamiast tego ona powiedziała, że musi wyjść. A gdy zapytał, dokąd idzie, odparła, że ma coś do załatwienia.

Miles wiedział, że źle robi, ale poszedł za nią. Jak to w niedzielę, na ulicy było niewielu przechodniów i Miles musiał zachować ostrożność, na wypadek gdyby się nagle odwróciła i go przyłapała, ale wkrótce stało się dla niego jasne, że była zanadto zaferowana, żeby cokolwiek zauważyć. Gdy dotarła do fabryki koszul, Miles pomyślał przez chwilę, że może to jest cel jej wyprawy i że matka zamierza tam wejść, ale przystanęła tylko na chwilę, po czym ruszyła dalej. Doszła do Iron Bridge, gdzie, ku zdziwieniu Milesa, skręciła w lewo i weszła na most, na ścieżkę dla pieszych. Dalej nie mógł już za nią pójść, bo zaraz by go zauważyła. Grace była już w połowie drogi na drugą stronę, gdy nagle pojawił, jaka jest prawda. Zamierzała skoczyć z mostu. Był tego tak pewien, że nawet kiedy tego nie zrobiła, tylko poszła dalej, minawszy miejsce, z którego człowiek by skoczył, gdyby się na to zdecydował, Miles ciągle nie mógł się otrząsnąć z tej myśli.

No bo jakie mogło być inne wytłumaczenie? W końcu po drugiej stronie rzeki prawie nie było miasta, oprócz jednego klubu i dwóch czy trzech domów bogatych ludzi. Na opadającym do rzeki stoku trawnika jednego z tych domów, położonego najbliżej, wznosiła się altana, w której siedziała kobieta, spoglądając w górę rzeki na wodospad. Oczywiście była za daleko, żeby Miles mógł mieć pewność, ale wydawało mu się, że kobieta odwróciła się i zaczęła śledzić kroki jego matki, kiedy ta przechodziła przez most. Kto wie, może to właśnie jej widok odwiódł Grace od skoczenia z mostu. Może postanowiła, że skoczy w drodze powrotnej.

Miles czekał jeszcze dłuższą chwilę, żeby sprawdzić, czy matka po przejściu na drugą stronę mostu nie zmieni jednak zdania i nie zawróci, ale tego nie zrobiła. A kiedy w końcu zdecydował się opuścić swój punkt obserwacyjny przy moście od strony miasta, wydawało mu się, że kobieta z altany spogląda wprost na niego.

Max wrócił bez uprzedzenia w Święto Pracy. Miles, który biegał gdzieś po dworze, ciesząc się ostatnim dniem letnich wakacji, wpadł do domu w południe na lunch i zastał dodge'a zaparkowanego na podjeździe. Max, bez koszuli, spalony na brąz od malowania ludziom przez całe lato okien, których nawet nie raczył otworzyć, siedział w kuchni przy stole, pogrążony w lekturze „Empire Gazette”, zupełnie jakby miał nadzieję, że wyczyta tam, co też Miles z matką porabiali podczas jego nieobecności. Ojciec dokończył akapit, który właśnie czytał, następnie uniósł głowę i na widok syna szeroko się uśmiechnął.

Miles spostrzegł, że ojcu brakuje kilku zębów.

- Co ci się stało? - spytał i natychmiast się przestraszył.

- Co, masz na myśli to? - odpowiedział pytaniem Max, wystawiając koniuszek języka przez nowo powstałą szczerbę. - To nic. Miałem tylko drobną różnicę zdań z takim jednym, nic wielkiego. On jeszcze o tym nie wie, ale będzie mi musiał zapłacić po pięćset dolców od sztuki.

Miles pokiwał głową, nie tyle uspokojony wyjaśnieniem ojca, ile jego obecnością. Mimo że tak okropnie się bał jego powrotu, teraz z miejsca poczuł, jak dobrze było go mieć w domu. Jego ojciec znał tylko dwie prędkości, co czyniło zeń człowieka łatwego do przewidzenia, a Miles zdecydowanie dojrzał do tego, żeby wszystko znów powróciło do przewidywalnej normy, nawet jeśli było do przewidzenia, że ta norma nie będzie normalna. Max może i nie był podobny do innych mężczyzn, ale za to zawsze był podobny do siebie. Inni mężczyźni, na przykład, mogliby się zdenerwować jakąś drobną stłuczką samochodową, gdy tymczasem Max traktował każde wgniecenie zderzaka jak dogodną okazję, z której warto skorzystać. Jeśli ktoś wjechał mu w kufer w trakcie parkowania, co ludzie robili z taką regularnością, że wręcz budziło to podejrzenia, iż Max specjalnie się podstawał, Max zabierał swoje zniszczone auto do zaufanego mechanika, żeby dokonał zawyżonej wyceny wyrządzonej szkody, następnie proponował ugodowe załatwienie sprawy za połowę wycenionej sumy, ale za to w gotówce, w zamian za co nie trzeba było angażować towarzystwa ubezpieczeniowego żadnej ze stron. Co w praktyce oznaczało towarzystwo ubezpieczeniowe tego drugiego kierowcy, jako że Max nigdy nie był ubezpieczony. A jak tylko

pieniądze łądowały w jego kieszeni, nie chciało mu się marnować czasu na naprawy wozu. Och, mogło się zdarzyć, że wymienił stłuczony reflektor, skoro tego wymagało prawo stanowe, albo samodzielnie wyklepał bok, jeśli ten był zbyt mocno wgnieciony, chociaż przeważnie rezultaty takiej naprawy bywały znacznie bardziej groteskowe niż samo wgniecenie. Dodge był „naprawiany” tyle razy, że w końcu zaczął przypominać wehikuł, który ktoś zbudował z kawałków znalezionych na złomowisku.

Miles miał wątpliwości, czy ojcu będzie się chciało naprawiać ten ubytek w uzębieniu, podobnie jak był przekonany, że żaden dentysta nie ujrzy ani grosza. Miles nie mógł natomiast wiedzieć, że jest właśnie świadkiem pierwszego stadium systematycznego rozpadu ojcowskiego organizmu, który w chwili, gdy Max Roby dobija siedemdziesiątki, miał wyglądać niczym dodge dart rocznik '65, kompletnie zniszczony przy wielu różnych okazjach.

W tej chwili jednak musiał przyznać, że ojciec wygląda jak okaz zdrowia, a jego ciało jest szczupłe i opalone, i Miles nie mógł się oprzeć, by nie porównać jego czerstwego wyglądu z tym, jak wyglądał na plaży Charlie Mayne z tą swoją bladą skórą i zapadniętą klatką piersiową. Nieodparcie też nasuwało mu się pytanie, co by było, gdyby Max wyszedł z aresztu wcześniej i zdążył odnaleźć ich na Martha's Vineyard, a tam zobaczyłby, jak siedzą na plaży i zajadają się kawiozem z kosza piknikowego. Spróbował sobie wyobrazić bójkę ojca z Charliem, ale jakoś żaden obraz w jego głowie nie chciał się pojawić. Charlie Mayne był starszy od ojca, a do tego nie wyglądał na boksera. Z kolei Max był silny i wytrzymały, ale Miles już wtedy zaczął rozumieć, że jego specjalnością nigdy nie było okładanie ludzi pięścią, tylko doprowadzanie ich do tego, żeby to oni przyłożyli jemu, a mógłby pójść o zakład, że Charlie Mayne do tego by się nie posunął. Było bardziej prawdopodobne, że Max zwyczajnie by się wprosił do ich towarzystwa, mówiąc: „Wiecie, że ja też lubię kawior, nie?”. Tak więc gdyby w tym dramatycznym scenariuszu miało dojść do tego, że ktoś zapragnąłby użyć pięści, tą osobą byłaby prawdopodobnie Grace.

- Gdzie mama?- zdecydował się spytać, jako że w domu nie czuło się jej obecności.

- W kościele, tak przynajmniej twierdziła - powiedział Max. - Zostawiła ci kanapkę w lodówce.

- Ostatnio chodzi tam codziennie - powiedział Miles, co było zgodne z prawdą. Od swego powrotu z wyprawy za rzekę była codziennie na mszy, a co więcej, od nowego roku szkolnego zapisała Milesa na ministranta.

Max odchrząknął.

- No, to pewnie musi się czuć winna z jakiegoś powodu - domyślił się i spojrzął na syna z uwagą.

Aby uniknąć jego wzroku, Miles podszedł do lodówki, udając, że szuka swojej kanapki, a tak naprawdę po to, żeby ukryć za drzwiami płonące policzki. Powolnym ruchem zabrał się do nalewania mleka do szklanki, aż wreszcie z kanapką i mlekiem wrócił do stołu.

- Słyszałem, że świetnie złapałeś piłkę - powiedział ojciec, a Miles zaczął się zastanawiać, kto mógł ojcu o tym powiedzieć, Grace czy trener La-Salle. W ogóle było dziwne, że ojciec wspomina o tym wydarzeniu. Już miesiąc minął, odkąd Miles umieścił swoją rękawicę dokładnie na trasie lotu tamtej piłki, a jemu samemu wydawało się to tak odległe, jakby wydarzyło się jakimś innemu chłopcu.

- Mama była okropnie chora - powiedział niespodziewanie dla samego siebie.

Chwilę wcześniej ojciec powrócił do czytania gazety i na te słowa nie podniósł głowy. Miles już miał powtórzyć, gdy Max rzekł:

- One zawsze źle się czują w tym stanie.

Miles rozważał, czy nie zapytać: Jakie one? W jakim stanie?

Jednak milczał, a Max ponownie odłożył gazetę i wyszczerzył się w uśmiechu, nie mniej niepokojącym z tą szczerbą w zębach niż dawniej, chociaż Miles trochę już przyzwyczaił się do tego widoku.

- Nie powiedziała ci?

- Nie powiedziała czego?

- Że będziesz miał małego braciszka, ot co.

Gdy ojciec znowu wziął gazetę ze stołu, Miles zjadł całą kanapkę i wypił do końca mleko, nie odezawszy się ani słowem. Tyle czasu zajęł światu powrót na swoje miejsce, a faktom ułożenie się w nowym porządku i zmiana znaczenia. Miles rozumiał, że świat jest fizycznym, nie zaś moralnym porządkiem. Nikt nie zapada na żadne choroby ani nie umiera w konsekwencji grzechu. Tyle podejrzewał już wcześniej, ale teraz ujrzał to wyraźnie i uświadomił sobie, że jakaś jego cząstka wiedziała o tym od samego początku. Ludzie zapadali na choroby z powodu wirusów, bakterii i dzieci - tego typu rzeczy - a nie z powodu wysp czy mężczyzn takich jak Charlie Mayne. Miles poczuł, że czerpie z tej wiedzy głównie ulgę, a kiedy się odezwał, zdał sobie sprawę, że w jego głosie pojawiła się jakaś nowa nuta, jakby ślad tej nowej świadomości.

- Tego nie możesz wiedzieć - powiedział ojcu.

- A niby dlaczego nie mogę, co? - zaczął się droczyć ojciec.

- No, bo może to będzie siostrzyczka.

Ojciec zachichotał, zresztą może na widok obrazka z serii „Peanuts”.

- W naszej rodzinie mamy przeważnie chłopaków.

- W takim razie czas na dziewczynkę - upierał się Miles.  
- To tak nie działa. To nie jest jak rzucanie monetą.  
- A jak co? - Milesowi bowiem wydawało się, że jest to dokładnie tak, jak rzucanie monetą, i nie widział powodu, żeby pozwolić ojcu prześlizgnąć się po temacie za pomocą tak wątpliwej logiki, tylko dlatego że jest dorosły.

Max przyjrzał mu się i znowu się uśmiechnął, chociaż Miles wolałby, żeby tego nie robił.

- To bardziej przypomina rzucanie kostkami - zaczął wyjaśniać. - Z tą różnicą, że takimi bez cyfr. Każda kostka ma sześć boków, zgadza się? W naszej rodzinie „chłopiec” wypisane jest przeważnie na pięciu bokach. A „dziewczynka” tylko na jednej. Tak więc, gdybyś miał postawić na coś swoje pieniądze, na co byś postawił?

Miles dokonał w głowie paru obliczeń. Po upływie minuty rzekł:

- A ile dzieci ma wujek Pete? - Starszy brat ojca wyprowadził się przed dwudziestu laty na zachód, do Phoenix w Arizonie.

- Czwórkę - odparł ojciec. - Samych chłopaków.

Miles pokiwał głową.

- A ty masz mnie.

- I jesteś chłopcem, przynajmniej ostatnio, kiedy cię widziałem, byłeś.

- To znaczy, że było pięciu chłopców z rzędu - zauważył Miles.

Na ganku z tyłu za domem dały się słyszeć kroki. Była to Grace, która wróciła z kościoła. Miles i ojciec jednocześnie spojrzeli w tamtą stronę, akurat kiedy przesunęła się za kuchennym oknem. W tym tygodniu poranne napady mdłości stały się mniej poważne i mimo że nie wyglądała tak promiennie i pięknie jak na Martha's Vineyard, nie wydawała się już tak wystraszona i zrozpaczona, jak zaraz po powrocie do domu.

- A „dziewczynka” była wypisana tylko na jednej stronie, prawda? - powrócił do tematu Miles.

Max zastanawiał się nad tym, podczas gdy Grace wieszala na wieszaku w korytarzu parasolkę, którą zabrała ze sobą na wszelki wypadek.

- Robi się z ciebie niezły wrzód na tyłku, wiesz?

Teraz już obaj się uśmiechali, a Milesowi przyszło na myśl, że może dziwne uczucie, jakie wzbudziły w nim słowa ojca, była to duma, chociaż nie mógł się zdecydować, czy był dumny z siebie czy z ojca. Co do jednego był natomiast całkiem pewien, że bycie wrzodem na tyłku Maxa stanowiło dowód swego rodzaju uznania, a może nawet miłości.

Gdy Grace weszła do kuchni, od razu się zorientowała, że ojca i syna połączyło jakieś wspólne przeżycie, bo usiadła pomiędzy nimi i wyciągnąwszy rękę, położyła ją na obu ich dłoniach i przez długą chwilę żadne z nich nie

powiedziało ani słowa. Po raz pierwszy od ich powrotu z wyspy Miles poczuł, że może wszystko jakoś się ułożyć i życie powróci do normy, a przynajmniej do tego stanu, który dla nich oznaczał normę. Jeśli odczuwał jakiś żal, był to żal, że Max nigdy nie będzie miał okazji zobaczyć Grace w jej białej sukience, gdyż na początku tygodnia oddała ją na cele dobroczynne.

## 20

Irene Walsh, gospodyni na plebanii w św. Katarzynie, kończyła właśnie zmywanie naczyń kuchennych po niedzielnym obiedzie, który jednak nie był wart tego, żeby poświęcała swój cenny czas na jego ugotowanie. Ojciec Mark, mając poczucie winy, że zjadł tak niewiele, jak również potrzebę odrobiny towarzystwa drugiego człowieka, nawet pod zrzędliwą postacią pani Walsh, zaoferował się z pomocą w sprzątanii po posiłku, ale został odprawiony z kwitkiem. Przysporzyłby jej tylko więcej pracy, odkładając rzeczy nie na swoje miejsce i nazajutrz nic nie mogłaby znaleźć. Widziała, że swoją odmową sprawiła mu wyraźną przykrość, ale niezbyt się tym przejęła.

Pani Walsh nie była nieuprzejma, ale cechowało ją dość średniowieczne podejście do świata. Jej ojciec był wojskowym i miał kaznodziejskie zapędy. Od niego to nauczyła się wszystkiego o Wielkim Porządku Bytu, który, zgodnie z jego słowami, nie różnił się tak bardzo od hierarchii panującej w armii. Bóg stał na czele, po Nim kolejno następowali aniołowie, uszeregowani wedle przynależności do anielskich klas społecznych, potem szedł papież, kardynałowie, biskupi, księża i tak dalej. Pani Walsh znajdowała wielkie pocieszenie w fakcie, że posada księżowskiej gospodyni nie była ani zbyt blisko dna tej hierarchii (gdzie znajdowały się już tylko kamienie i inne przedmioty nieożywione), ani zbyt daleko od jej szczytu. Zapewnianie sługom bożym czystości i sytości było honorową, jeśli nie uwznioślającą pracą i skoro inni zostali wybrani przez Boga do bardziej uduchowionej pracy, zapewne musiały być po temu słuszne powody. Aspirowanie w życiu do pozycji człowiekowi nie-przeznaczonej było według niej grzechem, a pani Walsh wierzyła, że w ostatecznym rozrachunku wszyscy karierowicze i zawistnicy dojdą do poznania Prawdy i dowiedzą się, że w całym tym Wielkim Porządku, zarówno na jego szczycie, jak na jego dnie, każdy człowiek ma tylko jeden obowiązek, a tym obowiązkiem jest wypełnianie woli Bożej. I

tak: obowiązek księdza to być w miarę możliwości jak najlepszym księdzem, a obowiązek gospodyni to być dobrą gospodynią.

Zdaniem pani Walsh równie denerwujący jak ludzie, którzy usiłują się wznieść ponad przeznaczone sobie miejsce w życiu, są fałszywie pokorni głupcy, tacy jak ojciec Mark, który zawsze pęta się po kuchni i w swojej ignorancji myśli, że będzie bardzo pomocny, jeśli złapie za ścierkę i zacznie zgarniać okruszki ze stołu, przy okazji namawiając ją, gospodynię, żeby poszła do domu, zanim wykona całą swoją pracę. Takie praktyki prowadzą tylko do jednego, a mianowicie do osłabienia dyscypliny, i jej ojciec na pewno by tego nie pochwalił. Pani Walsh uwielbiała swego ojca, chociaż on, gdy była dzieckiem, nie zajmował się nią zbyt. Jak przystało na wojskowego, większość czasu poświęcał strofowaniu swoich synów, których temperamenty były zdecydowanie niewojskowe. Im większy nacisk kładł na dyscyplinę, tym bardziej niesforni i dzicy stawali się synowie, i ojciec umarł w przeświadczeniu, że żaden z jego potomków nie zrozumiał ani słowa z tego, co on miał do powiedzenia, ale mylił się: córka słuchała go uważnie. Gdy dorosła, wierzyła, podobnie jak ojciec, że społeczeństwa słusznie czyniły, szanując podziały i hierarchie, i bardzo żałowała, że tak wielu ludziom w dzisiejszym świecie zależało na ich zacieraniu. Młodzi, tacy jak ojciec Mark, byli najgorsi. Przywiązywali wielką wagę do uprzejmości, co generalnie było dobre, jednak cała reszta pozostawiała wiele do życzenia. Natomiast stary ojciec Tom, mimo że kompletnie zbzikował, ciągle zachowywał się jak prawdziwy ksiądz, w przeciwieństwie do wszystkich tych młodych. Przez te lata, kiedy dla niego pracowała, nigdy, ale to nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby choć palcem tknąć któryś z jej garnków.

- Coś mi się zdaje, że pan Roby właśnie przyjechał - powiedziała głośno pani Walsh, spoglądając w okno ze swego miejsca przy zlewku.

- A jego ojciec? Czy Max też jest z nim?

- Tylko pan Miles. Ale wcale nie wysiada z samochodu.

Już stojąc w drzwiach, ojciec Mark uśmiechnął się i był to pierwszy jego uśmiech tego dnia. Domyślił się bowiem, co robił jego przyjaciel. Na pewno spoglądał w górę, na niepomalowaną wieżę, zastanawiając się, co za okrutny błąd w kodzie genetycznym nie pozwala mu wspinać się na drabiny, jak robili to wszyscy normalni ludzie.

- No cóż, przecież ksiądz na niego czekał - rzekła gospodyni. - Zamierza mu ksiądz powiedzieć?

Ach, pani Walsh! - miał ochotę zawołać ojciec Mark. Jakże wiele można się od pani nauczyć. Pani Walsh nie należała do tęgich myślicieli, ale lubiła

doprowadzać sprawy do końca, i za to należało ją podziwiać. Dowiedz się, co i jak. A potem zrób to. Nie kręć się w kółko tysiąc razy, badając sprawę ze wszystkich stron. Kłopot z życiem kontemplacyjnym polega na tym, że właściwie nigdy nie ma końca rozważaniom, żadnego określonego limitu czasowego, po upływie którego należałoby przekuć myśl w czyn. Kontemplacja przypomina posiedzenia jakiegoś komitetu, który z rzadka wydaje polecenia, a kiedy w końcu to uczyni, polecenie i tak zostaje zlekceważone, sam komitet zaś nie ma takiej władzy, by się rozwiązać.

Pani Walsh miała rację. Bieżące okoliczności wymagały podjęcia określonych działań, a co więcej, działania te powinny zostać podjęte właśnie przez ojca Marka, który i tak zmarnował już dość czasu. Tytuł płomiennego kazania, jakie wygłosił dziś na pierwszej porannej mszy, brzmiał: „Gdy Bóg się odwraca”. Obmyślał to kazanie poprzedniego wieczoru w samochodzie w drodze powrotnej z wybrzeża, a następnie podczas bezsennej nocy, zakończenie zaś przyszło mu do głowy przy pulpicie ambony już w trakcie wygłaszania. Nawet nie poszło mu tak źle, jak się tego obawiał, zamierzał więc powtórzyć cały tekst na następnej mszy, ale kiedy wrócił w przerwie między jedną mszą a drugą na plebanię, odkrył, że ojciec Tom zniknął.

Prawdę mówiąc, to pani Walsh odkryła, wkrótce po swoim przyjeździe do pracy, a więc gdzieś około godziny ósmej trzydzieści, że staruszek zniknął. Zazwyczaj o tej porze ksiądz Tom był już na nogach i domagał się, żeby go nakarmić. W niedzielne poranki pani Walsh smażyła mu zawsze armorytki. Potem, gdy staruszkowi broda błyszcziała od syropu klonowego, zabierała się do szykowania obiadu dla nich obu, zwykle była to szynka albo pieczony kurczak albo, tak jak dzisiaj, potrawa typowa dla Nowej Anglii - duszona wołowina. Nie było to łatwe, zważywszy, że miała do czynienia z lepkiem od syropu zdzieciniałym staruszkim, który plątał się pod nogami. A jednak wołała tego starego wariata od młodego i zdrowego na umyśle księdza, mimo że ojciec Tom wymagał nieustannej uwagi, zwłaszcza gdy ojca Marka nie było w pobliżu. Musiała przyznać, że przynajmniej do tego jednego młody ksiądz doskonale się nadawał. Szczególnie w niedziele, wiedząc, że młody jest w kościele po drugiej stronie dziedzińca, gdzie głosi swoje jak zwykle kiepskie kazanie, ojciec Tom bywał nieznośny. Jednego razu, na przykład, przyszedł do kuchni, co pani Walsh zauważyła kątem oka, chociaż początkowo nic specjalnego nie zwróciło jej uwagi. Kiedy chwilę później podawała mu usmażoną armorytkę, pomyślała, że jest coś dziwnego



w spojrzeniu, jakim ją obrzucił, zupełnie jakby się skrycie rozkoszował jakimś żartem, którego ona nie pojmowała. Nie dociekała jednak przyczyny, była przecież pięćdziesięcioletnią kobietą w pełni władz umysłowych, a staruszek z powodu sklerozy miał nierówno pod sufitem.

Ponieważ nic na świecie nie wprawiało pani Walsh w gorszy humor niż fakt, że ktoś robi z niej balona, po paru minutach przerwała przyrządzenie kurczaka i zajęła się uważną obserwacją siedzącego za stołem staruszka. Ubrany był w świeżo wypraną, typową księżą czarną koszulę z krótkim rękawem i białą wykrochmaloną koloratkę, a jego zwykle niesforne siwe włosy były gładko przyczesane. Zauważyła nawet, że buty ma wypucowane na błysk i czarne bawełniane skarpetki do pary. Jeśli figiel związany był z jego wyglądem, to ona nie potrafiła tego dostrzec, powróciła więc do przerwanej pracy i zaczęła garścią upychać nadzienie do kurczaka, którego następnie zamierzała upiec. Dopiero gdy staruszek wstał od stołu, żeby odnieść swój talerz do zlewu - co było dla niego zupełnie nietypowe - pani Walsh mogła zobaczyć, że nie ma na sobie spodni!

Tak więc dzisiaj, kiedy po przyjeździe na plebanię nie zastała ojca Toma w kuchni, od razu poszła go poszukać, podejrzewając, że szykuje jej nowego psikuska.

Drzwi do jego sypialni były zamknięte; wobec tego pani Walsh zaczęła pukać, wołając go po imieniu i żądając, żeby natychmiast otworzył, w przeciwnym razie będzie zmuszona pójść po młodego księdza. Była przygotowana na to, że po otwarciu drzwi jej oczom ukaze się staruszek z gołym przyrodzeniem i szelmowskim uśmieszkiem. I chociaż taki widok nie bawił pani Walsh zbytnio, nie napawał jej też specjalnym lękiem. W wieku pięćdziesięciu trzech lat miała już za sobą wszelkie ekscytacje męskimi genitaliami. Naprawdę minęło już wiele czasu, odkąd w ogóle interesowało ją, co też to za owłosione cuda dyndają mężczyznom między bladymi, chudymi nogami. Fakt, że kiedykolwiek w ogóle mogło ją coś podobnego interesować, uważała obecnie za swego rodzaju przejściową chorobę i wdzięczna była losowi, że to wariactwo było krótkotrwałe, niezbyt poważne i zostało ostatecznie wyleczone przez małżeństwo, zgodnie z wolą Bożą.

Pomimo jej gróźb drzwi pozostawały nadal zamknięte i pani Walsh nie miała innego wyboru, jak tylko wejść do środka bez zaproszenia. Drzwi nie były zamknięte na klucz i po otwarciu okazało się, że pokój jest pusty. Pani Walsh dokładnie sprawdziła, że faktycznie jest pusty, nawet uklekła i na czworakach zajrzała pod łóżko, czego zdecydowanie wolałaby nie robić, ze względu na swoje obolałe stawy. Przyszło jej jednak na myśl, że skoro

księżulo był na tyle zbzikowany, żeby pokazać się u niej w kuchni bez spodni, równie dobrze mógł się zabawić w kotka i myszkę. Ale nikogo pod łóżkiem nie znalazła, a w tym urządzonym po spartańsku pokoju doprawdy nie ukryłoby się nawet dziecko, a co dopiero dorosły człowiek, choćby nawet całkiem zdzienniały...

W pozostałych pomieszczeniach plebanii również nigdzie go nie było. Pani Walsh sprawdziła każdy pokój, każdą szafę w całym domu, wzięła nawet latarkę i zeszała do piwnicy, która była okropnym, wilgotnym miejscem, gdzie wciąż jeszcze stały pojemniki na węgiel i gdzie pełno było różnych mrocznych zakamarków, w których zramolały staruszek mógł się ukryć. Już miała się zadowolić wytłumaczeniem, że ojciec Tom wstał pewnie wcześniej niż zwykle i, niepomny na zakazy, poszedł sobie na spacer albo zakradł się do kościoła i ukrył w konfesjonale, żeby podsłuchiwać, co też to za liberalne nonsensy młody ksiądz plecie z ambony, gdy nagle wpadła jej do głowy pewna myśl i pani Walsh popędziła z powrotem na górę do jego pokoju.

Księżda nadal tam nie było, ale, co ważniejsze, jego łóżko nie wskazywało na to, by w ogóle w nim spał ostatniej nocy. Oczywiście było możliwe, że zasnął je po wstaniu, jak robił to przez całe życie, dopóki umysł nie zaczął mu odmawiać posłuszeństwa, jednak ostatnio przeważnie o tym zapominał. Wczoraj była sobota, dzień, kiedy pani Walsh zmieniała obu księżom pościel, a teraz, odgarnawszy kapę, stwierdziła, że prześcieradła nie są pogniecione, i poczuła świeżą woń chloroxu zamiast przykrego zapachu, który zawsze pozostawał w pościeli po nocy, ponieważ staruszek popuszczał pod siebie przez sen.

Ale to nie oględziny łóżka dostarczyły jej najistotniejszej informacji, tylko kosz na śmieci, koło którego pani Walsh omal nie przeszła, niczego nie zauważwszy. Kosz, który opróżniła nie dalej niż wczoraj, był teraz znowu prawie pełen, a na jego zawartość składały się w głównej mierze małe kopertki w kolorze miętowej zieleni, jakich parafianie używali, by ukryć przed swoimi współbraćmi, jak skromne są ich tygodniowe datki na tacę. Wszystkie koperty co do jednej, zapewne zebrane podczas ostatniej sobotniej mszy o siedemnastej trzydzieści, zostały rozerwane, a następnie wyrzucone do kosza na śmieci. W metalowym cylindrze znajdowały się również czekci, które czasem wkładano do kopert zamiast pieniędzy. Pani Walsh natychmiast spostrzegła, że brakowało tam tylko jednego - środków płatniczych.

Gdy więc po porannej mszy młody ksiądz przebiegł wielkimi susami przez trawnik i wpadł na plebanie, pani Walsh już czekała na niego z rękami

założonymi na obfitej piersi. Inna kobieta w podobnej sytuacji popadłaby w stan graniczący z histerią, pani Walsh jednak pozostała w pełni opanowana. W tej chwili przybrała wyraz twarzy osoby, która wiedziała, że zaraz potoczy się czyjaś głowa, i która czerpała prawdziwe pocieszenie z głębokiego przekonania, że nie będzie to jej głowa.

- Dzień dobry, pani Walsh - zawołał wesoło ksiądz Mark, stając w drzwiach kuchni, przy czym swój doskonały humor niewątpliwie zawdzięczał kazaniu, które, przynajmniej w jego mniemaniu, wypadło doskonale. - Czy to pani słynną nowoangielską duszoną wołowinę wyczuwają moje nozdrza w powietrzu?

By zaspokoić swoją ciekawość, podszedł do pieca i uniósł pokrywę brytfanki, której używała do opiekania mięsa. Ileż to razy mu mówiono, że w jej kuchni nie pochwała się podobnej swobody! Czy ona wtyka nos do jego konfesjonau i wygłasza opinie na temat pokuty, jaką zadał penitentowi?

- Zauważył ksiądz, że czegoś brakuje, kiedy wstał dziś rano? - zapytała pani Walsh, gdy wreszcie umieścił pokrywkę z powrotem na brytfannie.

- Nie - odparł ojciec Mark niepewnie.

- I teraz też nic ksiądz nie zauważył?

Ojciec Mark rozejrzał się po kuchni, która wydała mu się taka sama jak zawsze. Co chciała mu zasugerować gospodyni? Że w nocy było jakieś włamanie czy że wczoraj po powrocie zapomniiał może zamknąć drzwi na klucz? O cokolwiek tu chodziło, on nie miał czasu na zabawy. Jak pani Walsh wyczuła, ojciec Mark był ciągle podekscytowany powodzeniem swojego kazania. Poza tym chciał jeszcze wprowadzić do tekstu parę drobnych poprawek przed mszą o dziesiątej trzydzieści - kiedy to audytorium jest zawsze bardziej krytyczne, jako że o tej porze nikt już nie podsypia. Musiał koniecznie skończyć swoje notatki, zanim ojciec Tom wkroczy do akcji i narobi zwykłego zamieszania.

- Obawiam się, że nie mam teraz czasu na zabawianie się w dwadzieścia pytań, pani Walsh - powiedział, po czym zaczął szperać po jej szufladach w poszukiwaniu notatnika i ołówka. - Jeśli coś zniknęło, sądzę, że najlepiej pani zrobi, jeśli porozmawia o tym z ojcem Tomem. Zaczął gromadzić stosy rzeczy, odkąd usłyszał, że diecezja może zlikwidować naszą skromną placówkę.

Wsunąwszy się na ławę za stołem, zastygł na moment z ołówkiem zawieszonym nad czystą kartką w poczuciu, że jeśli nie zapisze swojej pierwszej myśli od razu, przepadnie mu ona bezpowrotnie. I nie pomylił się.

- Co pani przed chwilą powiedziała? - spytał i spojrzał na swoją gospodynię, nie mając pewności, czy dobrze zrozumiał jej słowa.

- Powiedziałam, że to właśnie ojca Toma brakuje.

Ojciec Mark przełknął z wysiłkiem.

- No cóż, nie sądzę, aby mógł pójść gdzieś daleko – zaryzykował optymistyczne stwierdzenie, ale, niestety, zabrzmiało ono raczej dość słabo. - Jest pani pewna, że nie ma go nigdzie w pobliżu?

Pani Walsh była absolutnie pewna i tak mu właśnie powiedziała.

- Mimo wszystko sprawdzimy jeszcze raz - zaproponował ojciec Mark, wstając z za stołu.

- To znaczy, ksiądz będzie sprawdzał - mruknęła gderliwie, niemniej poszła z nim przeszukać ponownie cały dom od góry do dołu. Gdy skończyli, ojciec Mark przeszukał jeszcze kościół, pamiętając, że staruszek bardzo lubił ukrywać się w konfesjonale.

Jednak i ta misja zakończyła się niepowodzeniem. Ojciec Mark i pani Walsh stanęli na ganku za domem, lustrując wzrokiem teren wokół kościoła, przy czym młody ksiądz miał minę, jakby dostał postrzał w brzuch, jego gospodyni zaś była bardzo z siebie zadowolona, gdyż bezowocne starania tylko potwierdziły teorię, którą głosiła, że stary księżuło wcale nie zniknął rano, pomiędzy wyjściem ojca Marka na mszę a przyjściem jej, pani Walsh, do pracy, lecz znacznie wcześniej, najprawdopodobniej wieczorem poprzedniego dnia. Oznaczało to, że cała wina spada na ojca Marka.

Ojciec Mark rzadko kiedy opuszczał plebanię po zmroku, a gdy już miał taki zamiar, zawsze wynajmował do opieki kogoś, kto oglądał z ojcem Tomem program w telewizji, a następnie dopilnowywał, by staruszek położył się do łóżka. Przeważnie był to któryś z ministrantów, odkąd bowiem ojciec Tom pojawił się w kuchni pani Walsh goły od pasa w dół, Mark nie ryzykował już zatrudniania jakiegokolwiek kobiety. Chłopak, który objął dyżur poprzedniego wieczoru, zostawił karteczkę z wiadomością, że staruszek położył się wcześniej, około ósmej trzydzieści. Sam chłopak pozostał na miejscu aż do dziesiątej, następnie zamknął plebanię na klucz, zgodnie z instrukcją, i poszedł przeświadczony, że ojciec Mark wkrótce będzie z powrotem - chociaż tym razem tak się złożyło, że młody ksiądz nie zjawił się w domu przed północą. Również nie zajrzał do ojca Toma, jak powinien. Tom miał bardzo lekki sen i Mark nie chciał go wyrwać z drzemki. Przynajmniej tak brzmiało kłamstwo, które wymyślił na swoje usprawiedliwienie wczoraj w nocy i które teraz powtórzył pani Walsh. Bo tak naprawdę ojciec Mark nie tyle się

obawiał, że staruszek mógłby spać, ile że będzie w pełni rozbudzony, a do tego ciekawski i rozmowny.

Tak więc, jakkolwiek bardzo niechętnie, ojciec Mark musiał przyznać, że istnieje możliwość, iż ojciec Tom mógł zniknąć co najmniej piętnaście godzin temu. Piętnaście godzin! Szczególnie niepokojący wydawał się fakt, iż nikt z miasta nie zatelefonował, by powiadomić, że gdzieś tam ojca Toma widziano. Staruszek nieraz już urządzał sobie takie eskapady, ale był znaną postacią w Empire Falls i najczęściej ktoś go zgarniał i przywoził z powrotem do św. Katarzyny, często zanim jeszcze stwierdzono jego zniknięcie. Brak wiadomości, w połączeniu z poczuciem winy, okropnie dręczył ojca Marka, i kiedy tak stali na ganku plebanii, przyszło mu nagle do głowy, żeby zapytać:

- Tom umie pływać, prawda?

Myśl o tym, że stary ksiądz mógł skończyć, topiąc się w rzece, sprawiła, że przeszedł go zimny dreszcz. Jeśli wszedł do wody poniżej wodospadu, fala mogła go znieść aż do Fairhaven, gdzie dopiero tama by go zatrzymała. W poprzednim stuleciu znane były przypadki, że ciała topielców płynęły w dół rzeki Knox aż do oceanu.

Pani Walsh nie miała pojęcia, czy ojciec Tom potrafi pływać, podobnie jak nie rozumiała, z jakiej racji oczekiwano akurat od niej, że będzie wiedziała podobne rzeczy.

- Cieszę się tylko z jednego, że ksiądz zabrał samochód wczoraj wieczorem - powiedziała. - Wie ksiądz, jak on uwielbia jeździć tą crown victoria.

Ojciec Mark spojrzał na nią. Pani Walsh spojrzała na niego.

- Bo wziął ksiądz wczoraj samochód, prawda?

- Do licha - zaklął, ponieważ akurat tym razem nie pojechał swoim autem; jego towarzysz przyjechał po niego.

- Bingo - rzekła pani Walsh.

Oboje jednocześnie spojrzeli na zamknięte drzwi do garażu, jedyne miejsca na terenie probostwa, którego jeszcze nie sprawdzili. Ojciec Mark usłyszał, że ktoś woła go po imieniu, i spostrzegł ministranta, który machał do niego na powitanie, wchodząc do zakrystii Św. Katarzyny. Ojciec Mark spojrzał na zegarek. Było dziesięć po dziesiątej, zaledwie dwadzieścia minut do rozpoczęcia kolejnej mszy, i pierwsi wierni już zaczęli się schodzić. Ojciec Mark pomyślał, że stanowczo lepiej byłoby, gdyby kolejne odkrycia nastąpiły nieco później, już po mszy. Wiedział jednak, że tak się nie stanie.

Nie z tą dobrą kobietą, panią Walsh; już sama jej obecność nakazywała podjęcie akcji.

- Proszę tu zostać - polecił jej, a następnie przeszedł przez podjazd, przystanął na chwilę, po czym zajrzał przez jedno z kwadratowych okienek do środka garażu.

Ze swego miejsca na ganku pani Walsh obserwowała go, jak pochylił się lekko do przodu i oparł czoło o szybkę. Policzyła do dziesięciu, nim znowu się wyprostował.

Lepiej być kompetentną gospodynią, pomyślała, niż niekompetentnym księdzem.

„Gdy Bóg się odwraca”, kazanie, które zabrzmiało tak żywo i przystępnie podczas pierwszej mszy, już na następnej okazało się absolutnie nieprzekonujące. Znalazszy się na ambonie, ojciec Mark zaczął od zmówienia w duchu gorączkowej modlitwy, w której błagał Boga, aby pomógł mu przypomnieć sobie myśl przewodnią kazania, które z taką elokwencją wygłosił zaledwie dwie godziny wcześniej. Ku swej rozpaczy odkrył, że On rzeczywiście się odwrócił, tym samym zmuszając ojca Marka to dramatycznego dukania z kartek, zapełnionych odręcznymi notatkami, podczas gdy zgromadzeni wierni słuchali go z rosnącym zdziwieniem, następnie niepokojem, a wreszcie trwożą. Najtrudniejsze okazało się odtworzenie z notatek owego głębokiego przekonania co do słów, które głosił. Przed dwoma godzinami wierzył, że wyrażały prawdę. Teraz nie był już tego wcale taki pewien.

Wczorajszy wieczór spędził w towarzystwie młodego artysty, wykładowcy w Fairhaven College. Był to ten właśnie profesor, który wybrał prace Tick Roby i Johna Vossa na międzyszkolną wystawę plastyczną, o czym ojciec Mark nie mógł wiedzieć. Obaj mężczyźni poznali się parę tygodni wcześniej na terenie stoczni w Bath podczas akcji protestacyjnej przeciwników zakupu nowego okrętu podwodnego o napędzie nuklearnym. Obaj zostali tam aresztowani za wykroczenie przeciwko prawu, a następnie szybko zwolnieni. W czasie ich wspólnego pobytu w celi ojciec Mark natychmiast się domyślił, że młody artysta jest gejem.

Czy tamten doszedł do podobnych wniosków na jego temat, tego już nie był pewien, ale w kilka dni potem otrzymał listowne zaproszenie, aby odwiedzić malarza w uniwersyteckiej pracowni. List nadszedł z wtorkową pocztą i ojciec Mark, któremu serce zabiło z radości, kiedy wziął go do ręki, poczuł, jak czas się zatrzymał na tę chwilę i jednocześnie zapragnął, aby

ruszył czym prędzej. Normalnie przypinał wszelkie zaproszenia w kuchni na korkowej tablicy dla pamięci, ale w tym wypadku zabrał list do swojego pokoju, gdzie schował go w środkowej szufladzie biurka, pomiędzy mało ważnymi szpargałami, tak jakby sąsiedztwo spraw doczesnych i ziemskich miało sprawić, że i ta sprawa, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, stanie się zwyczajna: ziemska i doczesna.

Ale nie udało się. Tego dnia zaglądał do szuflady wielokrotnie, za każdym razem odczytując list od początku, dopóki nie nauczył się go na pamięć. Artysta malarz pisał, że chce pokazać mu pewien obraz, nad którym aktualnie pracuje, a oprócz tego pragnie zasięgnąć rady ojca Marka w pewnej kwestii duchowej. W środe ojciec Mark nie mógł się już dłużej oszukiwać: ukrywał ten list sam przed sobą! Nie pozostawało mu więc nic innego, jak tylko podrzeć arkusik, co też natychmiast uczynił. Potem wyrzucił podarty list do kosza na śmieci obok biurka, a następnie przeszedł przez trawnik do kościoła, gdzie zapalił świecę i ukląkł przy bocznym ołtarzu, żeby odmówić modlitwę dziękczynną.

Już miał wypowiedzieć pierwsze słowa modlitwy, gdy usłyszał za sobą jakiś dźwięk i odwrócił się odruchowo. Zorientował się, że to ojciec Tom wślizguje się ukradkiem do konfesjonału. Staruszek najwyraźniej go śledził i nim ojciec Mark zdążył usprawiedliwić to dziwaczne zachowanie księdza demencją starczą, poczuł, że wzbiera w nim straszliwy słuszny gniew. Wpadł do konfesjonału, wyciągnął Toma na zewnątrz, a następnie pomaszerował z nim przez trawnik na plebanię, całą drogę go besztając. Gdy dotarli do kuchni pani Walsh, staruszek miał już nos na kwintę ze wstydu i wyglądał tak żałośnie, że w końcu ojciec Mark dał mu święty spokój, mówiąc, że oczywiście się nie gniewa, jednak nie powrócił już do kościoła. Modlitwa jest zawsze modlitwą, pocieszał się w duchu, bez względu na miejsce, gdzie się ją odmawia, dlatego ojciec Mark postanowił, że uczyni to u siebie w pokoju. Ale kiedy się tam znalazł, uderzyło go, że niepotrzebnie całą sprawę tak wyolbrzymiał. Nie było powodu, by sądzić, że zaproszenie nie jest całkowicie niewinne, a skoro tak, to nie było też powodu, żeby go nie przyjąć. To nie malarz, tylko sam ojciec Mark sprawił swoimi myślami, że urosło do domniemanej okazji do grzechu. Szczęśliwie się złożyło, że list podarł tylko na cztery części. Sięgnął do biurka po rolkę taśmy klejącej.

Artysta malarz, jak dowiedział się ojciec Mark, kiedy to w następną środę odwiedził go w pracowni, wychował się w Nikaragui i był synem dyplomaty amerykańskiego niższej rangi, który zginął w wypadku samochodowym, oraz kobiety pochodzącej z Managui. Jako młody człowiek przyjechał

do Stanów Zjednoczonych początkowo tylko na studia, ale po upadku sandinistów postanowił tu zostać na stałe. Jego obrazy - ojcu Markowi wydały się nadzwyczajne - były wyraźnie religijne, zarówno pod względem treści, jak i formy, a ponadto całkowicie pozbawione ironii. Artyści amerykańscy nie potrafili już malować bez ironii, zgodził się młody człowiek, zadowolony z opinii, wyrażonej przez ojca Marka. Mimo że na płótnach, jakie zostały mu pokazane tego dnia w pracowni na poddaszu budynku z czerwonej cegły w centrum Fairhaven, nie było to nigdzie otwarcie powiedziane, ojciec Mark wyszedł z tego spotkania utwierdzony w swoim podejrzeniu, że młody artysta jest gejem. Dopiero w drodze powrotnej do domu przypomniało mu się, że dylemat duchowy, o którym nowy znajomy wspomniał w zaproszeniu, w ogóle nie został poruszony.

Stało się to dopiero w dwa dni później podczas rozmowy telefonicznej. Ojciec Mark odebrał telefon w saloniku, celowo pozostawiając drzwi otwarte. Młody profesor malarstwa zaczął od przeprosin za to, że najpierw ciągnął ojca Marka taki kawał drogi aż do Fairhaven, a potem nie znalazł w sobie dość odwagi, by poruszyć temat, który go niepokoił. Nic się nie stało, zapewnił go ojciec Mark. Już same obrazy warte były tej wyprawy. Młody człowiek zaczął mu tłumaczyć, że tak dobrze czuł się w jego towarzystwie, iż nie śmiał powiedzieć czegoś, co mogłoby wzbudzić niechęć w oczach nowego przyjaciela. Bo miał nadzieję, że są przyjaciółmi. Ale od środy cały czas wstydi się za siebie i czuje się jeszcze bardziej zagubiony, dlatego postanowił, że w tej sytuacji najlepiej zrobi, jeśli zachowa się uczciwie i wyzna, jaka jest jego orientacja seksualna.

Tak, rozumiem, odpowiedział ojciec Mark, odrywając wzrok od telefonu, by stwierdzić, że w drzwiach stoi ojciec Tom. Staruszek nie ruszył się z miejsca, dopóki ojciec Mark nie dał mu znaku ręką, żeby odszedł. Nawet jeśli stary ksiądz pamiętał cokolwiek z tego, co się wydarzyło między nimi na początku tygodnia, trudno to było po nim poznać. Według ojca Toma podsłuchiwanie ludzi rozmawiających przez telefon było niemal tak samo ciekawe, jak słuchanie spowiedzi.

Młody malarz był wyraźnie speszony i zmartwiony. Przyznał, że takiej właśnie brzemiennej ciszy najbardziej się obawiał. Ojciec Mark natychmiast pośpieszył z wyjaśnieniem, że przeszkadzono mu w rozmowie i że jego milczenie wcale nie dowodziło szoku, wstydu czy zawodu. Zapewnił młodego człowieka, że teraz słucha go z najwyższą uwagą i prowadził tę rozmowę



przez następne pół godziny, podczas której ojciec Tom jeszcze czterokrotnie skorzystał z okazji, żeby przedefilować przed otwartymi drzwiami.

Kryzys wiary młodego artysty został spowodowany przez zdradę przyjaciela, który - pewnie nie uwierzysz, powiedział - tak się złożyło, również był księdzem. Nie widział owego człowieka od blisko dziesięciu lat, kiedy to poznali się w Teksasie, gdzie on studiował i gdzie obaj działali aktywnie w Ruchu Sanktuaryjnym, pomagając nielegalnym imigrantom przekraczać granicę Stanów Zjednoczonych, zapewniając im tymczasowe, ale bezpieczne schronienie, a następnie zaopatrując w fałszywe dokumenty, które pozwalały im na podjęcie pracy. Wielu z tych uchodźców oddawało oszczędności całego życia tak zwanym kojotom, szmuglerom, którzy pozostawiali ich samym sobie, wydając na pastwę skrajnego wyczerpania i skwarne go słońca Teksasu; większość wylapywano i odstawiano z powrotem. Nieliczni szczęściarze, którym udało się wymknąć z sieci, marzyli tylko o tym, żeby dostać pracę, ciężką i brudną pracę, jaką większość amerykańskich robotników pogardzała, po czym połowę swoich nędznych zarobków wysyłali rodzinom w Gwatemali, Salwadorze, Nikaragui czy Meksyku.

Obaj działacze byli wielokrotnie aresztowani przy różnych okazjach i właśnie podczas jednego z takich pobytów w areszcie młody artysta zwierzył się tamtemu księdzu, że jako gej czuje się w coraz bardziej wrogo nastawionym Kościele równie zagubiony, jak ci nielegalni uchodźcy, których wyladowywano nocą z ciężarówek, a potem porzucano bez pomocy, by sami znaleźli sobie drogę - lub też nie - przez teksańską pustynię. Skoro nie było dla niego miejsca w Kościele katolickim, dokąd miał pójść?

Ów ksiądz uczynił więcej niż ktokolwiek inny, by uspokoić jego serce i umysł. Zapewnił, że Kościół jest równie wielki i rozmaity jak cały świat i wszystkie dzieci Boże są w nim mile widziane. To prawda, wielu jest takich, którzy potępiają to, czego nie rozumieją, przez co Kościół może się wydawać miejscem ciasnym i zimnym niczym więzienna cela. Znacznie lepiej pamiętać, kim był ten, komu Jezus okazał swoją przyjaźń podczas swego krótkiego panowania na ziemi. Znacznie lepiej być wyrzutkiem za życia niż w niebie. Ale równocześnie ów ksiądz z całą surowością przypomniał młodemu człowiekowi, że Bóg wymaga od niego takiej samej wierności, jak od innych swoich dzieci. W Jego oczach wolne związki i lekceważenie norm to prawdziwe przewiny, niezależnie od tego, jaką kto ma orientację seksualną.

Ukończywszy studia, artysta zmuszony był poświęcić się nauczaniu, niechętnie przyjmując jedną prowincjonalną posadę po drugiej.

Dla ojca Marka było jasne, że młody człowiek zakochał się w tamtym księdzu i przechowywał wspomnienie o nim przez wszystkie lata, jakie upłynęły od ich spotkania, i to zapewne było przyczyną, dla której z takim zaskoczeniem przyjął przed miesiącem telefon od niego. Serce mu zabiło na dźwięk głosu starego przyjaciela, a jego pierwsza myśl dotyczyła tego, że musiał on zadać sobie wiele trudu, żeby odnaleźć malarza akurat tutaj, w Fairhaven w stanie Maine. Ale jego radość nie trwała długo. Z początku nie zrozumiał, że ów ksiądz zadzwonił do niego tylko po to, żeby mu wyjaśnić, iż przed laty udzielił mu niewłaściwej porady duchowej i dopiero późniejsze przemyślenia i modlitwy zmusiły go do przyznania, iż wprawdzie Kościół faktycznie jest ogromny jak świat, który obejmuje, jednak w kwestii swojej doktryny nie może być nieskończenie elastyczny i ustępliwy - czyli, innymi słowy, nie może przychylić się do zasady: wszystkim wszystko wolno. W kwestiach wiary i moralności bowiem nie może być zgody ani na wątpliwości, ani na odstępstwa i tam, gdzie jego nauki są jasne i jednoznaczne, prawdziwy wyznawca nie ma innego wyboru, jak tylko zaakceptować je jako wolę samego Boga. Tak więc obowiązkiem każdego grzesznika jest poszukiwanie dróg naprawy.

- Chcesz wiedzieć, co było w tym najsmutniejsze? - zakończył młody człowiek głosem wyczerpanym z emocji, na granicy załamania.

Ojciec Mark, słuchając tego głosu jednocześnie i nieustannego szurania ojca Toma w korytarzu, wiedział już, co było najsmutniejsze w tej historii.

- Podejrzewasz, że on też jest gejem, prawda?

Aczkolwiek ojciec Mark ułożył przeważającą część swego kazania „Gdy Bóg się odwraca” w głowie, leżąc bezsennie w łóżku podczas nieskończenie długiej i niespokojnej nocy - dokładnie w tym samym czasie, gdy ojciec Tom wprowadzał w czyn swoją ucieczkę - to jednak o jego treści rozmyślał już od dawna, a ściślej mówiąc, od pewnego wrześnieowego popołudnia, kiedy to długo rozmawiał z Milesem, który opowiedział mu o tym, jak mając dziewięć lat, spędził z matką tydzień na Martha's Vineyard, gdzie jego matka, uwikłana w nieszczęśliwe małżeństwo, przeżyła, zdaniem Milesa, krótki romans z kimś, kogo spotkała wówczas na wyspie. Naturalnie ojciec Mark nigdy nie poznał Grace Roby, przybywszy do Empire Falls w wiele lat po jej śmierci, ale z tego, co usłyszał od Milesa, wiedział, że po tej historii powróciła zarówno do małżeństwa, jak i na łono Kościoła.

Ojciec Mark uważał, że w jej historii nie było nic niezwykłego. Większość ludzi stara się dochować wierności, chociaż tylko nieliczni mogą się poszczycić nieskazitelnie czystą kartoteką. W Grace Roby jednak, a przynajmniej w tej Grace, jaka wyłoniła się z relacji jej syna, uderzyło go, że z powodu tej przelotnej miłości stała się całkowicie inną kobietą. Nie tyle chodziło o to, że zmieniło się jej zachowanie, ile raczej, że stała się zadziwiająco piękna - tak piękna, iż ta uroda robiła wrażenie nawet na dziewięcioletnim wówczas Milesie, który do tej pory uważał Grace za oczywistą część swego życia do tego stopnia, że w gruncie rzeczy nigdy nie widział w niej kobiety, a jedynie matkę. W ciągu tych kilku krótkich, przesyconych słońcem dni była naprawdę szczęśliwa, być może pierwszy raz w życiu, i to szczęście promieniowało z niej tak, że każdemu mężczyźnie napotkanemu na ulicy głowa sama się obracała na jej widok.

Mimo że taka zwyczajna, była to zarazem wyjątkowa historia, i sam ojciec Mark również nie mógł się oprzeć, żeby się odrobinę nie zakochać w Grace Roby, a co jeszcze bardziej niepokojące, by nie odczuwać wręcz zadowolenia, że ta kobieta, której nigdy nie spotkał, mogła się nacieszyć choćby tylko przelotną chwilą szczęścia. Fakt, że sprzeniewierzyła się przysiędze małżeńskiej i swojej wierze, wydawał mu się niemal mało istotny, może dlatego, że ojciec Mark, znając Maxa Roby, rozumiał, jak trudnym doświadczeniem musiało być jej życie małżeńskie. A to, że ostatecznie powróciła zarówno do męża, jak do swojej wiary, było w jego mniemaniu daleko bardziej znaczące, i tyle mniej więcej powiedział wtedy Milesowi, który przyznał się do niepokoju, jaki towarzyszył mu przez całe życie, że intensywność tej krótkiej chwili radości stała się w jakimś sensie źródłem choroby, która ostatecznie zabiła jego matkę w dziesięć lat później.

- Usiłujesz mi wmówić, że szczęście jest rakotwórcze? - spytał, gdy Miles powiedział, że po ich powrocie do Empire Falls matka nigdy już naprawdę nie była taka sama jak dawniej, gdyż niemal natychmiast zaczęła chudnąć, stała się blada jak kreda i odtąd co roku zimą chorowała po kilka razy, a podczas porodu jego brata, Davida, o mało nie umarła. Dziwne, że Miles, będąc przecież dzieckiem, doszedł do wniosku, iż to szczęście, a nie jego utrata, było tym, co powaliło jego matkę. A jeszcze dziwniejsze, że i w późniejszym życiu najwyraźniej nie potrafił zweryfikować tej tezy. Czy na tym właśnie polegało bycie katolikiem?

Jednak dopiero ostatniej nocy, kiedy leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć, znaczenie historii Grace Roby, albo przynajmniej jedno ze znaczeń, stało się

dla ojca Marka w pełni klarowne i zrozumiałe. A kiedy to sobie uświadomił, wówczas i jego osobisty kryzys minął, pozostawiając uczucie ulgi i osłabienia jak wtedy, gdy gorączka nagle spada.

Wybrali się razem na wernisaż do maleńkiej galerii w bocznej uliczce gdzieś w Camden, a potem zjedli razem kolację w pobliskiej restauracji, z widokiem na port. Jak na pierwszy tydzień października, na wybrzeżu było niespotykane ciepło, a wieczór był jeszcze dość łagodny, by zjeść na zewnątrz, pod wiszącymi lampami, które dawały ciepło. Przy sąsiednim stoliku kobieta i mężczyzna dzielili się jedną porcją frutti di mare, co przypomniało ojcu Markowi opowieść Milesa. Kobieta i mężczyzna mogli być równie dobrze mężem i żoną, jak czyimś mężem i czyjąś żoną, ale widać było, że się kochają. Gdy malarz zauważył uśmiech Marka, zapytał, co go tak rozbawiło, a wtedy ojciec Mark opowiedział mu historię Grace, niemal dokładnie przytaczając słowa Milesa. W trakcie opowiadania nagle zrozumiał coś, czego wcześniej do końca nie pojął. Jak cudownie! - pomyślał. Jak cudownie bije serce, gdy zostajemy wybrani, zwłaszcza w późniejszym okresie życia, kiedy wydaje nam się, że czas na wybieranie i bycie wybranym już dawno przeminął. Niespodziewanie ktoś uznaje nas za godnych miłości i pożądania - nagle czujemy, że jesteśmy godni miłości i pożądania. Czyż nie tego właśnie potrzebowała Grace Roby! Dla niej była to chwila dana od Boga, chwila, na której czas trwania Bóg miłosiernie odwrócił swoje oczy i stał się nieobecny. Stąd wziął się tytuł kazania.

Niektóre z obrazów młodego malarza zaprezentowane na wystawie w Camden ojciec Mark widział już podczas wizyty w pracowni, ale inne były albo nowe, albo wcześniej zostały przed nim ukryte. Większość z tych ostatnich była wyraźnie homoerotyczna i przez cały czas, kiedy się im przyglądał, ojciec Mark czuł na sobie uważny wzrok młodego malarza. Później, przy kolacji, ojciec Mark wyjaśnił przyjacielowi, że rada, jakiej zwykle udziela homoseksualnym kobietom i mężczyznom, jest zasadniczo zbieżna z tą, jakiej udzielił ksiądz-aktywista, to jest przed jego godnym pożałowania nawróceniem się na ścisłą ortodoksję. Ojciec Mark dodał również, że nie jest bynajmniej zaskoczony podobnym przewartościowaniem w połowie życia. Ostatecznie Chaucer zaparł się swoich „Opowieści kanterberyjskich”, a zapewne jako artysta młody człowiek musiał słyszeć o różnych malarzach i rzeźbiarzach, którzy w późniejszym okresie życia odżegnali się od swoich najlepszych dzieł, uznawszy je za próżne czy niemoralne. Ojciec Mark mówił to wszystko z zamiarem dodania otuchy, na wypadek gdyby młody

człowiek rzeczywiście jej potrzebował, chociaż w gruncie rzeczy nie wierzył już w istnienie owego księdza-aktywisty ani tym mniej w jego zdradę. Nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale nabrał pewnych podejrzeń. W galerii przyszło mu też do głowy, że wprawdzie ten konkretny ksiądz-aktywista mógł faktycznie w ogóle nie istnieć, ale jest możliwe, że przez życie młodego artysty przewinęło się wielu podobnych.

Jedno było niezaprzeczalne. Ojciec Mark pojął, że oto został wybrany i że na tę myśl serce zadrżało mu z radości, tak samo, jak niegdyś musiało zadrzeć serce Grace Roby. Czy jest na świecie coś prawdziwszego i szerszego niż takie serce drżące z przeczucia? Czy coś, co tchnie taką prawdą, może być grzechem? Nawet teraz, wiedząc już to, czego nie wiedział wcześniej, że nie ulegnie tej pokusie, jakże cudownie było czuć się pożądanym! Z całą pewnością musiał to być dar Boga ofiarowany upadłemu Człowiekowi. Przyczyna, a zarazem słodkie zadośćuczynienie za utratę Raju. Jakże zręcznie usuwa się Bóg z naszego pola widzenia, jak to uczynił w przypadku Grace i jak uczynił też z ojcem Markiem, by radzili sobie sami. Ojciec Mark zrozumiał, że nie jest to powód, by czuć się człowiekiem cnotliwym, tylko po prostu szczęśliwym. A może błogosławionym.

Myśl przewodnia kazania, którą na próżno usiłował sobie przypomnieć, kiedy tak stał zmieszany na ambonie, przerzucając nerwowo notatki, zawierała sugestię, że aczkolwiek Bóg nigdy nas nie opuszcza, nie oznacza to jednak automatycznie, iż jest zawsze przy nas obecny, być może dlatego, że jego ciągła obecność jest tym, czego pragniemy najbardziej - to jest, by nas odwołał od pokuszenia, inaczej mówiąc, od nas samych. Chcemy, żeby był przy nas, by był gotów odebrać nasze wezwanie w każdej chwili, gdy będziemy Go potrzebować: I nie wódź nas na... A tymczasem Bóg, z sobie tylko wiadomych powodów, czasami niespodziewanie decyduje, że zamiast Niego odpowie automatyczna sekretarka. „Najwyższa Istota nie może w tej chwili podejść do telefonu, ale pragnie, abys wiedział, że twój telefon jest dla Niej ważny. Tymczasem w kwestii grzechu pychy naciśnij jeden. W przypadku skąpstwa naciśnij dwa...”.

Wygłaszając „Gdy Bóg się odwraca” do swojej kongregacji, jeszcze sennej o tak wczesnej porze, ojciec Mark czuł, że jest to jedno z jego lepszych kazań. Zmęczony i szczęśliwy, mógł się w nim dopatrzeć zaledwie jednej drobnej skazy, na płaszczyźnie refleksji osobistej. Bo że Bóg mu zaufał, pozwalając najpierw zbłądzić i zgubić drogę, a następnie na nią powrócić, wydało mu się mądrym i dobroczynnym gestem. Tyle że teraz wyglądało na to, iż tak naprawdę Bóg pozwolił mu zgubić ojca Toma.

I tak ojciec Mark, ciężko doświadczony wypadkami dnia, pozostawił bynajmniej nieporuszoną tymi wypadkami panią Walsh w kuchni, zajętą wycieraniem naczyń. Przeszedł przez trawnik i skierował się do miejsca, gdzie Miles Roby siedział w swoim samochodzie. Wciąż jeszcze żywił nadzieję, że pani Walsh myliła się, informując go, iż w samochodzie widzi jedynie Mile-sa, ale, niestety, miała rację, Maxa rzeczywiście tam nie było, co oznaczało, że ojciec Mark stracił ostatni powód, by nie poddawać się rozpacz. Wnio-sek, jaki wspólnie z panią Walsh, choć bardzo niechętnie, wysnuli co do miejsca pobytu starego księdza, powrócił teraz z całą mocą, mimo że ojciec Mark dałby wiele, żeby się mylić. W końcu popełnianie omyłek było czymś, z czym zazwyczaj nieźle sobie radził. Niestety, domyślał się prawdy, bo kiedy przeszukiwał kosz na śmieci w pokoju ojca Toma, wśród miętowo-zielonych kopert na datki znalazł zmiętą kolorową broszurkę: „W Keys na Florydzie czeka cię nowe życie!”

Nie wiadomo, czy Miles widział, jak ojciec Mark zdąża ku niemu przez trawnik, w każdym razie nie poruszył się nawet wtedy, gdy młody ksiądz pomachał mu ręką. Miles spoglądał w górę na wieżę św. Katarzyny, dokładnie tak, jak ojciec Mark to sobie wyobraził, stojąc w kuchni u pani Walsh, jednak wyraz jego twarzy w niczym nie przypominał tego, jakiego ksiądz się spodziewał. Miles wyglądał jak człowiek, który patrzy na kościół i wieżę po raz pierwszy w życiu, niemal jak ktoś, kto nigdy dotąd nie widział żadnego kościoła ani żadnej wieży, i teraz nie potrafi sobie wyobrazić, jakie może być przeznaczenie podobnej budowli.

## 21

Niedzielne transmisje rozgrywek NFL zawsze wystarczały, by odbu-dować w człowieku wiarę w sens prowadzenia takiego interesu jak pub, ściągały bowiem popołudniami naprawdę sporo gości. Oczywiście, jeśli Bea miała wierzyć swoim klientom, w jej pubie odczuwało się brak porządnego telewizora, jednego z tych szerokoekranowych, jaki mieli na przykład w Lamplighterze. Wątpliwości Bei w tej kwestii były jednak głęboko filozoficzne. Choćby dlatego, że ludzie rzadko kiedy wiedzą, czego tak naprawdę chcą. Niezależnie od ich przekonania o tym, że doskonale to wiedzą. Ona sama nigdy nie spotkała się z takimi argumentami, które byłyby wystarczają-ce, a ponieważ dostarczenie klientom tego, czego ich zdaniem im brakowało,

kosztowałyby ją tysiąc pięćset dolarów, ona nadal poprzestawała na zapewnieniach, że rozważy taką możliwość. Prawda, w niedzielne popołudnia klienci psioczyli na nią praktycznie bez przerwy, awanturując się z powodu małego czarno-białego telewizora, który otrząsnąwszy z naftaliny, wyciągała ze strychu na czas trwania sezonu piłkarskiego i ustawiała z tyłu za barem na górnej półce, zwykle przeznaczonej na butelki drogich gatunków szkockiej i bourbona, na które i tak nigdy nie było wielkiego zapotrzebowania nawet w czasach, gdy ludzie mieli pracę.

Zdaniem Bei potrzeba narzekania i marudzenia stałych bywalców jej pubu była znacznie głębsza i prawdziwsza niż potrzeba większego ekranu telewizyjnego. Twierdzili, na przykład, że ten czarno-biały telewizor zaburza sprawiedliwą równowagę. Że niby jak człowiek miał szczęście i udało mu się ulokować na stołku w dobrym końcu baru, to może sobie oglądać ten sam mecz w kolorze, w normalnym telewizorze, podczas gdy w drugim końcu człowiek ma do dyspozycji tylko obraz czarno-biały, a piwo z beczki nie jest tam wcale tańsze z powodu tak oczywistej niewygody. Do tego w soboty i niedziele bywa tłoczno, a wtedy wszyscy się rozpychają łokciami, żeby być bliżej baru. Pieniądze na kontuarze się mieszają. A jak człowiek próbuje się przesunąć na początek baru, schodząc ze swojego stołka, zaraz ryzykuje, że rozleje piwo gościowi stojącemu za plecami, a kiedy chce wrócić na swoje miejsce, to wtedy się okazuje, że gość odplacił mu pięknym za nadobne i zajął jego stołek. I jeszcze miał czelność rzucić nam w twarz, że myślał, że my już zbieraliśmy się do wyjścia! Co innego, gdyby Bea zdecydowała się na ten duży ekran - argumentowali - ludzie wreszcie nie musieliby siedzieć sobie na głowach ani deptać po piętach.

Jej klienci zdawali się nie rozumieć, że tak naprawdę w głębi duszy uwielbiają być stłoczeni, tak jak uwielbiają całe to przepychanie, rozlewanie piwa i bezprawne zajmowanie sobie nawzajem barowych stołków. Uwielbiają powstrzymać się od pójścia do ubikacji tak długo, jak tylko się da, a kiedy już dłużej się nie da, prosić faceta na sąsiednim stołku, żeby przypilnował im miejsca, dopóki nie wrócą, chociaż dobrze wiedzą, że on tego nie zrobi, nawet jeśli obieca, że zrobi. Sami o tym nie wiedzą, jednak lubią nawet ten mały czarno-biały telewizor, chociaż mają rację - w nim faktycznie gównu widać. Ale żeby zaraz gadać o jakiejś zachwianej równowadze, to już gruba przesada. Bo czymże jest życie, jeśli nie dobrym stołkiem albo złym stołkiem, łutem szczęścia albo pechem, życiem od niedzieli do niedzieli

przez lata, które przemijają jak powodzenie „Patriotów” z Nowej Anglii. Każdy wie, że nie istnieje nic takiego jak wieczne powodzenie - czy też niepowodzenie, jeśli nie liczyć „Red Soxów”, którzy zostali przekłęci na wieczność.

Poza tym nowy szerokoekranowy telewizor wcale by nie przywrócił żadnej równowagi. Jej klienci nadal mieliby do wyboru jeden dobry telewizor i jeden gówniany. A cała różnica polegałaby na tym, że ten, o którym teraz myśleli, że jest dobrym dużym telewizorem, stałby się tym małym i gównianym. Co gorsza, Bea doskonale wiedziała, że najszybszym sposobem wywołania nowego pragnienia jest zaspokojenie starego, a jakoś tak się dziwnie dzieje, że każde nowe pragnienie jest zawsze kosztowniejsze od poprzedniego. Gdyby była na tyle niemądra, żeby zaspokajać żądania swoich klientów na bieżąco, kto wie, co by jeszcze wymyślili?

Kolejnym powodem, dla którego nie miała ochoty inwestować w nowy szeroki ekran, był Walt Comeau, który zalał jej za skórę bardziej niż wszyscy inni stali bywalcy razem wzięci. Wpadł dzisiaj do pubu na część meczu „Patriotów” i, jak to zwykle on, nie mógł sobie darować, żeby jej nie przygadać. On sam miał u siebie w klubie gigantyczny telewizor i nie omieszkał wytknąć Bei, że bardzo głupio robi, nie kupując takiego samego.

- Jak ci się tak strasznie podoba, to jedź i tam sobie oglądaj ten zakichany mecz - zaproponowała.

Jej zdaniem Walt Comeau udzielał stanowczo za dużo dobrych rad, jak na faceta, który pił tylko wodę sodową i nigdy nie dawał napiwków. Miała tylko nadzieję, że jej córka idiotka nie wychodzi za niego wyłącznie dla jego forsy, ponieważ Bea poznała w swoim długim życiu niejednego faceta w rodzaju Walta Comeau i wiedziała, jacy potrafią być sknerowaci. Tego z miejsca przejrzała na wylot i była więcej niż pewna, że Janine będzie musiała się z nim użerać o każdy nędzny grosz.

Naturalnie jej córka ciągle twierdziła, że jedyne, co ją interesuje, to seks, a mówiła to tym swoim fałszywym tonem, jakby chciała dać matce do zrozumienia, że dobrze robi, jeśli nie będzie nawet próbowała pojąć czegoś, co było tak obce jej własnemu doświadczeniu. Bea nie była aż taką ignorantką w tych sprawach, jak to sobie Janine wyobrażała, ale nie mogła się oprzeć myśli, że w takim razie seks ze Srebrnym Lisem musiałby być naprawdę niezemski, jeśliby miał zrekompensować inne jego braki i niedostatki, z drugiej strony jednak, miała pewne wątpliwości, czy kochanie się z mężczyzną, który ma takie chude nogi jak Walt, jest aż taką znowu wielką frajdą. Wczoraj, podczas meczu, Bea zaczęła podejrzewać, że coś się popsulo między



gołabkami, trochę nawet liczyła na to, że tak rzeczywiście jest. Bardzo by chciała, żeby jej córkę oświeciło, zanim będzie za późno. Ale teraz już wiedziała, że były to tylko jej pobożne życzenia. Nawet gdyby Janine przejrzała na oczy, nigdy za żadne skarby by się do tego nie przyznała. Zawzięty upór i przekora stanowiły podwójny zwornik jej osobowości już od dziecka i Bea dawno zrezygnowała z prób, żeby to jakoś zmienić. Janine nigdy nie dopuszcza do sytuacji, w której ktoś mógłby mieć przyjemność powiedzenia „A nie mówiłam”.

Gdy drugi mecz w rozgrywkach tego popołudnia dobiegł końca, a zaraz potem w programie zapowiedziano kolejny odcinek „60 minut”, Bea znowu miała Callahana wyłącznie dla siebie. Za godzinę, w trakcie której faceci wpadną do domu na obiad, kilku co wierniejszych wymknie się znowu i wróci, żeby obejrzeć jeszcze wieczorny mecz, mimo że zazwyczaj były to już tylko biedne baraże z dołu tabeli, ciekawe wyłącznie dla naprawdę wytrwałych. Przynajmniej tyle dobrego, że ludzie twardzi i wytrwali stanowili w Empire Falls silną grupę, przy czym Bea naturalnie zaliczała siebie do ich grona. Rozsądna kobieta już dawno sprzedałaby ten bar i za pieniądze ze sprzedaży przeprowadziła się do tego osiedla dla emerytów z dodatkową opieką, które zbudowano w Fairhaven i które stało w trzech czwartych puste, ponieważ było tak drogie, że nikt nie mógł sobie na nie pozwolić. Bea chętnie by skorzystała z tej cholernej opieki, żeby ułatwić sobie życie, a myśl, żeby nareszcie położyć się z opuchniętymi nogami do góry, stawała się z każdym dniem coraz bardziej kusząca. A gdyby jeszcze ktoś mógł jej te obolałe stopy od czasu do czasu pomasaować, byłoby już całkiem miło. Zeszłej wiosny odwiedziła taki dom w Dexter Woods i chociaż samo miejsce było nawet całkiem ładne, uderzyło ją, że prawie wszyscy jego mieszkańcy wymagali o niebo więcej pomocy od niej. Potrzebna im była pomoc podczas spaceru, pomoc w kąpieli, pomoc w siusianiu, pomoc przy krojeniu mięsa, pomoc w przeżuwaniu, i Bea przestraszyła się śmiertelnie, że jak tylko by się tam znalazła, natychmiast stałaby się taka sama jak oni. Mimo to jednak była prawie zdecydowana, żeby za jakiś czas znowu się tam wybrać i sprawdzić, czy przypadkiem nie wprowadził się ktoś, kto mógł jeszcze nawigować po tych pustych korytarzach o własnych siłach, bez pomocy aluminiowego balkoniku.

O siódmej trzydzieści zjawił się człowiek, którego najmniej się spodziewała - Miles Roby, z wielką torbą hamburgerów i frytek z baru Dairy Queen. Aż do zeszłego roku, kiedy to on i Janine postanowili się rozstać, Miles był regularnym bywalcem w niedzielne wieczory i zawsze przynosił

tylko hamburgerów i frytek, żeby wystarczyło dla niego, Janine, Tick i Bei. Max, który miał doskonały węch, jeśli chodziło o wszystko, na co mógłby się załapać za darmo, zjawiał się równie regularnie. Teraz wyglądało na to, że Miles przyniósł dość, żeby obdzielić całą wymienioną powyżej załogę, chociaż w barze było tylko ich dwoje, a Bea nie potrafiła sobie wyobrazić żadnego powodu, dla którego Miles miałby sądzić, że będzie inaczej.

- Skąd wiedziałeś, że jestem strasznie głodna? - powitała swojego zięcia, stawiając przed nim jedno duże piwo i nalewając sobie drugie. Bo prawdę mówiąc, rzeczywiście była głodna, mimo że nie czuła tego, dopóki on nie zaczął wykladać jedzenia na blat. Było tam z pół tuzina hamburgerów, tyle samo porcji frytek, a nawet kilka plastikowych kubeczków z topniejącymi lodami.

- Spodziewałeś się kogoś jeszcze?

- Nie wiem - westchnął Miles.

- Twoja córka nie tyka już wołowiny, a twoja żona nie tyka już w ogóle żadnego jedzenia. Znaczą, była żona. Kimkolwiek ona jest, oprócz tego, że jest niezłym wrzodem na tyłku. Nie mam pojęcia, jak może oczekiwać, że jej córka stanie się dorosłą kobietą, skoro ona sama sobie z tym nie radzi.

- Myślę, że Janine trochę się boi tego nowego małżeństwa - rzekł Miles.

- Im bliżej, tym bardziej się boi.

Jego stosunki z Beą zawsze były trochę dziwne. Od początku zawsze brał stronę Janine przeciwko jej matce, podobnie jak ona zawsze brała jego stronę przeciwko swojej rodzonej córce. Miles nie był pewien, czy ten brak lojalności jest całkiem zdrowym objawem, chociaż z ulgą przyjął, że Bea nie winiła go za rozpad ich małżeństwa. Nie miał wątpliwości, że Janine postarała się, by matka dowiedziała się o wszystkich jego wadach, ale nawet jeśli tak było, Bea najwyraźniej nie zamierzała wykorzystywać swojej wiedzy przeciwko niemu, za co był jej wdzięczny.

- Zważywszy na to, za kogo zamierza się wydać - zauważyła Bea - powiedziałabym, że ma powody do obaw.

- Cóż - rzekł Miles z ustami pełnymi hamburgera. - Miejmy nadzieję, że wszystko się ułoży.

- Dobrze się czujesz, Miles? - spytała Bea, przyglądając mu się uważnie. Minę miał, jakby ktoś go ścigał, włosy poplamione białą farbą, a na prawej dłoni kilka wielkich, nabrzmiałych bąbli. - Wyglądasz, jakby stado koni cię stratowało, a potem walec drogowy poprawił, jak mawiał mój świętej pamięci mąż.

- Nie, wszystko jest w porządku - odparł, mimo że faktycznie trochę mu się kręciło w głowie, ale to pewnie dlatego, że przez cały dzień nic nie jadł. Zjedzenie czegoś dobrze mu zrobi. Tak jak trochę mu pomogło, że przez całe popołudnie, które spędził na malowaniu kościoła, miał czas na to, by sobie przemyśleć parę rzeczy. Od rana czuł się tak, jakby wjechał w niego ów pociąg, którego zbliżanie się usłyszał, zobaczywszy matkę na tym zdjęciu w gazecie. Teraz to uczucie trochę zelżało, jakby pociąg jakimś cudem jednak w niego nie trafił, tylko pomknął z łoskotem dalej, ominąwszy go o centymetry, i jedynie jego grzmiąca moc spowodowała, że niemal stracił przytomność, a odzyskał ją dopiero, gdy wszystko ucichło. Ale ciągle jeszcze czuł podmuch tamtego pędu.

- Chyba nie pozwolisz, żeby ten rozwód cię zdołował, co? - spytała Bea, zgniatając papier po zjedzeniu pierwszego hamburgera i odpakowując drugiego. Wcześniej rozmawiała ze swoją córką i Janine podobno dowiedziała się od prawników, że decyzja o rozwodzie ma być wydana w pierwszej połowie przyszłego tygodnia. Bea spodziewała się, że Janine przekazała tę wiadomość Milesowi i może to sprawiło, że wyglądał jak z krzyża zdjęty. - Powinieneś przez jakiś czas nacieszyć się wolnością - poddała mu myśl, przypomniawszy sobie, że poprzedniego dnia widziała go na meczu z córką Whitingów. - Spróbuj nie narobić głupstw, dopóki się nie upewnisz, że trzeźwo myślisz.

- A wtedy będę już mógł zrobić coś głupiego?

- Wiesz, o co mi chodzi - rzekła Bea, żując w zamyśleniu. - Cholera. Gdybym miała kogoś, z kim mogłabym jadać codziennie kolację, ważyłabym pół tony. Większość wieczorów kończy się tym, że albo kompletnie zapominam, żeby zjeść, albo po prostu zjadam jedno z tych cholernych jaj - machnęła swoim hamburgerem w stronę baru za plecami, gdzie stał trzylitrowy słój piklowanych jaj, pływających w zalewie. - Twój ojciec i ja jesteśmy chyba jedynymi ludźmi, którzy jeszcze je jedzą.

- A skoro mowa o Maxie - powiedział. - Nie przypuszczam, żeby zaglądał tu dzisiaj?

Bea pokręciła przecząco głową, jednocześnie rozważając - co Miles mógł poznać po jej minie - czy nie zjeść jeszcze trzeciego hamburgera.

- Jak się drzwi otworzyły, nawet trochę się spodziewałam, że to będzie on. Zwykle wpada tutaj w niedzielę wieczorem.

- Dziś nie wpadnie, jak sądzę - odparł jej Miles. Nim udał się do Dairy Queen po hamburgery, zajeżdżał do bloku Maxa i pukał do drzwi jego mieszkania, ale na próżno. Jakaś kobieta na dole w hallu powiedziała mu, że widziała Maxa poprzedniego wieczoru, jak wychodził, niosąc torbę podróżną.

To w zestawieniu z broszurą, znaną przez ojca Marka w koszu na śmieci u ojca Toma, rozwiało wszelkie wątpliwości, dotyczące tego, co też mogło się stać z dwoma starszami. - Zdaje się, że znalazł sobie kompana z samochodem na drogę do Keys.

- A kogóż to? Miles uśmiechnął się.

- A potrafisz dochować sekretu?

Bea się zachnęła.

- A czy powiedziałam ci, w co się pakujesz, żeniąc się z moją córką?

- Nie - przyznał Miles.

- Ano widzisz - rzekła, jakby to stanowiło wystarczający dowód.

W toalecie Miles obejrzał pięć nabrzmiąłych bolesnych pęcherzy, które zafundował sobie na prawej dłoni w trakcie tego popołudnia. Na zachodniej ścianie została mu już tylko godzina malowania, ale zamiast dokończyć jedno, przeniósł się na ścianę południową i zabrał się do skrobania, czynności o wiele lepiej pasującej do jego nastroju. Zeskrobywanie czegoś - takie stwarzanie brzydoty przed przystąpieniem do odtwarzania piękna - wydawało się o wiele bardziej satysfakcjonujące. Skrobał aż do zmroku, dopóki mógł jeszcze dojrzeć skrobak na końcu wyciągniętej ręki i dopóki pęcherze nie nabrzmiały, podchodząc płynem, skrobał jak w transie: gdzieś dotarł do ostatniej warstwy farby, a na-, wet jeszcze głębiej, wyczuwając próchniejące drewno, omal spodziewając się, że za chwilę ujrzy krople krwi, wypływające w miejscach, gdzie dźgnął mocniej naskórek kościoła.

Z zapadnięciem zmroku, kiedy już zeskrobał wszystko, czego mógł dosięgnąć z ziemi, postawił drabinę i wspiął się wyżej, niż kiedykolwiek by się ośmielił w dziennym świetle. Ogarnął go dziwny spokój, kiedy tak sięgał coraz wyżej i wyżej, do tych fragmentów, gdzie farba napęczniała i popękała. Nawet wspinając się „wyżej” i wychylając się „dalej”, miał jakby przeciwne odczucie, tak jakby posuwał się „w dół i do środka”, poprzez ochronne warstwy farby, w głąb miękkiego drewna. Zdawał sobie sprawę, że to niezwykle silne i niebezpieczne złudzenie, ale nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że gdyby z jakiegoś powodu musiał zrobić krok w powietrzu, wcale nie spadłby na ziemię, tylko stanął na ścianie kościoła, tak jakby jego przyciąganie miało zastąpić grawitację. Gdy tak stał przy umywalce w męskiej toalecie w Callahanie, na samą myśl o tym trzęsły mu się ręce.

Dopiero teraz zrozumiał, że to, co zdzierał skrobakiem, to były nie tyle warstwy farby, ile minione lata i wszystkie jego chłopiące błędne spostrzeżenia i

oceny, których przecież nigdy poważnie nie zakwestionował. Charlie Whiting. Nawet z dowodem w postaci fotografii łatwiej mu było myśleć o uwiecznionym tam mężczyźnie jako o Charliem Maynie. Ileż razy przez te wszystkie lata widywał zdjęcia C. B. Whitinga w „Empire Gazette”, a przecież nigdy nie wprowadził żadnej korekty do swojej wiedzy o człowieku, którego z matką spotkali na Martha's Vineyard. Oczywiście można powiedzieć, że mężczyzna, którego tam poznali, w przeciwieństwie do C. B. Whitinga był zawsze świeżo ogolony, ale mimo wszystko. Nawet tego ranka, gdyby nie to, że znalazł Grace na tej samej fotografii, Miles prawdopodobnie wcale by się nie starał go zidentyfikować. Musiał dopiero podążyć za jej wzrokiem, by w końcu odkryć prawdę. A przynajmniej część prawdy. Jak długo się kochali przed Martha's Vineyard? Bo przecież tylko udawali, na użytek Milesa, że spotkali się po raz pierwszy w tej sali jadalnej w Summer House, co było równie pewne jak to, że Grace kupiła tę białą sukienkę w oczekiwaniu na przyjazd Charliego Whitinga - którego pojawienie się wydało się takim cudownym trafem i zbiegiem okoliczności, zważywszy, że zdarzyło się akurat wtedy, gdy Grace kończyły się pieniądze. Miles przypomniał sobie, że już wtedy odnosił wrażenie, jakby matka na kogoś czekała; założył jednak z góry, że na ojca, bo na kogóż innego mogłaby czekać?

A potem, po ich powrocie do Empire Falls, oczekiwała, że Charlie spełni swoją obietnicę, a zamiast tego dowiedziała się od koleżanek z pracy, że C. B. Whiting został wysłany do Meksyku, a ciężarna żona dołączy do niego później. Czy Grace doznała wstrząsu - jakiego Miles z całą pewnością by doznał - dowiadując się, że mężczyzna, który na Martha's Vineyard nieustannie dawał dowody swojej zadziwiającej władzy, we własnym domu nie miał żadnej? Czy też doszła do wniosku, że zwyczajnie nie znalazł w sobie dość odwagi, by stanąć twarzą w twarz ze swoją żoną? Czy przyszło jej do głowy, że pani Whiting mogła zjednać sobie poparcie swego teścia, Honusa, i zagrozić mężowi utratą jego dziedzictwa? Czy wiadomość o ciąży - a przecież żadne dziecko nie urodziło się po Cindy - była niczym więcej niż zmyśloną historią, która miała na celu powstrzymanie C. B. Whitinga od porzucenia rodziny? Komu z nich, żonie Charliego czy też jego ojcu, udało się go przekonać, że uroczysta przysięga dana po cichu zrozpaczonej kobiecie, mieszkającej po niewłaściwej stronie rzeki, mniej się liczyła, niż przysięga, jaką złożył publicznie, w obecności rodziny? Ale odpowiedzią na wszystkie te dramatyczne pytania było wyłącznie straszliwe milczenie i - drugie dziecko. Ponieważ dziecko Grace, rosnące w jej łonie, było jak najbardziej rzeczywiste

i zmusiło ją, by zmierzyła się z tym życiem, jakie zostało jej dane, jak również z samą sobą i z rolą, jaką w tym życiu odgrywała - kobiety zameźnej, matki, żywicielki rodziny, dobrej katoliczki.

Dopiero teraz Miles pojął w pełni, jak kluczową rolę odegrał kościół św. Katarzyny, sprowadzając jego matkę z powrotem na drogę tego życia, od którego usiłowała uciec z Charliem Mayne'em. Kościół pod postacią ojca Toma zwabił ją z powrotem do świata, który pewnie by porzuciła, ofiarowując nadzieję na życie wieczne jako zapłatę za swoją rozpacz. Stary ksiądz mógł być już wtedy szalony, przyszło Milesowi na myśl, gdy zeszkrobywał farbę, nie zważając na tworzące się pęcherze. Dokładnie za tą ścianą, w zakrystii - z jej powietrzem aż ciężkim od wiecznotrwałego zapachu kadzidła, z jej otwartą szafą, wypełnioną szatami liturgicznymi, ze złotym kieli chem monstrancji, bezpiecznie ukrytym w tabernakulum po niedzielnej mszy, wraz z innymi niezbędnymi akcesoriami religijnej władzy - ojciec Tom bez wątpienia wyjaśnił Grace, jaka jest cena rozgrzeszenia. Inny ksiądz zażądałby pewnie szczerzej i pełnej spowiedzi przed Bogiem i nic ponadto, ale jak widać, ojcu Tomowi to nie wystarczyło. Grace nigdy by się sama z własnej woli nie zdecydowała na tę wyprawę za rzekę, żeby upokorzyć się przed kobietą, której wyrządziła krzywdę, zamierzając odebrać jej męża. Nie, to musiało być działanie ojca Toma. Bo teraz stało się oczywiste, że osobą, z którą jego matka poszła się spotkać tamtego dnia, była pani Whiting. To ją widział Miles w altanie po drugiej stronie mostu. Dlaczego nigdy dotąd nie połączył ze sobą tych aż nadto oczywistych faktów? Czy i pani Whiting, obserwując swoją rywalkę, jak przechodzi przez most, zastanawiała się nad tym samym, że jeśli dla Grace ta droga okaże się ponad jej siły, to może zatrzyma się w pół drogi, a potem pozwoli, by pochłonęły ją wiry wzburzonej rzeki, płynącej u jej stóp? Czy rozpoznała, co to za chłopiec stał tam po drugiej stronie rzeki? Czy ich oczy rzeczywiście się spotkały, tak jak on to zapamiętał?

Zrozumiał też, że od tamtej pory wbijała ten swój zimny wzrok nie tyle w niego, ile w tamtego chłopca, którego matka nie zgodziła się porzucić, nawet za cenę swej jedynej szansy na szczęście w życiu. Wbijała wzrok w tamto dziecko, które Charlie Whiting przyjąłby w zamian za swoje własne, okaleczone, gdyby mu tylko na to pozwolono. Tego popołudnia, stojąc na drabinie w zapadającym zmroku, Miles przyznał się sam przed sobą, że przez całe swoje dorosłe życie, nawet kiedy wyjechał do college'u, miał wrażenie, że jest bacznie obserwowany przez tę kobietę. A przecież mimo że zawsze

wyczuwał coś niepokojącego w jej niezrozumiałej życzliwości, nigdy nie podejrzewał, że to, co naprawdę skrywała, mogło być żądzą zemsty. Nawet teraz nie byłby tego pewien. W końcu która kobieta nie byłaby usatysfakcjonowana śmiercią swojej rywalki? Czy to możliwe, by nienawiść wryła się tak głęboko w ludzkie serce? W ciągu kilku krótkich godzin, od momentu gdy ujrzał tę fotografię w gazecie, Miles odtworzył w wyobraźni cały tamten świat w czerni i bieli. Ale czy zastąpienie jednego nadmiernego uproszczenia drugim nie było błędem? Możliwe, że tak. Teraz jednak, właśnie teraz, zanim zdąży znowu zmienić zdanie, poczuł przemożną potrzebę, by choć raz pójść za radą swojego brata i nareszcie coś zrobić, nawet gdyby miało się to okazać pomyłką.

Stojąc w męskiej toalecie, Miles umył ręce, a następnie przebił kolejno wszystkie bąble, po czym wycisnął nagromadzony białawy płyn. Przyjrzał się swemu odbiciu w mętym lustrze i przyszło mu na myśl, że chyba mimo wszystko ten pociąg go nie ominął. Twarz w krzywym odbiciu lustrzanym wyglądała, jakby nie należała do mężczyzny, któremu w ostatniej sekundzie udało się zręcznie wywinąć od nieszczęścia, tylko raczej do kogoś, kto do końca stał na torach i przyjął bezpośrednie uderzenie.

A może była to tylko kwestia otoczenia. Farba na ścianach męskiej toalety zlaźła całymi pasmami. W styczniu tego roku rury zamarły i popękały, a fachowcy, których Bea kolejno wynajmowała, żeby usunęli awarię, powycinali z pół tuzina dużych kwadratów w różnych miejscach, jakby licząc na to, że przypadkiem uda im się zlokalizować pęknięcie. Gdy skończyli, część dziur załatali kawałkami suchego tynku, resztę zostawili. Nagle dotarło do Milesa, że ta fuszerka to w największym skrócie całe jego rodzinne miasto. Mieszkańcy Empire Falls byli tak przyzwyczajeni do niepowodzeń, że na każde kolejne reagowali wyłącznie rezygnacją. Po co naprawiać i odmalowywać taką ścianę, skoro i tak trzeba ją będzie kuć, kiedy rury znowu zamarzną? Pozostawienie dziur oznaczało, że przynajmniej następnym razem hydraulicy nie będą musieli szukać tych cholernych rur. Miles szybko obliczył, ile kosztowałyby doprowadzenie tego bagna do porządku, następnie pomnożył przez dwa, zakładając, że damska toaleta jest na pewno w takim samym stanie, następnie znowu pomnożył wynik przez dwa, na wszelki wypadek, żeby nie było niespodzianek. Po drodze do baru wetknął głowę do kuchni, która od lat nie była w użyciu, i dokonał kolejnych obliczeń w pamięci, po czym doszedł do wniosku, że przypuszczalnie taniej byłoby wytafetować ściany dziesięciodolarowymi banknotami niż zmienić to miejsce w porządnie funkcjonującą kuchnię.

To, co właśnie rozważał, było gigantycznym szaleństwem, i kto jak kto, ale on dobrze o tym wiedział. Że musiał to zrobić, dotarło do niego przed godziną na Iron Bridge. Skończywszy dziś robotę w Św. Katarzynie, wrócił do centrum z mocnym postanowieniem, że przejedzie przez most, aby uzyskać odpowiedzi na pytania, których nie potrafił rozwikłać sam, stojąc na drabinie. Zamiast tego zaparkował auto przed fabryką koszul, po czym poszedł na piechotę do miejsca, gdzie przystanął wtedy, jako chłopiec. Spoglądając przez mroczne rozlewisko rzeki na drugą stronę, widział słabe światła hacjendy Whitingów. Jego matka przebyła tę długą drogę zupełnie sama. I, jak nagle z pełnym przekonaniem pomyślał, nie na próżno.

Siedział z powrotem przy barze. Bea nareszcie przestała się śmiać. Ostatnie hamburgery zostały zjedzone.

- Do licha, przepraszam cię, Miles - powiedziała, wycierając oczy w rękaw. - Ale myśl o tym, że Max i ten zdzieciniały staruszek księżulo mogli wykraść samochód i uciec na Florydę, jest chyba najzabawniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek słyszałam.

- Pewnie masz rację - przyznał posepnie. - Pod warunkiem, że się nie pozabijają. Albo kogoś.

- I co teraz będzie?

Dokładnie to samo chciałby wiedzieć Miles. Wprawdzie ojciec Tom wyjechał z miasta samochodem, należącym do parafii, ale okazało się, że sześćdziesięcioletnia crown victoria była formalnie zapisana na jego nazwisko, a została zakupiona, zanim jeszcze zaczął popadać, przynajmniej w sposób widoczny, w starcze zdziecinienie. Przez kilka ostatnich lat nie wolno mu było prowadzić samochodu, co było równie zrozumiałe, jak zakaz spowiadania parafian. Problem jednak polegał na tym, że ojciec Tom uwielbiał robić i jedno, i drugie, i ilekroć udało mu się zlokalizować kluczyki, które pani Walsh i ojciec Mark przed nim chowali, zabierał crown victorię, żeby się trochę pokręcić po okolicy. W jego przypadku należało to rozumieć dosłownie, ponieważ skoro tylko poczuł zmęczenie swoim wyczynem i zapragnął wrócić do domu, był zdezorientowany jak pięcioletnie dziecko bawiące się w ciuciubabkę na urodzinowym kinderbalu, co w praktyce oznaczało, że trzeba było po niego jechać, gdziekolwiek to było. Zazwyczaj droga powrotna zabierała sporo czasu i energii, zważywszy, że był to jego samochód.

Oprócz tego, że nazwisko ojca Toma figurowało w dowodzie rejestracyjnym auta, to jeszcze był on nadal, przynajmniej oficjalnie, pastorem



św. Katarzyny. Wprawdzie ojciec Mark przejął administrację parafialną, ale formalnie był tylko wikarym, co oznaczało, że nawet gdyby chciał zrobić sprawę z powodu brakujących pieniędzy - w sumie, jak obliczył, nie więcej niż jakieś pięćset dolarów - w praktyce nie można by tego potraktować jako kradzieży. W końcu pieniądze zostały ofiarowane jako wolne datki na kościół, którego Tom był legalnie wybranym przedstawicielem. Tak więc nie było dosłownie żadnych przesłanek prawnych, które można by w tym wypadku zastosować.

Jednej rzeczy tylko ojciec Mark nie potrafił zrozumieć, jak stary człowiek, któremu trzeba było przypominać, że zakładając spodnie, powinien pamiętać, by strona wentylowana znajdowała się z przodu, jak taki ktoś zdołał się dostać do parafialnego sejf. Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło mu do głowy, było takie, że to jego palce musiały pamiętać kombinację cyfr. Bo staruszek sam na pewno jej nie pamiętał, ponieważ przez ostatni rok wielokrotnie wypytywał o to ojca Marka i za każdym razem strasznie się złościł, że ten nie chce mu zdradzić szyfru. Ksiądz Mark mógł się tylko domyślać, że ojciec Tom musiał zakraść się do saloniku, podczas gdy on siedział przed sejfem, skonsternowany swoją niemożnością zapamiętania trzech małych cyferek, jego palce odruchowo zrobiły swoje.

W każdym razie jeśli faktycznie ojciec Tom i jego nowy najlepszy kumpel pędzili właśnie na południe crown victoria, niewiele można było w tej sprawie zrobić.

- Jednego tylko się boję - przyznał się Miles. - Wypadku.

Jego ojciec nie należał do najgorszych kierowców, kiedy był trzeźwy, ale naturalnie nie będzie trzeźwy, dopóki nie skończą im się pieniądze. Ojciec Tom też nie był złym kierowcą, kiedy jeszcze miał równo pod sufitem, ale teraz łatwo tracił orientację. Miles bardzo wątpił, czy stary proboszcz potrafi prowadzić auto na długich trasach - czy, prawdę mówiąc, w ogóle potrafi jeździć po terenach innych niż spokojne wiejskie okolice środkowego Maine. Trudno było sobie wyobrazić, by ta dwójka zdołała dotrzeć na Florydę, ale z drugiej znów strony, kto wie, mogło im się udać. A w Keys, gdy tylko skończą im się pieniądze, Max prawdopodobnie prędko zmęczy się towarzystwem starego księdza i zadzwoni do św. Katarzyny, żeby zawiadomić, dokąd należy przyjechać, by go sobie odebrać. Miles miał tylko nadzieję, że ojciec Tom nie wróci z obscenicznymi tatuażami na księżowskim siedzeniu.

- A przy okazji - powiedziała Bea, sięgając pod kontuar po złożoną gazetę i wręczając ją Milesowi. - Schowałam ją dla ciebie. Jest tu śliczne zdjęcie twojej mamy.

- To miło z twojej strony, Beo - rzekł, ale kiedy spojrział w dół na fotografię, było tam dwa razy więcej ludzi niż rano. Dwie twarze jego matki i dwóch Charliech Mayne'ów, a kiedy podniósł wzrok, stała przed nim nie jedna Bea, lecz dwie. - Zimno tu jakoś, czy mi się wydaje? - spytał, powstrzymując drżenie.

Podwójna Bea przyglądała mu się przez chwilę, a potem przechyliła się przez kontuar i położyła chłodną suchą dłoń na jego czole.

- Mój Boże, Miles - powiedziała. - Jesteś strasznie rozpalony.

- To nic wielkiego - odparł, nagle doznając tego samego nieodpartego poczucia słuszności obranej drogi, jakie ogarnęło go wcześniej na drabinie. - Posłuchaj, mam dla ciebie propozycję.

## 22

Miles był w drugiej klasie szkoły średniej, gdy zakłady włókiennicze Empire Textile, w których skład wchodziła fabryka koszul, zostały zamknięte i matka straciła pracę. Przędzalnię Whitingowie sprzedali trzy lata wcześniej pewnej małej spółce, która była przedstawicielem międzynarodowej firmy z siedzibą w Niemczech. Nowi właściciele mieli bardzo odmienne poglądy co do sposobów prowadzenia przędzalni i natychmiast rozeszły się plotki, że Hjortsmann International tak naprawdę nie jest zainteresowany Empire Textile, a jedynie ulgami podatkowymi. Pod zarząd Whitingów przędzalnia działała z nowoangielską oszczędnością i bez jakichkolwiek długów, a tymczasem nowi właściciele stwierdziwszy, że zakład należy zmodernizować, jeśli ma być konkurencyjny w walce z innymi zagranicznymi firmami, wzięli ogromne kredyty, obciążając hipoteką wszystkie maszyny, jakie się tylko dało, i zaczęli się rozbudowywać bez opamiętania. Miejscowi robotnicy od samego początku kwestionowali sensowność tych decyzji. Biorąc pod uwagę nowe zadłużenia, ci, którzy mieli bliski wgląd w szczegóły operacji, w tym Grace, po prostu nie wyobrażali sobie, jakim sposobem przędzalnia miałaby zacząć przynosić zyski przed upływem wielu lat. Długie czekanie byłoby może do zaakceptowania, gdyby nowi właściciele umieli być cierpliwi, ale im tej cnoty najwyraźniej brakowało z natury.

Groźba zamknięcia, wyimaginowana czy rzeczywiście wisząca nad zakładem, wywołała poruszenie w całym Empire Falls, a kiedy negocjowano nową umowę zbiorową, jej zasadnicze punkty dotyczyły wydłużonego czasu pracy, nowej definicji godzin nadliczbowych, zmniejszenia liczby osób

zatrudnionych, obniżek płac oraz okrojenia zasiłków i innych form osłony socjalnej. Wiadomo, pracownicy narzekali, ale jednocześnie zdawali sobie sprawę, że następny rok zadecyduje o tym, czy zakład przetrwa. A kiedy ogólna wydajność zakładu rzeczywiście wzrosła o blisko 28 procent - co było niezwykle, zważywszy na pogarszające się warunki pracy - robotnicy gratulowali sobie, że skoro dzięki ich ustępstwom przedsiębiorstwa mimo wszystko wyszła na swoje, może jest to jakaś gwarancja, że zakład jeszcze pociągnie rok, dwa, mimo że im samym praca przynosiła mniejsze dochody.

Tym bardziej byli zaskoczeni, gdy mimo to Hjortsmann ogłosił, że zarówno przedsiębiorstwa, jak fabryka koszul mają zostać zamknięte. I nie minął miesiąc, gdy z przedsiębiorstwa wywieziono dosłownie całe oprzyrządowanie obłożone hipoteką, wszystkie maszyny rozmontowano i załadowano na tiry, które miały je wywieźć do stanu Georgia i do Republiki Dominikany. Prawdę mówiąc, mniej czasu zajęło właścicielom opróżnienie hal produkcyjnych niż robotnikom przyjęcie do wiadomości tego, co się wydarzyło: że Empire Textile zostały wykupione w tym jednym jedynym celu i że ich heroiczne wysiłki zmierzające do tego, by przedsiębiorstwa przynosiła zyski, po prostu napełniły kabzę Hjortsmann International. Coś podobnego nigdy by się nie zdarzyło pod Whitingami, powiadali ludzie. Wysłano nawet delegację, która miała omówić szanse wykupienia Empire Textile przez Honusa Whitinga i jego zaufanych pracowników, ale wtedy już starzec był w bardzo złym stanie zdrowia, a jego syn, C. B., nadal przebywał w Meksyku. Tylko nieliczni rozumieli, na czym opiera się nowa dynamika rodziny, w której prawdziwą władzę niepodzielnie dzierżyła Francine Whiting. Ona to, nie jej małżonek czy teść, doprowadziła do sprzedaży przedsiębiorstwa, a niektórzy szeptali, że było całkiem możliwe, iż od początku w pełni zdawała sobie sprawę, do czego ostatecznie zmierzał Hjortsmann.

Niektórym robotnikom zaproponowano pracę w Georgii, ale tylko nieliczni przyjęli propozycję przeniesienia. Tutaj mieli domy i hipoteki, a rynek sprzedaży nieruchomości i tak był już w strasznym dołku z powodu zamknięcia dwóch mniejszych zakładów włókienniczych w poprzednim roku. To prawda, ludzie sami nie wiedzieli, jak w tej sytuacji będą spłacać swoje kredyty, ale mieli dzieciaki w szkole i rodzinę w okolicy, która mogła im w ostateczności trochę pomóc, a wielu ciągle jeszcze czepiało się irracjonalnej myśli, że może nowy właściciel ponownie przedsiębiorstwo uruchomi. I tak pozostali w mieście, wielu z nich dlatego, że było to łatwiejsze i mniej przerażające niż wyprowadzka, a też dlatego, że przynajmniej przez jakiś czas mogli liczyć na zasiłek dla bezrobotnych. Niektórzy pozostali z powodu dumy. Kiedy zdali sobie sprawę, że padli ofiarą chciwości i nieubłaganych praw

globalnej ekonomii, wówczas powiedzieli, w porządku, pięknie, doskonale, może byliśmy głupcami, ale, Bóg nam świadkiem, nie damy się wygonić z miasta, w którym nasi dziadowie i rodzice wzrastali i które nazywali domem rodzinnym. Paradoksalnie, starsi ludzie byli w lepszej sytuacji, skromne domy mieli już prawie spłacone, a sami, kulejąc, bo kulejąc, mogli jednak jakoś dotrzeć do emerytury, a potem jeszcze, w miarę swoich możliwości, pomóc synom i córkom, którym się nie poszczęściło.

Grace Roby należała do tych nielicznych, których mogłaby skusić perspektywa przeniesienia się na południe, ale nikt jej tego nie zaproponował. Kiedy urodził się brat Milesa, wzięła roczny urlop macierzyński, po czym wróciła do pracy tylko na pół etatu, póki nie podrósł na tyle, by mogła go wysłać do przedszkola. Mimo że w fabryce koszul pracowała dłużej niż większość ludzi, którym zaoferowano przeniesienie, przerwa w ciągłości pracy sprawiła, że nie miała wymaganego stażu lat, by się do tego zakwalifikować. Kiedy po roku bezskutecznego poszukiwania nowego zajęcia i wykorzystaniu przysługującego jej zasiłku dla bezrobotnych Grace zaczęła przebąkiwać, że i tak będą zmuszeni wynieść się z Empire Falls, na przykład w okolice Portland, pewnego dnia nieoczekiwanie otrzymała telefon od człowieka nazwiskiem William Vandermark.

Pan Vandermark, który pracował dla pewnej firmy w Bostonie, pragnął się dowiedzieć, czy Grace byłaby zainteresowana zatrudnieniem na pełnym etacie jako osobista opiekunka pewnej pani, która ostatniej zimy upadła i złamała sobie kość biodrową. Wypadek przykuł ją na jakiś czas do wózka inwalidzkiego, co ograniczało jej możliwości działania, a zwłaszcza prowadzenia dużego domu z ogrodem. W związku z tym pani, o której mowa, poszukuje na dłuższy okres osoby odpowiedzialnej i godnej zaufania, której mogłaby powierzyć szeroki zakres zadań i obowiązków. Musiałaby dopilnować, żeby w domu panował porządek, a na wiosnę zająć się ogrodem kwiatowym i warzywnym. Prowadzenie księgowości, pisanie listów i inne umiejętności z zakresu prowadzenia interesów byłyby również bardzo przydatne. Do tego dochodziłaby jeszcze opieka nad dzieckiem. Godziny pracy byłyby nienormowane, w jednym tygodniu więcej, w innym mniej, i jeśliby Grace nie zdecydowała się zamieszkać w domu swojej pracodawczyni, musiałaby być „pod telefonem” przez całą dobę. Na koniec pan Vandermark stwierdził, ostrożnie dobierając słowa, że stanowisko to dodatkowo wymaga pewnej siły charakteru, jako że pani, o której mowa, jest uznawana przez niektórych za „trudną”.

Jeśli o to chodzi, trzydziestoparoletnia wówczas Grace miała zaufanie do swoich możliwości. Przez lata, jakie przepracowała w fabryce koszul, zawsze

zajmowała odpowiedzialne stanowisko, no, a poza tym przez ostatnich dwadzieścia lat była żoną Maxa Roby, co naturalnie okazało się doskonałą próbą charakteru, jeśli takowa była jej w ogóle potrzebna. Opis proponowanej pracy brzmiał niemal tak, jakby ktoś ją wymyślił specjalnie dla niej. Jednakże było coś dziwnego w tej uwadze pana Vandermarka, dotyczącej charakteru owej kobiety, dlatego Grace, która właściwie już się zdecydowała, że przyjmie ofertę, nadmieniła, że nie ma przeszkolenia pielęgniarskiego, i zapytała, dlaczego ta pani nie wynajmie profesjonalnej pielęgniarki. Pan Vandermark, który widocznie przewidział to pytanie ze strony Grace, natychmiast pośpieszył z zapewnieniem, że aczkolwiek profesjonalne pielęgniarki może są pod pewnymi względami bardziej pożądane, ale generalnie krzywią się na prace domowe, nie potrafią pisać listów, nie mówiąc już o tym, że nie znają się na księgowości, nie spotkał też żadnej, która umiałaby się zająć ogrodem. Nie ukrywał swego przekonania, że w gruncie rzeczy trudno oczekiwać, by jakaś osoba mogła sprostać aż tak wysokim wymaganiom. Poza tym, dodał, profesjonalnej pielęgniarki musiałby prawdopodobnie szukać gdzieś w Portland albo Lewiston, a jego klientka nie chciała by widzieć w domu kogoś obcego.

- A czy ja nie będę obca? - spytała Grace.

- W gruncie rzeczy nie - wyjaśnił pan Vandermark. - Sądzę, że jest pani znana tej osobie, podobnie jak ona pani nie będzie obca.

Gdy przerwał, Grace w jednej chwili domyśliła się całej prawdy, co to za dom i kobieta. Wiedziała wszystko.

Przez lata, kiedy Grace pracowała dla pani Whiting, Miles był świadkiem, jak jego matka traciła ostatnie ślady swej dawnej urody. Chociaż nie miała jeszcze czterdziestki, nigdy więcej nie kupiła sobie takiej sukienki jak ta, w którą ubrała się na Martha's Vineyard dla Charliego Mayne'a, i stopniowo głowy mężczyzn przestały się obracać na jej widok, kiedy mijała ich na ulicy. Codziennie rano, zanim udała się do pracy do domu pani Whiting, uczestniczyła we mszy świętej i czasem w słabym świetle poranka przefiltrowanym przez kolorowe witraże u św. Katarzyny widać było jeszcze cień jej dawnej urody, gdy jednak wychodziła stamtąd w szarość dnia, wyglądała na osobę zmęczoną, pozbawioną życia i wszelkich pragnień, pomimo przekonania, jakie żywiła, że msza daje jej siły i nadzieję na przyszłość. Z wolna zaczęła przypominać Milesowi inne kobiety, przeważnie wdowy, sześćdziesięciu- i siedemdziesięcioletnie, które również pojawiały się w kościele na codziennej modlitwie.

Kiedy przychodziła jego kolej służenia do mszy, przez tydzień co dwa miesiące, Miles towarzyszył jej w drodze do św. Katarzyny. Nie znosił wstawać

tak wcześnie rano, ale skoro już się tam znalazł i ciągle na wpół śpiący wkładał przez głowę swoją komżę, znajdował w tym doświadczeniu pewną przyjemność. Z powodów, których nie potrafiłby nazwać, wydawało mu się, że dzięki zaczynaniu dnia od wizyty w kościele świat stawał się lepszym miejscem, a on sam lepszym człowiekiem, i nie minęło wiele czasu, gdy zaczął uczestniczyć we mszy świętej nawet wtedy, gdy nie musiał służyć jako ministrant. Inni ministranci prędko się zorientowali, że zawsze mogą liczyć na Milesa, który chętnie ich zastąpi w razie choroby, i po jakimś czasie stało się to tak oczywiste, że przestali go nawet prosić o to jak o przysługę. A kiedy tak się złożyło, że on również zachorował i nie mógł wziąć zastępstwa, ojciec Tom złościł się na niego, nie zaś na chłopca, który był wpisany w grafik.

W św. Katarzynie Miles nauczył się, że odpowiedzialność może być przyjemna. Nie miał pewności, czy to, co odczuwał w ciepłym wnętrzu kościoła, podczas gdy na zewnątrz wstawał dzień, było dokładnie przeżyciem religijnym, ale podobały mu się rytmiczne kadencje łacińskiej mszy i nieraz budził się niczym ze snu na jawie, akurat w samą porę, żeby zadzwonić dzwonekami na podniesienie. Niedawno odkrył istnienie pewnej przepięknej dziewczyny, która pracowała jako kelnerka w Empire Grillu, i jego myśli dość często dryfowały od tajemnicy ciała i krwi Chrystusa do tajemnicy, jaką była Charlene Gardiner, chociaż nie pozwalał sobie na nieczyste myśli podczas trwania mszy.

Niekiedy podczas ofertorium, niosąc ampułki z wodą i winem do ojca Toma, który zawsze bardzo pilnował, żeby mu je podawano uszkami zwróconymi w jego stronę, Miles kątem oka widział matkę, często w towarzystwie jego małego braciszka, który albo wkrótce zasypiał, albo wiercił się w ławce obok niej. Zastanawiał się wtedy, o co ona się modli. Jego ojciec był tego rodzaju człowiekiem, który wymagał mniej lub bardziej nieustającej modlitwy, popartej, jak nieraz twierdzono, zręcznym kopniakiem w zadek na dokładkę, tak więc możliwe, że modliła się za niego, chociaż z drugiej strony, Milesowi trudno było sobie wyobrazić, jakiego dokładnie rodzaju powinna być modlitwa za Maxa Roby'ego. Jeśli tak się składało, że akurat gdzieś wyjechał, niewykluczone, że matka modliła się o jego rychły powrót, by pomógł trochę rodzinie: gdy Max był na miejscu, Grace mogła przynajmniej zostawiać małego Davida w domu na czas mszy. Ledwie jednak jej modlitwy zostały wysłuchane i małżonek powrócił na łono rodziny, Grace nie pozostawało nic innego, jak zacząć zanosić modły, żeby czym prędzej wyjechał znowu, jako że Max sprawiał większe kłopoty, niż był tego wart. Było bowiem niemal regułą, że po powrocie z kościoła po porannej mszy zastawali małego Davida, uczonego małymi tłustymi piąstkami krawędzi

łóżeczka, z policzkami czerwonymi jak burak ze złości i rozżalenia, z opadającą zasiusianą pieluchą, gdy tymczasem Max odsypiał zarwaną noc w sąsiednim pokoju.

Miles podejrzewał jednak, że modlitwy matki niewiele miały wspólnego z jej mężem. Jeśli była choć trochę podobna do niego, jej modlitwy skupiały się na rozmaitych rzeczach, trochę tak jak dzieci gonią bańki mydlane w powietrzu, i bardzo był ciekaw, czy myśli matki podążały czasem w ślad za dawno utraconym Charliem Mayne'em, tak jak jego własne zwracały się ku Charlene Gardiner. Ale były to tylko przypuszczenia. Od powrotu z Martha's Vineyard Grace nigdy ani słowem nie wspomniała o tym człowieku. Szczerze mówiąc, Miles tak doskonale ukrył sekret matki, aż czasem musiał sam sobie przypominać, że kiedykolwiek w ogóle był jakiś sekret do ukrycia. Zaczął się nawet zastanawiać, czy sobie tego wszystkiego nie wymyślił, dlatego wracając kiedyś z porannej mszy - było to chyba dwa, a może trzy lata później - Miles zapytał:

- Mamo? Czy pamiętasz tego pana, którego spotkaliśmy na Martha's Vineyard? Charliego Mayne'a?

Spodziewał się, że będzie zaskoczona albo uda, że jest zaskoczona; on by się tak zachował, gdyby ktoś mu zadał takie nieoczekiwane pytanie. Tymczasem Grace odpowiedziała w sposób naturalny, jakby właśnie sama się nad tym zastanawiała albo jakby się zdziwiła, skąd jemu to pytanie mogło przyjść do głowy.

- Nie, Miles, nie pamiętam - oparła. - I ty też nie pamiętasz.

Grace zaczęła pracować dla pani Whiting późną wiosną, w miesiąc po wypisaniu tej ostatniej ze szpitala - ku wielkiej uldze całego personelu, który miał jej już serdecznie dosyć. W ostatnim czasie pani Whiting ofiarowała sporą sumę na budowę nowego skrzydła i wszyscy doskonale rozumieli, jak ważną była pacjentką, ale gdyby istniała jakaś demokracja, personel zagłosowałby *en bloc*, żeby zawieźć ją nad rzekę powyżej wodospadu i tam zwolnić hamulce jej inwalidzkiego wózka.

Zamiast jednak powierzyć ją wzburzonym wodom, panią Whiting oddano pod opiekę Grace Roby, która odtąd codziennie rano, parę minut po szóstej, słońce czy niepogoda, maszerowała przez Iron Bridge ponad wartkim wiosennym nurtem rzeki, by zająć się dwiema inwalidkami, jedną czasową, a drugą chroniczną. Ściśle rzecz biorąc, złamanie biodra pani Whiting zostało spowodowane przez jej córkę, która straciła równowagę i upadła, a upadając chwyciła się stojącej w pobliżu matki i pociągnęła ją za sobą. Cindy, dzięki wieloletniej praktyce, nauczyła się amortyzować upadki, podczas gdy pani Whiting, której równowagę psychiczną, jak i fizyczną trudno było

zachwiać i która w całym swoim dorosłym życiu nigdy dotąd jeszcze nie upadła, w rezultacie złamała sobie biodro, co zmusiło ją do odwołania w ostatnim momencie podróży do Hiszpanii, gdzie wynajęła willę na cały miesiąc.

Cindy Whiting, wówczas piętnastoletnia, straciła równowagę i upadła, ponieważ operacja, już czwarta z kolei, która miała na celu naprawienie jej uszkodzonej miednicy, zakończyła się niepowodzeniem. Lekarze obiecywali, że jeśli zgodzi się na ten zabieg, a następnie będzie pilnie wykonywać ćwiczenia rehabilitacyjne, jej równowaga wydatnie się poprawi, dzięki czemu będzie mogła w znacznym stopniu ograniczyć korzystanie z balkoniku dla podpory. Wprawdzie nie dawali żadnej gwarancji, niemniej twierdzili, że jak dobrze pójdzie, to wiosną na szkolnym balu Cindy będzie już mogła samodzielnie wyjść na parkiet, za całą podporę mając wyłącznie mocne ramię jakiegoś przystojnego młodzieńca. To była marchewka, jaką lekarze pomachali jej przed nosem, i po raz kolejny Cindy Whiting dzielnie za nią podążyła aż na salę operacyjną.

Operacja, w ocenie głównego chirurga, nie była ani sukcesem, ani porażką. Gdyby przywołać najważniejszy z nakazów medycyny - po pierwsze, nie szkodzić - wówczas należało stwierdzić, że Cindy Whiting w żadnym razie nie miała się gorzej. Rzeczywiście, z czasem dało się nawet zauważyć pewną nieznaczną poprawę. Poprawa nie była duża, co sam chirurg musiał przyznać, jednak miało to związek nie tyle z operacją, ile z pacjentką, co do której naprawdę nie spodziewał się, że tak łatwo straci ducha, nie wspominając o jej upartej niechęci do rehabilitacji. Personel od początku informował go, że ani pochlebstwa, ani przymus, ani usilne namowy nie odnosiły pożądanego skutku, nic też nie mogło zmienić przekonania dziewczynki, że operacja okazała się kompletną klapą, a skoro tak, to wszelkie wysiłki pójdą na marne. Cindy wolała leżeć w łóżku, oglądając telewizję i łykając środki przeciwbólowe, zamiast poddawać się torturom na sali ćwiczeń. A kiedy strapiiony chirurg próbował dodać jej otuchy, przypominając, jak bardzo była przejęta perspektywą pójścia na szkolny bal, ona mu na to odpowiedziała, że kalek nie zaprasza się do tańca.

Nieugięta postawa Cindy Whiting odmawiającej podjęcia ćwiczeń rehabilitacyjnych doprowadziła chirurga do takiej frustracji, że w końcu wezwał jej matkę na naradę. Zaczął od tego, że przypominał, iż przed operacją jednym z najgorętszych życzeń młodej damy był powrót jej ojca z Meksyku, i teraz bardzo chciałby wiedzieć, dlaczego tak się nie stało. Zauważył przy tym, że ojcowie potrafią niekiedy zmotywować swoje córki w taki sposób, że ani matki, ani lekarze nie są w stanie sobie tego nawet wyobrazić. Cindy,



dodał, wydawała się szczególnie przywiązana do ojca i to mogłoby dodatkowo korzystnie podziałać.

Odpowiedź pani Whiting nie brzmiała w żadnej mierze tak, jak się tego spodziewał. Zaczęła od przyznania, że po części to jej wina, ponieważ nie przygotowała chirurga na nieuchronne niepowodzenie operacji, a następnie zapewniła, że obecność jej męża jedynie pogorszyłaby sytuację, która i tak była zła. Jej córka, wyjaśniła pani Whiting, miała nieszczęście odziedziczyć po ojcu zasadniczą słabość charakteru. On sam niestety należał do ludzi, którzy zbyt łatwo się zapalają, dając się zwodzić złudnym nadziejom, by następnie w obliczu niepowodzenia kompletnie się załamać. Z urodzenia był człowiekiem uprzywilejowanym, przygotowanym na to, że wszystko będzie się układać zgodnie z jego wolą, i z tej racji żałośnie niezdolnym do radzenia sobie z sytuacjami, gdy sprawy układały się nie po jego myśli. Pani Whiting robiła już co w jej mocy, by ukrócić podobne skłonności u swojej córki, ale jak z tego widać, natura wzięła górę nad wychowaniem. Podobnie jak jej ojciec, Cindy łatwo poddaje się marzeniom, z których nieodmiennie rezygnuje bez walki. Powiedziawszy to, pani Whiting zapewniła chirurga, że niestety w tej sytuacji nic więcej nie da się zrobić, ale nie powinien się za to obwiniać.

Chirurg nie należał do ludzi, którzy potrzebowali tego typu pouczeń. W normalnych warunkach obarczanie winą samego siebie nie przysłoby mu nawet do głowy. Podobnie jak nie był przyzwyczajony, zważywszy na jego praktykę kliniczną, do rozpatrywania fizycznej porażki w kategoriach moralnych, ale w miarę słuchania pani Whiting, przedstawiającej swoje beznamiętne charakterystyki męża i córki, przyłapał się na tym, że sprawia mu wielką trudność powstrzymanie się od moralnej oceny. Jednakże postanowił, że nie będzie nic więcej mówił na ten temat dopóty, dopóki jego usługi nie zostaną całkowicie opłacone.

Nawet jeśli analiza osobowości córki, dokonana przez panią Whiting, istotnie mogła się wydać zimna i beznamiętna, Grace Roby musiała przyznać, że nie była pozbawiona słuszności. Gdyby Cindy Whiting posiadała choć trochę charakteru swojej matki, mogłaby, przynajmniej fizycznie, odnieść pewną korzyść z tej ostatniej operacji. Jak to często bywa w przypadku rodziców i dzieci, również i to dziecko miało pewną cechę, którą łatwo było odnaleźć u rodzica, z tą różnicą, że u dziecka przejawiała się ona w sposób tak odmienny, że mogła się wydawać swoim przeciwieństwem. W krótkim czasie Grace przekonała się, że matka i córka są równie uparte, chociaż ich upór objawiał się pod radykalnie różnymi postaciami. U pani

Whiting siła woli stanowiła motor działania, którego jedynym celem było nieugięte dążenie do usunięcia wszelkich przeciwności, dużych czy małych, gdy tymczasem u jej córki przybrała ona postać niepoprawnej, stałej bierności wobec każdej przeciwności losu. Grace, którą zawsze do głębi poruszał dramatyczny los córki Whitingów, z wielkim bólem obserwowała wszelkie zawilości natury ludzkiej w tej rodzinie, była bowiem więcej niż pewna, jaki będzie ostateczny wynik owej walki pomiędzy matką i córką.

Grace nigdy wcześniej nie spotkała kobiety, która byłaby podobna do jej nowej pracodawczyni, szybko też zdała sobie sprawę, że nie do końca potrafi ukryć swój podziw dla niej. Po wielu miesiącach uważnej obserwacji Grace doszła nareszcie do tego, skąd się bierze nieustająca skuteczność działania pani Whiting. Otóż ona nigdy pod żadnym pozorem nie pozwalała sobie na oszacowanie realnej wielkości zadania, z jakim miała się zmierzyć. Posiadała cudowną zdolność dzielenia pracy na mniejsze, łatwiejsze do wykonania czynności. Z chwilą, gdy ów podział na mniejsze elementy został już dokonany, jej wola ruszała do ataku, zdecydowanie i niepowstrzymanie jak fala. Pani Whiting miała na każdy dzień przygotowaną listę „Do zrobienia”, a genialność tej listy kryła się w fakcie, że bardzo starannie wykluczała z niej wszystko, co było nie do zrobienia. W rzadkich wypadkach, gdy zadanie okazywało się trudniejsze czy bardziej skomplikowane, niż przypuszczała, po prostu dzieliła je dalej na jeszcze mniejsze elementy. W ten sposób odnosiła wyłącznie sukcesy, a każdy dzień zbliżał ją do osiągnięcia zamierzonego celu, nawet gdyby miała go osiągnąć później, niż zamierzała.

W przeciwieństwie do matki córka była przykładem niemocy i zahamowania. Z powodu swojego charakteru niezdolna do opanowania prostej sztuczki stosowanej przez matkę, Cindy Whiting ogarniała całość zadania, jakie ją czekało, i natychmiast czuła się przytłoczona i pokonana. Z czasem Grace doszła do wniosku, że dziewczynka nie tyle była niepoprawną marzycielką, ile raczej żyła w przekonaniu, że jej wiara lub pragnienie same w sobie będą stanowiły podstawę do kompletnego przeistoczenia. W którymś momencie swego młodego życia zaczęła wierzyć, że cały świat, cała jej sytuacja zmieniąby się, gdyby to miało jej wyjść na dobre. Dlatego zawsze spodziewała się niemal cudu. I w tych kategoriach oceniła również tę ostatnią operację. W poniedziałek wejdzie do szpitala jako gąsieniczka, a we wtorek wyfrunie stamtąd jako motyl. Tymczasem przebudziwszy się z narkozy, przekonała się, że żadne przeistoczenie nie nastąpiło.

Czy ten bolesny zawód dowodził, że była szalona, a nawet głupia, jak sugerowała jej matka? Grace tak nie uważała. Ostatecznie jej cały świat uległ całkowitej transformacji w tym jednym strasznym momencie, kiedy jako

mała dziewczynka została uderzona przez samochód, który włożył ją potem po drodze. Wydarzenie to nauczyło ją, że wszystko może się zmienić dosłownie w mgnieniu oka i że uderzenie, które doprowadza do podobnej zmiany, zwykle bywa błyskawiczne i potężne, wykracza też daleko poza ludzkie rozumienie. Odtąd po prostu czekała, że stanie się to po raz kolejny.

W maju, przepracowawszy u pani Whiting blisko sześć tygodni, Grace zaczęła się spodziewać, że w każdej chwili może zostać zwolniona. Ogród był uporządkowany, jej pracodawczyni wracała do zdrowia szybciej, niż rokowali doktorzy, i Grace podejrzewała, że wkrótce pani Whiting nie będzie już miała powodów, by przedłużać jej zatrudnienie. Nie żeby jej pensja miała robić jakąś różnicę bogatej kobiecie, ale mimo wszystko. Jej pracodawczyni była niezmiernie skrupulatna, jeśli chodziło o pieniądze, zawsze też co do grosza wiedziała, jakie sumy pozwalały ludziom przetrwać do pierwszego. Pensja, jaką zaoferowała Grace, proponując jej pracę, była tak bliska absolutnego minimum, że można by pomyśleć, iż ta kobieta w jakiś sposób dostała się do jej domu i podejrzwała, jak Grace gimnastykuje się z rachunkami przy kuchennym stole.

Któregoś popołudnia, kiedy pani Whiting stała w ogrodzie wsparta na lasce, dyrygując robotą, Grace, która klęczała na ziemi, nagle spojrzała na nią do góry i powiedziała:

- Mam nadzieję, pani Whiting, że gdy nadejdzie pora, kiedy nie będzie mnie już pani potrzebowała, da mi pani znać o tym dwa tygodnie wcześniej, żebym zdążyła poszukać jakiegoś innego zajęcia. Nie mogę sobie pozwolić na pozostawanie bez pracy zbyt długo.

Nawet na jeden dzień, pomyślała w duchu.

Pani Whiting, która miała na głowie słomkowy kapelusz, spojrzała na Grace spod szerokiego ronda. Czyżby to uśmiech igrał na jej wargach?

- A gdzie znajdziesz jakąś pracę w Empire Falls? Tam chyba jest niewiele możliwości?

- Mimo to - odparła Grace, która sama doskonale rozumiała, jakie to trudne - będę musiała czegoś poszukać.

- No dobrze, na dzisiaj dosyć - oznajmiła pani Whiting. Była na nogach prawie całe popołudnie i mimo że to Grace pracowała, ona także czuła zmęczenie, dopiero bowiem od niedawna poruszała się bez wózka inwalidzkiego. Grace wstała z klęczek i pomogła swojej pracodawczyni usiąść z powrotem na wózek. - Nie musisz się jeszcze kłopotać szukaniem innego zajęcia. Byłaś mi bardzo pomocna przez tych kilka tygodni.

Grace rozważała przez chwilę to ogólnikowe zapewnienie.

- Ale czy znajdzie się dla mnie jakieś zajęcie - spytała - jak już pani całkiem wydobrzeje?

- Usiądźmy na parę minut w altanie - zaproponowała pani Whiting i Grace natychmiast pożałowała, że poruszyła ten temat akurat dzisiaj. Tego ranka zostawiła Davida w łóeczku, poważnie przeziębionego, i bardzo liczyła na to, że uda jej się wrócić do domu przed wieczorem. Wspomniała nawet o tym pani Whiting, która jak widać bez większego trudu o tym zapomniała.

W zacienionej altanie było chłodno. Prowizoryczna pochylnia umożliwiała wjeżdżanie wózkiem do środka; pani Whiting ustawiła się tyłem do domu, tak by móc patrzeć na rzekę. Grace usiadła pod kątem, twarzą do mostu, znajdującego się w dolnym biegu rzeki. Usłyszawszy, że drzwi na patio przesuwają się, spojrzała w tamtą stronę i zauważyła, jak Cindy z trudem wychodzi na zewnątrz. Od altany dzieliło ją jakieś trzydzieści metrów opadającego łagodnie trawnika - co było całą wyprawą, na którą dziewczynka nie mogła się zdecydować, nie tak prędko po operacji, spoglądała więc na Grace i matkę z wyrazem tęsknej ochoty.

- Co innego mogłabyś robić, jak myślisz? - spytała pani Whiting. Może miała na myśli przedalnię, jako że akurat przyglądała się opuszczonym budynkom, których dwa wysokie kominy majaczyły na tle nieba w zachodzącym słońcu. Grace znowu usłyszała odgłos przesuwających się drzwi i zobaczyła, że Cindy wchodzi powoli z powrotem do domu.

Jej matka zdjęła słomkowy kapelusz i położyła go na małym okrągłym stoliku pomiędzy nimi.

- Przywiązałaś się do mojej córki - zauważyła.

- Tak - przyznała otwarcie Grace.

- Czy uznasz to za całkiem nienaturalne, jeśli ci powiem, że ja nie czuję się do niej szczególnie przywiązana? - Uśmiechnęła się. - Nie musisz odpowiadać na to pytanie, moja droga.

Grace była zadowolona, że nie musi się dzielić myślami na temat jednej ze smutniejszych historii ludzkich związków, z jaką się w życiu spotkała. Było to tak, jakby matka i córka zawiodły się nawzajem na sobie tak straszliwie, że ani jedna, ani druga nie chciały już mieć ze sobą nic wspólnego. Były niczym dwa duchy, z których każdy zamieszkiwał inne wymiary tej samej fizycznej przestrzeni, tak odmienne, że Grace czasem wydawało się, że gdyby ich drogi kiedyś się przecięły, jedna przeszłaby na wylot przez drugą. Kiedy Cindy przypadkowo spotykała matkę, zachowywała się tak, jakby chciała jej zadać ważne pytanie, i w tej samej chwili rezygnowała z tego, obawiając się zniechęcającej odpowiedzi. Pani Whiting, jeśli w ogóle zauważała

córkę, wy dawała się głównie zirytowana. Czasami spoglądały na siebie w milczeniu tak długo, że Grace chciało się krzyknąć.

- To taka dobra duszyczka - ośmieliła się zauważyć Grace. - Jej cierpienie...

- Mój Boże, tak, jej cierpienie - zgodziła się pani Whiting takim tonem, jakby współczuła Grace, a nie swojej córce. - To po prostu nie ma końca, prawda?

- Z całą pewnością jej nie można za to winić.

- To nie kwestia winy, moja droga - wyjaśniła pani Whiting. - To kwestia potrzeby. Zrozumiesz kiedyś, że to, czego moja córka faktycznie potrzebuje, i to, co jej się wydaje na ten temat, to dwie różne rzeczy. Patrzysz na nią i wyobrażasz sobie, że ona potrzebuje współczucia, a tymczasem jej potrzeba siły. Zrobiłabyś mądrzej, gdybyś jej nie pozwoliła tak się do ciebie garnąć, chyba że to lubisz, naturalnie. Niektórzy ludzie to lubią.

Grace zajęło dłuższą chwilę zrozumienie, że właśnie została delikatnie zbesztana.

- Bywają gorsze rzeczy niż to, że ktoś nas nie odstępuje na krok, nie sądzi pani?

- Możliwe - przyznała jej rozmówczyni w taki sposób, jakby żaden przykład nie przychodził jej do głowy. - Powiedz mi, proszę, co sądzi twoja rodzina o tym, że tak dużo czasu spędzasz z dala od nich?

- Myślę, że David bardzo za mną tęskni - odrzekła Grace. - Jest jeszcze taki malutki. Nie umie...

- A ten starszy chłopiec?

- Miles? Miles to moja opoka.

- A twój mąż?

- Max to Max.

- Tak - zgodziła się pani Whiting. - Mężczyźni są po prostu sobą.

Grace spojrzała w dół na Iron Bridge. Po chwili rzekła:

- Czy kiedykolwiek porozmawiamy o nim?

- Nie, nie sądzę - odparła pani Whiting tak gładko, jakby jej zaproponowano porcję lodów.

To bynajmniej nie zdziwiło Grace. Prawie o nim nie wspomniały tamtego popołudnia, kiedy po raz pierwszy przeszła na drugą stronę rzeki, by odbyć swoją pokutę. Grace poprosiła tylko panią Whiting o wybaczenie i zapewniła ją, że między nią i Charliem wszystko skończone oraz że bardzo jej przykro z powodu tego, co uczyniła, co zamierzała uczynić.

- Czy on kiedykolwiek powróci?

- Do Empire Falls? - Pani Whiting była jakby zdziwiona tym pytaniem.

- Bardzo wątpię. Już jako młody człowiek zawsze bardzo chciał zamieszkać w Meksyku. Czy wiedziałaś o tym?

- Tak.

Poczuła wzrok tamtej kobiety na sobie. Tak, oczywiście, pani Whiting musiał się wydać znaczącym fakt, że jej mąż dzielił się z kimś swymi najskrytszymi marzeniami.

- Wszystko wskazuje na to, że jest tam bardzo szczęśliwy - powiedziała, jakby chciała zasugerować, że swoim szczęściem zdradził je obie.

- Czy on kiedykolwiek...

- ...mówił o tobie? Nie przypominam sobie, ale to naturalne, że ze mną by... że ze mną na ten temat nie rozmawiał.

- Czy on wie?

- O naszym obecnym układzie? Tak. Kiedy mu o tym powiedziałam, zdawał się doceniać ironię całej sytuacji.

Grace przyjęła to w milczeniu.

- Czy masz jeszcze jakieś pytania, nim zamkniemy ten temat raz na zawsze? - Grace potrząsnęła głową. - Doskonale. Jeśli mój mąż będzie kiedykolwiek próbował się z tobą skontaktować, oczekuję, że mi o tym powiesz. Zrobisz to?

Grace wahała się tylko przez chwilę.

- Tak.

- Nawet jeśli nie dotrzymasz słowa, i tak się o tym dowiem - powiedziała pani Whiting. - Wystarczy mi jedno spojrzenie na ciebie, by odkryć całą prawdę.

- Dotrzymam słowa.

- Wierzę ci - rzekła pani Whiting. Wydawała się zadowolona, tak jakby spodziewała się zarówno tej rozmowy jak i jej wyniku. - Przypuszczam, że będziesz tu pracowała w najbliższej przyszłości - dodała, gdy Grace wstała. - Powinnaś wiedzieć, że bardzo się do ciebie przywiązałam, moja droga. Zapewne i w tym jest sporo ironii?

Grace nie umiała znaleźć właściwej odpowiedzi. Czy możliwe, że to, co właśnie powiedziała pani Whiting, było prawdą? Jeśli tak, czy znaczyło to, że jej wybaczone? A jeśli można prawdziwie się przywiązać do kogoś, komu się nie wybaczyło? Jakkolwiek ta ostatnia ewentualność wydawała się absolutnie nielogiczna, dokładnie takie wrażenie odniosła Grace.

## Część czwarta

### 23

Nie patrz teraz - powiedział David, podnosząc wzrok znad gazety - bo właśnie nadejści szczęśliwy żonkoś, powracający z miodowego miesiąca.

I rzeczywiście Srebrny Lis już wchodził po schodach i otwierał frontowe drzwi. Chociaż Miles nie czuł jakiegoś szczególnego zadowolenia, że go widzi, nie mógł się powstrzymać od uśmiechu na myśl, że nie usłyszał pykania wozu Walta, podjeżdżającego pod restaurację, a przecież to ten odgłos prześladował go przez prawie cały ostatni rok. Była to jeszcze jedna rzecz, która zmieniła się na lepsze od czasu jego choroby.

Po tym ślubie ludzie ciągle zadawali mu pytania, jak to jest być wolnym człowiekiem. Prawdę mówiąc, ku zaskoczeniu Milesa, czuł się z tym naprawdę doskonale, tak jakby kolejne opóźnienia z uzyskaniem rozrodu wyczerpały nawet jego możliwości do obwiniania siebie o wszystko. Spodziewał się, że ślub jego byłej żony bardziej go poruszy, że umocni w nim poczucie osobistej klęski. W końcu jakkolwiek by było, on i Janine przyrzekli sobie przed Bogiem i najbliższymi, że będą razem, dopóki śmierć ich nie rozłączy, a tu ona teraz składa taką samą przysięgę innemu mężczyźnie. Gdy sędzia pokoju zapytał, czy na sali jest ktoś, kto się sprzeciwia temu związkowi, Miles był nieco zażenowany, odkrywając, że on nie zgłasza żadnych obiekcji, przynajmniej już nie. Zawsze burzył się przeciwko naiwnej wierze Janine, że człowiek może zacząć życie kompletnie od nowa, tak jakby przeszłość nie istniała, a tymczasem ona dokładnie to właśnie robiła, co pozwalało sądzić, że również Miles mógłby się tak zachować. Zwłaszcza teraz, kiedy podjął już decyzję.

Nie zmieniało to faktu, że bogowie nadal nie sprzyjali nowemu życiu Janine. Miles naprawdę jej współczuł, że ten wielki dzień okazał się takim skromnym wydarzeniem. W ogóle śluby cywilne zawsze uderzały go swoją

urzędową zdawkowością, całą tę ceremonię odprawiano migiem, załatwiano od ręki, niemal zanim się jeszcze zaczęła. Więcej czasu zajmowała teraz likwidacja domu i Miles nie mógł się oprzeć wrażeniu, że w dzisiejszych czasach sprzedaż nieruchomości traktowana jest znacznie poważniej, jako przedsięwzięcie z o wiele bardziej długotrwałymi konsekwencjami. Zresztą kto wie, może zawsze tak było. W końcu to małżeństwo decyduje o prawie do dziedziczenia, w określonym porządku przekazując je z pokolenia na pokolenie. Może powaga, jaka niegdyś towarzyszyła ceremonii zaślubin była jedynie produktem ubocznym innego - znacznie ważniejszego, jeśli nie wręcz uświęconego - rytuału.

Przyjęcie weselne było prawie tak samo przygnębiające. Janine powiedziała wszystkim, że chce, żeby to była zabawa na sto dwa, z superorkiestrą i wielkim parkietem, gdzie goście mogliby naprawdę poszaleć. To znaczy, gdzie ona mogłaby poszaleć. W ogóle cała impreza robiła takie wrażenie, jakby była tak zaplanowana, żeby udowodnić wszem wobec liczne wady i niedomogi Milesa jako małżonka. Przez cały czas, kiedy byli małżeństwem - zdawała się mówić Janine - ona pragnęła muzyki, szaleństw i tańców i teraz, kiedy w końcu się pozbyła Milesa Roby, na Boga, nareszcie będąc to wszystko miała.

Największą salą w okolicy, która nadawała się do tego celu - po zdemontowaniu ścianek działowych, które oddzielały aerobik od urządzeń Nautilusa - okazał się fitness club Walta. W tym celu usunięto z drogi liczne narzędzia tortur, wszystkie te stairmastery, rowerki i bieżnie, a maty do jogi ustawiono pod ścianami, co trochę wyglądało tak, jakby gospodarze spodziewali się, że weselnicy będą chcieli pojeździć sobie na go-kartach. Sądząc po wielkości przestrzeni, jaką na ten cel przygotowano, Miles podejrzewał, że o wiele więcej osób zostało zaproszonych, niż faktycznie się zjawilo.

Z tego, co Miles wiedział, kapela może i była dobra, ale podczas gry wydobywali tak potworną ilość decybeli, że chyba mogłaby spowodować rozrost guza mózgu. Miles stał pod jedną ze ścian w towarzystwie Bei, której dokuczały hemoroidy, oraz Horacego Weymoutha, który zgodził się, acz niechętnie, być świadkiem Walta Comeau i z tej okazji musiał się wbić w błyszczący smoking. Miles starał się nie patrzeć w tamtą stronę, ale mógłby przysiąc, że siateczka żyłek na tym czymś, co wyrastało z czoła Horacego, pulsowała w rytm gitary basowej. Dwie godziny wydawały się przyzwoitym czasem, jak na byłego męża, zwłaszcza na męża, który sam nie chciał tego rozvodu, by pozostać na przyjęciu weselnym swojej byłej żony, tak więc gdy



orkiestra zrobiła drugą przerwę, Miles odnalazł Janine, żeby jej powiedzieć, że wychodzi, że życzy jej wiele szczęścia i że wygląda fantastycznie, no bo naprawdę wyglądała fantastycznie, chociaż może niespecjalnie jak panna młoda.

- Chyba nie zamierzasz się wymknąć bez ostatniego tańca - odpowiedziała Janine, z zarumienioną twarzą, po czym wyciągnęła Milesa na środek parkietu. Orkiestra, która najwyraźniej powzięła mocne postanowienie, żeby ogłuszająca muzyka wypełniała salę także podczas przerwy, puszczała teraz nagrania z taśmy przez wzmacniacze do gitar. Ku zawstydzeniu Milesa niemal wszyscy weselnicy zatrzymali się i odwrócili, żeby popatrzeć na ich taniec. Ludzie w jakiś sposób wyczuli, że są świadkami wzruszającego momentu.

- Ostrzegalam cię, że to ci się pewnie nie spodoba - powiedziała Janine.

- Nie jest najgorzej - skłamał. - Muzyka gra trochę za głośno, tylko tyle.

Nie wyglądała na przekonaną.

- Powinieneś kogoś przyprowadzić - powiedziała. - Charlene na pewno by przyszła, gdybyś ją zaprosił.

Chociaż Miles mógł się doskonale obyć bez tego współczującego tonu, wzruszył się, widząc, że jego była żona wydaje się przejęta, może trochę za późno, myślą o tym, iż on może czuć się samotny.

- Tak się składa, że Charlene dziś pracuje.

- Do cholery, Miles, to trzeba było dać jej wolne na dzisiaj. Jesteś w końcu szefem. Mógłbyś nawet zamknąć restaurację, gdybyś chciał.

Po dwudziestu latach małżeństwa i jeszcze dłuższej znajomości wciąż nie mógł się nadziwić, jak błyskawicznie ta kobieta potrafi zmieniać emocjonalne biegi z troskliwej czułości na irytację.

- Janine - westchnął - jeśli próbujesz sprawić, żebym poczuł się lepiej, że zostałam żoną innego, to robisz dobrą robotę.

Na co w jej oczach natychmiast pojawiły się łzy. Zaczęła cicho płakać na jego ramieniu, czym zmusiła go do przeprosin, a widzów przekonała, że oto są świadkami więcej niż wzruszającego momentu. Że mają do czynienia z cholernie wzruszającym momentem. Nawet Srebrnemu Lisowi łza zakręciła się w oku.

Te nieoczekiwane łzy bynajmniej nie zaskoczyły Milesa. Tydzień poprzedzający ślub pełen był płaczu i burzliwych negocjacji, z których większość Miles odbył, nie opuszczając szpitalnego łóżka. Najpierw Janine chciała, żeby to on ją poprowadził do sali urzędu, co było pomysłem tak dziwnym, że Miles dostał napadu śmiechu. Dopiero po chwili zrozumiał,

że ona to mówi poważnie. Natychmiast poczerwieniała jak piwonie ze złości i urazy.

- Ja tylko pomyślałam, że byłoby miło, gdyby cała sprawa mogła się odbyć po przyjacielsku - odcięła się. - Co w tym złego?

Po przyjacielsku. Powtarzał te słowa, aż nagle przypomniały mu się lekcje łaciny w gimnazjum. Przyjaciel, *amicus*, drugi rzeczownik, który deklinowali (pierwszym był *agricola*, rolnik, co zresztą wydawało się Milesowi dziwne, bo sugerowało, że w normalnym życiu częściej mamy do czynienia z „rolnikami” niż z „przyjaciółmi”).

- A co byś powiedziała na to, że się po prostu zjawię i będę się dużo uśmiechał - zaproponował. - Czy to nie będzie wystarczająco po przyjacielsku?

Z oczu jego byłej żony popłynęły łzy.

- Świetnie - powiedziała. - Doskonale. Niech to diabli, w takim razie sama sobie pójde i oddam swoją rękę.

Uderzyło Milesa, że była to precyzyjna wizja tego, co rzeczywiście miało się wydarzyć.

Jak się wkrótce okazało, Janine stosunkowo łatwo się poddała w kwestii jego roli w ceremonii tylko dlatego, że miała o wiele większą i znacznie poważniejszą batalię do przeprowadzenia i potrzebowała jego pomocy, jeśli ogóle miała mieć jakąś szansę na wygraną. A chodziło o to, że ich córka wyraziła jeszcze mniejszą ochotę niż Miles na odegranie wyznaczonej jej roli w ślubie matki. Tyle że tutaj Janine nie zamierzała ustąpić.

- A niech to, Miles, lepiej ją przekonaj, żeby była moją druhną. Wiem, że potrafisz, dlatego dobrze ci radzę już teraz, nie siedź tak, tylko bierz się ostro do roboty.

Miles próbował ją przekonywać.

- Janine, nie możesz jej zmuszać, żeby robiła coś, czego nie chce.

Na co ona z miejsca odparowała.

- Wcale jej nie zmuszam, Miles. W rzeczywistości dałam jej nawet wybór. Ma to zrobić dlatego, że musi, albo może to zrobić z własnej i nieprzymuszonej woli - co powiedziawszy, Janine wybuchnęła głośnym płaczem na środku sali szpitalnej i płakała tak długo, dopóki Miles się nie poddał i nie obiecał, że spróbuje.

Szczerze mówiąc, Janine szlochała tak rozpaczliwie, że Miles pomyślał, iż cierpi na jakieś załamanie nerwowe.

- Sam dobrze wiesz, że nie mam na całym Bożym świecie ani jednej prawdziwej przyjaciółki. - Wydmuchała porządnie nos, wyczerpana płaczem.

- Jeśli ona nie zechce być moją druhną, będę musiała poprosić matkę. Błagam, nie zmuszaj mnie do tego, Miles. Wiem, co sobie o mnie myślisz po tym wszystkim, co się wydarzyło, ale jeśli kiedyś w ogóle ci na mnie zależało, nie pozwól, żebym stała pomiędzy Beatrice i Waltem w dniu mojego ślubu. Sędzia na pewno wszystko pomiesza i udzieli ślubu tym dwojgu, zamiast mnie.

Układ, jaki zawarł Miles ze swoją córką, był dość skomplikowany, ale jego główne punkty sprowadzały się do tego, że ona zostanie druhną swojej matki i będzie robiła dobrą minę do złej gry udając, że świetnie się bawi, pod warunkiem że potem na przyjęciu weselnym nie będzie musiała tańczyć ze Srebrnym Lisem. Poza tym Miles obiecał zabrać ją do Bostonu na wystawę van Gogha w Muzeum Sztuki, co zresztą i tak by zrobił. Potem dowiedział się, że Tick zawarła oddzielne porozumienie z matką i uzyskała obietnicę, że jej komputer zostanie podłączony do Internetu.

- Jak tam, wszystko będzie już dobrze z tobą? - chciała się teraz do wiedzieć Janine, czym wprawiała go w chwilowe zmieszanie. O co jej chodzi? Czy on da sobie bez niej radę, kiedy ona wyjedzie w podróż poślubną? - Doszli do tego, na co chorowałaś?

Nie doszli. Tamtej niedzieli wieczorem z trudem dotarł do domu, ale później, kiedy jego brat się zjawił (po telefonie od Bei, która poprosiła go, żeby pojechał i sprawdził, co się dzieje), Miles już był nieprzytomny i majaczył. Na pogotowiu stwierdzono, że wysoka gorączka i majaki, które wystąpiły po spożyciu hamburgerów z baru z fast foodem, mogły sugerować zatrucie bakteriami coli albo wirusowe zapalenie opon mózgowych. Został przyjęty do szpitala, gdzie trzymali go przez wiele dni pod ścisłą obserwacją, mimo że gorączka spadła już następnego dnia rano, a w poniedziałek po południu wyraźnie czuł się lepiej. Pod koniec pobytu w szpitalu pół tuzina lekarzy, którzy go badali i dawali jego krew do analizy, ciągle nie było ani o krok bliżej od diagnozy. Jako przedstawiciele klasycznej medycyny nie szukali rozwiązania w stanie duchowym pacjenta, a Miles nie kwapił się, żeby ich zapytać, czy symptomy, które u niego leczyli, mogły mieć jakiś związek z faktem, że nawiedziły go duchy.

Tak jak to miał w zwyczaju jeszcze jako kawaler, Walt Comeau wszedł do Empire Grilla z piosenką na ustach.

- „Ach, ileż jeszcze nocy - zawodził unosząc ramiona, jakby chciał objąć cały świat. - Ile dni, ile nocy taki samotny mam jeszcze być?”

- Oby jak najwięcej - zasugerował David, który nie był na ślubie ani nie wysłał kondolencji.

Walt przerwał na moment, jakby to życzenie stanowiło tytuł piosenki, której on nie miał w repertuarze. Następnie podjął znowu melodię, tym razem nieco ciszej, tanecznym krokiem zbliżając się do baru.

- „Proszę, zatrzymaj serce swe, kiedy rozstaniemy się. I nie stój w świetle księżycy, gdy nie będzie mnie”.

Z drugiego końca baru dobiegło nieśmiało: Pa-pa-pa-payas”.

- Mój Boże, stary druhu! - zakrzyknął Walt, wsuwając się na swój zwykły stółek obok Horacego, który zjawił się wcześniej, żeby spożyć codzienną porcję krwistego hamburgera w ciszy i spokoju. - Jak mogłeś pozwolić, żeby taka kobieta wymknęła ci się z rąk?

Walt i Janine spędzili miodowy weekend w pensjonacie na wybrzeżu, który miał w specjalnej ofercie posezonowe obniżki cen. Janine, o czym Miles przypadkiem wiedział, liczyła na Arubę.

- Nie pozwól, żeby gwiazdy cię oślepiły, stary Lisie - poradził mu Horacy, po czym brudną serwetką wytarł kontuar pomiędzy nimi, przygotowując się do partyjki tradycyjnego remika.

- I nie pozwól, żeby księżyc złamał ci serce - dodał Buster, nie odwracając się od rusztu. Jego pierwszy od powrotu dzień pracy dobiegał końca i Buster polewał właśnie rozgrzaną powierzchnię grilla octem, który pryskał, pienił się i syczał. Przez kilka sekund w powietrzu unosił się tak silny zapach, że wszystkim napłynęły łzy do oczu, ale równie szybko wyparował, co dawało okazję do refleksji, iż każda rzecz, nawet tak okropna, szybko przemija.

- A gdzież to się podziewałeś w ostatnią sobotę? - zawołał Walt do Davida, który siedział w drugim końcu baru. - Straciłeś superprzyjęcie.

Z tego, co Miles słyszał potem, po jego wyjściu z przyjęcia weselnego jego była żona zatańcowała na śmierć kilku silnych chłopów, potem okropnie się spiła, a na koniec zwymyślała muzyków od ostatnich, gdy skończyli grać i zaczęli pakować instrumenty.

David złożył gazetę, wstał i sięgnął po czyste fartuch.

- Może i super, ale mnie z jakiegoś powodu ta perspektywa nie wydała się porywająca - wyjaśnił.

- Remik - rzekł Horacy, kładąc na stole swoje karty i biorąc do ręki notes, w którym zapisywali wyniki. - Człowiek mówi uczciwie, nie? - dodał, bardziej do Milesa niż do Walta.

- Jest po prostu zazdrosny, ot co - stwierdził Walt pogodnie, do którego

jeszcze nie w pełni dotarło, że właśnie przegrał. - Obaj z naszym starym druhem mi zazdroszczą. Udają, że nie, ale ja wiem swoje.

- Może masz i rację - zgodził się Horacy. - Powiesz mi, z łaski swojej, z iloma punktami w ręku cię nakryłem, czy chcesz, żebym sam zgadywał?

Dopiero teraz Walt spojrzął na karty, wyłożone przez Horacego na stół.

- To niemożliwe, żebyś już miał remika!

- Nazwij to inaczej, jeśli potrafisz.

Srebrny Lis położył swoje karty i zaczął liczyć pod nosem.

- Ułatwię ci sprawę. Pięćdziesiąt dwa plus premia za wygraną to razem siedemdziesiąt dwa - powiedział Horacy, zapisując wynik. - Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, iż pokonałem cię dzisiaj prędzej niż zwykle. Ale zaraz muszę jechać do Augusty na głosowanie budżetu szkolnego, więc nie mam czasu na cackanie się z tobą.

- Siedemdziesiąt dwa - powtórzył Walt, kończąc swoje obliczenia.

- Otwórz mi to, proszę - rzekł Buster, podając Milesowi trzylitrowy słoć z ogórkami konserwowymi i pocierając nadgarstek. Oko Bustera już nie ropiało, chociaż ciągle wyglądało okropnie, tak że nie można było na nie spokojnie patrzeć, całe czerwone i napuchnięte do tego stopnia, że nie dało się go otworzyć. Buster schudł też co najmniej piętnaście kilo przez to lato. Prawdopodobnie borelioza od ukąszenia kleszcza, zgodnie z tym, co stwierdził lekarz. - Już całkiem nie mam siły.

Horacy potrząsnął głową.

- Po trzydziestu pięciu latach brandzlowania tą ręką można by się spodziewać, stary, że dasz radę otworzyć głupi słoć z ogórkami.

- Jedź do domu, Buster - powiedział mu Miles. - Skończ tu za siebie.

Kucharz bez dyskusji zdjął fartuch i wręczył go Milesowi.

- Obiecuję, że jutro poczuję się lepiej.

- Daj no go tutaj - rzekł Walt, mając na myśli słoć. Już się rozebrał i jak zwykle siedział w tym swoim obcisłym podkoszulku ciężarowca, jakby partycja remika z Horacym wymagała od niego niczym nieskrępowanego zakresu ruchów. Pomimo głoszonych przez Walta Comeau teorii, że nie ma lepszej rzeczy nad seks, Miles podejrzewał, że nic nie rajcowało go bardziej niż otwieranie słoja, który ktoś inny próbował otworzyć i nie dał rady, dlatego zignorował go, poszukał gumowego otwieracza i jednym ruchem odkręcił pokrywkę.

- To było nie fair - nadął się Walt. - Każdy głupi potrafi otworzyć słoć czymś takim.

- Remik - powiedział Horacy, kładąc ponownie karty na stół.
- Byle dzieciak może otworzyć słój czymś takim - zwrócił się Walt do Horacego, który z jakiegoś powodu przyglądał mu się z uśmiechem. - O co ci chodzi, jaki remik?
- Sześćdziesiąt dziewięć plus premia za wygraną - wyjaśnił Horacy, wpisując osiemdziesiąt dziewięć do leżącego między nimi notesu.
- Osiemdziesiąt siedem - powiedział Walt, podliczywszy punkty, z którymi został na ręku. Pchnął swoje karty z niesmakiem w stronę przeciwnika.
- Policz dobrze jeszcze raz - zaproponował mu Horacy, przesuwając je z powrotem w jego stronę.
- Co Walt uczynił i po minucie podał poprawiony wynik.
- Osiemdziesiąt dziewięć - powiedział.
- Horacy pokazał mu notatnik, w którym już zapisał tę liczbę.
- Ale przecież mogło być tak, że to ty się pomyliłeś - wytknął mu Walt. - Nigdy nie przyszło ci to do głowy?
- Horacy potasował karty i podał Waltowi do przełożenia, co ten uczynił.
- Pewnie, że mogło - przyznał Horacy. - Mimo to jednak zawsze wolę najpierw wykluczyć bardziej prawdopodobne scenariusze.
- Walt był tak zajęty chwytaniem kolejno rozdawanych kart i układaniem ich w ręku, że nie zwrócił uwagi na tę obelgę.
- Słyszałem, stary druhu, że przybędzie ci konkurencja - powiedział, gdy już poukładał karty na tyle, żeby wiedzieć, z czym wyjść na stół.
- Miles rzucił okiem w stronę Davida, który stał przy lodówce, ale, jak zauważył, jego brat ani na sekundę nie zmienił rytmu wykonywanej czynności. Miles lubił myśleć, że on także potrafi zachować twarz pokerzysty, ale już wyczuł na sobie wzrok Horacego, który przyglądał mu się ciekawie.
- Co masz na myśli, Walt? - spytał, starając się zapanować nad modulacją głosu.
- Janine mi mówiła, że jej matka zamierza znowu uruchomić kuchnię w Callahanie i pracować w porze lunchu - poinformował młody żonkoś, biorąc jedną z kart zrzuconych na stół przez Horacego. - Chyba już nawet od przyszelego miesiąca.
- Życzę jej wszystkiego najlepszego - rzekł Miles szczerze. Prawda była taka, że prawie cały ranek spędził z elektrykiem w lokalu Bei. Wiadomości nie były dobre. W kuchni - a ściśle rzecz biorąc, w całym budynku - nie było dosłownie ani centymetra instalacji, która spełniałaby normy, co było w

porządku dopóty, dopóki nikt tam nic nie ruszał. Jednakże remonty, zgodnie z prawem stanowym, musiały być przeprowadzane według norm, co w tym konkretnym wypadku oznaczało, że należało wymienić praktycznie całą przestarzałą instalację na nową. Ani Bea, ani Miles nie mieli takiej sumy pieniędzy bez kredytu bankowego, którego żadne z nich nie chciało brać, gdyż natychmiast całe miasto dowiedziałoby się o ich planach. Szczególnie Milesowi zależało na utrzymaniu tajemnicy, przynajmniej do końca października, kiedy pani Whiting zwykle wyjeżdżała na zimę.

- Dawniej, kiedy jeszcze żył jej mąż, podawali tam takie wielgachne, wspaniałe kanapki z pastrami wołowym. Były chyba grube na trzy palce. Ledwie dało się je zjeść.

David wyjął z lodówki dużą tacę, na której leżał rostbef, już natarty ziołami. Nie chwycił jej dość mocno niesprawną ręką, w wyniku czego zabrakło mu dosłownie kilku centymetrów i mięso spadło do brytfanny do pieczenia, stojącej na piecu. Obejrzał się za siebie, gdzie napotkał wzrok Milesa. Tak, trzeba było poprosić o pomoc, następnym razem tak zrobi, być może.

- Naprawdę? Nie mogłeś sobie poradzić z jedną głupią kanapką? - spytał David, przemawiając również w imieniu swego brata.

- Wiesz co - powiedział Walt, przyglądając się podejrzliwie swemu przeciwnikowi. - Wyrzucę teraz trójkę.

Horacy wydawał się niezbyt zachwycony tym manewrem.

- Osiem minus twoje trzy - powiedział, pokazując Waltowi karty, które miał w ręku, a następnie zapisując pięć nędznych punktów w swojej czystej kolumnie.

- A niech cię, ty znowu miałeś kartę do mojego remika - poskarżył się Walt. - Jak ty to robisz, że nigdy nie dostaję mojego koloru?

- Ponieważ - wyjaśnił mu Horacy - wtedy ty byś wygrał, a ja musiałbym przegrać.

Za oknem przejechał wóz policyjny, ale Miles nie zdążył zobaczyć, czy to Jimmy Minty siedzi za kierownicą. Spoglądał w ślad za wolno przesuwanym się w dół ulicy samochodem, niemal pewien, że ten zatrzyma się, zawróci, a następnie podjedzie z powrotem i stanie przy krawężniku naprzeciwko restauracji. W zeszłym tygodniu Miles trzykrotnie widział Minty'ego, który siedział w zaparkowanym wozie kawałek za restauracją, a za trzecim razem tak się zdenerwował, że zadzwonił do szefa policji.

- Mogę wiedzieć, dlaczego Jimmy Minty otrzymał polecenie obserwowania mojej restauracji?

- Nic o tym nie wiem. Mamy tam tylko zainstalowany radar, to wszystko - wyjaśnił Bill Daws. - Te cholerne dzieciaki uważają, że ponieważ w naszym mieście nikt już nie mieszka, to one mogą sobie pędzić środkiem ulicy setką na godzinę. A skoro o tym mowa, pozwól, że zapytam, o co poszło między wami?

- Trudno to wytłumaczyć - przyznał Miles.

- Spróbuj.

- Wygląda na to, że chodzi mu o czasy, kiedy byliśmy przyjaciółmi. Chyba byliśmy.

- Ale teraz już się nie przyjaźnicie.

- Nie bardzo...

- Posłuchaj. Miałem zamiar do ciebie dzwonić. Jeśli ktoś nie zacznie działać, obawiam się, że twój były przyjaciel zostanie pełniącym obowiązki szefa policji, kiedy ja odejdę.

- Wybierasz się gdzieś, Bill?

- Na to wygląda. Mam raka, chociaż nikt jeszcze o tym nie wie.

- Mój Boże, Bill.

- Co tam, nie mogę narzekać na życie.

- Leczysz się?

- Pewnie. Już od jakiegoś czasu. To ta cholerna kuracja mnie dobija. W każdym razie Minty ma wysoko postawionych przyjaciół - rzekł Bill Daws. - W tym jedną z twoich bliskich znajomych. Może gdybyś z nią porozmawiał... Ludzie twierdzą, że ona ciebie słucha.

- To prawda - przyznał Miles. - Tyle że nigdy nie robi tego, o co ją poproszę.

- Mimo wszystko - powiedział Bill Daws. - Zrobiłbyś miastu przysługę, gdybyś spróbował. Nie ma nic gorszego niż zły glina.

- Jest, niestety jest - odparł Miles. - I bardzo mi przykro z tego powodu, Bill. Mogę ci jakoś pomóc?

- Tak, nikomu nie piśnij ani słowa.

Od tamtej rozmowy dziś po raz pierwszy przejechał tędy policyjny wóz. Dojechał do końca Empire Avenue, wrzucił lewy kierunkowskaz i zniknął za węglem, dokładnie w tej samej chwili, w której Tick wyszła zza rogu i zaczęła wspinać się w górę ulicy, zmierzając w stronę restauracji. Może była to tylko wyobraźnia Milesa, ale ostatnio wydawało mu się, że jego córka chodzi nieco bardziej wyprostowana pod swoim ciężkim plecakiem. Najmilsze w zeszłym tygodniu było to, że z powodu wyjazdu Janine i Walta w podróż poślubną na wybrzeże Miles spędzał wieczory w domu z Tick, żeby nie była sama w nocy. Spał na kanapie, a rano wracał do swojego mieszkanka,



żeby wziąć prysznic, ale i tak dziwnie mu było odwiedzać dom, który wcześniej przez tyle lat był jego. Robił, co mógł, żeby nie czuć goryczy z powodu utraty tego miejsca, a zamiast tego po prostu się cieszyć towarzystwem córki. I na ogół nawet mu się to udawało. Niestety, czas jego córki był bardzo nierówno podzielony pomiędzy ojca i klawiaturę komputera, w którą tłukła zapamiętałe, odpowiadając na listy, które z kolei wystukiwał jej gdzieś w Indianapolis chłopiec poznany na Martha's Vineyard. W liście, który przysłał jej przed dwoma tygodniami, podał swój adres e-mailowy i dzięki temu mogli się porozumiewać ze sobą bezpośrednio, pisząc jednocześnie, klawiatura w klawiaturę. No proszę, taka zażyłość. Od czasu do czasu Miles, który czytał książkę w sąsiednim pokoju, słyszał, jak dziewczynka śmieje się z czegoś, co chłopak właśnie napisał, a kiedy podnosił wzrok, widział jej rozpromienioną twarz przed ekranem komputera - twarz dziewczyny oddającej się w najlepsze cyberromansowi. Czy coś takiego można nazwać rzeczywistością? Miles doszedł jednak do wniosku, że tak, zwłaszcza jeśli miało to odciążać jej nadmiernie przeładowany plecak.

Tego popołudnia u jej boku maszerował wysoki, dziwaczny osobnik. Był to John Voss, który miał wieczorem pomagać Davidowi podczas prywatnego przyjęcia. Dziwną doprawdy stanowili parę - jego córka i ten cały John - ale widać było, że naprawdę ze sobą rozmawiają, co właściwie nie powinno nikogo dziwić, niemniej dziwiło. Pod pewnymi względami większe zdziwienie budził fakt, że ona chciała rozmawiać z tym pokreconym chłopakiem, maszerującym obok niej, niż to, że wieczorami rozmawiała za pośrednictwem klawiatury komputera z jakimś chłopcem, oddalonym od niej o tysiące mil. Gdy dotarli do restauracji, John Voss, milczący i nerwowy jak zawsze, skierował się prosto na zaplecze, gdzie od razu zabrał się za brudne garnki. Przepracował już w Empire Grillu trzy tygodnie i, zgodnie z przewidywaniami Milesa, stał się dobrym i solidnym pomocnikiem. Bywały chwile, zwłaszcza podczas weekendów, kiedy Miles zdecydowanie by wolał, żeby chłopak miał o jeden bieg więcej, ale pracował sumiennie i wydajnie, nawet jeśli niezbyt prędko. Dobrze wykonywał polecenia, a Miles nauczył go nawet, jak usuwać przyklejone grudki proszku do zmywania z delikatnego mechanizmu zmywarki. Co prawda odpowiadał już na zadawane mu pytania, ale nadal nie było możliwości nawiązania z nim normalnej rozmowy. Kiedy Miles wręczył mu pierwszą wypłatę, chłopak spojrzął na czek, jakby nie miał pojęcia, do czego to służy. Dopiero później przyszło Milesowi na myśl, że pewnie po prostu nie wiedział, jak się taki czek zamienia na gotówkę,

dlatego zabrał go do banku Empire National, pomógł mu otworzyć rachunek oszczędnościowy i nauczył, w jaki sposób wpłaca się pieniądze. Na koniec tej operacji chłopak zdołał nawet z siebie wydusić, chociaż z wielkim trudem, słowo podziękowania, ale kiedy następnego dnia zjawił się w pracy, nie uśmiechnął się do Milesa ani nie przywitał, tak jakby poprzedni dzień w ogóle się nie zdarzył. Przez trzy tygodnie ich znajomości John Voss ani razu nie spojrzął Milesowi w oczy i nawet Charlene nie udało się na tym polu więcej zdziałać.

Tick pocałowała wujka Davida na powitanie, zrzuciła ciężki plecak na podłogę z głuchym łoskotem, który wprawił w drżenie szklanki i filiżanki na barze, po czym przywitała się z ojcem, jak to ona, przytulając się do niego szybko i w przelocie.

- Witaj, witaj, moje maleństwo - zawołał Walt, obracając się na stołku i wyciągając ramiona. - Jak tam, a ze mną się nie przywitasz, co?

Tick nie uznała za stosowne zauważyć ani jego, ani hałasu, jakiego narobił. Jak z tego wynikało, zainstalowanie Internetu w jej komputerze nie przysporzyło Waltowi dodatkowych punktów w rubryce „uczucia”.

- Mam nowy „kawalek z E.F.” - zwróciła się do ojca. - Widziałeś napis w Lamplighterze?

Miles usiłował sobie przypomnieć, czy w ostatnich dniach przejeżdżał tamtędy, po czym potrząsnął przecząco głową.

- Mają tam nową specjalność kuchni: „Kurczak uduszony w sosie barbecue”.

Miles zachichotał, zastanawiając się, czy sam zwróciłby na to uwagę.

- Faktycznie, lepiej byłoby im odciąć głowę, zamiast dusić przez utopienie w sosie. - Ale zaraz przyszła mu do głowy inna myśl, jako że Lamplighter znajdował się już poza miastem, przy szosie do Fairhaven. - Byłaś tam ostatnio? Kiedy?

- Wielu moich przyjaciół ma już prawo jazdy - odparła, nalewając jedną szklankę coca-coli dla siebie, a drugą, jak się domyślał, dla Johna Vossa. - Nie bój się. Nie byłam w motelu.

- Nigdy by mi to przez myśl nie przeszło. - Aż się uśmiechnął na tych „wielu” przyjaciół. Nie tak dawno temu tłumaczyła mu, że nie ma „żadnych” przyjaciół. Teraz miała wielu różnych, w tym jednych z prawem jazdy, a innych hen, daleko, aż w Indianie.

- Czy byłoby możliwe, żebyśmy pojechali do Bostonu w przyszłą niedzielę? Ten van Gogh będzie jeszcze tylko dwa tygodnie.

- Zobaczymy, czy wujek zgodziłby się usmażyć jajecnicę w przyszłą niedzielę rano. - Miles umilkł na chwilę. - Hej, zaraz, zaraz, czyżby istniała

szansa, że twój „Indiana Jones” może się wybrać w najbliższym czasie do Bostonu?

- Aha, akurat w przyszłą niedzielę - przyznała, usiłując zachować powagę. Była wyraźnie z niego zadowolona, że tak szybko się w tym połapał, tak jak on był zadowolony z niej, że wypatrzyła te „uduszone kurczaki”.

- On, jak mu tam, też lubi van Gogha?

- Ma na imię Donny - powiedziała, po czym zniknęła na zapleczu. Nim drzwi się za nią zamknęły, Miles kątem oka zobaczył, że John Voss kłęczy przed otwartą zmywarką, z której wydobywają się gęste kłęby pary. Zadzierając głowę do góry, chłopak zaglądał do wnętrza, ze szpikulcem do lodu w ręku.

- Chłopie, to jest warte sto dolarów - żołądkował się Walt przy barze. Jak było do przewidzenia, Srebrny Lis zakończył kolejną partyjkę remika kolejną sromotną porażką i teraz namawiał Milesa, żeby się z nim spróbował na rękę. W formie zachęty zaproponował mu darmową trzymiesięczną kartę członkowską do swojego fitness klubu, utrzymując, że zmieni to całe jego życie, ponieważ podniesie poczucie własnej godności. Od chwili, gdy ożenił się z Janine, Walt był bardziej niż kiedykolwiek zdeterminowany, żeby jej byłemu małżonkowi w jakiś sposób zrekompensować tę stratę. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie odrzuciłby takiej propozycji.

- Dałbyś się namówić na dyżur w następną niedzielę rano? - zwrócił się Miles do brata.

David westchnął - a miał po temu powody, jako że musiał pracować na dwie zmiany, kiedy Miles był w szpitalu. A teraz znowu to.

- A Buster nie może? Właśnie się skarżył, że potrzebuje więcej godzin.

- Mógłbym go zapytać. - Miles kiwnął głową. Bo faktycznie, jeśli David się nie zgodzi, to i tak będzie musiał. - Tylko rzecz w tym, że nie jestem pewien, czy będzie umiał zrealizować najprostsze zamówienie po kolejnej sobotniej balandze. - Doktor ostrzegwał wprawdzie Bustera, że musi przestać pić, dopóki nie odzyska sił, ale trzymanie się z dala od butelki w sobotni wieczór było sprzeczne z naturalnymi skłonnościami tego człowieka.

- Dobrze wiesz, Miles, jak nie znoszę szychty śniadaniowej.

- Obiecałem Tick, że zabiorę ją do Muzeum Sztuki - tłumaczył się Miles, zniżając głos, żeby Walt nie usłyszał i nie wyrwał się ze swoimi usługami. - A wystawa, którą chce zobaczyć, już nie potrwa długo.

- W porządku.  
- Chyba że ty ją tam zawieszysz. Będzie zachwycona.  
- Nie, nie, ty jedź - rzekł David, otwierając drzwi do piekarnika i zaglą-  
dając do pieczeni, dopiekającej się powoli w środku. Wcześniej przygotował  
też blaszkę czerwonych ziemniaków w ziołach, którą teraz Miles wziął i  
wsunął na półkę nad wołowinę. Gdyby nie było go akurat w pobliżu, David  
pewnie sam by sobie jakoś poradził i zrobiwszy z zagiętego przedramienia  
chorej ręki podpórkę z jednej strony, a zdrową trzymając mocno z drugiej,  
wsunąłby blaszkę do piekarnika. Ale Miles wiedział, że niezdarność ruchów  
była tylko jednym z powodów, dla których jego brat nie lubił jeździć w dale-  
kie trasy. W gruncie rzeczy jazda po autostradzie była łatwiejsza niż po mie-  
ście, jednak z jedną tylko sprawną ręką David sobie nie ufał, nie miał bo-  
wiem pewności, jak by się zachował w sytuacji krytycznej, zwłaszcza z Tick  
na sąsiednim siedzeniu.

- A skoro już tu szepczemy - zaczął David. - Jak długo jeszcze zamie-  
rasz utrzymywać Callahana w tajemnicy?

Zgodnie z planem mieli się wyprowadzić z Empire Grilla na Święto  
Dziękczynienia, najdalej na Boże Narodzenie. Problem polegał na tym, że  
ten plan już się zaczął walić, a opinia elektryka tego ranka była jedynie ko-  
lejnym tego potwierdzeniem.

- Jak długo się da - odpowiedział Miles. - Wyjdzie na jaw, jak będzie  
czas.

Wiedział jednak doskonale, o co bratu chodzi. Coraz trudniej było ukryć,  
dlaczego tak dużo czasu spędzają u Bei. A do tego dochodziły jeszcze telefo-  
ny, które Miles usiłował załatwiać przyciszonym głosem, ponieważ zazwy-  
czaj klienci znajdowali się w zasięgu słuchu, a oczywiście nic nie przyciągało  
ich zainteresowania bardziej niż taki poufny ton.

- Nie rozumiem cię - stwierdził David. Oczywiście ucieszył się, że Miles  
tak nieoczekiwanie zmienił zdanie, chociaż trochę go niepokoiło, że nie  
chciał mu wyjawić, jak do tego doszło. A już to jego naleganie, żeby wszyst-  
ko zachować w najgłębszej tajemnicy, w ogóle nie miało sensu. - Przecież  
ona nie może ci nic zrobić, nawet gdyby chciała. A sam dobrze wiesz, że  
będzie zachwycona, jak wreszcie zamkniesz tę budę. Miałbyś czyste sumie-  
nie. Ostatecznie, przynajmniej tyle jej się od ciebie należy.

- Czy to przypadkiem nie ty mi stale powtarzałeś, jak to ja nic nie je-  
stem jej winien? - przypomniał mu Miles. - Poza tym wcale nie jestem taki  
pewien, czy ona rzeczywiście nic nie mogłaby mi zrobić, zwłaszcza gdyby się  
uparła.

- Nawet jeśli to prawda, nie wolałbyś się dowiedzieć tego wcześniej niż później?

- Wolałbym, żeby już w końcu wyjechała i nie wracała przez miesiąc, dwa. Nie mam pojęcia, co ją tu jeszcze trzyma. Ciągle myślę, że to może przez nas.

- Bardziej prawdopodobne, że trzymają Komisja Planowania i Rozwoju - zauważył David, zresztą dość rozsądnie. - Ktoś ostatnio mówił, że w tym tygodniu byli u niej w domu jacyś ludzie.

- Co, znowu czarne limuzyny na tablicach z Massachusetts?

- Może i tak - poddał się David. - Ale jeśli masz rację i faktycznie ona coś podejrzewa i zamierza nam nabruździć, to dobrze ci radzę, lepiej dowiedz się tego, zanim zaczniesz pożyczać pieniądze na lewo i prawo i zaciągać zobowiązania. Kto wie, może gdy baba zobaczy, jak się sprawy mają, da nam wreszcie zgodę na licencję, a wtedy nawet się nie będziesz musiał stąd wynosić.

- Tego nie mógłbym zrobić Bei.

- No tak, pewnie nie mógłbyś. Ale chodzi mi o to, że cała sprawa i tak się wkrótce wyda. Kto jak kto, ale ty nie potrafisz utrzymać niczego w sekrecie.

Miles pominął tę uwagę milczeniem. Odkąd rozszyfrował „Charliego Mayne'a” w gazecie, nikomu nie wspomniał o tym ani słowa, nawet własnemu bratu, chociaż to odkrycie diametralnie wszystko zmieniło. Tamtej niedzieli poczuł się nagle tak, jakby ta nowa wiedza wyrosła gdzieś z jego wnętrza, i wyobraził sobie, jak jej macki zaczynają się wysuwać i zapuszczać w inne rejony jego ciała. Czy dlatego nie podzielił się z Davidem tym sekretem, że nigdy nie potrafili za bardzo ze sobą rozmawiać? Z wielu tematów, które przez te wszystkie lata pomijali milczeniem, matka była zawsze na pierwszym miejscu długiej listy, więc rzeczywiście może to dlatego. Ale istniała też inna możliwość. Że David już o tym wiedział. Że gdyby Miles nareszcie wydusił z siebie tę rewelację, brat popatrzyłby tylko i powiedział: „Mój Boże, Miles, dopiero teraz się tego domyśliłeś?”

Pewnie łatwiej byłoby mu zwierzyć się ze wszystkiego ojcu Markowi, ale z jakiegoś powodu jemu również Miles o niczym nie wspomniał. Prawdę mówiąc, od tamtego dnia, kiedy przez całe popołudnie skrobał południową ścianę, wyobrażając sobie scenę, jak ojciec Tom wysłał jego matkę za rzekę, aby odbyła swoją pokutę, Miles ani razu nie pojawił się w św. Katarzynie. Teraz nie był już nawet pewien, czy kiedykolwiek w ogóle tam wróci, choćby tylko do „odbytnicy”. Z niewiadomych powodów tajemne macki owinięły się

również wokół jego szczerzej przyjaźni z ojcem Markiem, pozbawiając tę znajomość wszelkiej przyjemności. Ksiądz odwiedził go wprawdzie w szpitalu, ale nie zabawił długo, wydawał się też jakiś nieobecny i roztargniony. A ich rozmowa była tak samo pełna zakłopotania, jak tego popołudnia, kiedy zniknął ojciec Tom, i każdy z nich poczuł, że zawiódł tego drugiego, ponieważ żaden w porę się nie zorientował, do czego ci dwaj starszacy razem są zdolni. Gdyby to była tylko kwestia zwykłego zażenowania, po jakimś czasie pewnie by minęła, ale Miles podejrzewał, że sprawa jest bardziej złożona. Jak na razie doszedł do wniosku, że Kościół - a przynajmniej jego przedstawiciel w postaci ojca Toma - nie tylko nie udzielił pomocy, której jego matka tak rozpaczliwie potrzebowała, ale zachował się o wiele, wiele gorzej. Dlatego on postanowił teraz, że odtąd sam będzie sobie sterem i okrętem, dokładnie tak jak uczyniła to Grace.

- Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy... - Najwyraźniej David uważał, że nie powiedział jeszcze wszystkiego. - Ale pozwól, że powiem ci jeszcze jedno. Powinieneś zadzwonić do tej kobiety.

Miles westchnął. Wiedział dobrze, że tym razem jego brat wcale nie ma na myśli pani Whiting, tylko jej córkę, która w zeszłym tygodniu telefonowała do niego do szpitala, a potem jeszcze dwukrotnie do restauracji. Udało mu się zbyć ją słabą obietnicą wspólnej kolacji w Empire Grillu, gdy tylko dojdzie do siebie, ale dotychczas poprzestał na obietnicy.

Bo i tutaj znowu kolejne macki. Czy to możliwe, że Cindy знаła prawdę wcześniej? Czy dlatego zabrała go na cmentarz? Żeby stanął nad grobami dwojga kochanków? Kto wie, może nie domyśliły się istnienia tego związku, nawet patrząc na zdjęcie w gazecie następnego ranka, gdyby ona mu najpierw tego w jakiś sposób nie ukazała. Miles przyłapał się na tym, że ponownie ogląda całą ich przeszłość w świetle okrutnej możliwości, iż od samego początku Cindy wiedziała więcej od niego. Jakoś szczególnie wyraźnie przypominało mu się tamto popołudnie w gimnazjum, kiedy czekali razem na panią Whiting, która miała przyjechać czarnym lincolnem, i to, z jakim zdecydowanym lekceważeniem Cindy odniosła się wtedy do Emily Dickinson. Jakież to mroczne doświadczenie sprawiło, że stała się taką specjalistką w rozpoznawaniu i odrzucaniu rzeczy, których nie chciała uznać za prawdziwe? Miles mógł niemal sobie wyobrazić panią Whiting, jak szepcze córce do ucha: „Ta kobieta, która była dla ciebie taka dobra? To ona kochała twojego ojca i chciała z nim uciec. A ten chłopiec, którego tak lubisz? To

ten sam, którego on wołał od ciebie”. Przypomniało mu się również to romansidło pełne „dreszczy rozkoszy”, które Cindy miała ukryte w torbie. Czy tego rodzaju lektury, na swój tani sposób, miały za zadanie pomóc biednej dziewczynie zrozumieć, jak do „tych rzeczy” mogło dojść między kimś takim jak jej ojciec i kobietą taką jak Grace? Czy to możliwe, że Cindy zakochała się w Milesie, ponieważ powiedziano jej, że wołał go jej ojciec?

Próbował analizować te pytania, starając się znaleźć logiczne odpowiedzi, ale zamiast tego rozum i logika doprowadzały go jedynie do kolejnych pytań. Doszedł do jednego wniosku: było całkiem prawdopodobne, że nabożna cześć, z jaką Cindy pielęgnowała pamięć o ojcu, stanowiła dowód, iż mimo wszystko nie znała prawdy. Wszystko wskazywało na to, że za odejście ojca obwiniała matkę, a nie Grace, którą zachowała przecież w serdecznej pamięci. A jeśli tych dwoje w jakiś sposób łączyło się w jej umyśle, mogło to mieć związek z ich miłością do niej samej, nie zaś między nimi. Ale z drugiej strony, czy istnieje coś bardziej tajemniczego i niepokojącego, zarówno dla dziecka jak dla człowieka dorosłego niż miłość? Tak, powinien do niej zadzwonić. David ma rację. Powinien. Mimo to nie zadzwoni, jeszcze nie teraz.

- Posłuchaj - powiedział David, gdy Miles skwitował jego radę milczeniem. - Zapomnij, że w ogóle coś mówiłem. Wiem, że to nie moja sprawa.

- Nie - odparł Miles. - Wiem, że masz rację. Prawdę mówiąc, zawsze dobrze mi radziłeś. Powinienem być cię częściej słuchać.

- No cóż, ja nigdy nie słuchałem ciebie, mimo że powinienem. Mam tylko nadzieję, że nie wpadniesz na drzewo, waląc sto pięćdziesiąt na godzinę, tak jak ja.

- Może tego właśnie mi potrzeba. - Nieoczekiwanie Miles poczuł, że w pewnym sensie już to zrobił. - Ostatnio to ty wyszedłeś na prostą, nie ja.

David potrząsnął głową.

- Ale to nie dzięki temu drzewu, na które się wpakowałem. Tak dokładnie wszystko spieprzyłem po drodze, że kiedy się w końcu ustakowałem, mało kto się jeszcze spodziewał po mnie czegoś dobrego. Tak więc nie tyle wyszedłem na prostą, ile raczej wypadłem za burtę. Nie, rozwalanie się na drzewie nie jest wyjściem z sytuacji, które bym polecał. Jest zbyt wielu ludzi, którzy nigdy ci tego nie wybaczą.

Miles dużo by dał, żeby móc zaprzeczyć prawdzie tych słów, choćby przed samym sobą, ale nie potrafił. Naprawdę pragnął bratu wybaczyć, może nawet wydawało mu się, że już to zrobił. Chciał się również nauczyć

mu ufać, ale zamiast tego z przyzwyczajenia czekał, kiedy David znowu wszystko schrząni, chociaż od długiego czasu mu się to nie zdarzało.

- Może poszedłbyś na górę się zdrzemnąć, co? - zaproponował mu brat. - Wyglądasz na zmarnowanego.

- Faktycznie, może tak zrobię - zgodził się Miles. - Potrzebujesz mnie wieczorem?

- No cóż, byłbym głupi, odrzucając taką propozycję - zaśmiał się David. I szansę, domyślił się Miles, żeby mógł się odwdziżyć za tę niedzielną szychkę.

Wchodząc na górę, usłyszał telefon, który dzwonił w jego mieszkaniu. Pewnie dlatego, że o niej przed chwilą rozmawiali, spodziewał się, że będzie to Cindy Whiting. Ale mylił się.

- Skończyłeś już ten swój kościół? - odezwał się głos po drugiej stronie.

- Witaj, tato - powiedział Miles. - Gdzie jesteś?

- Pewnie robota nie idzie ci tak szybko, odkąd ja wyjechałem, co? Zważywszy, że boisz się wleźć na drabinę...

- Prawdę mówiąc, już tego nie robię.

- Jak to?

- Byłem chory. Trzymali mnie w szpitalu przez parę dni.

- A ja się zastanawiałem, gdzie ty, do cholery, mozesz się podziewać. Dzwoniłem do ciebie.

- Poza tym Janine i Walt Comeau w zeszłą sobotę brali ślub.

- To dobrze dla niej.

- Dzięki, tato - powiedział Miles. - Słuchaj, wspominałeś już, gdzie jesteś? Bo może nie dosłyszałem?

- Na Florydzie - odparł Max, tak jakby tyle to każdy głupi wiedział. - Powinieneś tu przyjechać. Świetne miejsce dla kawalerów.

- Gdzie jest ojciec Tom?

- A, siedzi na końcu baru. Zdobył drugie miejsce w konkursie na sobotników Hemingwaya. Zapisał brodę. Jest całkiem siwa.

- Jak mogłeś to zrobić, tato?

- Pozwolić mu, żeby zapisał brodę? A dlaczego by nie?

- Wiesz dobrze, o czym mówię. Jak mogłeś wyłudzić pieniądze od dzieciennego księdza, a potem uciec na Florydę i wszystko przepić.

- Nie wziąłem od niego ani grosika.

- Nie, tylko pozwoliłeś, żeby za wszystko placił, zgadza się?

Temu Max nie zaprzeczył.

Miles potarł skronie. Że też tym dwóm starym przykom udało się pokonać taki szmat drogi. Doprawdy, było to zdumiewające. Jak zdołali się



przemknąć, niezauważeni przez oddziały policji wszystkich stanów stąd aż po Key West, które wysłano na poszukiwania czerwonej crown victorii, kierowanej przez dwóch leśnych dziadków, wyglądających na uciekinierów z wariatkowa?

- Czy auto jest nadal w jednym kawałku?
- Powinno być. Zostawiliśmy je na bezpłatnym parkingu.
- Jakim bezpłatnym parkingu?
- W Camden.
- Gratulacje. Teraz już zupełnie nic nie rozumiem.
- Przyłączyliśmy tutaj statkiem. „Lila Day” się nazywa. Widzisz, zaciągnęliśmy się z Tomem na statek.

- Zaczekaj chwileczkę. Chcesz, żebym ci uwierzył, że ty i ojciec Tom przepłynęliście szkunierem całą drogę z Camden w stanie Maine do Key West na Florydzie?

- Nie, nie sami, nie we dwójkę, ty idioto. Z kapitanem Jackiem i czwórką innych facetów. Wiesz, jaki ze mnie stary wilk morski.

Stary, to się zgadza, pomyślał Miles.

- Raz ojciec Tom wypadł za burtę, ale po niego zawróciliśmy. Potem już bardziej uważał.

Miles usiłował sobie wyobrazić staruszka księdza, zapakowanego w kamizelkę ratunkową, jak przemarznięty i nieprzytomny dryfuje na spienionej fali. Dostrzegł w tym nawet pewną sprawiedliwość niebios, zważywszy, że ojciec Tom okazał się człowiekiem bez serca, wysyłając wtedy Grace za rękę. Dlaczego więc nie potrafił docenić humoru całej tej sytuacji?

- Tato - odezwał się. - Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, co z tobą zrobisz, jak coś się stanie ojcu Tomowi?

- Jasne - odpowiedział jego ojciec, absolutnie przekonany, że on zna odpowiedź na to pytanie o wiele lepiej niż człowiek, który je zadał. - Nic a nic.

W porządku, pewnie miał rację.

- Dlaczego staruszek nie miałby się troszkę rozerwać? - Teraz z kolei Max chciał się dowiedzieć, skoro już bawili się w zadawanie pytań. - Starzy ludzie też się lubią rozerwać, zawsze ci to mówiłem, nie? A tutaj na południu ludzie lubią staruszków.

- Dlaczego?

- Tego nie mówią - przyznał Max. - Codziennie wieczorem Tom spowiada w kącie baru. Powinieneś to na własne oczy zobaczyć.

- To straszne, tato.

- Dlaczego? Zastanów się nad tym.

- To świętokradztwo.

- Ta twoja matka naprawdę namieszała ci w głowie, wiesz o tym, nie?

I tyle tylko było trzeba, jedno słowo o Grace, i nagle padło to pytanie, zanim Miles zdążył rozważyć, czy mądrze robi, jeśli je zada.

- Jak to się stało, tato, że nigdy mi nie powiedziałeś o mamie i Charliem Whitingu?

Max zareagował w taki sposób, jakby czekał na to pytanie od lat.

- A jak to się stało, synu, że ty mi nigdy o tym nie powiedziałeś?

## 24

No więc, powiesz mi czy nie, co my tutaj robimy? - jęknął Justin Dibble, sprawiając, że Zack Minty pożałował, chyba już po raz dziesiąty w przeciagu ostatnich dwóch kwadransów, że w ogóle poprosił Justina, żeby z nim pojechał. To znaczy, poprosił, obiecując, że mu skopie tyłek, jeśli ten się nie zgodzi. Zack miał swoje powody, że potrzebował towarzystwa, ale za diabła nie mógł ich sobie teraz przypomnieć, no i miał za karę tego całego Podwójnego Debila Dibble'a na karku. A na dodatek Dibble chciał koniecznie wiedzieć akurat to, czego Zack sam nie potrafił wytłumaczyć.

- Czekamy, aż się ściemni - powiedział Zack.

Było to zgodne z prawdą. W zapadającym zmierzchu zaparkował camaro na drodze prowadzącej do starego wysypiska śmieci. Między drzewami widać było dom, w którym mieszkał ten mały Voss ze swoją babką. Stamtąd nikt nie zobaczy samochodu, chyba żeby się specjalnie za nim rozglądał.

- Jesteś po prostu wkurzony, bo okazał się lepszy od ciebie - stwierdził Justin, opuszczając szybę, żeby wyrzucić pustą torebkę po cheetosach.

- Za takie coś buli się dwieście dolców grzywny - zauważył Zack. Bycie synem gliniarza miało tę zaletę, że człowiek uczył się z czasem, jakie za co grożą konsekwencje. Nie oznaczało to, że i tak nie podejmował ryzyka, ale przynajmniej wiedział, ile batów mu włożą, jeśli da się przyłapać. Zdaniem Zacka niektóre przestępstwa były warte ryzyka, ale trudno było sobie wyobrazić większego kretyna, który ryzykowałby grzywnę w wysokości dwustu dolarów za torebkę chipsów wartą sześćdziesiąt centów.

- Skąd ktoś będzie wiedział, że to ja? - zdziwił się Justin, oblizując pomarańczowe palce.

- Wytrzesz te swoje łapska w tapicerkę taty, a da ci takie trzepanie, że popamiętasz.

Debil Dibble nie przerywał swego zajęcia, wylizane palce lśniły już czystością, pozostałe wciąż były pomarańczowe od papryki.

- Akurat, twój tata mnie lubi.

- Nie tak bardzo jak swój samochód - przypomniał mu Zack. - Daleko ci do tego.

Został już tylko jeden pomarańczowy palec, środkowy, wystawiony do góry. Justin zaczął go prowokacyjnie ssać.

- A niby kiedy to John Voss okazał się lepszy ode mnie, co, kretynie?

- Grając w naszą grę.

Zack, oczywiście, wiedział, że do tej rozmowy musiało dojść. Zwlekał z odpowiedzią, żeby się wydawało, że jego ta cała sprawa głównie obchodzi.

- A skąd ty, kurwa, możesz o tym wiedzieć? To ja go wszystkiego nauczyłem.

- Aha. Ale on jest w tym lepszy. Ty się peniasz.

- Akurat, kurwa.

- A właśnie że tak, peniasz się, za każdym razem.

- Oho, rzeczywiście. A ty skąd niby możesz to wiedzieć. Ty robisz w gacie ze strachu na samą myśl, że miałbyś zagrać.

Justin wzruszył ramionami, wycierając palce w spodnie. Zack chciałby zamknąć ten temat, ale nie mógł.

- A wiesz, dlaczego on nie pęka? Bo w ogóle nie ma mózgu. Jest za głupi, żeby poczuć strach.

- To przecież ty zawsze wstawiasz kawałki, że nie ma się czego bać, nie? - przypomniał mu Justin, oglądając pomarańczowe smugi na wytartych spodniach, z niewielkim zresztą żalem. - Dlatego w to gramy, może nie?

- Nie, dlatego, że to zajebicie nakręca, kapujesz? A z niego jest taki durnowaty bezmózgowiec, że to go nawet nie kręci, mówię ci. - Justin nie wyglądał na przekonanego. - A zresztą, odpierdol się. Nie grasz, to nie masz prawa krytykować.

- Kiedyś zagrałem, jeden raz. To beznadziejna zabawa.

- Aha, akurat beznadziejna, ale przez nią miałeś ze strachu pełne gacie, może nie? - parsknął Zack.

Jedno było pewne. Zack będzie musiał kiedyś usiąść i na spokojnie przemyśleć całą sytuację z kumplami, która z dnia na dzień wyglądała coraz

gorzej. Jeszcze nie tak dawno miał świętych kumpli. Teraz otaczały go same trąby i fujary. Oto do czego dochodzi, jak człowiek nie pilnuje sprawy.

Na pewne rzeczy oczywiście nie było rady. Zed i Thomas wyprowadzili się z rodzicami, a ci byli najlepsi z całej paczki. Potem paru innych koleś postanowiło, że nie chcą już mieć z nim nic wspólnego, chociaż nigdy nie powiedzieli dlaczego. Tak jakby sam nie potrafił tego wykapować, gdy zaczęli przesiadywać na basenie w tym klubie za miastem i zabawiać się w ciotowate sporty, jak golf czy tenis, co pozostawiło mu niewielki wybór w postaci tego Pieprzonego Debila Justina Dibble'a. W gruncie rzeczy w pierwszej klasie liceum był jeszcze całkiem fajny, ale teraz już olewał wszystko równo z góry na dół. Kiedyś był niezły w koszykówce, ale nawet nie spróbował dostać się do drużyny, co było naprawdę kretyńskie z jego strony, ponieważ najprawdopodobniej by go wzięli. Teraz zależało mu tylko na jednym, żeby opychać się chrupkami, grać w gry komputerowe i walić konia, oglądając pieprzone pornosy, które namiętnie ściągał z Sieci.

W przyszłym roku będzie lepiej. Jako jeden z nielicznych uczniów z drugich klas, którzy znaleźli się w drużynie reprezentacyjnej, Zack był przez wszystkich podziwiany, nawet jeśli starsi koledzy, zwłaszcza z ostatniej klasy, nie do końca go zaakceptowali w swoim gronie. Czasami zachowywali się tak, jakby o nim coś gdzieś słyszeli, jeszcze zanim go spotkali, coś, co sprawiło, że stali się nieufni. Myślał, że może to się zmieni po meczu z Fairhaven, ale trener go przerobił na cacy, oddając pozycję linebackera z powrotem Billy'emu Wolffowi, jak tylko ten doszedł do siebie po kontuzji kostki. Tak jakby całkiem zapomniał, kto wykonał to piękne przyłożenie, które kompletnie odmieniło losy tego pieprzonego meczu. Trener nie przyszedł i nie powiedział tego otwarcie, ale Zack był niemal pewien, że trener winił go za złą prasę, jaka im się potem dostała. Ponoć ten *quarterback* z Fairhaven dotąd nie wrócił do gry, a w zeszłym tygodniu w gazecie pisali, że jego rodzice zamierzają zabrać go do Bostonu, żeby zobaczyć, czy nie da się stwierdzić, dlaczego te bóle głowy nie ustępują. Zack by im od razu powiedział dlaczego. Bóle głowy nie ustępowały, ponieważ wtedy ten maminsynek musiałby wrócić na boisko. A tak jeden zrečný cios wykreślił go z futbolu.

„Spóźniony cios”, tak teraz o nim wszyscy mówili po obejrzeniu meczu na wideo, na którym zresztą i tak nic nie dało się zobaczyć, ponieważ kamera powędrowała w ślad za piłką. Dziennikarze pytali o to trenera podczas wywiadu, na co on im odpowiedział, że taśma nie daje jasnego dowodu, ale

potem w szatni, przed ostatnim meczem, wstawił im mowę o tym, jak to on życzyłby sobie, żeby wszystkie zagrywki były absolutnie czyste, na co większość chłopaków spojrzała w stronę Zacka, a potem wbili wzrok w podłogę. Co go tak maksymalnie wkurwiło, że natychmiast po wejściu na boisko już przy otwierającym wykopie wdał się w przepychankę z takim jednym smarkiem i wszystko skończyło się karami dla obu zawodników. Resztę meczu spędził na samym końcu ławki. Trener nawet nie spojrział w jego stronę, chyba że tylko po to, żeby pokiwać głową z niesmakiem. Tak więc, kto wie, może w przyszłym roku sprawy jakoś się ułożą, a może i nie.

Zack obserwował dom, którego zarys ledwie się odcinał na tle drzew. Co było, jak się nad tym zastanowić, dosyć dziwne. Tamtego wieczoru Voss początkowo w ogóle nie chciał, żeby go odwozili do domu, a potem znów nie chciał, żeby skręcali w tę boczną drogę, która prowadzi pod sam dom, bo twierdził, że jego babcia jest chora i nie należy jej przeszkadzać. Ale w całym domu było kompletnie ciemno, dokładnie tak samo jak teraz. Ta stara musi mieć chyba tak popieprzone pod sufitem, że albo nie może wyjść z wyra, żeby sobie zapalić światło, albo zwyczajnie nie wie, kiedy jest noc.

- No więc jak wygląda sprawa z Tick? - spytał, nie patrząc na swojego pasażera. - Jest coś między nią a tym Vossem?

Nareszcie sobie przypomniał, dlaczego chciał, żeby Justin z nim tu przyjechał. Nie chodziło mu tylko o to, żeby mieć kogoś na czujce, kto by obserwował tę chałupę. Chciał jeszcze raz na spokojnie przemyśleć całą tę sytuację. A Debil Dibble był w klasie plastycznej i siedział przy jednym stole z Tick i Johnem Vossem - i z tą tłustą flądram, Candance - tak więc mógł się okazać Zackowi przydatny.

Justin wzruszył ramionami.

- Po prostu jej go żal.

Zack rozważał tę możliwość. Fakt, to by się zgadzało, Tick zawsze miała wiele serca dla wszystkich nieudaczników. Poza tym wbiła sobie do głowy, że zostanie artystką, ale jeśli Zack się nie mylił, a pewnie się nie mylił, to skończy na tym, że otworzy schronisko dla trójnogich kundli. Ostatnio oglądał taki jeden program w telewizji o jakiejś kopniętej babie z Kalifornii, która przygarniała ranne zwierzaki wszelkiej maści, nawet tak duże skurczybyki, że pochłaniały do dwudziestu pięciu kilo psiego żarcia dziennie, a ona pozwalała temu oddziałowi pokurczów skakać i kuśtykać po całym rancho. Zamiast prosić ludzi o datki na ich wykarmienie, lepiej by tę kasę wykorzystała na kupno naboju, a potem wystrzelała tych swoich pacjentów,

żeby przerwać ich mękę, oto co powinna zrobić.

- Jak to się stało, że załatwiła mu robotę u swojego starego w restauracji?

Justin ponownie wzruszył ramionami, najwyraźniej uważając, że już raz odpowiedział na to pytanie. Załatwienie koledze roboty jest właśnie tego rodzaju rzeczą, jaką się robi, kiedy mu się współczuje.

- Słyszałem, że kocha się w jakimś koleśku, którego spotkała podczas wakacji - powiedział zamiast tego Justin. - Mieszka w Indianie czy gdzieś tam.

- W Indianie czy gdzieś tam? To znaczy, tu czy tam? Jeśli nie tu w Indianie, to w takim razie gdzie tam? Jesteś tego pewien? Jesteś pewien, że nie jest to, powiedzmy, jeszcze jakieś inne miejsce?

- Ja tylko mówię, co słyszałem.

- Słyszałeś do kogo?

- Candance.

- Od tej królowej dmuchania?

- Hej, chwila - obruszył się Justin. - Jak ona chce mi obciągnąć, to ja nie mam nic naprzeciwno, jasne?

- To dlatego, że nie trzymasz się zasad - wyjaśnił mu Zack.

- Nie powiesz mi chyba, że nie miałbyś ochoty wsadzić nosa w te cycki?

- To tłusta krowa, tyle ci powiem.

- Wielkie cycki to nie to samo co tłuste - najwyraźniej Justin miał zdecydowane, jasno sprecyzowane zdanie na ten szczególny temat. - Tłusty może być brzuch, talia, uda. A wielkie cycki to całkiem inna sprawa.

Zack nie był szczególnie zainteresowany teoriami na temat anatomii ani zresztą żadnymi innymi opiniami Debila Dibble'a, jeśli o to chodzi. No, i co z tego, że Tick była zakochana w jakimś kutasie z Indiany czy jakiegostam innego miejsca. Że niby to miało go obejść? Zack szybko dojrzał do tego, żeby podzielać zdanie swego ojca na temat dziewczyn, które sprawiały wrażenie, jakby tylko po to przychodziły na ten świat, żeby robić facetom na głowę. „Nigdy nie będą szczęśliwe, dopóki nie zależą ci za skórę”, tak się kiedyś wyraził ojciec, gdy próbował tłumaczyć Zackowi, jak to było z jego matką, no i całą sprawę z tym, dlaczego odeszła. „Nigdy nie staną twarzą w twarz - mówił ojciec - jak zrobiły to każdy mężczyzna. Tylko ciągle cię kłają, raz capną troszkę tu, raz tam. Z początku nawet nie zauważysz, że krwawisz, a potem w jednej chwili widzisz, że upuściła z ciebie dobre pół

litra krwi, a może i dwie połówki, takie są. Ale mają człowieka w garści - dodawał zawsze ojciec na koniec. - Co chłop może zrobić, zostać pedziem czy jak?

- Założymy się, że pod jego wyrkiem znajdziemy stos pedalskich gazetek? - odezwał się Zack. Ta możliwość przyszła mu na myśl ostatniej nocy i przez cały dzień nie dawała spokoju. Dopóki nie zagrali w ich grę, Zack uważał, że ten chłopak jest totalnie pojebanym matolem. Teraz już sam nie wiedział, co ma myśleć, ponieważ Justin miał rację - chłopak nawet nie drgnął. Przyłożył lufę do skroni i pociągnął za cyngiel, jak gdyby nigdy nic. Oczywiście, że musiał być pedziem, to miało sens. Pewnie doszedł do wniosku, że z tym to już lepiej umrzeć, pieprzyć to.

- Co miałeś na myśli mówiąc „my”? Już ci mówiłem, że ja nie zamierzam się włamywać do żadnego domu.

- Nie ma mowy o włamaniu, jak się ma klucz, nie? A nawet jak nas złapią, to powiemy po prostu, że drzwi były otwarte, więc weszliśmy, bo chcieliśmy namówić naszego kumpla Johna, żeby z nami gdzieś wyskoczył. I po sprawie.

- Koleś wpadnie w szal, jak się dowie.

- Dlaczego? Czego się tak boi? Ten pieprzony smark, któremu nawet oko nie mrugnęło.

- Może jest, czy ja wiem... Może się czegoś wstydzi czy jak.

- Co znowu? Wstydzi się czy jak. O co tym razem chodzi? Znowu jakaś Indiana czy jakoś tak?

- Może ta jego babka ma fioła i sika do pończochy albo gada językami i sra pod siebie? Ja tam też nie lubię, żeby ktoś przychodził i spotykał moich starych. Mój ojczulek podnosi się na jednym półdupku, kiedy chce pierdnąć. Potem sztruksowe obicie na jego siedzeniu śmierdzi tak, że nie uwierzyłbyś, człowieku. A moja mama śpi do południa i potem łązi przez cały dzień po domu w szlafroku.

- Jestem pewien, że oni też są z ciebie bardzo dumni - powiedział Zack.

Pochyleni nisko przy ziemi, biegli wzdłuż linii drzew w stronę zrujnowanego domostwa, w bladym świetle księżyca, który tej nocy był prawie w pełni. W samochodzie Zack miał jeszcze wątpliwości co do swojego planu, ale skoro tylko poczuł ziemię pod nogami i ruszył przez pole, od razu nabrał wiary i pewności siebie. Justin, tchórz jeden, chciał poczekać w aucie, ale Zack zmusił go, żeby pobiegli razem, przynajmniej do pewnego miejsca. No, bo gdyby ktoś tamtędy przejeżdżał i zapytał Justina, co robi i dlaczego

siedzi po ciemku w samochodzie, ten pewnie zsiakałby się ze strachu i spieprzył całą sprawę.

- A co będzie, jak się okaże, że ona ma strzelbę albo coś? - wyszeptał Justin, kiedy podkradli się pod kępę sosen, rosnących kilkanaście metrów od ganku na tyłach domu.

- Jak kobieta, która szcza do pończochy, ma mieć pieprzoną strzelbę?

- Gdybym ja mieszkał na takim pustkowiu bez sąsiadów, tobym miał.

- Co ty tak pękasz?

Justin wzruszył ramionami.

- A co ja niby mam robić, jak już ty wejdiesz do środka?

- A skąd ja mam wiedzieć? Pomyśl sobie o cyckach Candance i spuść się w gacie.

- W porządku - powiedział mu Justin na pożegnanie i zaczął udawać, że wprowadza tę radę w czyn.

Teraz jest niebezpieczny moment, pomyślał Zack, dochodząc samotnie do zachwaszonego trawnika od tylnej strony domu. Miał przed sobą co najmniej dziesięć metrów otwartej przestrzeni widocznej w świetle księżycy, zarówno z drogi, jak z wnętrza domu. Może i dziewczyny są zagadkowe, jak twierdził jego ojciec, ale dla Zacka jeszcze większą zagadką był strach. To, jak człowieka dopada, a potem mija. To, jak nie ma żadnego sensu. Tak naprawdę na tym właśnie polegała jego gra i to był prawdziwy powód, dla którego ją wymyślił. Bo skoro broń nie jest załadowana i wiesz o tym, bo sam wyjmowałeś naboje z magazynku, a potem sprawdziłeś jeszcze dwa razy, żeby się upewnić, że wyjąłeś wszystkie, w takim razie ta pieprzona zabawka w żaden sposób nie może cię zabić, zgadza się? I jeśli jest coś na tym świecie, czego w tym jednym jedynym momencie możesz być absolutnie pewien, jest to właśnie to, tak? W takim razie dlaczego to jest takie cholernie trudne? Dlaczego tylko temu popapranemu Vossowi nie drgnęła powieka, a każdy inny pękał?

Teraz żałował, że w ogóle wtajemniczył go w tę grę. Niemal żałował, że w ogóle ją kiedykolwiek wymyślił. Na początku była to dobra zabawa, tak obserwować ludzi, jak wpadali w histerię na widok tego, jak on to robił. Najgorsza była Tick. Powinien się od razu zorientować, od samego początku, a nie ciągnąć tego dalej w jej obecności, ale on nie, zrobił to i tak - chociaż nigdy by się nie spodziewał, że jej tak kompletnie odbije. A potem, kiedy pokazał jej jeszcze raz po kolei, że broń nie jest załadowana i że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, ona dostała jeszcze większego szału i nie



chciała z nim rozmawiać, dopóki jej nie obiecał, że nigdy więcej nie będzie w to grał.

Teraz żałował, że nie dotrzymał danej jej obietnicy. Łamiąc ją, liczył na to, że ona się dowie, a wtedy zrozumie, że on to zrobił przez nią, ponieważ ona go tak traktuje. Tyle tylko, że cała sprawa okazała się potwornym niewypałem. Wiedział, że to nie ma najmniejszego sensu, ale mimo wszystko, jak zobaczył, że ten wypierdek Voss nawet nie drgnął, sam nie rozumie, czemu się tak strasznie wkurzył. Przez dwie noce z rzędu leżał z otwartymi oczyma, myśląc o tym bez przerwy. Miał świadomość, że ten szajbus podniósł stawkę w grze i że teraz można już było zrobić tylko jedno, włożyć prawdziwy nabój do magazynku. Dopiero by się przekonali, który jest z jakiej gliny ulepiony. Czuł potworny przymus, który rósł w nim w środku, i nawet jakaś jego część była z tego zadowolona. Ta druga część, ta, która do późna w noc nie mogła zasnąć, była przerażona, może nawet bardziej przerażona niż ten wystraszony gnojek z Fairhaven, który udawał, że go ciągle główka boli. Ale możliwe, pomyślał Zack, przebiegając pędem przez trawnik w stronę ganku, że to wcale nie jest tak. Że może faktycznie w tym domu jest coś, czego John Voss boi się bardziej niż jakiegokolwiek broni?

Dobiegł już niemal do schodków ganku, gdy nagle ziemia usunęła mu się spod stóp i musiał zrobić gwałtowny wypad do przodu, żeby nie stracić równowagi. Przy następnym kroku potknął się o coś, co wyglądało na metalowy pręt, wystający z ziemi. Upadł boleśnie, o mały włos się nań nie nadziewając. Goleń piekła go strasznie, a przez rozdartą nogawkę spodni mógł wyczuć ciepłą krew.

Jego pierwsza myśl była taka, że wpakował się w słupek do gry w podkowy, ale potem zauważył, że na szczycie tego pręta przyczepiony jest łańcuch, taki, co to mogłoby się okazać, że na jego drugim końcu uwiązany jest duży pies podwórzowy. Albo że pies może być w domu. Do tego momentu Zackowi nawet przez myśl nie przeszło, że mógłby się natknąć na jakiegoś wściekłego kundla. Już miał dojść do wniosku, że w takim razie on ma to wszystko gdzieś i się zmywa, gdy nagle znowu zahaczył o coś butem, tym razem o coś drewnianego. Schylił się i - wbrew wszelkim zasadom prawdopodobieństwa - znalazł dokładnie to, czego mu było potrzeba na wypadek spotkania z groźnym psem: kij baseballowy.

Wszedł po schodkach na ganek najciszej, jak potrafił, a kiedy górny stopień skrzypnęła pod jego ciężarem, zastygł skulony, spodziewając się, że zaraz usłyszy szczekanie. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Czekał przez chwilę

przy drzwiach nasłuchując, ale w domu panowała absolutna cisza. Odczekał minutę, po czym odstawił kij w narożniku i wyjął z kieszeni komplet kluczy nanizanych na kółko, którymi ojciec zawsze się szczycił, że otworzą każdy zamek w hrabstwie Dexter. Trzeci klucz z rzędu zadziałał i drzwi otworzyły się, odsłaniając ciemne wnętrza.

Upłynęło kilka minut i w końcu Justinowi Dibble'owi znudziło się czekanie. Przyszło mu do głowy, że sugestia, jaką jego przyjaciel podsunął w żartach, wcale nie była taka zła, tak więc rozpiął rozporek i zabrał się do roboty. Zajął mu to dobrą chwilę, a raz musiał przerwać, bo jakiś samochód przyhamował, przejeżdżając obok camaro, zaparkowanego na poboczu, po czym odjechał w kierunku Fairhaven. Justin właśnie skończył, kiedy usłyszał jakiś odgłos i spostrzegł ciemną sylwetkę biegnącą przez trawnik; ledwie zdążył się doprowadzić do porządku, gdy Zack dopadł z powrotem kępy drzew. Justin trochę się bał, że przyjaciel domyśli się, co on tu wyczytniał, ale myśli Zacka były wyraźnie zajęte czym innym. Nawet w słabym świetle księżycy Justin mógł zobaczyć, że oczy mu błyszczą z podniecenia. Ale powiedział tylko tyle:

- Niesamowite, kurwa, po prostu super!

## 25

Tick dowiedziała się o pani Roderigue kilku interesujących rzeczy. Na przykład, że jej ulubionym malarzem jest Bill Taylor, który prowadzi program telewizyjny „Malarstwo dla odpoczynku” na lokalnym kanale. Specjalnością tego Taylora są stare łodzie wiosłowe i skaliste wybrzeże stanu Maine, przy czym większość jego obrazów przedstawia oba te motywy jednocześnie. Co zadziwiające, udaje mu się zawsze namalować obraz od początku do końca w trakcie trwającego godzinę programu, a kiedy znajduje się w plenerze, a nie maluje z fotografii albo pocztówki, w tej godzinie mieści się także czas przeznaczony na rozłożenie sztalugi. Bill Taylor woli pracować w akwareli, otwarcie przyznając, że oleje spowalniają pracę. Ma też zawsze pod ręką suszarkę do włosów, taką na baterie, żeby w razie potrzeby móc podsuszyć świeżo nałożoną farbę i zaoszczędzić cenne sekundy.

Prawdę mówiąc, Tick lubi go oglądać przy pracy w trakcie programu, nie może się też oprzeć uczuciu podziwu dla sposobu, w jaki malarz atakuje

plaszczynę obrazu - to wyrażenie samego Taylora. Tick zdaje sobie sprawę, że jest to jedna z tych rzeczy, których będzie się musiała nauczyć. Tam, gdzie jej pociągnięcia pędzlem są często ostrożne i zaleknione, pędzel Billa Taylora zachowuje się tak, jakby nigdy nie robił nic, co miałoby potem wzbudzać żal czy wątpliwości artysty. Tick wydaje się czasem, jakby jego ramię, nadgarstek, dłoń, palce i pędzel były wszystkie przedłużeniem jego oka, a może raczej jego woli. Gdy mimo wszystko popełnia błąd, śmieje się tylko i mówi: „Nic nie szkodzi. Poprawimy to później”, i rzeczywiście, zawsze to robi.

Tick wie, że jest wiele sekretów, które jeszcze musi poznać, z niecierpliwością czeka na taki dzień, kiedy ona także będzie miała w zanadru z tuzin dobrych trików, za pomocą których będzie mogła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki naprawić każdy błąd. Ale najbardziej chciałaby nabrać takiej „postawy”, jaką ma Bill Taylor. Z jej doświadczenia bowiem wcale nie wynika, że błędy naprawiają się same z upływem czasu, a już na pewno nie w godzinę. Bardzo często natomiast, przynajmniej tak jest w jej wypadku, człowiek ma wszelkie powody, żeby się nimi niepokoić, a najtrudniejsze do wymazania są te, które robi na swoim własnym wizerunku.

Na przykład, popełniła błąd, znowu zostając przyjaciółką Zacka, a była to pomyłka w ocenie, po części spowodowana jego zapewnieniami, że się zmienił, co rzeczywiście się stało - tyle że na gorsze. Zack zawsze miał w sobie taką jedną przerażającą cechę, sprawiał wrażenie, jakby pod powierzchnią tlił się w nim płomień, który w każdej chwili mógł wybuchnąć, a ostatnio to już cały czas jest taki wybuchowy, aż ma się odruch, żeby się przed nim cofnąć, chociaż Tick jest chyba jedyną osobą, która dostrzega tę zmianę. John Voss to kolejna pomyłka, chociaż zakolegowanie się z nim było pomysłem dyrektora, a nie jej. Pod pewnymi względami John jest dokładnym przeciwieństwem Zacka, u niego płomyk ledwie się tli z braku tlenu. Z początku wydawało się, że jego praca w Empire Grillu i codzienna dostawa drugiego śniadania przyniosły jakiś pozytywny efekt, ale od kilku dni stał się znowu strasznie podejrzliwy i jeszcze bardziej milczący niż przedtem. Przejawia tak nikle oznaki życia, że Tick niemal boi się spojrzeć na drugą stronę Stołu Niebieskiego, żeby nie stwierdzić, że on przestał w ogóle oddychać.

Między tymi dwoma i gadającą Candance, która jak zawsze doprowadzają do szału, Tick nawet nie chce myśleć, jak by wyglądało jej życie, gdyby Donny w końcu do niej nie napisał i nie podał jej swojego e-maila albo gdyby nie udało jej się przekonać Walta - wobec którego kiedyś wreszcie

będzie musiała być miłsza - żeby załatwił jej podłączenie do serwera. No, i za mniej niż tydzień zobaczy się - tak, zobaczy się! - z Donnym, a kiedy o tym myśli, coś ściska ją w gardle i ogarnia ją takie niesamowite uczucie szczęścia, że musi się ze wszystkich sił opanowywać, żeby tego nie pokazać po sobie w towarzystwie kolegów. Takie uczucie szczęścia to chyba miłość.

Tick podejrzewa, a bardzo by chciała się o tym przekonać na pewno, że pani Roderigue kocha się w Billym Taylorze. Tick poznała kiedyś męża pani Roderigue, który też ma na imię Bill i który wygląda jak kula do kręgli. Sukces ich małżeństwa, tłumaczy pani Roderigue każdemu, kto chce jej słuchać, leży w ich wspólnym oddaniu Bogu, ale Tick podejrzewa, że pani R. potajemnie oddaje się Billowi Taylorowi, który jest wysoki, szczupły i na swój sposób elegancki, z tą swoją wielką niesformą czupryną. Zdaniem Tick jest on podobny do jednego ze swoich pędzli, i Tick nieraz się zastanawia, czy pani Roderigue nie żałuje, że wylądowała w życiu z taką kulą do kręgli, kiedy tuż pod bokiem na wybrzeżu Maine był taki pędzel do malowania. Jeśli tak, to popełniła błąd, którego upływ czasu w żadnym razie nie naprawi.

Dla Tick życie miłosne pani Roderigue bynajmniej nie stanowi przyjemnego tematu do rozmyślań, tak jak niezbyt przyjemna wydaje jej się możliwość, że w życiu pewnych nieszczęśników w ogóle nie ma miejsca na coś takiego, jak miłość. Chciałaby wierzyć, że każdy ma prawo do szczęścia, nawet jeśli byłoby to bardzo trudne. Z całą pewnością pani Roderigue mówi o Billu Taylorze w taki sposób, jakby była w nim zakochana. Mówi, że każdego roku czeka, iż wśród swoich młodych adeptów odkryje załazek przyszłego Billy'ego Taylora, i tak, rzeczywiście czasem nawet dostrzega w kimś pewien potencjał, ale potem nie wiecie czemu okazuje się, że żaden z jej uczniów nie dorasta do ideału. I ostatecznie może się okazać, dodaje rozmarzona, iż jego styl jest niepowtarzalny.

W zeszłym tygodniu pani Roderigue, w ramach zadania poświęconego Billowi Taylorowi, poleciła obejrzeć „Malowanie dla odpoczynku”, aby następnie na poniedziałkowych zajęciach przeprowadzić dyskusję na temat techniki tego wielkiego człowieka. Nauczycielka była głęboko rozczarowana, ponieważ program obejrzała tylko Tick, która zapomniała, że jest to praca domowa, a obejrzała wyłącznie dlatego, że zawsze to robi. Program Billa Taylora, pomijając jego tytuł, zawiera o wiele więcej autentycznego napięcia niż cała reszta tego, co pokazuje telewizja. Czasami - powiedzmy, na dzieśnięć minut przed końcem - wydaje się, że po prostu nie jest możliwe, żeby

udało mu się skończyć dany obraz, i za każdym razem okazuje się, że popełniliśmy błąd, zakładając się o przegraną człowieka, który z takim zapalem dzierży pędzel w dłoni. Nieraz kończy dosłownie w ostatniej sekundzie, nie ma nawet czasu, żeby się należycie pożegnać z widzami, ale jakimś cudem zawsze kończy swoje dzieło. Tick nie jest pewna, co ma myśleć na ten temat. Fakt, że tydzień po tygodniu udaje mu się zdążyć, dodatkowo podnosi stan napięcia, ale Tick łapie się na tym, że za każdym razem czeka, iż wydarzy się coś takiego, co mu w tym przeszkodzi, choćby jakiś poryw wiatru, który przewróci sztalugi i rozrzuci pędzle; ale zaraz ogarniają poczucie winy, że życzy temu biedakowi porażki, bo to jest trochę tak, jakby pójść na wyścigi samochodowe w nadziei, że będziemy świadkami wypadku. Tick byłaby bardzo ciekawa, co John Voss myśli o Billu Taylorze, ale wątpi, czy w domu jego babci jest telewizor.

- A więc, Tick - zwraca się do niej pani Roderigue, wyraźnie zawiedziona, że musi prowadzić tę tak ważną konwersację z najmniej lubianą uczennicą - jakbyś określiła styl pana Taylora?

Naturalnie Tick zna prawidłową odpowiedź. Słowo, o jakim zapewne myślała pani Roderigue, należało do określeń, jakie można by wydrukować na odwrocie tych pocztówek z pejzażami, które kopiował Bill Taylor. Słowo w rodzaju: „Wysublimowany”. Dlaczego jej tego nie dać?

Zamiast tego jednak Tick mówi:

- Szybki.

Najbardziej niepokojącą rzeczą, jakiej Tick dowiedziała się o pani Roderigue, jest to, że poprzez swoje małżeństwo została skoligacona z rodziną Mintych, co zresztą może być powodem, czemu Zack ma zawsze przepustkę do tego skrzydła szkoły, gdzie znajdują się pracownie, i to przepustkę, opatrzoną jej podpisem. Pozwala mu to w każdej chwili wyjść ze swojej klasy i parę razy w tygodniu dołączyć do niej i do Johna w kafeterii. Odkąd Tick dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie chce być jego dziewczyną, Zack jeszcze bardziej zaczął się znęcać nad tym drugim, do tego stopnia, że Tick zastanawia się, czy nie powinna powiedzieć o wszystkim panu Meyerowi. Bo nawet z ważną przepustką w kieszeni Zack nie miał żadnego interesu, żeby przebywać z nimi w kafeterii czy korzystać z klucza, kiedy zachciało mu się do nich wejść, a ona jest absolutnie przekonana, że jakby dyrektor się o tym dowiedział, to Zack wpakowałby się w niezłe kłopoty, może nawet zostałby zawieszony w drużynie futbolowej. Rozważała również, czy nie

powinna powiedzieć o wszystkim ojcu, ale trochę się boi jego reakcji, zwłaszcza na to, jak strasznie tata nie cierpi ojca Zacka.

Wie jednak, że powinna coś w tej sprawie zrobić, dla dobra Johna Vossa. Ale z drugiej strony, nieraz wydaje jej się, że ten chłopak jakoś dziwnie syci się tym obelżywym traktowaniem, a skoro on sam nic nie robi w swojej obronie, to niby czemu ona by miała? Tak więc, jak dotąd, stawia na politykę ustępstw, czując, że wprawdzie jej wpływ na Zacka znacznie się zmniejszył, wciąż jednak jakiś jeszcze ma, poza tym boi się, że gdyby mu powiedziała, że nie chce się z nim więcej przyjaźnić, on byłby zdolny do zrobienia czegoś jeszcze gorszego.

Tick ma pełną świadomość zagrożeń, nieodłącznie związanych z tego rodzaju polityką; akurat na historii Europy uczą się o II wojnie światowej i wychodzi z tego jasno, że wszyscy są zgodni, iż należało stawić opór Hitlerowi znacznie wcześniej. Nie chodzi o to, że Tick się z tym nie zgadza, nie do końca, ale dziwi ją, dlaczego jej koledzy zdają się nie dostrzegać ceny, jaką się płaci za otwartą wrogość. W zeszłym tygodniu pokazywano im film, który zaczynał się od kadrów z Dnia „D”, pierwszego dnia alianckiej inwazji na Normandię, ale zanim jeszcze wielkie wrota amfibii transportujących oddziały żołnierzy opuściły się na wodę i pierwszy amerykański żołnierz, chłopak niewiele starszy od Tick, dostał strzał prosto w głowę, Tick już poczuła narastające drętwienie w lewym ramieniu i musiała oprzeć czoło o chłodny blat ławki, żeby nie zemdleć. A po dziesięciu minutach od rozpoczęcia filmu pan Meyer musiał ją wyprowadzić z klasy.

Tak więc, jak na razie, nadal polityka ustępstw. Ale jeśli popełnia błąd? Na dnie plecaka ciągle leży skradziony nóż do papieru, którego jeszcze nie odłożyła z powrotem do szafki z przyborami, chociaż miała po temu niezliczoną ilość okazji. Czasami, kiedy Zack dokucza Johnowi Vossowi w kafece albo, tak jak dzisiaj, zagląda do pracowni plastycznej pod jakimś błahym pretekstem, na przykład, żeby powiedzieć, że Justin Dibble może dołączyć do grupy sportowej, jeśli chce, Tick wyobraża sobie, jak wyciąga ten nóż i tnie z rozmachem przez to głupie szerokie czoło.

- Jak tam, John - pyta teraz jej były chłopak. - Jak się czuje twoja babcia? Daje sobie radę?

John udaje, że nie słyszy tego pytania, nie podnosi nawet oczu znad swojego obrazka. Klasa pracuje teraz w akwareli, ulubionej technice Billa Taylora. Pani Roderigue, wyraźnie znużona tematami wybieranymi przez uczniów, przyniosła wazon z kwiatami, który umieściła na środku sali, i z

tego powodu czasowo zmieniła ustawienie stołów, oznaczonych jej systemem kolorów. Stoją teraz, tworząc dużą literę U, tak żeby każdy miał dobry widok na kompozycję kwiatową. W tym nowym porządku, jako że wszystkie stoły są identyczne, nie można rozróżnić stołu Niebieskiego od Czerwonego, dopóki ktoś przy nich nie usiądzie, tym samym nadając znak identyfikacyjny stołu na dany dzień. Przez cały tydzień Tick i John Voss przychodzili do pracowni wcześniej, za każdym razem ustanawiając inny stół jako Niebieski; dzisiaj wybrali ten, który znajduje się najbliżej biurka pani Roderigue. Właściwie był to pomysł Tick. Była ciekawa, jak długo ta kobieta wytrzyma, nie zwracając uwagi na Niebieski. Jak dotąd - a do końca zajęć pozostało jeszcze tylko dziesięć minut - pani Roderigue nawet nie spojrzała w ich stronę, jeśli nie liczyć jednego momentu, kiedy parę minut temu Zack wszedł do sali i usiadł obok Candance.

No, ale Zack zdecydowanie nie należy do ich grupy, a Tick bardzo odpowiada, że nauczycielka ją ignoruje. Sprawia jej trudność malowanie, kiedy ktoś stoi nad nią i przygląda jej się przez ramię, poza tym czułaby się oczywiście w obowiązku puścić mimo uszu wszelkie artystyczne porady pani Roderigue. Odkąd określiła styl Billa Taylora jako „szybki”, wyczuwa, że opinia nauczycielki co do jej osoby jeszcze się pogorszyła.

- Co to za przemądrzała odpowiedź? - oburzyła się wtedy.

Tick zapewniła ją, że nie ma mowy o żadnym wymądrzaniu, ale nauczycielka mimo to wyglądała na obrażoną w imieniu swojego idola.

Teraz Tick jest bardzo ciekawa, czy nie zostanie oskarżona o namalowanie przemądrzałego obrazka. W samym środku bukietu znajduje się ogromniasta piwonia, która pewnie została kupiona z przeceny w supermarkecie. We wtorek jej postrzępione płatki zaczęły opadać i gromadzić się u podstawy wazonu, napełniając salę słabym, ale wyraźnie słodkawym zapachem rozkładu i nadciągającej śmierci. Tick zdaje sobie sprawę, że pani Roderigue chciałaby, żeby uczniowie namalowali piwonię w takim stanie, w jakim była w poniedziałek, jeszcze świeża i piękna, przynajmniej w jej pojęciu piękna. Zdaniem Tick w tej piwonii od samego początku było coś z ekstrawaganckiej przesady i nieumiarkowania, tak jakby Bóg chciał pokazać na przykładzie tego kwiatu, że nawet dobrych rzeczy może być za dużo. Tempo, w jakim zwiędłe płatki zaczynały śmierzdieć, stanowił dodatkowy dowód na potwierdzenie tej tezy, na wypadek, gdyby ktoś jej nie zrozumiał. Zasadniczo Tick skłania się ku przekonaniu, że Boga nie ma, ale czasem

odczuwa pewne rozterki, zwłaszcza w takim wypadku jak ten, gdy kolejne pokłady znaczenia odsłaniają się tak wyraźnie, że niemal można w nich wyczuć boską komunikację. Co prawda, zdaje sobie sprawę, że jest całkiem możliwe, iż to po prostu Tick komunikuje się z Tick, ale szczerze pragnie zachować otwartość umysłu, głównie z szacunku dla ojca, który wierzy w Boga i bardzo by chciał, żeby i ona także wierzyła.

Jej niepokój w związku z malowaną akwarelą dotyczy decyzji, aby oddać nie tyle piękno piwonii, ile raczej jej pełen stęchlizny rozkład. Kolejna „przemądrzała” rzecz to wprowadzenie do tła sylwetek jej kolegów, siedzących twarzą do niej, uchwyconych w chwili malowania kompozycji kwiatowej. Jakkolwiek nie zostało to wyraźnie zabronione, Tick jest prawie pewna, że pani Roderigue nie życzyła sobie, żeby ktoś malował cokolwiek poza samymi kwiatami. Nie będzie też zadowolona, jak zobaczy, że Tick namałowała jeden stół zielony, a drugi jaskrawoczerwony. Albo że masywna postać widniejąca z tyłu za nimi to nauczycielka we własnej osobie.

- Niezły z ciebie szczęściarz, koleś - mówi właśnie Zack. - Mam na myśli, że dobrze jest mieć taką babcię, która się może tobą opiekować.

Tick odwraca bezwiednie głowę i patrzy na niego, chociaż nie robi tego dłużej niż sekundę. Oczywiście, jak się ma do czynienia z kimś takim, jak John Voss, trudno nie stwierdzić tego, co nasuwa się w sposób oczywisty - że gdyby nie był on wyjątkowym pechowcem, to zajmowałiby się nim jego rodzice. Ale fakt faktem, od kilku dni, z powodów dla Tick całkiem niezrozumiałych, Zack dosłownie nie przepuszcza żadnej okazji, żeby w rozmowie nie wspomnieć o babce chłopaka. A to, że musi być wspaniałą kobietą. To znów, jak bardzo chciałby ją kiedyś poznać. I czy nie uważają, że byłaby doskonałym tematem dla programu „Bohaterowie są wśród nas”, magazynu, który nadawano raz w miesiącu na antenie lokalnej TV? Na początku tego tygodnia, gdy Zack wspomniał o tym w kafeterii, John Voss spojrzął na niego znad kanapki, przyniesionej mu przez Tick, a wyraz jego jasnych wilgotnych oczu zaniepokoił ją, a nawet przstraszył, chociaż nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Teraz wydaje się, jakby oddalił się jeszcze bardziej i ukrył w miejscu jeszcze trudniej dostępnym.

- Hej - mówi Zack, trącając Candance, gotowy do zmiany celu swoich ataków. - Właśnie wymyśliłem doskonale imię dla nowego chłopaka Tick.

Jak dotąd Tick nie zdradziła żadnych szczegółów dotyczących Don'ego oprócz tego, że jest pewien chłopak, którego lubi, a który mieszka w



Indianie. Nikt nie zna nawet jego imienia, i pewnie dlatego, w odwecie za jej skrytość, Zack wymyślił tę nową zabawę.

- Hickman - mówi teraz, parszkając śmiechem na tyle głośno, żeby wszyscy przy stole Czerwonym usłyszeli. - Łapiesz? Chłopaczek jest podobno z jakiejś zakichanej Indiany!

Od kilku dni Zack otwarcie flirtuje z Candance, chcąc wzbudzić zazdrość Tick. Dziwne, kiedy w zeszłym roku Zack robił to z innymi dziewczynami, po prostu nie potrafiła zapanować nad własnymi uczuciami, czuła się zraniona i zdradzona, a nawet wściekła. Ale ostatnio doszła do wniosku, że olanie tej sprawy jest jak włączenie opcji rozmrażania w ogrzewaniu samochodowym, co w cudowny sposób osusza przednią szybę, pozwalając ci zobaczyć, dokąd zmierzasz. Teraz przyszła kolej na Candance, widać, że biednej dziewczynie przednia szyba całkiem zaparowała. Zerwała z Bobbym, chłopakiem, który był, a może nie był w więzieniu, i nawet twierdzi, że to z powodu Zacka. Zgodnie z tym, co mówi Candance, Bobby jest aktualnie na wolności i podobno rozgłasza, że zamierza zjawić się w Empire Falls, żeby odszukać tego dupka Minty'ego, który ukradł mu dziewczynę, i skopać mu tyłek. Widać po niej, że sama nie bardzo dowierza własnemu szczęściu, że ktoś taki jak Zack Minty może się nią interesować - co by wskazywało, że nie jest aż taka całkiem głupia, myśli Tick, no bo on rzeczywiście nie jest nią zainteresowany. Zamierza flirtować z Candance, dopóki się nie przekona, że Tick naprawdę na nim nie zależy, a wtedy powie wszystkim, że to był tylko żart. Tick powoli zaczyna rozumieć, że w pewien sposób ona również nigdy nie obchodziła Zacka, choć podejrzewa, że jednak inaczej niż nie obchodzi go Candance. Podczas gdy jakaś jej częśćka bardzo by chciała zrozumieć to lepiej, inna jest zadowolona, że nie rozumie.

- O mój Boże, o mój Boże... Mam, mam! - piszczy Candance. Cokolwiek to jest, jest po prostu niesamowite. Candance nie może wprost wytrzymać. - Słuchaj, czy mogę to powiedzieć? - zwraca się do Tick. Chce z góry otrzymać rozgrzeszenie za swoją nielojalność. Przez cały dzień zamęczała Tick pytaniami, czy będzie okay, jak ona i Zack zaczną się pokazywać razem. Teraz chce się upewnić, że będzie okay, jeśli weźmie udział w nowej grze Zacka, zatytułowanej „A teraz pośmiejemy się z nowego chłopaka Tick”.

- Śmiało, baw się dobrze - mówi do niej Tick, nie chcąc pozbawiać Candance tej przyjemności. Gdyby Candance nie miała tak zaparowanej przedniej szyby, zauważyłaby złamane serce, które pędzi prosto na nią, na długich światłach.

Za parę minut zadzwoni dzwonek i Tick bardzo chciałaby wiedzieć tylko jedno, czy może uznać swoją akwarelę za skończoną. To jedna z wielu rzeczy, co do których Bill Taylor jest zawsze absolutnie pewien. Chciałaby również wiedzieć, czy pani Roderigue rozpozna siebie w niewyraźnej sylwetce mającej za stołem Czerwonym.

- Goober - mówi Candance, zanosząc się głośnym śmiechem. - Goober Hickman.

Zack Minty odwraca się i patrzy na nią bez wyrazu.

- To naprawdę śmieszne. O mało nie umarłem ze śmiechu - mówi, a dziewczynie śmiech zamiera w gardle.

- Tak samo śmieszne, jak to, co ty przed chwilą powiedziałaś - odzywa się nagle Justin Dibble, czym sprawia, że Tick odwraca się i patrzy na niego. Przez ułamek sekundy ich oczy spotykają się, zanim on odwróci wzrok. Od dawna podejrzewała, że Justin lubi Candance, że dokuczając jej, w gruncie rzeczy odgrywa rytuał podrywania. Odkąd na początku tygodnia Zack zaczął podrywać Candance, wyraz twarzy Justina świadczy o tym, że czuje się skrzywdzony i zdradzony, chociaż jak dotąd otwarcie nie wyłamał się z szeregu. Tick jest ciekawa, ile to go będzie kosztowało.

Możliwe, że Zack zastanawia się nad tym samym, ponieważ nie zwraca uwagi na odzywkę przyjaciela poza tym, że bierze go na świadka, gdy ponownie przystępuje do ataku na milczącego Johna Vossa.

- Teraz niech Voss zgadnie - proponuje. - Hej, John, mówimy właśnie o nowym chłopaku Tick. Które imię jest śmieszniejsze? Hickman czy Goober?

John Voss podnosi wzrok, żeby spojrzeć na Tick, a wtedy przychodzi jej na myśl, że może on pierwszy raz usłyszał o Donnym. Chłopak prędko spuszcza wzrok, ale przedtem Tick posyła mu spojrzenie, które ma mówić, przynajmniej ma nadzieję, że mówi, że nic nie zaszkodzi, jeśli on zechce odpowiedzieć.

- Okay, to zadam inne pytanie - mówi Zack, kiedy chłopak nie odpowiada. - Jak myślisz, które imię byłoby zabawniejsze zdaniem twojej babci?

Wtedy rozlega się dzwonek. Minty odsuwa krzesło i wstaje. Zatrzymuje się na moment nad Johnem Vossem, który chyba nawet nie usłyszał dzwonka. Również Candance prędko wstaje - dziewczyna wodzona na pasku - i po chwili oboje idą w stronę drzwi, a Justin obserwuje ich spod zmrużonych powiek.

- Zapytaj ją od nas, okay, John? - woła Zack przez ramię.

Akwarela jest skończona, rozstrzyga Tick. Z tego samego powodu, dla którego obrazy Billa Taylora są zawsze skończone: ponieważ godzina dobiegła końca.

## 26

Rozpoznał jej głos natychmiast, chociaż minęły prawie cztery lata, od czasu gdy - podczas ceremonii zakończenia szkoły średniej - słyszał go po raz ostatni.

- Witaj, drogi chłopcze - powiedziała, i to „witaj” już wystarczyło, „drogi chłopcze” było zaledwie potwierdzeniem i wzmocnieniem jego wewnętrznej, płynącej z głębi trzewi, reakcji. Czy coś takiego odczuwają przestępcy z Programu Ochrony Świadców Koronnych, gdy na ulicy rozpozna ich dawny współnik? - Od wielu dni usiłuję się z tobą skontaktować. Obawiam się, że powinieneś czym prędzej wrócić do domu.

Tyle tylko było trzeba, aby w jego życiu wszystko diametralnie się zmieniło. Ile czasu potrzebował, żeby tę sprawę załatwić? Piętnaście minut? Czy on także coś mówił, czy tylko słuchał? Później niewiele potrafił odtworzyć z tej rozmowy. Ale nie sprzeciwiał się, tego jednego był pewien. W końcu jego nie obejmował Program Ochrony Świadców. On był Milesem Roby, a jego matka umierała.

Pani Whiting nie mogła się z nim skontaktować z tego powodu, że jego kolega z pokoju, Peter, ze swoją dziewczyną, Dawn, namówili go, żeby się z nimi wybrał na Martha's Vineyard na długi weekend, przy okazji Dnia Kolumba, który wypadł w drugi poniedziałek października. W południowym Maine było babie lato, a w Massachusetts miało być jeszcze cieplej. A poza tym, czy to nie Miles im zawsze opowiadał, jaka śliczna jest ta wyspa? (A on opowiedział im o wyspie tylko dlatego, żeby wiedzieli, że nie wypadł sroce spod ogona i też gdzieś bywał poza Empire Falls). Oprócz tego, że nie bardzo mógł sobie na to pozwolić finansowo, nie było innego powodu, dla którego nie miały z nimi pojechać. W domu już się wytłumaczył, mówiąc matce, że nie przyjedzie na długi weekend, bo oprócz normalnych studiów ma jeszcze obowiązki redaktorskie w szkolnym magazynie literackim i jest zawalony robotą. Teraz dopiero przyszło mu na myśl, że kiedy przed tygodniem rozmawiał o tym z matką przez telefon, w jej głosie wyczuł niemal ulgę.

Nabrał niezłej wprawy w wymigiwaniu się od powrotów do Empire Falls i począwszy od drugiego roku studiów, rzeczywiście spędzał tam niewiele

czasu. Rodzice Petera mieli restaurację rybną na wybrzeżu Rhode Island i przez ostatnie dwa lata Miles pracował u nich w czasie letnich wakacji - za pierwszym razem w kuchni, a za drugim na sali jako kelner. Nie była to elegancka restauracja. W menu mieli głównie małże i krewetki, które serwowali w metalowych koszykach przyjezdnym turystom, ale zarobek był dobry, a Miles nie musiał na siebie dużo wydawać. Pozwolili mu mieszkać za darmo w wolnym pokoju, który kiedyś należał do starszego brata Petera, tak więc niemal wszystko, co zarobił, mógł zaoszczędzić na czesne. Rodzice Petera go lubili, i on także lubił ich, a zwłaszcza szczere uczucie, jakim wyraźnie się darzyli, i to, jak sobie nawzajem pomagali we wszystkich zajęciach w restauracji, odcinając się, gdzie tylko było to możliwe, i nieustannie porozumiewając się wzrokiem z jednego końca sali do drugiego.

Jego doświadczenie wyniesione z Empire Grilla okazało się niezwykle przydatne i z czasem stał się niezastąpiony, w przeciwieństwie do Petera, który robił wszystko, żeby uzmysłwić rodzicom, że jeśli o niego chodzi, to jest całkowicie do zastąpienia. Ciągłe brał sobie wolne dni, które spędzał, wylegając się na plaży albo odwiedzając trzy różne panny, z którymi kręcił jednocześnie, a jedną z nich była Dawn. Gdyby rodzice Petera nie zmuszali Milesa, żeby od czasu do czasu on także wziął sobie wolne, zwykle w poniedziałek, kiedy był mniejszy ruch, albo we wtorek wieczorem, pracowałby przez cały sezon nieprzerwanie, od maja do września. A kiedy proponowali mu parę dni wolnego, żeby mógł pojechać do domu, bez mrugnienia okiem przyjmowali jego wymówki, mimo że nie wyglądali na przekonanych. Miles domyślał się, że Peter pewnie im powiedział, że jego rodzice są biedni, a pieniądze, które u nich zarabia, są niczym dar z nieba.

Prawda była taka, że z biegiem czasu Miles drętwiał na samą myśl nawet o tych rzadkich i krótkich odwiedzinach w Empire Falls, których nie dało się uniknąć. Już po pierwszych kilku tygodniach spędzonych w college'u doszedł do wniosku, że to jest świat, do którego należy, świat ludzi kochających książki, sztukę i muzykę - zamiłowania trudne do wytłumaczenia facetom przesiadującym po całych dniach przy barze w Empire Grillu i rozprawiającym o wynikach „Bruinsów” i „Soxów”. A jeszcze trudniejsze do zaakceptowania - czy on sam kiedykolwiek to zrozumiał? - było owo rosnące poczucie wyobcowania we własnym domu. Możliwość bliskiego poznania rodziców kolegi, obserwowanie ich szczerzej miłości i przywiązania, wszystko to sprawiło, że po raz pierwszy uświadomił sobie z całą wyrazistością, że małżeństwo jego własnych rodziców, dalekie od uświęconego związku, było swego rodzaju smutną farsą, i świadomość ta obudziła w nim gniew, zwłaszcza na matkę. Byłby może zły również na ojca, tyle że nie miało to

większego sensu, po pierwsze dlatego, że Max nic by nie zauważył, a nawet gdyby, to i tak by się nie przejął.

Jednakże uczucia Grace można było zranić i Miles ranił je, na różne sposoby dając jej niedwuznacznie do zrozumienia, że jest głupia, skoro nie zostawiła takiego człowieka jak Max. Ktoś tak głupi jak ona, pewnie zasługiwał na swój los. Porzucenie męża nie mogło być chyba gorsze niż pozostanie z nim? Był nawet gotów powiedzieć matce, że już lepiej by zrobiła, gdyby uciekła z tym człowiekiem, Charliem Mayne, którego poznali, kiedy on był chłopcem. Przynajmniej oni dwoje byliby szczęśliwi, a tak nieszczęśliwi byli wszyscy. Wszyscy, nie licząc Maxa, oczywiście, bo ten zawsze był tylko Maxem, w każdej sytuacji.

Problem polegał na tym, że Grace nigdy nie sprawiła mu tej satysfakcji i nie wspomniała ani jednym słowem, że poświęciła własne szczęście dla szczęścia swoich synów - wyznanie, które on na pewno by uczynił, gdyby był na jej miejscu. Co jeszcze dziwniejsze, na jego: „Dlaczego nie zostawiłaś Maxa”, Grace tylko się uśmiechnęła.

- Ciekawa jestem, co przez to rozumiesz, Miles? - odpowiedziała pytaniem na pytanie, a on, naturalnie, od razu pojął, o co jej chodziło. Bo niby jak miałyby to zrobić? W jaki sposób mogłaby odejść od człowieka, który tak rzadko bywał w domu. I po co? - Chodzi ci o to, że się z nim nie rozwiodłam?

No cóż, tak, jemu właśnie o to chodziło, ale jego wzruszenie ramion zamiast odpowiedzi miało znaczyć i to, i o wiele więcej. Na co ona spojrzała na niego i patrzyła tak długo i cierpliwie, aż w końcu pojął prawdę, a wtedy odpowiedziała za niego:

- Czy widziałeś kiedyś męża i żonę, którzy byliby „dalej od siebie” niż twój ojciec i ja?

Przypuszczalnie chciała, żeby zrozumiał jeszcze jedno: że ona uczyniła dokładnie to, co Miles jej zarzucał, że nie zrobiła. Nie tylko wyrwała się z tego życia, które według niego było jej więzieniem, ale posunęła się jeszcze dalej, znajdując sobie całkiem inną, nową rodzinę, a może on tego nie zauważył? Teraz dopiero zdał sobie sprawę, że to właśnie ta druga rodzina była prawdziwym źródłem jego zagubienia i niepokoju. Kiedy przyjeżdżał z St. Luke's - z coraz większą niechęcią - na ferie i wakacje, odczuwał nieobecność matki, nawet wtedy, kiedy nie wychodziła z domu. Było to trochę tak, jakby oboje wyjechali do college'u, a nie tylko on. I tak jak jego prawdziwe życie było teraz w St. Luke's, tak jej prawdziwe życie toczyło się za rzeką, z panią Whiting i jej córką. Jeszcze będąc w szkole średniej, Miles widział dobrze, do czego to wszystko zmierza, ale udawał, że nic nie zauważa, tym bardziej że na powierzchni wszystko wyglądało mniej więcej tak jak

zawsze. A ojca, odkąd Miles pamiętał, i tak nigdy nie było w domu, bo albo właśnie znowu wyjechał, albo był w drodze do pobliskiego pubu.

Jedyna różnica polegała na tym, że teraz już Grace nie zależało. Nie dostrzegała również kłopotów, jakie stwarzała jej nieobecność. David zmieniał się z chorowitego słodkiego chłopczyka w zdrowego, gniewnego i trudnego wyrostka, ale chociaż zmiany te niepokoiły i smuciły Grace, nie robiła nic, aby w jakiś sposób im przeciwdziałać. Z każdym pobytem w Empire Falls dla Milesa stawało się coraz bardziej oczywiste, że jego brat jest w gruncie rzeczy porzuconym dzieckiem, które po prostu wypracowuje sobie własne strategie przetrwania, a jedną z nich jest, zmałpowana od ojca, beztroska obojętność i samodzielność. Milesowi wystarczył rzut oka na Davida, by wiedzieć, że jest jednym z tych uczniów, którzy każdej jesieni stanowili argument przetargowy w negocjacjach, jakie toczyły się w pokoju nauczycielskim. Nauczyciel, któremu przypadał w udziale David Roby, w ramach rekompensaty chciał mieć dwóch lub trzech dobrych uczniów, według własnego wyboru.

- On tylko próbuje zwrócić na siebie uwagę - tłumaczyła Grace dyrektorowi szkoły, gdy David pakował się w jedne tarapaty, potem w inne, gorsze, a potem w jeszcze większe i jeszcze gorsze. To samo mówiła Milesowi, kiedy tłumaczyła mu przez telefon, co jego brat przeskrobał tym razem. Była naprawdę zagubiona i zrozpaczona z jego powodu, ale tak jakoś dziwnie, jak ktoś, kto martwi się o siostrzeńca czy siostrzenicę, do których zawsze był przywiązany, ale którzy są jednak tylko dziećmi siostry, i to na nią spadała cała odpowiedzialność.

Wszystko wskazywało na to, że Grace nie zdawała sobie również sprawy z tego, co działo się z nią samą. Z każdym miesiącem chudła coraz bardziej, aż w końcu zaczęła wyglądać jak cień. A kiedy w końcu zapytał ją, czy dobrze się czuje, odpowiedziała, że to nic, po prostu wcześniej przechodzi zmianę. Niektóre kobiety tak mają. Grace nie wyglądała na zmartwioną tym, zdawało się, że jest wręcz wdzięczna losowi. Czy to możliwe, że minęło zaledwie dwanaście lat, odkąd ta sama kobieta była tak promienna i pełna powabu, że kiedy na Martha's Vineyard szła w swojej białej sukience, odwracały się za nią głowy wszystkich mężczyzn? To, że sama Grace zdawała się nie pamiętać tamtej pięknej kobiety, było wystarczającym powodem, by serce pękało mu z bólu. Wystarczającym powodem, by szukać wymówek i nie wracać do domu. Wystarczającym powodem, żeby wejść do Programu Ochrony Świadców Koronnych, gdyby tylko nadarzyła się po temu okazja. Nie przyszło mu wtedy do głowy, że z tej przyczyny, tylko z tej przyczyny, podjął studia na uniwersytecie.

- Ona będzie na mnie strasznie zła - uprzedził panią Whiting, kiedy już wszystko zostało postanowione. Zaraz z rana miał pójść do dziekana do spraw studenckich, wyjaśnić całą sytuację i załatwić sobie urlop dziekański. Pani Whiting obiecała wysłać po niego samochód, tak żeby już po południu mógł się znaleźć przy łóżku matki. Grace miała tymczasem pozostać w domu, a do szpitala jeździć tylko na chemio- i radioterapię (czy to możliwe, że kurację zaczęła przed sześcioma tygodniami, a jemu nie wspomniała o tym ani słowem?), ale potem miała zostać przewieziona do parterowego domu pani Whiting, gdzie będzie łatwiej jej doglądać. Grace, odkąd straciła pracę w fabryce koszul, nie posiadała ubezpieczenia zdrowotnego, podobnie jak żaden z członków rodziny Robych, ale pani Whiting powiedziała mu, żeby się nie martwić o rachunki ze szpitala. Tak się złożyło, że stary Roger Sperry był również chory i potrzebował pomocnika w Empire Grillu. Gdyby Miles zechciał stopniowo przejść i poprowadzić restaurację przez jakiś rok, a przynajmniej dopóki nie znajdą i nie wyszkolą nowego kierownika, pani Whiting dopilnowałaby, żeby Grace miała wszystko, czego jej trzeba. Potem, naturalnie, będzie mógł powrócić do szkoły i dokończyć studia. - Zniechęca nas oboje, pani Whiting. Zdaje sobie pani z tego sprawę?

- Zawsze martwiłeś się o bardzo dziwne rzeczy, drogi chłopcze - zauważyła nostalgicznie stara dama. Miles nie miał pojęcia, co chciała przez to powiedzieć, ale bał się zapytać. - Bez wątpienia, twoja matka będzie zła, przynajmniej na początku, ale ona nie potrafiłaby cię nienawidzić. A czy nienawidzi mnie, to już nie należy do tematu, nie sądzisz?

- A co z...?

- Moją córką? - domyśliła się pani Whiting. - Naturalnie będzie chciała tu zostać. Wiesz, jak bardzo jest przywiązana do twojej matki. Przypuszczam, że o wiele bardziej niż do swojej własnej. A kiedy się dowie, że i ty tu będziesz... Chociaż sądzę, że można by załatwić, żeby pozostała w Augustacie, jak długo się da, jeśli tak byś wolał.

- Pani Whiting? - zapytał Miles. - Dlaczego miałbym tak woleć?

Ale zamiast odpowiedzi, tylko milczenie, oznaczające, że nie powinien zadawać pytań, na które nie chciał, żeby mu odpowiadano.

- Słyszałem, że czuje się lepiej? - zaryzykował.

Zeszłego lata do restauracji w Rhode Island, gdzie pracował, przyszedł list na jego nazwisko, zaadresowany starannym drobnym pismem matki. Wewnątrz pojedynczego arkusika seledynowego papieru listowego, na którym Grace napisała: „Cindy nie czuje się dobrze. Kartka od ciebie wiele by dla niej znaczyła”, znajdował się równo złożony wycinek z „Empire Gazette”. W nekrologu C. B. Whitinga napisano, że pan Whiting, który ostatnio

powrócił z Meksyku, zmarł w domu, w wyniku rany postrzałowej, jaką sobie przypadkowo zadał w trakcie czyszczenia broni.

Miles nie dowiedział się prawdy przez następne dwa miesiące. Dopiero w pierwszy poniedziałek września wpadł na jeden dzień do domu - rejestracja studentów w college'u zaczynała się we wtorek - i wtedy wspomniął o wypadku pana Whitinga w obecności ojca.

- Jaki wypadek? - zachnął się Max, a potem zaśmiał się krótko. - Jak człowiek przykłada naładowaną broń do skroni, a potem pociąga za cyngiel, to dziura, którą robi kula, nie jest żadnym wypadkiem.

Słowa ojca sprawiły, że Miles zaczął sobie wszystko przypominać od początku. Jakąś komórką mózgu zarejestrował, że zarówno w tym nekrologu jak i w liście matki było coś dziwnego. Zupełnie do niej nie pasowało, żeby miała mu tylko tyle do powiedzenia o tak wielkiej tragedii, zwłaszcza takiej, która w bezpośredni sposób dotknęła jej drugą rodzinę. A gdyby wtedy dobrze się zastanowił, może zauważyłby jeszcze jedną dziwną rzecz. Notatka pośmiertna była długa, jak przystało na informację o tak ważnym człowieku, szczegóły wydarzenia zapełniały dwie kolumny. U góry drugiej kolumny widniało nazwisko „C. B. Whiting” wytłuszczoną czcionką, co wyglądało jak podpis pod fotografią. Milesowi nie przyszło do głowy ani wtedy, gdy otworzył list od matki, ani potem, gdy ojciec wyjawiał mu, że ten „wypadek” był faktycznie samobójstwem, żeby zastanawiać się, dlaczego Grace wycięła fotografię. W końcu Miles nigdy nie spotkał tego człowieka, nie odróżniłby go więc od całej bandy innych dupków, by posłużyć się ulubionym powiedzonkiem Maxa.

- A na jakiej podstawie sądzisz, że ona czuje się lepiej? - spytała sucho pani Whiting.

- Matka mi pisała...

- Ach tak, oczywiście. Ale należy zauważyć, że twoja matka jest równie przywiązana do mojej córki, jak Cindy do niej. Gdyby jej dobre życzenia się spełniały, ludzie z całego świata zjeżdżaliby do naszej Grace, zamiast do Lourdes.

Miles uśmiechnął się ponuro. Ta kobieta wciąż potrafiła go zbić z tropu. Przez trzy i pół roku pobytu w St. Luke's nie spotkał nikogo, kto choćby w słabym stopniu był podobny do niej.

- Pani Whiting - powiedział - jestem pani winien przeprosiny.

- A za cóż to, drogi chłopcze?

- Przez ostatnie dwa lata rzadko bywałem w domu. A kiedy już wpadałem, nie pomyślałem o tym, żeby panią odwiedzić.

- No cóż, nic się nie stało - odparła, chociaż, jak zauważył, jego wyrzuty



sumienia sprawiły jej przyjemność. - Ale teraz już będziesz w domu. Prawda, drogi chłopcze?

Oczywiście, można powiedzieć, że jednym z powodów, dla którego Miles jeszcze w szkole średniej nie zwracał uwagi na przemianę, jaka dokonywała się w matce, był fakt, że jej rosnący brak zainteresowania własną rodziną wiązał się z trwającym długie lata rozczarowaniem, zmęczeniem, jak również z nadmiarem obowiązków. Miles zauważył - gdy tymczasem Max nic nie zauważał, a przynajmniej tak się zachowywał - że przestała się przejmować mężem, choć o wiele bardziej niepokoiło go, że zdawała się zapominać o jego młodszym bracie. Natomiast jeśli chodzi o samego Milesa, rzadko kiedy bywała obojętna czy daleka od jego spraw. Znacznie częściej jej troska o przyszłość starszego syna nie miała nic wspólnego z roztargnieniem i graniczyła niemal z manią. Tak naprawdę przez wszystkie lata szkolne Milesa Grace miała dwie obsesje, obie równie wielkie. Była absolutnie przekonana, że Miles musi wstąpić na uniwersytet i że Cindy Whiting musi pójść na bal maturalny. Już każdy z tych celów z osobna wydawał się Milesowi trudny do zrealizowania. Oba wzięte razem można by uznać za dowód, że w pewnym sensie Grace sama specjalnie się wystawiała na swego rodzaju katastrofę emocjonalną.

Co więcej, chodziło jej nie tylko o to, by Miles zapisał się na uniwersytet. On miał wyjechać poza granice stanu, w związku z czym rzecz i tak trudna do zrealizowania stawała się praktycznie niemożliwa. Zdobycie miejsca na uniwersytecie stanowym w Maine nie przedstawiało szczególnego problemu, a opłaty za czesne, akademik i podręczniki nie były wygórowane. Jednak Miles nie miał pojęcia, skąd mogliby wziąć nawet tak małą kwotę. A jeśliby do tych wydatków dodać koszty za naukę w innym stanie, wówczas cała sprawa stawała się śmiechu warta. Zaczął więc naciskać matkę, żeby mu powiedziała, dlaczego odległość ma dla niej aż takie znaczenie, a wtedy ona zaskoczyła go, mówiąc: „Dlatego, żebyś nie mógł przyjeżdżać do domu co pięć minut, kiedy tylko ci się zachce”. Filia uniwersytetu stanowego w Farmington była oddalona o mniej niż trzy kwadransy od domu, a główny campus w Orano o godzinę. Młodzi ludzie, powiedziała mu, którzy wybierają się tam na studia, chętnie zjeżdżają do domu na weekendy, a ona nie życzy sobie, żeby tak było i w jego wypadku. A kiedy to mówiła, widać było, że jest co do tego święcie przekonana. „Nie po to każdego dnia przez całe moje życie chodziłam za tą rzekę, żeby mój syn co chwila zjeżdżał do Empire Falls”.

Jeszcze w szkole średniej tyle razy słyszał zdanie o „chodzeniu za rzekę”, że praktycznie straciło ono swoje pierwotne znaczenie. „A ty co sobie myślisz, że po co ja każdego dnia chodzę za rzekę?” - pytała nieraz, kiedy się

sprzeciali. „Co ty sobie wyobrażasz, że po co ja to robię, Miles? Po to, żebyś ty tego nie musiał robić”. Albo: „Czy ty myślisz, że ja dla własnej przyjemności chodzę dzień w dzień na drugą stronę tej rzeki? Tak właśnie myślisz?”. Sposób, w jaki zadawała podobne pytania - z dzikim błyskiem w oczach, wysokim piskliwym tonem - miał w sobie coś komicznego, przynajmniej dla chłopaka w wieku gimnazjalnym. Mówiła tak, myślał Miles, jakby tam wcale nie było mostu, jakby każdego dnia przepływała się przez bród, pokonując silny prąd rzeki Knox i ryzykując, że w każdej chwili rzeka porwie ją w dół do wodospadów i rozbije o skały. Ale co dziwniejsze, według niej nie do pomyślenia było, żeby się miała za tę rzekę nie przepływać, i gdy pewnego razu Miles zaproponował jej, żeby w takim razie poszukała sobie jakiejś innej pracy, zareagowała w taki sposób, jakby powiedział nie tylko rzecz straszliwie naiwną - praca? W Empire Falls? - ale wręcz niemoralną, tak jakby jej obecne zajęcie było jedynym uczciwym zajęciem, jakie w ogóle było dostępne. Odczuwała swoje codzienne „przekraczanie rzeki” jako akt głęboko symboliczny, a fakt, że Miles nie potrafił dostrzec życiowej konieczności w tym, co robiła, stanowił jedynie dowód, jak mało rozumiał i ją, i rzekę, i samo życie.

Ale niemniej obsesyjnie, jak o jego pójściu na studia, Grace myślała o Cindy i jej balu maturalnym. W jej umyśle te dwa wydarzenia były ze sobą ściśle powiązane i oba były równej wagi. Kiedy dokładnie rok wcześniej jego matka zaczęła mówić o tym, że należy zrobić wszystko, żeby Cindy miała partnera na ten bal, Miles nie oponował, ponieważ wtedy jeszcze nie miał pojęcia, ile to dla niej znaczy ani jak daleko się posunie, żeby postawić na swoim. Pomyślał jedynie, że Grace chodzi o to, iż będzie musiała wykorzystać swoją znajomość ludzi z kręgu krewnych i przyjaciół pani Whiting i poprosić, aby pomogli znaleźć odpowiedniego kandydata dla biednej dziewczyny. Gdzieś przecież musiał istnieć jakiś bliższy czy dalszy kuzyn, który zrozumiałby powagę sytuacji i dałby się nakłonić do wypełnienia tej jakże ważnej misji. I dopiero gdy matka poprosiła jego, Milesa, żeby się rozejrzał w swojej klasie, czy nie ma tam jakiegoś nieśmiałego kolegi, który zdradza się choćby z cieniutką niteczką sympatii dla Cindy Whiting, Miles pojął prawdziwy sens jej przewrotnego planu: że tego chłopca mają znaleźć nie gdzie indziej, tylko w szkole średniej w Empire Falls, i ten pomysł wydał mu się jeszcze dziwniejszy niż przekonanie, że gdyby tylko lepiej się postarali, to pieniądze na jego studia w innym stanie na pewno by się „jakoś” znalazły. Stopniowo doszedł do tego, na jakiej podstawie matka opierała swoją wiarę, a kiedy to zrozumiał, postanowił czym prędzej znaleźć sobie jakąś dziewczynę, w której natychmiast się zakocha, a zaraz potem

zaprosi ją na bal. Gdyby mu się to udało, matka musiałaby wymyślić jakiś inny plan, a nawet jeśli by nie wymyśliła, on przynajmniej byłby niewinny. Zauważył bowiem, że ludzie traktowali zakochanie jako rzecz normalną, za którą nikogo nie można winić.

Problem polegał na tym, że on już był zakochany.

Na dodatek sytuacja wcale nie była dla niego korzystna, ponieważ Charlene Gardiner już przed trzema laty ukończyła szkołę i szanse, że przyjąłaby jego zaproszenie na bal maturalny, plasowały się tuż obok pobożnych życzeń jego matki, żeby on studiował w innym stanie, a Cindy Whiting znalazła chłopca, który by się w niej zakochał. Mimo to Miles ciągle liczył na cud. Jeszcze w pierwszej klasie szkoły średniej załatwił sobie pracę na godziny w kuchni w Empire Grillu, żeby być blisko Charlene, a w najstarszej klasie pracował już na stałe po parę godzin po szkole, przez trzy, cztery dni w tygodniu, z tego samego powodu. Natomiast w dni, kiedy nie pracował, namawiał swego przyjaciela, Ottona Meyera, żeby wpadał z nim do restauracji najpierw na coca-colę, a w późniejszym okresie na kawę, którą zaczęli pić w nadziei, że to im doda powagi. Miles był do tego stopnia zaślepiony, że zamiast spędzać czas bardziej produktywnie, próbując przekonać jakąś inną dziewczynę, żeby go polubiła, godzinami przesiadywał w restauracji, a jego płonne nadzieje mimowolnie podsyciała sama Charlene Gardiner, która okazywała mu szczerą sympatię, niezależnie od tego, że ona sama stale miała jakiegoś faceta, i to zawsze w swoim wieku albo starszego od niej. Będąc w szkole średniej, Miles nie miał pojęcia, że istnieją na świecie takie dziewczyny, które chcą być miłe dla jakiegoś chłopca, co to miał pecha, że się w nich zakochał, nawet jeśli one same nie mogą mu odplacić tym samym. A Charlene Gardiner należała właśnie do takich dziewcząt. Zamiast wykorzystywać młodzieńczą miłość Milesa jako okazję do ośmieszania go - co zdecydowanie jest zawsze najlepszą kuracją na miłosne zaślepienie - dawała mu do zrozumienia, że zarówno Miles jak i jego zauroczenie są słodkie i wzruszające. Nie znaczy to wcale, że zachęcała go, żeby trwał w swym szaleństwie, ale też nie potrafiła dać mu do zrozumienia, że traktuje jego oddanie jako coś mało ważnego czy bezwartościowego. Szyderstwo i pogardę Miles przyjąłby i zaakceptował jako w pełni zasłużone, ale życzliwość i sympatia kompletnie pomieszały mu w głowie. Był tak wdzięczny za okazywane mu ciepło, że miał kompletnie zaćmioną jasność sądu, a zbliżenie, na jakie pozwalała mu Charlene, było dla niego zbyt upajające, żeby tak po prostu z niego zrezygnować. Dlatego w duchu ciągle siebie przekonywał, że jej czułość to tylko początek i że w sprzyjających okolicznościach w naturalny sposób przerodzi się w miłość. Nie dostrzegwał podobieństwa pomiędzy

uprzejmością okazywaną mu przez Charlene Gardiner a swoją uprzejmością wobec Cindy Whiting, a przecież analogia ta mogła okazać się pouczająca.

Jakkolwiek jego dylemat z każdym dniem się pogłębiał - nadal nie posunął się ani o krok w kwestii dziewczyny, którą mógłby zaprosić na bal, tym samym zbliżając się milimetr po milimetrze do dziewczyny „znalezionej” dla niego - Miles pocieszał się faktem, że Otto Meyer nie był w lepszej sytuacji. On również miał problemy rodzinne. Jego ojciec, zły i agresywny człowiek, dostał ostatnio wylewu, a po powrocie ze szpitala zrobił się jeszcze gorszy i bardziej wściekły niż przedtem, z tą różnicą, że teraz już nie mógł swojej złości jak dawniej wyładowywać. Leżąc z jedną połową twarzy łagodną i nieruchomą, bo sparaliżowaną przez wylew, a drugą czerwoną i wykrzywioną, mógł jedynie rzucać wściekle wielką głową na boki, strzelając strużkami śliny w powietrze niczym jakiś bernardyn. Wprawdzie Otto był również pod wielkim urokiem pięknej Charlene Gardiner, jednak w przeciwieństwie do Milesa nie wykazywał skłonności do nierealnego marzycielstwa. I, jak się okazało, nie był nieczuły na wdzięki dziewcząt w swoim wieku. Tak więc, gdy pewnego szarego popołudnia na początku lutego jak zwykle siedzieli naprzeciwko siebie we wnęce w Empire Grillu, Otto poinformował Milesa, że zaprosił na bal dziewczynę z ich klasy, a ona się zgodziła. Miles musiał się zdobyć na spory wysiłek, żeby nie okazać, jak bardzo się tym przejął i zmartwił. Dziewczyna, którą Otto zaprosił, a która w wiele lat później miała zostać jego żoną i matką jego syna, była dokładnie w typie, jakiego powinien był poszukać sobie Miles. Była ładna, bystra i nieśmiała, a do tego z wielkim poczuciem humoru, mimo że jeszcze nie całkiem wiedziała, w jaki sposób ujawnić tę ukrytą cechę swojej osobowości. Nie cieszyła się wyjątkową popularnością ani też jej brakiem, ubierała się niemodnie na wyraźne żądanie swojej matki i w jakiś sposób intuicyjnie wyczuwała - jak to się zdarza w wypadku niektórych wyjątkowych dziewcząt - że bywają gorsze rzeczy niż brak popularności, że życie jest długie, że pewnego dnia jej piersi osiągną absolutnie właściwe rozmiary i że w gruncie rzeczy wszystko z nią jest w porządku, niezależnie od tego, co myślą o niej inni. W ciągu kilku dni po śmiałym zaproszeniu Ottona, chyba z tuzin chłopaków powiedział mu, jaki to szczęściarz z niego i że oni też się zastanawiali, czy jej nie zaprosić.

Kiedy już pierwszy szok minął, Milesowi bez trudu przyszło ucieszyć się szczęściem przyjaciela - i tylko przypadek sprawił, że nieoczekiwane oświadczenie Ottona zbiegło się z innym, które również miało nastąpić tego popołudnia. W pewnym momencie Charlene zatrzymała się przy ich stoliku, żeby dolać im kawy, a wtedy zauważyła z wyrzutem, że żaden z nich nie grzeszy spostrzegawczością. Następnie prowokacyjnie pomachała im przed

oczyna lewą ręką. Palce miała smukłe i śliczne, a na serdecznym lśniło kółeczko pierścionka, którego znaczenia Miles ciągle jeszcze nie pojmował, gdy nagle pod restaurację z niskim gardłowym warkotem zajechał motocykl i Charlene pobiegła do drzwi. Młody człowiek - o długich, zmierzwionych od wiatru włosach, w skórzanej kurtce i z podbródkiem, który z pewnością wymagał częstego golenia - zeskoczył z siodelka i w tej samej chwili Charlene znalazła się w jego ramionach. Uniósł ją do góry i zaczął się z nią obracać dookoła, a jej okrzyki radości docierały zza okna aż do nich. Młodzieniec wirował w koło i w koło, unosząc w powietrzu dziewczynę, za którą Miles miał tęsknić jeszcze długi czas po tym, jak wyszła za mąż - najpierw za tego motocyklistę, a potem jeszcze kolejno za dwóch innych mężczyzn - a nawet wtedy, kiedy już sam był żonaty. Wirowanie na parkingu dawno się skończyło, a Milesowi ciągle kręciło się w głowie.

Charlene wróciła do środka, żeby zapytać, czy mogłaby skończyć swoją zmianę pół godziny wcześniej. Roger Sperry kiwnął jej twierdząco głową zza kontuaru i nim drzwi się za nią zamknęły, ona już była na motocyklu, który ponownie ożył, z warkotem czekając na jej powrót, i w gnieniu oka Charlene Gardiner i jej nowy narzeczony odjechali.

- Nigdy nie zgadniesz, kogo moja matka chce, żebym ja zaprosił - powie dział Miles.

Nadal nie patrzyli na siebie, tylko w pustą przestrzeń za oknem.

- Cindy Whiting? - odpowiedział Otto, a kiedy Miles spojrzał na niego, wzruszył tylko ramionami. - W zeszłym tygodniu twoja mama dzwoniła do mojej. Myślałem, że może to ty mnie zaproponowałaś.

Miles zamknął oczy, czekając, aż minie fala upokorzenia wywołanego postępkami matki.

- Nie ma sprawy - zapewnił go Otto. - To znaczy, to wcale nie byłoby takie najgorsze. Bo właściwie Cindy jest całkiem ładna, nie uważasz?

Według Milesa nie miało to nic do rzeczy, kompletnie nic. Jedyne, co przychodziło mu do głowy w tym momencie, to tamten skandowany okrzyk, z którym żył od ostatniej wiosny, kiedy to uczył się jeździć samochodem: „Dalej, Roby, do roboty, dalej!”

- Poza tym jest całkiem miłą dziewczyną - ciągnął Otto. Co w gruncie rzeczy było prawdą, kiedy więc Miles nie zaprzeczył, dodał: - No i lubi cię. Bardziej niż kogokolwiek innego.

- I to jest właśnie najgorsze - przyznał, patrząc przyjacielowi prosto w oczy.

- Nie. Dziewczyna, którą ty kochasz, odjechała właśnie na motorze - powiedział Otto. - To jest najgorsze.

- Idź do diabła, Otto - zaproponował mu Miles.
- Poza tym moglibyśmy wybrać się we czwórkę - nie rezygnował jego przyjaciel. - Anna nie miałaby nic przeciwko temu. - Anna Pacero była tą jego dziewczyną. - Założę się, że chciałyby się lepiej poznać z Cindy. I wszystko byłoby okay.

Wyobrażając sobie tę scenę, Miles musiał spuścić wzrok.

- A co będzie, jak pomyśli, że ją lubię albo coś w tym rodzaju?
- Przecież ją lubisz.
- Wiesz, o co mi chodzi.

Teraz z kolei Otto spuścił wzrok, a Miles spróbował sobie przypomnieć, czy poza Ottonem ktoś jeszcze będący w ich wieku zaproponował kiedykolwiek, żeby zrobić to, co należało, tylko dlatego, że tak należało. W innych okolicznościach, pomyślał Miles, może byłby wdzięczny Ottonowi za to, że odważył się przedstawić moralny punkt widzenia tej sprawy. Może nawet jest wdzięczny w obecnych okolicznościach. Wiele by dał, żeby móc opowiedzieć przyjacielowi o tym, jak straszliwie spragniona, jak złakniona jest ta dziewczyna, która wiecznie żyje w świecie fantazji, i jak najmniejsza uprzejmość natychmiast wywołuje i podsycza jej marzenia. Ale kiedy szukał odpowiednich słów, żeby to wszystko wyrazić, nagle zobaczył, jak bliski był opisania swojej własnej tęsknoty za Charlene Gardiner, która rzeczywiście przed chwilą odjechała w swoją przyszłość i nawet się z nim nie pożegnała ani nie zabrała z ich stolika ćwierćdolarówki, którą zawsze zostawiał dla niej jako napiwek.

Tego wieczoru po kolacji, gdy brat poszedł już spać, a Miles zabrał się do odrabiania pracy domowej, Grace przyszła do jadalni, gdzie rozłożył swoje książki na stole.

- Chcę, żebyś pojechał do St. Luke's - powiedziała.

Mały college niedaleko Portland był najdroższą ze szkół, do których złożył podanie. Oprócz tego wysłał podania na uniwersytet w New Hampshire i w Vermont oraz - o czym nie wspominał matce - na Uniwersytet Stanowy Maine. Był bowiem nadal przekonany, że gdy nadejdzie czas, będzie musiała zaakceptować rzeczywistość.

- Mamo... - zaczął.

- Byłam dzisiaj w św. Katarzynie - powiedziała.

Miles westchnął głęboko. Mój Boże, pomyślał. Ona modli się o chesne na ten drogi uniwersytet.

- Ojciec Tom zna różnych ludzi w tym college'u - powiedziała, czym przynajmniej trochę go uspokoiła. - Uważa, że z twoją cenzurką masz duże szanse na stypendium. Powiedział, że parafia mogłaby nawet pomóc przy zakupie podręczników. A to w końcu miejsce, gdzie ty chcesz pójść.

Miał ochotę zapytać, nie, wykrzyknąć: A co chcenie ma wspólnego z czymkolwiek? Zamiast tego zwyczajnie skinął głową. Tak, tego chciał.

- Znajdziemy pieniądze - powtórzyła, biorąc go za rękę. - Wierzysz mi? Czy można odpowiedzieć „nie” na takie pytanie?

- Tak, mam - powiedział, zbyt zrozpaczony jej wiarą, żeby móc wyduścić choćby jedno słowo więcej.

- Dobrze - powiedziała. - A teraz chciałabym cię o coś prosić.

Wtedy przyszło mu na myśl, że może „pragnąć czegoś” naprawdę mocno nie zawsze musi być największym szaleństwem na świecie, na jakie człowiek może się zdobyć. Ponieważ tego popołudnia, po powrocie do domu, mniej więcej w tym samym czasie, gdy matka przekraczała Iron Bridge w drodze powrotnej do Empire Falls, Miles zatelefonował do Cindy Whiting.

- Och, Milesie - zawołała Cindy, natychmiast bliska płaczu. - Drogi, kochany Milesie.

## 27

Otto Meyer jr wysłuchał głosu w słuchawce, który poinformował go, że wybrany numer jest już przez abonenta nieużywany, odwiesił słuchawkę i sięgnął po duże plastikowe opakowanie tabletek na nadkwasotę, które trzymał w prawej dolnej szufladzie swojego biurka. Wszyscy dyrektorzy szkół, jakich znał, trzymali coś w prawej dolnej szufladzie swoich biur, coś, co pomagało im jakoś dobrać do końca dnia, i Otto pocieszał się myślą, że mógł ukrywać w swojej znacznie gorsze rzeczy. Odkręciwszy nakrętkę, wysypał cztery czy pięć tabletek w zagłębienie lewej dłoni, włożył do ust wszystkie naraz i zaczął żuć w ponurym zamyśleniu. Nim odłożył opakowanie na miejsce, zajrzał do środka przez szeroki okrągły otwór butelki, żeby policzyć, ile tabletek mu jeszcze zostało. Coś około dziewiętnastu. Nie wystarczy na tydzień, nie na taki tydzień, jaki się zapowiadał. Co oznaczało wyprawę do Fairhaven do centrum handlowego, gdzie można było dostać odpowiedniki leków na receptę, w dużych opakowaniach po pięćset sztuk, praktycznie za bezcen. Aptekarz przysięgał, że były takie same jak środki znanych firm farmaceutycznych, ale Otto miał wątpliwości. Z każdym dniem musiał brać tego cholerstwa coraz więcej i więcej, żeby żołądek mu się uspokoił.

Już od miesięcy nie zaprzętał sobie głowy zalecanymi dawkami, tylko przy pierwszych objawach zaostrzenia „uciszał” kłopoty. Ostatnio ilość

zażywanych tabletek uzależniał od wagi i wielkości problemu, z którym przyszło mu się zmierzyć, a który sprawiał, że kwasy żołądkowe zaczynały się wydzielać w nadmiarze, następnie podchodziły do gardła, aż w końcu czuł ich palący smak na języku. W zeszłym tygodniu na wiadomość, że jeden z jego najlepszych nauczycieli wrócił po szkole do domu i skatował żonę tak strasznie, że trzeba ją było hospitalizować, zalecił sobie dawkę dwunastu tabletek, a następnie wypełnił to zalecenie co do joty. Kiedy nazajutrz pojechał do szpitala odwiedzić żonę tego człowieka, a ona spojrzała na niego przez wąskie zapuchnięte szparki, które kiedyś były oczami, zszedł na dół do szpitalnego sklepiku, kupił fiolkę jednej ze znanych firm farmaceutycznych i zaordynował sobie spożycie jednorazowo połowy opakowania od razu na miejscu w obecności kasjerki. Nazajutrz złożył wizytę w domu owego nauczyciela; zastał go w kuchni, gdzie siedział, wpatrując się w rewolwer leżący przed nim na stole - co sugerowało, że druga połowa fiołki będzie właściwą dawką. A teraz jeszcze ta sprawa z Johnem Vossem.

Rano w jego przegródce na pocztę pojawił się trzeci list, chociaż nie było sposobu, żeby stwierdzić, czy został tam włożony dzisiaj czy też jeszcze wczoraj późnym popołudniem, po wyjściu grona pedagogicznego do domu. Podobnie jak dwa poprzednie, ten również składał się z jednego zdania, które ktoś napisał na komputerze, a potem wydrukował na drukarce w centrum komputerowym w mieście, co do tego nie było wątpliwości. „Gdzie jest babcia Johna Vossa?”. Żadnego nagłówka. Żadnego podpisu.

Pierwszy list pojawił się w piątek i Otto nie zwrócił na niego większej uwagi, doszedł bowiem do wniosku, że to pewnie sprawka jakiegoś wariata, których zwykle kilku miał w swojej jurysdykcji. Drugi znalazł w poniedziałek rano na środku biurka u siebie w gabinecie. Na oko wyglądał jak tamten pierwszy, dopóki Otto sobie nie przypomniał, że przecież tamten pierwszy zgniótł i wyrzucił do kosza. Na pytanie, kto mógł przynieść ten list, Gladys, jego sekretarka, potrząsnęła głową i zapytała:

- Jaki list?

Na drugi list Otto zareagował w ten sposób, że najpierw zażył swoje lekarstwo na nadkwasotę, a następnie poprosił o kartotekę Johna Vossa. Teraz - z tym trzecim listem i kartoteką rozłożoną przed nim na biurku - poprosił Gladys, żeby sprawdziła, gdzie jest chłopak podczas szóstej lekcji.

Odpowiedź - w kafeterii, je drugie śniadanie z Tick Roby - Otto mogłby dać sobie sam, gdyby tylko przez chwilę się zastanowił. Bo to przecież nie



kto inny, tylko on osobiście był odpowiedzialny za sytuację, która, jak wszystko na to wskazywało - i za co chwała niech będzie Allahowi! - okazała się trafnym rozwiązaniem. Hm, prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, czy faktycznie było to rozwiązanie trafne czy też nie, jednak zazwyczaj gdy jakieś rozwiązanie nie okazywało się trafne, zaraz o tym słyszał, zwłaszcza jeśli było to coś, co zrobiono na jego polecenie. Wtedy słyszał o tym bez przerwy aż do znudzenia. W tym wypadku jedynym nowym elementem w sprawie, o jakim się dowiedział, było podjęcie przez Vossa pracy pomywacza w Empire Grillu, ale był to pozytywny znak. To prawda, że nauczycielom nie udało się nawiązać z chłopakiem kontaktu, dalej też nie reagował na żadne bodźce zewnętrzne, ale w ciągu ostatnich kilku tygodni Otto zauważył pewną nieznaczną poprawę w jego wyglądzie zewnętrznym. Był jakby schludniejszy, włosy miał mniej zmierzwiłone i nawet jego ubrania wydawały się mniej dziwaczne. Czy to możliwe, że się zakochał w Tick Roby? Otto podejrzewał, że tak. W końcu związek pomiędzy miłością a higieną osobistą był od dawna powszechnie znany, doskonale pamięta, jak sam zaczął się kąpać, kiedy w gimnazjum zakochał się w pięknej Charlene Gardiner. Tak więc, kto wie. Razem pracowali w restauracji. Ich prace plastyczne znalazły się na wystawie międzyszkolnej. Jadali drugie śniadania sami, tylko we dwoje. Czy zatem wszystko to mogło się ułożyć w umyśle tego chłopca, skądinąd apatycznego i bez kontaktu, w romantyczną konstelację, która obudziła w nim uczucie miłości?

Biedna Tick, myślał, przetykając ostatnią z tabletek na nadkwasotę po drodze do szkolnej kafeterii, gdzie zastał nie tylko tych dwoje uczniów, ale jeszcze trzeciego, Zacka Minty.

Duża butla tabletek na nadkwasotę, którą trzymał w szufladzie biurka w gabinecie, stanowiła tylko część chomikowanych przez niego zapasów. Dodatkowe trzy czy cztery fiołki miał zawsze pod ręką w schowku swojego buicka i oczywiście jedno opakowanie stało na stoliku nocnym koło łóżka. Siedząc w samochodzie przed rozpadającym się domem na drodze do dawnego wysypiska śmieci, Otto żuł kilka tabletek, przygotowując się na rozmowę z babką chłopca. Zauważył, że powietrze stało się już całkiem mroźne, co mogło oznaczać, że wkrótce spadnie pierwszy śnieg.

Jeszcze miesiąc i znowu zaczną się pobudki o czwartej rano. W te dni, kiedy zapowiadano duże opady śniegu, Otto, wraz z innymi dyrektorami szkół podstawowych i średnich, był na nogach już od świtu, kiedy to zaspani

i nieprzytomni musieli wysłuchać w radiu prognozy pogody stanowego instytutu meteorologicznego i obejrzeć mapy pogodowe na kanale meteo w TV. O piątej trzydzieści musieli wspólnie zdecydować, czy nie jest zbyt niebezpiecznie, żeby wysłać szkolne autobusy na drogi. Rodzice, w większości wypadków, woleli, by dzieci miały lekcje, ponieważ w przeciwnym razie byli zmuszeni wymyślić im jakieś zajęcie. Ale zanim poczynili w tym kierunku odpowiednie kroki, wielu z nich lubiło zadzwonić najpierw do domu Ottona Meyera jr, żeby mu przekazać swoje zdanie co do jego osoby, a mianowicie, że jest pieprzonym idiotą, śmierdzącym leniem i do tego niezłym cwaniakiem, co to skorzysta z każdej okazji, by nagiąć fakty po to tylko, żeby urwać sobie dzień wolny od pracy, tak jakby mało mu było, że ma takie długie wakacje letnie. A jeśli tak się złożyło, że Otto brał akurat prysznic i telefon odebrała jego żona, to samo mówili jej. Akurat ci rodzice, którzy okazywali największe zdenerwowanie i agresję w czasie zamieci śnieżnych, nie należeli do tych, którzy by musieli się martwić koniecznością wzięcia wolnego dnia w pracy na opiekę nad dziećmi. Raczej byli to ci sami, którzy zapisywali swoje dzieci do szkolnej stołówki na darmowe obiady i wysyłali je do szkoły nie dość ciepło ubrane, ale którzy z całą pewnością mogli sobie pozwolić na zakup automatycznej sekretarki, by nie musieć tracić czasu na rozmowy z dyrektorem szkoły czy akwizytorami, polującymi na klientów.

Prawdę mówiąc, to oni nie byli jeszcze najgorsi. W rzeczywistości, myślał Otto Meyer, przyglądając się zrujnowanemu domostwu, najgorsi byli ci, których nigdy nie widywał, tacy, którzy istnieli niejako wyłącznie na papierze pod postacią informacji figurujących w dokumentach, gromadzonych przez urzędników z kuratorium stanowego. Dokumenty te podążały w ślad za każdym uczniem ze szkoły do szkoły, stanowiąc słabą podstawę przygotowania nauczycieli i zarządów szkół na to, co miało ich czekać. Zgodnie z tym, co Otto wyczytał w kartotece, zanim przyjechał tutaj, rodzice Johna Vossa, którzy zniknęli z zasięgu biurokratycznego radaru blisko pięć lat temu, byli drobnymi dealerami narkotyków gdzieś w Portland i nałogowymi narkomanami, którzy sprawiwszy sobie dziecko, stwierdzili, że bachory potrafią być strasznie kłopotliwe, zwłaszcza dla ludzi prowadzących ważne interesy. Kiedy John był mały, mieli zwyczaj pakować go do torby na pranie, w której zaciągali sznurek, a następnie odwieszali ją do szafy, gdzie mógł sobie kopać i krzyżeć, ile mu się żywnie podobało. Zwykle po pewnym czasie się uciszał, a wtedy mieli nareszcie trochę spokoju. Kłopot z tym

spokojem był taki, że często zapominali o malcu i szli spać, a on wisiał w tej szafie przez całą noc.

Przeważnie Otto nie myślał o sobie jako o kimś z niesprecyzowanym światopoglądem filozoficznym czy politycznym, ale po kilkakrotnym prze-studiowaniu tej kartoteki zaczął się wahać, czy rodzice Johna Vossa powin-ni zostać w trybie doraźnym poddani egzekucji - naturalnie zakładając, że udałoby się ich zlokalizować - czy też nie. Do tej pory nie był zwolennikiem kary śmierci, uważając, że zazwyczaj nie rozwiązuje ona problemu, który w zamierzeniu ma być rozwiązany. Jednakże w tym wypadku taki wyrok zde-cydowanie rozwiązałby jego osobisty problem - i to, jak przyszło mu do głowy, w całkiem elegancki sposób - likwidując obrzydzenie, jakie odczuwał na samą myśl o tym, że musi dzielić ten świat akurat z dwojgiem takich ludzi.

Nie żeby uważał siebie za idealnego rodzica. Był daleki od tego. Razem z Anną rozpuszczali swego syna, Adama, ponad wszelką miarę, w wyniku czego chłopak wykazywał oznaki nadzwyczaj nierealistycznego stosunku do rzeczywistości. Uważał, na przykład, za rzecz oczywistą, że świat jest mu życzliwy i pozytywnie do niego nastawiony. Jeśli chodzi o dyscyplinę, Otto stanowczo za długo był zbyt liberalny wobec syna, a teraz, jak podejrzewał, było już za późno na to, żeby zmieniać dotychczasowe postępowanie. Na początku roku przyłapał go na jakiejś imprezie z alkoholem i narkotykami. Zareagował natychmiast, zapowiadając, że chłopak ma szlaban aż do odwo-lania. Widział, że wychodząc za drzwi, Adam z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Wyrażenie, jakiego sam Adam najczęściej używał w odniesieniu do umiejętności rodzicielskich Ottona, brzmiało: „bez klucza”, i z czasem Otto musiał przyznać, że w pełni sobie na nie zasłużył. Nie lubił się zasta-nawiać nad tym, co przesądziło o jego porażce, ponieważ ilekroć próbował, czuł, jak smak tej porażki miesza mu się na języku z miętowym smakiem środków na nadkwasotę. Najprostszy wniosek, do jakiego doszedł, był taki, że wkroczył w rodzicielstwo z nadmiernie skromnym planem, obiecując sobie tylko tyle, że postara się zrobić wszystko, żeby jego syn nie musiał znosić przez niego takich męczarni, jakie on musiał cierpieć z powodu swo-jego ojca. I to mu się najwyraźniej udało. Adam był szczerze przywiązany do obojga rodziców, jednocześnie w najmniejszym stopniu nie poczuwając się do obowiązku, żeby ich słuchać. Otto dopiero teraz zaczynał pojmować, że jego zwykłe: „Tak, tato”, wcale nie oznaczało ani zgody, ani choćby nawet zrozumienia.

Anna była zdania, że wszystko to jest całkiem naturalne i że to, co jej mąż stale próbuje jej tłumaczyć, leżąc w ciemnościach i nie mogąc zasnąć -

że w jakimś sensie nie zdołali przygotować syna do życia w prawdziwym świecie - jest niemądre. Była przekonana, że Adamowi nic nie dolega poza tym, że dorasta, a jest to choroba, która zwykle mija bez śladu i która trochę przypomina taką szczególnie złośliwą odmianę wietrznej ospy - jest może niezbyt miła do oglądania, ale przejściowa, i na pewno nie stanowi zagrożenia dla życia. Chłopiec wie, że jest kochany, powtarzała mu za każdym razem, i słowa te uderzały Ottona, jako przykład ostatniej słabej nadziei prawdziwie zagubionego rodzica „bez klucza”. Jeśli o to chodzi, popełnili wszystkie możliwe błędy, jak z podręcznika.

Nie, pomyślał Otto, wchodząc na rozchwiane schodki ganku i naciskając dzwonek. Mimo wszystko jakoś udało im się wychować ich dziecko, nie pakując go do worka na brudną bieliznę ani nie trzymając go w takim niewiedzionym domu jak ten.

Voss ostrzegł go, że może będzie musiał długo dzwonić do drzwi. Babcia ma kłopoty ze słuchem, a jej pokój, którego już prawie nie opuszcza, znajduje się w głębi domu. Dyrektor oczywiście skłamał, że ma jakieś papiery, które babcia musi podpisać. Chłopak zaofiarował się, że sam może wziąć te papiery i dać jej do podpisania wieczorem, on jednak odpowiedział mu, że nie, musi z nią porozmawiać osobiście, bo chciałby się przekonać, czy szkoła nie mogłaby w jakiś sposób pomóc - co było obrzydliwym kłamstwem, jak teraz o tym pomyślał. Oczywiście chłopaka uciekały nerwowo na boki, ani razu nie napotykał jego wzroku, ale sprawiał wrażenie, że był raczej niespokojny i zakłopotany niż spanikowany. Tak, przyznał, to prawda, zeszłej wiosny babcia odłączyła telefon, żeby zaoszczędzić na wydatkach, bo rzadko kto do nich dzwonił, a jak już, to zawsze z jakimiś problemami. A kiedy Otto zapytał, czy nie zastanowiła się nad tym, że to bardzo niebezpiecznie mieszkać na takim odludziu za miastem i nie mieć telefonu na wszelki wypadek, on odpowiedział: „Ma mnie. Na wszelki wypadek”.

Z dwóch rozmów, jakie przeprowadził, ta z Vossesem była w sumie mniej niepokojąca niż rozmowa z Zackiem Minty.

- Jak dostałeś się do kafeterii? - spytał dyrektor, kiedy znaleźli się u niego w gabinecie.

- Była otwarta.
- Nie, jest zamykana po piątej lekcji.
- Musieli zapomnieć ją zamknąć.
- Czy mam zadzwonić do pani Wilson?
- Proszę bardzo. Była otwarta, i koniec.

- Czy namówiłeś swoich przyjaciół, żeby cię wpuścili?
- Była ot-war-ta.
- Nie, była zamknięta.

Na co Minty nic nie powiedział, tylko siedział ponury. Taki chłopak, pomyślał Otto, na pewno przejdzie przez całe życie i nigdy nie będzie musiał się uciekać do leków na nadkwasotę. Zadowolony z siebie cwaniaczek. Minty w każdym calu. Jego dziadek, William, miał zawsze pełną zamrażarkę nielegalnego mięsa jelenia i losia, znany był też z tego, że regularnie bijał żonę, w czasach, kiedy to przestępstwo traktowano jeszcze jako prywatną sprawę rodzinną. Falszywy i chytry brutal, który całe życie miał w nosie prawo, chociaż raz po raz trafiał do więzienia za różnego rodzaju drobne przekręty, które bardziej świadczyły o braku wyobraźni niż o niechęci do popełnienia większych wykroczeń. Mówiono o nim, że był tym człowiekiem, do którego zwrócili się Whitingowie, kiedy pojawiło się niebezpieczeństwo, że w jednym z ich zakładów robotnicy opowiedzą się za związkiem zawodowym, i trzeba było uciszyć paru krzykaczy. Jeśli chodzi o ojca, tego podejrzanego typka Jimmy'ego Minty, ostatnio w mieście sporo słyszało się o tym, że ma zostać kolejnym szefem policji, a ponoć też zgarniał dwie pensje, jedną oficjalną i drugą, pod stołem, od Francine Whiting. A teraz proszę, ten młody do kompletu, „mistrz spóźnionych ciosów”, Zack Minty. Niedawno pada jabłko od jabłoni. Oto kolejny potomek, mający zdaniem Ottona wszelkie dane, żeby stać się człowiekiem, który będzie na bakier z prawem jak dziadek albo zostanie skorumpowanym szantażystą jak jego ojciec, bo że przysporzy kłopotów tak czy inaczej, to pewne. I jeśli nieszczęsna dziewczyna, którą pewnego dnia poślubi, nie zastrzeli go z rozpaczy - jak wielokrotnie groziła żona Jimmy'ego, zanim uciekła - to na dodatek będzie się sprytnie wymykał sprawiedliwości.

Dyrektor wziął do ręki przepustkę, którą zasłonił się Minty.

- A jakie to zajęcia masz z panią Roderigue?
- Nie mam żadnych.
- W takim razie dlaczego dała ci tę przepustkę?
- Pewnie dlatego, że mnie lubi.
- Ale dlaczego miałyby to robić?
- Lubić mnie?

Prawdę mówiąc, było to dokładnie to, czego Otto bardzo chciałby się dowiedzieć, ale zamiast tego postanowił zadać inne pytanie.

- Nie, dlaczego miałyby ci dawać przepustkę?

Wzruszenie ramionami.

- Chodzimy do tego samego kościoła. Plus to, że ona jest moją ciotką czy jakoś tak. Mojej matki siostra jest żoną jej brata. Jakoś tak.

- Cokolwiek to jest, nie jest to powód do wydania przepustki. Sfałszowałeś ten podpis?

- Nie, nigdy w życiu bym tego nie zrobił.

- A to dlaczego?

- Ponieważ pan mógłby się o tym dowiedzieć.

- A nie dlatego, że to nie byłoby w porządku?

- Nie wiem, może to też.

- Nie chcę cię więcej widzieć podczas szóstej lekcji w kafeterii. Zgadzamy się?

Kolejne wzruszenie ramionami.

- Zrozumiałeś? Dopilnuj tego. - Nagle do Ottona Meyera coś do tarło.

- Ty to napisałeś?

Zack Minty pochylił się do przodu, wziął kartkę papieru do ręki i przeczytał treść. Następnie zwrócił ją z powrotem z czymś na kształt uśmiechu.

- Nie.

Oczywiście, że to on napisał. Otto nagle miał co do tego absolutną pewność. Babka Johna Vossa miała przecież imię i nazwisko. Nazywała się Charlotte Owen i ktokolwiek napisał ten anonim, nie wiedział o tym, nie miał też pojęcia, jak się tego dowiedzieć, albo był na to zbyt leniwy. To znaczy, uczeń.

- Ty byś nie zrobił czegoś takiego?

Minty najpierw okazał lekkie zakłopotanie, ale zaraz potrząsnął stanowczo głową.

- Nie.

- Dlatego, że to nie byłoby w porządku czy z obawy, że zostałbyś przyłapany?

- A kto mógłby mnie przyłapać?

- Dlaczego ty i twoi koledzy się nad nim znęcalie?

- Nic podobnego, my do niego nic nie mamy.

- Co wam z tego przyjdzie?

- Powiedziałem już, że nic do niego nie mamy.

Kiedy Otto wychodził z budynku szkoły, rozległ się dzwonek na przerwę. Zauważył, że Doris Roderigue stanęła w drzwiach prowadzących na korytarz do pracowni plastycznej.

- Żebym nigdy więcej nie przyłapał tego Minty'ego z przepustką podpisaną przez panią - powiedział jej, niespecjalnie zważając na to, czy uczniowie

go słyszą. A kiedy zaczęła coś mówić, przerwał jej, wręczył przepustkę i powtórzył: - Nigdy więcej. Czy jasno się wyraziłem?

Wyszedł na zewnątrz, a potem siedział w buicku, dopóki trochę nie ochłonął. Gwizdał na Doris Roderigue, ale ostatnie słowa Zacka Minty ciągle brzmiały mu w głowie. Kiedy mu powiedział, że może odejść, młody Minty wstał z krzesła bardzo powoli, jakby zawiedziony, że ich rozmowa dobiegła końca. Otto zauważył, że kulał - co bez wątpienia miało przypomnieć dyrektorowi, że chłopak jest w drużynie futbolowej i doznał kontuzji, walcząc ku chwale szkoły średniej w Empire Falls. Już był przy drzwiach, ale zatrzymał się na chwilę i nie patrząc na dyrektora, spytał:

- A gdzie jest babka Johna Vossa? - Tak jakby dziwna natura tej kwestii dopiero teraz przyszła mu na myśl.

Drzwi od tyłu, podobnie jak frontowe, były zamknięte na klucz. Otto nie powinien był tego sprawdzać, ale sprawdził. No, bo w końcu co by zrobił, gdyby się okazało, że jednak nie są zamknięte? Wszedłby do środka bez zaproszenia? Pukał i pukał, bardzo głośno, aż wreszcie zrezygnował, obszedł dom naokoło, a potem zszedł z ganku i stanął w pełnym widoku, wołając w górę, w stronę okien, które, miał nadzieję, były oknami do sypialni tej kobiety. Wykrzykiwał swoje nazwisko, starał się przy tym wyglądać możliwie nieszkodliwie i niegroźnie, na wypadek gdyby zerkała zza zaciągniętych zasłon. Przyszło mu na myśl, że może mimo wszystko słyszała, jak dzwonił do drzwi frontowych, a może nawet przyglądała mu się przez szparkę w zasłonach i na widok obcego człowieka wpadła w przerażenie. Wyobraził sobie, że ze strachu mogła dostać apopleksji i leży teraz bez przytomności po drugiej stronie drzwi, a wszystko z jego winy. Ciekawe, jak by się wtedy wytłumaczył? Na swoje usprawiedliwienie nie miał żadnych papierów, które staruszka niby miała podpisywać, tylko po prostu zinną intelektualną dociekliwość, wynikającą z potrzeby znalezienia odpowiedzi na pytanie, zadane przez anonimowego kawalarza: „Gdzie jest babcia Johna Vossa?” Tak jakby to była sprawa Ottona Meyera.

Stojąc na środku zachwaszczonego trawnika Charlotte Owen i spoglądając w górę na ciemne prostokąty zasłoniętych okien, Otto czuł, jak mimo mroźnego powietrza lepka strużka potu spływa mu od pachy wzdłuż prawego boku. Odwaga całkiem go opuściła i już miał odwrócić się na pięcie i odejść, kiedy jego uwagę zwróciły zardzewiały pręt, wbity w ziemię. Ponieważ teren był nierówny, z ganku widać było tylko wystający czubek, ale

kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że był do niego przyczepiony gruby żelazny łańcuch, zakończony metalowym karabińczykiem. Otto Meyer rozejrzał się wokół w poszukiwaniu jakiegoś psa, którego obecność uzasadniałyby te przedmioty, ale nigdzie nie było budy ani miski na wodę na ganku. No i nie słyszał też, żeby jakiś pies szczekał, kiedy dzwonił i pukał do drzwi. Czubkiem buta kopnął grudkę czegoś, co mogło być starą psią kupą, a może tylko bryłką ziemi. Poza tym na ziemi nie zauważył żadnych innych śladów.

Zabawne, jak działa ludzki umysł, pomyślał Otto. Kiedy tym razem odwrócił się z powrotem w stronę domu i ponownie spojrzął w zasłonięte okno na piętrze, był już absolutnie przekonany, że nie przyprawił Charlotte Owen o apopleksję, wydzwanając do drzwi frontowych i dobijając się do drzwi od kuchni. Chłopak mieszkał sam w tym domu. Wbity w ziemię pręt z przyczepionym łańcuchem niczego nie dowodził. Prawdopodobnie, musiał przyznać Otto, niczego nawet nie sugerował. Ale Otto był tego pewien.

U stóp ganku znalazł kamień właściwych rozmiarów. Oczywiście należało zadzwonić na policję, ale to mogło oznaczać spotkanie z jej przedstawicielem w postaci Jimmy'ego Minty, a Otto miał dość rodziny Mintych jak na jeden dzień. Jeśli się okaże, że się mylił i cała sprawa była niczym innym jak fałszywym alarmem, mógł zawsze powiedzieć, że usłyszał wewnątrz głos staruszki wołającej o pomoc. Zerwał się wiatr, targając rosnącymi wokół drzewami, i jego zawroźnienie faktycznie trochę przypominało jęki starej kobiety. Może historyjka niezbyt trzymała się kupy, ale w razie czego mógł się nią posłużyć. Jeśli się mylił. Tyle że się nie mylił. Co jeszcze dziwniejsze, ta pewność sprawiła, że przestał go boleć żołądek.

Po raz kolejny wszedł na stopnie ganku. A kiedy znalazł się przy drzwiach, bez wahania uderzył kamieniem w szybką najbliższą klamki i wsunął rękę przez wybity otwór, odblokował zamek, a następnie wszedł do środka.

W oknie Empire Grilla wisiała wywieszka „zamknięte”, ale na widok Ottona Meyera Miles wyszedł zza kontuaru i otworzył drzwi.

- No dobrze, niech ci będzie - powiedział na powitanie. - Stanę do wyborów do rady szkoły, ale od razu mówię, nie mam czasu na żadne kampanie wyborcze.

- Dzięki - powiedział Otto, kiedy Miles zamknął za nim drzwi i ponownie przekręcił klucz w zamku. - Zgoda, nie będziesz miał żadnej kampanii, obiecuję.



Jak ludzie zobaczą cię na liście, i tak zrobią znaczek obok twojego nazwiska.

W głębi przy kontuarze Otto zauważył paru stałych bywalców, którym Miles pozwalał zostać i dopić kawę jeszcze po zamknięciu lokalu. Horacy Weymouth tam był, ten dziennikarz, który zwykle pisywał sprawozdania z potyczek wojennych o budżet szkolny, był też Walt Comeau, właściciel fitness klubu niedaleko centrum handlowego, ostatnio ożeniony z byłą żoną Milesa. W restauracji czuło się chłód, ale mimo to Walt zdjął koszulę i siedział w białym bawełnianym T-shircie z krótkim rękawkiem. Zresztą kto wie, może bliżej otwartego grilla było cieplej.

- Hej tam, stary druhu! - zawołał Walt Comeau. - Wracaj no tutaj. Musimy wreszcie załatwić tę sprawę. Dość już tego wymigiwania się.

Miles zignorował go.

- Napijesz się kawy, Meyer?

Otto położył rękę na brzuchu.

- Miej litość nade mną.

- To może szklanek ciepłego mleka?

Już miał powiedzieć nie, ale po namyśle zmienił zdanie.

- A wiesz co? Jeśli mówiłeś poważnie, to chętnie, bo zabrzmiało to wspaniale.

- Znajdź sobie gdzieś miejsce.

- Mogę usiąść w tamtym kącie? - wskazał na wnękę w przeciwległym rogu, którą właśnie opuszczała grupa dziewcząt o wielkich starannie ułożonych fryzurach.

Miles skinął głową. Otto pozdrowił dziewczęta, z których jedną czy dwie rozpoznał z lat, kiedy, znacznie szczuplejsze, były jeszcze w szkole, po czym wsunął się na ławkę za stołem. Podczas gdy Miles rozliczał rachunki i wypuszczał dziewczęta z restauracji, Otto poskładał talerze i filiżanki po kawie i wytarł stół serwetką ze śladami szminki.

- Szybko się uwinąłeś - powiedział, kiedy Miles postawił przed nim szklanek z ciepłym mlekiem.

- Zalety kuchenki mikrofalowej - przyznał Miles, siadając.

- Hej tam, stary druhu! - zawołał znowu Walt.

Miles westchnął.

- Chwileczkę, już idę.

- O co mu chodzi? - Otto nie mógł się powstrzymać, żeby nie zapytać. Już sama myśl o tym, że Walt Comeau przesiaduje w restauracji Milesa, wydała mu się co najmniej dziwaczna.

- Codziennie chce, żebyśmy się mocowali na rękę.
- Dlaczego?
- Musisz o to jego zapytać. Ale ma to chyba jakiś związek z jego przekonaniem, że jeden z nas nie jest prawdziwym mężczyzną. Słuchaj, nie wyglądasz dzisiaj najlepiej, co?

Otto wzruszył ramionami.

- Twój nowy pomywacz jest dziś w pracy? - spytał.
- John? Miał przyjść na parę godzin, żeby posprzątać po południowej zmianie, ale się nie zjawił. Aż do dzisiaj naprawdę można było na nim polegać.

- Jeśli się zjawi, byłbym wdzięczny, gdybyś dał mi znać.

- W porządku - obiecał Miles. - Czy chłopak ma jakieś kłopoty, Meyer? Wiem, że to nie mój interes, ale chodzi mi o Tick.

- A ona tu jest?

- Nie, jest w domu. Przed chwilą z nią rozmawiałem.

- To dobrze - powiedział Otto. - Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze, Miles. To ja ją o to poprosiłem, żeby się trochę zajęła tym chłopakiem.

Miles wyprostował się na swoim siedzeniu.

- No, to już lepiej powiedz mi wszystko po kolei, Meyer.

Otto westchnął.

- Sam nie wiem. Może wszystko jest w porządku. Ale będę musiał się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- No, stary druhu! Zgadnij, czyja to piosenka - Walt okręcił się i zeskoczył ze stołka, po czym ruszył tanecznym krokiem w stronę ich stolika, po drodze zawodząc:

Nigdy w życiu nie marzyłem,  
By ktoś mógł całować tak jak ty,  
Czarować tak jak ty, całować tak jak tyyy...

Nigdy w życiu nie myślałem  
Że z tobą będzie tak dobrze mi  
Ach, powiedz, gdzie byłaś całe życie meee...

- Odejdź, Walt - powiedział Miles. - Jestem zajęty. Rozmawiam.
- Już sobie idę. Tylko dam ci jedną drobną wskazówkę - powiedział Walt. - Czyje piosenki zawsze śpiewam?

Miles tylko spojrzął na niego i Meyerowi przyszło do głowy, że gdyby na niego Miles spojrzął z takim wyrazem twarzy, to na Boga, w te pędy zrobiłby od razu to, co mu powiedziano.

Walt tymczasem wsunął się na ławkę po stronie Ottona.

- Powiedzieć panu coś? Przyznaję. Może jest w tym trochę racji, że ciągle wkurzam tego człowieka maksymalnie. Ale, widzisz pan, ja go uwielbiam. Naprawdę. Czy uwierzycie, że on przyszedł na mój ślub? To się nazywa mieć klasę, nie? Ale i tak rozłożę go na obie łopatki, jak się spróbujemy na rękę - i mówiąc to, przechylił się przez stół i poczęstował Milesa przyjacielskim szturchańcem w ucho. W tej samej chwili odwrócił się i zauważył, że Horacy Weymouth kieruje się do wyjścia. - Zaraz, zaraz, a dokąd to tak cichaczem się wymykasz, co? - zawołał za nim.

Horacy nie zwrócił na niego uwagi. Patrząc na Milesa, skinął porozumiewawczo głową.

- Żaden sąd w tym kraju by cię za to nie skazał - powiedział.

Pięć minut później mieli nareszcie cały lokal dla siebie i Otto uznał, że nie ma innego wyjścia, jak tylko zrelacjonować całą rzecz po kolei od początku do końca. Opowiedział Milesowi o swoich podejrzeniach co do tego, że legalna opiekunka chłopca po prostu nie mieszka w domu przy drodze na stare wysypisko. Że ubrania tej kobiety wiszą w szafie w sypialni, dom jest umeblowany, a w kuchni stoją naczynia i garnki. Że wprawdzie nic nie świadczy o tym, że Charlotte Owen porzuciła wnuka, tak jak wcześniej uczynili to jego rodzice, ale mimo to żaden ślad nie wskazywał na jej obecność.

- Myślę, że on tam mieszka sam jak palec - zakończył. - I to od dłuższego czasu.

- Może kobieta leży gdzieś w jakimś szpitalu?

- Ja też tak pomyślałem - odparł Otto. I faktycznie, zanim się zjawił w Empire Grillu, wrócił do swojego gabinetu i wykonał kilka telefonów. W kwietniu tego roku Charlotte Owen rzeczywiście została przyjęta do szpitala Dexter Memorial w Fairhaven, skąd wypisano ją po dwóch tygodniach. Ale ponownie się tam nie zgłaszała.

- No, ale w dalszym ciągu...

- To jeszcze nie wszystko. W marcu została odcięta dostawa prądu, w domu nie ma też telefonu, a kiedy odkręciłem kurek w kuchni, z kranu nie pociekła woda.

- Ale, mój Boże, Meyer, przecież nie mogła umrzeć? O takich rzeczach ludzie tu gadają. Z tego przecież żyją gazety.

- Tak, wiem, wiem - przyznał Otto, dopijając resztkę ciepłego mleka. Bo to był kolejny z jego telefonów, do sądu okręgowego. Żadne świadectwo zgonu nie zostało wydane na nazwisko Charlotte Owen. I żadne ciało starej kobiety nie czekało w kostnicy na identyfikację. - Mów, proszę, dalej. Ta rozmowa dobrze mi robi.

- Sam nie wiem, musi być przecież jakieś wytłumaczenie.

Otto przesunął pustą szklankę po stole do miejsca, gdzie wcześniej ułożył piramidę z talerzyków i filiżanek pozostawionych przez młode fryzjerki.

- Ja też tak myślę. Problem polega na tym, że ciągle nie daje mi spokoju jedna myśl. Całkiem możliwe, że tej wiosny po powrocie ze szpitala Charlotte Owen zmarła w domu bez ogrzewania, a chłopak nie pisał o tym żywej duszy.

- To w takim razie, gdzie ona jest, Meyer?

Przez chwilę Meyer rozważał, czy nie powiedzieć staremu przyjacielowi o trzech anonimach, które mu ostatnio przysłano i które zawierały dokładnie to samo pytanie, ale się rozmyślił. Dziwne, jak zmieniało się znaczenie tego samego pytania w zależności od tego, czy dotyczyło żywej czy też zmarłej kobiety.

Ale jedną rzecz Miles miał prawo wiedzieć, historię z workiem na brudną bieliznę.

- Nie usłyszałeś tego ode mnie, jasne? - zaczął, zdając sobie sprawę, że łamie zasady, ujawniając poufne informacje na temat ucznia.

Kiedy skończył, Miles był biały jak fartuch, który miał na sobie.

Było już po północy, gdy Otto Meyer nareszcie dotarł do domu. Pierwsze kroki zaraz po przyjeździe skierował do pokoju syna. Adam spał. Jak zwykle położył się spać, nie wyłączając komputera. Wygaszacz ekranu, zainstalowany przez Adama jakiś czas temu, przedstawiał ludzką czaszkę, która szczyrzyła się w szerokim uśmiechu, po czym rozpadała się na drobne kawałeczki i rozplywała w niebyt, by po chwili znowu powrócić na ekran w całości, uśmiechając się do świata. Otto, kompletnie wykończony i nagle na granicy łez, wyłączył komputer, a potem siedział w ciemnościach dłuższą chwilę, obserwując spokojny oddech syna w słabym świetle sączącym się z korytarza.

Później, kiedy wszedł do sypialni, którą od dwudziestu dwóch lat dzielił ze swoją żoną, zastał Annę śpiącą przy zapalonym telewizorze, nastawionym

na jeden z kanałów stacji telewizyjnej w Bangor. Program dawno się już skończył i teraz nadawano komentarze dotyczące wiadomości z godziny dwudziestej trzeciej. Jutro? Nawet nie chciał o tym myśleć. Za kilka krótkich godzin trawnik przed domem zapelni się reporterami. Rozebrał się szybko i wsunął do łóżka obok żony, która przebudziła się i wzięła go za rękę.

- Przepraszam cię - powiedziała. - Nie chciałam zasypiać.

- Gdybyś jutro mogła o tym pamiętać - powiedział - bardzo cię proszę, zadzwoń do Davida Irvinga i dowiedz się, czy może mnie umówić na wizytę.

- Znowu twój żołądek?

Nie było potrzeby na to odpowiadać.

- Nadal nie znaleźli tego chłopca?

- Znajdą jutro.

- Co się z nim stanie?

- Nie mam pojęcia.

- Co się stanie z nami?

- Przeżyjemy - odpowiedział na jej pytanie Otto. Ale miała rację, oczywiście. Z powodu tego rodzaju spraw dyrektorzy szkół średnich tracili posady. I przypuszczalnie, chociaż tego akurat nigdy by Annie nie powiedział, słusznie, że je tracili. - Wszystko się zacznie od samego rana - powiedział, ściskając ją za rękę, nim sięgnął nad głowę, żeby zgasić lampę. - Powinniśmy się trochę przespać, jeśli zdołamy.

Miał na myśli, że ona powinna. Bo jeśli o niego chodziło, wykończony czy niewykończony, o zaśnięciu raczej nie mogło być mowy. W mrocznej sypialni wydarzenia ostatniego popołudnia i wieczoru powróciły ze zdwojoną wyrazistością.

To do Billa Dawsa zatelefonował w końcu ze swoimi podejrzeniami, wyznał mu nawet, że się włamał do domu tej staruszki. Kiedy skończył, szef policji powiedział tylko:

- Spotkamy się na miejsku.

A potem siedział w swoim samochodzie i czekał, aż Bill Daws, Jimmy Minty i jeszcze jeden policjant przeszukają całe obejście. Naturalnie, kiedy Otto był tam wcześniej, sam nie wchodził na strych ani nie zaglądał do piwnicy, ale nawet biorąc pod uwagę, że w domu nie było światła, co utrudniało poszukiwania, zajęło im strasznie dużo czasu oficjalne potwierdzenie tego, co wszyscy i tak wiedzieli od początku. Rano Bill miał w szpitalu kolejne naświetlania i kiedy wyszedł z tego domu w towarzystwie Minty'ego, nie

wyglądał dobrze. Obaj milczeli. Minty podszedł do wozu policyjnego, żeby porozmawiać przez radio.

- No cóż - odezwał się Bill Daws na koniec. - Przypuszczam, że jest tylko jedna dobra rzecz, jaką mogę w tej sprawie powiedzieć: nie możemy wykluczyć, że staruszka wyjechała w odwiedziny do siostry, albo coś w tym rodzaju.

Otto odczuł ulgę, słysząc tę myśl wypowiedzianą na głos przez kogoś innego. Była to ostatnia słaba iskierka nadziei, której sam jeszcze się ciągle czepiał.

- Co nie zmienia faktu, że niestety mam złe przecucia - dodał szef policji.

- I ja także, Bill. I ja także.

- Jakkolwiek sprawy się mają, ani jej, ani jej wnuka na pewno nie ma w środku. Myślę więc, że możesz spokojnie pojechać do domu.

Otto skinął głową. Rozumiał, że jego obecność była Dawsowi potrzebna jedynie na wypadek, gdyby się okazało, że znajdują tu chłopaka.

- Myślę, że powinienem wrócić do szkoły.

- Jak sobie życzysz.

- Zauważyłeś ten pręt na trawniku?

- Tak.

- Co o nim myślisz?

- Wolę o tym nie myśleć - przyznał Daws. - Słuchaj, jeśli potwierdzą się nasze najgorsze przypuszczenia, a niestety, myślę, że tak właśnie będzie, to obawiam się, że sprawy nie uda się utrzymać w tajemnicy.

- Nawet bym cię o to nie prosił.

Zapadł już zmierzch. Gdzieś w ciemnościach usłyszeli najpierw odgłos silników, a po chwili na podjeździe rozbłyły przednie światła dwóch samochodów. Pierwszy okazał się terenowym wozem policyjnym, z owczarkiem niemieckim kręcącym się niespokojnie z tyłu. Drugim był camaro Jimmy'ego Minty, a za kierownicą siedział Zack. Kiedy wysiadł, Meyer znowu zauważył, że kuleje. Jimmy podszedł do niego i zamienili parę słów, przy czym chłopak kilkakrotnie spojrział w stronę dyrektora, potrząsając głową. Potem wsiadł z powrotem do camaro i odjechał w kierunku miasta.

- O co chodziło - zwrócił się Daws do Jimmy'ego, kiedy ten do nich dołączył.

- Zapytałem go, czy to on napisał te listy - wyjaśnił Minty, patrząc na Ottona. - Ale to nie on.

Bill skinął głową, ale nic nie powiedział.

- Jak to się dzieje, że ludzie o wszystko obwiniają mojego chłopaka, co?
- Jacy ludzie? - spytał Otto.
- W szkole. Pan. Trener Towne.

Otto odwrócił się i spojrzał na Bilia Dawsa.

- To on napisał te listy - powiedział.
- Tak? - zaperzył się Minty. - Niech pan to udowodni.
- Już dobrze, dobrze - przerwał Bill tonem, który świadczył, że ma tego wszystkiego dosyć. - Proszę sprawdzić, czy nie dałoby się skontaktować z kimś w elektrowni - polecił Minty'emu, tym sposobem skutecznie się go pozbywając. - Potrzebujemy tymczasowego podłączenia tego domu do sieci.

Oficer z wozu policyjnego, który dopiero co przyjechał, wypuścił już owczarka i przypinał mu smycz.

- Gdzie mam zacząć? - zawołał w ich stronę.
- Proszę zacząć od domu - odkrzyknął mu Daws, chociaż w jego głosie brzmiało powątpiewanie. - I tak myślę, że nie znajdziemy jej tutaj, tylko tam, za drogą.

Co oznaczało, że szef policji również o tym pomyślał. Dzięki czemu rozproszył obawy Ottona, że może jest jedynym człowiekiem, któremu przysłała na myśl równie potworna rzecz.

## 28

Janine z trudem przebrnęła przez południowe zajęcia stepowania, po których jak zwykle musiała jeszcze odwalić papierkową robotę, polegającą na sprawdzeniu listy członków klubu, a potem przygotować te cholerne koktajle proteinowe, które podawali w klubowej Lisiej Jamie, niewielkiej salce, gdzie mieściło się pół tuzina stolików, chętnie okupowanych przez facetów - ostatnich dupków i cwanych krętaczy, co do jednego - przysyłanych z zakładów pracy na darmową rehabilitację, którzy godzinami tam przesiadywali po skończonych zajęciach. Janine nienawidziła ich widoku nawet w dobre dni, a ten z pewnością do nich nie należał, w każdym razie już nie, nie po wizycie, jaką rano złożyła w banku. Prawdę mówiąc, kolana się jeszcze pod nią uginały i wcale nie dlatego, że z pustym żołądkiem przeprowadziła zajęcia ze stepowania dla zaawansowanych. Na samą myśl o jedzeniu - które w normalnych warunkach stanowiło słodką, zakazaną fantazję - wszystko podchodziło jej do gardła, chociaż trudno powiedzieć, co to

było, skoro tego dnia jeszcze nic nie jadła.

- Ciągle ani śladu po tym chłopcu, Vossie? - Pani Neuman, przysadzista kobietka, musiała wychylić się zza kasy, żeby spojrzeć na ekran telewizora, zawieszonego w Lisiej Jamie pod sufitem, czekając, aż Janine wystuka jej numer członkowski na klawiaturze. Południowe wiadomości właśnie się kończyły i spiker zachęcał widzów, żeby zostali przed telewizorami i obejrzeliby kolejny odcinek jakiejś opery mydlanej.

Minęło pięć dni, odkąd ciało tej staruszki znaleziono na starym wysypisku śmieci, chociaż trudno to było nazwać jeszcze ciałem. Raczej szkieletem, zgodnie z tym, co napisali w gazecie, ponieważ tylko tyle z niego pozostało po sześciu miesiącach leżenia na wysypisku, praktycznie tak niewiele, że ostateczna identyfikacja musiała poczekać na porównanie z kartoteką uzębienia, jeśli gdziekolwiek takowe istniało. Charlotte Owen przeżyła nie tylko wszystkich swoich znajomych, ale też trzech dentystów z Empire Falls; czwarty, który jakoby miał jej kartotekę, był już na emeryturze i mieszkał ponoć gdzieś na Florydzie. A chłopak - John Voss - po prostu zniknął bez śladu.

- To kolejny przykład, proszę pani - podjęła wątek pani Neuman - że życie jest jedną wielką tajemnicą. Człowiek nigdy nie może wiedzieć na pewno, z kim mieszka drzwi w drzwi.

Janine omal jej nie wypaliła prosto z mostu, że ta uwaga jest zupełnie nie à propos, skoro staruszka i jej wnuk nie mieli żadnych sąsiadów.

A poza tym, co tu dużo gadać o tym, że nie mamy pojęcia, kto z nami mieszka po sąsiedzku. W połowie przypadków nawet nie wiesz, z kim zawierasz związek małżeński, dopóki pewnego pięknego dnia nie pójdziesz do urzędu stanu cywilnego po akt ślubu i przez przypadek nie dowiesz się, ile ten stary pierdoła naprawdę ma lat. A jakby tego było mało - skoro o sekretach i tajemnicach mowa - kiedy już ci się wydaje, że wyprostowałaś całą sprawę z wiekiem i aktami urodzenia i mimo wszystko postanawiasz pójść na całość - wbrew zdrowemu rozsądkowi i na przekór wszystkim dookoła, którzy ci radzili, żebyś tego głupstwa nie robiła - i mimo wszystko poślubiasz tego starego piernika, wtedy idziesz do banku, żeby wypisać czek i pobrać pieniądze z waszego wspólnego konta - i chlast, masz babo placek! A potem stoisz jak niemądra i po raz kolejny zadajesz sobie to samo pytanie: kim, do diabła, jest ten cały skurwiel naprawdę?

Nie żeby Janine miała ochotę podzielić się swoimi myślami z panią Neuman. Podobnie jak nie powiedziałyby tej ludzkiej pilce, żeby przestała



tracić czas i pieniądze na jakieś fitnessy. Pani Neuman zjawiała się w klubie regularnie, pięć razy w tygodniu, na zajęcia o godzinie pierwszej, kiedy na sali był zawsze największy tłok, i wyruszała na „spacerek” na jednej z trzech bieżni, czytając darmowe magazyny i doprowadzając do białej gorączki innych członków klubu, którzy byli zainteresowani prawdziwymi ćwiczeniami. Zważywszy na ślimacze tempo, w jakim pani Neuman odbywała swoje przechadzki na tej pieprzonej bieżni, równie dużo by zyskała siedząc w fotelu i wertując „Gazetę Telewizyjną” u siebie w domu.

- Wyobraża to sobie pani? - nie przerywała monologu pani Neuman. - Żyje sobie taka kobieta osiemdziesiąt lat z okładem, a kiedy pewnego dnia dobry Bóg postanawia, że dość już było tego żywota, rodzony wnuc wynosi ją na śmietnik i po prostu tam zostawia. Przysięgam na wszystkie świętości, nic już z tego nie pojmuję.

- Ja również nie, pani Neuman - powiedziała Janine, podnosząc słuchawkę i wykręcając numer do Amber, której zawsze zależało na dodatkowych godzinach.

- Musiał chyba tę kobietę przerzucić sobie przez ramię czy jak? - zaczęła się zastanawiać pani Neuman, na potwierdzenie swoich słów zarzucając na pulchne ramię pasek sportowej torby, która zaraz znowu zsunęła jej się do podwozia. - Założę się, że to samo zrobi kiedyś ze mną mój rodzony wnuc, jak mnie znajdzie.

- Musiałby chyba wynająć podnośnik z łyżką, inaczej nie dałby rady - mruknęła pod nosem Janine, kiedy drzwi się za tamtą zamknęły. - Posłuchaj, przyjeźdź, jak tylko możesz najszybciej - rzuciła w słuchawkę, kiedy Amber zgodziła się dokończyć za Janine jej zmianę. - Zanim zrobię coś, czego będę długo żałować.

A pierwsza okazja po temu nadarzyła się niemal natychmiast, ledwie Janine zdążyła odwieść słuchawkę. Stolik, zajęty przez darmowych rehabilitantów, zażądał właśnie następnej kolejki jasnego lekkiego piwa, które, ich zdaniem, mogli żłopać bez opamiętania przez całe popołudnie i ani się nie upić, ani nie utyc, i to pomimo faktu, że za każdym razem wychodzili stąd dobrze zaprawieni, aż im w ciężkich kałdunach bulgotało. Najgorszy z całej paczki był Randy Danillac, starszy od Janine o rok, który ewidentnie nie przypominał jej sobie ze szkoły, mimo że wgapiała się w niego rozanielona przez dwa lata z rzędu. Podejrzewała, że żaden z tej gromady próżniaków nie nabawił się poważniejszej kontuzji, która wymagałaby rehabilitacji, ale pozostali mieli przynajmniej tyle przyzwoitości, że udawali. Natomiast

taki Danillac zwyczajnie wolał pracować dwa, trzy dni w tygodniu, zamiast pełnych pięciu, dlatego załatwił sobie skierowanie ze swojej firmy budowlanej w Empire Falls na darmowe leczenie, po czym pracował na czarno u konkurencji w Fairhaven. Zgodnie z zaświadczeniem lekarskim, jakie przedłożył, podobno tak go bolało, że nie mógł stać prosto, ale jego stan zdrowia nie przeszkadzał mu grać w squasha, o ile tylko znalazł jakiegoś kompana do gry, któremu nie przeszkadzało, że był obrzucany wyzwiskami za każdy zdobyty punkt.

- Och, dziękujemy ci, złotko - powiedział, kiedy dostarczyła im zamówioną kolejkę jasnego. Przy okazji zmierzył ją wzrokiem z góry na dół, co na ogół jej nie przeszkadzało, a potem poczęstował jednym z tych swoich pokretnych uśmiezków. - Wygląda na to, że życie małżeńskie ci służy. Nic tak dobrze nie robi, jak robić to dobrze i regularnie, he?

Kiedy skończył, Janine nareszcie dostrzegła, na czym polega urok ironii, do której starał się ją zawsze przekonać jej były mąż, gdy tymczasem ona bezskutecznie usiłowała go namówić, żeby postarał się dostrzec zalety seksu. Ironia była jedną z wielu rzeczy, które w ich małżeństwie nie grały od samego początku. Janine po prostu nie była tego typu kobietą - co zresztą zawsze otwarcie przyznawała - która widziałaby jakąś korzyść płynącą z faktu, że ktoś jej wytłumaczył, na czym polegała ironia jakiejś sprawy. A jednak w tej chwili dostrzegła i doceniła ironiczny wydźwięk tamtej szkolnej miłości, która trwała przez cały szesnasty i siedemnasty rok jej życia, kiedy to nie widziała świata poza tym człowiekiem, który wyrósł na najgorszego kłamliwego gnojka i bydlaka w całym mieście. Tyle że nie w tym tkwiła ironia. Ironia polegała na tym, że dopiero teraz ją zauważył i miał ochotę ją przelecieć.

- Wiesz co, Randy? - powiedziała. - Możesz mnie sobie zamówić na deser, jasne?

I zanim Randy'emu przyszło do głowy, żeby ją wziąć za słowo, już była za drzwiami.

Smutna prawda była taka, musiała przyznać Janine, jadąc do Empire Grilla, że rozwiodła się z człowiekiem, z którym mogła o wszystkim porozmawiać, i wyszła za mąż za takiego, z którym rozmawiać się nie dało. Dlatego jej potrzeba, żeby w tej chwili z kimś natychmiast porozmawiać, przypuszczalnie kwalifikowała się jako kolejny przykład ironii losu. Podobnie jak uświadomienie sobie, że brakuje jej łagodnego, cierpliwego spokoju Milesa. Od momentu separacji na myśl o tym ogarniała ją nostalgia, a od ślubu z Waltem zaczęła wspominać swoje dawne życie z

Milesem z serdeczną zadumą, aż sama musiała się napominać, że jest to z jej strony czyste wariactwo. Pewnie, że Miles był doskonałym słuchaczem, a słuchacz był dokładnie tym, czego potrzebowała akurat w tym konkretnym momencie, ale dlaczego nikt nigdy nie powie tego głośno, że dobrzy słuchacze potrafią być upierdliwi jak cholera. Miles musiał zawsze zważyć i zmierzyć każde słowo, które mu się powiedziało, tak jakby upewnienie się, czy dobrze wszystko zrozumiał do najdrobniejszego szczegółu, było jedyną przeszkodą, jaka mu stała na drodze do zaproponowania najlepszego rozwiązania. Albo to, albo traktował ją tak, jakby mówiła sobie a muzom tylko po to, żeby usłyszeć swój głos, co doprowadzało ją do jeszcze większego szału. Kiedyś próbowała wytłumaczyć to wszystko matce, ale to był błąd. Jak na kobietę, która prowadziła bar, słaba była z niej słuchaczka, równie prędka do stawiania diagnozy, jak Miles był w tym powolny.

- Nie rozumiesz jednej rzeczy, Janine - powiedziała jej wtedy matka. - To ty sama siebie doprowadzasz do szału. Nikt inny, tylko ty sama. Nigdy nie jesteś z niczego zadowolona, nawet przez minutę. A Miles nic nie mówi, bo tu za cholerę nie ma nic do powiedzenia.

To między innymi był powód, dla którego teraz jechała do Empire Grilla, zamiast do Callahana. Lepiej pogadać z chłopem, który nie zna odpowiedzi na żadne pytanie, niż z kobietą, która zna same niewłaściwe. Poza tym tam przynajmniej mogła mieć pewność, że Miles nie powie jej: „A widzisz”, co było ulubionym powiedzonkiem jej matki.

- Na litość boską, Janine - niemal słyszała głos, którym matka to mówi na wiadomość o odkryciu, jakiego Janine dokonała dziś rano w banku, że Srebrny Lis, który tak sobie ciągle pocierał podbródek, zastanawiając się nad kolejnym krokiem, jaki by tu wykonać, i którego je dyną troską, jak się wydawało, było utrafienie we właściwy moment, nie miał nawet dość kapitału, żeby zainwestować w ich tygodniowe wakacje w Arizonie, gdzie mieli wszystkich tych przystojnych latynoskich masażyistów, którzy tylko czekali, żeby twoje ciało natrzeć oliwką. - Co cię napadło, żeby myśleć, że Walt Comeau ma choćby dwa złamane grosze, żeby móc nimi zadzwonić w kieszeni? - Tak na pewno zapytałaby matka, jak przystało na chodzącą alfę i omegę, za jaką się uważała.

Na Milesea można było przynajmniej liczyć, że się użali nad człowiekiem, że okaże zdziwienie i zaskoczenie faktem, że Walt nawet nie był właścicielem budynku, w którym mieścił się jego klub, tylko wynajmował go od tej przeklętej starej Whitingowej, która posiadała Empire Grilla i połowę miasta na dokładkę. Jej mąż dzierżawił również większość wyposażenia

znajdującego się na sali ćwiczeń. Do diabła, w całym tym interesie nie było jednej rzeczy, której nie dałoby się z łatwością podważyć. Nawet ta jego główniana chata, którą komuś wynajmował, odkąd się do niej przeprowadził, obciążona była aż dwiema hipotekami. A jeśli naprawdę był właścicielem tej jakiejś parceli w okolicach Small Pond, o której ciągle gadał, że mogliby tam wybudować letni dom pewnego dnia, kiedy jego zdaniem będzie właściwy czas, to w takim razie Harold DuFresne z Empire Fidelity za cholerę nic o tym nie wiedział - a przecież powinien, skoro wszystko poza tym, co Srebrny Lis „posiadał”, Harold przyjął jako dodatkowe zabezpieczenie fitness klubu. Walt pożyczył nawet pieniądze na obrączkę i ten pieprzony „miodowy” weekend na wybrzeżu, podczas którego, gdyby miała choć odrobinę oleju w głowie, już powinno do niej dotrzeć, dlaczego Walt tak bardzo lubił seks. Bo był za darmo!

I teraz za żadne skarby świata nie mogła pojąć, jak to się stało, że na własne życzenie wpakowała się w sytuację, w której pierwszym człowiekiem, o którym natychmiast pomyślała, że tylko on może ulżyć jej skołataną duszę, jest ten sam człowiek, od którego tak strasznie chciała się uwolnić, że dosłownie nie mogła się doczekać, i to tylko po to, żeby móc się swobodnie wpakować w to bagno. Jedna ironia lepsza od drugiej, co do tego nie ma dwóch zdań, niech to szlag trafi, nienawidzi ich wszystkich razem i każdego z osobna, pomyślała Janine, jeszcze zanim skręciła w Empire Avenue i zobaczyła wóz Srebrnego Lisa, zaparkowany przed wejściem do restauracji. Oznaczało to, że nie będzie mogła swobodnie porozmawiać z Milesem, bo jej szanowny pan mąż siedzi przy barze. Życie jest naprawdę jedną wielką tajemnicą, jak się wyraziła ta koszmarna pani Neuman, bo oto na dobre i na złe - idiotyczne słowa, które Janine wypowiedziała nie raz, lecz dwa razy - była poślubiona nie tylko Srebrnemu Lisowi, ale na dodatek wszystkim tym sekretom i tajemnicom, których będzie musiała dochować. Bo ten skurczybyk oczywiście przez cały czas dobrze wiedział, że jak przyjdzie czas i Janine o wszystkim się dowie, będzie musiała połknąć tę żabę w całości i nikomu nie pisnąć o tym ani słowa. Co gorsza, Janine uświadomiła sobie, że ten czas nadszedł już teraz. Że za chwilę będzie musiała zaparkować obok wozu swojego męża, wejść do środka i udawać, że „robienie tego regularnie” niesłychanie jej odpowiada. I stanąć obok Walta i patrzeć, jak przegrywa ich wspólny grosz do Horacego w remika, a potem wsunąć rękę do jego rozporka i upewnić samą siebie co do jednej jedynej rzeczy, jaką ten dureń miał jej do zaoferowania.

Może jutro się na to zdobędzie. Chyba będzie musiała. Ale nie w tej chwili, postanowiła, jeszcze nie teraz. Nie, wiedziała, gdzie w restauracji trzymają noże do mięsa, i gdyby teraz tam weszła, to kto wie, może popełdziłaby prosto za bar, wyciągnęła jeden najostrzejszy i obciąła sobie nos. Na złość innym.

Janine minęła restaurację i pojechała dalej.

A ponieważ jedyny w mieście nieoznakowany wóz policyjny nie stał na swoim zwykłym miejscu w zatoczce koło zamkniętego sklepu Firestone, Janine zawróciła i z piskiem opon pojechała z powrotem, w górę Empire Avenue. Minęła może ze cztery przecznice, kiedy zauważyła wysoką szczupłą postać swojej córki, która szła samotnie w tę samą stronę, jak zwykle mocno pochylona do przodu pod ciężarem plecaka. Kiedy Janine zatrąbiła na nią i podjechała do krawężnika, jej córka spojrzała na jeepa podejrzliwie, jakby myślała, że Srebrny Lis siedzi skulony na tylnym siedzeniu. Niechętnie zbliżyła się do samochodu.

- Dokąd idziesz? - spytała Janine, opuściwszy szybę i odczekawszy, aż Tick nachylił się do przodu, żeby zajrzeć do środka.

- Do babci.

- Wskakuj - Janine przechyliła się w bok, żeby otworzyć drzwi, nie zważając na minę swojej córki, minę, która mogła sugerować, że kazano jej pchać auto pod górę. Tick otworzyła tylne drzwi, a następnie odwróciła się tyłem i oparła spód plecaka o siedzenie, po czym wyszła spod niego, wysuwając ręce z szelek, a cały manewr wykonała tak gładko i sprawnie, że oczy Janine napełniły się łzami. Kiedy ona była w tym wieku, nie tylko była gruba, ale też potwornie niezdarna, ciągle się o wszystko potykała i na wszystko wpadała. Tick miała ten rodzaj gracji, z którą kobieta się rodzi i której, choćbyś nie wiem ile się męczyła na stairmasterze, żeby schudnąć, i tak nie nabierzesz, a pewnie nawet nie wiesz o jej istnieniu, dopóki ci jej nie brak. - A co ma być u babci?

No cóż, trzeba przyznać, że to dziecko miało jeszcze jeden talent. Potrafiła obrzucić swoją matkę takim spojrzeniem, że ręka sama się zaciskała. Babcia, zdawała się mówić teraz jej mina, u babci będzie babcia.

- Tam jest cicho i spokojnie, tak? Mogę tam odrabiać lekcje - wyjaśniła w końcu Tick, kiedy stało się jasne, że Janine nie odjedzie od krawężnika, dopóki nie otrzyma pełnej odpowiedzi. - Tam mi nikt nie przeszkadza - dorzuciła.

Nikt w rodzaju Walta, to miała na myśli. A przypuszczalnie też nikt taki jak Janine. I ledwie Janine to pomyślała, gdy oczyma wyobraźni ujrziała koszmarną scenę, w której jej córka idzie w nocy drogą, jak zwykle uginając

się pod ciężarem, tyle że tym razem nie niesie na ramionach plecaka. Ciężarem tym jest sama Janine, jej córka zaś zmierza na wysypisko śmieci. Dzień w dzień przez cały ostatni tydzień zamierzała porozmawiać z Tick o tym chłopcu, Vossie, o którym pełno było we wszystkich wiadomościach i o którym ludzie ciągle mówili, jakby nie potrafili mówić o niczym innym, ale jakoś ciągle się nie składało. Wiedziała, że Tick pracowała z nim w restauracji i że razem byli w klasie plastycznej, gdzie ich prace wybrano na tę jakąś wystawę. Zamierzała na nią pójść, żeby obejrzeć ten obrazek z węzłem, o którym tyle słyszała z różnych ust, tylko nie od Tick, bo matce nie raczyła o tym nawet wspomnieć. To prawda, Janine była bardzo zajęta przygotowaniami do ślubu, ale to nie była żadna wymówka. Z drugiej strony, nie było też powodu, żeby od razu sobie wyobrażać, jak Tick taszczy jej zwłoki na śmietnik. Nic to, czas najwyższy, żeby trochę naprostować to, co się między nimi w ostatnim czasie pochrzaniło.

Ale kiedy Janine zaczęła się zastanawiać, jakby tu sformułować pytanie, które nakierowałoby rozmowę na temat tego chłopca, usłyszała, jak zamiast tego mówi coś o wiele łatwiejszego.

- No więc jak to jest, że nigdy mi nie opowiadasz o tych śmiesznych napisach, o których ciągle opowiadacie sobie z tatą?

Wyglądało na to, że odpowiedź również nie sprawiła kłopotu.

- Bo tobie one nigdy nie wydają się zabawne.

- Wypróbuj mnie.

- Nie-e-e - odpowiedziała jej córka, z jednej sylaby robiąc kilka, co zabrzmiało jak melorecytacja.

I tylko tyle wystarczyło, żeby Janine znowu się wnerwiła.

- A co, jestem za głupia, żeby zrozumieć, co w tym takiego śmiesznego, tak?

Ta mała gówniara faktycznie się zastanowiła, zanim raczyła odpowiedzieć.

- Zawsze rozumiesz. Tylko nigdy nie uważasz, że są śmieszne.

- Bo może nie są.

- To dlaczego chcesz, żebym ci o nich opowiadała?

- Może nie chcę. Może tylko chcę, żebyśmy były przyjaciółkami, jasne? Może miałabym ochotę zabrać cię do Bostonu na jakąś wystawę sztuki, gdybyś to mnie poprosiła, a nie twojego ojca. Może poprawiłoby mi nastrój, gdybym wiedziała, że moja córka mnie lubi.

- Walt ci nie wystarczy do poprawy nastroju?

Janine zatrzymała samochód trzy przecznice przed barem matki.

- Wysiadaj

- Co?

No tak, przynajmniej to poskutkowało i zwróciło uwagę jej córki. Patrzyła na Janine, teraz wystraszona, świadoma, że posunęła się za daleko.

- Wysiadaj, powiedziałam - powtórzyła Janine. Czuli, że nie powinna mówić więcej, ale nie mogła się powstrzymać. - Chcesz mnie traktować jak gówno, to równie dobrze możesz się przejść piechotką.

Janine miała nadzieję, że jej córka nie zrobi tego, co jej zostało nakazane. Tym bardziej że na ogół nigdy tego nie robiła. Ale oczywiście, jak żeby nie, tym razem musiała zrobić. Tick otworzyła drzwi i wysiadła, po raz kolejny stawiając Janine w sytuacji bez wyboru, jak zwykle w potrzasku. Zamiast patrzeć, jak jej córka wysiada, Janine odwróciła wzrok, tak jakby chciała pokazać, że jej nie zależy, a kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwiami, odwróciła się i prędko spojrziała przez lewe ramię, żeby się upewnić, że nic nie zjeżdża w dół Empire Avenue, po czym szarpnęła kierownicą i nacisnęła na gaz. W tej samej sekundzie usłyszała krzyk swojej córki.

- Stój!

Jej pierwsza myśl była taka, że tym razem jej blef się udał, że Tick postanowiła przeprosić, ale ten krzyk był bardziej nagły. Odwróciła się i szybki rzut oka za siebie wystarczył, by w jednej chwili zrozumiała, co się stało. Jednocześnie z zamknięciem przednich drzwi, Tick otworzyła tylne, żeby zabrać swój plecak, po czym wsunęła zagietą w łokciu rękę w szelkę, a wszystko to działo się dosłownie w tym samym czasie, kiedy Janine ruszyła z miejsca - i plecak w jakiś sposób się zaklinował między siedzeniem a podłogą i pociągnął Tick za sobą, zbijając ją z nóg. Przez otwarte drzwi widać było tylko tył jej głowy, ale gdy Janine obiegła samochód naokoło, mogła się przekonać, że Tick nic poważnego się nie stało. Dzięki temu, że samochód był wysoki, jej córka zawisła plecami parę centymetrów nad chodnikiem. Janine przemknęło przez myśl, że wygląda trochę jak postać z kreskówki, której spadochron nie zdążył się otworzyć. Tylko że w wyrazie jej twarzy nie było nic komicznego. Na moment twarz Tick jakby rozpadła się na kawałeczki, po czym znowu przybrała maskę bólu, strachu i kipiącej wściekłości.

- Zostaw mnie! - zaczęła krzyczeć, kiedy Janine pochyliła się, żeby odzyskać jej plecak. - Nie dotykaj mnie!

- Natychmiast się uspokój, Tick! - zawołała ostro Janine, sama wystraszona. - Nic się nie stało. Ja tylko chcę ci pomóc.

W tej samej chwili jej córka nagle sama się jakoś uwolniła i stanęła na nogi. Zaczęła iść przed siebie, masując ramię i nie przestając płakać.

- Tick - zawołała za nią Janine, starając się, żeby zabrzmiało to surowo, ale głos ją zawiódł, łamiąc się nerwowo. - Wróć, proszę, kochanie.

Nic. Szła dalej, nie oglądając się za siebie. Na ulicy było może z pół tuzina przechodniów, nie więcej, ale Janine była pewna, że wszyscy widzieli, co się stało, i teraz obserwowali je, czekając, jak się ta scena zakończy.

- Tick!

Jej córka odwróciła się gwałtownie.

- Zostaw... mnie... w spokoju! - krzyknęła tak głośno, że na całej Empire Avenue można ją było usłyszeć.

Jeep ciągle stał na zapalonym silniku, a plecak jej córki ciągle tkwił zaklinowany między siedzeniem a podłogą, częściowo wystając na zewnątrz, bo kiedy Janine spróbowała zamknąć drzwi, one nie chciały się zamknąć, i potem kiedy kopnęła plecak, nadal nie chciały. A wtedy Janine nie wytrzymała i też zaczęła płakać z głębi swego sfrustrowanego serca, kopiąc w drzwi grand cherokee ze wszystkich sił, jedyną przyjemność czerpiąc z widoku pogłębiającego się przy każdym kopnięciu wklęsnięcia w blacharce.

Jak długo Janine Roby - nie, Janine Comeau - szlochała, wściekała się i kopała drzwi cherokee? Aż się zatrzasnęły. Nie całkiem i nie do końca, oczywiście, ponieważ nie mogły, nie z bagażem jej córki dokumentnie zaklinowanym, ale przynajmniej na tyle, że się same nie otwierały.

Nawet kiedy już wreszcie znalazła się za kierownicą, Janine wciąż jeszcze się trzęsła. Teraz musiała ruszyć z miejsca, dogonić córkę i wszystko naprawić, choćby nawet siłą, jeśli okaże się to konieczne, wszystko wyjaśnić i załagodzić, jakoś, sama jeszcze nie widziała jak, ale jakoś. Jednak kiedy znowu ruszyła Empire Avenue, okazało się, że jej córka już gdzieś znikła, i z wolna przestając szlochać, Janine zrozumiała, że jest już za późno, zrozumiała, że, niech to diabli, jest już na to po prostu za późno.

## 29

Co o tym wszystkim myślisz? - spytał David, kiedy mijali starą fabrykę koszul. Wracali jego pikapem z Callahana i zbliżając się do rogu Empire Avenue, David zwolnił trochę. Po raz pierwszy od czasu, kiedy fabryka



została zamknięta, przynajmniej o ile Miles mógł sobie przypomnieć, wielka żelazna brama była otwarta. Tuż za bramą stała długa biała limuzyna z tablicami rejestracyjnymi z Massachusetts - a z tyłu za nią Miles zauważył jeszcze błysk czerwonego metalu. Na schodach wiodących do starego ceglano-budynku grupa mężczyzn w ciemnych garniturach słuchała z uwagą kobiety, w której Miles natychmiast rozpoznał panią Whiting.

- Nie myślisz chyba, że wszystkie te plotki są prawdziwe? - mruknął Miles. Od tygodni restauracja żyła pogłoskami, że ponoć znalazł się kupiec na przedziałnię. Miles zawsze traktował je wyłącznie jako potrzebną ludzom pożywkę dla spekulacji. Teraz na przykład obecność pani Whiting w towarzystwie tych garniturów mogłaby spokojnie wystarczyć do zasilenia ich niemądrym optymizmem na całą długą zimą.

- Jednak byłoby miło, gdyby coś się wreszcie ruszyło - przyznał David, skracając w Empire Avenue. - Tłumaczyłoby również, dlaczego zostawiła nas w spokoju. Miała po prostu większą pieczeń do upieczenia.

Ta sprawa nadal była kością niezgody pomiędzy braćmi. David miał żal, że Miles nie powiadomił formalnie pani Whiting o swoich zamiarach. I od samego początku Miles przyznawał, że prawdopodobnie jego brat ma rację, ale od tamtego dnia w zeszłym miesiącu, kiedy rozpoznał Charliego Mayne'a na fotografii w gazecie, nabrał jeszcze większej niechęci, żeby się spotykać z panią Whiting niż kiedyś, zupełnie tak jakby to on zdradził ją przed laty na Martha's Vineyard. I chociaż było to czyste wariactwo, nie mógł się pozbyć przeświadczenia, że pani Whiting wystarczyły jeden rzut oka na niego, żeby się domyślić, że w końcu odkrył prawdę. Ilekroć się spotykali, Miles odnosił zawsze nieodparte wrażenie, że stara dama analizowała jego twarz w poszukiwaniu oznak jakiegoś szczególnego rodzaju porozumienia, a kiedy ich nie znajdowała, z rezygnacją pozwalala, by sprawy toczyły się utartym trybem. Na rozum wiedział, że jego brat ma słuszość, że lepiej by było, żeby wszystko było jawne i wiadome, ale intuicja podpowiadała mu, że lepiej się nie ujawniać.

Nie żeby to był jeszcze jakiś wielki sekret. Razem z Davidem spędzali ostatnio każdą wolną chwilę w Callahanie, a Miles nieraz pracował do późnego wieczora, w miarę możliwości robiąc wszystko własnoręcznie, jako że nie chciał zaczynać z długami większymi niż to było absolutnie konieczne - zwłaszcza że Bea w związku z remontem była pod finansową kreską, a gdyby liczyć robocizną na godziny, to wydatki dawno wymknęłyby się spod kontroli. Dzisiaj Miles zostawił Bustera do obsługi obydwu zmian, porannej

i południowej, a w tym czasie on walczył w Callahanie z naprawą przedpopowego piekarnika gazowego, którego nikt nie używał przez ostatnich dwadzieścia lat. David, który tego wieczoru musiał przygotować i obsłużyć „wieczór meksykański” w Empire Grillu, spędził większość popołudnia na rozliczaniu rachunków z dostawcami i wykonując wszelkie prace, które mogły być wykonane przez człowieka z jedną sprawną ręką. Żaden nie próbował ukrywać zaangażowania w ponowne otwarcie kuchni w Callahanie, chociaż na użytek publiczny mieli przygotowaną bajeczkę o udzielaniu pomocy starej przyjaciółce.

Jedno było pewne. Pani Whiting, która wiedziała wszystko, nie mogła, po prostu nie mogła o tym nie wiedzieć. Chociaż może David znów miał rację, że była zbyt zajęta sprawami toczącymi się w Biurze Rozwoju, żeby się przejmować takimi drobnostkami?

Tyle że Miles jakoś w to nie wierzył.

Zaparkowali na podwórku za śmietnikiem i weszli do restauracji, jak zwykle, przez drzwi od zaplecza. Codziennie od tygodnia, ilekroć się tam zjawiał, Miles oczekiwał, że ujrzy Vossa, który kręci się po kuchni, patrząc jak to on pod nogi, z miną pełną ostrożnego wyczekiwania i zagubienia. Kiedy rozeszła się wiadomość o babce chłopaka, a on sam zniknął, Horacy Weymouth, który czuł się winny, że zatrzymał dla siebie to, co wiedział, uznał, że nikomu już tym nie zaszkodzi, i w końcu opowiedział Milesowi o tym, czego był świadkiem, kiedy przed miesiącem trafił przypadkiem do tego starego domu koło wysypiska. Do łańcucha przyczepiony był wyjący pies i sam chłopak również wydawał potworne gardłowe wycie, jednocześnie bijąc psa kijem. Zwierzę próbowało desperacko wyrwać się i uciec, dlatego biegało w kółko, za każdym panicznym okrążeniem skracając łańcuch, który zawijał się wokół palika, dopóki nie zwinął się ostatecznie, unieruchamiając głowę psa bokiem płasko przy ziemi. Ale nawet wtedy biedak próbował się wyrwać, czym sam doprowadzał do zaciskania pętli na swej szyi. Dopiero gdy zrozumiał, że ucieczka jest beznadziejna, i znieruchomiał, chłopak odrzucił kij i zaczął uspokajać przerażone zwierzę, trzymając się z dala od kłapiących z przerażenia szczęk, dopóki pies się nie uspokoił i już tylko skamlał żałośnie. Wtedy chłopak sam rzucił się na czworaka i zaczął się podczołgiwać coraz bliżej i bliżej, naśladując skamlenie psa, delikatnie głaszcząc jego poranione boki tak długo, aż w końcu zwierzę wybaczyło swemu oprawcy i polizało go po twarzy. Horacy zdał sobie sprawę, że

chłopak płacze i błaga psa o wybaczenie, jednak ciągle zachowując ostrożność, gdyż zwierzę było wciąż oszołomione i zdezorientowane i coś mogło spowodować, że nagle przestanie lizać, a zamiast tego ugryzie. Potem pies znowu zaczął skamleć, a przez cały czas wtórowało mu zawodzenie chłopaka: „Wiem, wiem...”, jakby go doskonale rozumiał.

Z tego, co Horacy opowiadał, była to najpotworniejsza i najbardziej rozdzierająca scena, jaką w życiu widział. W pierwszym odruchu chciał natychmiast donieść o tym, czego był mimowolnym świadkiem - i wiedząc to, co teraz wiedział, bardzo żałuje, że tego nie zrobił. Ale widywał chłopaka w mieście, słyszał też co nieco o jego rodzinie i sytuacji w szkole, poza tym sam Horacy dobrze wiedział, jak to jest, kiedy otoczenie uważa kogoś za wariata. Gdyby powiadomił odnośne władze o tym, co tam zobaczył, prawdopodobnie chłopak zostałby zabrany z domu babki i wysłany do poprawczaka w Sunderland, a było to naprawdę ponure miejsce.

Horacy opowiedział też Milesowi o czymś, co nie dostało się do gazet: że w tym samym miejscu, gdzie znaleziono rozkładające się szczątki Charlotte Owen, odkryto również zwłoki kilku psów, z których wszystkie nosiły ślady tortur, świadczące o tym, że zostały zamęczone na śmierć.

Oczywiście Miles nie podzielił się tymi wiadomościami ze swoją córką, która i tak była bardzo zmartwiona zniknięciem chłopaka, opowiedział jej jednak o torbie na brudną bieliznę. Powiedział również, dla jej własnego bezpieczeństwa, o tym, co jego zdaniem było prawdą: że John Voss został straszliwie skrzywdzony i z tego powodu coś się w nim załamało i że może się okazać, iż sama życzliwość nie wystarczy, żeby to naprawić. Słuchając jego słów, Tick niby kiwała głową na znak zrozumienia, ale widać było, że nie jest w pełni przekonana, dlatego pod koniec tej rozmowy Miles już sam nie wiedział, ile z tego, co powiedział, do niej dotarło. Cała ta rozmowa przypominała mu podobną sytuację z początku roku, kiedy to zawiadomił ją o separacji, która w efekcie miała się zakończyć jego rozwodem z Janine. W obu wypadkach odniósł wrażenie, że jedynym życzeniem jego córki było tylko to, żeby czym prędzej przestał mówić.

Gdy Miles z Davidem weszli do środka, Horacy i Walt grali właśnie w remika. Walt już się zdążył rozebrać; biały podkoszulek opinał mu się ciasno, uwydatniając żebra i mięśnie. Ciekawe, ile ten facet miał tych białych T-shirtów?

- Witaj, Walt - powiedział z westchnieniem. - Cześć, Horacy, cześć Buster.

- Ostatni raz zgodziłem się na podwójną szychtę - oznajmił Buster. Mimo że jego oko niemal się wygoiło, wyglądał jak człowiek, który dał z siebie resztki sił i energii.

- Chcesz już iść do domu?

- I nigdy więcej nie wracać. - Buster ściągnął fartuch przez głowę.

- Jeszcze chwila. Pozwól mi tylko wziąć błyskawiczny prysznic, zgoda? - powiedział Miles. - Wtedy będziesz mógł się ulotnić.

- Widziałeś tę białą limuzynę, stary druhu? - zaczął się dopytywać Walt. - Tę z tablicami rejestracyjnymi z Massachusetts?

Miles skinął głową.

- Aha, przejechała przez calutką Empire Avenue, samym środkiem, prosto do przędzalni - perorował Walt. - I teraz już mi nie powiesz, że tu się nic nie święci. Wyjdź na ulicę i powąchaj. W powietrzu ciągle jeszcze czuć zapach pieniędzy.

Przez frontowe okno Miles zobaczył hyundaia Charlene, który z mi-gającym kierunkowskazem czekał, żeby skręcić na podwórko za restauracją. Dzisiejszego wieczoru miała ich pracować szóstka. Miles jako gospodarz, który nadzoruje całość, David przy grillu, z pomocnikiem do sałatek i deserów, Charlene i jeszcze jedna dziewczyna do obsługi stolików, plus nowy pomywacz, którego Miles przyjął na miejsce Johna Vossa. Jak na Empire Grill naprawdę duża ekipa. U Bei, gdzie mieściło się trzy razy więcej stolików, będą musieli podwoić, a może nawet potroić obsługę. A David będzie musiał przeszkolić przynajmniej jedną dodatkową osobę w dwukrotnym gotowaniu chińskiego makaronu, do czego już zgłosiła się Charlene. Miles nie miał nic przeciwko temu, chociaż niechętnie by zrezygnował z jej kelnerowania, co potrafiła robić jak nikt inny. Jak na ironię, Charlene była tą, która najbardziej wyczekiwała chwili, kiedy nareszcie zaczną serwować alkohole, co podwoiłoby jej napiwki. Mimo to rozumiał, że w wieku czterdziestu pięciu lat, po dwudziestu paru latach i Bóg wie ilu kilometrach, jakie przemaszerowała w sali restauracyjnej Empire Grilla, chciała, i prawdopodobnie potrzebowała, odmiany.

Nie była to jedyna rzecz, jaką zrozumiał na temat kobiety, w której kochał się od szkoły średniej. Teraz wiedział już, że ona i jego brat są kochankami, i to przypuszczalnie od dłuższego czasu, tylko wspólnie ustalili, że zachowają to w tajemnicy, żeby jemu nie robić przykrości. Jak znał Davida, on na pewno optował za uczciwością, ale widać Charlene powiedziała nie, jeszcze nie. Uświadomienie sobie tego faktu następowało etapami i miało swój początek jeszcze we wrześniu, w Lamplighterze, kiedy

Miles wszedł do środka i zobaczył, jak Charlene siedzi samotnie przy stoliku. Obok jej szklanki z beczkowym piwem stała szklanka toniku Davida, i te dwa drinki koło siebie stanowiły żywy dowód intymnej zażyłości, nawet w sytuacji, kiedy jednej z osób tam brakowało. A potem pobiegła za Davidem na dwór i Miles przyglądał im się przez okno. I kiedy stali tam razem na parking, jego podświadomość zarejestrowała w ich wyglądzie coś szczególnego, coś, czego świadomie by nie zauważył. Spojrzał teraz wzdłuż kontuaru, gdzie na końcu stał jego brat, który również obserwował z uśmiechem, jak Charlene skręca na parking. Gdy poczuł, że Miles wpatruje się w niego, odwrócił się i oczy ich się spotkały. Tak? - spytał Miles niemo, unosząc brwi. Tak, skinął jego brat.

Może mieliby sobie więcej do powiedzenia na ten temat, ale w tej chwili zadzwonił telefon.

- Miles Roby? - spytał głos, którego Miles nie rozpoznał.

- Czy wie pan, że pańska żona stoi właśnie u góry na Empire Avenue, przeklina jak szewc i kopie w bok pańskiego jeepa?

- Masz - powiedział Miles, wręczając słuchawkę Srebrnemu Lisowi. - To do ciebie.

Kiedy wyszedł spod prysznicy, telefon znowu zadzwonił, tym razem prywatna linia w jego mieszkaniu. Janine, pomyślał. Nie chciał się rozwódzić ze swoją żoną, a kiedy nadszedł dzień ostatecznego rozstania, pomyślał nawet, że w gruncie rzeczy będzie mu brakowało tych jej wiecznych napadów złości i ciągłego utyskiwania, tych niekończących się tyrad i wściekłych ataków, i szlochów do upadłego. Jak długo ją pamiętał, Janine zawsze była strasznie wybuchowa, dlatego prawdę powiedziawszy, nie mógł się doczekać, żeby na Walta Comeau przeszła wreszcie odpowiedzialność za to, że puszcza jej zawory bezpieczeństwa. Nie miał pojęcia, co tym razem spowodowało, że Janine zatrzymała się na środku Empire Avenue i zaczęła się zneść nad swoim samochodem, ale był pewien, że jej nowy mąż w pełni zasługiwał na przyjęcie pierwszej fali uderzeniowej. Niestety, Walt zawiódł na całej linii, ponieważ nie zrobił nic poza tym, że zbladł, a następnie odłożył słuchawkę.

Ale tym razem Miles się mylił, chociaż musiał przyznać, że wolałby, żeby to faktycznie była Janine.

- Jak tam, skończyłeś nareszcie to swoje malowanie kościoła? - zapytał go ojciec na powitanie, po tym jak Miles wyraził zgodę na poniesienie opłaty za połączenie telefoniczne. Czy Max całkiem już postradał zmysły,

czy naprawdę zapomniał, że ostatnią ich rozmowę telefoniczną rozpoczął dokładnie od tego samego pytania?

- Nie, tato, nie skończyłem.
- To dobrze. Nie chcesz chyba pracować dla tych ludzi.

Wiedział doskonale, że nie powinien pytać, ale nie mógł się powstrzymać.

- Jakich ludzi, tato? O czym ty mówisz?

- Te watykańskie cymbały przysły wprost do tej knajpy, no, do Captain Tony's, i zgarnęły Toma. Wzięli go pod łokcie i po prostu zdjęli z barowego stołka.

- Watykańskie cymbały?

- Właśnie - potwierdził Max, wyraźnie zadowolony, że tak doskonale się rozumieją. - To było wczoraj. I odtąd go nie widziałem. Czy ten dzieciuch odnalazł samochód Toma?

Miles odpowiedział po prostu, że tak, znalazł, choć raz odmawiając Maxowi przyjemności złapania go na kolejny haczyk. Na początku tygodnia ojciec Mark odbył wyprawę na wybrzeże, żeby odzyskać parafialną crown victorię.

- Założę się, że była dokładnie tam, gdzie ci powiedziałem.

- Czy dobrze ci zrozumiałem, tato? - spytał Miles. - Chcesz pochwały za to, że powiedziałeś mi, gdzie zostawiłeś kradziony samochód?

- Niczego nie ukradłem.

- Nie? A co powiesz na tę dwudziestkę, którą podprowadziłeś mi z kieszeni koszuli?

Max nie usłyszał tego pytania.

- No więc jak myślisz, dokąd mogli go zabrać?

- Na pewno w bezpieczne miejsce, gdzie zostanie otoczony należyłą opieką.

- Był całkiem bezpieczny tam, gdzie był. Myśmy się nim opiekowali. Miałem nadzieję, że to wolny kraj. A może wy, katolicy, nie wierzycie w wolność?

- Czy czegoś ci potrzeba, tato?

- Mógłbyś przysłać mi trochę forsy, gdybyś odczuwał taką potrzebę. Nie masz pojęcia, ile tu sobie winszują za piwo. A jeszcze się nawet sezon nie zaczął.

Znaczy to: ponieważ ojciec Tom został wywieziony, Max stracił źródło darmowych kuponów obiadowych.

- Tylko skąd oni wiedzieli, gdzie go szukać? - spytał Miles.

- Kto?

- Te watykańskie cymbały.  
- Pewnie dzieciuch im powiedział.  
- Nie, nie sądzę. Chcesz wiedzieć, co myślę, tato? Myślę, że jak się skończyły pieniądze, ty sam zatelefonowałeś do diecezji.  
- Mówisz to tylko dlatego, że nie chcesz mi wysłać forsy - powiedział Max.

- Jak to się dzieje, że zawsze tylko mnie o to prosisz? Dlaczego choć raz nie poprosisz Davida?

- Z tobą mi się lepiej układa. Niektórzy ludzie są łatwiejsi, inni mają grubszą skórę. Ty jesteś jak twoja matka. A David jest bardziej jak ja.

- Jak na człowieka, który pięciu minut nie mógł usiedzieć w domu, pokładasz sporo wiary w logikę genetyki.

- Nigdy nie wątpiłem, że David jest moim synem, jeśli o to ci chodzi. Nie bardziej niż w to, że ty nim byłeś.

Aha, więc do tego zmierzamy, zdał sobie sprawę Miles.

- Widzisz, mężczyzna zawsze wie, co jest jego - powiedział Max. - Tick jest twoja?

- Tak.

- A skąd masz pewność? Robiłeś badania krwi?

Na schodach prowadzących do jego mieszkania dały się słyszeć kroki. To pewnie Charlene, jeśli się nie mylił, chociaż bez trudu mógłby sobie wyobrazić, że były to kroki matki, która zjawiła się wywołana tą rozmową, żeby rozwiać ich wątpliwości.

- Ile potrzebujesz, tato?

- Na razie jest w porządku - powiedział Max, tak jakby i on znużył się tą rozmową. - Dam ci znać. Ale na pierwszego pojedź do mojego mieszkania, weź mój czek z zasiłkiem i mi go tu przyslij, dobrze?

- Dobrze.

Miles zostawił drzwi uchylone i Charlene zapukała ostrzegawczo, nim wetknęła głowę do środka. Wiedział, że w normalnych warunkach na widok Milesa ubranego jedynie w ręcznik kąpielowy owinięty wokół bioder, zaraz by go poczęstowała jakąś ciętą uwagą. Nie tym razem.

- Lepiej zjedź na dół - to było wszystko, co miała do powiedzenia Charlene, nim wycofała się i zamknęła drzwi.

- Hej tam, stary druhu! - zawołał Walt podnieconym głosem. Zawsze mu przeszkadzało, kiedy coś się działo na jednym końcu kontuaru, podczas gdy on siedział na drugim. Tak było i tym razem, gdy tylko się zorientował,

że chyba nie przypadkiem Miles, David i Charlene stanęli w przeciwnym rogu, gdzie nie można było usłyszeć, o czym rozmawiają.

- Jeśli nie wrócę za godzinę - mówił Miles do Charlene cichym, spokojnym tonem, choć w rzeczywistości z trudem nad sobą opanował - zadzwoń do Brendy. Jak ona nie będzie mogła, spróbuj z Janine. - Jego była żona mogła przejąć jego obowiązki z marszu, zakładając oczywiście, że do tego czasu skończy demolowanie jeepa.

- Ktoś powinien pojechać do Bei - powiedział David. - Wyglądała naprawdę na zgnębiałą. - Minęło może pięć minut od ich wyjścia z Calahana, gdy w pubie zjawili się dwóch stanowych inspektorów sanitarnych i w przeciągu pół godziny zamknęli lokal. Długa lista naruszonych przepisów uwzględniała instalację elektryczną, o której Miles już wiedział, poza tym stare i nieodpowiednie wyposażenie łazienki - kwestia bezsporna - jak również odchody gryzoni w kuchni na środku podłogi - tylko dlatego na środku, że Miles odsunął od ściany lodówkę i stary piecyk, czego nikt nie robił od dobrych dziesięciu lat, żeby mieć do nich lepszy dostęp podczas naprawy. Wykroczenia naruszające przepisy sanitarne i zasady bezpieczeństwa ciągnęły się do dołu strony, przy czym niektóre były drobne i możliwe do usunięcia niewielkim nakładem kosztów, inne - znacznie poważniejsze i o wiele kosztowniejsze. W punkcie: „Zaleca się (ale nie wymaga)”, inspektorzy proponowali nowy dach, zauważyli bowiem ślady zacieków na wewnętrznych ścianach, a jeśli chodzi o koszty napraw w punkcie „wymaga się”, to szacowali, że mogą się zamknąć w kwocie stu tysięcy dolarów - co było o dwadzieścia tysięcy więcej, niż Bea i jej mąż zapłacili za ten interes przed trzydziestu laty.

- Wystarczy ci pół godziny? - Miles skierował to pytanie do Charlene, jako że w tym momencie David był jedyną osobą, która nie mogła opuścić restauracji.

Skinęła głową.

- Ale nie dłużej - ostrzegł ją David. - W czwartki goście zaczynają się schodzić wcześniej. A potem zwrócił się do Milesa: - To ty powinieneś pojechać do Bei, nie Charlene.

- Pojadę tam, jak tylko skończę rozmawiać z panią Whiting.

- Błagałem cię, żebyś się z nią spotkał, już nie wiem ile razy, a ty...

- A ja właśnie zrozumiałem, że miałaś rację - przerwał mu Miles.

- Teraz też mam rację - zapewnił go brat. - Do diabła z nią. Już cię widywałem w tym stanie, Miles. Powinieneś poczekać, dopóki nie ochłonesz. Gdybym miał obie ręce sprawne, zmusiłbym cię do tego siłą.

- Ciesz się, że nie możesz - Miles usłyszał swój głos, po czym natychmiast



zamknął oczy i potrząsnął głową, bo zdał sobie sprawę z tego, co właśnie powiedział. - Przepraszam, żałuję, że...

- Dopóki nie zrobisz sobie czegoś takiego - David uniósł niesprawne ramię - nie zrozumiesz, co znaczy czegoś „żałować”.

- David...

Ale jego brat już się odwrócił.

- Mam do zrobienia sto pięćdziesiąt porcji enchilady z frutti di mare - powiedział. - A ty zrobisz, co uważasz.

Charlene wzięła go za łokieć.

- Miles, nawet nie masz pewności, że ona za tym stoi. To może być zwykły zbieg okoliczności.

Miles potrząsnął głową.

- Niespodziewana inspekcja sanitarna w tym samym tygodniu co faceci z Komisji Kontroli Licencji na Alkohol?

To było we wtorek, przedstawiciel stanowej Komisji Licencji zjawiał się późnym popołudniem w odpowiedzi na doniesienia, jakoby Bea sprzedawała alkohol nieletnim. Jeszcze jedno tego typu wykroczenie, ostrzegł ją, kiedy usiadła za barem, żeby wypełnić formularz, który jej podsunął, może skończyć się utratą licencji. A kiedy zapytała go, jakie było jej pierwsze wykroczenie, kontroler wskazał na wnękę, gdzie przy stole siedziała Tick i odrabiała lekcje. Tick zjawiała się dosłownie pięć minut wcześniej, wsunęła się na ławkę w swojej ulubionej wnęcie i zrobiła sobie miejsce na stole, zepchnąwszy na bok dwie do połowy wypite szklanki z piwem, których Bea nie zdążyła jeszcze sprzątnąć.

- Chyba mi pani nie powie, że ta dziewczynka ma dwadzieścia jeden lat, co? A przecież siedzi przy stole, na którym stoją dwie szklanki z piwem. Zna pani prawo, pani Majeski - powiedział, biorąc się za spisywanie protokołu. - Może się pani odwołać, oczywiście. W przeciwnym razie musi pani uiścić tę grzywnę w ciągu sześćdziesięciu dni.

- Gdzie się podział Curtis? - zapytała Bea o urzędnika, który zwykle przyjeżdżał na kontrole.

- O ile się nie mylę, przeszedł na emeryturę - powiedział, idąc do wyjścia. Już w drzwiach zatrzymał się i dodał: - A, byłbym zapomniał, pani Majeski. Powodzenia z nową restauracją.

- Nie - odpowiedział teraz Miles na pytanie Charlene. - To nie jest zbieg okoliczności. Ani to, że w następnym tygodniu dostaje propozycję kupna od jakiegoś całkiem obcego faceta. Nie ma mowy.

- Wiem - zgodziła się Charlene. - Wiem. Ja tylko... Nie wyobrażam sobie, co zrobię, jeśli zostanę bez pracy.

- O to się nie martw - powiedział Miles, ściskając ją za rękę, akurat tego jednego jakoś całkowicie pewien. - Pani Whiting nie zamknie Empire Grilla. Bo chce, żeby działał. Chce, żebyśmy wszyscy tu zostali. A przynajmniej, żebym ja został.

Charlene potrząsnęła głową.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Ale ja rozumiem - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. - Zajęło mi to trochę czasu, ale teraz już rozumiem.

- Hej tam, stary druhu! - żołądkował się Walt. - Chodźże tu nareszcie! Dziś jest wielki dzień, mój przyjacielu! Już mi się nie wymkniesz! - mówiąc to, już ustawiał łokieć na blacie, i poruszał palcami uniesionej do góry dłoni.

Rzeczywiście Miles widział teraz wszystko jasno. Nawet Walta Comeau rozumiał. Srebrny Lis, poślubiając Janine, bez wątplenia liczył na to, że umocni swoją reputację jako pierwszorzędnego „macho” i podrywacz. Teraz, w tydzień po ślubie, już zaczynał się orientować, że Janine może równie dobrze okazać się klęską dla jego męskości. Za całą tą pyszałkowatą brawurą Miles widział męską panikę - niemal wyczuwał jej zapach - która wyraźnie wzmogła się, gdy szedł w stronę Walta ze stołkiem, i stawiał go dokładnie naprzeciwko niego po drugiej stronie kontuaru.

- O, mój Jezu - jęknął Horacy Weymouth, zupełnie jakby w kolejnej partii remika nieoczekiwanie dostał do ręki karty, jakich nigdy w życiu nie widział.

- Powiedz start, Horacy - rozkazał Miles, nie patrząc na niego.

- Start - powiedział Horacy, na co Miles uderzył wierzchem dłoni Walta w kontuar z taką siłą, że trzy szklanki podskoczyły i spadły na podłogę, gdzie rozbiły się z hukiem. Z taką siłą, że nogi Srebrnego Lisa wyprostowały się nagle i przez ułamek sekundy jego całe ciało zawisło równoległe do blatu, niczym ofiara nieoczekiwanej lewitacji, dla której przygwożdżona ręka stanowiła jedyny łącznik z Matką Ziemią. W tej samej chwili Miles puścił jego rękę, a wtedy Walt wylądował na ziemi, przy czym najpierw w twarde linoleum uderzyło jego siedzenie, następnie tył głowy, a na koniec obie stopy, które tylko raz podskoczyły. Potem Srebrny Lis znieruchomiał na podłodze, a gałki oczne uciekły mu do góry, ukazując białka.

Miles był już wtedy za drzwiami.

Brama była nadal otwarta, ale Miles zaparkował na ulicy i wszedł na podwórze pomiędzy dwiema kamiennymi kolumnami. Przez te wszystkie lata, kiedy jego matka pracowała w fabryce koszul, nigdy nie przeszedł poza sklepiony łuk bramy, fakt, który teraz wydawał się zdumiewający. Po śmierci Grace nie było już oczywiście powodu, żeby tam wchodzić, ale kiedy w tej chwili znalazł się na dziedzińcu, nie mógł się oprzeć uczuciu, że nareszcie spełnił jakąś powinność, od której zbyt długo się uchylał.

Biała limuzyna jeszcze ciągle tam stała, a po drugiej stronie ceglanego muru ujrzał lincolna pani Whiting, którego nie było widać z ulicy. Za tylną szybą, na półce za siedzeniem Miles zauważył nieruchome zwierzątko, które na pierwszy rzut oka wyglądało, jak typowa samochodowa maskotka z głową kiwającą się rytmicznie na znak zgody, gdy pojazd jest w ruchu, ale po chwili zdał sobie sprawę, że to żywa kotka Timmy. Zwierzę przyglądało mu się ciekawie, obserwując jego przemarsz przez dziedziniec z uśmiechem, jeśli można powiedzieć o kotach innych niż kot z Cheshire, że się uśmiechają. Nagle Miles usłyszał za sobą odgłos otwieranych drzwi od samochodu, a kiedy się odwrócił w tamtą stronę, stwierdził, że to coś czerwonego, co mu wcześniej mignęło w przelocie, to camaro Jimmy'ego Minty, którego widok zasłaniała limuzyna.

Pani Whiting i mężczyźni z limuzyny przechodzili akurat z budynku fabryki koszul do przedzalni, która znajdowała się kawałek dalej, nieopodal wodospadów. Panowie przystanęli przed wejściem, spoglądając za wyciągniętą ręką pani Whiting, najpierw w górę na stary budynek, potem w dal, na drugą stronę rzeki. Co im pokazywała? Swoją własną dom, który znajdował się o jakieś czterysta metrów w górę rzeki? Czyżby jej dom również był na sprzedaż?

Skrajem dziedzińca biegła ceglana ścieżka, prowadząca wokół fabryki koszul i dalej po zboczach w dół, gdzie znajdował się młyn, i w tym miejscu właśnie ustawił się Jimmy Minty.

- Znajdujesz się na terenie prywatnym, Miles - powiedział na powitanie.

- Myślałem, że to wszystko należy do miasta.

- Nie będziemy się kłócić - Jimmy Minty wzruszył ramionami. - W każdym razie jest wywieszka.

Tym razem nie miał na sobie kurtki w kratę, jaką zwykle nosił, kiedy był na służbie. Niemniej Miles postanowił sprawdzić.

- Z kim teraz rozmawiam, Jimmy?

- Nie rozumiem.

Stali twarzą w twarz.

- Jesteś na służbie?

- Coś w tym rodzaju. Jestem tu na prywatne zlecenie.

- Jak kiedyś twój ojciec, czy tak?

Skinął głową.

- Stary pan Honus Whiting od czasu do czasu wynajmował mego tatę. Pewnego wieczora widziałem, jak sprął takiego jednego gościa, o tam, nie-daleko od miejsca, gdzie stoimy. Mały gnojek był uparty jak osioł. Mógł uniknąć tego lania.

- A twoja matka? Też mogła uniknąć bicia?

Minty milczał chwilę, nim odpowiedział.

- Nie - powiedział ze smutkiem. - Nie wydaje mi się. Pewnie u was w domu nieraz było to słycać, co?

- Powinniśmy byli za każdym razem wzywać policję.

Wyglądało na to, że ich rozmowa uruchomiła lawinę wspomnień.

- Opowiadałem ci kiedyś, jak pewnego razu twoja mama do nas przyszła? Ciebie wtedy chyba nie było w domu. Było upalne letnie po południe, wszystkie okna pootwierane. Mój staruszek wydzierał się akurat na mamę, jak to on potrafił, kiedy go wkurzyła, a gdy nagle się odwrócił, zobaczył, że twoja mama stoi na środku naszego salonu, jakby to był jej dom. Spojrzała na mego staruszka i powiedziała, że ma „natychmiast w tej sekundzie” przestać i nigdy więcej tego nie robić. „Natychmiast w tej sekundzie” - to były dokładnie jej słowa. W ręku trzymała młotek, odwrócony tak, że jego ostra rozwidlona końcówka była wystawiona do przodu.

Miles bez trudu zobaczył całą scenę. „Natychmiast w tej sekundzie” to było istotnie jedno z jej ulubionych wyrażen. On sam widział Grace roz-wścieżoną raz, może dwa razy, ale potrafił sobie wyobrazić ją z tym młotkiem, podobnie jak mógł sobie wyobrazić Williama Minty, jak cofa się na jej widok.

- Trudno powiedzieć, co by się stało, gdyby moja mama się nie odezwała - zachichotał Jimmy. - Siedziała na podłodze z rozbitą wargą, patrzyła na twoją matkę, która stała tam z tym swoim młotkiem i nagle mówi jej, żeby se poszła w cholere, niech pilnuje swego nosa. Wiesz, twoja mama, która była taką śliczną kobitką, to było coś, czego moja mama najbardziej się bała, nawet bardziej niż mego staruszka - przerwał na moment. - Nigdy ci o tym nie wspomniała, co?

- Ani słowem.

Wzruszył ramionami.

- Co tam, nic, tylko splunąć na tę całą zasraną przeszłość, nie? - A kiedy Miles nie śpieszył się z wyrażeniem swojej opinii co do tego, czy rzeczywiście jest to możliwe lub godne polecenia, oczy mu się zwięzły jak szparki. - Mój chłopak, Zack, myśli o tym, żeby zrezygnować z drużyny, słyszałeś o tym? Próbuje mu tłumaczyć, żeby tego nie robił, ale sam nie wiem. Trener już go nie wystawia w reprezentacji, więc może ma rację. No, bo jaki w tym sens? Wszystko przez to całe gówno, które na niego powypisywali w gazetach, że niby nieczysto gra. Podejrzewam, że teraz wszyscy są przekonani, że z niego jest zły dzieciak. A twój przyjaciel, pan dyrektor, zwała na niego winę za to, co się stało z tą staruszką, którą znaleźli.

Miles miał tego dość.

- Jimmy, przyszedłem tu, bo muszę się zobaczyć z panią Whiting. To nie zajmie dużo czasu.

Jego rozmówca zrobił minę, jakby przyjął z ulgą zmianę tematu.

- Powiedziała mi, że mam cię umówić na jutro.

- Wiedziała, że tu przyjdę?

- Nie ma chyba rzeczy, której ta dama by nie wiedziała, Miles. Jest zawsze o parę kroków przed takimi ludźmi, jak ty i ja. Zawiodła się na tobie czy coś w tym rodzaju, takie odniosłem wrażenie.

- Jestem pewien, że nie omieszka mi o tym powiedzieć osobiście - odparł Miles, po czym spróbował obejść policjanta, ale ten chwycił go za lewy łokieć.

- Tyle że to nie będzie dzisiaj.

Gdy Miles uderzył go najmocniej jak potrafił, Jimmy Minty ponownie chwycił za jego łokieć, żeby nie stracić równowagi, ale ostatecznie puścił, żeby usiąść na krawężniku, biegnącym wzdłuż ceglanej ścieżki. Miał złamany nos, tyle Miles mógł powiedzieć. Minęła dłuższa chwila, nim Jimmy'emu poszła krew, a gdy się pojawiła, płynęła obfitym strumieniem, wsiąkając w przód jego białej koszuli. Z miejsca, gdzie stał, Miles widział kotkę Timmy, która biegła jak oszalała wewnątrz lincolna, od jednego okna do drugiego, jakby obstawiła gruby zakład o wynik tych działań wojennych.

W dole nad rzeką pani Whiting i panowie z limuzyny weszli do młyna. Miles stał nad Mintym, niepewny, co teraz powinno nastąpić. Policjant odchylił się do tyłu i, podparty obiema rękami, na wpół leżał, patrząc prosto przed siebie w szare niebo. Prawdopodobnie liczył na to, że krew nie będzie leciała do góry. Pociągnął nosem cztery czy pięć razy, a potem dmuchnął z całej siły, bryzgając krwią na nich obu.

- Proszę, proszę, coś takiego? - powiedział. - Nasz starszek Miles Roby dopuszcza się przemocy. A to ludzie będą zaskoczeni.

Miles spojrział na niego i nagle, nie wiedząc czemu, przypomniało mu się, jakiej rady udzielił mu kiedyś ojciec na temat policjantów: „Najgorsze, co mogą ci zrobić, wcale nie jest takie złe, synu”. Miles musiał przyznać, że fakt, iż w tak ważnej sprawie postępuje zgodnie z zaleceniami ojca, jest wysoce niepokojący. Ale ciągle daleko mu było do żalu z powodu tego, co się wydarzyło, a coś mu mówiło, że w późniejszym terminie będzie miał na to jeszcze mnóstwo czasu.

Po minucie najgorszy krwotok minął i Jimmy Minty wstał z ziemi. Trochę się chwiał na nogach, ale Miles zauważył, że był całkowicie zde-terminowany i gotowy do działania.

- Chodź ze mną do wozu - rozkazał. - Muszę założyć ci kajdanki.
- Nie, dopóki nie porozmawiam z panią Whiting.
- Mam swoje rozkazy.
- No, cóż...

Minty wycelował swoją pięść prosto w brzuch, aż Miles zgiął się w pół. Drugi cios posłał go na jedno kolano. Ciągle jeszcze próbował odetchnąć po tych dwóch pierwszych, gdy Jimmy uderzył go za lewym uchem, aż Miles poczuł eksplozję w czaszce. Osunął się na ceglana ścieżkę i czekał na następne ciosy, a kiedy nie padły, obrócił się na bok i zobaczył, że Minty stoi przy swoim camaro i grzebie w schowku, co musiało oznaczać, że Miles stracił przytomność, i to na co najmniej kilka sekund. W chwili gdy policjant znalazł kajdanki, Miles, który zdołał się pozbierać, znów stał na nogach.

- Lepiej zrobisz, jak z powrotem se siadniesz, Roby - poradził mu Minty. Nos mu napuchł i stał się szarosiny. - Narobiłeś zamieszania, no to musiałem temu zaradzić.

Milesowi przyszło na myśl, że pomimo złamanego nosa dla Jimmy'ego Minty musiało to być niesłychanie satysfakcjonujące doświadczenie. Z łatwością uniknął kolejnego ciosu, jaki Miles mu zadał, po czym Miles ponownie wylądował na kolanach, trzymając się za żołądek i wymiotując na cegły.

- No dobra, dosyć tej zabawy, teraz się wyprostuj i wyciągnij ręce do przodu - powiedział Minty, ale Miles zamiast tego dwukrotnie spróbował wstać i dwukrotnie wylądował z powrotem na ziemi.

Kiedy pani Whiting i panowie z limuzyny powrócili ceglana dróżką nad rzeki, jedno oko Milesa było kompletnie zamknięte, drugie spoglądało zaledwie wąską szparką. Dwaj przeciwnicy siedzieli twarzą do siebie na

przeciwległych krawężnikach. Wyglądali, jakby obaj w tej walce przegrali, zwycięzcy zaś, jeśli w ogóle byli, z niewyjaśnionych powodów dali nogę. Kajdanki ciągle wisiały, zaczepione na palcu policjanta co Miles mógł to po nim poznać - wprawiło go w wyraźne zawstydzenie.

- Bardzo proszę, pani Whiting, niech pani przejdzie - rzekł Minty przyduszonym głosem, oddychając z trudem. - Ja tu zaraz skończę tylko najprędzej muszę se trochę odsapnąć.

Biznesmeni, wyraźnie zdenerwowani, obeszlili dwóch tubylców szerokim łukiem, zeszlili nawet ze ścieżki na trawę, żeby ich wyminąć.

- Zadziwiasz mnie, drogi chłopcze - powitała go pani Whiting. - Co to za sprawa była aż tak ważna, że nie mogła poczekać do jutra?

Po drugiej stronie dziedzińca drzwi limuzyny otworzyły się i zatrzasnęły - solidny odgłos dużych pieniędzy, zamykających się szczelnie w środku. Ponieważ Miles podejrzewał, że pani Whiting oczekuje od niego, iż powie coś na temat Callahana, postanowił, że sprawi jej zawód.

- Przyszedłem tylko, żeby złożyć wymówienie - powiedział jej zamiast tego. - Będzie pani musiała znaleźć kogoś innego na moje miejsce do prowadzenia Empire Grilla.

Jimmy Minty przestał obmacywać złamany nos i zaczął się uważnie przysłuchiwać.

- Widzę, że doznałeś jakiegoś dziwnego objawienia, drogi chłopcze - zauważyła pani Whiting. - Mam jednak pewną propozycję. Co powiesz na to, żeby najpierw całą rzecz ponownie przemyśleć? Decyzje podejmowane w porywie gniewu rzadko bywają rozsądne.

- A co pani może wiedzieć o porywach?

- No cóż, to prawda, nieczęsto ulegam porywom, jak to się dzieje z co bardziej romantycznymi charakterami - przyznała. - Ale jesteśmy, jacy jesteśmy, głową muru nie przebijemy. Czego nie da się uniknąć, do tego trzeba przywyknąć, nieprawdaż?

- Raczej zemścić się za to, co nas dotknęło - powiedział Miles. - To pani miała na myśli, prawda?

Uśmiechnęła się z uznaniem.

- Hm, raczej odplacić pięknym za nadobne. Tylko tak możemy przetrwać, drogi chłopcze. A teraz zanim powiesz kolejne słowo w złości, za które będę zmuszona cię ukarać, zechciej łaskawie umilknąć i zastanowić się nie tylko nad swoją przyszłością, ale także nad przyszłością swojej córki. Niewątpliwie już za parę lat pomoc w pokryciu kosztów uniwersytetu może okazać się równie konieczna, jak to się stało w twoim wypadku - przerwała na moment, pozwalając, by jej słowa dobrze zapadły mu w świadomość. - Poza

tym jest jeszcze twój brat i inni, którzy liczą na tę pracę, a Empire Grill, jak wiemy, daje im skromne środki egzystencji.

- Siła i opanowanie. Prawda, Francine?

Po raz pierwszy w życiu nazwał ją po imieniu. Właściwie przez lata niemal całkiem o nim zapomniał. Dziwna rzecz, że przypomniało mu się w takim momencie.

Nawet jeśli ten intymny zwrot uraził panią Whiting, zadała sobie trud, żeby to skrętnie ukryć.

- Ach! - zawołała w udawanym zachwycie. - A więc jednak słuchałeś z uwagą moich małych lekcji, prawda, drogi chłopcze? Nigdy nie miałam co do tego pewności. - I z tymi słowami odwróciła się na pięcie i lekkim sprężystym krokiem ruszyła w stronę lincolna.

- On wołał moją matkę, prawda, pani Whiting? - zawołał w ślad za nią Miles. - I tylko o to przez cały czas chodziło, zgadza się?

Zatrzymała się - na moment zastygła w bezruchu - a następnie zawróciła i podeszła do miejsca, gdzie siedział.

- A czyż nie jestem ideałem chrześcijańskiej wyrozumiałości i tolerancji, drogi chłopcze? Czy nie wybaczyłam twojej matce jej występku? Czy nie przyjełam jej do tego samego domu, który ona zniszczyła? Czyż nie stwarzałam jej okazji do pokuty i odkupienia, o które wy, katolicy, nieustannie zabiegacie?

- Odkupienia? Chyba raczej zemsty?

- No cóż, jak to raz wyłuszczyłam mojemu mężowi, w tym związku każde z nas miało swój mały udział. - Znowu ruszyła do samochodu, ale ponownie zatrzymała się i odwróciła w jego stronę. - Nie chciałabym cię pozostawić w błędzie, drogi chłopcze. Byłam szczerze przywiązana do twojej matki, podobnie jak jestem przywiązana do ciebie. Myślę, że w rezultacie twoja matka była zadowolona, iż sprawy nie ułożyły się całkiem tak, jak na to liczyła. Lubię sobie wyobrażać, że ona także z czasem zrozumiała, iż życie to jedno wielkie szaleństwo.

Skończywszy mówić, spojrzała jeszcze na policjanta.

- Myślisz, Jimmy, że dasz radę zamknąć tę bramę? Kłódka ciężko chodzi i jej zamknięcie wymaga nieskończenie wiele zachodu.

- Dopilnuję tego, pani Whiting.

Miles mimo woli uśmiechnął się, słysząc obietnicę, którą on również dawał tej kobiecie niezmiennie przez ostatnich dwadzieścia pięć lat - dokładnie o tym myślała jego matka, kiedy tłumaczyła mu, że nade wszystko nie chce dla niego takiego losu. Lincoln przejechał już między dwiema kolumnami i zniknął, podążając w ślad za limuzyną, gdy nagle Miles poczuł,



że coś ociera się o jego łokieć. Odwrócił się i zobaczył, że była to Timmy, która musiała się wymknąć z auta, gdy pani Whiting otworzyła drzwi. Najwidoczniej kotka była zadowolona z obrażeń, jakich doznał Miles, bo tym razem wyjątkowo nie kwapiła się z zadaniem mu dodatkowego bólu.

Jimmy Minty wstał i podał Milesowi rękę, którą ten przyjął, a następnie wyciągnął obie złączone w nadgarstkach, pozwalając, by Jimmy zakuł go w kajdanki. Jimmy poprowadził go do samochodu, mocnym kopniakiem odganiając kota, który próbował iść za nimi.

Miles usiłował sobie bezskutecznie przypomnieć, kiedy ostatni raz jechał sportowym samochodem. Silnik zawarczał niczym zwierzę uwięzione w klatce dokładnie pod jego stopami. Charlene wyznała mu kiedyś, że według niej jest to niesłychanie podniecający dźwięk. Rzeczywiście, ludzkie szaleństwo. Za bramą Minty zostawił auto na ręcznym hamulcu i wrócił, żeby zamknąć bramę. Jak przewidziała pani Whiting, nie było to łatwe zadanie i Miles słyszał, jak Jimmy klnie, mocując się z kłódką.

- Nie powinienes tutaj wracać, stary - powiedział Jimmy Minty, ruszając z miejsca. - Twoja matka miała rację, jeśli o to chodzi. Nigdy nie zapomnę, jak ona strasznie na ciebie krzyczała. Myślę, że chyba to właśnie chciałem ci powiedzieć, zanim to wszystko się między nami zaczęło. - Wydawało się, że przez „to wszystko” rozumiał to, co się wydarzyło, odkąd we wrześnie natknął się na Milesa, siedzącego w samochodzie zaparkowanym naprzeciwko domu rodzinnego. - Strasznie się czułem, kiedy słyszałem, jak ona się tak wydzieraa na ciebie, wszystkie te rzeczy, które ci wykrzyczała tuż przed śmiercią. A ty tylko próbowałeś jej pomóc.

Miles zamknął oczy i wsłuchał się w tamten głos, którego wspomnienie było wciąż żywe i jakże okropnie bolesne. „Odejdź stąd, Miles! Zabijasz mnie. Nie możesz tego zrozumieć? Twoja obecność tutaj mnie zabija. Zabija mnie!”.

- Chociaż ciebie pewnie niespecjalnie obchodzi, czy było mi ciebie żal czy nie - dodał Minty.

- Czy możesz coś dla mnie zrobić, Jimmy? - spytał Miles, kiedy camaro skręciło w Empire Avenue.

- Jasne! - Widać było, że bardzo chciał pokazać, iż niezależnie od tego, jak okrutnie i źle będzie się go traktować, on nie jest tego typu facetem, który nie spełni prośby, jeśli się go ładnie poprosi.

- Spytaj mojego brata, czy mógłby dopilnować, żeby Tick pojechała w niedzielę do Bostonu, dobrze?

Zapomniał o obietnicy danej córce, obietnicy, która być może - gdyby o niej pamiętał - powstrzymałaby go od wstąpienia na tę bardzo złą drogę. Przypomniał sobie, jak dosłownie kilkanaście minut temu pomyślał, że na żal będzie miał mnóstwo czasu później. Jakże prędko to „później” nadeszło.

### 30

Stół Niebieski jest dziś w bluesowym nastroju. Ciekawe, zastanawia się Tick, czy w jakimś stopniu ma to związek z przeciągającą się nieobecnością Johna Vossa, który był i tak bardziej nieobecny niż obecny, kiedy tu jeszcze siedział obok niej. Nawet Candance, na którą zazwyczaj można było liczyć, że będzie trajkotać od dzwonka do dzwonka, dzisiaj milczy. Tick nie tyle próbuje dojść przyczyny milczenia koleżanki, które rozumie, ile w jaki sposób różne rzeczy się dzieją: a dokładniej, czy dzieją się one szybko czy wolno. Wie z ostatnio nabytego doświadczenia, że cały świat może się zmienić nie wiadomo kiedy, dosłownie w mgnieniu oka, ale podejrzewa, że ta nagłość to w sumie tylko złudzenie.

Weźmy taką Candance. Czy zostały przyjaciółkami nagle wczoraj, czy też ich przyjaźń zawiązywała się i rosła od września? Jedno jest bezsporne, że fakt ten zdziwił je obie. Wyraz twarzy Candance wczoraj po południu - mieszanina wdzięczności i niedowierzania - był żywym świadectwem zaskoczenia, jakie wywołał widok Tick stojącej na progu mieszkania Candance. Od miesiąca namawiała Tick, żeby wpadła do niej któregoś popołudnia po szkole, to pójdą razem na spacer nad rzekę, ale mówiła to jakby mimochodem, co mogło dowodzić, że sama nie bardzo wierzyła, by mogło do tego dojść.

Tick bez trudu odnalazła dom - trzypiętrowy budynek przy Front Street - gdzie Candance mieszka razem z matką i jej obecnym narzeczonym. Domy na tej ulicy stoją frontem do rzeki, poniżej wodospadów, i jest to najgorsza dzielnica w całym Empire Falls. W dawnych czasach, kiedy jeszcze miasto stanowiło własność kompanii tekstylnej Empire Textile, mieszkali tu najbardziej francusko-kanadyjscy imigranci. Domy pobudowano tylko po północnej stronie ulicy, a były po temu ważne powody. W dniach chwały kompanii, rozpuszczalniki i barwniki, jakich używano do produkcji tkanin, wylewano wprost do rzeki, zabarwiając brzegi poniżej wodospadów na

czerwoną, zieloną i żółtą, w zależności od dnia tygodnia i wielkości dziennej produkcji. Strone brzegi oznaczone były warstwicami jak pnie drzew, z tą różnicą, że te na ziemi były wielobarwne niczym tęcza; nie oznaczały też lat, tylko wyższy i niższy poziom wody w rzece. Nawet teraz, pięćdziesiąt lat później, tylko najbardziej wytrzymałe chwasty i zarośla rosną po południowej stronie chodnika na Front Street, a kiedy raz na jakiś czas chaszczki zostaną wycięte, na odsłoniętym karczowisku pojawiają się zaskakujące pasy wypłowiałego seledynu i czerwieni.

Mieszkanie było na drugim piętrze, a prowadzące do niego drzwi znajdowały się na wprost rozchwierutanych schodów. Kobieta, która otworzyła na pukanie Tick, była duża, bez stanika, a za to z brudnymi włosami i nie wyglądała na tyle staro, by mieć szesnastoletnią córkę. Z otwartych drzwi buchnął na Tick podmuch niezdrowego gorąca, a za plecami kobiety zauważyła mężczyznę, który na oko mógł być w wieku jej taty i ubrany był w wojskowy siatkowy podkoszulek. Siedział przy kuchennym stole, z ponurym skupieniem studiując ulotkę reklamową z supermarketu w Fairhaven.

- Hej tam, kretynko! - zawołała kobieta przez ramię w głąb mieszkania, nie przejmując się takimi drobiazgami jak powitanie Tick. - Candy! Masz gości! - po czym odeszła od otwartych drzwi, pozostawiając Tick decyzję, czy chce wejść, czy woli zostać na korytarzu. Tick wołała zostać na zewnątrz. Widok tej okropnej kobiety miał taki skutek, że swą niedawną kłótnię z matką Tick ujrzała w całkiem odmiennej perspektywie.

Kiedy Candance pojawiła się w drzwiach do kuchni, jej twarz w jednej chwili rozjaśniła się na widok Tick, a zaraz potem spochmurniała ze zmieszania, wywołanego obecnością takiej dziewczyny jak Tick Roby w tej nędznej okolicy. Ostatni raz Candance była taka zaskoczona we wrześnie, kiedy ta sama dziewczyna dołączyła do klasy plastycznej, w której byli tylko ona i cała reszta „tępaków”.

- Cześć - przywitała ją przeproszającym tonem.  
- Czy możemy pójść na spacer? - poprosiła Tick.  
- Jasne - twarz Candance błyskawicznie się rozpozgodziła, jakby stanęła przed życiową okazją.

- W każdym razie - mówiła Candance, schodząc z Tick nad rzekę - sprawy tak się mają, że teraz jestem zakochana w Justinie.

Pod koniec suchego października w rzece był wyjątkowo niski poziom wody, dlatego mogły skakać po kamieniach, dość znacznie oddalając się od brzegu. Z brzegu wydawało im się nawet, że mogłyby zagrać w klasy i

skacząc po kamieniach, dostać się aż na drugi brzeg, ale Tick przekonała się, że im były bliżej środka rzeki, tym dalej od siebie leżały wystające z wody głazy. Również wiatr był bardziej przenikliwy z dala od osłoniętego brzegu, dlatego zmieniły kierunek i zaczęły się posuwać z biegiem rzeki w stronę zakola, gdzie wcięta linia brzegowa zapewniała osłonę od wiatru.

- Justin? - powtórzyła Tick, kiedy dotarły do paru większych skał, gdzie mogły usiąść i odpocząć. Uśmiechnęła się mimowolnie na myśl o tej parze - Candance i Justin Dibble, który większość czasu spędzał na dokuczaniu Candance opowieściami o niesamowitej, potwornej, namiętnej miłości, jaką według niego zapalał do niej John Voss. Tick miała mocne podejrzenie, że Candance nie zdawała sobie sprawy, iż przeskakując emocjonalnie, jeśli nie fizycznie, od chłopaka do chłopaka, naśladuje swoją matkę.

- On mnie naprawdę kocha - zapewniła teraz, jakby uczucie tego chłopaka do niej było tu decydującym czynnikiem, w przeciwieństwie do uczuć, jakie ona żywiła do niego.

- A co z Zackiem?

- Pewnie dojdzie do bójki, jak tylko wypuszczą go ze szpitala - przyznała Candance fatalistycznie.

Dziwnym trafem do ostatniej bójki o Candance nie doszło. Na początku tygodnia Bobby, jej były chłopak z Fairhaven, o którym Candance opowiadała, że siedział w areszcie, zjawił się u nich szkole i czekał przed wejściem na dziedziniec na Zacka Minty, którego nigdy nie widział na oczy. Nie miał też pojęcia, że chłopak, któremu zamierzał skopać tyłek, tego samego dnia z rana został przyjęty do szpitala z zainfekowaną raną na goleni. Z jakiegoś powodu Zack czekał dłuższy czas, nim komuś pokazał tę ranę, twierdząc, że nawet nie pamięta, gdzie i kiedy się zranił, ale podejrzewa, że pewnie musiało mu się to stać podczas treningu. Lekarzowi na izbie przyjęć nie wyglądało to na kontuzję, jakiej zawodnik może się nabawić, grając w futbol, dlatego niezwłocznie włączył do leczenia antybiotyki. Przez długi czas gorączka się utrzymywała i jeszcze wczoraj lekarze nadal chcieli go zatrzymać na obserwacji, chociaż obiecali zarówno jemu, jak jego ojcu, że jeśli gorączka znowu nie podskoczy, to wypuszczą go w piątek i pozwolą, żeby w sobotę wziął udział w ostatnim meczu na własnym boisku w tym sezonie.

- Jak myślisz, czy Justin wygra? - zastanawiała się Candance w rozmarzeniu, tak jakby to była sprawa ogromnej wagi niczym konflikt Superman kontra Niesamowity Hulk.

- Walcząc z Bobbym czy Zackiem? - spytała Tick, chociaż to nie robiło większej różnicy, jako że Justin nie miał szans ani z jednym, ani z drugim.

- Z Zackiem - wyjaśniła Candance. - Nie myślę, żeby Bobby chciał walczyć z Justinem. On chciał się spróbować z Zackiem, bo słyszał, że to twardy gościu.

Nawet w zatoczce osłoniętej od najgorszego wiatru panował chłód - zmierzchało też, chociaż nie było jeszcze czwartej. Mimo to miały dobry pomysł, żeby przyjść tutaj. Tick czuła, jak stopniowo wraca jej humor. Ramię ciągle jej dokuczalo, bo jednak ten plecak mocno ją pociągnął, ale to, co się stało, bardziej ją wystraszyło, niż zraniło fizycznie. Poza tym już sama rozmowa z Candance jak zwykle dobrze jej zrobiła, chociaż zastanawiała się, czy fakt, że druga osoba jest w znacznie gorszej sytuacji od nas, stanowi właściwą podstawę przyjaźni. Obie dziewczynki milczały przez chwilę, wsłuchując się w szmer wody u ich stóp.

- Kiedy byłaś z Zackiem... - Candance odezwała się pierwsza. - Kiedy byliście razem, czy graliście kiedyś w taką grę z rewolwerem?

Tick obserwowała twarz koleżanki. W jej oczach dostrzegła strach.

- Raz - przyznała.

- Mówił, że ciągle w to graliście. Chciał i mnie do tego namówić.

Zack nazywał tę zabawę „polską ruletką”, co miało być żartem. Rozłożył jeden z rewolwerów swojego ojca na części, żeby pokazać Tick, że w magazynku nie ma amunicji. Potem przykładano się lufę tego rewolweru do skroni i pociągało za spust. Sprawa polegała na tym, tłumaczył jej Zack, żeby pokazać, czy działasz racjonalnie. Bo skoro udowodniono ci naocznie, że broń nie jest załadowana, w takim razie nie masz się czego obawiać. Tyle że to nadal jest broń i twój umysł nie potrafi o tym zapomnieć. - To naprawdę nieźle nakręca - zapewnił ze śmiechem. - Bo cały czas myślisz, a co by było, gdybym się mylił i w magazynku była jedna kula, której nikt nie zauważył?

- Powiedz, nie masz tego, że jak się przekonasz, że ludzie kłamią, to strasznie cię to wpienia? - spytała Candance, najwyraźniej w odniesieniu do tego, co Zack opowiadał, że on i Tick bez przerwy grywali w tę ruletkę.

- Candance - powiedziała Tick poważnie. - Obiecuj mi, że nigdy więcej nie będziesz się w to bawić.

- W porządku - Candance wzruszyła ramionami. Wyglądało to tak, jakby jej strach wyparował w tej samej chwili, w której podzieliła się tą sprawą ze swoją przyjaciółką.

- Nie, ja mówię poważnie - upierała się Tick. - Obiecaj mi teraz zaraz albo nie będziemy się więcej przyjaźnić.

- No, dobra, niech ci będzie - powiedziała Candance, już trochę bardziej poważnie. A potem: - Jesteśmy przyjaciółkami? Czy mogę powiedzieć ludziom, że jesteśmy przyjaciółkami?

- Pewnie. Czemu nie? - Widząc, jak bardzo Candance na tym zależy, Tick zaczęła się zastanawiać, czy zrobiłoby jakąś różnicę, gdyby to samo powiedziała Johnowi Vossowi. No bo może jest tak, że wszystko, czego ludziom potrzeba na tym świecie, to pewność, że się ma przyjaciela? A co by było, gdyby się okazało, że to my jesteśmy tym przyjacielem, tylko nie chcieliśmy tych dwóch prostych słów wypowiedzieć głośno?

Było już prawie całkiem ciemno, gdy wstały i rozpoczęły wędrówkę powrotną do brzegu. W pewnej chwili ich uwagę przykuł jakiś ruch na zboczu schodzącym do rzeki. Jakies pięćdziesiąt metrów w górę rzeki, dokładnie w miejscu, gdzie rzeka zaginała swój bieg w stronę Empire Falls, stała grupa mężczyzn w garniturach, skulonych i drżących z zimna, ale skupionych. Wyglądało na to, że słuchają z natężeniem kobiety, w której Tick rozpoznała panią Whiting, właścicielkę Empire Grilla i, zgodnie z tym, co mówił jej tata, niemal wszystkiego w tym mieście. Na drodze powyżej, ledwie widoczna poprzez nagie jesienne drzewa, stała biała limuzyna i to ona właśnie przyciągnęła wzrok Candance.

- O, mój Boże - westchnęła. - Chciałabys się kiedyś przejechać czymś takim?

Jednakże Tick zwróciła uwagę na coś innego. Zauważyła, że tamta kobieta również je widzi. I chociaż obie z Candance stały blisko siebie na jednej wielkiej skale, w jakiś sposób miała pewność, że pani Whiting uśmiecha się nie do Candance, tylko do niej.

Powoli, dochodzi do wniosku Tick. Rzeczy dzieją się powoli. Nie jest całkiem pewna, dlaczego to zrozumienie zasady działania świata miałyby być takie ważne, ale czuje, że jest. Kto wie, może to jest przyczyna tego, że ten człowiek, Bill Taylor, wcale nie jest dobrym malarzem. Jego sztuka powstaje szybko, zresztą on stale mówi o tym, jak szybko zmienia się światło, jakie to ważne, żebyśmy się nauczyli „atakować” nasz obraz, żebyśmy starali się uchwycić to, co widzimy, ponieważ nigdy więcej nie zobaczymy dokładnie tego samego. Tick rozumie, o co mu chodzi, ale nie może pozbyć się uczucia, że twierdzenie przeciwne jest równie prawdziwe.

Bo weźmy jej rodziców. Przedtem wydawało jej się, że ich separacja to był grom z jasnego nieba, a przecież teraz widzi, że wcale nie, był to powolny proces, mający swoje źródło w niezaspokojeniu potrzeb i niezadowoleniu - a w gruncie rzeczy, w ich osobowościach. Może cała ta sprawa tylko na Tick spadła jak grom z jasnego nieba, a w rzeczywistości powolny marsz jej matki od kontaktu wzrokowego do flirtu, od niewierności do rozwodu i ponownego małżeństwa był jak spokojna podróż na taśmie stairmastera, której kulminacja jest tylko początkiem kolejnej wspinaczki, równie powolnej i nieubłaganej.

I na tym to polega, stwierdza Tick. To, że rzeczy dzieją się powoli, nie oznacza wcale, że będziesz na nie lepiej przygotowana. Dopiero gdyby się działy szybko, musiałabyś przez cały czas zachowywać czujność, spodziewając się wszelkiego rodzaju nagłych i niespodziewanych sytuacji i mając świadomość, że szybki refleks jest atutem. „Powoli” działa na zupełnie innej zasadzie, na złudnym wrażeniu, że mamy mnóstwo czasu na przygotowania, co zaciemnia zasadniczy fakt, że nieważne, jak wolno rzeczy będą się działy, ty i tak zawsze będziesz wolniejsza.

W pracowni plastycznej znajduje się długi rząd okien wychodzących na tyły szkoły i wielki parking, który nigdy nie jest całkowicie wypełniony, chyba że właśnie odbywa się mecz koszykówki chłopców. Dziś po południu na parkingu jest zajętych tylko cztery czy pięć pierwszych rzędów i ze swojego miejsca przy stole Błękitnym Tick może zobaczyć coś na kształt prostego korytarza między trzecim i czwartym rzędem samochodów, co oznacza, że zaledwie ośmiu czy dziesięciu kierowców respektowało żółte linie namalowane na czarnym asfalcie. Z tyłu za parkingiem zaczyna się łagodne zbocze, które opada do wielkiego owalu bieżni, o której tata opowiedział jej kiedyś zabawną historię. Dalej jest otwarte pole, które ciągnie się aż do linii drzew, gdzie zaczynają się mokradła. Właśnie w tym miejscu, w luce pomiędzy samochodami, Tick spostrzega ledwie widoczny, poruszający się punkcik. Punkcik wygląda jak mała piłka podskakująca w podmuchach łagodnego wiatru na tafli jeziora, tyle że w miejscu, gdzie patrzy Tick, nie ma żadnej wody.

Tick leniwie obserwuje to coś, cokolwiek to jest, co podskakuje raz w górę, raz w dół, to znów na boki, po czym powraca do swojej martwej natury, którą skończyła już dwa dni temu, ale ciągle czuje, że praca nie jest gotowa, chociaż nie jest pewna dlaczego. Może dlatego, że nie może zrozumieć, w jaki sposób coś, co zostało tak kiepsko namalowane, można by uznać za skończone. Martwi ją również myśl, że to, co jest nie tak w jej obrazku, mogło się wziąć z błędnej decyzji, jaką podjęła na samym początku. Co gorsza,

nie ma pewności, czy ta zła decyzja wzięła się z tego, że pani Roderigue wybrała taką brzydką piwonię, czy może to wina samej Tick. Jej własną decyzję, żeby namalować piwonie w jej brzydocie, nie zaś w pięknie, dałoby się jeszcze obronić, myśli Tick, ale teraz uświadamia sobie, że pozostałe kwiaty również namalowała tak, jakby i one były zwiędłe i brzydkie. Jeśli przedstawianie rzeczy ładniejszymi, niż są, można uznać za kłamstwo, to w takim razie przedstawianie ich brzydszymi, niż są, musi też być kłamstwem. Oczywiście może jeszcze trochę popracować nad swoim obrazkiem, poprawić parę szczegółów, ale nie zmieni to kłamstwa, które leży u jego podstaw. Tylko rozpoczęcie wszystkiego od nowa mogłoby to naprawić, ale na to jest już za późno. W przyszłym tygodniu zaczynają nowy temat.

Patrzy ukradkiem na obrazek Candance i jest zaskoczona, bo obrazek wcale nie jest taki zły. Do tej pory Candance po prostu przerabiała swoje prace z poprzedniego roku, chociaż Tick osobiście nie zalecałaby tej strategii, zważywszy na to, że w zeszłym roku Candance była w tej samej klasie i oblała ją na podstawie tych samych prac. Ale pani Roderigue zdaje się niczego nie pamiętać i jak dotąd żadna ze starych prac Candance nie otrzymała takiej samej oceny, jak w poprzednim roku - co samo w sobie, myśli Tick, jest znaczącym faktem, którym pan Meyer zapewne chętnie by się zainteresował. Na to, że oceny pani Roderigue wystawione uczuciom odpowiadają wysokości zarobków ich rodziców - o czym wspomniał kiedyś tata - już zwrócono uwagę pana Meyera. Mogłoby to tłumaczyć, dlaczego Candance w tym roku wiedzie się lepiej.

Największe wrażenie na Tick robi w obrazku przyjaciółki to, że udało jej się osiągnąć dokładnie to, czego żądała od nich pani Roderigue - to znaczy, żeby zapamiętać piękno piwonii i namalować to wspomnienie. W pewnym sensie wielki jaskraworóżowy kwiat miłości jest doskonałym tematem dla Candance. Widząc, jak dobrze jej poszło, Tick odczuwa jednocześnie radość i smutek. Wczoraj w drodze powrotnej do domu znad rzeki scementowały swoją przyjaźń, dzieląc się prawdziwymi sekretami. Naturalnie Candance od początku roku stała się Tick z sekretów, ale teraz po raz pierwszy Tick odwzajemniła jej się tym samym.

Sekret, którym podzieliła się Candance, jest taki, że ona i Justin już ze sobą spali, co tłumaczy, dlaczego dzisiaj w klasie Justin jest przez cały czas taki milczący i dlaczego oboje wymieniają nieśmiałe, zalęknione uśmiechy, pełne wdzięczności, zdziwienia i skruchy za każdym razem, kiedy on podnosi wzrok znad swojej pracy. Z kolei Tick powiedziała Candance, że to ona zabrała nóż exacto wtedy we wrześnie i że dlatego go dotychczas nie



znaleziono, ponieważ ona potajemnie ukryła go w bocznej kieszeni swojego plecaka. Co więcej, przyznała się, że powód, dla którego nie wrzuciła tego noża do szafki z przyborami plastycznymi, jest taki, że podoba jej się sam fakt posiadania broni, co oczywiście jest absurdalne jak na pacyfistkę, za jaką sama Tick się uważa. W rzeczywistości za każdym razem, kiedy wyjmuje go z plecaka i dotyka jego gładkiej powierzchni, jej lewe ramię zaczyna drętwieć i musi zaraz nóż odłożyć, bo czuje, jak robi jej się niedobrze. Wie, że powinna dzisiaj po lekcji odłożyć nóż na miejsce do szafy z przyborami, ale tego nie robi, bo wie również, że Zack Minty wyszedł dziś rano ze szpitala. Minęła go na korytarzu podczas przerwy i widziała, w jaki sposób patrzył na nią i na Candance. Od dziesięciu minut ciągle spodziewa się, że drzwi do klasy nagle się otworzą i Zack najspokojniej w świecie dosiądzie się do ich stołu Niebieskiego. Tick przez cały czas ma przeczucie, że wydarzy się coś złego, zwłaszcza po tym, co wczoraj zaszło między jej tatą i ojcem Zacka.

Ciągle nie może uwierzyć, że jej tata pójdzie do więzienia. Zgodnie z tym, co mówi wujek David, tam właśnie wyląduje, jak tylko poczuje się na tyle dobrze, że będą go mogli wypuścić ze szpitala. Ojciec Zacka chciał go wtrącić do celi już wczoraj, kiedy przyjechali na posterunek, ale szef policji wysłał ich prosto do szpitala Empire General, gdzie do tej pory Tick nie pozwolono go odwiedzić. Według tego, co mówili jej wujek i Charlene, która czekała na nią w domu, adwokat, którego zaraz wynajęli, nie sądził, żeby go mieli zamknąć na długo. Ale raczej nie było wątpliwości, że go zaaresztują i będzie musiał wpłacić kaucję. Wujek mówił, że najbardziej ze wszystkiego jej tata strasznie się wstydzi. Nie chce, żeby Tick zobaczyła go w obecnym stanie. Ale chce, żeby wiedziała, jak strasznie mu przykro, że zawałił tę ich wyprawę do Bostonu w niedzielę, chociaż zamiast niego mają ją zabrać David i Charlene. I że ani się obejrzy, jak wszystko znowu wróci do normy.

A kiedy Charlene i jej wujek zaczęli zbierać się do wyjścia, Tick przyszło nagle do głowy, żeby zapytać, gdzie jest jej mama. Sama Tick zwlekała z powrotem do domu z obawy przed nieuniknioną sceną. Po ich kłótni na Empire Avenue wiedziała, że matka będzie jednym kłębkim nerwów, miotając się między złością a niepokojem, a Walt będzie siedział w kącie i tylko pogorszy całą sprawę.

Dwoje dorosłych niezręcznie wymieniło spojrzenie, które mówiło, że było to dokładnie pytanie, którego, mieli nadzieję, ona im nie zada.

- Niedługo będzie z powrotem w domu - odpowiedziała Charlene. - Jest w szpitalu.

A potem powiedzieli jej, że nie, mama nie odwiedza w szpitalu taty, tylko Walta, który trafił tam ze wstrząsem mózgu i złamaną ręką. Następnie, bardzo niechętnie opowiedzieli, jak do tego doszło.

Wówczas przyszło jej do głowy kolejne pytanie.

- W takim razie kto w tej chwili obsługuje restaurację?

- Zamknęliśmy ją na dzisiejszy wieczór - przyznał David. - Nie dało się tego uniknąć. Chcesz pojechać z nami na enchiladę? Mam jej w piecu chyba na sto pięćdziesiąt osób.

I tak właśnie zrobili, we troje. Siedzieli w narożnej wnęce po ciemku i jedząc w milczeniu enchiladę obserwowali samochody, które podjeżdżały na parking i na widok wywieszki na drzwiach, odjeżdżały z powrotem.

W tym czasie Tick robiła obliczenia w pamięci. W ciągu jednego dnia matka o mały włos nie pociągnęłaby jej na plecaku za samochodem po Empire Avenue; zostały najlepszymi przyjaciółkami z Candance Burke; jej ojciec złamał Waltowi Comeau rękę podczas mocowania się, a potem wdał się w bijatykę z policjantem i wylądował w szpitalu, z którego zostanie zawieziony prosto do aresztu; na drzwiach Empire Grilla znalazła się wywieszka: „Zamknięte aż do odwołania”. A jej lista nie obejmowała okropnych wydarzeń z początku tygodnia.

Ale wkrótce wszystko wróci do normy?

Cokolwiek to było, co podskakiwało w oddali, Tick widzi, że to coś ciągle tam podskakuje, tyle że teraz jest bliżej. Wygląda to jak ludzka głowa, chociaż to oczywiście nie ma sensu. Obserwuje to dalej, ciekawa, czy okaże się, że jest w tym jakiś sens, czy też pozostanie nonsensem, i już się chce założyć, że to drugie - być może na potwierdzenie irracjonalności świata, gdzie ludzie, których znała, jak jej tata, stają się ludźmi, których nie zna, i gdzie cały świat wywraca się do góry nogami, a rzeczy pewne i trwałe stają się płynne jak przedmioty na obrazie Salvadora Dali, gdzie ludzkie głowy, oderwane od ciał, unoszą się na trawie falującej na wietrze - kiedy nagle ta podskakująca za oknem głowa zmienia się na jej oczach, przez co świat z powrotem ląduje na swoim dawnym miejscu, chociaż nie do końca. Ponieważ ta głowa, uświadamia sobie Tick, należy do Johna Vossa i w rzeczywistości wcale nie podskakuje na wodzie ani nie unosi się na falującej trawie, tylko zwyczajnie jest niesiona na jego własnych ramionach. A to, co widziała, był to jego naturalny rozkołysany chód. Wielkimi krokami John zbliża się do szkoły, przecinając dalekie pole, a potem bieżnię. Do tej pory jego ciało po prostu skrywało się za obniżeniem terenu i dopiero kiedy zaczyna podchodzić pod łagodne zbrocze, gdzie kiedyś jej tata stracił panowanie nad nowym

lincolnem pani Whiting, stopniowo pojawiają się jego szyja, ramiona i korpus, przybierając rozpoznawalną ludzką formę. A wtedy, równie nagle, chłopak zmienia kierunek i znika za rzędami samochodów, znika tak kompletnie, że Tick zadaje sobie pytanie, czy przypadkiem wszystko to nie było wytworem jej wyobraźni.

Na dowód, że nic jej się nie przywidziało, tylko widziała to naprawdę, drętwieje jej lewe ramię. I jest to najlepszy dowód.

Dopiero kiedy ten szesnastoletni chłopak wchodzi do klasy, z plastikową torbą na zakupy zwiniętą pod pachą, Tick uświadamia sobie, z jak wielką ulgą przyjęła jego zniknięcie. Chociaż czuje się z tego powodu strasznie zawstydzona, nie może temu zaprzeczyć. Jedno spojrzenie na niego teraz - opuszczona głowa, zgarbione plecy, zdecydowane milczenie, tak jakby myślał, że może tak bez słowa wejść do pracowni plastycznej i zacząć dokładnie tam, gdzie przerwał - przywołuje w jej pamięci myśl, którą przez cały ostatni tydzień bardzo starała się ignorować i z powodu której była zbyt zawstydzona, żeby się z niej zwierzyć nawet swojemu tacie: że wszystkim jest lepiej bez tego chłopca.

Nie chodzi o to, że to on jest przyczyną wszystkich tych kłopotów, bo wie dobrze, że to nieprawda. W rzeczywistości nie można go winić nawet za to, co się stało z jego babcią. W pewnym sensie John Voss przypomina Jezusa - jest, być może, bez winy, niemniej stanowi źródło wszystkich kłopotów. Gdyby Jezus odszedł, życie w Galilei powróciłoby do normy, dokładnie tak jak obiecał jej tata, że wkrótce stanie się tutaj, w Empire Falls. Tak więc kiedy Tick znowu widzi Johna - a jest pierwszą osobą, ponieważ obserwowała drzwi do klasy, czekając, kiedy się otworzą - bezwiednie wymyka jej się życzenie, żeby zniknął powtórnie, tym razem na dobre. Żeby umarł? Czy o to jej chodziło? Ma nadzieję, że nie. Nikt nie mógłby pragnąć, żeby ten chłopiec, żeby to dziecko, które godzinami wisiało w worku na brudną bieliznę wewnątrz ciemnej szafy, nie istniało. Tylko niech nie istnieje tutaj, w tym mieście, ponieważ to miejsce okazało się dla niego niedobre. Tick czuje się tak, jak musieli się czuć uczniowie Jezusa. Nigdy nie życzyli mu, żeby został ukrzyżowany, ale jaką ulgę musieli poczuć, kiedy zasunięto kamień, zamykający wejście do grobowca, a oni mogli znowu powrócić do swoich dawnych zajęć i znów łowić ryby, bo to umieli robić, zamiast łowić ludzi, czego nie umieli. Nic dziwnego, że później nie rozpoznali Go na drodze do Damaszku. Nie chcieli, nie bardziej niż Tick teraz tego biednego chłopca, powitać w swoim gronie.

Poza tym, że jest bez winy, John Voss naturalnie w niczym nie przypomina Jezusa. Jest niczym więcej tylko milczącym, ponurym i gniewnym ciężarem, którego nikt, nie wyłączając Tick, nie chce dźwigać na ramionach. Poza jej tatą, który dał mu pracę, i Tick, która ofiarowała mu absolutne minimum życzliwości, jedyną osobą, która okazała mu trochę serca, była jego babka, a on odpłacił jej za to serce, wyrzucając jej zwłoki na śmietniko, jakby to była stara szmata. Nie, już jego krótkie zniknięcie było błogosławieństwem, pozwoliło tę potworną historię wymazać ze społecznej świadomości. To prawda, przez ostatnich pięć dni wszyscy go szukali po całym hrabstwie Dexter, ale jest też prawdą, że nikt nie liczył na to, że go znajdzie. Tick zastanawia się: ciekawe, czy jest na to jakieś określenie? Na taką rzecz, której wszyscy szukają, a nikt tak naprawdę nie chce znaleźć? Na taką rzecz, której nagłe zniknięcie wszystkim potajemnie sprawia ulgę, żeby nikt nie musiał się czuć winny, gdyby to on na niego kiedyś się natknął.

John Voss kieruje się prosto do stołu Niebieskiego i zatrzymuje się parę kroków od Tick, niewątpliwie z tego powodu, że nie ma tam dla niego miejsca. Istotnie, już następnego dnia po jego zniknięciu przy ich stole ubyłoby jedno krzesło, co dowodzi, jak uświadamia sobie teraz Tick, że było to nie tylko jej, lecz wspólne potajemne życzenie ich wszystkich. Jednocześnie Tick widzi, że pani Roderigue wstaje zza biurka i, rzecz nie do wiary, najwyraźniej rozważa możliwość przejścia przez klasę. Wszyscy pozostali tylko patrzą w osłupieniu.

Nie odrywając oczu od podłogi, John kładzie swoją zwiniętą plastikową torbę na stole z głuchym stuknięciem. Teraz, kiedy jest blisko, Tick czuje jego zapach. Jest to ten sam nieświeży odór, jaki było czuć od niego we wrześnie, zanim zaczął pracować w restauracji. Jego ubranie jest mokre i oblepione błotem, w potarganych włosach widać kawałki liści i patyków. W klasie panuje absolutna cisza. Tick nic nie czuje w lewej stronie ciała. Sięga pod stół do swojego plecaka, gdzie w jednej z bocznych kieszeni znajduje się, oprócz noża exacto, dodatkowa kanapka, którą jak co dzień od tygodnia przyniosła, na wypadek gdyby chłopak się pojawił.

Justin Dibble odzywa się pierwszy.

- Hej, John - mówi, tak jakby to był zwykły dzień, kolejna lekcja plastyki. - Co masz w tej torbie?

Z początku wydaje się, że nie usłyszał. Kiedy w końcu sięga do torby i wyciąga z niej rewolwer, Tick myśli, że zrobił tak nie tyle w odpowiedzi na pytanie Justina, ile na wezwanie jakiegoś głosu w jego głowie. Rewolwer wygląda jak antyk albo może jak rekwizyt teatralny, ma drewnianą rękojeść

i długą lufę. Podnosi go, celuje i pociąga za cyngiel bez wahania i nagle Justin Dibble znika wśród potwornego huk. Po prostu nie siedzi już na swoim krześle. Pani Roderigue, która doszła właśnie do środka sali, zatrzymuje się obok wazonu z kwiatami, który malowali, niezdolna ruszyć się w przód ani w tył, ani nawet krzyknąć, i jeszcze echo pierwszej eksplozji nie zdążyło wybrzmieć, gdy następują dwie kolejne i pani Roderigue pada na kolana, wielka piwonia rozkwita na jej piersi, a wazon z kwiatami spada ze stołu i roztrzaskuje się na podłodze.

- O mój Boże, o mój Boże - jęczy Candance, a Tick wyciąga rękę w stronę chłopaka na chwilę przed kolejnym, czwartym, ogłuszającym strzałem. Nie jest pewna, czy go dotknęła, ale widocznie tak, ponieważ John Voss powoli odwraca się, żeby na nią spojrzeć. Oboje teraz stoją, chociaż ona nie pamięta momentu, w którym wstała z krzesła. Z tyłu za sobą słyszy albo wyobraża sobie, że słyszy odgłos otwieranych drzwi i tupot nóg pozostałych uczniów, którzy wybiegają z klasy, co sama bardzo by chciała również zrobić, gdyby jej własne nogi na to pozwoliły. Czuje, jak jej pole widzenia zwęża się w taki sposób, jak wtedy, gdy ma za chwilę zemdleć. Patrzy w stronę, gdzie przed chwilą siedziała Candance, ale dziewczyny tam nie ma, i Tick ma nadzieję, że znaczy to, że Candance albo uciekła, albo schowała się pod stołem. Bardzo chce, że by Candance nie była ranna, teraz kiedy są przyjaciółkami.

Tick przychodzi na myśl, że głupia gra Zacka Minty przygotowała ją na ten moment. Staje twarzą w twarz z Johnem Vossem i zbiera w sobie całą odwagę, na jaką ją stać, gdyż wie, że zaraz będzie po wszystkim. Jej widzenie zawęża się teraz do tego stopnia, że ledwie go widzi, jego zakrwawioną twarz, jego niemal smutne oczy. Kiedy się odzywa, jego głos napływa z bardzo daleka.

- To właśnie mi się śni - mówi do niej, w odpowiedzi na pytanie, które zadała mu bardzo dawno temu. Potem naciska cyngiel i Tick słyszy huk, co do którego jest przekonana, że będzie ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszy w życiu, a potem czuje, że zapada się w ciemność.

## 31

Na drugim końcu miasta Miles Roby siedział na brzegu szpitalnego łóżka, układając w głowie listę osób, którym winien był przeprosiny, kiedy jedna z nich, jego była teściowa, weszła i usiadła na krześle stojącym przy

drzwiach, po czym wybuchnęła gromkim niepohamowanym śmiechem. Miles przyglądał się Bei jednym zdrowym okiem, ponieważ drugie nadal było szczerlnie zaklejone, z powodu śluzu, krwiaka i opuchlizny. Wreszcie przestała się śmiać i złapała oddech.

- Przepraszam cię, Miles - westchnęła. - Ale nie śmieję się z ciebie.

Jak na kłamstwo, wydało się ono wyjątkowo słabe mężczyźni, który był ubrany w szpitalną piżamę, tak spraną i tak wytartą, że darła się na przetarciach. A dwuosobową salę miał wyłącznie do swojej dyspozycji, tak więc nie mogło być mowy, żeby jego teściowa śmiała się z kogoś innego. Z początku to drugie łóżko było zajęte, przez kogóż by, jak nie przez Jimmy'ego Minty, w związku z czym Miles zastanawiał się nawet nad taką kwestią, czy nie jest to przypadkiem jakaś perwersyjna polityka szpitala, żeby ludzie, którzy pobili się ze sobą, zajmowali potem wspólną salę. Prawdę mówiąc, to Jimmy Minty bardziej obił Milesa niż odwrotnie, i to był powód, dla którego policjant został wypisany wcześniej, a Miles, ze stłuczonymi nerkami i pękniętym zębem, dwoma wybitymi zębami i krwiomoczem, był zmuszony leżeć dalej, otumaniony lekami, żeby odwiedzający mogli się z niego do woli naśmiewać. Pomiedzy wczorajszym wieczorem a dzisiejszym porankiem miał z pół tuzina gości, chociaż odwiedziny trochę mu się zamazywały i mieszały, z powodu środków przeciwbólowych, które podano mu na noc. David i Charlene przyszli go oczywiście zobaczyć i ojciec Mark, który przyniósł nowinę, że nareszcie było już wszystko oficjalnie wiadomo: Sacré Coeur i św. Katarzyna miały się stać jedną parafią. On sam czekał na przeniesienie, jeszcze nie wiedział dokąd; domyślał się, że gdzieś bardziej na północ, gdzie jest jeszcze zimniej niż tutaj. Nawet Janine wpadła na krótko. Cały Miles, cały on, powiedziała mu. Żeby wstać i pójść wreszcie zrobić coś ciekawego, ale dopiero po tym, jak ona się z nim rozwiodła. Spytała także, czy on zdaje sobie sprawę, że z tymi dwoma wybitymi zębami zaczyna przypominać Maxa. No, ale przynajmniej trzymała Tick z dala od szpitala, za co był jej wdzięczny.

Godzinę temu poprosił pielęgniarkę, czy nie mogłaby mu podać jeszcze jednej dawki tego pysznego środka przeciwbólowego, który dostał zeszłej nocy, ale ona się tylko uśmiechnęła i powiedziała: „Och, nie, nie sądzę”, a powiedziała to takim tonem, jakby świetnie wiedziała, że jest niegrzecznym chłopcem, który strasznie lubi się tym opychać. W ramach rekompensaty poczęstowała go dwiema pastylkami tylenolu, który był jednak o niebo gorszy, bo głowę miał nadal jak rozhuśtaną piłeczkę jo-jo, zawieszoną na końcu sznurka, który znalazł się w rękach złośliwego bachora. Na parę minut przed

tym, jak Bea wkroczyła do sali, zanosząc się od śmiechu, trzy ambulanse stacjonujące w garażu dokładnie pod jego salą - błąd projektanta, bez dwóch zdań - wyjechały na sygnale, udając się Bóg wie dokąd - a ich syreny wyły tak potwornie głośno, że głowa omal mu nie pękła. Na wszystko to, z czego zdawał sobie sprawę, w pełni sobie zasłużył.

- Przed chwilą wetknęłam głowę do sali na drugim końcu korytarza - wyjaśniła nareszcie Bea. - Powinieneś zobaczyć tego cholernego koguta!

Naturalnie nazwisko Walta Comeau znajdowało się wysoko na jego liście ludzi, których Miles powinien przeprosić, i był to powód, dla którego siedział na krawędzi łóżka, zamiast leżeć, jak Bóg przykazał, gdyż właśnie się zastanawiał, czy gdyby to zrobił powoli i ostrożnie, może z pomocą balkoniku, którego wcześniej używał, żeby pójść do łazienki, mógłby spróbować przejść na drugi koniec korytarza do sali, gdzie - jak David i Charlene mu powiedzieli - leży Srebrny Lis, dochodząc do siebie. Miles pomyślał, że Walta mogłoby trochę rozweselić, gdyby zobaczył, w jakim kiepskim stanie jest człowiek, który złamał mu rękę i przyprawił o wstrząs mózgu.

Z drugiej strony, dlaczego przedsięwziąć tak trudną wyprawę tylko po to, żeby przeproszać jedną osobę, skoro druga kandydatka do przeprosin stała właśnie przed nim?

- Beo - powiedział Miles, zwieszając głowę. - Nawet nie potrafię ci powiedzieć, jak strasznie mi przykro.

- Nie widzę powodu - odparła. - Sam się o to prosił.

- Nie o tym mówię - zapewnił ją Miles. Głos rozbrzmiewał mu dziwnym echem wewnątrz czaszki niczym telefon zza oceanu z lekkim pogłosem z powodu odbicia z satelity. - Chodzi mi o twój bar. Powiniennem być to przewidzieć. To znaczy, co ona z tym zrobi.

Wtedy Bea wzięła go za rękę i zaczęła się przyglądać jego ciągle opuchniętym palcom.

- A skoro mowa o barze, dziś rano dostałam propozycję. - Podniosła głowę i spojrzała na niego. - Nie wyglądasz na zaskoczonego.

- Pani Whiting?

Wzruszyła ramionami.

- Propozycja przyszła z jakiejś kancelarii adwokackiej w Bostonie, za pośrednictwem naszej miejscowej agencji sprzedaży nieruchomości, ale w sumie tak, na to bym stawiała.

- Dobre warunki?

- Chyba ze trzydzieści czy czterdzieści kawalków więcej niż ta buda jest warta.

- Powinnaś ją przyjąć.

- Wiem. Może tak zrobię. - Spojrzała mu w jedno oko, długo i twardo.

- Zrób tak. Skinęła głową.

- Ale mimo wszystko myślę sobie, niech ją szlag.

W tej chwili usłyszeli, że coś się dzieje na korytarzu. Najpierw jakieś krzyki, a potem doktor, dwie pielęgniarki i sanitariusz gdzieś popędzili z tupotem.

- Nie jestem pewien, czy nawet taki szczywany adwokat jak F. Lee Bailey wygrałby sprawę z tą kobietą - powiedział Miles, czując, jak ogarnia go straszliwe wyczerpanie na samą myśl o niej. - W każdym razie na pewno nie w hrabstwie Dexter.

- Skąd wiesz? - spytała Bea. - Od dwudziestu lat nikt nie próbował.

- Były po temu powody.

Bea wstała, wyraźnie zawiedziona.

- No cóż, lepiej sobie pójść, zanim cię całkiem nie wykończę. Ale powiedz mi jeszcze tylko jedną rzecz. Nie wolałbyś odejść w blasku chwały?

Uśmiechnął się mimowolnie.

- Spójrz na mnie, Beo - powiedział, chociaż ona nie spuszczała z niego oczu. - Ja właśnie to zrobiłem.

Po jej wyjściu Miles wstał i podszedł do okna. Stał tam, spoglądając w dal, ponad parkingiem szpitalnym i linią nagich drzew, gdzie płynęła siwa rzeka.

Miał jeszcze jednego gościa. Poprzedniego wieczoru, chyba, jakoś tak. Nie mógł sobie dokładnie przypomnieć kiedy. A może to było dzisiaj wczesnie rano. Odpłynął w narkotyczny sen, a kiedy się przebudził ze zdrygnięciem, ujrzał Cindy Whiting, siedzącą przy jego łóżku. Jej wygląd zaskoczył go prawie tak bardzo, jak jej odwiedziny. Miles nie mógł się oprzeć myśli, że była zdumiewająco podobna do matki. Lub raczej, jak Miles sobie wyobrażał, że pani Whiting mogłaby wyglądać po długiej chorobie, naturalnie zakładając, że istniał jakiś wirus, który poważiłby się potraktować ją jako swoją nosicielkę. Trudno było powiedzieć, ile kilogramów Cindy straciła od czasu, kiedy razem byli na meczu futbolowym - kiedy to było? Trzy tygodnie temu? Twarz miała bladą i wychudłą, a ciało na ramionach obwisło.



- Obudziłeś się - powiedziała.
- Od dawna tu jesteś?
- Od jakiegoś czasu - przyznała. - Wiesz, o czym właśnie myślałam? Jakie to dziwne, że ty i ja przypadkiem urodziliśmy się jednego dnia. Tutaj, w tym szpitalu.
- Niemal o tej samej godzinie.
- Przez długi czas uważałam, że to znak. Że było naszym przeznaczeniem, żebyśmy byli razem. I niemal tak się stało, prawda, Miles? - A kiedy nie odpowiedział, ciągnęła dalej: - Pamiętasz, jak się pocałowaliśmy?

Pamiętał. Był to impuls zrodzony ze smutku i rozterki wewnętrznej, a przecież mimo to niemożliwy do cofnięcia czy wymazania z pamięci. Bóg mu świadkiem, latami próbował zapomnieć. Stało się to ostatniej nocy, którą Grace w końcowym stadium choroby spędziła w domu Whitingów. Następnego dnia została przewieziona do szpitala, gdzie żyła jeszcze czterdzieści osiem godzin, z których większość spędziła w sypialni. Czerwiec był upalny tamtego roku i na nalegania Grace Max, który dopiero co powrócił z Keys, dwa tygodnie wcześniej zabrał Davida ze sobą na wybrzeże, niby to twierdząc, że ten będzie mu pomagał przy malowaniu domów, ale faktycznie po to, żeby chłopak nie musiał patrzeć, jak umiera matka. Choroba zabrała już Rogera Sperry i Miles, który przebywał w domu od października, po całych dniach pracował w Empire Grillu. Był wdzięczny losowi, że ma zajęcie, i wydłużał godziny pracy, na ile to było możliwe, chociaż sam przed sobą wstydził się, że porzucił szkołę, żeby być ze swoją umierającą matką, a zamiast tego chował się w restauracji, w wieku dwudziestu jeden lat nie bardziej gotowy na jej śmierć niż dwunastoletni David. Tym bardziej, że resztki sił, jakie jeszcze się w niej tliły, Grace zużywała na wyrażanie swojego gniewu - mówiąc dokładniej, była to wściekłość - z powodu jego decyzji porzucenia college'u St. Luke's. Mimo że rok akademicki już się skończył - miesiąc temu pojechał na uczelnię, żeby wziąć udział w uroczystości ukończenia studiów przez Petera i Dawn - i mimo że nie miało już sensu, żeby się złościła o coś, co stało się nieaktualne, Grace, słaba i nieprzytomna z bólu, czepiała się tej swojej złości, jakby tylko to było w stanie utrzymać ją jeszcze przy życiu. Czy on nie rozumie, zadawała mu w kółko jedno i to samo pytanie, czy on naprawdę nie zdaje sobie sprawy, że już sam jego widok pogłębia jej cierpienie? W miarę jak stan matki się pogarszał, Miles coraz bardziej opóźniał swoje wizyty, często przyjeżdżając do domu Whitingów w porze, kiedy zgodnie z rytmem jej choroby Grace mogła już spać albo była mocno oszołomiona po dużej dawce morfiny.

Tak więc okazało się, że to Cindy Whiting - która sama wróciła do Empire Falls z zakładu w Auguście - była jedyną pielęgniarką i opiekunką jego matki. Nieraz Miles przyjeżdżał po zamknięciu restauracji i zastawał ją płaczącą cicho przy łóżku Grace. Tej nocy, o której wspomniała teraz Cindy, kiedy się zjawił, matka nie spała. Widząc go w drzwiach, po prostu odwróciła głowę i spojrzała w bok, i był to odruch tak wymowny w swojej bezradności, że jak oparzony cofnął się momentalnie do korytarza. Cindy wstała i poszła za nim, opierając się ciężko na swojej lasce, po czym zamknęła cicho drzwi za sobą. Oczywiście miała zapuchnięte od swojego własnego cierpienia i nie wydawało mu się nic złego w tym, że wziął ją w ramiona. Kiedy uniosła głowę do góry, pocałowali się, a co złego było w pocałunku tak pełnym współczucia? Oczywiście, powinien zaraz przerwać ten pocałunek, ale tego nie zrobił, tylko nierozważnie przedłużył tę chwilę, wsunął rękę pod jej sweter, potem pod jej stanik, a pieszcząc jej pierś czuł, jak Cindy cała drży. Trwało to tak długo, dopóki nie usłyszeli jęku bólu za drzwiami i Cindy szepnęła: „Zaczekaj chwilkę”, po czym wróciła do łóżka chorej.

Biedna kaleka dziewczyna, cokolwiek robiła, nie trwało chwilkę, bo nie mogło. Kiedy wróciła na korytarz, jego już nie było.

- Tak, oczywiście pamiętam - odpowiedział jej, mrużąc oczy na to wspomnienie.

A wtedy powiedziała coś, co go zdumiało.

- Naturalnie, wiesz o tym, Miles, że miałam kochanków?

- Cieszę się, Cindy - powiedział, czując, jak się czerwieni, ponieważ nie, nie podejrzewał tego.

- Chciałam, żebyś wiedział, bo jutro wyjeżdżam. Prawda jest taka, że nie czuję się w domu najlepiej. Nigdy się nie czułam. W Auguście jest pewien mężczyzna, który się mną opiekuje, a i ja go nawet lubię. Nie jest to cudowne życie, ale tam przynajmniej mogę jasno myśleć, co jest dla mnie bardzo ważne. Chcę, byś wiedział o tym mężczyźnie, ponieważ zawsze uważałeś, że jestem nieszczęśliwa, a to rani moje uczucia. To jest trochę tak, jakbyś dawno, dawno temu uznał, że ja jestem niezdolna do radości. I cierpisz na samą myśl o tym, jakie moje życie jest smutne i nieszczęśliwe, dlatego po prostu w ogóle o mnie nie myślisz. Nie dzwonisz do mnie, żeby się dowiedzieć, jak mi idzie, ponieważ wydaje ci się, że już wiesz. I nawet nie przyjdzie ci do głowy, że ja też mogę być szczęśliwa i że... może chciałabym się tym z tobą podzielić.

- Wybacz mi, Cindy.

A kiedy stało się jasne, że nie potrafi wykrztusić z siebie nic ponad to, ona powiedziała:

- Czy to dla ciebie aż takie straszne? Wiedzieć, że zawsze będę cię kochała?

- Nie, oczywiście, że nie. Tylko strasznie mi przykro, że zawsze byłem dla ciebie takim marnym przyjacielem, Cindy, i to od samego początku.

- To prawda, zawsze potrafiłeś ranić moje uczucia bardziej niż inni, ale to tylko dlatego, że ja żywiłam uczucie do ciebie. Nigdy świadomie nie chciałeś zrobić mi przykrości. Przenigdy. Wiem o tym.

Potem wstała z krzesła.

- Pamiętasz, jak próbowałeś mi tłumaczyć wiersze?

Skinął głową.

- Szczerze mówiąc, rozumiałam znacznie więcej, niż myślałeś. Ale to było takie zabawne obserwować twoją rosnącą frustrację.

- Wielkie dzięki.

- Jestem bardziej podobna do mojej matki, niż myślisz.

- Nikt nie jest taki jak twoja matka.

W drzwiach zatrzymała się i odwróciła, żeby na niego spojrzeć.

- Ona jeszcze z tobą nie skończyła, Miles - powiedziała.

Skinął głową.

- Wiem.

Zajął mu to trochę czasu, ale zdołał się ubrać, bo nie chciał wychodzić na korytarz, który był teraz dziwnie pusty, w swojej szpitalnej piżamie. Bliższe drzwi do hallu właśnie się zatrzasnęły, na klatce schodowej ciągle rozbrzmiewały odgłosy krzyków i tupot nóg. Pokój pielęgniarek był pusty, a gdzieś w pobliżu w jednym z pomieszczeń interkom nagle szczeknął głośniej, ale radio wydawało za dużo trzasków, żeby można było rozróżnić słowa. Zdołał przejść do połowy korytarza, gdy podwójne drzwi na końcu otworzyły się i stanął w nich Bill Daws, szef policji. Był błady.

- Witaj, Miles. Byłem na dole na radiologii, kiedy przyszło wezwanie - powiedział.

To by tłumaczyło, dlaczego człowiek, zazwyczaj tak dbały o swój wygląd, stał teraz przed nim z koszulą tylko do połowy zatkniętą za pasek.

- Chyba powinieneś pójść ze mną - dodał.

Dopiero znacznie później Milesowi przypomniały się różne szczegóły. Przez długie tygodnie i miesiące powracały w przebłyskach, tak jak błyskawice

rozświetlające nocny pejzaż, aż w końcu ułożyły się w wyczerpującą opowieść: John Voss, nieruchomy jak posąg, o zakrwawionej twarzy, zamknięty samotnie i pozostawiony bez opieki na tylnym siedzeniu policyjnego wozu; potem, w bocznym skrzydle szkoły, gdzie mieściły się pracownie i warsztaty plastyczne, część tego horroru widoczna z korytarza; w samej pracowni plastycznej pusty drewniany stolik na środku sali, a pod nim leżąca na podłodze Doris Roderigue, twarzą do podłogi, z rozrzuconym nogami, z czołem spoczywającym w kałuży wody i potłuczonego szkła; obok pod stołem ciało chłopca, którego Miles widywał w restauracji w paczce Zacka Minty, z otwartą raną w głowie; i na koniec, oparte o ścianę koło drzwi, z jedną ręką na żołądku, co wyglądało tak, jakby dostał ciężkiego ataku dyspepsji, ciało Ottona Meyera juniora.

W tamtej chwili Miles nie zobaczył z tego wszystkiego nic, dosłownie nic, poza tym że zarejestrował tylko tłum uczniów na dziedzińcu, z których jedni stali oszołomieni i patrzyli nieprzytomnie, inni płakali, a pomiędzy nimi kręcili się nauczyciele w stanie szoku. Bill Daws ruchem ręki utorował sobie przejście przez blokadę, którą na oczekaniu ustawiono przed wejściem do szkoły od strony ulicy, ale wokół już zjawiali się pierwsi przerażeni rodzice, porzucając samochody na podjazdach i trawnikach, na środku drogi, gdzie się dało, a potem biegli na tyły szkoły i dalej przez dziedziniec, boiska i tereny szkolne, ze wszystkich stron nadciągając ku szkole; tęgie kobiety w średnim wieku, wiele, bardzo wiele kobiet, niektóre potykały się i padały na mokrą trawę, ale zaraz zrywały się na równe nogi i znów biegły dalej, niemal kompletnie zaślepione łzami i strachem, jakich nigdy dotąd nie zaznały, nawet sobie nie wyobrażały, że można coś takiego przeżyć. Miles jednocześnie widział to wszystko i nie widział, podobnie jak nie zobaczył wszystkich żywych, zgromadzonych w pracowni plastycznej, z chwilą gdy razem z Billem Dawsem tam wpadli, gdzie Justin Dibble, Doris Roderigue i Otto Meyer leżeli martwi. Kilku policjantów i ludzi z urzędu miasta stało, rozmawiając przyciszonymi głosami, tak jakby nie życzyli sobie, żeby ich rozmowy były podsłuchiwane przez innych tam obecnych albo przez tych umarłych. Jimmy Minty również był wśród nich, z oczami podbitymi na czarno i metalową płytką ochronną na złamanym nosie. Próbował rozmówić się ze swoim synem, ale chłopak nie chciał słuchać, tylko wciąż odwracał się od niego, aż w końcu odepchnął ojca z całej siły obiema rękami, z których jedna była owinięta zakrwawionym bandażem.

Do Mileasa prawie nie dotarło, że jeden z oficerów przytrzymał go za łokieć, żeby nie wdepnął w krew, szkło i wodę, ani że Bill Daws ścisnął go za

ramię - zadziwiająco mocno, jak sobie potem przypomniał, zważywszy, że był tak bardzo chory. I w końcu to Bill, człowiek, który sam miał już nie żyć na Boże Narodzenie, zapytał głośno, a jego głos wypełnił nagle całe pomieszczenie:

- Czy ktoś wie, gdzie jest córka tego człowieka?

Później, kiedy z bólem rozmyślał o tym, co się wydarzyło, Miles najbardziej nie mógł sobie darować, że kiedy wpadł do tej klasy, przeszedł obok niej. Minał ją i nawet tego nie zauważył. Tłumaczył sobie, że przecież siedziała skulona w kącie, usiłował rozumować logicznie, że nie mógł jej zobaczyć, bo była ukryta za drzwiami do klasy, ale poczucie winy było zbyt silne, aby posłuchać rozumu. Przeszedł obok i nawet jej nie zauważył. Ciągłe zadawał sobie pytanie, czy ojciec nie powinien mieć jakiegoś dodatkowego zmysłu, który od razu sam go naprowadza na jego dziecko? Czyż Tick nie jest jego jedyną córką? Lepszy ojciec potrafiłby ją odnaleźć na ślepo, po ciemku, po omacku, przyciągnięty niewidzialną siłą jej cierpienia. Jak długo stał tam w tej klasie, tyłem do niej, tak jakby chciał zasugerować tej ukochanej dziewczynce, że to cała reszta jest ważniejsza, a nie ona. Ta myśl budziła go w środku nocy miesiącami, jeszcze długi czas po tym, jak uporał się z wieloma innymi okropnościami.

Przy drzwiach stał młody policjant, ten sam, który wtedy we wrześniu dał mu ostro popalić, kiedy siedział w zaparkowanym samochodzie na ulicy przed domem swego dzieciństwa. On to właśnie klepnął swojego szefa w ramię i powiedział:

- Tutaj, szefie. - I chyba Milesa zauważył dopiero wtedy, gdy zrobił krok w tamtą stronę, bo powiedział ostrzegawczo: - Tylko ostrożnie.

Dziewczynka siedząca w kącie w słabym stopniu przypominała Tick, chociaż oczywiście wiedział, że to ona. Na jej twarzy malował się wyraz, jakiego nigdy wcześniej u niej nie widział, nawet nie potrafiłby sobie wyobrazić, że byłaby do niego zdolna. Z początku nie zorientował się, co przyciskała do piersi: nóż do papieru exacto, który trzymała w obu dłoniach takim gestem, jakby jego ostrze miało z metr długości. A kiedy Miles, może w pierwszej chwili trochę trudny do rozpoznania z jednym napuchniętym okiem i dwoma wybitymi zębami, zrobił ten pierwszy krok w jej stronę, jego córka machnęła tym nożem ostrzegawczo, żeby się nie zbliżał, a z jej gardła wydobył się charczący świst.

Opadł przed nią na kolana i zawołał cicho:

- Tick - a jego własny głos zabrzmiał tylko trochę mniej dziwnie niż jej, surowy głos, którego bardzo rzadko używał, tylko wtedy, gdy chciał, żeby

śluchała go uważnie. Nie był pewien, czy to właściwy ton albo czy klęczenie tam i powtarzanie w kółko jej imienia było właściwą rzeczą, ponieważ nie miał pojęcia, jak dalece zapadła się w siebie. Później nie mógł sobie przypomnieć, ile razy ją wołał, żeby jej wzrok skupił się na tyle, by go rozpoznała, aż w końcu zamrugła oczami. A wtedy nagle, w jednej sekundzie, wróciła. Jej buzia najpierw rozluźniła się, a potem wykrzywiła, i nagle Tick zaczęła szlochać:

- Tatusiu, tatusiu, tatusiu - krzyczała, tak jakby nie potrafiła ustalić, jak daleko on się znajduje albo gdzie ona się podziewała, jakby policzyła, ile razy on zawołał ją, i teraz ona wołała go taką samą ilość razy.

David Roby zastanawiał się potem, jak jego brat w takim stanie, w jakim się znajdował, mógł zrobić to, co zrobił: wziąć swoją córkę w ramiona i zamknąwszy ją w tym bynajmniej nie delikatnym niedźwiedzim uścisku, wynieść z klasy i dalej, ze szkoły. Sam Miles przypomniał sobie później słowa wypowiedziane przez Jimmy'ego Minty, który zareagował na to, że on wychodzi, mówiąc:

- Pozwolimy mu tak po prostu stąd odejść?

I odpowiedź Bilia Dawsa:

- Zajmij się swoim dzieciakiem, Jimmy. Wszyscy zajmijmy się naszymi dziećmi.

## 32

Na początku kwietnia zrobiło się bardzo ciepło i Miles mógł zobaczyć na mapach pogody w gazecie, że te niezwykle wysokie jak na tę porę roku temperatury obejmowały cały stan Maine, w którym tego roku była wyjątkowo sroga zima, z północno-wschodnimi wichurami, które niemal co tydzień przynosiły kolejne śnieżyce i kolejne trzydzieści centymetrów nowego śniegu. Po ostatniej takiej śnieżycy Miles rozmawiał ze swoim bratem i David donosił mu, że jeszcze na prima aprilis połowa mieszkańców Empire Falls ciągle miała do swoich anten samochodowych przyłączone czerwone chorągiewki, tak żeby było ich widać podczas wycofywania się z podjazdów w tunelach z zasp śnieżnych. Budżet miejski na odśnieżanie został wyczerpany już w końcu stycznia.

- Wkrótce znowu zacznie się ruch w interesie - dodał David. Przez całą zimę kręcił się słabo, po części z powodu pogody, a po części dlatego, że po zamknięciu Empire Grilla wielu ich klientów, zwłaszcza tych z college'u w

Fairhaven, niechętnie przechodziło za nimi do restauracji Bei, pomimo reklam, jakie w końcu zaczęły zamieszczać w uczelnianej gazecie. - Może się okazać, że przydałbyś się nam prędzej, niż myślisz.

- Przykro mi - odparł Miles. - Ale nie sądzę.

- Jak się czuje Tick? - Jego brat zmienił temat, chociaż obaj zdawali sobie sprawę, że tak naprawdę jest to ten sam temat.

- Dobrze - zapewnił go Miles. - Każdego dnia lepiej.

- Nie chce wracać do domu?

Prawdę mówiąc, chciała. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu spytała, czy nie mogliby pojechać do domu z wizytą podczas wiosennej przerwy w szkole średniej na Martha's Vineyard, i gdyby powiedziała, że tęskni za mamą, to może Miles by się złamał. Ale jej chodziło o to, żeby odwiedzić Candance, która nadal przebywała w szpitalu, jak również Johna Vossa, co do którego w zeszłym miesiącu lekarze wydali orzeczenie, że jest niezdolny do stawiania się przed sądem, dlatego odesłano go do stanowego szpitala psychiatrycznego w Augustie. Miles nie był pewien, czy jeszcze nie jest za wcześnie na obie te wizyty.

Przez miesiące, jakie upłynęły od tamtej strzelaniny, Tick jakoś zdołała przetrwać i zrozumieć przynajmniej w ogólnym zarysie to, co się stało tamtego dnia. Że John Voss strzelił - i zabił - Justina Dibble'a i Doris Roderigue, że postrzelił także Candance w szyję, a kula omal nie naruszyła jej kręgosłupa. Rozumiała również, że kiedy John obrócił się w jej stronę, zamierzał strzelić także do niej i byłby to zapewne zrobił, gdyby Otto Meyer nie stanął między nimi. Wiedziała nawet, że potem chłopak skierował lufę do siebie i wielokrotnie pociągał za cyngiel, ale jedyna kula, jaka pozostała w magazynku - kula równie stara jak sam rewolwer, który należał do jego dawno zmarłego dziadka z czasów, kiedy był w wojsku - ta kula nie wystrzeliła.

Mniej więcej tyle Tick rozumiała, ale Miles nie wiedział, ile z tego wszystkiego było poparte pamięcią. Mimo że przez blisko dwa miesiące nieustannie śniły jej się koszmary, nie chciała o tym mówić, dlatego nie mógł wiedzieć, czy był to horror, który zapamiętała z własnych doświadczeń, czy tylko senne skojarzenia. Z czasem powiedział jej tyle, ile uznał, że powinna wiedzieć. Powiedział jej, że Candance przeżyła, natychmiast po tym, jak sam się dowiedział o tym od brata. Ale dopiero znacznie później powiedział jej o Ottonie Meyerze, który kiedyś dawno temu rzucił się z tylnego siedzenia szkolnego auta do nauki jazdy i bohatercko ocalił drużynę baseballową od niechybnej śmierci grożącej ze strony niedoświadczonego kierowcy Mileasa, a który teraz ocalił życie Tick za cenę własnego. Na temat

innych spraw zachowywał milczenie. Nawet teraz, w kwietniu, nic nie wskazywało na to, by jego córka pamiętała, że kiedy John Voss wycelował broń w Candance, Tick wyciągnęła rękę i przecięła mu nożem exacto skroń od brwi do ucha. Ani tego, co się stało, kiedy wróciła do przytomności i na widok Zacka Minty, który pochylał się nad nią, tym samym narzędziem przecięła mu dłoń.

Nie, jeśli zdołała wyprzeć te szczegóły ze świadomości, to niech nadal pozostaną wyparte. Powrót z otchłani był długą drogą, a on nie godził się na ryzyko, że znowu się w tę otchłań zapadnie, tylko dlatego że zbyt szybko zjawiała się w domu. Z początku nie chciał jej nawet zapisać do liceum na Martha's Vineyard już w połowie stycznia, i ciągle nie był pewien, czy dobrze zrobił. Jej nowi nauczyciele, podobnie jak wszyscy inni, wiedzieli o wypadkach w Empire Falls, ale w jakiś sposób nie powiązali ich z jej osobą. Lubili Tick i podejrzewali, że jest inteligentna, chociaż nie bardzo wiedzieli, co mają myśleć o jej małomówności i lukach w pamięci, a Miles zdecydował się ich nie oświecać w tej kwestii.

Poświęcił jej powrotowi do zdrowia ostatnich pięć miesięcy, ale dopiero niedawno zaczął z wolna nabierać ufności, że może się uda i Tick będzie znowu taka jak dawniej. Część wyspy, gdzie się zatrzymali, była prawie niezamieszкана podczas zimy, dlatego zamiast chodzić na spacer po opustoszałej plaży czy po wietrznych ścieżkach rowerowych, wolał zabierać ją do Edgartown, gdzie wędrowali po wąskich, sennych uliczkach, zatrzymując się w sklepikach, galeriach i księgarniach, wszędzie tam, gdzie mogli napotkać ludzi i trochę się rozerwać. Pojął, że strzelanina sprawiła, iż świat w odczuciu jego córki stał się miejscem niebezpiecznym, i był przekonany, że tylko poprzez powtarzanie sytuacji, w których te złe rzeczy się nie zdarzają, można było odbudować jej dawną relację z tym światem. Postęp był z początku tak powolnym procesem, że Miles zaczął wątpić w słuszność swego planu. Czasem wystarczyła jakaś gniewna wymiana zdań, zasłyszana w restauracji, by zaczynała się trząść i płakać. Ale stopniowo wracała do równowagi. Któregoś dnia, pod koniec lutego, poszli na targ rybny, gdzie na pojemniku z homarami wisiała ręcznie napisana wywieszka: „Nie dotykać samic ani samców”.

- W takim razie - zwróciła się do sprzedawcy za ladą - proszę mi powiedzieć, które dokładnie homary wolno nam dotykać?

Miles musiał się hamować całą siłą woli, żeby jej nie pochwycić w objęcia i nie odtączyć polki na środku ulicy.

Tak więc kiedy w zeszłym tygodniu zapytała, dlaczego tak twardo się sprzeciwiał ich wyprawie do Empire Falls podczas ferii, Miles skłamał,



przypominając jej, że mogą go tam przecież natychmiast aresztować. Obawa, że mogłaby zostać z nim rozdzielona, była dla niej ciągle wystarczająco straszna, żeby bez protestu zrezygnować z całego pomysłu. Czuł się winny, że grał na jej strachu, ale jaki miał wybór? Jak było do przewidzenia, jego brat nie dał się tak łatwo wywieść w pole. Ostatnim razem, kiedy rozmawiali przez telefon, David bez ogródek spytał, czy siedzą na tej wyspie z powodu Tick czy z powodu Milesa.

- Pomyślałeś w ogóle o Janine? - spytał. - Dla niej to też nie jest wcale takie łatwe, jak ci się wydaje.

Miles nie zamierzał z tym dyskutować. Nie po tym, jak wsadził ich córkę od jetty i bez pytania kogokolwiek o pozwolenie odjechał z miejsca zbrodni, zupełnie tak jakby miał w kieszeni nakaz sądu, który jemu oddawał prawo do opieki nad dzieckiem, i tak jakby matka dziecka nie miała prawa do wypowiedzenia swojego zdania. Pewnie, że w tamtym momencie nie myślał o niczym innym poza ucieczką. Ale podczas długiej mrocznej zimy na wyspie miał czas, żeby wszystko dokładnie od początku przemyśleć, i niestety nic to nie zmieniło. Nie chodzi o to, że nie było mu głupio i przykro wobec byłej żony, która sobie na to nie zasłużyła, bo oczywiście był jej wdzięczny za to, że nie gonila za nim ze zgryzą policjantów i adwokatów. Ale minęło sześć miesięcy od ich ucieczki z Empire Falls, a on nadal nie zamienił z Janine ani słowa, podobnie jak Tick. W rzeczywistości tylko Davidowi powiedział, gdzie są, chociaż zakładał, że Janine wie. Kiedy już wszystko ucichło, musiała się tego domyślić, a gdyby zadzwoniła do Petera i Dawn, oni by jej na pewno otwarcie powiedzieli.

To był jedyny warunek, jaki mu postawili. Naturalnie zgodzili się, może zamieszkać w ich domu, jak długo będzie potrzebował. Oglądali wiadomości i zgadzali się z Milesem co do tego, że najlepszą rzeczą dla Tick może okazać się zabranie jej z miasta, ze szkoły, od dziennikarzy. Ale oboje zastrzegli, że nie zamierzają okłamywać Janine. Na szczęście, ona do nich nie zatelefonowała, nie zgłosił się też nikt inny, jak na przykład Horacy Weymouth czy ojciec Mark, którzy z łatwością mogliby dojść do tego, dokąd Miles z córką wyjechali. Może nie znalazłby dokładnego adresu, ale w końcu wyspa jest mała, zwłaszcza kiedy nie ma tam turystów.

Musiał się uśmiechnąć na myśl o Davidzie, który przecież prawie nie rozmawiał z Janine, odkąd zaczęła kręcić z Waltem, i był jednym z niewielu, którzy z tego powodu okazywali jej jawnie aroganckie lekceważenie. Zgodnie z tym, co mówił David, ostatnio bardzo się zmieniła, przestała pracować

w klubie Walta i przyjęła się do pracy jako kelnerka i hostessa w nowo otwartej restauracji matki, gdzie w krótkim czasie przybrała prawie tyle samo kilogramów, ile wypociła na stairmasterze w poprzednim roku. Nie wiele mówiła o swoim małżeństwie, które, jak David podejrzewał, już zaczynało się chwiać. Srebrny Lis przeszedł gładko i bezboleśnie z Empire Grilla do nowego Callahana, tylko już się nie rozbierał do podkoszulka i nie grywał z Horacym w remika. Jeśli nawet kusilo go, żeby wypowiadać jakieś komentarze na temat kilogramów swojej żony, panował nad tym odruchem, co było mądre z jego strony.

- Nie mogę się przyzwyczaić do tego, że trzymasz stronę Janine - powiedział Miles bratu.

- Nie bądź głupi - odparował David. - Trzymam stronę Tick. Myślę, że tobie się po prostu podoba, że masz ją na wyłączność. Lubisz, kiedy ona cię potrzebuje. Podsycaj to dalej, stary, a dziecko nigdy z tego nie wyrośnie.

- Nigdy nie dostanie mojej córki w swoje ręce - uciał krótko Miles.

Długa chwila ciszy po drugiej stronie.

- Rozumiem, że mówimy teraz o pani Whiting?

- Właśnie - odparł Miles, nie tyle zakłopotany tym, że sam niezbyt jasno sprecyzował swoje myśli, ile tym, z jaką łatwością jego brat chwycił ich właściwy sens.

- Miles, muszę ci to powiedzieć. Myślę, że trochę ci odbiło na ten temat. Wyjechała z miasta w tydzień po tobie. Nie było jej całą zimą. Jej dom jest na sprzedaż.

- Daj mi znać, kiedy zostanie sprzedany.

- Pozbyła się już większości z tego, co posiadała w mieście, sklepów, no i Empire Grilla. Zbiła fortunę na projekcie zagospodarowania rzeki Knox, a odkąd Bea odrzuciła jej ofertę i wynajęła adwokata, dała nam spokój. Ona się wycofuje, Miles.

- Może masz rację - odpowiedział, chociaż sam w to nie wierzył ani przez chwilę.

- A jeśli boisz się Jimmy'ego Minty, to możesz dać sobie spokój. Musiałby najpierw wytrzeźwieć, żeby ci zaleźć za skórę, ale jak na razie co wieczór upija się jak świnia w Lamplighterze.

Akurat o tej historii Miles już wiedział. Pomiędzy licznymi wycinkami z prasy, które brat mu przysyłał przez całą zimą, a z których większość dotyczyła projektu zagospodarowania rzeki Knox, były też liczne szczegóły na temat kłopotów oficera Minty'ego, które Charlene opatrywała swoimi komentarzami, dopisując je drobnym równym maczkiem na marginesach.

Niedługo po strzelaninie w szkole, co było ogólnokrajowym tematem, dopóki gdzieś na Zachodzie nie wydarzył się gorszy wypadek, w Empire Falls zjawiała się żona Jimmy'ego ze swoim nowym narzeczoną i adwokatem, sprowadzonym w tym celu gdzieś z południa stanu. Adwokat wręczył jej mężowi papiery rozwodowe, stwierdzające stosowanie przez niego emocjonalnej, a w jednym wypadku fizycznej przemocy, a żona zagroziła, że jeżeli Jimmy zdecyduje się oprotestować rozwód albo nie zgodzi się na proponowane rozwiązania w kwestii opieki nad ich synem, o czym mówiły załączone do pozwu dokumenty, to ona ujawni szczegóły ich pożycia. Tydzień później powróciła do Seattle, gdzie od pewnego czasu mieszkała, zabierając ze sobą Zacka.

Całkiem możliwe, że Minty by jakoś przeżył tę sprawę, gdyby nie to, że jednocześnie spadł mu na głowę dodatkowy problem. Pewnego pogodnego rześkiego ranka, zanim jeszcze zdążył się ogolić, u jego drzwi zjawił się szeryf hrabstwa z nakazem rewizji i ekipą umundurowanych oficerów, którzy najwyraźniej dokładnie wiedzieli, czego mają szukać. W rekordowym tempie znaleźli liczne przedmioty - drogie głośniki stereo, nową mikrofalówkę, wideo - na które Minty nie mógł przedstawić żadnych dowodów, że jest ich właścicielem, ale z których bardzo fachowo zostały usunięte numery serii. Twierdził, że za powyższe sprzęty zapłacił gotówką w Portland, ale nie zachował paragonów, dlatego czuł się wielce obrażony sugestiami, jakoby wszystkie one odpowiadały opisowi przedmiotów, jakie zginęły podczas serii kradzieży nocnych w kilku miejscowych sklepach. Cała historia może by mu uszła na sucho, gdyby nie to, że nie zauważył numerów identyfikacyjnych na wewnętrznej stronie drukarki laserowej, dokładnie takiej samej jak ta, którą skradziono z Knox Computer parę miesięcy wcześniej. Ekipa dochodzeniowa skonfiskowała również maszynę do dorabiania kluczy, znalezioną u niego w piwnicy, wraz z kółkiem najeżonym kluczami, z których wszystkie były, jak to określono, kluczami szkieletowymi, czyli tak zwanymi kluczami-matkami, otwierającymi wiele drzwi. Aczkolwiek nie przedstawiono mu aktu oskarżenia, niemniej w prasie ukazały się zarzuty, po których Jimmy sam zrezygnował ze służby. David mówił, że Minty wystawił swój dom na sprzedaż, licząc na to, że z tych pieniędzy uda mu się pokryć koszty sądowe, a sam jako dozorca mieszkał obecnie w hacjendzie Whitin-gów.

- Parę tygodni temu przyszedł nawet do naszej restauracji - dodał David. - Powiedział, że Zack napisał i dopytywał się o Tick. Kazał ci również przekazać, że nie żywi do ciebie urazy.

Miles znowu musiał się uśmiechnąć.

- Niezwykłe wspaniałomyślnie z jego strony. To przecież on mnie po-  
twornie stłukł.

- Fakt - przyznał David. - Ale to jego nos nie wygoił się jak należy. Wy-  
gląda tak, jakby zapomniał, gdzie odłożył swój własny, i dlatego musiał  
sobie pożyczyć inny od jakichś zwłok. Jest taki dziwnie szary. Mimo to my-  
śle, że gdybyś zdobył się na małe kłamstwo i powiedział mu, że jest ci przy-  
kro, to byłoby naprawdę niezłe.

- Ależ jest mi przykro - przyznał Miles, chociaż miał pewne zastrzeżenia  
co do tego, czy Jimmy zdolny jest do wybaczenia. - Ale ciągle ci powtarzam,  
David, tu nie chodzi o Minty'ego. Znam ją, David. Może faktycznie zajęło mi  
to całe życie, ale naprawdę poznałem się na niej.

- W porządku - powiedział David. - Skoro się na niej poznałeś, to w ta-  
kim razie mi to wytłumacz.

Miles nie zamierzał tego robić, mając pełną świadomość, jak parano-  
icznie by to zabrzmiało. Wśród innych wycinków, jakie otrzymał od brata,  
była historia o zakupie św. Katarzyny przez grupę inwestycyjną z Massa-  
chusetts, która planowała przekształcić kościół w cztery trzypiętrowe domy  
mieszkalne z apartamentami do wynajęcia. Największą ekstrawagancją w  
całym tym przedsięwzięciu, zdaniem Milesa, było jacuzzi zainstalowane w  
wieży, której Miles w końcu nigdy nie pomalował, ponieważ nie zebrał się  
na odwagę. Plany' architektoniczne ilustrowały również przyszłe przeznac-  
zenie budynku, w którym Miles z matką tyle razy uczestniczyli we mszy  
świętej, zamieszczono nawet małe fotografie ojca Toma (z okresu przed  
demencją starczą) oraz ojca Marka, którzy obaj byli obecnie rezydentami  
Sacré Coeur. Możliwe, że nie było podstaw do tego, by Miles sądził, że  
prawdziwym kupcem była pani Whiting, ani że zachowa ona miejsce dla  
siebie w jednym z tych domów, tak by móc spędzać przynajmniej część roku  
w samym sercu czegoś, co on kiedyś kochał, nim ona zdołała to przejąć i  
zniszczyć. A zatem znowu siła i opanowanie, władza i kontrola. I niezależnie  
od tego, jak nikłe były podstawy, na jakich mógł oprzeć swoje przypuszcze-  
nia, naprawdę w to wierzył.

- Posłuchaj - rzekł David. - Cieszę się, że Tick ma się lepiej. Ale czy  
przyszło ci do głowy, że ty masz się gorzej? - A kiedy Miles nie odpowied-  
ział, David ciągnął: - Nie będzie to wielkie zwycięstwo, jeśli uratujesz ją,  
ale zniszczysz siebie.

- Na taki układ mógłbym pójść - odparł Miles, zdając sobie sprawę, że  
dokładnie takiej zamiany dokonała jego matka, a przynajmniej próbowała.

- A ja bym to zrozumiał, gdybyś był do tego zmuszony. Ale co powiesz, jeśli okaże się, że ta męczeńska ofiara wcale nie była konieczna? Powiedz mi, kto wtedy odniesie zwycięstwo - ty czy ona?

- David, ja nie próbuję zostać męczennikiem.

- Naprawdę? Chyba nie myślisz wciskać kitu facetowi, który kiedyś sam tego na własnej skórze spróbował, co?

- David...

- Ponieważ jeśli o to chodzi, to ja już byłem na tej drodze, bracie, a potem wypadłem z niej i wylądowałem na pieprzonym drzewie, a wszystko, czym mogę się pochwalić, to przetrącona graba.

- Prawdę mówiąc, wyszedłeś z tego całkiem nieźle - zauważył Miles, mając na myśli Charlene i wiedząc, że jego brat chwyci aluzję. Ciska na linii powiedziała mu, że się nie pomylił, i Milesowi natychmiast zrobiło się głupio z powodu tego ciosu poniżej pasa. - Słuchaj, czy możemy zostawić ten temat?

- Jasne. - A potem, po pauzie: - Bea prosiła, żebym cię pozdrowił. I jeszcze, żebym ci przypomniał, że ciągle jesteś pełnoprawnym współnikiem w nowym Callahanie.

- Podziękuj jej ode mnie.

- Naprawdę dużo tracisz, Miles. To wszystko, co mogę powiedzieć. Nie uwierzyłyś, co się wyrabia nad rzeką. Szykują otwarcie nowego pubu piwnego na 4 Lipca. Bank kredytowy utopił miliony w renowację starego młyna. Fabryka koszul ma być zamieniona w małe centrum handlowe. Nawet parę domów ostatnio sprzedano.

- Gadasz, jakbyś pracował w reklamie.

- No cóż, nie ma takiego prawa, które by mówiło, że od czasu do czasu nie mogą się przytrafiać dobre rzeczy.

Gdyby miało się okazać, że to, o czym opowiadał mu David, jest niczym niezmaconym błogosławieństwem, Miles byłby szczęśliwy. I cieszyłby się szczęściem swojego brata, Bei, Charlene, ich wszystkich. Nie oczekiwał, że ktokolwiek będzie podzielał jego niechęć do sposobu, w jaki te zmiany w mieście zostały wprowadzone i że po raz kolejny lwia część pieniędzy, jakie zostaną wyciśnięte, nigdy nie wpłynie do kieszeni mieszkańców Empire Falls. Domy, których nie mogli sprzedać w zeszłym roku, ponieważ nie było ich na to stać, w następnym roku staną się domami, których nie będą mogli kupić, gdyż nie będzie ich na to stać. I oczywiście, znowu nie ma wątpliwości, że była to sprawka Francine Whiting, która do tego wszystkiego doprowadziła, zasadniczo sprzedając tę samą rzecz dwa razy, najpierw same zakłady, a potem parcele wykrojone z gruntów nad rzeką, które zręcznie sobie

zachowała. I jeszcze miał takie irracjonalne uczucie, którego nie do końca mógł się pozbyć, że cała ta nowa wiara i nadzieja zostały zbudowane na fundamencie straty, o której wszyscy chcieli czym prędzej zapomnieć. Jego przyjaciel Otto Meyer był wielką częścią tej straty, i ten chłopak, który zginął, Justin Dibble, i tak, nawet Doris Roderigue. O ile Candance Burke przeżyje, to pewnie za parę lat będzie wdzięczna losowi, jeśli dostanie pracę akwizytorce telefonicznej u tych ludzi z banku kredytowego, bo będzie ją mogła wykonywać, siedząc na wózku inwalidzkim. I był jeszcze John Voss, który w pewnym sensie powrócił teraz do tej ciemnej szafy, w której wieszano go w dzieciństwie - a jest to strata, o której nikt nie będzie chciał wspominać.

Ale jego brat miał oczywiście rację. Pani Whiting nikogo nie zabiła, a nie można przecież wszystkich nieszczęść tego świata zapisywać na jej konto.

- Jak tam, nie trzeba ci pieniędzy? - chciał jeszcze wiedzieć David.
- Na razie nie.
- A co będzie jutro?
- Jutro, David, będzie się musiało samo sobą zająć.

Pieniądze były jedną z tych rzeczy, co do których od samego początku sobie obiecał, że nie będzie o nich myślał. Nie da się ukryć, że jego długi rosły, poczynając od tamtego dnia, kiedy uciekli z miasta. Przed wyjazdem nie wstąpili ani do domu Janine, ani do jego mieszkania. Byłoby rozsądnie spakować naprędce jedną walizkę, ale Miles się bał, że nawet małe opóźnienie mogłoby się zakończyć ich zatrzymaniem, tak więc wyjechali dosłownie tak, jak stali, w kierunku, który Miles był w stanie zdefiniować jedynie jako „byle dalej”. A ponieważ Tick nie pytała, dokąd jadą, nie było potrzeby niczego wyjaśniać.

Gdy wjechali na autostradę międzystanową w Fairhaven, kierując się na południe, jej konwulsyjne łkanie nareszcie ucichło, ale Tick znowu zamknęła się w sobie, a jej uparte milczenie było upiorne, przerażające. W Kennebunk, gdzie zajeżdżał na stację benzynową, żeby zatankować, nie reagowała już na jego pytania, musiał więc obejść samochód dookoła, otworzyć drzwi po stronie pasażera i na siłę odwrócić jej głowę, żeby wytłumaczyć, że wszystko będzie dobrze, że zabierają stamtąd i że musi mu zaufać. Kiedy skończył, skinęła głową, ale wyraz jej twarzy świadczył o tym, że robi straszny wysiłek, próbując się skoncentrować, jakby chciała sobie przypomnieć, kim on jest, a to skinienie głową wyglądało jak potwierdzenie jej domysłu.

Kiedy znaleźli się z powrotem na autostradzie, Miles niespodziewanie dla samego siebie zorientował się, że jadą w kierunku Martha's Vineyard. Do domu letniego Petera i Dawn. Nie wiedzieć czemu, fakt, że mógł już zastąpić określenie „byłe dalej” nazwą „Martha's Vineyard” irracjonalnie podniósł go na duchu, podobnie jak myśl, że ukryją się we dwoje na wyspie, zupełnie tak, jakby każdy, kto ruszył za nimi w pościg, był zmuszony przeprawić się tam wpraw. Przekonany, że pomysł z wyspą może również poprawić nastrój Tick, zaczął jej opowiadać o całym planie, ale znowu odniósł wrażenie, że nic do niej nie dotarło, a kiedy dojeżdżając do rogatki płatnej autostrady w New Hampshire spojrzął na nią, zobaczył, że znowu zaczęła płakać. Po chwili zrozumiał dlaczego. Zsiusiała się na siedzenie.

Zaraz po przekroczeniu granicy z Massachusetts zjechał z autostrady międzystanowej jednym ze zjazdów na Haverhill i jeździł w kółko, dopóki nie znaleźli centrum handlowego z jakimś supermarketem. Dopiero kiedy jej powiedział, że musi wysiąść na minutę, ale że zaraz będzie z powrotem, a ona zaczęła się trząść z przerażenia, nareszcie dotarło do niego, o co jej chodzi. W Kennebec musiała skorzystać z łazienki, ale bała się pójść sama. Bała się stracić Milesa z oczu.

- W porządku - zapewnił ją. - Możesz iść ze mną.

Weszli więc razem do środka, a Tick przez cały czas ścisnęła go kurczowo za rękę. Sklep był prawie pusty, do zamknięcia pozostało niewiele ponad godzinę, a mimo to wywołali spore wrażenie, Tick cuchnąca moczem, Miles posiniaczony i z jednym okiem nadal tak spuchniętym, że nie mógł go otworzyć. Oprócz kompletu bielizny i pary tanich dżinsów - upewnił się co do rozmiaru, sprawdzając metkę z tyłu spodni, które Tick miała na sobie - wziął jeszcze rolkę ręczników papierowych, paczkę gąbek, pierwszy lepszy płyn do czyszczenia tapicerki i dużą butelkę ibuprofenu. Od chwili wyjazdu z Maine bóle głowy i całego ciała wróciły ze zdwojoną siłą i Miles wiedział, że nie da rady przejechać całej drogi aż do Woods Hole bez jakiegoś środka przeciwbólowego. Wybrał łazienkę męską, a nie żeńską, ponieważ była pusta, i zamknął ich od środka. Potem wyjął bieliznę z opakowania, odgryzł metkę z dżinsów, rozpakował rolkę ręczników papierowych, z których oderwał i zmoczył sporą garść. Poleciał Tick, żeby weszła do jednej z ubikacji i umyła się najlepiej, jak umie. Obiecał, że będzie stał pod drzwiami, na dowód czego będzie mogła zobaczyć jego buty w szparze nad podłogą, i przez cały czas do niej mówił, przerywając tylko na krótko, żeby pokłnąć garść ibuprofenu.

Przy kasie poprosił o dodatkową torbę plastikową na mokre spodnie Tick, a potem zapłacił za wszystko, dając dowód przytomności umysłu, gdyż zatrzymał opakowania, żeby można je było przepuścić przez skaner w kasie. Ta przezorność nie zrobiła większego wrażenia na kasjerce, która spoglądała na Milesa z nieskrywanym obrzydzeniem, a na Tick ze szczerym współczuciem, jakby chciała powiedzieć, że doskonale rozumie, co tu jest grane.

Wrócili na parking, a Miles trochę się zaniepokoił, że gliniarze zjawią się po nich, nim on skończy zmywać zasyusianą tapicerkę na siedzeniu pasażera. Już miał odjechać, kiedy zauważył bank z okienkiem bankomatu w ścianie. Wyjął trzysta dolarów, maksymalny limit dzienny. Na koncie pozostało mu drugie trzysta. A co będzie potem? Kto to wiedział?

Dwa dni po rozmowie telefonicznej z bratem Miles znalazł się w porcie Vineyard. Usiadł we wnęce pod oknem w małej restauracyjce Chowder House i zamówił kawę. Dzięki temu, że nauczycielom wypadają tego dnia kursy doskonalenia zawodowego, Tick miała tylko połowę lekcji. W pewnej chwili podniósł wzrok znad fusów na dnie filiżanki i nagle doznał zaskakującej halucynacji. Chodnikiem zbliżał się w jego stronę nie kto inny, tylko Max Roby we własnej osobie, który maszerował żwawym krokiem, jakby doskonale wiedział, dokąd zmierza, chociaż było to absolutnie niemożliwe, gdyż Miles równie doskonale wiedział, że stopa Maxa nigdy nie powstała na tej wyspie. Ojciec znajdował się po drugiej stronie ulicy, ale mniej więcej w połowie drogi od restauracji skręcił nagle i przebiegł przez jezdnię, zupełnie jakby wiedział, że jego syn nie tylko przebywa na tej wyspie (nieprawdopodobne), ale na dodatek znajduje się w tym budynku (niemożliwe). Ponieważ nie było sposobu, żeby o tym wiedział, oznaczało to, że na pewno o niczym nie wie, ale Miles ciągle nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, gdy tymczasem ojciec minął wejście do restauracji i poszedłby dalej, gdyby Miles nie zastukał w szybę.

Chwilę później Max Roby, w ostatnim czasie rezydent Key West na Florydzie, siadał na ławce naprzeciwko swojego syna, w ostatnim czasie mieszkańca Empire Falls, w stanie Maine.

- Nie wierzę własnym oczom. Robisz mnie w jajo, czy co? - powitał go Miles, gapiąc się na Maxa.

- Wiedziałem, że gdzieś tutaj się na ciebie natknę - rzekł Max, wyraźnie zadowolony z siebie.

- Naprawdę?



- Może nie tak szybko - przyznał Max, który chyba nie doceniał w pełni, tak jak Miles, długiej serii nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności, które złożyły się na to spotkanie.

- Tato, mieszkamy po drugiej stronie wyspy - zaczął tłumaczyć Miles, a lekka irytacja już się pojawiła w tonie jego głosu, chociaż rozmowa nie trwała dłużej niż minutę. - Przeważnie nawet nie zaglądamy do miasta, chyba że muszę załatwić parę sprawunków w sklepie spożywczym. Dzisiaj po raz pierwszy jestem w tej restauracji i tak się złożyło, że usiadłem przy jedynym stoliku, który znajduje się pod oknem.

- Ostatnio miałem szczęście - stwierdził Max, jakby chciał zauważyć, że nie widzi powodu, dla którego nie powinien go mieć, zważywszy na dotychczasowy bieg swego życia. - Mówiłem ci, że wygrałem na loterii, kiedy byłem na Florydzie?

Było to tego rodzaju pytanie, które Max uwielbiał zadawać, a odpowiedź na nie była oczywista dla obydwu stron. I najlepszym wyjściem byłoby je po prostu zignorować, tyle że Miles jakoś nigdy nie opanował tej sztuki.

- Nie, tato, nie mówiłeś. Nie rozmawialiśmy ze sobą od sześciu miesięcy. Nie wiedziałeś nawet, gdzie jestem. A więc jak mogłeś mi powiedzieć?

- Och, doskonale wiedziałem, gdzie jesteś - zapewnił go Max. - Fakt, że mam tę swoją nieszczęsną siedemdziesiątkę na karku, nie musi od razu znaczyć, że jestem stary grzyb. Starzy ludzie mają swój rozum, wiesz?

Miles potarł oczy kłykciami palców.

- I chcesz mi powiedzieć, że naprawdę wygrałeś na loterii?

- Niezbyt dużo - przyznał Max. - Niecałą szóstkę. Ale pięć skreśleń na sześć. Chociaż wygrana była całkiem niezła. Ponad trzydzieści kawałków.

- Dolarów?

- Nie, papierowych serwetek - prychnął Max, biorąc jedną ze stołu. - No pewnie, że dolarów, ty głupku.

- Wygrałeś trzydzieści tysięcy dolarów?

- Więcej. Prawie trzydzieści dwa.

- Wygrałeś trzydzieści dwa tysiące dolarów?

Max skinął głową.

- Ty osobiście wygrałeś trzydzieści dwa tysiące dolarów?

Max przytaknął, a Miles zaczął się zastanawiać, czy jest jeszcze jakiś inny sposób, żeby zadać to samo pytanie. Zazwyczaj, kiedy się miało do czynienia z Maxem, precyzyjna frazeologia była zasadniczą kwestią.

- Ja i dziewięciu innych chłopaków z naszego baru, no, wiesz, Captain Tony's - sprecyzował Max po zdrowej chwili milczenia.

- I każdy z was wygrał trzydzieści dwa tysiące dolarów?

- Nie, na każdego przypadło po trzy tysiące. Dziesięciu gości składa się na kupon, a potem dzieli się wygraną.

No tak, teraz była kolej Milesa, żeby skinać głową. Wydobywanie prawdy z ojca było jedną z niewielu przyjemności w ich wzajemnych stosunkach, a Max znajdował równie wielką przyjemność w jej ukrywaniu.

- Ile ci z tego zostało?

Max wyjął portfel z kieszeni i zajrzał do środka, jakby sam był tego szczerze ciekaw.

- Wystarczy mi na nasz lunch. Nie jestem sknerą, jak niektórzy. Nie boję się wydawać pieniędzy, kiedy je mam.

I dlatego tak rzadko je miewasz, mógł mu wytknąć Miles. Ale zamiast tego powiedział:

- No więc, tato, powiedz, co ty tutaj porabiasz?

- Dopłynąłem na „Lila Day” aż do Hilton Head, ale tam mieli stać w porcie z miesiąc, dwa, więc złapałem autobus do Bostonu, potem drugi do Woods Hole, a potem wsiadłem na prom, który mnie dowiózł tutaj - machnął kciukiem przez ramię za siebie. - Mój worek marynarski zostawiłem w przechowalni na nabrzeżu.

- To jest relacja z tego, jak się tutaj dostałeś, tato - zauważył Miles. - Ale jakoś pominąłeś pytanie „dlaczego”.

Max wzruszył ramionami.

- A czy jest jakieś prawo, które zabrania człowiekowi odwiedzić syna i wnuczkę?

Miles, który niejednokrotnie sam by chętnie zagłosował za takim prawem, musiał przyznać, że jeszcze nikt go nie wprowadził.

- Pomyślałem, że może mógłbym ją trochę rozweselić - powiedział Max. Na twarzy Milesa musiało się odmalować powątpiewanie, bo zaraz dodał: - Czasem udaje mi się ludzi rozweselić, naprawdę. Może mi nie uwierzysz, ale kiedyś bywało, że rozweselałem nawet twoją matkę.

- Kiedy to było?

- Zanim ty się urodziłeś - przyznał Max. - Na początku ona i ja mieliśmy ze sobą dużo wspólnego.

- I ja to popsulem?

- No, cóż - powiedział Max w zamyśleniu - na pewno nie pomogłeś, ale nie, to nie była twoja wina. Nie do końca.

- W takim razie, czyja?

Ojciec znów wzruszył ramionami.

- Kto to wie? Ale powiem ci jedno. To straszna rzecz okazać się rozczarowaniem dla dobrej kobiety.

- Sam też trochę wiem na ten temat - przyznał Miles szczerze, bo wyglądało na to, że po raz pierwszy w życiu zeszedł na zwierzenia.

Max prychnął.

- Co - Janine? Ona się urodziła nieszczęśliwa. Nie ma porównania między nią i twoją matką. Ale jak się Grace dało coś, żeby była szczęśliwa, to, na Boga, potrafiła być naprawdę czystym szczęściem. Gdyby spotkała męża tej kobiety najpierw, a nie mnie, wszystko ułożyłoby się inaczej.

Miles uśmiechnął się mimo woli. To była od dawna również i jego ocena tej sytuacji, ale mimo wszystko zaskoczyło go, że ojciec doszedł do podobnego wniosku.

- Tyle że pewnie wtedy nie byłoby ciebie - dodał.

- To żadna tragedia.

- Ani Tick.

Racja, Tick też by nie było.

- Nic to, brakowało mi was oboje - uśmiechnął się do niego Max. - Zwłaszcza jej.

- Jeśli teraz zaraz przejdziemy się kawalek - powiedział Miles, spoglądając na zegarek - to zdążymy na jej autobus. A potem będziesz mógł nas oboje zaprosić na lunch.

- Sądząc po tym, jak wyglądasz, solidny posiłek dobrze ci zrobi - powiedział Max, kiedy wstali od stołu. - Ile kilogramów straciłeś, odkąd widziałem cię ostatnio?

- Nie wiem - przyznał Miles. - Ale chyba sporo.

- Ale nie masz raka, prawda?

- Nie, tylko dziecko. Niektórzy ludzie martwią się o swoje dzieci.

- Myślisz, że możesz mnie zranić, ale ci się nie uda - zapewnił go Max, nie po raz pierwszy zresztą.

Idąc razem z ojcem ulicą, Milesowi przyszło nagle na myśl, że nieprawdopodobne zdarzenie, którego tak się obawiał ponad trzydzieści lat temu, w końcu się spełniło: jego ojciec przyjechał odszukać go na Martha's Vineyard.

Zgodnie z obietnicą Max rzeczywiście ich rozweselił. Tick zawsze lubiła towarzystwo dziadka, a on jej. Obserwowanie ich razem niezmiennie fascynowało Milesa, a teraz, z takim wielkim opóźnieniem, zaczął rozumieć,

na czym polegała ich wzajemna swoboda i nieskrępowanie. Podobnie jak Miles, jego córka otwarcie wytykała Maxowi jego wykroczenia przeciwko higienie, tyle że jej ton był inny, i po raz pierwszy Miles zauważył, że te same zdania wypowiedziane przez niego brzmiały po prostu jak nauki moralne. W ślad za nimi szedł zawsze w domyśle nakaz - że Max powinien niezwłocznie coś z tym fantem zrobić - który w sposób oczywisty prowokował człowieka takiego jak jego ojciec do gwałtownego sprzeciwu i stawania okoniem. Kiedy natomiast Tick mówiła: „Dziadku, masz resztki jedzenia w brodzie”, było jasne, że mówiąc to, chciała zrobić mu przysługę. Bo jeśli chciał mieć resztki jedzenia w brodzie, była to jego sprawa. A kiedy odpowiadał: „No i co z tego?”, ona tylko wzruszała ramionami. Albo jeśli to, co tkwiło w jego brodzie, było szczególnie groteskowe, jak na przykład tego ranka zaschnięty kawałek żółtka, Tick po prostu brała serwetkę, nakazywała, żeby dziadek przez chwilę stał spokojnie, po czym delikatnie to usuwała, gest, który za każdym razem wywoływał rozanielony uśmiech Maxa. Miles od dawna podejrzewał, że jego ojciec miał naturę hierarchy kościelnego. Uwielbiał, kiedy się nim zajmowano.

W kilka dni po przyjeździe Maxa, odprowadziwszy Tick pełną ścieżką do miejsca, gdzie łapała swój szkolny autobus, Miles wrócił do domu i napisał dla śpiącego jeszcze ojca karteczkę, w której zawiadomił go, że zamierza spędzić rano na czytaniu w bibliotece w porcie Vineyard, co robił dość często, odkąd Tick zdomowiała się w szkole na dobre. Był to śliczny niewielki budynek, a on zawsze siadał w kącie przy Zbiorach Specjalnych i czytał tak długo, dopóki nie zgłodniał, wtedy kupował sobie kanapkę w pobliskiej restauracji, po czym wracał na tyle godzin, ile mu jeszcze pozostawało do końca lekcji Tick. Wkrótce znał już imiona wszystkich trzech bibliotekarek, z których jedna przyznała mu się pewnego razu, że myślała, iż Miles jest profesorem albo pisarzem zbierającym materiały do książki. Uśmiechnął się i odpowiedział, że nie, z zawodu jest kucharzem w barze szybkiej obsługi, ale jej uwaga zapadła mu głęboko w serce, bo przecież to, co ona sobie błędnie wyobraziła, było dokładnie tym, czym on kiedyś dawno miał nadzieję zostać i do czego się przygotowywał, kiedy Grace zachorowała. Razem z Peterem i Dawn byli najbardziej utalentowanymi autorami, jacy podczas studiów pisywali do uniwersyteckiego magazynu literackiego. Tych dwoje nie miało powodów, żeby przypuszczać, że w przyszłości wylądują, pisząc scenariusze do sitcomów telewizyjnych, a Miles, by wierzyć, że po to skończy uczelnię, żeby przewracać hamburgery na ruszcie w Empire Grillu.

Jednak dziś jego przyjaciele zajmowali mniej więcej ten kwadrant galaktyki, o której marzyli, żeby tam pewnego dnia zamieszkać. Ale fakt, że w wieku czterdziestu trzech lat usłyszał, że wygląda jak ktoś, kim zamierzał kiedyś zostać, jedynie pogłębił w Milesie poczucie osobistej klęski.

Tutaj na wyspie, zwłaszcza odkąd zjawił się Max, było wprost niemożliwe, żeby nie wracał stale myślami do matki, chociaż często łapał się na tym, że ta Grace, którą zapamiętał, spogląda na niego z gniewną wymówką, nie mogąc mu wybaczyć, że sprzeniewierzył się swemu przeznaczeniu. Niedługo tylko widok córki wysiadającej ze szkolnego autobusu, z każdym dniem coraz żywszej i bliższej tego, jaka była i jak się zachowywała dawniej, powstrzymywał go od zapadnięcia się w głęboką depresję. Na szczęście widok żywej i zdrowej Tick wystarczył, aby utwierdzić go w poczuciu, że najlepszym losem, jakiego mógł dla siebie w życiu pragnąć, było ojcostwo.

Ale poczucie, że matka nie zaznaje spokoju w grobie, wciąż go nie odstępowało, było też powodem, dla którego Miles skłamał tego rana, pisząc notatkę dla ojca. Zamiast pojechać do portu Vineyard, wybrał się na drugą stronę wyspy, a tam skierował swoją jettę na drogę do hotelu Summer House, gdzie przed wielu laty zatrzymali się z matką. Chociaż było to tylko dziesięć minut drogi od domu Petera i Dawn, nigdy więcej tam nie powrócił, ani teraz podczas tej długiej zimy, ani wcześniej w trakcie licznych wakacji, które z Janine i Tick tu spędzali. Prawdę mówiąc, kiedy przyjechali z Janine na wyspę po raz pierwszy, powiedział jej, że Summer House dawno już nie istnieje, inaczej na pewno chciałaby to miejsce odwiedzić.

Ale hotel istniał i kiedy jechał teraz przez wieś, kompletnie wyludnioną o tej porze roku, szczegóły jeden po drugim zaczęły wypływać na powierzchnię pamięci. Spragniony Wieloryb, restauracja, gdzie z takim apetytem zjadał się małżami, była tam nadal, ale pod inną nazwą, zamknięta aż do maja. Sama wieś zrobiła na nim wrażenie jakby zarazem większej i mniejszej, niż ją zapamiętał. Domów było więcej i stały bliżej siebie, a odległość do ich maleńkiego domku, która wydawała mu się tak dramatycznie wielka, gdy wracali późnym wieczorem, a on ledwie się włókł, taki był senny z przejedzenia małżami w maśle, teraz okazała się nie większa niż jakieś sto metrów wijącą się drogą.

Brama była zamknięta, odcinając pełną drogę, która wiodła pod górę w stronę urwiska pomiędzy nadmorskimi krzewami, Miles musiał więc zostawić samochód i dalej pójść piechotą. Główny budynek hotelowy, ze swoim

gankiem i werandą biegnącą dookoła, był dokładnie taki sam, jak go zapamiętał, podobnie jak domki poniżej, obrośnięte krzewami pnących róż, które już zaczynały się zielenić dzięki cieplejszej pogodzie. Z łatwością odnalazł ten, w którym z matką mieszkali, z jego nazwą Gość Wędrowny, wypisaną nad drzwiami, i te dziwne słowa powróciły na fali pamięci, bez przeszkód pokonując dziesiątki lat. A kiedy zajął przez zakurzone okienko do małego pomieszczenia, które kiedyś służyło mu za sypialnię, niemal spodziewał się, że na nocnym stoliku ujrzy rękawicę baseballową, której tam wtedy zapomniał. Poczul się troszkę głupio, iż folguje tym nostalgicznym emocjom, nie mówiąc już o tym, że byłyby raczej słabym usprawiedliwieniem faktu, że zignorował tabliczkę „Nie wchodzić”, która jak byk tkwiła na bramie. Mimo to, skoro zajechał tak daleko, postanowił dokończyć tę podróż sentymentalną, a to oznaczało zejście ścieżką na plażę. Tutaj także trawy na wydmach zaczynały się zielenić, wiosna zbliżała się wielkimi krokami, niemal o miesiąc wcześniej niż w środkowym Maine. Sama plaża była zupełnie pusta, tak więc usiadł na chwilę w miejscu, gdzie, o ile dobrze zapamiętał, matka rozkładała koc, i zaczął się przyglądać ławicy mgły, zwieszającej się nisko nad wodą kilkadziesiąt metrów od brzegu. Czyje duchy spodziewał się tu spotkać, zapytywał sam siebie - swojej matki czy tego chłopca, którym był kiedyś?

Nie zdawał sobie sprawy, że mgła przesuwana się na ląd, dopóki nie odwrócił się za siebie i nie zobaczył, że niemal całkowicie spowiła ścianę klifu, którego słaby niewyraźny zarys ledwie majaczył. Udało mu się odszukać ścieżkę, ale mgła była już tak gęsta, że chcąc się zorientować w terenie, musiał przez cały czas uważnie patrzeć pod nogi. Wydostanie się na górę klifu i ponowne odszukanie Gościa Wędrownego było, w dosłownym znaczeniu tego słowa, ślepym trafem. Z frontowego ganku ani główny budynek hotelowy, ani sąsiedni domek, gdzie zatrzymał się wtedy Charlie Mayne, nie były widoczne. Kiedy tak odpoczywał, siedząc na stopniu - teraz już dorosły mężczyzna, niezależnie od tego, jak się czuł - nieoczekiwanie uświadomił sobie, że przyjechał tu, bo chciał się spotkać z duchem Charliego Mayne. Tamtego ranka przed z górą trzydziestu laty Miles opuścił tę wyspę razem z matką, by powrócić do dawnego życia w Empire Falls, a teraz ona spoczywała pochowana na miejskim cmentarzu. To Charlie Mayne tu pozostał i stojąc na nabrzeżu, patrzył, jak prom z wolna odbija od brzegu, słusznie więc należało się spodziewać, że to on mógłby tu jeszcze być. Nawet rozpoznanie jego twarzy w fotografii C. B. Whitinga nie mogło tego zmienić.

Charlie Whiting leżał pochowany na wzgórzu ponad grobem jego matki, Charlie Mayne zaś był dla Milesa kimś zupełnie innym, i to jego zapragnął on teraz przywołać, żeby zadać mu kilka pytań.

Tak więc gdy jakiś mężczyzna wyłonił się z mgły i usiadł obok niego na stopniu ganku, Miles przyjrzał mu się uważnie i bez zdziwienia przyjął, że był to gładko wygolony Charlie Mayne, nie zaś brodaty C. B. Whiting. Nadal elegancki jak dawniej, z siwymi włosami, Charlie wcale się nie postarzał, na jego prawej skroni zaś nie widniała dziura po kuli, która pojawiła się tam tego dnia, kiedy ten drugi wziął pistolet, który kupił wcześniej w Fairhaven, a potem szedł nad rzekę.

Na widok dobrze znanego wyrazu smutku na twarzy tego mężczyzny, Miles powiedział:

- Moja matka umarła, Charlie - bo nie chciał, żeby tamten pomyślał, że może ona jest w domku i ubiera się w tę białą sukienkę, żeby pójść z nimi razem na kolację.

Charlie Mayne skinął głową, tak jakby chciał powiedzieć, że to oczywiste, nic innego nie mogło się wydarzyć.

- Czekala na ciebie - dodał Miles, kiedy tamten się nie odezwał.

- Zamierzałem przyjechać. Bardzo tego chciałem.

- W takim razie dlaczego tego nie zrobiłeś? - Miles zadał pytanie, nad którym zastanawiał się przez trzydzieści lat.

- Zrozumiesz, jak będziesz starszy. Są rzeczy, które dorośli ludzie zamierzają i bardzo chcą uczynić, ale z jakichś powodów po prostu nie mogą.

To wyjaśnienie sprawiło, że Miles poczuł się znowu jak mały chłopiec, a kiedy się odezwał, w jego głosie zabrzmiała płaczliwość dziesięciolatka.

- Ale mogłeś zamówić małże w restauracji, gdzie nawet nie mieli ich w menu.

- No cóż, małże to co innego - wyjaśnił Charlie Mayne, na co Miles poczuł się jeszcze bardziej rozżalony.

- Zabiłeś ją - powiedział. - Zabiłeś moją mamę.

- Nie - odparł Charlie Mayne. - Obawiam się, że twoja mama umarła na raka.

- Skąd wiesz? Nie było cię przy niej. Nigdy więcej nie przyjechałeś. Sprawileś, że przez moment była szczęśliwa, a potem złamałeś obietnicę i ona umarła.

- A co miałem zrobić?

- To, co powiedziałaś.

- Próbowałem.  
- Wcale nie, nie próbowałaś. - Płakał teraz, czego nie robił od dzieciństwa, i był to płacz, który przynosił ulgę. - Nigdy nie przestała na ciebie czekać.

- Mylisz się co do tego. Przestała. Nie pamiętasz? Ty jeden nigdy o tym nie zapomniałeś. - Charlie Mayne wyciągnął rękę i zmierzwił Milesowi włosy.

A kiedy Miles spojrział na siebie, stwierdził, że faktycznie jest małym chłopcem, że nigdy nie był nikim innym, a jego życie jako męża i ojca było tylko snem.

- Nienawidzę cię - szlochał.  
- A ja ciebie - odparł Charlie Mayne spokojnie.  
- Dlaczego? Ja jestem tylko małym chłopcem.  
- Ponieważ gdyby nie ty, twoja matka i ja moglibyśmy uciec razem, tak jak zamierzaliśmy. Ty byłeś powodem.  
- To nieprawda - płakał, wiedząc, że to prawda.  
- A więc teraz już rozumiesz, co się naprawdę wydarzyło? - Charlie szturchnął go w bok. - To ty zabiłeś swoją matkę, nie ja.

Obudził się - znowu jako mężczyzna. Nie miał pojęcia, jak długo spał na tym ganku. Mgła była wciąż gęsta jak mleko i gdzieś z jej głębi słychać było jakieś głosy, chociaż nie potrafił powiedzieć, z której strony faktycznie dochodziły. Z początku wydawało mu się, że ktokolwiek to był, rozmawia w sąsiednim domku, ale potem głosy przeniosły się i zaczęły napływać od strony głównego budynku.

- Pewnie ktoś przyjechał na ryby.  
- Tamtym gratem?  
- To jakiś gruchot na numerach z Maine. Kto w okolicy ma taką rejestrację?

Po pewnym czasie głosy oddaliły się i Miles, speszony, wrócił prędko do samochodu. Przed bramą, obok jetty, pojawił się drugi samochód, a jego kierowca postąpił uprzejmie, nie zastawiając go, tak więc Miles wycofał się trzema ruchami i ruszył w drogę powrotną do domu. Do domu, a nie tylko na drugą stronę wyspy, gdyż nagle zrozumiał, że jego brat miał rację. Czas było wracać do Empire Falls, do właściwego życia. Jak pokazał jego sen w Gościu Wędrownym, lepiej być mężczyzną tam niż małym chłopcem tutaj.

Max, w samych szortach, stał w kuchni i drapał się w zamyśleniu.

- To był David.



- Gdzie był David?  
- W telefonie.  
- Jesteś pewien?  
- Właśnie ci mówię, że dzwonił - upierał się Max. - Kazał ci powiedzieć, że ta kobieta, ta Whiting, wczoraj umarła. Stara, nie kaleka.

- Francine Whiting?  
- Zgadza się. Utonęła.

Miles musiał usiąść.

- To jakieś szaleństwo.  
- Nie wierzysz mi, zadzwoń do brata. Powtarzam ci tylko to, co on mówił.

- Utonęła?

- W rzece, tak powiedział. Zadzwoń do niego, jeśli mi nie wierzysz.

Miles potrząsnął głową, usiłując sobie wyobrazić świat bez pani Whiting. Kto będzie go napędzał, żeby dalej się kręcił, zastanawiał się.

- W każdym razie powinienem pojechać na pogrzeb - oznajmił nieoczekiwanie ojciec. - Słyszałeś, co powiedziałem?

- Dlaczego?

- Bo ty nie wyglądasz, jakbyś zamierzał.

- Nie. Dlaczego uważasz, że ty powinieneś pojechać na pogrzeb?

Max uśmiechał się teraz szeroko.

- Ty nigdy mnie nie słuchasz. Fakt, że stuknęła mi siedemdziesiątka, wcale nie musi oznaczać, że możesz mnie tak po prostu ignorować.

- Dlaczego chcesz pojechać na pogrzeb tej kobiety, tato?

- Bo jesteśmy krewniakami. Rodziny Roby i Robideaux. Tak jak ci mówiłem. Założyę się, że coś mi zapisała w testamencie.

Wieczorem spakowali swoje rzeczy, a następnego dnia rano zamknęli dom. Wcześniej zatelefonowali do Petera i Dawn, informując ich o zmianie planów, Miles zadzwonił też do Callahana, licząc na to, że porozmawia z bratem, ale telefon odebrała Janine.

- Wracam do domu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- W domu jest pełno miejsca - odpowiedziała, a w jej głosie brzmiało znużenie. - Walt wyprowadził się z powrotem do siebie.

- Przykro mi z tego powodu, Janine.

- Może ci nie być przykro. Wzięłam go z dobrodziejstwem inwentarza, tyle tylko że inwentarz okazał się niewielki. Czy Tick mi wybaczyła?

- Co miała ci wybaczać?

Brak odpowiedzi.

- A ty mi wybaczyłeś?
- Co znowu?
- A tak na wszelki wypadek, żebyś nie był zaskoczony. Ostatnio bardzo utylałam.
- A ja bardzo schudłem.
- Tylko po to, żeby mnie wkurzyć, czy co?
- Do zobaczenia wkrótce, Janine.

Ledwie wyjechali z podjazdu przed domem - Tick na tylnym siedzeniu, ze słuchawkami na uszach, Max z przodu, obok kierowcy - gdy na pierwszym wyboju drzwiczki schowka przed siedzeniem pasażera nagle same się otworzyły.

- Nigdy tego nie naprawiłeś, co? - zauważył Max, zabierając się za przeszukiwanie zawartości schowka.

- Nie przypuszczam, że to się w ogóle da - odparł Miles, uśmiechając się na myśl o tym, jak to się teraz wydawało strasznie dawno, kiedy Miles popsuł ten zamek.

- Nie bądź idiotą - odpowiedział jego ojciec, absolutnie przekonany, że wszystko da się naprawić, i tylko lekko zawiedziony, że w schowku nie było żadnych pieniędzy.

## Epilog

Kiedy C. B. Whiting został wezwany do Empire Falls, przeżywszy w Meksyku mniej lub bardziej szczęśliwie blisko dziesięć lat, był zdecydowany wypełnić swoje przeznaczenie jako męski potomek rodu Whitingów, czy też, mówiąc ściśle, stać się pierwszym przedstawicielem męskiej linii, który wypełni swoje przeznaczenie w należyty sposób. Jego dziadek Eliasz umarłby jako szczęśliwy człowiek, gdyby udało mu się załuc swoją żonę szpadlem na śmierć, ale zwlekał z tym zbyt długo i kiedy uświadomił sobie, że zabicie żony jest jego prawdziwym przeznaczeniem, nie mógł już sprostać temu zadaniu fizycznie, a tymczasem jego staruszka była jeszcze całkiem żwawa. Chociaż więc gonił ją, ile sił w nogach, ona mu się zręcznie wymykała. Po kilku dzikich zamachach szpadlem był już tak wyczerpany, że musiał usiąść i odpocząć, a wtedy ona go rozbroiła, i było po sprawie.

Jego wnuk wiedział wszystko o prawdziwych intencjach dziadka, ponieważ ten ostatni nigdy nie robił z nich żadnej tajemnicy.

- Mój mały Charlesie, gdybyś tylko wiedział, co tam się działo w tym domu - zwierzał się chłopcu, który był jeszcze na tyle młody, by spędzać dnie na łażeniu po drzewach w posiadłości Whitingów. - Gdybyś wiedział, jak okropna potrafi być zła kobieta, zostałbyś raczej księdzem, niż narażał się na podobne ryzyko. A kiedy C. B. zwrócił mu uwagę, że nie są katolikami, stary Eliasz przyznał, że to prawda, ale zaraz dodał, że rzymscy katolicy zawsze chętnie przyjmowali neofitów.

O ile C. B. wiedział, Honus Whiting nigdy nie próbował zabić swojej żony, aczkolwiek na ślubie swego syna przyznał, że w trakcie całego pożycia małżeńskiego odmawiał sobie średnio jednego morderczego odruchu dziennie. W rzeczywistości tego szczególnego dnia do chwili zaślubin syna naszły go trzy szczególnie silne odruchy, a nie minęło jeszcze południe. A kiedy C. B.

zapytał, czy liczne i długie podróże jego matki nie okazały się tu pomocne, jego ojciec potrząsnął tylko głową. Już sama świadomość, że ona tam gdzieś daleko wciąż istniała, była wystarczającym powodem, żeby wszystko inne napełnić goryczą. W późniejszych latach odczuł niejaką ulgę, gdy żona przeniosła się na stałe do ich apartamentu w Back Bay, ale po pewnym czasie, bez najmniejszego ostrzeżenia, nagle oznajmiła mu swój zamiar opuszczenia Bostonu i ponownego przeniesienia się do domu Whitingów do Empire Fali, który to zamiar napełnił jej małżonka straszliwym smutkiem i jeszcze większym przerażeniem. „Nie mogę się oprzeć uczuciu, że teraz już albo ja, albo ona” - wyznał któregoś wieczora po wypiciu kilku koniaków. Proroczo, jak się miało okazać.

Prawdę mówiąc, Honus miał naturalne skłonności do prorocत्व. Przez lata powtarzał, że jego żona wpędzi go do grobu, chociaż wszyscy naokoło sądzili, że miał na myśli jedynie finansowy grób. Dla większości kobiet, jak często lubił to powtarzać, rozważanie jakiegoś ekstrawagancko drogiego zakupu było skomplikowanym procesem, na który składało się kilka etapów, i dla którego, co niewykluczone, mogło istnieć więcej niż jedno rozwiązanie. Tymczasem jego żona przechodziła płynnie od: „Och, czy to nie jest prześliczne”, przez: „To wyglądałoby wspaniale na kominku w salonie”, do: „Proszę to ostrożnie zapakować i dostarczyć na adres” w sposób zapierający dech w piersiach, przy czym całkowicie pomijała, dla większego efektu, pytanie o cenę.

Pewnego dnia, w niedługi czas po tym, jak Honus, wówczas dobrze po siedemdziesiątce, przeszedłszy drobny wylew, został wypisany ze szpitala i wbrew woli oddany z powrotem pod opiekę swojej żony, wstał zbyt szybko z krzesła. Nagle zakręciło mu się w głowie i żeby nie stracić równowagi, chwycił się najbliższej stojącego mebla. Tak się złożyło, że była to wysoka mahoniowa serwantka ze szklanymi drzwiczkami, gdzie na półkach stały różne cenne przedmioty, zakupione przez jego małżonkę podczas licznych wojaży. Ponieważ był akurat sam w domu, nikt nigdy nie dowiedział się, co się tam wydarzyło naprawdę, ale C. B. podejrzewał, że kiedy skarby jego matki zaczęły spadać z półek, ojciec, podniecony perspektywą zniszczenia za jednym zamachem aż tylu rzeczy z tego, co było tak drogie zachłannemu sercu jego żony, prawdopodobnie przytrzymał się tej serwantki dłużej, niż było to absolutnie konieczne do odzyskania równowagi i w efekcie ciężarem ciała pociągnął na siebie cały mebel, który zmiażdżył resztki życia, jakie się jeszcze w nim tliły. Leżał potem przez wiele godzin, pogrzebany pod stosem rozbitych dowodów ekstrawagancji swojej żony, dopóki brak jego reakcji na dzwonek wzywający na kolację nie spowodował poszukiwań.

Tak więc kiedy C. B. Whitinga wezwano, aby porzucił życie, które wiódł w Meksyku, gdzie miał dość pieniędzy na zaspokojenie swoich potrzeb - a w rzeczywistości znacznie więcej, zważywszy na wartość meksykańskiej pesety - i do tego w pobliżu plażę, nie mówiąc już o kobiecie, która od pięciu lat mieszkała z nim i go kochała, ani o chłopcu, który był jego synem w każdym calu, jedynie z wyłączeniem nazwiska, ani o wolnym czasie, który mógłby poświęcić na napisanie wiersza, gdyby pomysł na jakiś wiersz przyszedł mu kiedykolwiek do głowy, zrozumiał wówczas, że jego lepsze ja zostanie mu wkrótce odebrane po raz drugi w życiu. Nie miał wątpliwości, że z czasem zdoła się pogodzić z tą stratą, tak jak już raz to się wydarzyło; nie, różnica polegała na tym, że teraz był do podobnego poświęcenia o wiele mniej skłonny. Za pierwszym razem wierzył, że to, czego chciał dla niego ojciec, przypuszczalnie obróci się na dobre, gdy tymczasem teraz został po prostu poinformowany, że nie ma już prawa do bycia szczęśliwym. A do tego poinformowany nie przez kogoś, kogo kochał, ale przez jedyną osobę, której nienawidził ponad wszystko na świecie, przez kobietę, której przyrzekł, że będzie ją kochał i szanował i że będzie jej posłuszny przez wszystkie dni swego żywota, dopóki śmierć ich nie rozłączy. Lecząc samolotem do domu, rozważył głęboko przypadki dziadka i ojca, a potem zdecydował: tak, niech się stanie. Mając na myśli śmierć. A dokładniej jej śmierć.

W Bostonie oczekiwał go kierowca limuzyny, sympatyczny człowiek, który nie miał nic przeciwko temu, żeby zatrzymać się w Fairhaven i zaczekać, podczas gdy C. B. kupował prezent dla żony. Nawet jeśli kierowca uznał za dość dziwne, że w tym celu C. B. wybrał lombard, zatrzymał swoje wątpliwości dla siebie.

Nie zastanawiał się długo. Gdy właściciel sklepu spytał, jakiego rodzaju broń ręczną ma na myśli, C. B., który przez pięćdziesiąt dziewięć lat życia zdołał w sobie rozwinąć zdrowy szacunek dla własnej niekompetencji, odparł: „Coś niezawodnego”. Właściciel lombardu wyjął zgrabny prosty rewolwer, pokazał mu, jak go załadować i rozładować, a potem obserwował, jak jego klient ćwiczy na ślepych nabojach, dopóki nie miał pewności, że C. B. dobrze sobie radzi. Na koniec przypomniał mu, że broń sama z siebie nie może wypalić, kiedy jest zabezpieczona, chyba że komuś będzie się jedynie wydawało, że jest zabezpieczona, w takiej sytuacji może się zdarzyć, że wypali. Nie wypaliłaby również bez amunicji, dlatego C. B. nabył małe pudełko naboji, które włożył do kieszeni kurtki, a rewolwer do drugiej.

- Dokąd teraz? - chciał wiedzieć szofer, kiedy C. B. Whiting usiadł na tylnym siedzeniu limuzyny.

- Do domu - powiedział C. B., ładując magazynek rewolweru. - Pragnę jak najprędzej zobaczyć moją żonę.

Tak więc co go powstrzymało?

Kiedy limuzyna zajęła przed jego dawny dom, C. B. Whiting nie miał wątpliwości ani co do swoich intencji, ani co do swoich możliwości wprowadzenia ich w czyn. Nie czekał zbyt długo, jak jego dziadek, ani nie przyzwyczaił się przez dziesiątki lat, jak ojciec, który odmawiał sobie pójścia za morderczymi odruchami, aż w końcu przestał rozpoznawać ich prawdziwą naturę. Wsiadając z samochodu, C. B. był tak pewny swego celu, jak nigdy nie był pewny niczego w całym dotychczasowym życiu, a kiedy sięgnął do kieszeni po broń - ciężką i krzepiąco solidną w dotyku - nie poczuł najmniejszych wątpliwości na myśl o tym, że zamierza odebrać komuś życie. Fakt, że to, co z taką determinacją chciał wkrótce uczynić, przez znaczną większość jego współobywateli zostanie uznane za zbrodnię, w pewnym sensie nie należało do tematu. Choćby dlatego, że zamierzony czyn nie był podyktowany okrucieństwem. Nie do końca. Nie chciał, by jego żona cierpiała, mimo że ona przyczyniła się do cierpienia tylu innych osób. Nie chciał też, żeby odczuła ból. Pragnął tylko, żeby jej istnieniu został położony kres. Miał przy tym nadzieję, że ręka mu nie drgnie i pojedynczy strzał wystarczy.

Ponownie poprosił kierowcę, żeby na niego zaczekał. Gdyby mu się poszczęściło, mogliby zdążyć wrócić do Bostonu, nim ciało Francine zostałoby odkryte. A gdyby mu się poszczęściło jeszcze bardziej, mógłby za jednym zamachem pokonać całą drogę powrotną do Meksyku, i tam ukryłby się gdzieś z kobietą i chłopcem, jednakże sama ucieczka miała mniejsze znaczenie niż poczucie ulgi z tego powodu, że jego żona wreszcie zniknęła ze świata. Otwierając drzwi do domu, który dawno temu sam zbudował, a który w istocie okazał się tak mało podobny do hacjendy, niemal czuł, że ojciec i dziadek uśmiechają się z góry do niego.

Nikt nie usłyszał podjeżdżającego samochodu, a C. B. naturalnie nie zadzwonił do drzwi. Po prostu wszedł do swojego własnego domu, jak robią to ludzie na całym świecie. Wewnątrz panowała taka cisza, że kiedy kciukiem odbezpieczył rewolwer, niemal spodziewał się, że po cichym kliknięciu bezpiecznika nastąpi huk wystrzału, ale nie nastąpił. Wyglądało na to, że szczęście nareszcie zaczęło się uśmiechać do mężczyzny z rodu Whitingów o morderczych zapędach. Spodziewał się, że znajdzie swoją żonę w ogrodzie, prawdopodobnie w altanie nad rzeką. Gdyby się cicho wyślizgnął przez drzwi na patio, mógłby przejść niepostrzeżenie przez szeroki trawnik, zanim

ona by zauważyła jego obecność, i mógłby jej zadać śmierć, a ona by się nawet nie zorientowała, co to było. Szofer siedział w limuzynie przy zamkniętych oknach i słuchał radia, nie usłyszałby wystrzału. Potem byłby pewnie trochę zdziwiony, dlaczego natychmiast wyruszają w drogę powrotną do Bostonu, ale szoferzy limuzyn byli szkoleni, żeby słuchać i nie zadawać pytań ludziom, którzy im płacili.

Ale szczęście nie sprzyjało mu bardziej niż kiedyś jego ojcu i dziadkowi, tak więc kiedy stanął na progu salonu i ujrzał scenę, którą mu los zgotował, od razu wiedział, że tylko Bóg - ten sam Bóg, z którym kiedyś stoczył wojnę o łosia - mógł go postawić przed czymś takim i jednocześnie nie ostrzec przed możliwością ujrzenia tych trzech kobiet razem, zaledwie parę kroków od niego.

Cindy nie była w Auguście, jak się tego spodziewał, tylko stała przed drzwiami na patio, z jedną ręką na klamce, tak jakby w tym jednym momencie bezruchu zapragnęła otworzyć drzwi i dołączyć do życia na zewnątrz. Tak jakby taka rzecz była w ogóle możliwa. Wiedział oczywiście, że trzymała się tej klamki dla podparcia i że scena ta była symbolicznym świadectwem całego jej życia, które toczyło się po niewłaściwej stronie takiej czy innej bariery, poczynawszy od tamtego dnia dawno temu, kiedy zbuntował się przeciwko swojej żonie i w porywie bezsilnej złości spakował walizkę, wrzucił ją do bagażnika lincolna, a następnie przesunął gałkę biegów na wsteczny i ruszył, jeszcze zanim automatyczna brama do garażu całkiem się podniosła, zupełnie nie przejmując się, czy ją wyrwie, wyjeżdżając. Nic nie usłyszał, poczuł jedynie lekki podskok auta - nie pierwszy raz zresztą, jako że dziecko stale coś zostawiało na podjeździe. Dziewczynka lubiła opierać wszystkie swoje lalki o zamknięte drzwi garażu i przyglądać się zadowolona, że ma ich tak wiele. I tak właśnie wtedy pomyślał, że ten lekki podskok to pewnie jedna z lalek, z tą różnicą, że tym razem zabawka musiała się wzebrać w podwozie. Bo kiedy wyjechał na drogę i po raz drugi poczuł, jak podskakuje na jakimś wyboju, spojrzął w lusterko wsteczne, a ujrzawszy ją, naprawdę pomyślał, że znowu przejechał jedną z lalek swojej córki. Z tym tylko, że ta była za duża. C. B. osobiście kupował wszystkie jej lalki i nie mógł sobie przypomnieć, żeby któraś wyglądała tak jak ta.

Jak coś podobnego mogło się wydarzyć? Pytanie padło niemal w tej samej sekundzie, w której przyszła odpowiedź. Bo może C. B. Whiting był słabym człowiekiem - nie, prawdę mówiąc, on wiedział na pewno, że jest słabym człowiekiem - niemniej nigdy nie zdołał opanować subtelnej sztuki samooszukiwania się, jak czyni to większość słabych ludzi, tak więc kiedy zadał sobie pytanie, jak to było możliwe, że tak całkowicie zapomniał o swojej

ukochanej córeczce, uświadomił sobie, że niestety nie był to pierwszy raz, a tylko pierwszy, który miał pociągnąć za sobą długotrwałe konsekwencje. Tym razem nienawiść zmaciła mu wzrok. W przeszłości równie ślepy bywał z miłości.

Kiedy dokładnie zakochał się w Grace Roby, która stała teraz po drugiej stronie drzwi na patio? Naturalnie widywał ją wcześniej w fabryce koszul, a potem wiedział, że obie z Francine zaszły w ciążę niemal jednocześnie. Możliwe, że stało się to w takiej jednej chwili w szpitalu, kiedy zobaczył ją z niemowlęciem przy piersi. Tak, to chyba wtedy został naprawdę zgubiony. Nie chodziło tylko o to, że była taka zmęczona i piękna. Było coś tak radosnego w tym, jak tuliła swoje dziecko, tyle matczynego szczęścia i wdzięczności, że pozwoliło mu w gnieniu oka ujrzeć, czym mogłoby być dla niego inne, lepsze życie. I pomyśleć: a co by było gdyby? Obie kobiety przebywały w szpitalu jeszcze trzy dni po porodzie, a oddział poporodowy był tak przepełniony, że nawet kobieta z nazwiskiem Whiting nie dostała separatki - co skwitował: „Dzięki Bogu!”, o ile dobrze zapamiętał - a kiedy je wypisano, on był już skłonny dokonać zamiany od razu tam i wtedy, oddając swoją żonę i córeczkę, a do tego cały majątek za możliwość powrotu z Grace i jej synkiem do skromnego wynajętego domku, który dzieliła ze swoim mężem, człowiekiem zawsze pochłapanym zaschniętą farbą, który najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, jakim jest szczęściarzem. Potęga namiętności do tej kobiety i wstrząsająca wyrazistość wizji innego, lepszego życia - wizji tak namacalnej, a zarazem jakże odległej i nierealnej w chwili, która stanowiła początek jego wieku średniego - sprawiły, że C. B. zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie postradał zmysłów, a z drugiej strony, czy rezygnacja z Grace i z szansy na szczęście nie okazałaby się ponad jego siły. Co gorsza, gdy wioząc Francine i swoją nowo narodzoną córeczkę, która kręciła się niespokojnie u chudej piersi matki, przejeżdżał przez Iron Bridge, ujrzał wartkie wody płynące pod spodem i wspomniawszy swoją wojnę, jaką wiodł z Bogiem z powodu losia. Wtedy po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że Bóg go pokonał, że był aroganckim grzesznikiem, któremu pozostawała tylko jedna droga - droga pokuty. Niezdolny do rezygnacji z nowej nadziei, teraz już wiedział na pewno, że zdobyć Grace Roby mógł wyłącznie za przyzwoleniem Boga, które nie będzie mu dane dopóty, dopóki nań sobie nie zasłuży. Postanowił, że zrobi wszystko, by tak się stało.

Jakże długo ubiegał się o względy Grace, a ona nawet o tym nie wiedziała! Tygodnie przechodziły w miesiące, miesiące w lata, a on obserwował ją przy pracy ze swojego odgradzonego szybą biura na najwyższym piętrze, a w weekendy wypatrywał, czy nie idzie po Empire Avenue, prowadząc za rączkę małego synka, gdy tymczasem jej mąż był jak zwykle gdzieś na wyjeździe i



malował ludziom domy. Grace była tego rodzaju kobietą, której smutek przydawał urody, i C. B. instynktownie wyczuwał, że poza swoim synkiem, Milesem, w jej życiu było niezwykle mało radości.

Wyczuwał także, że wszędzie tam, gdzie ludzie przeżywali smutki, jej serce wychodziło im naprzeciw, tak jakby ciężar jej własnych trosk pozwalał jej brać na swoje barki jeszcze więcej. Zapewne dlatego dopiero po wypadku, w wyniku którego jego córka została kaleką na całe życie, Grace zwróciła na niego uwagę. I mimo że cierpiał jak potępieniec nie tylko z powodu tego, co zrobił, ale także z powodu kłamstwa, które za jego zgodą żona powiedziała policji - z jakąż zimną swobodą wymyśliła tego rozpędzonego zielonego pontiac! - w głębi serca był szczęśliwy, że nareszcie kontakt został nawiązany.

Cóż za zadziwiająca fantazją stała się jego miłość do Grace Roby w następnych latach! Jak od razu wypełniła i zajęła jego dni, w miarę jak jej synek rósł zdrowy niczym chwast, gdy tymczasem jego rodzone dziecko dzielnie znosiło jedną skomplikowaną i nieudaną operację za drugą. Grace stała się dla C. B. Whitinga marzeniem nie tylko o miłości i szczęściu za życia, ale też szansą na odkupienie jego grzechu. Widział w niej kwintesencję ludzkiego współczucia, była jedyną osobą na całym świecie, której mógłby pewnego dnia wyjawić swój straszny sekret i która nie tylko by zrozumiała, ale również wybaczyła. Gdyby on jej o wszystkim powiedział, a ona mimo to kochałaby go nadal, czyż nie byłaby jego zbawieniem? A jeśli takie przebaczenie było możliwe u śmiertelnej kobiety, czyż można było oczekiwać mniej miłości i przebaczenia od samego Boga? Nieraz zdarzało się, że te gorączkowe rozważania uderzały C. B. Whitinga jako czyste szaleństwo, innym znów razem widział w nich boską prawdę.

Stopniowo stawało się dla niego jasne, że nieopatrzenie ona również zaczęła darzyć go miłością. Pierwsze spojrzenia, pierwsze gesty, pierwsze słowa i uroczyste wyznania, a potem, w końcu, plan. Francine oczywiście wiedziała o wszystkim, prawdopodobnie nabrała podejrzeń już tamtego pierwszego dnia w szpitalu. Sama niezdolna do czegoś takiego jak miłość, była ekspertem w wykrywaniu tej choroby u innych. Ich plan, Grace i jego, który Francine udało się niemal doszczętnie zniweczyć, był taki, że spędzą razem cały tydzień na wyspie Martha's Vineyard. Wyobrażał sobie, że tyle mu zajmie przekonanie jej, niezależnie od pewności, że jej serce należało teraz do niego. Niestety, wszystko komplikował chłopiec. Zabranie syna ojcu było czymś, co Grace nie przyszłoby lekko, niezależnie od tego, że człowiek ten zrobił wyjątkowo niewiele, by sobie zasłużyć na taką troskę - a nigdy, przynigdy nie zgodziłaby się wyjechać bez niego.

Ach, dwa dni na tej magicznej wyspie podarowały im dość piękna i szczęścia, by niemal uzasadnić sens ludzkiej egzystencji. I jakże blisko byli realizacji swego planu! jeszcze dzisiaj zapierało mu dech w piersiach na samą myśl o tym, że mógłby spędzić życie z tą kobietą. Nawet teraz skorzystałby z tej okazji, chociaż w wymizerowanej i wychudzonej kobiecie, która stała z jego żoną po drugiej stronie drzwi na patio, spoglądając na ogród, trudno było rozpoznać największą miłość jego życia. Jeden rzut oka mu wystarczył, by zrozumieć, co dla niej oznaczały jego lata w Meksyku. Oto pozwolił, żeby to ona odbyła pokutę, którą niegdyś zadał sobie. A jego żona, stwierdził zaszokowany, wedle wszelkich obiektywnych standardów, była teraz z tych dwóch kobiet tą bardziej atrakcyjną.

Francine pierwsza zauważyła jego przybycie. Po jej zimnym uśmiechu poznał od razu, jak szalony był, wierząc, że mógłby zwyciężyć tam, gdzie zarówno jego ojciec jak dziadek, obaj o tyle lepsi od niego, doznali porażki. Było to tak, jakby ona wiedziała o rewolwerze w jego kieszeni i wiedziała też, jak nieużytecznym przedmiotem stał się w owej chwili.

I wtedy spojrzała na niego Grace. W jej twarzy odnalazł wyraz, którego obawiał się najbardziej: wyraz zrozumienia, że on nie nacierpiał się zanadto przez te lata, jakie upłynęły od Martha's Vineyard, że znalazł sposób, by być szczęśliwym z inną kobietą, z innym małym chłopcem. Bez wątplenia przeczuła to już tej ostatniej nocy na wyspie, kiedy przysła do niego do domku, gdzie się kochali, a potem rozmawiali o przyszłości i o przeszłości. Tak jak to sobie setki razy wyobrażał, wysłuchała jego spowiedzi i przyjęła to, co uczynił swemu dziecku, do cudownie wybaczonego serca. I z serca mu odpuściła. Potem zaczęli omawiać plany dotyczące ucieczki od ich dotychczasowego życia, by gdzieś indziej rozpocząć nowe, wspólne, ale dopiero gdy zdała sobie sprawę, że on, mówiąc to, miał na myśli tylko ich troje - siebie, Grace i Milea - i że zamierzał porzucić swoją własną córkę, gorzej, nawet o niej nie pomyślał, dopiero wtedy udało mu się wszystko zniszczyć. Starał się jak mógł zatuszować swój błąd, sugerując, że nie był pewien, czy Grace zechce zabrać Cindy z nimi, ale szkoda już się stała. W owej chwili ujrzała przed sobą mężczyznę, który był gotów porzucić swoje dziecko. Może nie od razu pojęła, jaki skutek miałyby dla nich ta wiedza w przyszłości, ale C. B. Whiting wiedział.

Dziecko, które chciał porzucić, a które przez lata trzeba było przekonywać, że błędnie zapamiętało tamten tragiczny wypadek, teraz jako ostatnie spostrzegło jego powrót do domu, może zresztą tylko dlatego, że ujrzało jakiś ruch odbijający się w szybie. Jedyne Cindy ucieszyła się na jego widok. Odwróciła się, przy okazji omal nie tracąc równowagi, i rzuciła się w jego stronę, wołając:

- Tatusiu!

I dzięki temu jednemu słowo rozumiał, że istnieje inne, o wiele lepsze przeznaczenie dla ciężaru spoczywającego w jego kieszeni.

Odbierając sobie życie w tamtej chwili, C. B. Whiting pozbawił się tym samym sposobności, by pod koniec życia stać się cokolwiek mniej rozczarowanym człowiekiem. Gdyby żył, może z czasem dowiedziałby się, że jego żona wcale nie była aż takim potworem, jak mu się wydawało, że dla niej miłość nie tyle była niemożliwa, ile po prostu nienaturalna i trudna, gdyż przypominała tę ziemię, którą jej rodzina uprawiała przez pokolenia, nim zgodziła się ją sprzedać: nieurodzajną, choć nie całkiem jałową. I gdyby żył dość długo, by zobaczyć, jak jego ukochana Grace z każdym dniem choruje bardziej, a potem umiera, gdyby znalazł w sobie dość odwagi, by pomóc jej odbyć tę podróż, może w końcu zrozumiałby, że oczekiwał od niej zbyt wiele. Że jej dobroć i wrażliwość były jednocześnie jakoś niedoskonałe i skazywały ją na klęskę. I być może nie zmieniłoby się tylko jego zaniżone poczucie własnej wartości, a to właśnie, co bardzo prawdopodobne, zmusiło go do targnięcia się na swoje życie.

Jedno jest pewne. Odbierając sobie życie w tamtej chwili, C. B. Whiting umarł w błędnym przeświadczeniu, że podobnie jak jego przodkowie nie zdołał zabić swojej żony, co nie do końca było prawdą. Gdyby żył, byłby zaskoczony, a kto wie, może nawet uszczęśliwiony, dowiedziawszy się, że w rzeczywistości przypieczętował jej los już w owym roku, w którym się jej oświadczył, co się zdarzyło w niedługi czas po tym, jak rzeka zniosła padlinę losia na jego brzeg. Było to tego samego lata, kiedy inżynierowie ostrzegli go, że wysadzenie Robideaux Blight i wytyczenie nowego koryta mogło w efekcie nasilić groźbę powodzi, do których rzeka i bez tego była skłonna. Faktycznie po tych zmianach rzeka stała się jeszcze trudniejsza do okiełznania, chociaż żadna z poprzednich powodzi nie mogła się równać z tą, która nastąpiła tej wiosny, kiedy Miles i Tick Roby nadal mieszkali na Martha's Vineyard. Tej zimy spadło więcej śniegu niż podczas trzech poprzednich razem wziętych, a kiedy w pierwszych tygodniach kwietnia przyszła wczesna odwilż - przy temperaturach sięgających dwudziestu stopni Celsjusza jak Maine długie i szerokie, aż po Kanadę - śnieg stopniał i strumieniami spłynął do rzeki Knox, która z hukiem pędziła przez Empire Falls, trzy metry ponad stan alarmowy, podchodząc do połowy wysokich okien na pierwszym piętrze w starej przędzalni, którą właśnie remontowano, by zamienić ją w pub piwny na parterze i eleganckie biura banku kredytowego

na piętrze. W momencie kulminacyjnym połowa śródmieścia znajdowała się pod wodą, nie wyłączając starej restauracji Empire Grill.

Po drugiej stronie rzeki, gdzie brzeg był bardziej stromy, powódź wyrządziła znacznie mniejsze szkody. Wprawdzie woda nie podeszła do ha-cjendy Whitingów, niemniej zdołała zmyć i porwać altanę. Dlaczego Francine Whiting znajdowała się wówczas w altanie, trudno powiedzieć. Może wyobraziła sobie, że jak długo sama osobiście będzie nadzorować sytuację, rzeka nigdy nie zdobędzie się na taką zuchwałość, żeby rozlać tam swoje wody. Pani Whiting nie należała, jak jej córka, do tych osób, które wierzyły w działanie gwałtownej i potężnej siły, która w mgnieniu oka zdolna jest odmienić ludzkie życie, dlatego mogła jej nie rozpoznać, gdy z całą mocą nadszła. Albo może po prostu została tam uwięziona i nagły napływ wody odciął jej drogę odwrotu.

Dzień, w którym rzeka wylała, był ciepły, a wysokie niebo klarowne i błękitne. Pierwsze naprawdę ciepłe popołudnie po długiej mrocznej zimie i wielu dniach ciepłych wiosennych deszczy. Może usiadła w altanie, wystawiając się do słońca, którego ciepłe promienie ogrzewały jej skórę, aż w końcu usnęła? Nikt nie był świadkiem tego, jak została porwana przez wodę, ale w dolnym biegu rzeki koło Fairhaven, gdzie szkody wyrządzone przez powódź były jeszcze gorsze niż w Empire Falls, jeden z członków brygady przygotowującej worki z piaskiem do umocnienia tamy zauważył coś, co wyglądało jak ciało kobiety, unoszone przez rwący nurt spienionej wody. Na krótką chwilę ciało zatrzymało się na szczycie tamy, która lada moment mogła zostać przerwana. Było jednak za daleko od brzegu, żeby podjąć próbę ratunku. Zresztą, kimkolwiek była ta kobieta, na pewno już nie żyła, a ratownicy i tak nie daliby się skłonić do narażenia swego życia, nawet gdyby scena, jaka rozegrała się na ich oczach, nie wystraszyła ich swoją upiornością. Na ramieniu kobiety przycupnął skulony kot i otwierając czerwony pyszczek, rozpaczliwie miauczał.

Przez jakiś czas martwa kobieta i żywy kot podskakiwali razem w rytm napierającej na tamę fali, jakby wspólnie poszukując miejsca, którędy mogliby się przedostać i popłynąć dalej. Uderzając i objając się o przeszkody, szukali tak długo, aż w końcu trafili na niewielką wyrwę w nasypie, po czym oboje zniknęli w oddali.